

# CZARNA SERIA

THRILLER

Policjant, który bada sam siebie.  
Torpeda w pościgu za mordercą.  
Oszust poszukujący prawdy.

ANDERS DE LA  
MOTTE

SZCZĄTKI PAMIĘCI

# ANDERS DE LA MOTTE

## SZCZĄTKI PAMIĘCI

Przekład  
ANNA KOWALCZYK  
PAWEŁ URBANIK

Wydawnictwo Czarna Owca  
WARSZAWA 2015

Tytuł oryginału  
*MEMORANDUM*

Redakcja  
Ewa Kaniowska

Projekt okładki  
Mariusz Banachowicz

Zdjęcie autora na okładce  
Peder Lingdén

Korekta  
Małgorzata Denys, Piotr Królak

Copyright © Anders de la Motte  
2014 Published by agreement with Salomonsson Agency.  
Copyright for the Polish edition © by Wydawnictwo Czarna Owca, 2015

ISBN 978-83-7554-870-9

**Wydawnictwo** **Wydawnictwo Czarna Owca Sp. z o.o.**  
ul. Alzacka 15a, 03-972 Warszawa  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl)  
**CZARNA**  
**OWCA**  
Redakcja: tel. 22 616 29 20; e-mail: [redakcja@czarnaowca.pl](mailto:redakcja@czarnaowca.pl)  
Dział handlowy: tel. 22 616 29 36; e-mail: [handel@czarnaowca.pl](mailto:handel@czarnaowca.pl)  
[www.czarnaowca.pl](http://www.czarnaowca.pl) Księgarnia i sklep internetowy: tel. 22 616 12 72; e-mail: [sklep@czarnaowca.pl](mailto:sklep@czarnaowca.pl)

Konwersję do wersji elektronicznej wykonano w systemie **Zecer**.

*Dla Anette*

## Sobota, 23 listopada

Niebieskie światło. To jego pierwsza czytelna myśl po otwarciu powiek.

Stan nieprzytomności nie mógł trwać dłużej niż okamgnienie, dosłownie mikropauza w jego głowie. Mimo to świat zdaje się taki obcy, taki nieznany. Jakby wciąż w pełni się nie obudził.

Niebieskie rozbłyski tańczą wokół niego. W lusterku, odbijają się od betonowych ścian, dachu, mokrej jezdni, nawet od tych błyszczących plastikowych elementów na tablicy rozdzielczej.

Samochód. Siedzi za kierownicą samochodu, który jedzie przez długi tunel.

Ból go dogania. Jak przez mgłę pamięta go sprzed utraty świadomości. Świetlisty, zimnoniebieski płomień z elektrody przebijający na wskroś lewą stronę czaszki zamienił jego myśli w lepki muł.

Wciąż czuje ten zapach.

Metalu, plastiku, prądu.

Coś dzieje się z jego ciałem, coś poważnego, zagrażającego jego istnieniu, ale – co ciekawe – nie napawa go to większymi obawami. Zaciska ręce na kierownicy, czuje jej miękką skórę. Przyjemne, uspokajające doznanie. Przez chwilę chce mu się poddać całkowicie. Po prostu poluzować uścisk i podążyć za tymi wszystkimi błyszczącymi molekułami z powrotem do stanu nieprzytomności.

Trzyma jednak kierownicę tak mocno, jak tylko może. Próbuje zmusić obolałą głowę, by mu wyjaśniła, co się dzieje.

– David Sarac. Nazywasz się David Sarac i...

I co?

Samochód wciąż jedzie przez tunel, któryś z tych nieczytelnych, małych wskaźników na tablicy rozdzielczej na pewno daje znać, że prędkość jest za duża. O wiele za duża.

Próbuje podnieść nogę z pedału gazu, ale ona go nie słucha. Swoją drogą w ogóle nie czuje nóg. Ból się wzmacnia, ale jednocześnie – co zaskakujące – dręczy jakby z oddali. Ciało za chwilę zgaśnie, przerwie wszystkie procesy, które nie służą podtrzymywaniu życia, aż awaria jądrowa w jego głowie zostanie opanowana.

– Nazywasz się David Sarac – mruczy do siebie. – David Sarac.

Z głośników wydobywają się różne chropowate dźwięki: muzyka, sygnały połączenia, podniesione, chrapliwe, wzajemnie się przekrzykujące głosy.

Patrzy w lusterko. Wydaje mu się, że przez ułamek sekundy widzi ruch, że przemknęła w nim ciemna sylwetka. Czy ktoś jest na tylnym siedzeniu? Ktoś, kto może mu pomóc?

Próbuje otworzyć usta, widzi, że postać w lusterku robi to samo. Dostrzega kilkunastu zarost, dobrze znane, obolałe spojrzenie. Wie, co to znaczy. Nikogo tam nie ma. Jest sam.

Światło odbijające się w lusterku oślepia go, sprawia, że oczy zaczynają mu łzawić. Głosy w radiu wciąż terkoczą, tym razem głośniejsze, jeszcze bardziej gorączkowo.

Wygaszanie organizmu przyspiesza. Rozprzestrzenia się od nóg w kierunku klatki piersiowej.

– Policja! – krzyczy głos z radia. Słowo zarzuca kotwicę i wypełnia całą świadomość.

Policja.

Policja.

Policja.

Spuszcza wzrok z lusterka i odwraca dzielnie głowę o kilka centymetrów. Wysiłek wyrywa mu z gardła jęk bólu.

– Nazywasz się David Sarac.

I?

Daleko z przodu migocą tylne światła innego samochodu. Przed nimi widzi duży znak ostrzegawczy, rodzaj blokady informujący o zjeździe. Światła nagle stają się ognistoczerwone.

Powinien skręcić, pojechać za tamtym samochodem. Instynkt mówi mu, że to jedyna mądra decyzja, ale głowa traci właśnie kontakt z rękami. Jedyne, na co go stać, to krótki, gwałtowny ruch.

Przeszkoda zbliża się coraz szybciej, to duża betonowa bariera oddzielająca rury tunelu. Znaki ostrzegawcze skrzą się w świetle reflektorów samochodu. Próbuje

wyprzedzić czas o kilka sekund, obliczyć prawdopodobieństwo kolizji. Ale mózg nie działa już tak jak powinien.

Proces wygaszania organizmu dociera do twarzy, sprawia, że jego dolna szczęka opada.

Odległość od bariery wciąż się kurczy.

– POLICJA.

Słowo powróciło. Tym razem z jeszcze większą siłą. I nagle zaczyna rozumieć dlaczego. Jest policjantem, niebieskie światło pochodzi z jego samochodu.

Nazywa się David Sarac. Jest policjantem. I...?

Ból głowy zelżał już wystarczająco, by mógł stworzyć w miarę spójny ciąg myśli. Czym się zajmuje? Kogo ściga? A może to on jest ścigany?

Reflektory widoczne w lusterku wstecznym świecą coraz mocniej. Żarzą się w jego głowie.

Przepenia go strach, puls przyspiesza. Zimnoniebieski ból znów powraca, tym razem uderza silniej. Powieki drżą, dźwięki odpływają w dal. Próbuje zachować przytomność, walczy z awaryjnym wygaszaniem organizmu. Jednak nic już nie może zrobić.

Nagle samochodem zatrzęsło. On już tego nie czuje. Proces wygaszania prawie się zakończył, świadomość znów odpłynęła. Przyszło wyzwolenie od bólu, strachu i zaskoczenia. Jedyne, co pozostało, to ledwo odczuwalny sygnał w jego wycieńczonym mózgu. Elektryczny impuls w drodze między dwoma neuronami, który jakby nie chciał zgasnąć. Dopóki nie wykona zadania.

Tuż przed zderzeniem samochodu z betonową barierą, na sekundę przed tym, jak pojazd z przedmiotu o definiowalnej formie stanie się bezkształtną kupą złomu, impuls dociera do celu drogi. W tym jednym krystalicznie czystym momencie wszystko staje się jasne.

Przypomina sobie, co robi w samochodzie. O co w tym wszystkim chodzi.

Twarze, imiona, miejsca, sumy.

Powód, dla którego wszyscy, każdy z nich, musieli zginąć.

Wszystko z jego powodu. Z powodu tajemnicy...

Niesamowite uczucie ulgi przepenia jego ciało. A później żal.

Nazywa się David Sarac. Jest policjantem. I zrobił coś niewybaczalnego.



## Piątek, 18 października

Kiedy Jesper Stenberg był dzieckiem, czasami wydawało mu się, że może zatrzymać czas. Zazwyczaj w Wigilię lub urodziny. To były szczególne okoliczności, na które czekał z gorączkową niecierpliwością. W samym środku świętowania, kiedy ekscytacja sięgała zenitu, czas jakby nieco zwalniał. Dawał Jesperowi możliwość napawania się w spokoju i ciszy każdym najmniejszym niuansiem, każdym radosnym doznaniem przeżytym w chwili, na którą tak długo czekał.

Po trzydziestu latach wciąż potrafił się przenieść w tamte dni, odtworzyć je w najmniejszym szczególe: kolor ubrania mamy, zapach wody po goleniu ojca, śliskość papieru okalającego prezent, który trzymał w swoich małych palcach. Wszystko świeże, bez tej przykrej śniedzi ze zdjęć w albumie.

Ale kiedy stał się nastolatkiem, zdolność zatrzymywania czasu nagle zniknęła. Długo wydawało mu się, że to przez rozwód rodziców. Albo że po prostu wydorósł i stracił swoją dziecięcą rachubę czasu. Tak czy owak, już nigdy żadne święto nie było takie samo. Matura, egzamin prawniczy, pierwsza sprawa sądowa, oświadczyzny, nawet jego i Karoliny drogie wesele. Wszystko dało się podsumować jednym słowem. Rozczarowanie.

Tak bardzo się starał przed tymi wydarzeniami. Wyczekiwał ich, wyobrażał sobie te wszystkie zapachy i smaki. A potem zbyt szybko było po wszystkim, pozostawały jedynie zamazane obrazy w pamięci i drażniące uczucie niedosytu.

Wmawiał sobie, że następnym razem będzie inaczej. Celując wyżej i ciągle podnosząc poprzeczkę, czekał na mocniejsze doznania. Narodziny dzieci, praca w Hadze, członkostwo w Związku Adwokatów, dzień, w którym jeden ze współpracowników zaproponował mu udział w prestiżowej kancelarii Thorning & Partners.

Jednak za każdym razem powracało to samo uczucie – wrażenie braku obecności. Jakby od rzeczywistości oddzielał go cienki filtr.

Zaczął robić zdjęcia. Zalewał komputer wyostrzonymi do granic fotosami, spędzał godziny na montowaniu filmików z letnich wakacji przepełnionych obrazkami piknikowych obrusów w kratkę i chwil spędzonych z dziećmi w klimacie książek

Astrid Lindgren. Ale bez względu na liczbę pikseli w aparacie czy rozdzielczość monitora wciąż pozostawał niezaspokojony. Jak gdyby w tych chwilach przeoczył coś kluczowego, mały, ledwo postrzegalny niuans, który zrobiłby różnicę.

Jednak dzisiaj było inaczej. Na ten dzień Stenberg czekał od lat. Nie musiał już zerkać na swojego patka philippe'a. Wiedział, że sekundnik w szwajcarskim zegarku właśnie się zatrzymał. Ta chwila miała się stać tak nieskazitelna i doskonała, jak ją sobie zawsze wyobrażał. Cały wysiłek, całe poświęcenie w końcu miały się opłacić. Te wszystkie lata pańszczyźnianej pracy w prokuraturze: zdrajcy, dręczyciele żon, drobni złodzieje, kryminaliści i cała reszta towarzystwa. Później okres w Hadze, oczywiście z większymi sprawami, gdzie jako młody prokurator robił za chłopca na posyłki. Później przejście do Thorning & Partners. Sprawy mocno nagłaśniane, idealne dla świeżo upieczonego, zdolnego obrońcy, który chciał sobie wyrobić nazwisko.

Mimo pieniędzy, prestiżowej pracy i coraz większego zainteresowania mediów jego osobą, mimo że John Thorning uczynił go swoim protegowanym, on wciąż gardził tym zawodem. Przez pierwsze pół roku czynnością numer jeden po powrocie z pracy była kąpiel pod prysznicem. Zrzucał z siebie szyty na miarę garnitur i drogie włoskie buty, w których wyglądał na nieskalanego w telewizji, po czym szorował skórę do czerwoności.

Później się przyzwyczał. Zgodnie z zaleceniem Karoliny przywdział maskę. Wyćwiczył się w roli, w którą w jednej sekundzie mógł się wcielić i z której równie szybko mógł wyskoczyć. Był w niej kimś, kto wyglądał i brzmiał jak Jesper Stenberg, a jednocześnie z wieloma swoimi słowami i czynami nie musiał się utożsamiać.

W ten sposób mógł grać dalej, nadrabiając miną. Cierpliwie czekać na swoją kolej, na swoje pięć minut. Na *te* pięć minut. Dlatego postanowił dziś chłonać każdą milisekundę. Wyryć ją w korze mózgowej, żeby móc odtworzyć każdy szczegół, także za czterdzieści, pięćdziesiąt lat, kiedy jego czas, który jako dziecko uważał za nieskończony, będzie się zbliżał do mety.

Jego zmysły się wyostrzyły, karmiły go detalami. Słojem z drewnianej masy ciężkich, ciemnych mebli otaczających stół konferencyjny. Grubością czerwonego dywanu pod jego butami. Światłem z kryształowych żyrandoli, które odbijało się od

srebrnych dzbanków z kawą na środku stołu. Delikatną jak liść filiżanką z porcelany tuż przed nim. Wszystko było dokładnie takie, jak sobie wyobraził. Ale najtrwalszym wrażeniem był zapach unoszący się w całym pomieszczeniu. Ta ciężka, słodkawa woń go obezwładniła. Prawie podnieciła.

Zapach władzy.

Przy jednym końcu stołu tronął szef w całym swoim majestatycznym nadęciu. Wzdłuż tłoczyli się jego pacholki, włącznie z teściem Stenberga. Garnitury, kostiumy, botoksowe czoła i podwójne podbródki. Zwyczajne spojrzenia większości par oczu, ale oczywiście nie wszystkich. W końcu był outsiderem, nuworyszem, który nie podążał wyznaczoną ścieżką. Kimś, kto mógł zachwiać równowagą sił.

Wszyscy patrzyli na Stenberga, oczekiwali jego odpowiedzi. On panował nad twarzą – pokorę i zaskoczenie potrafił odegrać nawet we śnie. Na ustach widniał jednak nikły, irytujący uśmiech, Stenberg czuł to drganie w kąciку ust. Nic dziwnego. W końcu za chwilę miało paść Pytanie. Miały się ziścić jego marzenia i wszystko miało być od tej pory inne.

W momencie gdy otworzył usta, rozchylając je w uśmiechu jak z Hollywood, poczuł delikatną wibrację zegarka. Jak gdyby nastał właśnie nowy czas.

Atif otworzył torbę chłodzącą, pogrzebał w środku, aż znalazł w miarę zimną puszkę, którą przyłożył do szyi. Plecy miał całe mokre od potu. Jedna z wielu przerw w dostawie prądu zatrzymała wiatrak na dłużej niż godzinę i powietrze w tym obmierzłym pokoiku całkowicie zastygło.

Otworzył puszkę, pociągnął łąpczywie łyk, po czym wrócił do swojego punktu obserwacyjnego przy zabrudzonym, do połowy przysłoniętym oknie.

Na zewnątrz wszystko wyglądało mniej więcej jak co dzień. Dziesięć zaparkowanych ciężarówek, wszystkie z otwartymi drzwiami z tyłu lub odsłoniętymi plandekami, a między nimi powoli krążące towary różnego rodzaju. Połowa pojazdów była w kolorze wojskowej zieleni. Ich umundurowani kierowcy stali przy kawiarence i palili papierosy, podczas gdy ładowacze opróżniali ciężarówki. W pobliżu pałętało się kilka kudłatych, bezpańskich psów. Utrzymywały bezpieczny dystans, od czasu do czasu węsząc w powietrzu, jakby chciały sprawdzić, czy któraś z licznych

przewożonych skrzynek zawiera coś do jedzenia.

Tym razem Atif wiedział o tym targowisku wszystko. Znał markę ulubionych papierosów kierowców, imię naburmuszonej córki właściciela kawiarni, orientował się, którzy z ładujących opylają haszysz, a także który z kudłatych psów to osobnik alfa. Numer jeden, którego żywią pozostali.

W kieszonce na jego piersi zaczęła wibrować komórka. Atif włożył słuchawkę do ucha i spojrział przez lornetkę. Zrobił zbliżenie na stanowisko strażnika przy jedynym wejździe na targ. Mężczyzna z kałasznikowem nonszalancko zawieszonym na ramieniu stał oparty o ścianę i palił.

Komórka zadrżała ponownie i Atif odebrał.

– Halo.

– To ja. Jak tam?

– Mniej więcej jak zwykle.

– Wciąż żadnych śladów?

– Ślady przywiodły mnie tutaj.

– I siedzisz tam od... Jak długo, Atif?

– Prawie trzy tygodnie.

– A widzisz. Nie czas się poddać?

– Nadchodzi.

W słuchawce nastała na chwilę cisza. Atif rozejrzał się po całym targowisku, po czym wrócił wzrokiem do strażnika. Mężczyzna się wyprostował i butem przygniótł peta do czerwonej ziemi.

– Dzwoniła kobieta – powiedział głos w słuchawce. – Ze Szwecji. Powiedziała, że jest twoją szwagierką i żebyś oddzwonił najszybciej, jak możesz. Chodzi o twojego brata...

– Przyrodniego – mruknął Atif, nie spuszczając wzroku ze strażnika.

Nagle język ciała mężczyzny się zmienił. Zsunął karabin z ramienia, chwycił go obiema rękami i momentalnie przybrał postawę znamionującą otrzymanie znacznie ważniejszego zadania. Zagwizdał i cały ruch na targu zamarł.

Drogą wjazdową toczył się ciemny samochód z wojskowymi tablicami rejestracyjnymi i przyciemnionymi szybami. Strażnik przyłożył jedną rękę do czoła,

wykonując gest z pogranicza salutu i pomachania. Atmosfera na targowisku zmieniała się w ciągu kilku sekund. Kierowcy zdusili papierosy, przygnietli pety butami i wymienili między sobą niespokojne spojrzenia. Ładowacze zwiększyli tempo pracy.

Nawet psy zdawały się rozumieć, że coś wisi w powietrzu. Leżały ściśnięte w cieniu, podążając ostrożnie wzrokiem za ciemnym samochodem. Pojazd zatrzymał się i wysiadł z niego umundurowany mężczyzna w okularach przeciwsłonecznych. Atif nie musiał nawet patrzeć przez lornetkę. Po reakcji całej reszty domyślił się, kim jest ten człowiek.

Mężczyznę, którego szukał.

Samcem alfa.

Atif sięgnął po pistolet, który leżał na rozklekotanym stoliku, i wsadził go za pasek z tyłu spodni. Pociągnął za krawędź koszuli, upewniając się, że broni nie widać.

– Muszę kończyć – mruknął do słuchawki.

– Atif, czekaj – powiedział głośno. – Wyglądało na to, że to coś ważnego. Bardzo ważnego. Powinieneś chyba zadzwonić do domu.

## Sobota, 23 listopada

Niebieskie światła zdają się migać w całym mieście. Tylko trochę tłumione przez opadający śnieg skaczą między fasadami, po czym odbijają się od ciemnej wody pod łukami mostów. Niektóre z pojazdów ratowniczych mają włączone syreny, ale większość pędzi przez noc w ciszy.

Sześcioro studentów spacerujących wzdłuż Skeppsbron ma już dość tej wrzawy. Od paru chwil stoją w punkcie widokowym w pobliżu Slussen i śledzą cyrk na długim wiadukcie. Mnóstwo karet, wozów strażackich, oznakowanych i nieoznakowanych samochodów policyjnych. Przekaz jest czytelny: cokolwiek zdarzyło się w tunelu, musi to być coś poważnego.

Para studentów trzyma swoje komórki za lodowatą barierką, licząc, że uda im się sfilmować całą akcję. Ale ponieważ od wielu minut nic specjalnego się nie dzieje, ich zainteresowanie słabnie. Mróz i silne opady śniegu dają się we znaki, więc grupa rusza w stronę centrum.

Bitwa na śnieżki zaczyna się w połowie drogi wzdłuż Skeppsbron. Jeden z chłopaków, nie jest jasne który, zatrzymuje się i z szyby zaparkowanego samochodu zgarnia garść śniegu. Błyskawicznie formuje nierówną kulkę i rzuca nią w plecy kogoś z pozostałej piątki. Chwilę później zabawa rozkręca się na całego. Cała szóstka biegnie chodnikiem, robiąc uniki przed pociskami i zatrzymując się od czasu do czasu, by ulepić nowe śnieżki.

Zauważa to dziewczyna w czerwonej czapce.

– Patrzcie, tu w środku ktoś śpi! – krzyczy, wskazując na zaparkowany samochód, z którego szyby właśnie zgarnęła trochę śniegu. – Halo! Proszę się obudzić! – woła.

Do samochodu podchodzi jej chłopak. Przez małą, czarną lukę w śnieżnej pokrywie widać jasną głowę dorosłego mężczyzny. Siedzi na miejscu pasażera z czołem ciężko pochylonym w kierunku deski rozdzielczej. Wygląda, jakby spał.

Chłopak zaczyna walić w szybę, a kiedy to nie wywołuje żadnej reakcji, odgarnia pozostały śnieg przysłaniający widok wnętrza samochodu. Najpierw powoli, później coraz szybciej, aż oczyszcza całą szybę. Następnie zabiera się za boki pojazdu. Mężczyzna w środku wciąż się nie rusza.

Z odległości dochodzą dźwięki silnika i pulsujący szum zbliżającego się helikoptera. Nagle pozostałe osoby z grupy przerywają zabawę i podchodzą do samochodu. Powoli, jakby nie byli pewni, czy chcą zobaczyć to coś lub tego kogoś w środku. Ale dziewczyna w czerwonej czapce nie zauważa zmiany nastroju.

– Dajcie spokój – mówi z uśmiechem na ustach. – Umieram z zimna, niech sobie pośpi.

Chwyta swojego chłopaka za rękę, próbuje pociągnąć go za sobą. On nie idzie. Po oczyszczeniu ze śniegu bocznych szyb zagląda przez jedną z nich do środka.

– Shit – mruczy.

– Co? – Głos dziewczyny nie jest już taki spokojny. Przebija przez niego strach. Dźwięk helikoptera narasta.

– Shit – powtarza chłopak raczej sam do siebie.

Szron po wewnętrznej stronie szyby zamazuje widok, poza tym w coupé jest ciemno. Ale od śpiącego mężczyzny dzieli go ledwie pół metra, więc nie ma żadnego problemu z rozróżnieniem detali. Skórzana kamizelka z wyhaftowanymi na plecach wielkimi literami, tribal wypełzający jak wąż spod kołnierza i biegnący dalej po grubej szyi mężczyzny.

Jednak tym, co przyciąga uwagę chłopaka, jest ciemna plama z tyłu głowy. Mała dziura wypełniona milimetrowymi kryształkami lodu, które uformowały igiełkowaty wzór nad jasnym zarostem karku.

Warkot silnika jest ogłuszający. Odbicia echa od ścian domów zamieniają się w jedno wielkie dudnienie, kiedy helikopter przelatuje nad ich głowami.

– Shit – mówi chłopak już trzeci raz, ale nikt go nie słyszy. Następnie robi długi krok wstecz i sięga do kieszeni po telefon.

David Sarac nic nie wie o akcji ratunkowej, której sam jest celem. Nie słyszy ożywionych głosów. Nie widzi strażaków, którzy polewają pianą wrak samochodu i przez prawie kwadrans walczą za pomocą narzędzi hydraulicznych, żeby go z niego uwolnić. Nie widzi też ratowników pogotowia, którzy przy użyciu zgiętego przyrządu wkładają mu do tchawicy przewód tlenowy i w ostatniej chwili zapobiegają zapaści. Tam, gdzie Sarac się znajduje, nie ma bólu, żadnego niepokoju ani strachu. Jest za to

spokój.

Jego ciało nie jest niczym innym, jak zbiorem starannie zespojonych molekuł, przypadkowym zlepkiem, który jak każdą inną materię czeka nieunikniony rozpad.

Słyszy dźwięki wokół siebie, maszyny wydające sygnały ostrzegawcze, spokojną dyskusję ratowników. Nierówny bulgot, który stopniowo rozpoznaje jako swój oddech.

Ale nie czuje strachu. Nawet najmniejszego. Bo rozumie, że to jest plan wszechświata. Jego pięć minut na zmianę. Na powrót do powszechnego obiegu.

Gdy tylko ktoś podnosi mu powiekę, wykrzykuje jego imię i świeci mu prosto w mózg, dopada go strach. Nie z powodu wiązki ostrego światła czy krzyku. Przeraża go cień postaci, który dostrzega kątem oka. Ciemna, groźna sylwetka na krawędzi pola widzenia. Sarac śledzi ją wzrokiem, ale postać mu umyka. Rozpoznaje skórzaną kurtkę, naciągnięty na głowę kaptur, którego cień zmienia osłoniętą nim twarz w czarną dziurę.

– ...spadamy stąd. Już. Helikopter jest na miejscu – mówi ktoś, zapewne jeden z ratowników.

Sylwetka się nie rusza. Wciąż torturuje oko Saraca. Gdzieś dzwoni telefon. Jeden sygnał, wiele.

Ten dźwięk wzmacnia tylko strach, który ściska klatkę piersiową Saraca, przyspiesza pracę serca i odpala ładunek bólu w głowie. W końcu ratownik puszcza powiekę i pozwala Saracowi gładko powrócić w błogą ciemność.



## Piątek, 18 października

Jesper Stenberg spuścił prezerwatywę w toalecie, wziął porządny prysznic, po czym wytarł się jednym z frotowych ręczników wiszących w łazience. Przejrzał się szybko w lustrze, sprawdził jak zawsze, czy na twarzy albo w innych miejscach nie pozostały żadne ślady. Następnie migiem się ubrał i wrócił do dużej sypialni.

Była 21.32, teściowie pilnowali dzieci, a Karolina była na babskim obiedzie. Zaproponowała, że dotrzyma mu towarzystwa, ale odwiódł ją od tego pomysłu. Prawdziwe świętowanie miało się odbyć nazajutrz. Teść wszystko już przygotował. Obiad w swojej ulubionej restauracji, szampan, koniak, drogie wina. Oczywiście na własny rachunek. Z bredzeniem o przyszłości, o możliwościach leżących w zasięgu ręki, pod warunkiem że dobrze się rozegra własne karty.

Wbrew jego przypuszczeniom już jej nie było w łóżku. Nalała sobie drinka i usiadła na sofie w salonie. Wciąż była naga, a on nie mógł przestać podziwiać jej ciała. Małe, twarde piersi, długie, chude nogi, biała jak porcelana skóra i kaloryfer na brzuchu wskazujące na ostre diety i program ćwiczeń, którego nie mógł sobie nawet wyobrazić. Będzie tęsknił za jej ciałem. Za tym wszystkim, co pozwalała mu z nim robić...

Ale teraz nastąpił nowy etap. Od tej pory wszystko miało się zmienić.

– A więc, Jesper, otrzymałeś Pytanie? – powiedziała.

Podszedł do barku i do szklanki z grubego kryształu nalał whisky na dwa palce. Właściwie nie powinien więcej pić, miał prowadzić samochód. Ale w momencie kiedy otworzyła usta, uznał, że musi się wzmocnić.

Przez chwilę wmawiał sobie, że już zrozumiała. Że to nie będzie takie trudne, jak mu się wcześniej wydawało. Ale jej ton rozwiął wszelkie nadzieje. Oczywiście powinien się spodziewać, że nie ułatwi mu zadania. Sophie Thorning nigdy mu niczego nie ułatwiała. Pod tym względem przypominała swojego ojca.

– Wszyscy dostali to, czego chcieli. Ty masz swoją ogromną szansę, John pociąga za sznurki, a twoja napalona na karierę żonka i jej zwariowani na punkcie władzy krewni wreszcie mają nową trampolinę. – Zaśmiała się niskim szyderczym śmiechem, który mu się nie spodobał. – I teraz chcesz to skończyć, tak? Zmniejszyć ryzyko,

odzyskać kontrolę. – Zrobiła ruch w kierunku sypialni trzymanym w dłoni kieliszkiem.

Wciąż nie odpowiadał, odwrócił się tylko i patrzył przez okno. Na samym dole widział wyjazd z podziemnego parkingu. Będzie tam za dosłownie kilka minut. W samochodzie w drodze do domu. Pewny, że chce to wszystko zostawić za sobą.

– Wszyscy dostali to, czego chcieli. Wszyscy prócz mnie – ciągnęła Sophie. – Spodziewam się, że zostanę odepchnięta. Skończy się na udawaniu, że tych ostatnich lat nigdy nie było. Tak to sobie wymyśliłeś, Jeppe?

Odwrócił się powoli. Wiedziała, że nie znosił tego przezwiska.

– „Jeppe ze Wzgórza” – powtórzyła z uśmiechem. – Idiota, który wmawia sobie, że jest kimś. Że nagle stał się kimś, z kim należy się liczyć. A tak naprawdę jest tylko marionetką, laleczką, która miota się w rytm pociąganych sznurków. Brzmi znajomo?

Otworzył usta, chciał jej powiedzieć, żeby się zamknęła, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Sophie wiedziała dokładnie, gdzie uderzyć. Nie miał zamiaru dać się sprowokować.

– Ojoj, gniewasz się? – zapytała rozbawiona. – Jak to mówią, prawda w oczy kole. A ty przecież lubisz ból, Jeppe. Dokładnie tak jak ja. Lubisz kopa od tego, co zakazane.

Zmieniła pozycję i założyła nogę na nogę. Zrobiła to wystarczająco powoli, by mógł spojrzeć na jej nieowłosiony srom.

– Proponuję, żebyśmy wrócili do sypialni i naprawdę porządnie uczcili twój nowy sukces. Mam kilka pomysłów, które na pewno ci się spodobają. To coś, na co Karolina nigdy by nie poszła.

Stenberg opróżnił szklanę i przysiadł powoli na blacie wysepki w kuchni.

– Nie, Sophie – odparł. – To był ostatni raz. Muszę iść. Od tej pory będziemy się widywać tylko w biurze, a nasze kontakty będą miały charakter czysto zawodowy. –

Podniósł rękę, zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć. – Nie, nie. Wiem, na czym polega ta gra. Właśnie teraz chcesz wyjąć asa z rękawa i zagrozić, że powiesz Karolinie albo swojemu ojcu. A może nawet im obojgu.

Skrzywiła nieco głowę, a na jej twarzy pojawił się grymas zmieszany z uśmiechem.

– Ale chyba nie rozumiałaś, że zmieniała się plansza do gry – ciągnął Stenberg. – Masz całkowitą rację, mówiąc, że to inni mnie wypchnęli. Dawno temu to zaakceptowałem. Zrozumiałem, że to jedyna droga do osiągnięcia tego, czego chciałem. I teraz jestem na jej końcu. – Przerwał na chwilę, pozbierał myśli. – Sophie – zaczął tonem pełnym politowania. – Kilka miesięcy temu rzeczywiście mogłaś wszystko zniszczyć. Zrujnować całe moje życie. Ale twój as stracił wartość w momencie, kiedy otrzymałem Pytanie.

Wskazał telefon na stole.

– Zadzwoń do Karoliny, jeśli chcesz. Teraz za żadne skarby by ode mnie nie odeszła. A mój teść nawet by jej do tego nie namawiał.

Uśmiech Sophie nieco zbladł, mimo to wciąż jakby nie rozumiała wszystkiego.

– John – zaczęła. – Tata...

– Przestań, Sophie. – Ton jego głosu był teraz jak uderzenie w twarz. Idealna mieszanka politowania i protekcjonalności. – Poważnie wydaje ci się, że John poświęci mnie w imię ciebie? Teraz, kiedy jego inwestycja w końcu zaczęła się zwracać? – Kiwnął głową w kierunku telefonu. – Proszę, zadzwoń do tatusia i mu się wypłac. Opowiedz o wszystkim, no już. – Uśmiechnął się, kopiując jej irytujący grymas.

Oczy Sophie patrzyły na telefon. Polizała wargi, raz, wiele razy. Następnie spuściła wzrok. Stenberg odetchnął. Koniec meczu, on zwyciężył. Od razu zrobiło mu się jej szkoda.

– Rozsądna decyzja, Sophie – powiedział. – Smutno by było, gdybyś znów spędzała święta w klinice.

W tej samej chwili, gdy wypowiedział te słowa, pożałował ich. Niech to szlag! Kieliszek przeleciał dosłownie kilkanaście centymetrów obok jego głowy, trafił w ceglana ściankę za jego plecami i rozprysnął się po dębowych panelach strumieniami krystalicznych drobinek.

– Ty pieprzona świni! – Podbiegła do niego, podrapała go po twarzy. Zabrakło jej kilku centymetrów, żeby trafić go kolanem w przyrodzenie.

– Do jasnej cholery, Sophie! – Stenberg zrobił unik i chwycił ją za nadgarstki.

Wciąż próbowała go kopnąć, szamotała się, by uwolnić się z ucisku. Przewrócił ją

w końcu na sofę, ale Sophie momentalnie wstała i zaatakowała go ponownie. Warczała jak pies, jej oczy poczerniały. Wargi miała cofnięte, jakby chciała go ugryźć.

Uderzenie było zwykłym odruchem. Z prawej, otwartej ręki i wystarczająco mocne, żeby głowa odskoczyła do tyłu, a ciało opadło bezwładnie na sofę. Kurwa mać, nigdy nie uderzył kobiety. Przynajmniej nie w taki sposób.

Sophie leżała nieruchomo. Jej nogi i ręce wisały swobodnie. Stenberg poczuł coś wilgotnego na płatku ucha. Nie była to krew, jak się spodziewał, lecz żółtobrązowa kropla whisky, która musiała wylecieć z kieliszka.

– Sophie – powiedział drżącym głosem. Wciąż się nie ruszała.

W niezręcznej ciszy słyszał dudnienie swojego tętna. Zerknął szybko w kierunku windy, następnie na niedające znaku życia ciało. Powieki Sophie drgnęły, na co Stenberg odetchnął z ulgą.

Odwrócił się, chciał pójść do kuchni i przynieść trochę wody. Na podłodze leżało jednak pełno rozbitego szkła. W końcu ruszył do jednej z łazienek i namoczył ręcznik. Wracając, podniósł z podłogi jej biały peniuar.

Zdażyła już usiąść. Podał jej ręcznik i podomkę.

– Sophie, ja...

– Wyjdz! – Sięgnęła po ręcznik, który przyłożyła do policzka. On stał bezradnie przez kilka sekund, nie wiedząc, co robić. – Nie słyszysz? Wypad, do cholery! – syknęła, zakrywając się szlafrokiem.

Stenberg zrobił kilka kroków wstecz. Próbował coś z siebie wydukać.

– Sophie, a więc...

Ból odebrał mu mowę. Kawałek szkła wbił mu się w lewą piętę. Stenberg zaklął i skacząc na jednej nodze, próbował wyjąć drobinę.

Jej śmiech był przeszywający i zbyt głośny.

– Kurwa, ale jesteś żałosny, Jesper. Rozumiesz to? Żałosny...

Wyprostował się, kawałek szkła wrzucił do zlewu. Spojrzał na nią ostatni raz, po czym bez słowa skierował się do windy.

– Zrobię to! – krzyczała. – Odbiorę sobie życie!

Wcisnął guzik. Powstrzymywał się, żeby się nie odwrócić.

– Pójdę do mediów! Słyszysz, mały Jeppe?! – krzyczała, kiedy otworzyły się drzwi windy. – Opowiem o wszystkim! O wszystkim, rozumiesz?! Jesteś skończony, cała twoja jebana rodzina jest skończona! Mam zamiar...

W chwili kiedy drzwi ucięły wypowiedź, jej głos zamienił się w falset. Usłyszał odgłos tupiących w biegu stóp i tłuczenie pięściami. Kilka razy wcisnął guzik oznaczający poziom garażu, ale ten nie chciał się zapalić. Walenie w drzwi nie ustawało, wręcz odwrotnie – przybierało na sile i odbijało się echem od metalowych ścian windy.

Dum, dum, dum, dum...

Uderzył w guzik, aż lampka w końcu się zapaliła. Następnie zatkał uszy rękami, a winda zaczęła sunąć do podziemnego parkingu.

Atif odetchnął głęboko i popatrzył w górę. Niebo nocą było tu tak inne niż w Szwecji. Wyższe, w pewnym sensie wyraźniejsze. Jednocześnie wydawało się bliższe. To oczywiście nie miało nic wspólnego z prawdą. Niebo i gwiazdy były dokładnie takie same, różniło się tylko miejsce, z którego na nie patrzył. Trzy i pół tysiąca kilometrów zmieniło perspektywę. I teraz znów czekała go zmiana.

– Coś się zdarzyło, mamó – powiedział, nie odwracając wzroku.

Nie odpowiedziała, nigdy tego nie robiła. Kiedy on patrzył na gwiazdy, ona siedziała na wózku z kocem rozłożonym na swoich chudych nogach. Atif wiedział jednak, że słucha. Właściwie już dawno powinna pójść spać. Ale w tak gwiazdziste noce jak ta pielęgniarki pozwalały jej posiedzieć dłużej. Wiedziały, że to ją uspokaja.

Zrobił głęboki wdech. Najwyższy czas, żeby to powiedzieć.

– Muszę wracać do Szwecji. Chodzi o Adnana – kontynuował. Próbował zmusić swoje usta do sformułowania słów.

Ku jego zaskoczeniu mama przemówiła:

– A-Adnan... – Jej głos był słaby, cienki, niemal jak u dziecka. – Adnan jeszcze nie wrócił ze szkoły.

Atif ponownie otworzył usta. Powiedz to, miej to z głowy. Opowiedz, co się stało. Wahał się o kilka sekund za długo. Jedna z pielęgniarek zbliżała się powoli po popękany kamienistym chodniku.

– Adnan to dobry chłopak – mówiła dalej mama. – Ma głowę do czytania, może zostać, kim zechce. Inżynierem albo lekarzem. Musisz mu pomóc, dopilnować, żeby nie stał się taki jak, jak... – Zamilkła, spojrzała na niebo.

Atif ugryzł się w wargę.

Pielęgniarka stała kilka metrów dalej. Dała mu krótki, dyskretny znak.

– Czas się położyć, mamó. – Nachylił się i pocałował ją w policzek. – Zadzwonię do ciebie ze Szwecji. Jutro wpadnie do ciebie *khalti*. Ma daktyle, wiem, że je lubisz.

Mama skinęła głową. Była nieobecna, jej wzrok utknął wśród gwiazd. Atif wstał i zaczął iść. Opowie po powrocie. Niech będzie i tak.

– Masz dobrego syna, tak często cię odwiedza, Dalia – usłyszał głos pielęgniarki. – Musisz być z niego bardzo dumna.

Atif przyspieszył kroku. Próbował sobie wmówić, że nie usłyszał jej odpowiedzi, bo był za daleko.

Jesper Stenberg ruszył w stronę samochodu. Po chwili był już w środku i przez kilka sekund siedział przed kierownicą. Ręce mu się trzęsły, w lewym bucie czuł ciepłą wilgoć.

Pojebana psychoakcja. Czemu, do kurwy, nie trzymał się planu? Czemu nie powiedział, co miał powiedzieć, i po prostu nie wyszedł? Najpierw się z nią pieprzyć, a potem ją rzucić – to nie było fajne zagranie. Nie wspominając o tym idiotycznym komentarzu na temat kliniki w Szwajcarii – temat, którego za wszelką cenę powinien unikać. Jak zwykle Sophie udało się wytrącić go z równowagi. Naruszyć jego sztytę na miarę maskę pewności siebie.

Wziął kilka głębokich wdechów, próbując zebrać się w sobie. Była prawie dziesiąta. Karolina miała nie wrócić wcześniej niż o drugiej. Pozostało mu więc dużo czasu, żeby dotrzeć do domu i opatrzyć ranę, położyć się na sofie ze szklanką whisky i zrobić wszystko, żeby zapomnieć o tym epizodzie. Był w tym dość dobry. W zapominaniu, zostawianiu za sobą, dążeniu do nowych celów.

Włączył silnik i powoli ruszył. Ból w lewej nodze przeszedł w lekko pulsujący. Przed wyjazdem zatrzymał się przy parkometrze. Kartę miał w jednej z kieszonek portfela – anonimową, białą, z plastiku. Wrzucił bieg na pozycję parkingową,

otworzył okno. Funkcja eco-drive od razu wyłączyła ogromny silnik i nastąpiła cisza. Z oddali dochodził dźwięk urządzeń wentylacyjnych. Głuchy, złowrogi odgłos, który tylko pogarszał jego samopoczucie. To przyszło znikąd, po kilku sekundach ogarnęło całą jego świadomość i wywołało drżenie rąk.

Musi stąd wiać! Już, od razu!

Stenberg przyłożył portfel do czytnika. Mimo że automat odpowiedział cichym kliknięciem, rampa nie drgnęła.

*Nie można odczytać biletu.*

Zaklął pod nosem i przyłożył kartę jeszcze raz. No, dawaj, dawaj.

Wydawało mu się, że coś słyszy, jakby krzyk z oddali, więc spojrzał szybko w lusterko. Na parkingu panowała jednak cisza. Odgłos musiał dobiec z zewnątrz.

Rampa w końcu ruszyła, powoli i z dygotem. Na razie pokonała zaledwie kilkanaście centymetrów, jakby nie chciała go wypuścić.

Stenberg włączył odtwarzacz, szukał czegoś wesołego, co poprawiłoby mu nastrój. Zaczął od intro, na wyświetlaczu ruszyło odliczanie sekund.

0.01

0.02

0.03

Gdy tylko pod rampą powstała wystarczająco duża przestrzeń, żeby się precyzyjnie przemieszczać, Stenberg ruszył. Poczul ulgę. Zwolnił na chwilę tuż przed wyjazdem na ulicę. Ręce wciąż mu drżały, miał trudności z zapięciem pasów.

Nagle muzyka zamilkła. Stenberg się wzdrygnął. Czasomierz stanął, choć ikonka „play” wciąż świeciła. Dziwne. Kątem oka zobaczył, jak coś białego przelatuje i zawisa na chwilę w powietrzu, dokładnie nad maską jego samochodu.

Worek – pomyślał. Jednak przedmiot był dużo większy. Odtwarzacz wciąż milczał, czas na wyświetlaczu stał w miejscu. W jednej chwili Stenberg zrozumiał, co się stanie. Spostrzegł, gdzie samochód się znajduje i czym właściwie jest ten duży, biały, latający obiekt.

Zamknął oczy, chwycił mocno kierownicę, poczuł, jak lodowaty chłód rozchodzi się od jego żołądka w kierunku klatki piersiowej. Czasomierz nagle odzyskał życie, muzyka zaczęła grać dalej. Zagłuszył ją jedynie odgłos uderzającego prosto w maskę

samochodu ciała Sophie Thorning.



# MemoRandom

Więcej Darmowych Ebooków na:

[www.FrikShare.pl](http://www.FrikShare.pl)

## Jeden

Atif oparł się na niewygodnym krześle. Mimo śniegu i mrozu na zewnątrz powietrze w pomieszczeniu bez okien przyprawiało o mdłości. Smród spalonej kawy, ludzkich wydzielin i ogólnej beznadziei był mu dobrze znany. Na pewno można go poczuć w komisariatach na całym świecie.

Był głodny, a kark i ramiona zeszywniały mu po długiej podróży. Nie znosił latać, nie znosił powierzać swojego życia w ręce nieznanym ludzi.

– Imię? – zapytał mężczyzna na krześle z przeciwka.

– Jest tam – odparł Atif i skinął głową na czerwony paszport leżący na stole między nimi. Policjant – łysawy, krągły, mały mężczyzna po sześćdziesiątce, który przedstawił się jako Bengtsson – nie odpowiedział. Nawet nie podniósł wzroku, tylko dalej przewracał dokumenty w folderze rozłożonym na kolanie.

Atif westchnął.

– Atif Mohammed Kassab – odparł.

– Wiek?

– Mam czterdzieści sześć lat, urodziłem się dziewiętnastego czerwca. W wieczór *midsommar* <sup>1</sup>... – Właściwie nie wiedział, po co dodał ten ostatni szczegół. Ale policjant w końcu podniósł wzrok.

– Co?

– Dziewiętnastego czerwca – powtórzył Atif. Od wielu lat nie mówił po szwedzku. Słowa wydawały się dziwne, wymowa się pogorszyła, jak we wszystkich dubbingowanych filmach w telewizji w jego kraju. – Co siedem lat jest wtedy wieczór *midsommar*.

Policjant gapił się w niego przez swoje wąskie okulary do czytania. Nad stołem snuł się zapach poliestrowego potu i kawowego wyziewu. Atif westchnął ponownie.

– Dobra, panie Bengtsson. Minęła już godzina, odkąd zatrzymaliście mnie przy kontroli paszportowej. Przyleciałem z Iranu, więc podejrzewacie, że mój paszport jest fałszywy albo że jest prawdziwy, ale nie mój.

Zrobił przerwę, pomyślał o tym, jak fajnie by było zjeść teraz hamburgera. Twarz policjanta nawet nie drgnęła.

– Jestem zmęczony i głodny, więc może załatwmy to szybko – mówił dalej Atif. Ociężałość traciła na sile, słowa łatwiej przychodziły mu do głowy. – Nazywam się Atif Kassab, urodziłem się w Iraku. Ojciec zmarł wcześniej, mama zabrała mnie do Szwecji. Wyszła ponownie za mąż za krewnego. Ojczym wyjechał do USA, kiedy miałem dwanaście lat, i zostawił mnie, mamę i nowo narodzonego brata. Ale wtedy byliśmy już obywatelami Szwecji, więc nas nie wydalono.

– Tak pan mówi? – Policjant spojrział znów do teczki. – Według Państwowego Rejestru Ludności Atif Mohammed Kassab został wydalony.

– Zgadza się. Ponad siedem lat temu – odpowiedział Atif.

– I od tamtej pory mieszkał pan w...? – Bengtsson podniósł nieco brew.

– Iraku.

– Gdzie w Iraku?

Atif zmarszczył czoło.

– Jak to gdzie?

Policjant podniósł powoli rękę i ściągnął okulary.

– Bo ten Atif Mohammed Kassab, za którego pan się podaje, ma imponująco bogatą kartotekę – wyjaśnił, wskazując okularami na folder.

– I? – Atif wzruszył ramionami.

– No, jeśli pan rzeczywiście jest Atifem Mohammedem Kassabem, to w interesie policji jest bliższe przyjrzenie się panu. Sprawdzenie, gdzie pan mieszka, czym się pan zajmuje, z kim pan się spotyka.

– Mam szwedzki paszport, jestem obywatelem Szwecji. Nie muszę się panu z niczego spowiadać, gów... – Atif przerwał w środku wypowiedzi i uszczypnął się w nos. Była prawie jedenasta w nocy. Nie jadł nic konkretnego od prawie dziesięciu godzin.

– Jeśli podejrzewamy, że nie wszystko się zgadza, możemy odesłać pana z powrotem do Iraku. Najbliższy samolot odlatuje wczesnym rankiem. – Gruby, niski policjant splótł dłonie za szyją i powoli się rozciągnął. Plamy potu pod ramionami wyraźnie odznaczały się na materiale koszuli. – Albo możemy pana zamknąć w celi na kilka dni – mówił dalej. – W tym czasie sprawdzimy pana odciski palców. Ale to może trochę potrwać. – Uśmiechnął się.

Atif już miał coś odpysknąć, ale się powstrzymał. Ostatnia wypowiedź gliniarza najprawdopodobniej była blefem. Nawet jeśli ten mały grubas wciąż wąpił w autentyczność jego paszportu, doszedł już raczej do wniosku, że Atif nie jest jakimś przemytnikiem. Z drugiej strony nie uśmiechało mu się siedzieć w celi. Poza tym spieszyło mu się.

Wziął głęboki oddech. Właściwie cały ten cyrk sikania na odległość był niepotrzebny. Nie miał niczego do stracenia, mógł współpracować. Pójście w zaparte było czystym odruchem. Ale teraz sprawy wyglądały inaczej. Był starszy, mądrzejszy. Poza tym jego myśli opanował hamburger. Duży zestaw z frytkami i colą z lodem.

– Najaf – powiedział. – Miejscowość leży w zachodnim Iraku. Stamtąd pochodzi moja rodzina. Mama zachorowała i chciała wrócić do domu. Pojechałem z nią, żeby jej pomóc, i w końcu z nią zostałem. – Wzruszył ramionami i uznał, że w tym miejscu należy się zatrzymać. Policjant kiwnął lekko głową i napisał coś w dokumentach.

– A czym ktoś taki jak pan się tam zajmuje?

Atif wahał się kilka sekund, rozważał, czy skłamać. Ostatecznie się na to nie zdecydował. Ktoś taki jak pan... Wsadził rękę do kieszeni marynarki, czekając, aż policjant podniesie wzrok.

– Jestem policjantem – odparł, wyjmując na stół legitymację w skórzanym etui oraz małą, błyszczącą odznakę.

Komisarz Kenneth Bengtsson po raz pierwszy nie wiedział, co ma sądzić. Kolega od przeświadczenia paszportów wydawał się stuprocentowo pewny, kiedy oddawał mu tę sprawę. Sfałszowany dokument, dobrej roboty, prawdopodobnie prawdziwy paszport, ale z podmienionym zdjęciem. A że pierwotny właściciel okazał się kryminalistą, potwierdzało to tylko tezę. Przy odpowiednich kontaktach szwedzki paszport mógł iść za tysiące. A wszystkie szczegóły wskazywały na to, że Atif Kassab miał takich kontaktów wiele.

Jednak mężczyzna, który podawał się za Kassaba, nie był żadnym przemyconym uchodźcą z wyćwiczonymi wcześniej formułkami recytowanymi w trybie staccato. Ten facet mówił tak dobrym szwedzkim jak sam Bengtsson. Wprawdzie trochę pokracznie, jak gdyby minęło parę lat bez kontaktu z językiem, ale mimo wszystko.

Jedynе zdjęcie Atifa Kassaba, które istniało w rejestrze, miało ponad dziesięć lat, a przefaksowanie go nie przysłużyło się jego jakości. Kassab był oczywiście notowany, ale Bengtsson nie miał najmniejszej ochoty szukać próbki odcisków palców do porównania. Zawsze ciężko mu było powstrzymać się od śmiechu, kiedy widział, jak gliniarze w telewizyjnych serialach kryminalnych stukają trochę w klawiaturę i po chwili dostają na monitorze odciski palców, adresy, zdjęcia kumpli, rozmiar buta i w ogóle wszystko czego dusza zapagnie. W codzienności Bengtssona panowały wciąż tusz, papier i ręczne porównania przy użyciu lupy. Chyba że chciało się czekać do godziny otwarcia wydziału technicznego.

Dlatego wolał liczyć sam na siebie przy identyfikowaniu osób. Dane w systemie rzadko były tak szczegółowe jak w tym przypadku. Miał ich wydruk w teczce przed sobą. Dotychczas odznaczył trzy punkty.

*Wiek: 46*

*Wzrost: 195 centymetrów*

*Kolor oczu: brązowy*

Przy punktach dotyczących budowy ciała i koloru włosów postawił małe znaki zapytania. Mężczyzna z wyblakłego zdjęcia arogancko patrzący w obiektyw aparatu miał długie, ciemne włosy zaczesane do tyłu i niewielką kocią brodkę, która nie zdołała ukryć sporego podwójnego podbródka. Wyglądał tak, jak opisano go w kartotece, włącznie ze złotym łańcuchem na szyi.

Mężczyzna naprzeciwko Bengtssona miał zaś fryzurę na żołnierza, a jego krótkie na milimetr włosy szpakowaciały. Broda na policzkach była z kolei ciemna, więc po krótkim namyśle Bengtsson zmienił jeden z pytańników na fajkę.

Ponadto mężczyzna nie był gruby, w żadnej mierze. Był, owszem, wysoki. Ważył pewnie ze sto kilo. Jednak słowo „przysadzisty” do niego nie pasowało. Bengtsson dopisał na marginesie „dobrze zbudowany”, ale chwilę później tego pożałował. To sformułowanie przywodziło mu na myśl napakowanych koleśi prosto z kryminału. Atif Kassab prezentował inny rodzaj siły. Bengtsson napisał w końcu „wytrenowany”, co go zresztą rozbawiło. Mężczyzna miał okazałą posturę, bystre spojrzenie i mimo że Bengtssonowi udało się go zirytować, był wystarczająco zmyślny, by trzymać nerwy na wodzy.

Zauważył też, że jego lewe ucho było nieco zdeformowane. Brakowało kawałka chrząstki na tylnym łuku, ponadto od szczęki po tę część szyi, gdzie zarost nie dotarł, rozciągała się blizna. W opisie, który Bengtsson trzymał na kolanie, nie było żadnej wzmianki o ranach lub bliznach. Z drugiej strony nietrudno było sobie wyobrazić, jak się tam znalazły.

Bengtsson pochylił się i obrócił w ręce etui z odznaką. Spojrzał na legitymację, na której widniał wizerunek mężczyzny w mundurze.

*Sgt. Atif M. Kassab,*

*6th Army div.*

*MP. Bat. <sup>2</sup>*

Przypominała Bengtssonowi jego własną legitymację służbową, ale błyszcząca odznaka w kształcie tarczy powstała zapewne na wzór amerykańskiej. Wydawała się prawdziwa, choć oczywiście nie było co do tego całkowitej pewności.

– A więc żandarmeria... – powiedział Bengtsson, odkładając etui. Nie mógł powstrzymać uśmiechu. Czas sprawdzić, czy kobyłę wilcy zjedzą. – A jak dostał się pan do tej pracy, jeśli mogę zapytać? Z takim kontem.

– Krewny dał mi cynk. Armia potrzebowała ludzi – odparł Atif.

– Nie, nie, to rozumiem – wtrącił Bengtsson. – Zastanawiam się, dlaczego wybrał pan tę pracę. Dlaczego zmienił pan stronę. – Policjant położył teczkę na stole i pochylił się.

Atif wzruszył ramionami. Mógł powiedzieć, że to zasługa jego mamy. Że nie chciała, by płacił za pokój w szpitalu nieuczciwie zarobionymi pieniędzmi. A czy mógł wybrać coś bardziej prawego niż zawód policjanta? Poza tym lubił tę pracę, był w niej dobry. Jednak i tak wyjawiał już więcej, niż zamierzał. Ten mały, gruby gliniarz nie musiał znać jego motywów.

W pokoju zapadła cisza. Atif wypił kilka łyków wody z plastikowego kubka na stole. Bengtsson gapił się na niego jeszcze przez chwilę.

– Dobra, wierzę panu – odparł, rozkładając ręce. – Przyniesiemy pana torbę i wypuścimy pana do hali przylotów. Witamy w Szwecji.

Zrobił jakąś notatkę w teczce, zamknął dokumenty i wstał z krzesła. Atif podniósł się szybko. Myślał teraz o burgerowni między terminalami. Liczył, że są czynni nocą.

– Jeszcze tylko ostatnia rzecz – odezwał się Bengtsson.

– Tak?

– Dlaczego pan tu wrócił? Mam na myśli Szwecję. Dlaczego akurat teraz?

Atif odczekał kilka sekund. Pomyślał, że najprościej będzie skłamać. Jego dawne „ja” zrobiłoby to z miejsca. Może dlatego postanowił tego zaniechać.

– Żeby pochować młodszego brata.

– Ach tak. Przykro mi – odparł Bengtsson.

Atif ruszył w stronę drzwi, myślał, że policjant zrobi to samo. Że nie zada logicznego, standardowego pytania. Ale zdołał już dostrzec w jego oczach, że ma je na końcu języka.

– Jak zmarł? – zapytał Bengtsson. – Pana brat. Zgodnie z pana słowami miał pan dwanaście lat, kiedy on się urodził. Teraz ma pan czterdzieści sześć, więc brat nie skończył nawet trzydziestu pięciu.

Atif przystanął. Od razu pożałował, że nie posłuchał głosu instynktu i nie trzymał gęby na kłódkę. Zgiął szyję i spojrzał policjantowi w oczy.

– Adnan został zamordowany – odparł.

## Dwa

David Sarac wciąż lewituje. Czasami wydaje mu się, że jest martwy, czasami nawet jest tego pewien. Nie przeszkadza mu to. Jeśli ten stan to śmierć, mogę z nim żyć – myśli sobie. Zanim jednak zaśmieje się ze swojego mimowolnego żartu, po doznaniu nie ma śladu. Ginie w tej części jego mózgu, do której nie ma już dostępu.

Jego ciało leży w łóżku – tyle po chwili wie. Nic więcej nie udaje mu się wywnioskować. Nic poza tym, że nazywa się David Sarac, jest policjantem i miał wypadek.

Różni ludzie wchodzą i wychodzą, większość w białych fartuchach, wskazują na niego, przesuwają go. To oznacza, że nie jest martwy. Jeszcze nie. Czasami odczuwa jednak obecność innych osób, figur bez twarzy stojących w pewnej odległości. Jedni w białych koszulach i niebieskich mundurach ze złotymi galonami, inni w ciemnych garniturach. Większość poważna, nieco onieśmielona. Jak gdyby nie zrozumieli, czego się od nich oczekuje.

Pozostali są bardziej niepokojący. Ich energia go przeraża, jednocześnie coś zmusza go, żeby przyjrzeć się im bliżej. Bo właśnie od jednego z nich usłyszał imię.

– Wie pan coś więcej o Janusie...?

Janus.

Imię krąży mu po głowie, wcale go nie uspokaja. Jednak mimo usilnych starań nie potrafi niczego z nim skojarzyć.

– Trzeba ogarnąć ten pieprzony burdel – szepnęła jedna z sylwetek bez twarzy i, co ciekawe, to zdanie nie umknęło mu z pamięci. Może uwaga była skierowana do niego? Czy dlatego jego ciało nie chciało się poddać? Bo nie dokończył zadania? Bo wątki wciąż nie trzymały się kupy?

Bo pozostały sprawy, które trzeba... ogarnąć?

Atif obudził się na czyjś dotyk. Minęła chwila, zanim zorientował się, gdzie jest. Sofa w mieszkaniu Adnana. Albo dokładniej, w mieszkaniu Cassandry i Tindry, bo Adnan leżał w kostnicy.

Zasnął, gdy tylko położył głowę na poduszce, co było dla niego nietypowe. Ktoś



ponownie go dotknął, więc Atif się odwrócił.

– Co to jest? – spytała Tindra, wskazując na dużą bliznę na prawym ramieniu Atifa. Na powierzchni o szerokości dłoni skóra była pomarszczona, a sam ślad miał nieco inny kolor.

– Stary tatuaż – odpowiedział Atif.

– Taki jak ma tata? – Tindra przekrzywiła lekko swoją małą, jasnowłosą główkę i patrzyła na niego.

– Coś w tym rodzaju – odparł. – Mama jest na górze?

Tindra potrząsnęła głową.

– Już nie.

– Ale ty już wstałaś i jesteś zupełnie sama?

Ponownie potrząsnęła głową, robiąc przez chwilę poważną minę.

– My wstaliśmy, *amu* – powiedziała i wybuchła śmiechem. Użyła arabskiego słowa oznaczającego „stryja”, co spodobało się Atifowi. Odrzucił przykrycie i usiadł na sofie.

– A więc wiesz, kim jestem – stwierdził.

Tym razem przytaknęła.

– Oczywiście. Tata ma twoje zdjęcie w telefonie. I moje... Ale moich ma o wiele więcej – dodała.

– Z pewnością – odparł Atif. – Słodka z ciebie dziewczynka.

W rzeczywistości Tindra wyglądała inaczej, była znacznie żywsza niż na wydrukowanym zdjęciu, którym Atif ozdobił mały pokój mamy. Dziewczynka nosiła spraną koszulkę nocną z jakąś postacią z bajki, której nie kojarzył. Dwa małe i nierówne kucyki na głowie musiała związać sama. Masz cerę po mamie – pomyślał. Ale oczy po ojcu.

– *Amu*, możesz zrobić naleśniki? Tata zawsze robi naleśniki, kiedy jest w domu. I z dżemem, i z cukrem.

Atif wstał z sofy i pogłaskał ją po policzku. Podobało mu się, jak marszczy czoło, prosząc o coś. Adnan robił to samo, kiedy był mały.

– Pewnie, że mogę, mała. Twój tata wszystkiego, co potrafi, nauczył się ode mnie. Pożałował tych słów, gdy tylko je wypowiedział.

Tindra zjadła trzy naleśniki, zanim Cassandra pojawiła się w drzwiach kuchni.

– Dzień dobry – powiedział Atif.

– Mhm... – Nachyliła się i pocałowała Tindrę w czoło. Atif zerknął na nią. Znał Cassandrę, zanim ona i Adnan zaczęli się spotykać. Wtedy nazywała się Malin, była zwyczajną paniusią, która szlaja się po knajpach w mieście, dopóki nie zbierze odpowiedniej sumki na silikonowe piersi albo inne tego typu poprawki.

Potem zmieniła imię, pojawiła się w kilku odcinkach zapomnianych telenowel i wylądowała na zleceniach jako modelka. W skrócie: eventy dla VIP-ów, show samochodowe, imprezy i parę mniejszych rozbieranych sesji. W tamtym czasie wyglądała całkiem nieźle, jeśli się leciało na knajpiane blondyny. A Adnan tak właśnie miał. Stał przy wejściach w kilku nocnych klubach i pomagał hamować zbyt natarczywych, pijanych kolesi. Wyglądał dobrze, na brak pieniędzy nie narzekał. Poza tym był zabawny. Jeśli miał dobry humor, potrafił zabawić całe towarzystwo.

Bycie z dziewczyną, na której widok faceci tak się ślinią, pasowało Adnanowi, a kiedy urodziła się Tindra, jego świat zamienił się w raj. Ale od dni świetności Cassandry minęło dobrych parę lat i jej uroda zaczęła blaknąć. Zmarszczki od palenia papierosów w kącikach ust, blada cera, zmęczone oczy. Na lewej ręce brakowało jednego tipsa, a blond włosy wyraźnie ciemniały u nasady.

– Sorry, że nie mamy nic lepszego do zaproponowania niż sofę.

Cassandra stanęła przy kuchence tuż obok niego i wyjęła paczkę papierosów.

– Nie ma problemu. Mówiłem, że w razie czego mogę wynająć pokój w hotelu – odparł Atif.

Potrząsnęła głową, zapaliła papierosa i wypuściła dym w kierunku otworu w okapie.

– Tindra bardzo chciała poznać wujka.

– Jak ona to znosi? – zapytał Atif i kiwnął głową w stronę stołu, gdzie dziewczynka właśnie wsuwała czwartego naleśnika.

– Ma tylko sześć lat. – Cassandra wzruszyła ramionami. – Jak dużo pamiętasz z tamtego okresu?

Więcej, niżbym chciał – przyznał w duchu Atif.

– A tak swoją drogą... dostałam pracę na dziś wieczór. Mógłbyś jej popilnować

kilka godzin?

– Oczywiście – odparł Atif. – Bez problemu – dodał. – A jak w ogóle się wam wiedzie?

– Chodzi ci o pieniądze? Nooo, a jak myślisz? – Znów wzruszyła ramionami. – Czy Adnan opowiadał ci kiedykolwiek o siłowni, którą chciał założyć w Gläntan? Mówił, że wsadził w nią wszystkie oszczędności?

Atif potrząsnął powoli głową.

– Nie rozmawiałem z nim od długiego czasu.

– No, jak zwykle schrzanił sprawę – odparła. – Zaczął się niecierpliwić, kiedy budowa się przeciągała, narobił długów. Siłownia okazała się złotym cielcem, ale Adnan już dawno został wykupiony. Wiesz, jaki był. Uroczy jak cholera, towarzyski, ale cierpliwość nie należała do jego mocnych stron. – Na twarzy Cassandry pojawił się lekki grymas, jakby uśmiech. – Adnan miał mnóstwo planów, z których nic nie wyszło – mówiła dalej. – Wiecznie gdzieś zmierzał, ale nigdzie nie dochodził, rozumiesz? – Jej głos był twardy, a przynajmniej twardszy, niż być powinien. – Ale mam swoją pensję, poza tym mamy przyjaciół, którzy sprawdzają się w potrzebie, więc dajemy sobie radę.

– Aha. Dużo osób będzie jutro?

– Właśnie o tym chciałam mówić – odparła i zgasiła papierosa w filiżance wypełnionej do połowy kawą, w której pływało już kilka innych petów. – Musieliśmy przesunąć datę pogrzebu o kilka dni. Najpierw gliniarze nie chcieli wydać zwłok. Później termin kolidował z grafiką zakładu pogrzebowego i moim. Próbowałam się do ciebie dodzwonić, rozmawiałam z Faisalem, twoim szefem. Ale ty już byłeś w drodze. Możesz oczywiście zostać. Jeśli jednak musisz wracać, to w porządku. Damy sobie radę. – Wyjęła nowego papierosa, po czym podsunęła mu paczkę.

Atif potrząsnął głową.

– Rzuciłeś? – zapytała.

Nie odpowiedział. Myślał o bilecie powrotnym, o pracy, którą musiał przerwać, o swoim wysprzątanym domu, gwieździstym niebie nad swoim małym ogrodem.

Tindra nuciła piosenkę, kończąc ostatniego naleśnika. Atif spojrzał ponownie na Cassandrę. Nie podobał mu się jej ton, kiedy opowiadała o Adnaniu. Sposób, w jaki

wymawiała słowo „zwłoki”. Zastanawiał się, co to za przyjaciele jej pomagają.

– Nie ma sprawy – powiedział. – Mogę zmienić datę wylotu.

Atif zobaczył je, wracając do domu. Duże, ciemne, zaparkowane nieco dalej wzdłuż ulicy audi, które od razu wydało mu się podejrzane. Nie był długo na zewnątrz, najwyżej kilka minut. Zamknął drzwi na oba zamki, nawet nie myślał o włożeniu kurtki.

Położył Tindrę do łóżka ponad godzinę temu, pocałował ją ostrożnie w czoło i włączył jej bajkę na starym odtwarzaczu CD, gdzie zgodnie z zaleceniem wcisnął opcję „powtarzaj wszystko”. Następnie usiadł w salonie i zaczął skakać po nafaszerowanych reklamami kanałach telewizyjnych, aż przypomniał sobie, że w samochodzie, który wynajął, zostawił paczkę z książkami. Zajmie to nie więcej niż pięć minut, oszacował. Tindra spała mocno, a Cassandra miała wrócić dopiero po północy.

Chłód szczypał w policzki, zmusił go do przyspieszenia kroku. Kiedy jednak dostrzegł ciemne audi, najpierw zwolnił, aż w końcu stanął. Tego samochodu nie było tam, kiedy wychodził – tego był pewien. Nie mógł go przeoczyć.

Teoretycznie mógł to być nieoznakowany wóz policyjny, ale zarówno model, jak i za duże błyszczące felgi kazały w to wątpić. Ten samochód był zbyt drogi i za bardzo zwracał uwagę, by mógł należeć do glin. Tak czy owak, stał w idealnym miejscu do obserwacji ich klatki. Silnik milczał, ale ktoś siedział w środku, prawdopodobnie kilka osób, jeśli sądzić po zaparowanych szybach.

W zasadzie powinien mieć to gdzieś. Przebiec z powrotem wzdłuż ulicy tak, jak sobie to zaplanował, zamknąć drzwi i zająć się książkami. W bloku jest pewnie z pięćdziesiąt mieszkań, więc raczej nie on był przedmiotem zainteresowania ludzi z samochodu. Nie mógł się jednak powstrzymać i postanowił się zbliżyć o parę kroków.

Trzymał się wewnętrznej strony chodnika. Wszedł jedną nogą na ośnieżony trawnik, co pozwoliło mu ominąć światło latarni.

Kiedy znalazł się dziesięć metrów od samochodu, usłyszał dźwięk. Szum zakończony lekkim stuknięciem, kiedy jedną z szyb opuszczono o kilka centymetrów.

Nie zatrzymał się, tylko utkwiał wzrok w chodniku. Szedł dalej przed siebie. Teraz potrafił rozpoznać ruchy w samochodzie. Zarys postaci na miejscu kierowcy, następnie innej osoby przemieszczającej się między siedzeniami. Pięć metrów, cztery, trzy...

Minął samochód, zerkając ostrożnie do środka. Usłyszał jęki wydobywające się przez uchylone okno i nagle zrozumiał, że chodzi o coś zupełnie innego, niż przypuszczał. Szedł dalej w stronę klatki, ledwo powstrzymując uśmiech.

Ale wtedy zdał sobie sprawę, że kobieta w samochodzie wyglądała znajomo. Kurtka, obcisłe skórzane spodnie, długie platynowe włosy z ciemnymi odrostami.

Nagle uznał, że nie chce być taki cholernie ciekawski.

## Trzy

Sarac patrzył na ruchy warg kobiety w białym fartuchu. Wychwytywał poszczególne słowa i szybko zdał sobie sprawę, że przytakuje jej, jak gdyby rozmawiali już jakąś chwilę. Własna głowa wydawała mu się dziwna, jakby wypełniała ją jakaś gęsta substancja. Czuł mocne uderzenia serca. Strach. Kim jest ta kobieta? Gdzie on się znajduje? Odpowiedź na drugie pytanie była prosta. Szara wykładzina na podłodze, żółte tapety strukturalne, nakrapiane kasetony sufitowe z gipsu. I ten intensywny zapach szpitala, nie do ukrycia.

– Rozmawialiśmy już kilka razy. Pamięta pan? – powiedziała kobieta w fartuchu.

Głowa Saraca ponownie powędrowała w górę i w dół. Gapił się na kobietę, próbował się skoncentrować. Wysokie czoło, długie, posiwiałe włosy, ciemne oprawki okularów, mała blizna na górnej wardze. Pewnie około pięćdziesiątki. Wyglądała znajomo, ale on nie znalazł w pamięci niczego, z czym mógłby ją skojarzyć. Myśli wciąż były ociężałe, jakby twardo spał i właśnie otworzył oczy.

– Pamięta pan, jak się nazywam, panie Sarac? – zapytała kobieta.

– N-niestety nie.

Słowa zabrzmiały pokracznie, jak przeliterowane.

– Mam na imię Jill. Jill Vestman. Jestem ordynatorką oddziału neurochirurgicznego. Pamięta pan, dlaczego się tu znalazł?

– Eee... nie.

Organizm wciąż nie kontaktował, ale udało mu się przeprowadzić krótki test błędów w systemie. Bolała go klatka piersiowa. Lewa ręka zwisała bezwładnie na temblaku. W klatce piersiowej i żołądku czuł rozpieranie, jakby wszystko w środku zostało zaklejone taśmą lub zszyte. No i ten ból głowy. Monotonny, pulsujący, jakiego nigdy dotąd nie doświadczył. Rozchwiewał mu myśli.

Doktor Vestman wysunęła taboret i usiadła przy łóżku. Z kieszeni wyjęła mały notatnik.

– Ponad dwa tygodnie temu doznał pan lekkiego udaru mózgu. Wylew w lewej półkuli. Prowadził pan wtedy samochód, stracił przytomność i rozbił się w tunelu na obwodnicy Söderleden.

Sarac chciał zmienić nieco pozycję, ale ciało odmawiało mu posłuszeństwa. O czym ona, do cholery, mówi? Udar mózgu? Nie, nie. Udary dopadają dziadków. On miał tylko... Tylko? Ból głowy się nasilił, zmącił i tak już rozlazłe myśli. Lekarka najwyraźniej zauważyła jego reakcję.

– Zderzenie było silne – mówiła dalej. – Zapewne zginąłby pan, gdyby nie miał pan na sobie kamizelki kuloodpornej i nie stracił wcześniej przytomności.

– Pijani kierowcy – wyrzucił z siebie Sarac, nie wiedząc właściwie czemu.

– Co pan ma na myśli?

Musiał zrobić kilkusekundową przerwę, żeby się zastanowić. Próbował odnaleźć trasę swoich słów i myśli i dotrzeć nią od ust z powrotem do zamglonej czaszki.

– Pijani kierowcy prawie zawsze przeżywają – odparł powoli, smakując każde słowo. Jego głos wciąż brzmiał dziwnie. Jakby nie był jego.

Doktor Vestman kiwnęła głową.

– Zgadza się. Rozluźnione mięśnie nie ulegają tak poważnym uszkodzeniom, jakich doznają spięte mięśnie. Ciekawe, że pan to pamięta – odparła i zapisała coś w notesie.

– J-jak? – wymamrotał. – Znaczy się, kiedy...?

Powinien już czuć się lepiej, ale wszystko wydawało się zmierzać w złym kierunku. Nasiliły się nudności i ból głowy. Poza tym ogarnął go strach. Udar – wylew krwi do mózgu.

– Jak powiedziałam, od zdarzenia minęły ponad dwa tygodnie – powtórzyła doktor Vestman, ale przerwała, widząc, że Sarac próbuje coś powiedzieć. Ponieważ nic z siebie nie wydusił, mówiła dalej: – Przyjeliśmy pana w bardzo złym stanie. Trzymaliśmy pana w śpiączce, żeby ustabilizować pracę organizmu. Najpierw skupiliśmy się na najważniejszym: upuściliśmy krew, żeby obniżyć ciśnienie w głowie. Następnie zajęliśmy się pozostałymi ranami. Ma pan złamany lewy obojczyk i pękniętą śledzionę. Poza tym kilka potłuczonych żeber i mnóstwo siniaków. Jeśli jednak wziąć pod uwagę rozmiar kolizji, miał pan ogromne szczęście.

– Przerwała i zerknęła do swojego notatnika, żeby dać Saracowi kilka sekund na przyswojenie informacji. – W poniedziałek operowaliśmy panu głowę – kontynuowała. – Pozbyliśmy się reszty nagromadzonej krwi. Później stopniowo

zaczęliśmy przywracać pana do świadomości. Po raz pierwszy rozmawiałam z panem przedwczoraj. – Obdarzyła go uśmiechem, spokojnym, pełnym empatii, którego wyuczyła się pewnie na studiach i doskonaliła przez lata.

O czym, do cholery, ona mówi? Jest przytomny od trzech pieprzonych dni? Potrząsnął głową, tym razem mocniej, jakby chciał z siebie zrzucić ten wkurzający doktorski uśmieszek. Złość przyszła znikąd.

– Nie ma szans – syknął, ponownie próbując się podnieść i usiąść na łóżku. Mocny, piekący ból sprawił, że Sarac instynktownie chwycił się za głowę. W skroniach bębniło tętno. Prawa ręka ślizgała się dokoła, nie chciała słuchać. Podwójny opatrunek z gazy ścisnął mocno czaszkę. Włosy! Zgolili mu wszystkie włosy! Musi wyglądać idiotycznie.

– Opuchlizna na mózgu powoli zniknie – powiedziała doktor Vestman. – Przez pewien czas będzie to jednak miało wpływ na pana pamięć krótkotrwałą. Właśnie dlatego nie pamięta pan ostatnich dni. To nie jest nic niezwykłego i z pewnością można oczekiwać dalszej poprawy – dodała, po czym zamilkła i ponownie otworzyła swój notes, jakby chciała mu pozwolić wchłonąć to wszystko, co właśnie powiedziała.

Miał pytania, mnóstwo pytań. Tyle, ile dałoby się zadać. Na przykład... Kurwa jebana mać! Musi spróbować ochłoniąć i uporządkować myśli w głowie, zanim ból zdąży mu ją rozsadzić.

– Chciałam zadać kilka pytań, przede wszystkim po to, by określić, na jakim etapie leczenia się znajdujemy. Proszę się nie martwić, jeśli w tym momencie nie będzie pan mógł na nie odpowiedzieć – kontynuowała doktor Vestman.

Sarac wciąż nic z siebie nie wydukał. Postanowił kiwać głową i spróbować zwolnić tętno. W niewielkim stopniu mu się udało.

– Wie pan, jaki mamy miesiąc? Albo porę roku? – zapytała lekarka.

Mimo wysiłku nie udało mu się znaleźć odpowiednich słów. Próbował jednak odtworzyć sobie pewne obrazy. Kalendarz, datę na gazecie, wyświetlacz telefonu komórkowego. Nagle przypomniał sobie śnieg. Ciężkie, mokre płaty, które okrywały asfalt i jak dywan rozłożyły się na szybie samochodu. Od ściany spadającego śniegu odbijało się światło reflektorów. Oślepiło go, jak nóż na wskroś przeszło jego głowę.



- Z-zima – odparł.
- Świetnie. Zgadza się.

Sarac oparł głowę z powrotem o poduszkę. Nagle mu ulżyło. Przynajmniej wiadomo było, że nie stracił całkowicie rozsądku. Gdyby tylko mógł ten fakt przyjąć spokojnie, gdyby tylko ten pieprzony ból głowy odpuścił. Wszystko by się wtedy rozjaśniło.

- Wie pan, który mamy rok?
- Oczywiście – odparł. – Dwa tysiące jedenasty.

Doktor Vestman nic nie powiedziała, wpisała tylko coś w notatniku. Język jej ciała zdradził jednak lekką zmianę.

– Nie, nie, przepraszam! Dwa tysiące dwunasty. Oczywiście, że dwa tysiące dwunasty – szybko się poprawił.

Kobieta podniosła wzrok. Znow się uśmiechnęła, w ten sam irytująco empatyczny sposób co wcześniej.

- Jest grudzień dwa tysiące trzynastego roku.
- C-co?

– Mamy czwartek dwunastego grudnia dwa tysiące trzynastego roku.

– Niemożliwe. W sensie... – Sarac znow spróbował się podnieść, usiłował się odbić prawą ręką od materaca, ale omal nie stracił równowagi i opadł na poduszkę. Ból głowy zwiększył moc o jedną jednostkę, po chwili o kolejną. Sarac kilka razy zwarł powieki i powoli je otworzył. Świetlówka w suficie zamigotała.

- Może mi pan opisać swoje ostatnie wspomnienia sprzed wypadku, panie Sarac?
- Pewnie – mruknął. – Bez problemu – dodał po kilku sekundach zastanowienia.

Ale kłamał. I to wierutnie.

Sprzed wypadku... Serce nagle zagalopowało.

Udar.

Wypadek samochodowy.

Czas przed...

Grudzień 2013.

Czas przed wypadkiem...

Grudzień.

20...13!

JA PIERDOŁĘ!!!

– Proszę się nie martwić – powiedziała doktor Vestman, kładąc mu rękę na ramieniu. – Po prostu cofamy nieco taśmę. To zazwyczaj pomaga. Niech pan spróbuje powiedzieć, jak się pan nazywa.

– David Georg Sarac – odparł szybko. Panika trochę zelżała.

– A ile ma pan lat?

– Trzydzieści pięć! – odetchnął z ulgą. Metoda przynosiła efekt, kiedy pozwolono mu myśleć samodzielnie. Tak, żeby odpowiedzi formułowały się automatycznie.

– A mieszka pan?

– Na Birkastan, Rörstrandsgatan 26, trzecie piętro.

– Rodzina?

– Tata i mama nie żyją. Siostra bliźniaczka Elisabeth mieszka w Kanadzie. – Zrobił pauzę. – W Ontario.

Wbrew temu, w co prawie zaczął wierzyć, nie był żadną pieprzoną rośliną. Mózg może miał ociążały, ale nie zlasowany. Niebawem wszystko powróci do normy.

– Wielu pana kolegów z pracy było tutaj. Martwią się o pana. Czy może mi pan opowiedzieć o swojej pracy?

– Jestem policjantem – powiedział.

– Jakiego rodzaju policjantem?

– Wydział Wywiadu Kryminalnego. Jestem opiekunem informatorów...

Nagle przerwał. Zawładnęły nim inne doznania. Ich rozpoznanie zajęło mu kilka sekund. Absmak, wstyd. Rosnące poczucie zagrożenia.

Ból głowy podwoił moc. Zmusił go do zamknięcia oczu. Przez chwilę chciało mu się wymiotować. Słowa zerwały się z łańcucha, zaczęły skakać po ścianach czaszki.

Jakiego.

Rodzaju.

Policjantem.

– A czym się ktoś taki zajmuje? – pytała dalej lekarka. – Chodzi mi o opiekuna informatorów.

Jej głos w jednej chwili stał się odległy. Jak ona się nazywa? Doktor jak?

Miałeś udar, rozbiłeś samochód w tunelu i leżysz w szpitalu. Dziś jest czwartek, dwunastego grudnia, a lekarka nazywa się... nazywa się jakoś na „V”. Nagle poczuł się niesamowicie senny, ledwo utrzymywał otwarte powieki.

– W porządku. Mamy czas. I tak zrobił pan już duże postępy. Proszę odpocząć, będziemy kontynuować jutro.

Usłyszał dźwięk skrobiącego o podłogę taboretu, kiedy lekarka wstała. Poczuł, jak cały wślizguje się powoli w sen.

– Tajemnice – mruknął jeszcze, kiedy kobieta prawie dotarła do drzwi. – Gromadzę tajemnice.

## Cztery

Młody mężczyzna jęknął ostrożnie, ale zagłuszył go dźwięk dobiegający z ekranu. Z powodu szala, który młoda blondynka zawiązała mu przed chwilą na oczach, nie mógł oglądać filmu. Jeśli jednak wnioskować po jego wyrazie twarzy, mało się tym przejmował.

Natalie Aden siedząca w rzędzie niżej odwróciła się nieco i aparatem w swoim telefonie zrobiła zbliżenie na twarz mężczyzny. Upewniła się, że opaska jest wyraźnie widoczna, i odczekała, aż uchwyci grymas niepełnego zadowolenia. Ucieszona efektem wstała cicho i krótkim kiwnięciem głowy dała znać blondynce, która spojrzała na nią znad kolan mężczyzny, nie przerywając nawet swojej czynności. W drodze do wyjścia zerknęła na zegarek. Kwadrans po trzeciej po południu, pozostała jeszcze godzina i dwadzieścia minut filmu. Dużo czasu. Hötorget był pełen handlarzy i ludzi błakających się bez celu. Minęła chwila, zanim doszła do kawiarni, w której zamówiła latte i usiadła przy jednym ze stolików obok okna. Wyjęła z plecaka laptopa, podłączyła do niego komórkę i przekopiowała zdjęcia zrobione w kinie. Wiadomość miała już gotową, więc załączenie zdjęć i wysłanie wszystkiego zajęło mniej niż pół minuty.

Godzina i osiem minut do końca filmu i mniej więcej... teraz wiadomość powinna dotrzeć do odbiorcy. Dostępność na czacie oznaczona na zielono, więc panna siedzi przed komputerem w swojej udawanej pracy. Przerwa lunchowa z koleżankami skończyła się ponad godzinę temu, w głowie zaczęło już lekko szumieć po winie, ale wciąż jest za wcześnie, by się zwinąć do domu. Nieważne, czy chodziło o pieniądze, czy nie, Natalie nie potrafiła zrozumieć, jak można prowadzić tak ściemnione życie.

Otworzyła nową kartę w przeglądarce i zalogowała się na konto Western Union. W okienku salda widniało zero, ale za chwilę miało się to zmienić. Wyciągnęła rękę po latte i odchyliła się do tyłu. Zastanawiała się nad zamówieniem czegoś na ząb, choć wiedziała, że nie powinna. Przekroczyła już swoją tygodniową rację. Może czas na przetestowanie diety 5:2?

Komórka zadrżała. Na wyświetlaczu ukazał się numer, którego nie znała. Włożyła słuchawkę do ucha.

– Halo? – zapytała.

– Cześć, Natalie!

W głosie mężczyzny w słuchawce dało się słyszeć rozweselenie, jakby właśnie powiedział coś zabawnego. Instrukcja pracy dla telesprzedawcy, strona numer 1, rozdział „Kontakt z klientem”. Już miała się rozłączyć.

– Jak na niego trafiłyście? Przez Facebooka, Instagram? Czy jakieś forum społecznościowe dla młodych i bogatych? – zapytał mężczyzna.

– Co? – Natalie znieruchomiała.

– Hans Wilhelm Sverre Wettergren-Dufwa, dla rodziny i przyjaciół Wippe.

Jej mózg zawiesił się na kilka sekund, następnie tętno zaczęło przyspieszać.

– Włosy zaczesane na bok, kurtka Canada Goose, szalik Burberry, ostatnia klasa liceum – kontynuował mężczyzna w słuchawce. – Zameldowany na Karlaplan, gdzie mieści się mała rodzinna noclegownia. Tatuś rozporządza kilkuset milionami. Właśnie teraz mały Wippe trzyma kutasa w ustach twojej kumpeli Elity Brogren w kinie Filmstaden.

Natalie wstała i złożyła laptopa. Musi ostrzec Elitę, powiedzieć, żeby się stamtąd zmywała.

– Ile chciałyście wyciągnąć od mamusi Wippego? – zapytał mężczyzna. – Dwieście, dwieście pięćdziesiąt tysięcy? A może podniosłaś cenę?

Natalie zgarnęła kurtkę i zamierzała się rozłączyć.

– Siadaj, Natalie! – Głos w słuchawce w jednej chwili stał się ostry.

Zamarła w bezruchu, po czym rozejrzała się dokoła. Mężczyzna ją obserwował, był w pobliżu. Może nawet w kawiarni. Gliniarz, prywatny detektyw czy po prostu żadna zemsty ofiara? Kimkolwiek ten facet był, lubił gierki. Serce rozsadzało jej pierś. Spojrzała w stronę wyjścia.

– Bądź tak miła, Natalie, i usiądź – powiedział mężczyzna, tym razem nieco łagodniej. – Gdybym chciał cię skrzywdzić, raczej nie dzwoniłbym do ciebie z ostrzeżeniem. Jedyne, co ci pozostaje, to słuchać.

Natalie się wahała. Niby rozsądnie byłoby się stamtąd zmyć. Ale w głosie mężczyzny wyczuła coś, co uzmysłowiło jej, że nie uciekłyby zbyt daleko. Odsunęła więc krzesło i usiadła.

– Świetnie – kontynuował mężczyzna. – Fakt jest taki, że nam zaimponowałaś, Natalie. Cały ten pomysł jest rewelacyjny. Wyszukujesz dzieciaki bogaczy w mediach społecznościowych. Używasz przy tym fałszywego profilu, by przeniknąć do ich sieci znajomych. Masz później w czym wybierać. Możesz wygoogłować rodziców, pogadać z twoim małym wielbicielem ze skarbówki, żeby ci znalazł odpowiednią ofiarę.

Ton rozbawienia w głosie mężczyzny powrócił. Natalie rozejrzała się ostrożnie dokoła, próbując go zlokalizować. O co w tej całej gierce chodzi?

– Bogaty, ale nieobecny ojciec, nadopiekuńcza matka z zapasem wolnego czasu. Najlepiej, żeby gówniarz był jedynakiem albo najmłodszym i dość późno urodzonym synkiem. Takim oczkiem w głowie mamusi, prawda?

Natalie nie odpowiedziała, tylko wcisnęła słuchawkę mocniej do ucha, przyglądając się pozostałym gościom w kawiarni. Na końcu sali jakiś mężczyzna rozmawiał przez komórkę.

– Starannie wybierasz – mówił dalej jej rozmówca. – Omijasz celebrytów i polityków, członków rodziny Wallenbergów, spadkobierców H&M albo innych równie bogatych i wpływowych. Wolisz celować w tych, którzy znajdują się tuż pod nimi. Kiedy już wybierzesz ofiarę, zlecasz zadanie seksownej Elicie. Burza hormonów, chłopak opuszcza szkołę, żeby się wymknąć po południu do kina. Po krótkiej grze wstępnej Elita daje sygnał, że chce więcej. Zakłada mu opaskę na oczy, a szczyłowi calviny kleiny omal nie pękają w szwach, więc nawet nie protestuje. Podczas gdy z opaską na oczach młody robi miny, ty pstrykasz mu kilka zdjęć.

Natalie odwróciła się nieco, ale mężczyzna, którego obserwowała, odłożył słuchawkę.

– W chwili gdy gówniarzowi spełnia się mokry sen w kinie, ty wysyłasz wiadomość do jego matki. Informujesz, że jej skarbek został porwany, załączasz niewyraźne zdjęcie z paniczem w opasce i mówisz, że została jej godzina. Rzucasz tekst w stylu: „Płacisz albo młody skończy źle. Nie dzwoń na policję, obserwujemy każdy twój ruch” lub tym podobne bzdety typowe dla porywaczy, których kobitka nasłuchiwała się, oglądając kryminały.

Mężczyzna nie krył rozbawienia, ale Natalie wcale nie było do śmiechu. Gdzie on

jest, kim jest i skąd, do cholery, tyle wie? Znow zerknęła w stronę wyjścia, zastanawiała się, co by się stało, gdyby wyszła. Facet wydawał się wiedzieć o niej wszystko. Dzięki ucieczce mogłaby wprawdzie zyskać na czasie, ale w jakim celu?

– Mamusia od razu dzwoni do swojego skarbenka – mówił dalej mężczyzna. – On oczywiście nie odpowiada, bo Elita zadbała o to, by wyłączył komórkę. Wtedy mamusia kontaktuje się ze szkołą i dowiaduje się, że synka tam nie ma. Powoli wpada w panikę, wystukuje numer do ojca, ale ten jest w podróży i należy zapewne do tych, którzy nie podnoszą od razu słuchawki, kiedy żona dzwoni. Czas biegnie, deadline się zbliża, panika rośnie. – Mężczyzna zrobił przerwę, a Natalie wstrzymała na chwilę oddech. – W pewnym momencie matka dochodzi do wniosku, że suma, której zażądałaś, nie jest znowu taka wielka. Że może w jednej chwili wykupić się z tej nieprzyjemnej sytuacji. Ten rodzaj ludzi, w których celujesz, jest w końcu przyzwyczajony do rozwiązywania problemów za pomocą portfela. I czymże jest paręset tysięcy ściągniętych z karty American Express w porównaniu ze zdrowiem małego księcia? Tak więc w ciągu godziny mamusia przelewa sumę na podany przez ciebie numer anonimowego konta Western Union. Przez jakiś czas ze zdenerwowania obgryza paznokcie, aż seans w kinie się kończy i skarbek odpowiada w końcu na jej liczne nieodebrane połączenia. Kobieta doznaje ulgi. Po chwili emocje opadają i mama dochodzi do wniosku, że tak naprawdę zafundowała synkowi cholernie drogą laskę. – Mężczyzna wybuchnął śmiechem. – Nikt nie chce ujawniać tej wstydlivej sprawy, więc kiedy tatuś i adwokat rodziny się spotykają, dochodzą do wniosku, że najlepiej po prostu zapomnieć o tym nieszczęśliwym incydencie. Żadnych zgłoszeń na policję, żadnych oficjalnych działań, nic.

W słuchawce nastąpiła cisza.

– Czego chcesz? – Głos Natalie nie brzmiał tak pewnie, jak jej się wydawało.

– Otwórz laptopa – powiedział mężczyzna.

– Zapomnij!

– Zrób po prostu, co mówię, Natalie.

Najpierw odczekała chwilę, jakby stawiając opór, aż w końcu posłuchała.

– I co teraz? – zapytała.

– Sprawdź skrzynkę!

Ikonka wskazywała na pojawienie się nowej wiadomości. Ta nie zawierała jednak żadnego tekstu, tylko link do strony.

– Kliknij w link – powiedział mężczyzna.

Zrobiła, co kazał. Strona się załadowała. Smutne, szare tło wypełnione czarnym tekstem, czcionką w stylu lat siedemdziesiątych. Po chwili wiedziała, na co patrzy.

## WYCIĄG Z REJESTRU

### POLICYJNY REJESTR ŚLEDZTW I DOCHODZEŃ

*Imię: Natalie Aden*

*PESEL: 19850531-2335*

*Kolor oczu: brązowe*

*Kolor włosów: czerwone*

*Wzrost: 163 cm*

*Sylwetka: umięśniona*

*Znaki szczególne: tatuaż na lewej łydce – motyl*

*2010-09-19 – drobne przestępstwa narkotykowe (mandaty)*

*2011-02-02 – kradzież, drobne przestępstwa narkotykowe (kara w zawieszeniu)*

*2012-10-12 – oszustwo (sprawa umorzona)*

*2013-07-14 – oszustwo (sprawa umorzona)*

– Nie za ciekawie, co, Natalie? Byłaś na dobrej drodze, by zostać lekarzem, aż tu nagle znalazłaś się w samochodzie ze złym towarzystwem i niedogaszonym skretem w kieszeni. Może byś się z tego wykaraskała, ale byłaś na tyle głupia, żeby kraść leki z magazynu w szpitalu, w którym odrabiałaś staż, i zaprzepaściłaś szanse. Mała Natalie ze świetnymi ocenami na świadectwach miała zostać lekarzem jak jej tata. Ale w przeciwieństwie do niego miała podejść do szwedzkiego egzaminu, unikając tym samym mycia podłóg. Z dwiema notkami w rejestrze stało się to jednak niemożliwe. Uciekasz się więc do oszustw takich jak te. Od czasu do czasu wysyłasz pieniądze na konto mamy, próbując uspokoić sumienie. Wydaje mi się, że od dawna nie rozmawiałaś z tatusiem. Musiałaś go mocno rozczarować.

Otwiera usta, krzyczy, żeby się zamknął, wziął ten swój rejestr i wsadził go sobie w dupę. Następnie kończy rozmowę i wybiega z kawiarni. Tak powinna zrobić.



Siedziała jednak sparaliżowana, nie pisnąwszy ani słowa, kiedy mężczyzna mówił dalej.

– Chłopak bierze wszystko na siebie. Muszę przyznać, że to miłe z jego strony. Zrobił tak, że dostałaś tylko zawiasy. – Głos mężczyzny zamienił się w szept. – Ale oboje wiemy, że pigułki nie były dla niego. Ciężko dźwigać oczekiwania wszystkich na swoich barkach. Taty i mamy, krewnych i własne. Ciężko zwolnić. Znaleźć spokój i ciszę w głowie, prawda, Natalie?

Natalie przełknęła ślinę przez ściśnięte gardło.

– Czego ode mnie właściwie chcesz? – mruknęła.

– Chcę ci dać zatrudnienie. Zlecenie, do którego twoje wykształcenie, inteligencja i specjalne... zdolności pasują idealnie.

– Co będę z tego miała?

– Co powiesz na czystą kartotekę? Kolejną szansę, żeby zacząć od nowa?

Natalie zaczęła się zastanawiać. Policja, mężczyzna jest prawdopodobnie z policji. Bo skąd znałby tyle szczegółów na jej temat?

– A jeśli odmówię? Zamkniesz mnie? – zapytała.

Mężczyzna zaśmiał się niskim głosem. Pod kawiarnię podjechał duży, czarny samochód z przyciemnianymi szybami. Zatrzymał się tuż przy oknie, przy którym stała Natalie. Jedne z tylnych drzwi otworzyły się, ale nikt nie wyszedł.

– Wskakuj, to omówimy szczegóły – powiedział mężczyzna. – Myślę, że możemy znaleźć rozwiązanie korzystne dla nas obojga. A tak przy okazji, możesz mi mówić Rickard.

## Pięć

– Pozostawiamy Adnana Kassaba w wiecznym spoczynku.

Mistrz ceremonii pogrzebowej ukląkł i włożył ostrożnie urnę do małego, wyściełanego materiałem dołu. Korzenie wystawały tu i tam niczym wąskie, owłosione palce przebijające się przez ziemię ku słabemu zimowemu światłu.

Musieli użyć koparki, żeby się przebić przez zmarzlinę, pomyślał Atif. Na pewno wystarczyło tylko raz wbić łyżkę w ziemię. Tak prosta ceremonia mu nie przeszkadzała. Adnan nie był specjalnie religijny, więc wezwanie pastora czy imama byłoby przesadą. Lepsze takie rozwiązanie. Kremacja, krótka ceremonia i urna do ziemi. Zerknął na Cassandrę stojącą obok. Zdecydowała, że nie zabierze Tindry na pogrzeb. Jej zdaniem była na to za mała. Sześciolatki nie powinno się konfrontować ze śmiercią, jeszcze nie. Niewiele miał do powiedzenia w tej sprawie. Jedyne, co mu się nie podobało, to ten duży wieniec po drugiej stronie grobu. Przesadny, z pewnością najdroższy, jaki można było zamówić, który sprawił, że reszta wyglądała przy nim marnie.

*Never forgive, never forget*<sup>3</sup> – widniał na wstędze napis pełen złotych zawijasów. Mężczyzna, który przyniósł wieniec, stał zapewne w skupisku tuż za Atifem. Wśród przynajmniej kilkudziesięciu osób, niemal samych mężczyzn. Większość w okularach słonecznych na oczach, mimo że promienie słońca ledwie się przebijały przez sosny. Wielu ukloniło się Atifowi i Cassandrze, kiedy ci spieszyli do kaplicy. Kilka twarzy wyglądało znajomo, reszta nie wywoływała żadnych skojarzeń. W świetle Adnana przyjaźń była produktem o krótkim terminie ważności.

Za chwilę jednak będzie musiał ich przywitać. Uścisnąć im dłonie, przyjmując kondolencje. Zastanawiał się, czy któryś z nich ma duże audi z błyszczącymi felgami. Choć właściwie nie była to jego sprawa. Cassandra nie była typem lubiącym samotność, potrzebowała sponsora. Kogoś, kto się nią opiekuje. Nią i Tindrą. Myśl o dziewczynce poprawiła mu nastrój, ale na krótko, tylko dopóki nie spojrzał ponownie do dołu z urną.

Był ostatnią osobą, która miała prawo osądzać Cassandrę. Gdyby nie on, Adnan miałby może szansę. Niekoniecznie musiałyby z niego zostać kilogram prochów, nim

skończył trzydzieści pięć lat.

Pieniądze, szacunek, uznanie – o to chodziło. Adnan poszedł w jego ślady, dokładnie tak, jak robił, kiedy był mały. Kroczył wydeptaną ścieżką, nie zastanawiając się, dokąd go zawiedzie. Nie dostrzegając, że tak naprawdę krążył i prędzej czy później wracał do punktu wyjścia. Atif chciał mu to uświadomić, a przynajmniej tak sobie później wmawiał. Próbował mu dać do zrozumienia, że jedynym sposobem, by dojść do czegoś w życiu, jest odważyć się wyjść na nieznaną teren. Wyszło jednak na to, że nie był zbyt przekonujący.

Po jego przeprowadzce do Iraku rozmawiali ze sobą kilka razy na rok. W święta i urodziny, nie częściej. Głównie o Tindrze albo mamie, nigdy o pracy – czy to Adnana, czy jego. Atif domyślał się, że Adnan wie, że brat zmienił stronę. Może mama, zanim zachorowała, powiedziała mu, jak się sprawy miały. Z Adnanem łączyła ich silna więź. Był najmłodszym synkiem mamusi.

Przez pierwsze lata luźno rozmawiali o przyjeździe Adnana do Iraku. O stworzeniu czegoś razem, założeniu firmy ochroniarskiej albo czegoś w tym rodzaju. Kiedy stan zdrowia mamy się pogorszył, Atif nawet zarezerwował dla niego bilet lotniczy. Jednak na tydzień przed odlotem Adnana złapano podczas napadu na transport przedmiotów wartościowych i posadzono na parę miesięcy. Po tym zdarzeniu temat przyjazdu nie powrócił. Zresztą to była tylko czcza gadanina, pomyślał Atif. Adnan nigdy nie opuściłby Tindry. Atif też by tego nie zrobił, gdyby była jego córką.

Rozejrzał się dokoła i ruszył wzdłuż rzędów pokrytych śniegiem nagrobków. Nie znosił szwedzkich cmentarzy. Nie znosił woni bukszpanu, której nawet warstwa śniegu nie potrafiła stłumić. Pojutrze stąd wyjedzie, wróci do ciepła, do swojego domu i ogrodu. Zostawi to wszystko za sobą na dobre.

Powiew wiatru wczepił się w ciemne sosny, wydając dźwięk, który zagłuszył ostatnie słowa mistrza ceremonii. Stojąca obok Atifa Cassandra zatrzęsa się i mocniej owinęła płaszczem.

Śpij dobrze, braciszku, pomyślał Atif.

– Jak się czujesz, David?

Sarac wzruszył ramionami.

– Posiniaczony, obolały, nieco zdezorientowany. Poza tym w porządku.

W jednej dłoni ścisnął kartkę, chowając ją pod kołdrą przed wzrokiem łysawego mężczyzny siedzącego na taborecie.

– Czy doktor wspominała coś o lukach w pamięci?

Sarac spróbował się uśmiechnąć, po czym zerknął na tekst na kartce, który napisała mu pielęgniarka.

*Miał pan lekki wylew.*

*23 listopada 2013 roku uległ pan wypadkowi samochodowemu w tunelu na trasie Söderleden.*

*Pana lekarz nazywa się Jill Vestman.*

*Luki w pamięci...*

– Trwają krótko – odparł szybko. – Będzie lepiej, kiedy opuchlizna nieco zmaleje.

Sarac nie miał w każdym razie kłopotów z zapamiętaniem Kjella Bergha. Rozpoznał swojego łysawego szefa o ciężącej do przodu figurze, kiedy tylko ten pojawił się w drzwiach. Bergh był typem, który mimo że nie nosił munduru, kojarzył się jednoznacznie z zawodem policjanta. To coś tkwiło w jego postawie i zmęczonym, ale uważnym spojrzeniu. Prawie czterdzieści lat w służbie odcisnęło swoje ślady.

– No, to jak dużo pamiętasz? – Bergh przesunął nieco wazon z kwiatami, który dopiero postawił na stoliku przy łóżku. W jego głosie dało się słyszeć napięcie.

– Wypadek i dni przed nim jak przez mgłę – odparł Sarac. – Tygodnie przed też. Ale to wszystko...

– Tak, potrwa krótko – skinął głową jego szef. – To już mówiłeś. – Bergh wzruszył ramionami i przeniósł swoje cienkie okulary na czoło. – Uderzyłeś prosto w betonową blokadę w tunelu na Söderleden. Przy wyjeździe na Skanstull. Czołowo, według drogowych nie było żadnych śladów hamowania. Grupa Molnara znalazła się na miejscu chwilę po wypadku i ugasiła pożar. Słyszałem, że któryś z naszych płakał, tak cholernie źle to wyglądało.

Sarac kiwnął głową i przełknął ślinę.

Bergh pochylił się bliżej łóżka. Sarac zauważył ciemne ślady pod jego oczami.

– Musieliśmy otworzyć szafkę – powiedział Bergh cicho. – To standardowe

działanie, kiedy agent... To znaczy, nie wiedzieliśmy, czy z tego wyjdiesz.

Sarac skinął głową, próbując sobie przypomnieć, dlaczego nie chciał powiedzieć szefowi prawdy o lukach w pamięci. Nieprzyjemne uczucie powróciło. W reakcji mocniej ścisnął kartkę, którą trzymał.

– Był z nami Kollander. Szef kryminalnego z wojewódzkiej i ja użyliśmy swoich kodów zgodnie z protokołem – kontynuował Bergh, krzywiąc twarz. Serce Saraca zaczęło bić mocniej. – Twoja teczka była pusta, David. – Berg mówił nisko, niemal szeptał. – Żadnej listy zapasowej, żadnych danych, nic.

Sarac potrząsnął powoli głową. Czuł, jak ból przeczołguje mu się przez skronie. Nagle dobiegły go głosy z korytarza. Bergh zerknął przez ramię. Następnie zbliżył się do Saraca tak, że ten poczuł z jego ust zapach sosu czosnkowego.

– Udało mi się namówić Kollandera, żeby poczekał ze zgłoszeniem. Przynajmniej do dnia, w którym z tobą porozmawiamy. Nikt z nas nie chce, żeby Dreyer i wewnątrzni wałęsali się po wydziale. – Bergh oblizał wargi. – Kollander cholernie się boi. Mówi, że możemy mieć kreta. Kogoś, kto sprzedaje informacje. Dotarcie tej nowiny do komendanta to tylko kwestia czasu, a wtedy wiesz, co może się stać.

Sarac ponownie przełknął ślinę, spróbował też zwilżyć wargi. Ale język jakby mu się przykleił do podniebienia.

– Czterdzieści lat w służbie. Zostały tylko trzy do emerytury. To i tak nie gra żadnej roli przed operacją „Czysty próg”. Przypomnij sobie, co zrobili z Hrabią. Komendant wojewódzka chce zostać komendant główną policji, więc nic nie może splamić jej białej bluzki. Nic! – Bergh poczerwieniał na twarzy, jego zmęczony wzrok wydawał się niespokojny. Jakby przestraszony.

– To znaczy, ja... – Sarac próbował coś powiedzieć, ale zachrypł. Chrząknął raz, potem jeszcze kilka razy. Nagle poczuł skurcz w prawej dłoni. Otworzył ją ostrożnie i zerknął na zmięty kawałek kartki.

– Zaufałem ci, David – powiedział Bergh. – Nie zadawałem pytań, pozwoliłem ci działać po swojemu – dodał, a z ust wyskoczyła mu kropla śliny i wylądowała przed Sarakiem. – Wcześniej efekty były wspaniałe, ale teraz musisz mi powiedzieć, co się stało. Brakująca lista, twój wypadek. Ktoś cię śledzi, David. Ktoś chce dotrzeć do twojego informatora.

Sarac znów z trudem przełknął ślinę, na darmo próbując zwilżyć usta.

– Pamiętasz, przy jakiej sprawie pracowaliście? – syknął Bergh. – Chodziło o broń, narkotyki? Jakie instrukcje dałeś informatorowi? W jakich przestępców celował? Musisz, do cholery, coś pamiętać!

Ponownie dotarły do nich głosy z korytarza, tym razem znacznie wyraźniejsze. Bergh odwrócił się w stronę drzwi.

Kartka w dłoni Saraca powoli się rozłożyła, odsłaniając część tekstu. Jednak to, co zdołał dostrzec, nie przypominało równego stylu pisma pielęgniarki. Na drugiej stronie widniał inny napis. Złożony z krzaczastych wersalików, jak gdyby pisany z ogromnym wysiłkiem.

**WSZYSCY KŁAMIAJĄ. NIE UFAJ NIKOMU.**

Bergh odwrócił się z powrotem do Saraca, który szybko zamknął dłoń pod kołdrą. Teraz można było zidentyfikować głosy z korytarza. Jeden z nich należał do doktor Vestman.

– Musisz go nam przekazać, David – syknął mu Bergh do ucha. – Mogę go ochronić, ciebie i cały wydział. Ale musisz mi oddać Janusa!

## Sześć

Zapach perfum unosił się ciężko w powietrzu w kaplicznej nawie wejściowej. Razem prawie pięćdziesiąt osób, policzył Atif. Znacznie więcej, niż mu się wydawało. Stosunek liczby mężczyzn do liczby kobiet wynosił siedem do trzech. Prawie wszyscy młodszy od niego, niektórzy nie skończyli nawet dwudziestu pięciu lat. Ponad połowa facetów charakteryzowała się napakowanymi ciałami i kołyszącym chodem. Poza tym była dość dobrze ubrana i ostrzyżona. Tylko paru w dresach i równie wielu w dzinsach i bluzach, spod których wystawały podkoszulki z symbolami gangu. Jednak większość, dokładnie jak on, miała na sobie drogie garnitury z Dressmana. Diamentowe kolczyki, złote łańcuszki na szyi i ręce, w skrócie: gangsterski standard. Atif nie znał żadnego z nich, choć dobrze wiedział, kim są. Albo raczej kim próbują być.

Też taki byłem? Byłeś taki, Adnan? Zbędne pytanie...

Wszyscy podali mu dłoń, wbili w niego wzrok i porządnie objęli rękami. Pokazali, że się nie odwracają, że nigdy nie tchórzą. Mimo to przynajmniej połowie kleiły się od potu ręce i żadna woda po goleniu nie ukryła woni strachu. Pierwszy z nich wszystkich popełnił błąd, siląc się na coś w rodzaju gangsterskiego uścisku braterstwa. Atif był na to przygotowany – rozluźnił ramiona i zatrzymał mężczyznę w połowie drogi. Następnie posłał mu krótkie spojrzenie, które zostało poprawnie odczytane. Reszta, łącznie z kobietami, też zrozumiała sygnał.

Z Cassandrą było inaczej – obściskiwala się z wszystkimi długo i mocno. Pozwalała się całować w policzki i odgrywając wdowę w żałobie, wydawała się czerpać przyjemność z bycia w centrum zainteresowania.

Zamienił kilka słów z jej rodzicami oraz z niektórymi starszymi gośćmi. Oczywiście wszyscy wypowiadali się dobrze o Adnane. Jakim to miłym i opiekuńczym był człowiekiem, jak bardzo kochał swoją rodzinę. Atif słuchał, wiedząc, że nie są to zwykłe klisze pogrzebowe. Adnan dawał się szybko lubić, zawsze tak było. Otwarty, radosny, zabawny, lojalny. Przymiotniki można by mnożyć w nieskończoność.

Atif podszedł do automatu z kawą w rogu holu wejściowego, wrzucił dziesięć

koron i czekał, aż maszyna ruszy. Starał się zmienić tok myśli. Niebawem będzie w samolocie.

Z szumem wyskoczył plastikowy kubek, po czym automat wypuścił z siebie cienki, brązowy strumyk. Nalewanie trwało długo, jakby urządzenie resztką sił wyciskało z siebie trochę płynu.

– Atif, mój przyjacielu!

Z kubkiem w dłoni Atif się odwrócił. Zidentyfikował ten szorstki, chrapliwy głos, zanim zobaczył twarz. Nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Abu Hamsa!

Pochylił się, pozwalając niskiemu, grubemu mężczyźnie pocałować się w policzki. Abu Hamsa był starym przyjacielem. Mama Atifa pracowała kiedyś w jednej z jego knajp. Atif, a później Adnan, czasami tam zaglądali po szkole. Załatwiali jakieś małe sprawy za lody albo oranżadę. Hamsa należał do starej gwardii. Był właścicielem kilku knajp w dzielnicy, kilku kantorów, ponadto udzielał pożyczek. Żadnych szampańskich orgii, luksusowych willi czy innych przesadnych symboli sukcesu. Nic, czym policja albo ktokolwiek inny mógłby się zainteresować.

– Zazdrość, chłopcy... – mawiał swoim ochrypłym i jednocześnie wysokim głosem. – Zazdrość jest życiowym niebezpieczeństwem. Jeśli będziecie się za bardzo obnosić ze swoim sukcesem, ludzie spróbują go wam odebrać.

Hamsa cieszył się z tego, co miał, korzystał ze spokoju i równowagi. Dlatego był też często zatrudnianym mediatorem, kimś, komu wszyscy ufali. Zbliżał się pewnie do siedemdziesiątki, chociaż nie miał jednego siwego włosa. Prawdopodobnie farbował sobie i włosy, i krótkie wąsy. Trawnik na czasce był podejrzanie gęsty. Abu Hamsa zawsze był trochę próżny.

– Przyjmij moje kondolencje, przyjacielu – zaczął po arabsku. – Twój brat był dobrym młodym człowiekiem. Zasłużył na o wiele lepszy los.

– Dziękuję, Abu Hamsa – odparł Atif i podmuchał wrzącą kawę.

– Jak długo zostajesz, przyjacielu?

– Wracam pojutrze.

– Aha. A więc nie szukasz pracy? – Abu Hamsa uśmiechnął się.

Atif potrząsnął głową, na co uśmiech małego mężczyzny stał się jakby jeszcze



szerszy.

– Mądra decyzja. Sprawy nie mają się tak jak kiedyś. Konsultanci przejmują i naszą branżę. Wszystko opiera się na umowach, nie ma już miejsca na honor, żadnej lojalności. Najwyższy czas się wycofać. Niech wszystko przejmą młode talenty, *Inshallah* <sup>4</sup>.

Abu Hamsa zrobił gest w stronę dachu. Atif nie mógł się powstrzymać przed zerknięciem na młodych mężczyzn, którzy wciąż gromadzili się wokół Cassandry. Kilku z nich się na niego gapiło. Nie podobały mu się te spojrzenia. Wziął łyk kawy, nie odrywając od nich wzroku.

– Nie możesz ich za to winić – powiedział Abu Hamsa, jakby czytał mu w myślach.

– W sensie?

– Wciąż ciągnie się za tobą pewna... opinia, przyjacielu. Mówiono trochę, kiedy się wyłamałeś. Ludzie nie byli zadowoleni, niektórzy uważali nawet, że zdradziłeś.

– Jak powiedziałem, wracam na początku tygodnia – odparł Atif, ciągle patrząc na młodych mężczyzn. – Nie interesuje mnie, co jakaś banda gówniarzy... – Przerwał, zorientowawszy się, że ton jego głosu stał się ostrzejszy. – Wybacz mi, nie chciałem zabrzmieć nieprzyjemnie – wyjaśnił, przerzucając wzrok na Abu Hamse.

– Nie ma sprawy, przyjacielu. Rozumiem. To niełatwa sytuacja. Twój brat, jego dziewczynka. Jak ma na imię? Starzeję się. A byłem przecież na jej chrzcie i tak dalej.

– Tindra – odparł Atif, spostrzegając, że głos mu nieco zmiękł.

– Mała Tindra, tak. Stracić ojca w tak młodym wieku i w taki sposób... – Głos Abu Hamsy sprawił, że Atif zmarszczył czoło, co najwyraźniej zostało zauważone. – Chodzi mi o to, że... zakładam, że wiesz, jak do tego doszło?

Atif skinął głową.

– Cassandra mi opowiedziała.

– Znasz szczegóły?

– Chłopaki miały pecha – odparł Atif. – Nieoznakowany samochód policyjny wypatrzył ich, kiedy wracali z załadunku. Jeden z chłopaków prawdopodobnie nie zdążył ściągnąć kominiarki, więc gliniarze ruszyli za nimi i wezwali posiłki. Oddziały wkroczyły dokładnie w momencie, kiedy zmienili samochód, i wywiązała się

strzelanina. Adnan i Juha zostali zabici, Tommy jest roślinką.

– Niestety zgadza się – potwierdził Abu Hamsa. – Chciałem się upewnić, że znasz szczegóły. Czasami opowieści nabywają nowego życia, ludzie tyle gadają. Wiesz, jak jest – wyjaśnił i rozłożył ręce. – Nie musisz się jednak martwić o rodzinę Adnana – dodał i kiwnął głową w kierunku Cassandry. – Wielu ich wspiera, wielu jest wściekłych na policję. Może słyszałeś, że biorących udział w akcji funkcjonariuszy uwolniono od podejrzeń o nadużycie siły, że wszystko to uznano za konieczność, bo Adnan strzelił pierwszy? Potem przez jakiś czas było niespokojnie. Płonęły samochody, rzucono kamieniami i tym podobne.

Atif powoli pokiwał głową i łyknął kawy z kubka.

– Mam Tindrę i jej mamę na oku. W imię starej przyjaźni – podkreślił Abu Hamsa, patrząc uważnie na Atifa, jakby oczekiwał określonej reakcji.

– Dziękuję, Abu Hamsa. Wiem, że Adnan bardzo by to docenił – odparł Atif.

Abu Hamsa wciąż go obserwował, po chwili obdarzył go szerokim uśmiechem.

– Wydajesz się inny, przyjacielu. Spokojniejszy, nie taki wściekły, jak kiedyś. Poza tym sądzę, że wyglądasz dużo lepiej, a twój arabski się poprawił. Dobrze zrobiłeś, że się przeprowadziłeś. Gdyby twój brat poszedł za tobą albo gdybym ja to zrobił, kto wie, jak sprawy by się potoczyły? Ale trzeba mieć odwagę, żeby postąpić tak jak ty i wszystko zostawić. Zacząć od zera. Odwagę, której większości z nas brakuje. – Abu Hamsa znów uczynił gest w kierunku dachu. – No dobra, przyjacielu. Pozwolę ci teraz spokojnie wypić kawę – dodał. – Miło było cię spotkać, chociaż oczywiście okoliczności mogły być lepsze. Bądź tak miły i przekaż moje kondolencje mamie. Swoją drogą, jak się czuje?

– Alzheimer – odparł Atif krótko. – Mieszka w domu opieki. Ale obiecuję, że ją pozdrowię. Przeszłość pamięta bardzo dobrze, gorzej z teraźniejszością.

– Rozumiem – powiedział Abu Hamsa. – Sam zderzyłem się z bolesną świadomością, że zapominam więcej, niż jestem sobie w stanie przypomnieć. Lekarz twierdzi, że wszystko jest zapisane w mózgu, a człowiek tylko gubi ścieżkę, by do tego dotrzeć. Tak jak w lesie – ścieżka zarasta. Może ma rację albo mówi tak, żeby mnie pocieszyć. – Mężczyzna poklepał Atifa po ramieniu. Delikatnie, niemal ostrożnie, na co Atif nieświadomie się uśmiechnął. – Żegnaj, przyjacielu. Pójdę teraz

złożyć kondolencje tej pięknej, młodej wdowie – dodał. – Ale jeśli będziesz czegoś potrzebował, mam nadzieję, że dasz znać. Cassandra ma mój numer, wystarczy zadzwonić. Nieważne, w jakiej sprawie – zapewnił Abu Hamsa i mrugnął przesadnie okiem.

– Aha! Myślałem, że przechodzisz na emeryturę – powiedział Atif.

– *Inshallah!* – Niski mężczyzna wybuchnął śmiechem. – Jeśli taka będzie wola Boga. Miłej i bezpiecznej podróży do domu, przyjacielu!

## Siedem

Musi uporządkować sprawy. Podnieść swoje słabe, nędzne ciało z tego pieprzonego łóżka i zmusić mózg do naprawienia wszystkich przewodów. Musi spróbować zrozumieć, co się stało. Dlaczego skłamał szefowi o lukach w pamięci, dlaczego zachował ostrzeżenie na kartce tylko dla siebie i dlaczego na dźwięk tamtego imienia przyspieszyło mu tętno.

Janus. Najwyraźniej pseudonim informatora – bardzo ważnego, jeśli sędzić po pytaniach i niespokojnym zachowaniu Bergha. Problem polegał na tym, że Sarac nie pamiętał żadnego pseudonimu, nie pamiętał właściwie niczego. Albo inaczej – nie był żadnym Jasonem Bourne'em. Pamiętał, owszem, wiele rzeczy, ale nic, co mogło mu pomóc w odtworzeniu przebiegu zdarzeń. Wyglądało na to, że wylew wyrył dziurę w jego mózgu, odciął wszystkie przewody prowadzące do tej części, w której zapisały się zdarzenia z ostatnich lat. Reszta była niezdefiniowanym, uciążliwym dyskomfortem. Coś się nie zgadzało i nie chodziło tylko o słabe ciało, dziurę w mózgu i diabelne ataki migreny. Co właściwie Bergh powiedział o jego wypadku? Słowa nie mogły zapewnić odpowiednich luk.

Sarac pociągnął nosem, starał się na chwilę wstrzymać oddech, żeby stłumić łkanie. Ciężko mu się było przyzwyczaić do wahań nastroju. Miotaly nim gniew, żal, strach i chwile euforycznych doznań, które prawie przypominały radość. Cały ten wachlarz utrudniał mu pozbieranie się i zaprowadzenie w głowie porządku.

Kurwa mać! Chwycił kilka chusteczek higienicznych, które leżały na stoliku, i wysiąkał nos. Będzie lepiej, musi być lepiej.

Jedna z pielęgniarek wsunęła głowę przez drzwi.

– Czy ma pan ochotę przyjąć gościa? To ten z brodą – szepnęła.

– Yhy. – Sarac chciał zabrznieć, jakby wiedział, o kim ona mówi, ale nic z tego nie wyszło.

– Około czterdziestki, metr dziewięćdziesiąt, opalony, dobrze zbudowany. Przychodził tu każdego dnia.

– Pewnie – odparł Sarac, lekko skinąwszy głową. Rozpoznał opis i od razu poprawił mu się humor.

Pielęgniarka weszła do środka, a tuż za nią mężczyzna z porządnie przystrzyżoną brodą.

– Cześć, David! – Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ściskając dłoń Saraca obiema rękami. Trwało to tak długo, że ten poczuł ścisk w klatce piersiowej. – Fajnie, że lepiej się dziś czujesz.

Sarac kiwnął głową, wstrzymując oddech przez parę sekund, żeby zapanować nad wewnętrznym wybuchem emocji. Peter Molnar był jednym z jego najlepszych przyjaciół, a ponadto kimś w rodzaju mentora, ale do łkania na jego widok Sarac w żadnej mierze nie był przyzwyczajony. Co się z nim, do cholery jasnej, dzieje? Przełknął ślinę kilka razy, udało mu się nawet przywołać na twarz uśmiech.

– Zajebicie fajnie cię widzieć, Peter – wymamrotał. Nagle zaczął się zastanawiać, od kiedy tak cholernie dużo przeklina.

Opis Molnara podany przez pielęgniarkę był zgodny z rzeczywistością. Jedyne, co pominęła, to krótko ścięte blond włosy zaczesane na bok na kształt małego wzniesienia oraz guma do żucia mielona przez białe, kanciaste zęby i rozsiewająca zapach mięty po pokoju.

– Wziąłem trochę prażonych orzeszków z tego miejsca, które tak lubisz, na Södermalmie. – Molnar rzucił na stolik wypełnioną po brzegi paczkę. – To znaczy, może chyba jeść orzechy, siostró? Chyba żadne przepisy tego nie regulują? – Mrugnął okiem do pielęgniarki, która grzebała przy kroplówce Saraca, po czym zakończyła czynność śnieżnobiałym błyskiem zębów.

– Nie wygląda pan na takiego, który trzyma się przepisów – odparła z uśmiechem. – Dziesięć minut maksimum, po tym czasie będzie miał pan ze mną do czynienia.

Pielęgniarka opuściła pokój, obdarzywszy Molnara ostatnim spojrzeniem. Ten wysunął krzesło, siadł na nim okrakiem i położył ręce na oparciu.

– Niezła! – uśmiechnął się, wskazując głową w kierunku drzwi. – Wyobraź sobie, że ty leżysz tu sobie w najlepsze i zajmują się tobą pielęgniarki, a my harujemy jak dzikie osły. W nocy zorganizowaliśmy akcję w związku z tamtą heroiną i zgarnęliśmy ponad kilogram towaru. Twoja informacja była trafiona, zresztą jak zwykle. – Molnar wciąż się uśmiechał, a Sarac zauważył, że prawie nieświadomie robi to samo.

– Jak powiedziałem, fajnie cię widzieć, Peter – powtórzył. Próbował wyjść na

zrelaksowanego, ale zabrzmiał raczej płacząco. Po radości, której przed chwilą doznał, nie było śladu. Nie przypominał sobie sprawy, do której nawiązał Molnar, właściwie żadnej, nad którą pracowali. Poza tym ten dobrze zbudowany, opalony facet obok tylko wzmacniał jego przygnębienie. Wokół głowy i brzucha bandaż, ręka na temblaku. Zmiany nastroju, nie wspominając o bezsilności. Od tego leżenia musiał stracić z pięć, sześć kilo mięśni, może nawet więcej. Molnar najwyraźniej dostrzegł jego huśtawkę emocjonalną, bo pospieszył z przerwaniem milczenia.

– Chłopaki cię pozdrawiają. Chcieli przyjść, ale powiedziałem, że muszą trochę odczekać. Pomyślałem, że potrzebujesz odpoczynku. Po tym wszystkim, co cię spotkało. – Molnar wykrzywił twarz.

Sarac pokiwał głową, po czym nieświadomie się za nią chwycił.

– Wpadłem na Bergha. Mówił, że masz zaniki pamięci.

Sarac zrobił głęboki wdech, starał się zebrać myśli, ale na przeszkodzie stał ból głowy.

– To znaczy... – zaczął. Odchrząknął jeszcze, żeby uczynić głos stabilniejszym. – Nie jest tak jak w filmach. Wiem, kim jestem, gdzie mieszkam, jak mają na imię mama i tata, gdzie chodziłem zakuwać, jak zawiązać buty i tym podobne. – Machał nieco ręką w poszukiwaniu słów. – Ale to wszystko wydaje się odległe, brakuje mi jakby... obecności. Jak gdybym patrzył z boku, rozumiesz?

Molnar skinął powoli głową. Jego jasnoniebieskie oczy patrzyły prosto na Saraca, jakby to, o czym mówił, było niesamowicie interesujące. Peter umiał sprawić, że ludzie czuli się dostrzeżeni i docenieni.

– Sam wypadek. Pamiętasz coś z niego? – zapytał Molnar cicho.

Sarac potrząsnął głową, postanowił powiedzieć prawdę.

– Fakt jest taki, że z ostatnich lat pamiętam niewiele. Z okresu po dwa tysiące jedenastym roku pozostały tylko fragmenty rozsypane po całej głowie. Ale to przejdzie – dodał pospiesznie. – Lekarka jest tego pewna; kiedy tylko opuchlizna zejdzie, wszystko wróci do normy. To tylko kwestia czasu.

Ostatnie zdanie mijało się z prawdą. Doktor Vestman była ostrożna z obiecywaniem czegokolwiek. Ale walić to. Sarac sam podjął decyzję. Wyzdrowieje na ciele i umyśle, i to w rekordowym tempie.

Ból głowy dał o sobie znać, zaczął powoli rozkraczać swoje pajęczce odnóza.

– A więc kiedy dokładnie twoja pamięć się kończy? Zacząłeś w dochodzeniówce w dwa tysiące jedenastym roku. To ja cię rekrutowałem – przypomniał Molnar.

– Tak, to pamiętam – odparł Sarac.

– Pamiętasz, czym dokładnie się zajmujesz? – Molnar pochylił się.

– Oczywiście. Rekrutuję informatorów i opiekuję się nimi. Kolesie dający cynk, tajne źródła, wszystko, na czym możemy skorzystać.

Sarac chwycił się za czoło. Ból oplótł całą głowę, zawładnął mózgiem. Delikatny szum, który wpierw zdawał się pochodzić ze świetlówki, zaczął wypełniać jego czaszkę. Zniekształcił słowa Molnara.

– Jesteś w tym dobry, David. W zasadzie jesteś najlepszym agentem, na jakiego trafiłem. Włączam też siebie. Profesjonalny, ambitny, lojalny, spolegliwy. Poza tym wiesz dokładnie, jak odczytywać ludzi. Fakt, że to dość niewdzięczne. Jakbyś miał do tego szósty zmysł, umiesz znaleźć wejście, sprawić, że człowiek powierza ci swoje najgłębsze...

Tajemnice.

Nagle w głowie Saraca coś mignęło. Krótka przebitka na zaparkowany samochód. Ciemny lakier, bmw albo mercedes?

– Skończyłem pracę w Wydziale Wywiadu Kryminalnego na początku dwa tysiące dwunastego, kiedy zaproponowano mi szefostwo w grupie szczególnego wsparcia. Ale ty i ja wciąż blisko współpracowaliśmy. Wykonywałeś moją dawną robotę lepiej niż ja. Twoi informatorzy byli najlepsi, dostawaliśmy od nich najpewniejsze informacje.

Słowa Molnara zlewały się ze sobą. Obraz w głowie w jednej chwili się wyostrzył. Sarac siedzi teraz w samochodzie, za kierownicą albo na tylnym siedzeniu. Punkt widzenia był trudny do określenia, wydawał się ciągle zmieniać. Miejsce pasażera z przodu zajmuje wysoki mężczyzna z wygoloną głową. Towarzyszy mu zapach papierosów i czegoś jeszcze. Zapach strachu.

– To się zdarzyło po tej akcji, w której Bergh i pośrednio Kollander dali ci wolną rękę. Naprawdę nic z tego nie pamiętasz? Było wokół niej dużo szumu, Kollander i komendant wojewódzka pojawili się nawet w telewizji i wzięli na siebie wszystkie

zaszczyty.

Sarac nie odpowiedział. Udało mu się jedynie lekko potrząsnąć głową.

– No i zacząłeś pracować nad ściśle tajnym projektem. Z wyjątkowym informatorem.

– Janusem... – wymamrotał Sarac.

Molnar nie odpowiedział albo ból tak penetrował ośrodek słuchu w głowie Saraca, że ten nic nie usłyszał. Nagle zapanowała cisza, totalna, czysta bezgłośność, z wyjątkiem odgłosu uderzeń serca. Próbował przywołać obraz mężczyzny w samochodzie. Chciał zobaczyć jego twarz. Ale wszystko, co się pojawiało, było tylko wzorem, węzłem z czarnego atramentu wypełzającym z kołnierza. Słabym dźwiękiem, który rósł na sile. Samochodową blachą, która się gnie, jęczy z bólu. W końcu mocnym uderzeniem.

Sarac się wzdrygnął, jakby wytrącony ze snu.

– Wypadek – mruknął. – Opowiedz...

Molnar siedział cicho przez kilka sekund. Przejechał językiem po swoich równych jedykach.

– Proszę, Peter. Muszę wiedzieć. – Sarac położył rękę na ramieniu Molnara. Ten przygryzł wargę, jak gdyby się zastanawiał.

– Zadzwoiłeś do mnie z komórki – zaczął. – Bełkotałeś, brzmiałeś bez składu i ładu. Nie chciałeś wyjaśnić, o co chodzi, powiedziałeś tylko, że coś się zdarzyło i że masz przerabane. Zostawiliśmy wszystko, ruszyliśmy się z tobą spotkać. Kiedy przyjechaliliśmy w umówione miejsce, zobaczyliśmy tylko tylne światła twojego samochodu.

Głos Molnara znów się oddalił.

– ...żeby cię dogonić. Jechałeś, jakbyś miał diabła na tylnym siedzeniu.

Sarac wrócił do zaparkowanego samochodu. Atramentowy wąż wokół szyi mężczyzny nagle ożył, zaczął się ruszać w takt wypowiedzanych słów.

– Pomyślałem, że możemy zrobić wymianę.

Ma twarde ręce, głos za to zaskakująco łagodny. Jak u dziecka.

– Moje tajemnice za twoje. – Uśmiecha się, próbując brzmieć ostro, mimo że czuć od niego smród strachu. Kiedy się obraca, skrzypi jego skórzana kurtka. – To jak? Co



ty na to? Umowa stoi?

Na zewnątrz zaczyna sypać śnieg. Ciężkie płatki spadają gęstą zasłoną. Kładą się na szybach jak gruby, biały puch, aż nie sposób dostrzec fasad budynków Starego Miasta. W jednej chwili Sarac uświadamia sobie, że w samochodzie jest jeszcze jedna osoba. Ktoś zajmuje tylne siedzenie. W lusterku Sarac dostrzega znajomą parę oczu, bródkę i kaptur przysłaniający twarz. Diabeł we własnej osobie.

Słodkawa, chemiczna woń wypełnia samochód. Jest dobrze znana, łatwo ją rozpoznać. Olej do czyszczenia broni.

Sarac zauważa pistolet, widzi, jak wznosi się w kierunku głowy mężczyzny, gdzie wciąż wije się atramentowy wąż. Wstrzymuje oddech, zanim...

Odgłos zmusił Saraca do otworzenia oczu. Molnar stał nad nim pochylony, z dłońmi w odległości kilku centymetrów od jego twarzy.

– David, słyszysz mnie?! – Klasnął mu przed nosem.

Sarac mrugnął oczami, otworzył usta, przełknął łapczywie mieszankę śliny i powietrza. Zakaszłał, szukając panicznie tlenu, na co serce przyspieszyło wystraszone. Gdzieś w pobliżu zapiszczał aparat, dał się słyszeć odgłos biegnących po korytarzu kroków.

– Odleciałeś – powiedział Molnar nieco drżącym głosem. – Zbladłeś na twarzy, wystraszyłeś mnie w cholerę, David. – Położył rękę na ramieniu Saraca i lekko je ścisnął. – Tylko mi tu teraz nie umieraj, co? Nie po tej całej robocie, którą wykonaliśmy, żeby cię wydostać z wraku samochodu – dodał wprawdzie żartobliwym tonem, ale z domieszką niepokoju.

Sarac chwycił jego dłoń.

– J-janus – wyjąkał. – Wszystko szlag trafił. – Światłówki mrugnęły. Znów z trudem złapał powietrze. Strach ścisnął mu klatkę piersiową, ból oplótł głowę. – Musimy go znaleźć, Peter – wyrzucił z siebie. – To wszystko mój błąd...

Personel wparował do sali, trzy albo cztery białe fartuchy. Może więcej. Sarac słyszał, jak Molnara odpychają na bok, następnie poczuł maskę tlenową na nosie i ustach. Wszystko zmętniało, pokój zlał się w jedną wielką masę bólu i barw.

– ...silny atak migreny, ale nie można wykluczyć zakrzepicy – zabrzmiał głos

doktor Vestman. – Musi wrócić na intensywną.

Łóżko zaczyna jechać, dziwne uczucie. Różne postacie przewijają się nad jego głową, pojawiają się i znikają mu z pola widzenia. Białe fartuchy, zielone. Twarze w maskach. Wydaje mu się, że słyszy głos. Szept tuż przy prawym uchu, tak cichy, że ledwo zrozumiały.

– Chroń tajemnicę, David. Obiecałeś!

Głos stapia się z dźwiękami w tle. Cichnie.

Później...

Nic.

## Osiem

Bo tak naprawdę chodzi o nastawienie, myślał sobie Jesper Stenberg. Jeśli tylko przyjmie się prawidłową postawę i skupi na właściwych rzeczach, można się wykaraskać z najbardziej beznadziejnej sytuacji.

Na ścianie miał oprawiony cytat z Roberta Kennedy'ego. Prezent z okazji przeprowadzki, który Karolina kazała robotnikom zawiesić dokładnie nad masywnym biurkiem pierwszego dnia jego urzędowania w ministerstwie. „Żadne społeczeństwo nie może funkcjonować bez demokratycznie kontrolowanego, uczciwego, wyważonego i silnego wymiaru sprawiedliwości”. Bobby Kennedy nie wahał się robić tego, czego od niego wymagano. Nie dał się zdekoncentrować przez polityczne gry w wilka i owce. Przeciwnie, skupił się na tym, by pracować z możliwie największą korzyścią dla społeczeństwa. Celował wyżej.

Stenberg postanowił dokonać podobnego wyboru. Albo był facetem, który doprowadził swoją kruchą kochankę do samobójstwa, albo kimś, kto zbyt długo musiał znosić dzikie napady uznanej za chorą kobiety. Kimś, kto za sprawą nieszczęśliwych okoliczności znalazł się w złym miejscu o złej porze.

Samobójstwo Sophie było nieuniknione. Gdyby nie pigułki szczęścia, popełniłaby je dużo wcześniej i nie miałyby to dla niego znaczenia. Ale ona postanowiła odebrać sobie życie w diabelnie wyreżyserowany sposób, wciągając go w całe zdarzenie. To miał być czołowy atak na niego, jego rodzinę i całą jego przyszłość. To, co zrobił, było niczym innym jak formą samoobrony. Sophie chciała go unicestwić, on jednak zdał test, mimo że kosztowało go to sporo wysiłku.

Wycofał samochód z ciałem Sophie na masce z powrotem do garażu. Robił wszystko, żeby nie spotkać jej wzroku po drugiej stronie spękanej szyby. Zaparkował w najciemniejszym rogu garażu i okrył przód samochodu płachtą ze sportowego wozu przykrytego na czas zimy. Potem powoli odjechał, powstrzymując się przed ucieczką co sił w nogach.

Po półgodzinie odbył rozmowę. Znalezienie odpowiedniego numeru wymagało od niego aż trzech podejść. Później postąpił zgodnie z instrukcjami, wziął taksówkę do domu, pozbył się wszystkich ubrań, po czym wlał w siebie pół butelki whisky i opadł

na sofę.

Kolejne dni miały spokojnie, gorzej było nocami. Gdy tylko zamykał oczy, na jego siatkówce pojawiała się roztrzaskana twarz Sophie. Gapiła się na niego oskarżycielskim wzorkiem, a on budził się z krzykiem. Uzasadniał to nową pracą, napięciem, jakie odczuwał w ostatnim czasie. A Karolina jak zwykle była niezastąpiona. Słuchała cierpliwie, pocieszała, parzyła herbatkę rumiankową i zostawiała na stole swoje magazyny poradnikowe. To w jednym z nich przeczytał, że im bardziej mózg podąża jednym torem myślenia, tym trudniej mu zmienić kierunek. Dlatego należy samemu wybrać, jakimi ścieżkami myślowymi chce się iść, a jakie chce się omijać. Zatem po kilku dniach, kiedy szok opadł, postanowił wybrać odpowiednią ścieżkę. I od tego momentu koszmary prawie zniknęły.

Dochodzenie tylko polepszyło jego sytuację. Przeczytał każdą linijkę z raportu, pomijając zdjęcia z miejsca wypadku i z ekspertyzy medycznej. W zasadzie wszystko się zgadzało, nie brakowało żadnych szczegółów. A przynajmniej nie takich, które miałyby wpływ na efekt końcowy.

Znalazł ją roznosiciel gazet. Ciało wpadło przez szybę do źle zaparkowanego volvo pod oknem jej pokoju pracy. Na biurku leżał jej iPad z listem pożegnalnym. Kilka linijek tekstu o tym, że dłużej nie może, że nie chce z powrotem do kliniki. List został wysłany na firmową skrzynkę jej ojca tej samej nocy, tuż przed znalezieniem ciała. Na poddaszu znaleziono ponadto mnóstwo psychotropów przepisanych zarówno przez szwedzkich, jak i zagranicznych lekarzy. Przed otwartym oknem stało krzesło, drzwi wejściowe były zamknięte. Obdukcja potwierdziła tylko to, co i tak było wiadomo: śmierć spowodowana licznymi obrażeniami, w zawartości żołądka mieszanka tabletek i alkoholu.

Stenberg zadzwonił oczywiście do Johna Thorninga, by złożyć kondolencje. Ćwiczył przez wiele godzin, żeby dobrać odpowiednie słowa i utrzymać stabilny głos, ale numer wystukał drżącymi rękami. Wszystko okazało się jednak gigantycznym niewypałem. Został przełączony do sekretarki Johna, która powiedziała, że ojciec Sophie nie odbiera żadnych telefonów, nawet od niego. Ulga była nie do opisania, omal nie wybuchnął śmiechem. Potem spokojnie napisał list z kondolencjami.

W tych bolesnych chwilach łączę się w bólu po tragicznej stracie...

Pogrzeb odbył się w ciszy i w obecności najbliższej rodziny. Samobójstwo nie było dla rodziny Thorningów powodem do dumy. Karolina załatwiła, oczywiście, bardzo gustowny wieniec. Lilie symbolizujące niewinność, białe goździki w imię przyjaźni i jej zakończenia. Niemal idealny wybór.

I jak zawsze po zakończeniach pojawiły się nowe początki. Jego plan właśnie się realizował. Potrzeby były jasne, rozmowy już ruszyły. Pozostało tylko czekać, aż ktoś wyjdzie z inicjatywą. Ktoś, kto ma odwagę, chęć i siły, by pokusić się o dowodzenie.

Wymiar sprawiedliwości był beznadziejnie nienowoczesny, taki produkt lat pięćdziesiątych, który formował się stopniowo w czasie i nie miał żadnych szans sprostać wyzwaniom i zagrożeniom dwudziestego pierwszego wieku. Trzeba było się rozejrzeć i wykorzystać zasoby tam, gdzie dawały najwięcej korzyści, zamiast się rozdrabniać. Trzeba się było bardziej zsynchronizować z rzeczywistością, osiągnąć konkretne rezultaty, które ludzie rozumieją i zaakceptują.

Pierwszy ruch już wykonany. Najął swojego dawnego współpracownika Oscara Wallina. Zwerbował jego i paru jego kolegów prosto z Biura Kryminalnego Komendy Głównej, żeby przeprowadzić „specjalne dochodzenie dla Ministerstwa Sprawiedliwości”. Wallin i Stenberg pracowali razem w Hadze i dokładnie wiedzieli, o co im chodzi. Celowali do tej samej bramki.

W istocie zadanie Wallina było proste. Miał poznać najlepsze metody działania w kraju i powiązać je z najbardziej kompetentnymi współpracownikami. Następnie ocenić, co odpowiada nowej i nowoczesnej organizacji i kto będzie się w niej dobrze czuł, a kto nie.

Nie wątpił, że będzie miał wrogów. Wymiar sprawiedliwości był po brzegi wypełniony gryzpiórkami i teczkonoszami. Policjanci, prokuratorzy i sędziowie – z honorowymi tytułami, z firmowymi kontami na prywatne wydatki i wysokimi kredytami mieszkaniowymi – których skuteczność co najmniej stała pod znakiem zapytania. Droga kariery wielu z nich zostanie gwałtownie skrócona, a oni wylądują na zielonej trawce.

Nastawienie, pomyślał znów. Wszystko rozbija się o nastawienie. Należy patrzeć na całość i pomijać szczegóły; nie wolno się wzbraniać przed podejmowaniem nieprzyjemnych decyzji.

Zadzwoił telefon na biurku. Zazwyczaj połączenie szło przez sekretarkę, a to była jego bezpośrednia linia. Pewnie Karolina.

– Stenberg.

– Dobry wieczór, panie Stenberg – odezwał się oschły głos.

Stenberg zerwał się z fotela i spojrzał w stronę drzwi.

– N-nie wolno wam tu dzwonić. Wszystkie rozmowy są rejestrowane.

– Spokojnie, tej nie uda się namierzyć, mogę pana zapewnić – powiedział mężczyzna po drugiej stronie.

Stenberg przełknął ślinę, próbując zebrać myśli.

– Czego pan chce?

– Na początku chcę panu pogratulować nowej pracy, panie ministrze sprawiedliwości. Według mediów ma pan przed sobą świetlaną przyszłość.

Stenberg milczał.

– Pomyślałem, że najwyższy czas, byśmy porozmawiali o wynagrodzeniu za naszą usługę. Mniemam, że jest pan usatysfakcjonowany. Sprawa umorzona. Samotna, nieszczęśliwa kobieta postanawia odebrać sobie życie.

Stenberg zrobił głęboki wdech. Przez cały tydzień po śmierci Sophie z lękiem myślał o tej rozmowie, ale ponieważ w ciągu miesiąca nikt do niego nie zadzwonił, wmówił sobie, że się już nie odezwą. To było, oczywiście, idiotyczne. Mężczyzna po drugiej stronie utrzymywał się z tego typu zleceń. Stenberg obniżył głos, próbował zabrzmieć spokojnie.

– Ile? – zapytał.

– E tam, nie chcemy pieniędzy, panie ministrze.

Stenberg odczekał chwilę, zamknąwszy oczy na parę sekund. Szybko je otworzył, bo roztrzaskana twarz Sophie znów pojawiła się na siatkówce. Musi to rozwiązać, tu i teraz. W przeciwnym razie nigdy nie posunie się do przodu.

– A więc czego pan chce? – zapytał.

– To nic wielkiego, wręcz drobiazg. Coś, co minister sprawiedliwości, szef wszystkich służb porządkowych w Szwecji, na pewno może zdobyć.

– Czyli...? – Stenberg nieświadomie wstrzymał oddech.

– Nazwisko – powiedział mężczyzna. Jego głos wydawał się rozbawiony. –

Nazwisko osoby, która ukrywa się pod pseudonimem Janus.

## Dziewięć

Atif się pożegnał. Z obowiązku pocałował Cassandrę w policzek, wręczając kopertę z dolarami. Nie było ich zbyt wiele, bo większość jego pensji pochłaniały koszty opieki nad mamą. Z miny Cassandry odczytał, że suma jej nie zadowalała.

Tindra ścisnęła go tak długo, że jej małe kostki zostawiły ślady na jego szyi. Zrozumiał, że nie chce go puszczać.

– Dlaczego musisz jechać, *amu*?

Szukał dobrej odpowiedzi, ale nie znalazł. Z pomocą przyszła mu Cassandra.

– Wujek musi jechać, kochanie. Musi wracać do domu i zająć się babcią. Ale czasami możesz do niego napisać maila, jeśli zechcesz. Możesz mu wysłać jeden z twoich pięknych rysunków, które tworzysz na iPadzie.

Pomysł z rysunkami chyba zadziałał, bo Tindra puściła jego szyję. Wychyliła się następnie przez okno i machała mu na pożegnanie, aż zniknął jej z pola widzenia.

Będzie za nią tęsknił, stwierdził. Za jej przenikliwym spojrzeniem, za jej rączką, za tym, jak ją wsuwała w jego dłoń. Za sposobem, w jaki manifestowała obojętność, robiąc coś na przekór. Dokładnie jak jej tata, kiedy miał tyle lat co ona. Może powinien zostać dłużej. Spędzić więcej czasu z Tindrą. Ale jakim rodzajem autorytetu miałby dla niej być? Był pewien, że Cassandra i na to pytanie pomogłaby znaleźć odpowiedź. Takim autorytetem, jakim był dla ojca Tindry. Autorytetem, który zniknął, kiedy tamten go najbardziej potrzebował.

Siłownia wyglądała schludnie. Znajdowała się na obrzeżach dzielnicy przemysłowej, zaledwie dziesięć minut od stacji kolejowej. Jeśli sądzić po ponad trzydziestu samochodach na parkingu, miejscu nie brakowało bywalców. W większości właścicieli jeepów, hond cr-v, różnego rodzaju volvo xc i kilku innych samochodów z wyższej półki cenowej. Prawie wszystkie były typowymi rodzinnymi autami, z pewnością z dzielnic willowych kilka kilometrów stąd. Taki interes to znacznie sprytniejszy pomysł niż stawianie na młodych chłopaków z przedmieść, których nie stać na opłacenie abonamentu. I mniej problemów. Cicho i spokojnie, stały dochód – tak z pewnością wyobrażał to sobie Adnan.

Atif nie do końca wiedział, dlaczego postanowił zboczyć z drogi. Właściwie



chyba nie dało się dotrzeć na cmentarz bardziej określną drogą. Sęk w tym, że on po prostu nie chciał tam znowu jechać. To tu miał ostatni raz nieudolnie pożegnać się z Adnanem. W miejscu, które stało się niespełnionym marzeniem brata. I w pewnym sensie odpowiednim na pożegnanie.

Wjechał wynajętym samochodem na parking. Próbował coś wypatrzyć przez szybę panoramiczną, ale była tak przyciemniona, że niewiele zobaczył. Nie grało to jednak większej roli. Zaparkował, zgasił silnik i zerknął na zegarek. Odsiedział kilka minut, ukierunkowując myśli na Adnana.

Wmawiał sobie, że zrobił wszystko, co mógł. Adnan żył swoim życiem, podejmował własne decyzje i zapłacił za nie. Poza tym obaj się różnili, nie tylko wiekiem, lecz także na wielu innych polach. Adnanowi, w przeciwieństwie do niego, dobrze szło w szkole, wszyscy go lubili, był pupilem nauczycieli. Atif czuł żal po bracie, to na pewno. Ale targały nim też inne uczucia. Wina – ją łatwo było zidentyfikować. Podobnie jak złość. Lekką chęć zemsty też potrafił wyczuć, choć miał ją pod kontrolą. Było jeszcze jedno uczucie. Wstydlive, o którym się nie mówi, nawet nie myśli.

Włączył samochód i objechał budynek. Na zapleczu, przy kontenerach na śmieci, stał rząd zaparkowanych drogich aut. Jednym z nich było dobrze znane ciemne audi z błyszczącymi felgami. Atif skręcił za róg budynku i znalazł się przy wyjeździe. Stał tam przez kilka sekund, patrząc na zegarek. Trzy godziny i trzydzieści pięć minut do odlotu. Miał czas.

Recepcję wyłożono czarnym kamieniem łupkowym. Miała przynajmniej pięć metrów wysokości. Z przymocowanych do sufitu głośników w głębi sali dudniła muzyka, a przez mleczną szybę przebijały sylwetki poruszających się osób.

Po lewej stronie, za kolejną szybą, stał rząd błyszczących maszyn do ćwiczeń. Kilku napakowanych chłopaków wyciskało na ławce. Byli tak skupieni na tym, co robili, że nawet nie spojrzeli w jego stronę. Przy ladzie nie było nikogo, a duża strzałka oznaczona napisem „Café” wskazywała zamknięte drzwi w prawym rogu lokalu.

Atif ruszył w ich kierunku. Po drodze dostrzegł kamery na ścianach. Drogie modele z noktowizorem, raczej niespotykane na zwykłej siłowni. Właściwie nie

wiedział, dlaczego wszedł do środka. To był impuls. Siłownia, audi i jego właściciel, Cassandra – nie miał z nimi nic wspólnego. Poza tym domyślał się, do kogo należał samochód. Nie mógł się jednak oprzeć pokusie, żeby wejść i sprawdzić, czy się nie myli.

Obok wejścia do kafejki stało krzesło i maszyna do koktajli do połowy wypełniona różową zawartością. Mimo tabliczki na drzwiach z napisem „Zamknięte” za mleczną szybą poruszały się cienie osób. Usłyszał znany głos Abu Hamsy, więc wyciągnął rękę w stronę klamki, ale inny, obcy głos go powstrzymał. Czyżby się przesłyszał? Postanowił postać przez chwilę pod drzwiami i posłuchać.

– Nie masz się co obawiać, przyjacielu – powiedział Abu Hamsa. – Znam go od małego.

Drugi głos burknął niewyraźnie.

– ...jakichś problemów?

– Nie, nie. Kupił oficjalną wersję bez zbędnych pytań – odparł Abu Hamsa. – Adnan Kassab został pogrzebany, a my, bez względu na różnice zdań, musimy się skupić na znalezieniu zdrajcy, zanim zniszczy wszystko, co zbudowaliśmy.

Atif poczuł mocne uderzenie serca. Ostrożnie zrobił krok naprzód, żeby słyszeć lepiej.

– ...z kretem? – zapytał obcy głos.

– Pracuje nad tym prawnik – odparł Abu Hamsa. – Ale wygląda na to, że pojawiły się jakieś problemy. Crispin jest przekonany, że to tylko przypadek i niebawem wrócimy do gry.

– No, mam, kurwa, nadzieję, biorąc pod uwagę, ile zapłaciliśmy – powiedział głos o śpiewnym, wschodnioeuropejskim akcencie.

– Działamy na granicy, wtyka Crispina wiele nam pomogła, przynajmniej mogliśmy sobie zrekompensować szkody, jakie wyrządził zdrajca. Fakt, że bez niej nawet byśmy się nie dowiedzieli, że istnieje ktoś taki jak Janus – zauważył Abu Hamsa.

W pomieszczeniu zapadła grobowa cisza. Jedna z tych niezręcznych, które trwają za długo. Atif od razu zrozumiał, co ją spowodowało. Chodziło o imię, które Abu Hamsa właśnie wymienił: Janus.

– Powiem to jeszcze raz – powiedział oschły głos. – Zgodnie z otrzymanymi informacjami zdrajca zostanie nam natychmiast przekazany. Żywy i nienaruszony. Nikomu nie wolno z nim rozmawiać przede mną.

– Jak dla mnie nie ma problemu – odparł niewyraźny, chrapliwy głos. – To na pewno żaden z moich chłopaków. U nas nie ma podpierdalaczy.

– Za duże słowa, Lund. Byłoby przykro, gdybyś musiał je odwołać – powiedział ktoś.

Atif zastygł. Dobrze słyszał, nie miał teraz żadnych wątpliwości. Ten głos należał do innego starego przyjaciela. Chociaż słowo „przyjaciel” było akurat nadużyciem. Ostatnim razem, kiedy się spotkali, mężczyzna przyłożył mu lufę pistoletu do głowy i przyrzekł, że go zabije.

– Faktem jest, że zdrajca może być w tym pomieszczeniu. Z wyjątkiem konsultanta wszyscy jesteście podejrzani, prawda? – stwierdził dobrze znany głos.

– A więc dlatego rzucacie zabawę w kotka i myszkę na mnie i moich ludzi! – odezwał się znów oschły głos rytmicznym, jakby wojskowym tonem. Pewnie należał do mężczyzny zwanego konsultantem.

Atif przypomniał sobie, że w trakcie pogrzebu Abu Hamsa wspominał coś o konsultantach. Zapewne chodziło mu o tego mężczyznę.

– Specjalizujemy się w tego typu śledztwach i nie pozwolimy, żeby coś zakłóciło naszą pracę. Zdrajca Janus to nasz cel, jedyny priorytet, więc najlepiej by było, żebyście nie przeszkadzali – ciągnął oschły głos.

Na dźwięk tego imienia dyskusja znów wygasła. Jakby żaden z mężczyzn nie chciał zabierać głosu bezpośrednio po jego wybrzmieniu.

Atif wzdrygnął się na dźwięk splukiwanej wody dochodzący z toalety. Odwrócił głowę i zobaczył, że wskaźnik w zamku drzwi jest czerwony. W środku ktoś się uwijał, mógł wyjść w każdej chwili. Atif zerknął w przeciwną stronę i szybko zrozumiał, że nie zdążyłby uciec na zewnątrz. Ale były jeszcze inne drzwi, obok toalety. Ruszył w ich stronę szybkim krokiem i chwycił za klamkę. Były otwarte i prowadziły do małej komórki z narzędziami do sprzątania. Atif wślizgnął się do środka i zamknął drzwi dokładnie w momencie, w którym toaleta się otworzyła.

Patrzył przez dziurkę od klucza. W polu widzenia przetoczyły się szerokie plecy.

Paker zrobił sobie koktajl i usiadł na krześle obok, dosłownie kilka metrów od Atifa. Mężczyzna był od niego niższy, miał czarne, krótko ostrzyżone włosy i diamentowy kolczyk w uchu. Mięśnie jego klatki piersiowej były tak napompowane, że ramiona znajdowały się w dziwnym położeniu. Spod rękawa podkoszulka wystawał tatuaż biegnący w dół aż do dłoni. Atif od razu rozpoznał mężczyznę, to był jeden z tych na pogrzebie. Dino albo coś w tym rodzaju.

Paker wlał w siebie resztę proteinowej dawki, po czym głośno beknął. Wyjął komórkę i zaczął się nią bawić. Po chwili Atif zrozumiał, że Dino nie siedzi tam bez powodu. Jego zadaniem było dopilnować, żeby mężczyźni w drugim pomieszczeniu mogli swobodnie rozmawiać. Nie był z niego szczególnie baczny strażnik.

Atif spojrzął na zegarek. Pozostało trzy godziny i dwadzieścia pięć minut, więc nie musiał się spieszyć. Rozejrzał się ostrożnie po pomieszczeniu, które miało tylko dwa metry kwadratowe i oczywiście żadnego okna. Zapach amoniaku i środków czyszczących wywołał łzawienie oczu.

Dino znów beknął, a chwilę później wydał z siebie jęk i mokre pierdnięcie. Atif zerknął przez dziurkę i zobaczył, że facet wierci się na krześle, po czym nagle wstaje, robi kilka szybkich kroków i wyciąga rękę w jego kierunku. Zanim jednak zdążył zareagować, paker zniknął mu z pola widzenia, a sekundę później trzasnęły za nim drzwi. Z toalety dobiegł dźwięk spadającej deski i głośny plask z towarzyszącym mu jękiem ulgi.

Atif wyszedł cicho z komórki, przemknął przez recepcję i opuścił lokal tą samą drogą, którą do niego wszedł.

Znalazł dobry punkt obserwacyjny na sąsiedniej działce. Między zaparkowanymi gęsiego ciężarówkami i za sztachetami, które wprawdzie zasłaniały widok, ale przynajmniej kryły samochód. Trzy godziny i dziewiętnaście minut do odlotu. Podróż na lotnisko zajmie godzinę, więc ma jeszcze dużo czasu. Rozłożył siedzenie, próbując się nieco rozprostować. Żałował, że nie ma swojej wojskowej lornetki.

Zanim cokolwiek się wydarzyło, czas, który mu pozostał, skurczył się o dwadzieścia pięć minut. Pierwszy wyszedł Abu Hamsa – zapalił grube cygaro i wskoczył do audi. Atif się nie pomylił. Staruszka zdradził ton głosu, gdy mówił

o Cassandrze. A jego przyrzeczenie, że zaopiekuje się rodziną, i to, że Cassandra miała jego numer telefonu, tylko wzmogły podejrzenia. Pozostawało pytanie: jak długo po śmierci Adnana stary odgrywał rolę sponsora Cassandry? Albo czy bawił się w to już przed zabójstwem brata? Jednak Atif ponownie doszedł do wniosku, że to nie jego sprawa. Cassandra sama dokonywała wyborów, a interes z Abu Hamsą mógł się okazać niską ceną za opiekę nad jej rodziną.

Facet o kaczym chodzie, który wyszedł tuż za Abu Hamsą, był duży, ale bardziej porośnięty tłuszczem niż wytrenowany. Skórzana kamizelka, długa broda i ten blond kucyk na plecach. Szwedzki motocyklowy gangsta pierwszej klasy. Atif go rozpoznał. To był Micke Lund, który siedem lat wcześniej został woźnym trybunału Hells Angels<sup>5</sup>. W takim razie musiał mieć teraz z pięćdziesiąt lat. Duża pikowana kurtka zakrywała większą część kamizelki, ale Atif zdołał dostrzec słynne czerwone litery na białym tle. A więc wciąż w Hells Angels.

Grubas przystanął i włożył do ust torebkę snusu, czekając na mężczyznę idącego za nim. Kolejnego motogangstera, tym razem mniejszego zmarzlaka, wyposażonego w kamizelkę z żółtymi i białymi barwami Bandidos<sup>6</sup>. Był obcięty na krótko, młodszy i lepiej wytrenowany niż Micke Lund, poza tym znacznie mniej jasnowłosy i niebieskooki. Obaj mężczyźni nie mieli jednak nic przeciwko sobie. Stali i rozmawiali przez kilka minut, a w tym czasie dołączyło do nich jeszcze dwóch innych. W dresach, prawie łyse głowy, szerokie czoła i wystające kości policzkowe. Wyglądali na typowych koleś z Europy Wschodniej, prawdopodobnie Rosjan.

Drechy zapaliły po papierosie i poczęstowały faceta z Bandidos. Micke Lund zadowolony się swoim snusem. Stał i rozmawiał z nimi przez kilka minut. Mężczyźni przytupywali. Kiedy wyszedł jeszcze jeden mężczyzna o trupim wyglądzie, wymienili się spojrzeniami, szybko się pożegnali i wskoczyli do swoich samochodów.

Trupia czacha stał, paląc papierosa. Pomachał nieznacznie w kierunku samochodów i wszedł do dużego porsche cayenne. Atif bacznie obserwował mężczyznę i doszedł do wniosku, że słuch na siłowni go nie mylił. Co do tego wyglądu – łysy placek na głowie, orli nos i głęboko osadzone oczy – nie można było się pomylić. To był jego stary przyjaciel Sasja. Bohater wojenny z Bałkanów, wyposażony w rozliczne umiejętności i pozbawiony skrupułów. Podczas ich

pierwszej wspólnej roboty Sasja odcinał palce chłopakowi sekatorem. Po kolei, aż zostały tylko wskazujące, mimo że koleś dużo wcześniej pękł i wyśpiewał wszystko, co chcieli wiedzieć. Przemoc to jedno, ale Sasja był wykwalifikowanym sadystą, dlatego po jakimś czasie Atif poprosił o zmianę współpracownika. Najwyraźniej wiadomość dotarła do samego zainteresowanego, bo w geście podziękowania ten przyłożył pistolet do głowy Atifa w samym środku klubu nocnego. Wyjaśnił, że następnym razem, kiedy na siebie wpadną, naciśnie spust bez względu na liczbę świadków. Niedługo później zachorowała mama. Ponieważ Atif towarzyszył jej w podróży do Iraku, sprawa rozeszła się po kościach. Jednak jeśli sądzić po rozmowie na siłowni i wzajemnych spojrzeniach motogangsterów i dresiarzy, nie tylko Atif miał problem z Sasją. Jego obecność na spotkaniu, garnitur i drogi samochód świadczyły o awansie. Stał się kimś, z kim należy się liczyć.

Dwa różne gangi motocyklowe, jacyś Słowianie, Abu Hamsa i Sasja. Rozmowa, którą podsłuchał, była spotkaniem na szczycie. Takim „Kto jest kim?” z katalogu gangsterów.

Ostatni mężczyzna wyszedł dopiero, kiedy Sasja odjechał. Około trzydziestu pięciu lat, garnitur, płaszcz, krótko ścięte, ciemne włosy i baczne spojrzenie. Więcej nie dało się dostrzec z tej odległości. Mężczyzna poruszał się płynnie, biła od niego bardziej autentyczna pewność siebie niż od pozostałych, większa samokontrola. Ponadto był spokojniejszy niż mężczyzna przed nim. Znacznie bardziej wyluzowany.

Najprawdopodobniej był to konsultant, o którym mówił Abu Hamsa. Przypominał właściwie wojskowego. Albo gliniarza.

Konsultant przystanął na chwilę za tylnymi drzwiami i włożył pilotki. Następnie ruszył powoli w kierunku ciemnego range rovera, rozglądając się wokół. Przez kilka sekund stał przy samochodzie, Atif był nawet pewny, że mężczyzna patrzył prosto na niego. Ale w końcu otworzyły się tylne drzwi siłowni i wyszedł Dino czy jak miał na imię ten proteinowy mięśniak. Krzyknął, na co konsultant się odwrócił, a Dino zaczął gwałtownie machać swoimi krótkimi rękami – wyglądało to komicznie. Konsultant odpowiedział, po czym obaj weszli z powrotem do budynku.

Atif pomyślał o kamerach monitorujących. Co za problem cofnąć nagranie o kilka minut? Wystarczy kilka kliknięć myszką, a pojawi się na ekranie.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i wrzucił bieg. Do odlotu pozostały prawie trzy godziny.

## Dziesięć

Kiedy Sarac się obudził, od razu zauważył dwie rzeczy. Po pierwsze było ciemno jak w grobie. Nie świeciła się żadna kontrolka ani nic innego, w co można by wbić wzrok. Nie był więc już w swoim szpitalnym pokoju. Po drugie w tej ciemności znajdował się ktoś jeszcze. Sarac wyczuł ruch i usłyszał oddech.

– Słyszysz mnie, Sarac? – powiedział męski głos.

Odwrócił głowę w kierunku, z którego dobiegł dźwięk, szukając w pamięci kogoś, z kim mógłby go skojarzyć. Imienia, miejsca, czegokolwiek. Ale niczego nie znalazł.

– Ciężko znaleźć chwilę na krótką rozmowę, Sarac. Wiele osób ma cię na oku. Wielu się niepokoi tym, co chcesz ujawnić.

Sarac próbował usiąść, ale zaplątał się w przewodach podpiętych do jego ciała.

– Wiesz, kim jestem? – zapytał mężczyzna.

– N-nie – odparł Sarac. Nie mówił całej prawdy. Spotkali się wcześniej, był tego pewien. Nie mógł sobie tylko przypomnieć, gdzie i kiedy. Wzrok przyzwyczyił się do mroku, mężczyzna stał się ciemną sylwetką stojącą zaledwie kilka metrów dalej.

– Mamy umowę, ty i ja. Pamiętasz? – powiedział mężczyzna.

Sarac potrząsnął głową, choć wciąż bez przekonania. Czy to wszystko było snem, halucynacjami rozgrywającymi się w jego głowie? Zacisnął mocno dłonie pod przykryciem. Poczuł, jak wierzchnia część jednej z nich o coś się ociera. Plastikowy przedmiot podłączony do kabla. Przycisk alarmowy.

Mężczyzna zbliżył się, stanął tuż przy łóżku. Przyniósł ze sobą mocny zapach tabaki. Sarac dostrzegł zoraną twarz, w miejscu ust czarną dziurę, z której zamigotał złoty ząb. Nieprzyjemne uczucie przeszło w strach, serce zabiło szybciej. Sięgnął po przycisk, ręka mu się ześlizgnęła.

– Umowa to umowa. Wiesz, jakie będą konsekwencje, jeśli jej nie dotrzymasz – powiedział mężczyzna.

Sarac zamknął oczy, zacisnął powieki najmocniej, jak potrafił, i wcisnął guzik. Raz, dwa razy, więcej...

– Spieprzaj! – krzyknął. – Wypierdalaj!

Z daleka dochodziły głosy. Po chwili dźwięk zbliżających się kroków. Drzwi



mogły się otworzyć w każdej chwili.

– Nie ukryjesz się na zawsze – syknął mu mężczyzna do ucha. – Masz dotrzymać umowy, słyszysz?!

Sarac wciąż krzyczał, wrzeszczał, aż otworzyły się drzwi i ktoś zapalił górne światło. Pomrukał oczami w stronę lampy i kobiety w białym ubraniu, która ostrożnie podała mu dłoń na przywitanie.

– Jak się pan czuje? – zapytała.

Pomrukał oczami ponownie, następnie przetarł je, żeby lepiej widzieć. Oprócz pielęgniarki w pokoju nikogo nie było. Ale w rogu stało puste krzesło. Jego miękkie siedzisko było nieco wgniecione, jakby niedawno siedziała na nim ciężka osoba.

Samolot wystartował punktualnie o godzinie dwudziestej trzydzieści pięć. Wzniósł się kilkaset kilometrów, zanim schował podwozie i zaczął powoli skręcać na wschód.

Atif rozparł się wygodnie na siedzeniu i zamknął oczy. Spróbował poukładać szczegóły na tyle, na ile mógł.

Adnan i jego grupa napada na transport przedmiotów wartościowych.

Przez przypadek natrafiają na cywilny radiowóz.

Gliniarze ich gonią i wzywają posiłki, które uderzają w momencie, gdy grupa chce zmienić samochód. Dochodzi do strzelaniny. Adnan i Juha giną. Trzeci koleś, Tommy, zostaje roślina.

Historia spójna w każdym calu. Nieważne, jak dokładnie zaplanuje się akcję, coś czasem może pójść nie po naszej myśli. Adnanowi zawsze się udawało. Tym razem szczęście się od niego odwróciło.

Atif podjął świadomą decyzję i zaakceptował ciąg zdarzeń, który mu przedstawiono, zanim jeszcze wylądował w Szwecji. Zdecydował, że nie będzie zadawał niepotrzebnych pytań. Że nie chce wiedzieć więcej niż potrzeba. Mimo to nie mógł zapomnieć słów Abu Hamsy.

Zazdrość jest niebezpieczna, chłopcy...

I chociaż Adnan w wiadomy sposób zarabiał na życie i miał tę niezmienną cechę, że złoto zamieniał w gówno, Atif mu zazdrościł. Zazdrościł mu wszystkich cech, których sam nie miał. Jego uroku, rodziny, bezgranicznej miłości mamy.

Czy ktoś w pobliżu Adnana mógł czuć podobnie? I postanowił zabrać mu coś lub kogoś? Czy chodziło o Cassandrę? Akurat w to ostatnie Atif mocno wątpił. Bez względu na motyw ktoś wsypał Adnana i pośrednio doprowadził do jego śmierci. Prawdopodobnie ta sama osoba, której gangsterzy z siłowni tak bardzo się boją.

Janus. Rzymski bóg o dwóch twarzach. Pan wejść, przejść i wyjść, bóg, który rozpoczynał wszystkie wojny i dbał, by się skończyły. Związany z bramami, furtkami, drzwiami, czasem i podróżami.

Atif otworzył oczy i podniósł wzrok. Samolot zamienił się w mały punkt, powoli tonął w ciemnym wieczornym niebie. Za kilka minut zniknie. Atif przekręcił klucz w stacyjce, wrzucił bieg i wyjechał z parkingu przy lotnisku.

## Jedenaście

Peter Molnar wyjrzał przez okno na odśnieżony dziedziniec komendy. Włożył do ust gumę do żucia, po czym zerknął na swój ciężki zegarek do nurkowania. Pięć minut po czasie, jak zwykle. Pieprzony Kollander.

Zagrywki szefa Wydziału Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej były równie przewidywalne, co irytujące. Trzeba było przyjąć taktykę Bergha – dla zachowania równowagi zawsze się spóźniać. Dyskretnie pokazać Kollanderowi środkowy palec.

– Możesz wejść, Peter – powiedziała sekretarka Kollandera i w tej samej chwili w drzwiach pojawił się też szef Wydziału Wywiadu Kryminalnego.

– Dzień dobry, Peter! – przywitał się Bergh, podnosząc okulary z oczu na zmarzniętą głowę. – Wiemy dlaczego? – zapytał, wskazując w stronę drzwi do biura komendanta. Molnar potrząsnął głową.

– Nie do końca, ale przed chwilą widziałem Oscara Wallina na korytarzu.

– Ożeż kurwa – mruknął Bergh. – No tak, to była tylko kwestia czasu, kiedy złoty chłopiec się pojawi. Posłuchamy, czego chce?

Jakbyśmy już nie wiedzieli, pomyślał Molnar. Bergh zapukał do drzwi i od razu je otworzył. Staffan Kollander siedział za swoim dużym biurkiem. Jak zwykle wyglądał schludnie – w idealnie wyprasowanej koszuli z ciężkimi spinkami w mankietach, które pasowały do złota w naramiennikach.

Molnar i Bergh dyskretnie wymienili spojrzenia. Żaden z nich nie miał na sobie munduru. Nie miała go też czwarta osoba w pomieszczeniu – jasnowłosa mężczyzna o chłopięcym wyglądzie pochylony nieco nonszalancko nad niską szafką archiwizacyjną.

– Dzień dobry, panowie – powiedział Kollander. – Chyba znacie nadinspektora Wallina?

– Tak, oczywiście. Cześć, Oscar! – Molnar i Bergh kiwnęli głowami w kierunku Wallina.

Przylizane włosy, buzia jak pupcia niemowlęcia, trzyczęściowy garnitur – pomyślał Molnar. Mała zmiana od czasu, kiedy pracowali razem. Ale kiedy to było? Dziesięć lat temu, dwanaście? Kurwa, zaczynał się starzeć. Musi się pilnować, żeby

nie skończyć jak Bergh – wypłowiwały grubas z bebechem tak dużym, że ledwo widzi fiuta, kiedy leje. Molnar nieświadomie się wyprostował i napiął dobrze wytrenowane mięśnie klatki. Ryzyko jest raczej niewielkie.

W każdym razie Oscar Wallin dobrze wykorzystał ostatnie lata. Przeszedł przez szkolenie w zakresie zarządzania, a dodatkowo zakuwał na uniwersytecie. Później międzynarodowe doświadczenie w Hadze, aż w końcu stanowisko w Centralnym Biurze Kryminalnym. Nic dziwnego, że minister sprawiedliwości Stenberg go wybrał, ulepiono ich z tej samej gliny. Ambitni, mierzący wysoko, medialni i wystarczająco bezwzględni, żeby dojść najdalej, jak to tylko możliwe.

Molnar wiedział, dlaczego Wallin zaszczyił ich swoją obecnością.

Jaki siew, taki plon...

– Usiądźcie. – Kollander zrobił gest w kierunku foteli naprzeciwko niego. – Ja i nadinspektor Wallin odbyliśmy ciekawą rozmowę. Przydzielone mu zadanie wygląda interesująco. Powiedziałem, że oczywiście oczekujemy od sztokholmskiej komendy owocnej współpracy.

Kollander zwrócił się do Wallina, który wciąż stał nachylony nad szafką.

– Oscar, masz ochotę powiedzieć coś więcej?

– Oczywiście, Staffan.

Wallin wyprostował się, zrobił kilka kroków i przysiadł na rogu biurka Kollandera. Powieka komendanta lekko drgnęła – to było krótkie mikromrugnięcie niezadowolenia. Molnar z trudem powstrzymał uśmiech.

– Minister sprawiedliwości Stenberg zlecił mi konkretne zadanie – zaczął Wallin. – Chodzi o zgromadzenie pod jednym dachem wszystkich kluczowych jednostek. Stworzenie narodowego centrum informacyjnego, w którym źródła będą na wyciągnięcie ręki, a nie rozproszone po całym kraju. Nie stać nas na wiele równoległe działających instytucji, które żyją własnym życiem.

– I czego od nas oczekujesz, Wallin? – przerwał Bergh.

Po raz drugi w ciągu minuty Molnar omal nie wybuchnął śmiechem. Cholerny Bergh! Obecnie był wprawdzie tylko biurwą, ale czasami odzywał się w nim prawdziwy pies. W swoim czasie Bergh był twardym skurwielem. Naprawdę twardym.

Wallin nie dał się zbić z tropu.

– Łowienia informatorów – odparł. – Na pewno wiecie, że różne oddziały w kraju mają swoich informatorów. Miastowe, klubowe, narkotykowe i wiele innych. Że nie wspomnę o starym miejscu pracy, a więc Centralnym Biurze Kryminalnym.

Wallin uśmiechnął się do Bergha, ale jego wzrok był lodowaty. Bergh poruszył się niespokojnie, ale podjął mądrą decyzję i się nie odezwał.

– Czasami ten sam informator puszcza cynk różnym opiekunom, czego oni nie wiedzą. W takiej sytuacji każda nietrafiona informacja od jednego informatora stwarza ryzyko przecenienia jej znaczenia, ponieważ potwierdza ją wiele jednostek, przy czym źródło jest to samo. Materiał traci w efekcie na wiarygodności, co do tego się zgadzasz, Bergh, prawda?

Wallin patrzył na Bergha jeszcze przez kilka sekund, odczekał, aż ten lekko kiwnie głową, po czym zwrócił się do Molnara:

– Poza tym zdarza się, że niektórzy opiekunowie chronią swoich wartościowych informatorów. Takich, których można efektywniej wykorzystać.

Tym razem to Molnar musiał udawać niewzruszonego. Użył innej strategii niż Bergh. Patrzył Wallinowi prosto w oczy i nie zamierzał spuścić wzroku.

– Dwóch z moich współpracowników pojawi się u was jutro – kontynuował Wallin. – Mają poświadczenie bezpieczeństwa najwyższego stopnia, więc oczekuję, że będziecie z nimi w pełni współpracować. W skrócie: potrzebujemy imion i danych kontaktowych wszystkich waszych informatorów. Wszystkich. Czy wyraziłem się wystarczająco jasno?

Zrobił pauzę, oczekując na odpowiedź Molnara. Twarz tego ostatniego nawet nie drgnęła. Wtrącił się za to Kollander.

– Oczywiście – powiedział i charknął. – Jak zaznaczyłem wcześniej, wszyscy jesteśmy gotowi do współpracy, Oscar.

– Tak, a więc tak to wygląda – powiedział Kollander, kiedy Wallin opuścił pokój. – Co o tym sądzicie?

– No ... – zaczął Bergh, lekko mrugnawszy do Molnara. – Czuliśmy, że o to chodzi. Nasza praca z informatorami stała na ostrzu noża, a nasze rezultaty mówią

same za siebie. Jak pewnie pamiętasz, Wallin próbował się tu zagnieździć, jeszcze kiedy pracował w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej. Teraz tak wyrobił sobie muskuły, że może żądać, zamiast zebrać.

– Hmm, myślałem właściwie o tym samym. Nasz minister sprawiedliwości zdaje się mieć dużo pomysłów. Ale zobaczymy, jak sprawy się ułożą. – Kollander poprawił się na krześle. – Ja i komendant wojewódzka Swensk zgadzamy się, że najlepszą strategią jest współpraca. Jednak nie musimy im od razu dawać wszystkiego. Przed świętami może warto sprawdzić, kto z kadry miał za dużo nadgodzin i kto potrzebuje kilku tygodni wolnego? – Kollander zrobił znaczącą minę.

Bergh przytaknął skinieniem głowy.

– Znam kilku chłopaków, którzy wymagają szkoleń. Etyka i równouprawnienie, ulubione tematy komendantki. Jak się na to zapatrujemy?

– Zgoda – odparł Kollander. – Od razu przygotuj papiery z późniejszą datą, a ja je podpiszę. – Zabębnił palcami w blat biurka. – Następny temat: David Sarac. Są jakieś wieści ze szpitala?

– Rozmawiałem dziś rano z lekarką – odparł Molnar. – Wszystko idzie w dobrym kierunku, obudził się, może się ruszać. Ma jednak duże luki w pamięci. Nie pamięta ani wypadku, ani tego, czym się zajmował w ostatnim czasie.

– Rozumiem. To, najłagodniej mówiąc, nieszczęśliwy wypadek. – Kollander splótł dłonie przed sobą. – Co mówi lekarka?

– Że na pewno mu się poprawi, ale nie sposób przewidzieć, jak bardzo. Niektóre luki w pamięci mogą pozostać. – Molnar spojrzał szybko na Bergha.

– A informator? Janus? – Kollander zwrócił się do Bergha, który w odpowiedzi potrząsnął głową.

– Od wypadku nie dał o sobie znać. Pewnie milczy, skoro nie ma kontaktu z Sarakiem. Czekaj, aż ktoś się do niego odezwie zwykłymi kanałami. W każdym razie takie instrukcje powinien dostać od Saraca.

– Rozumiem. – Kollander znów zabębnił w biurko. – A więc nie mamy jasności, dlaczegoteczka Saraca była pusta. I dlaczego nie mamy żadnych danych na temat prawdziwych tożsamości jego informatorów, czy to Janusa, czy któregokolwiek z pozostałych.

– Niestety nie – odparł Bergh.

Kollander znów uderzył palcami w biurko.

– Nie mamy więc wyboru. Musimy złożyć oficjalne zgłoszenie i pozostawić sprawę wewnętrznym. Dreyer zajmie się nią osobiście. Ale zanim to zrobimy, powinniśmy poinformować o incydencie komendant wojewódzką.

Jakbyś już tego nie zrobił – pomyślał Molnar. Operacja „Czysty próg” pewnie już czeka na linii startu.

– A więc musimy się przygotować na to, że będą chcieli usłyszeć, co wiemy o Saracu i jego metodach pracy. Ja oczywiście nie mogę się pochwalić rozległą wiedzą na ten temat – dodał Kollander. – Z tego co widzę, Sarac ignorował wiele naszych zasad. Traktował swoje sukcesy jako kartę przetargową, żeby mieć wolną rękę i wkładać w swoje zadania jak najmniej wysiłku. Może nawet zastanawialiśmy się nad jego przydatnością i przyszłością u nas? Jakies dokumenty, które to potwierdzają?

Kollander spojrzał na Bergha. Molnar zauważył, że kolega zaczął błędzić wzrokiem. Kurwa mać, mylił się. Operacja „Czysty próg” już ruszyła i Sarac miał być jej pierwszą ofiarą.

– Dobra, panowie! – Szef uderzył w blat biurka kilka razy, zaznaczając, że to koniec spotkania. Molnar odetchnął głęboko. Wyprostował się, próbując udawać tak spokojnego, jak to tylko możliwe.

– Jest inny powód, dla którego nie dotarliśmy do Janusa. Scenariusz, który musimy wziąć pod uwagę – powiedział.

– I jak on wygląda, Peter? – Kollander pochylił się nad biurkiem.

– Janus nie ma kontaktu z Sarakiem od trzech tygodni, więc musiał się zorientować, że coś się dzieje. Mógł wiele wywnioskować z doniesień prasy o policjancie rannym w wypadku samochodowym. Jeśli tak, to wie.

– Nie nadążam, Peter – wtrącił Kollander. – O czym wie?

– Że nie ma żadnej kopii zapasowej. Sarac jest jego jedynym kontaktem w policji. Jediną osobą, która zna jego tajemnice. – Molnar przejechał językiem po swoich równych zębach. – Pomyśl – dodał. – Janus znajduje się na szczycie przestępczej drabiny, to wiemy. Informacje, których nam dostarczał, przez dziesięć lat prowadziły

do największych akcji i wyrządziły zorganizowanej przestępczości poważne szkody. Innymi słowy, jest wiele osób, które chciałyby jego śmierci. Szczególnie w jego najbliższym otoczeniu.

Zrobił kilkusekundową przerwę, żeby przekaz dotarł i został przyswojony.

– Z własnego doświadczenia wiem, że tego typu informatorów nie rekrutuje się za takie psie pieniądze, jakie płacą władze, więc jedynym sposobem Saraca na zwerbowanie go było znalezienie na niego haka. Odkrycie tajemnicy, którą Janus chciał za wszelką cenę ukryć. Czegoś, co sprawiło, że wolał ryzykować życie, sypiąc przed policją, niż się z tym ujawnić.

W telefonie na biurku Kollandera zapaliła się lampka, ale ten jakby nie zwrócił na nią uwagi.

– Ale tajemnicę Janusa Sarac zachował dla siebie – kontynuował Molnar. – Z nikim się nią nie podzielił, nawet jej nie zapisał. A przynajmniej nic o tym nie wiemy. Wydaje mi się, że Janus zdał sobie z tego sprawę i postanowił wykorzystać sytuację. Może nawet zrobił to jeszcze przed wypadkiem Saraca.

– Co masz na myśli? – Kollander zmarszczył czoło.

Molnar kiwnął głową, a za nim Bergh.

– Musimy wziąć pod uwagę możliwość, że Janus po prostu nie chce zostać zdemaskowany. Że jest gotowy posunąć się bardzo daleko, by chronić swoją tajemnicę. Może nawet iść po trupach.



## Dwanaście

Sarac uchylił ostrożnie drzwi. Strażnik stał przy recepcji między windami na drugim końcu korytarza. Zagadywał jedną z pielęgniarek, powiedział coś, co ją rozśmieszyło. Szarozielony mundur, beret firmy Securitas na głowie. Pasek z krótkofalówką, pałka i kajdanki. Pewnie ma go ochraniać. Ale przed czym? Przed kim?

Ponownie rozłożył kartkę i przeczytał nową wiadomość na drugiej stronie.

**NIE JESTEŚ TU BEZPIECZNY!**

Podobnie jak w przypadku poprzedniej wiadomości nie pamiętał, kiedy to napisał. Ostatnie dni minęły jak w malignie. Tracił i odzyskiwał świadomość. Mgliście sobie przypominał, że był w toalecie i że ktoś dał mu zastrzyk. Reszta zginęła we mgle.

Znów śnił mu się zaśnieszony samochód i mężczyzna z wytatuowanym węzem. Czuł jego strach, słyszał jego głos i w końcu widział, jak umiera, kiedy kula uderzyła w tył jego głowy. Ale nie pojawiły się żadne szczegóły, nic, co pozwoliłoby mu zrozumieć, co się, do cholery, dzieje. Kim jest mężczyzna, który trzyma pistolet. Ten diabeł na tylnym siedzeniu.

Czy to ten sam mężczyzna, który siedział w ciemności przy jego łóżku, szepczący o umowie i pachnący tabaką? Czy to się w ogóle wydarzyło, czy może raczej wszystko było efektem halucynacji spowodowanych migreną? Skłaniał się bardziej ku drugiej opcji, ale nie mógł być pewien. Nie w tym wypadku.

Sarac ponownie zerknął na kartkę. Atak migreny paradoksalnie mu służył. Poczuł się lepiej, miał lżejszą głowę. Ściągnął temblak, uwalniając lewą rękę. Bark wciąż go bolał, ale nadawał się do użytku. Prawa noga trochę uciekała, a na ramię po tej samej stronie też nie mógł liczyć. Mimo to był się w stanie przemieszczać o kuli, którą ktoś zostawił przy jego łóżku.

Otworzył wysoką szafkę i włożył na siebie to, co w niej znalazł. Dżinsy i skarpety były wyprane, bez żadnych śladów wypadku. Buty też znalazł. Bluzy z kurtką nie było, podejrzewał, że ratownik musiał je rozedrzeć na strzępy, więc pozostało mu zatrzymać koszulę szpitalną. Wpuścił ją w spodnie, żeby jak najmniej przypominać zbiegłego pacjenta.

Klucze i portfel leżały na najwyższej półce. Nie było tam jednak jego policyjnej

legitymacji. Pewnie któryś z kolegów z pracy się nią zajął, może Bergh. Wydawało się to logiczne.

Komórki też nie znalazł, co zaniepokoiło go bardziej niż brak legitymacji. W telefonie miał zapisane wszystkie kontakty i wszystkie połączenia sprzed wypadku. Informacje, które mogły mu pomóc coś sobie przypomnieć. Musi o nią zapytać Molnara, jakoś do niego dotrzeć, kiedy tylko wróci do swojego mieszkania.

Sarac usłyszał sygnał z windy i wyjrzał na korytarz. Wyszło z niej dwóch mężczyzn w ciemnych garniturach, jeden z nich od razu zaczął rozmawiać ze strażnikiem.

Poważne twarze, żadna z nich nie wydawała się w najmniejszym stopniu znajoma, ale domyślał się, że mówili o nim. Strażnik dość dokładnie wskazał jego drzwi. Sarac poczuł, jak skacze mu tętno. Nie wiedział, kim są ci mężczyźni, dla kogo pracują ani czego od niego chcą. Nie wiedział też, dlaczego ich pojawienie się wywołało u niego przyspieszone bicie serca.

Jednego był pewien, jednej klarownej myśli przebijającej się przez mgłę ostatnich pieprzonych dni, a mianowicie tego, że gdzieś w jego sponiewieranym mózgu znajdowała się odpowiedź na wszystkie pytania. Dlaczego się tu znalazł, co zdarzyło się przed wypadkiem, jaki jest powód jego wewnętrznego przekonania, że grozi mu niebezpieczeństwo. I to rychle.

„Gromadzę tajemnice”... Pytanie: czyje tajemnice?

Mężczyźni w garniturach ruszyli w stronę jego pokoju, a strażnik tuż za nimi. Na zewnątrz były schody przeciwpożarowe, odkrył je wcześniej. Sześć pięter w dół po stromych, pokrytych śniegiem metalowych schodach i lodowata poręcz – tylko po to, żeby wylądować w zaułku.

Usłyszał zbliżające się korytarzem głosy. Zrozumiał, że musi podjąć decyzję. Pociągnął jedno z prześcieradeł i otworzył okno. Zaatakowało go zimne nocne powietrze, zachłysnął się nim, wstrząśnięty. Zaczął szybko schodzić w dół, w ciemność. Jakoś mu to szło. Musiało!

Otworzyły się drzwi i obaj mężczyźni weszli do pokoju. Tuż za nimi strażnik. Rozejrzeli się i zobaczyli puste łóżko, a obok uchylone okno.

– Kurwa! – syknął wyższy. – Zwiął.

Mężczyzna ruszył w kierunku okna i wystawił głowę. Daleko na dole dostrzegł coś migoczącego na białło.

– Schody przeciwpożarowe! – krzyknął przez ramię. – Ja pójdę tędy. Osaczymy go w uliczce.

Przełożył nogę przez parapet i wyszedł na zewnątrz, podczas gdy strażnik i drugi mężczyzna ruszyli biegiem w stronę wind.

Po jakiejś minucie Sarac uchylił ostrożnie drzwi od szafy i wyszedł z niej. Jęknął, kiedy ciało nagle odmówiło posłuszeństwa. Chwycił kulę, zmusił palce prawej dłoni, by oplotły plastikowy uchwyt, po czym wyjrzał na korytarz.

Z wyjątkiem pielęgniarki w recepcji na końcu było pusto. Siedziała zwrócona do niego plecami i wydawała się zajęta rozmową przez telefon.

Wyszedł ukradkiem z pokoju i skierował się w stronę szklanych drzwi w głębi korytarza.

Przywitała go kartka z odręcznym napisem: „Oddział chwilowo zamknięty”.

Sarac dotknął drzwi, otwarte – pewnie ze względów ewakuacyjnych. Niesamowite szwedzkie przepisy BHP. Przemknął szybko do środka i ruszył małym przejściem, które prowadziło do kolejnych szklanych drzwi.

Kolejny oddział przypominał ten, na którym leżał, z tą różnicą, że wszystkie lampy były pogaszone. Tylko słabe rozproszone światło zza okna i lampy nad wyjściem ewakuacyjnym wskazywały drogę wzdłuż korytarza. Poza tym panowała cisza. Żadnych głosów, żadnych telefonów ani syczących i piszczących maszyn. Grobowa cisza, którą po kilku sekundach przerwał sygnał karetki. Musiał się spieszyć, do tego momentu koleś na schodach przeciwpożarowych na pewno znalazł prześcieradło i zrozumiał, że zostali wykiwani.

Sarac kuśtykał w kierunku wind tak szybko, jak tylko potrafił. Robił wszystko, żeby ciało pomagało mu w tym. Po plecach spływał mu pot. Zaskakujące, że coś tak oczywistego jak robienie kroków nagle stało się czymś tak cholernie trudnym.

Kiedy brakowało mu zaledwie kilku metrów do wind, jedna z nich piknęła. Zaświeciła się kontrolka ze strzałką w górę, a między drzwiami dało się zauważyć smugę światła. Ktoś miał za chwilę wyjść. Ktoś, kto zacząłby się zastanawiać, co on

tu robi, i zapewne stawiać pytania, na które nie mógłby odpowiedzieć. Sarac rozejrzał się, zauważył mały stół recepcyjny i ukrył się za nim. Przyciągnął do siebie kulę i próbował zignorować reakcję organizmu. Na podłodze kilka metrów dalej dostrzegł prostokątne odbicie światła, które rozrosło się, gdy drzwi windy się otworzyły. W środku tego oświetlonego pola zarysowała się ciemna sylwetka mężczyzny.

Sarac wstrzymał oddech. Czekał.

Mężczyzna wyszedł z windy i przez kilka sekund stał w miejscu, jakby chciał się zorientować w terenie. Jego cień przykrył niemal całe pole światła, przez co wydawał się olbrzymi. Sięgał Saraca, który poczuł nagłe przyspieszenie tętna i przylgnął do biurka. Ciało było obolałe, głowa mu pękała. Przed oczami błyskały obrazy wspomnień, znikwały, zanim zdołał je rozpoznać. Migające niebieskie światło, gra cieni na drodze w tunelu.

Słyszał kroki, gdy mężczyzna zaczął się przechadzać. Dostrzegł zieloną koszulę lekarską na szerokich plecach. Większość głowy zakrywały zielona czapka i coś, co przypominało maskę chirurgiczną.

Sarac ostrożnie się wychylił, żeby lepiej przyjrzeć się mężczyźnie. Śledził jego kroki w kierunku drzwi prowadzących na oddział, z którego Sarac przyszedł. Lekarz idący na skróty? Nic dziwnego. Jednak koszula na jego plecach wyglądała na tak ciasną, jakby nie pasowała. Rękawy i nogawki wydawały się ponadto za krótkie. Sarac mógł wprawdzie mieć przywidzenia spowodowane cieniami i słabym oświetleniem, ale czy lekarz chodzi po oddziale w czarnych traperkach?

Mężczyzna wyglądał znajomo – te kontrolowane ruchy, ten lekki sposób poruszania się. W jednej chwili Sarac zrozumiał. Dokładnie jak faceci w garniturach ten mężczyzna też go szukał. Ale dlaczego? I kim był?

Znów wróciły obrazy w pamięci. Głosy, migające cienie. Ciemna sylwetka w kącie pola widzenia.

Sarac przełknął ślinę. Zabrzmiało to głośniejszy, niż się spodziewał, jak gdyby krtani dotknęła struny głosowej. Po korytarzu odbiło się echo. Mężczyzna przystanął tuż przed drzwiami. Odwrócił lekko głowę w kierunku Saraca i zdawał się nasłuchiwać. Sarac schował szybko głowę. Przywarł do stołu recepcyjnego, próbując się wtopić w ciemność. Zagryzł górną wargę, wstrzymując oddech.

Było cicho. Brak tlenu sprawił, że Saracowi zrobiło się ciemno przed oczami. Tętno waliło w uszach. Między uderzeniami pobrzmiwały głosy.

- Twoje tajemnice za moje.
- Ogarnij ten pieprzony burdel!
- Sam diabeł...

Gruba podeszwa przejechała po podłodze, wydając przenikliwy pisk, po czym powoli otworzyły się drzwi.

## Trzynaście

Atif mógł oczywiście zadzwonić. Umówić spotkanie i usiąść przy stole jak przyjaciel ze starym przyjacielem. Ale zaskoczenie zawsze działa lepiej, zwłaszcza jeśli poszukuje się prawdy. Choć nie wiadomo, czy w tym wypadku znalezienie jej było możliwe.

Spotkał w życiu wielu, którym się wydawało, że są nosicielami prawdy. Kiedy jednak przechodziło się do szczegółów, bez względu na to, jakich środków przymusu się użyło, prawda okazywała się tylko subiektywną interpretacją. Prawdziwa prawda, ta obiektywna, była nieosiągalna. Jedyne, co pozostawało, to żywić nadzieję, że uda się do niej zbliżyć tak bardzo, jak to tylko możliwe.

Abu Hamsa tradycyjnie czytał gazetę przy swoim stoliku. Kilka miejsc dalej siedział potężny mężczyzna z kalafiorowatymi uszami i bawił się telefonem. Kiedy zobaczył Atifa, wstał i zagroził mu drogę.

– Czego chcesz? – mruknął.

Mężczyzna był o głowę niższy od Atifa, miał pewnie około metra osiemdziesięciu, ale napakował się tak mocno, że mógł się wydawać większy. Obniżył głowę, napiął szeroki kark. Czekał, aż Atif coś powie i albo się wycofa, albo da mu powód do ataku.

Ale Atif grał w to już wiele razy. Zamiast się odezwać albo coś robić, zignorował faceta i ruszył w kierunku Abu Hamsy. Wzrok pakera zaczął błędzić, Atifowi zdawało się nawet, że słyszy, jak we łbie koleś trzaskają trybiki, bo nie wie, co zrobić.

– Nie miałeś dziś samolotu, przyjacielu? – wyrzucił z siebie Abu Hamsa, zamykając gazetę. Skinął przy tym głową w kierunku goryla, który poczerwieniały na twarzy błędził ręką przy pasku spodni z tyłu.

Atif podszedł do stolika Abu Hamsy, wysunął krzesło i usiadł.

– Nigdy nie potrzebowałeś ochroniarzy – zauważył Atif.

Abu Hamsa wzruszył ramionami.

– Mamy inne czasy. Trudniej rozpoznać, komu można zaufać. – Zrobił pauzę, żeby się przyjrzeć Atifowi. – Co mogę dla ciebie zrobić, przyjacielu? To raczej nie jest grzecznościowa wizyta.

– Janus – odparł Atif. – Jaki związek ma Janus ze śmiercią mojego brata?

Abu Hamsa zrobił wszystko, żeby utrzymać na twarzy maskę, i prawie mu się to udało. Przez trzydzieści, czterdzieści lat zabaw w klubach hazardowych wytrenował sobie twarz pokerzysty. W kąciu ust pojawiło się tylko lekkie drgnienie, które poruszyło wąsy, i tyle. Mężczyzna złożył gazetę i powoli się rozejrzył.

– Drogi Atifie – zaczął, robiąc grymas, jakby słowa, które miał wypowiedzieć, nie chciały mu przejść przez gardło. – Jeśli naprawdę chcesz na ten temat porozmawiać, muszę przedsięwziąć pewne... środki bezpieczeństwa, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Myślisz, że mam mikrofon? – zapytał Atif.

– Niczego takiego nie powiedziałem – odparł mężczyzna. – Ale po siedmiu latach pojawiaasz się znikąd i zaczynasz zadawać pytania. Pytania o bardzo poważne sprawy, takie, o których nie powinieneś wiedzieć. Ponadto, jak wiesz, chodzą o tobie słuchy. Niektórzy uważają, że twoja lojalność... – Abu Hamsa zrobił ręką krótki gest, jakby chciał znaleźć odpowiednie słowo. – Że można ją podważyć.

Atif siedział cicho. Gdyby ktoś mówił tak do niego siedem lat temu... Oczywiście czysto hipotetycznie – wtedy nikt nie odważyłby się zwracać do niego w ten sposób. Nawet Abu Hamsa.

Wstał i zdjął kurtkę.

– Dobra, sprawdzaj!

Hamsa patrzył na niego przez parę sekund, po czym zwrócił się do ochroniarza:

– Eldar, bądź tak miły i sprawdź naszego gościa. I zrób to grzecznie – dodał.

Goryl podszedł do swojego zadania z pełną powagą. Sprawdzał każdą kieszeń, odchylił podkoszulek, a nawet podciągnął nogawki. Robił to wszystko, próbując utrzymać grę spojrzeń. Gapił się zawistnym wzrokiem na Atifa, usiłował go sprowokować. Oczekiwał, że powie albo zrobi coś, co da mu szansę odzyskać twarz w oczach szefa.

Ale Atif wciąż go ignorował, jakby był jedną z tych jaszczurek, które gapiły się na niego z sufitu jego sypialni. Małym insektem niewartym jego uwagi.

– Jest czysty – mruknął w końcu ochroniarz.

– Dziękuję, Eldar – odparł Abu Hamsa. – Możesz nam teraz przynieść po kawie?

Goryl jeszcze raz obrzucił Atifa spojrzeniem i odszedł.

Abu Hamsa zasygnalizował Atifowi, żeby ten znów usiadł, po czym pochylił się nad stolikiem.

– To, o co pytasz, to grubsza sprawa.

Atif nic nie powiedział.

– Ale w imię naszej przyjaźni i przez szacunek dla twojego zmarłego brata mogę cię wtajemniczyć. Powinieneś jednak wiedzieć, że taka wiedza ma swoją cenę.

Atif ruszył lekko głową, co można było zinterpretować jak skinienie.

– Świetnie, przejdę do sedna. – Abu Hamsa zrobił głęboki wdech i zdawał się zastanawiać nad tym, jak ma zacząć. – Kilka lat temu ja i wielu moich partnerów biznesowych zaczęliśmy się zmagać z pewnym problemem. Wygląda na to, że ktoś, komu ufamy, ktoś z naszego najbliższego otoczenia, pracuje dla policji.

– Kret? – Atif wzruszył ramionami. – Przecież to nie pierwszy raz.

– Nie, zgadza się. – Abu Hamsa przejechał palcami po wąsach. – Ale w tym wypadku było inaczej. Nie mówimy o zwykłym, drobnym krecie, ale o wysoko postawionym współpracowniku. O kimś, kogo znamy i komu ufamy. O infiltratorze, który wykorzystuje swoją pozycję i wiedzę, by wyrządzać nam duże szkody. Ogromne... – Abu Hamsa zbliżył się jeszcze bardziej do Atifa. – Policja bardzo się o niego boi i nie robi żadnych pochopnych ruchów. Najgorsze, co mogłoby ich spotkać, to ujawnienie go i doprowadzenie jako świadka przed sąd, dlatego kłamią w doniesieniach. Ukrywają, skąd mają informacje, i maskują wszystko tak dobrze, że ciężko znaleźć jakiegokolwiek ślady prowadzące do konkretnej osoby.

Przerwał na chwilę.

– Wszystko jest oczywiście nielegalne, szwedzkie prawo zabrania infiltracji. Nasi adwokaci pracują nad sprawą, ale niestety nie sposób niczego udowodnić, dopóki nie poznamy tożsamości wtyki. Wszystko, co udało nam się do tej pory zdobyć, to jego pseudonim.

– Janus – wtrącił Atif.

Abu Hamsa przytaknął.

– To w zasadzie wszystko, co wiemy. Janus jest niesamowicie tajemniczy. Jego prawdziwa tożsamość jest znana tylko bardzo wąskiemu gronu. Nasze zwyczajne kanały w policji na nic się nam w tej sprawie nie zdały. Większość nigdy nawet o nim



nie słyszała.

Abu Hamsa zmarszczył czoło.

– Ten wrzód kosztował nas dużo pieniędzy, zarówno w wyniku akcji policji, jak i straconych możliwości. Strach się rozprzestrzenia, prawie nikt nie chce z nami robić interesów. Nawet starzy przyjaciele już sobie nie ufają, a kiedy tylko wspomni się Janusa, wszyscy zaczynają się bać własnego cienia. Nikt nie chce ryzykować i w żaden sposób być z nim kojarzony, bo to oznacza poważne niebezpieczeństwo.

Atif zamyślił się na kilka sekund.

– Czy to Janus wsypał Adnana? – zapytał następnie.

Abu Hamsa przejechał palcem wskazującym po wąsach.

– A jak myślisz? Stwierdzenie, że tak doświadczeni chłopcy jak Adnan i jego grupa zapomnieli ściągnąć maski podczas ucieczki, nie brzmi wiarygodnie. Poza tym ciąg zdarzeń nie zgadza się z wersją policji.

– Też mi to przyszło do głowy – dodał Atif. – Opowieść o gliniarzach po cywilnemu, którzy sprowadzają tam uzbrojone po zęby posiłki w mniej niż dziesięć minut, po prostu się nie klei.

Eldar przyszedł z tacą, położył ją na stole i wrócił na swoje miejsce.

– Janus ma dużo na swoim sumieniu – powiedział Abu Hamsa. – Znacznie gorsze zdarzenia niż śmierć twojego brata. Jest zagrożeniem dla całej naszej działalności, dlatego dużo wydajemy, żeby go dopaść. W tej sprawie panuje wśród nas pełna zgoda. Wszystkie metody są dozwolone, żadne koszty czy ofiary nie są za wielkie.

Mężczyzna pociągnął ostrożnie łyk kawy.

– Rozumiem – odparł Atif.

Abu Hamsa potrząsnął głową.

– Nie, obawiam się, że niestety nie, a przynajmniej nie do końca. Ale teraz, kiedy wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, chciałbym cię prosić o przysługę.

– Jaką?

– Musisz się od tego trzymać z daleka, nie możesz zadawać więcej pytań i przede wszystkim nie wolno ci nikomu wspominać jego imienia.

Abu Hamsa przerwał, jakby oczekiwał reakcji. Ale Atif milczał.

– Mamy wejście – kontynuował starzec niskim głosem. – Doskonałą okazję

rozwiązania problemu raz na zawsze. Ale akurat teraz sprawa jest bardzo delikatna. Bardzo. Za duże interesy za tym stoją, żeby...

Abu Hamsa zrobił krótki gest filizanką.

– ...podejmować niepotrzebne ryzyko – dokończył Atif.

– Cieszę się, że się rozumiemy, przyjacielu – kiwnął głową Abu Hamsa.

– Dlatego nie opowiedziałeś mi o tym w trakcie pogrzebu?

Abu Hamsa wzruszył ramionami.

– Chyba nie miałem wyboru. Jak już powiedziałem, żadna cena nie jest za duża, żeby odnaleźć Janusa. Prawda nie zmniejszy twojej straty ani nie przywróci Adnana do życia. Oczywiście przepraszam, że musiałem ukryć przed tobą całą sprawę.

Atif obracał swoją filizankę, zastanawiając się.

– A więc chcesz, żebym wrócił do Iraku? – zapytał. – Żebym o tym zapomniał? O facecie, który wsypał mojego brata, zaciągnął go w ślepią uliczkę i właściwie doprowadził do jego śmierci?

– Wiem, że moje życzenie może się wydawać niezrozumiałe. – Abu Hamsa wykrzywił twarz. – Ale, jak już wspomniałem, taka wiedza kosztuje. Opowiedziałem ci wszystko, co chciałeś wiedzieć, nawet nie pytając, skąd znasz ten pseudonim. Oczywiście tylko od ciebie zależy, co zrobisz. – Starzec pochylił się nad stołem i obniżył głos do świszczącego szeptu. – Musisz jednak zrozumieć, przyjacielu. Osoba o twojej renomie zaczynająca zadawać pytania o sprawy, których nie powinna znać, budzi niepokój i przyciąga niepotrzebną uwagę. Taka osoba stanowi ryzyko. A my, niestety, nie możemy sobie na nie pozwolić.

## Czternaście

Już w przedpokoju Sarac poczuł, że coś jest nie tak. Jakby w mieszkaniu była jakaś zła energia. Powietrze zatęchło, czuć było mieszaną słodkawego zapachu śmieci, zgnilizny i czegoś jeszcze. Czegoś dobrze znanego, a jednocześnie niepokojącego.

Po omacku znalazł włącznik na ścianie, postanowił jednak nie zapalać światła. Zamiast tego odczekał, aż oczy przyzwyczają się do mroku. Na podłodze leżała porozrzucana korespondencja. Przemieszane gazetki reklamowe, listy i ulotki.

Jak długo go nie było? Około trzech tygodni. Ale wydawało się, że znaczna część tego bałaganu musiała powstać wcześniej. Pewnie dałoby się logicznie dojść kiedy. Teraz jednak nie było go stać na logiczne myślenie. Był całkiem wyczerpany. Dotarcie do szpitalnego wyjścia, wgramolenie się do taksówki i wdrapanie się po schodach do mieszkania sprawiło, że znalazł się na granicy swoich możliwości. Oddychał ciężko, dudniło mu w głowie, a szpitalna koszula wisiała mu na plecach jak mokry żagiel.

Powoli, powłócząc nogami, wszedł do dużego pokoju. Tutaj również nie włączył lampy. Dopiero po chwili dotarło do niego, że to dobra decyzja, jeśli nie chciał, by z ulicy było widać, że jest w domu.

Niemal przez minutę stał nieruchomo na środku pokoju, by oczy przyzwyczyły się do mroku, a mózg zdołał przetworzyć to, co widział. Rolety były opuszczone, na podłodze walały się puste kartony po pizzy, stare gazety i ubrania. Wszystkie poduszki leżały na jednym końcu sofy i wyglądały tak, jakby ktoś porozpruwał je nożem. Tak samo było ze stelażem kanapy, z której wystawały gąbka i płyty wiórowe. Na stoliku królowały butelki po alkoholu i przepełniona popielniczka, a na środku leżała szklana fajka wypełniona ciemną substancją. Metamfetamina, stwierdził zadowolony, jakby ucieszył go sam fakt, że jego mózg działa, a niekoniecznie to, co właśnie zobaczył.

Jeszcze większy smród panował w kuchni. W zlewie było pełno brudnych naczyń, a na kuchence stał plastikowy pojemnik z gotowym daniem do odgrzania, które pokrywała pleśń. Do tego więcej prowizorycznych popielniczek oraz zalatujący trupem kubeł na śmieci. Ale przecież nie palił, do cholery? A może jednak?

W głowie mu dudniło, ledwo mógł utrzymać oczy otwarte.

Materac w sypialni został zrzucony na podłogę, a rozpruty materiał wskazywał na to, że spotkał go ten sam los co kanapę. Wszystkie szuflady komody były wysunięte, a ich zawartość rozsypana po pokoju. To samo dotyczyło ubrań z szafy. Sarac usiadł na krawędzi łóżka i bezskutecznie próbował pojąć, co tu się stało. Upłynęło kilka minut, nim odkrył wiadomość zapisaną na ścianie. Czerwone, rozstrzelone litery: STRZEŻ TAJEMNICY!

Pod nimi znajdował się symbol, dwie litery J zawinięte i zwrócone ku sobie.



Mężczyźni nawet nie starali się ukryć. Wystarczyło, że Atif uchylił roletę w swoim pokoju hotelowym, w którym panowały spartańskie warunki, i od razu dostrzegł ich samochód. Ciemną terenówkę zaparkowaną kawałek dalej na ulicy. Jeden z nich stał na chodniku kilka metrów obok i palił. Ubrany był w dżinsy i wojskową kurtkę, model z mnóstwem kieszeni, który szczególnie upodobali sobie policjanci w cywilu. Mężczyzna miał na szyi podwójnie owiniętą arafatkę oraz czapkę mocno nasuniętą na czoło. Chłód sprawiał, że przestępował z nogi na nogę.

Atif zastanawiał się, kim byli. Zarówno samochód, jak i ubranie mężczyzny kojarzyło mu się z policją. Pomyślał o Bengtssonie, tym małym, grubym glinie, który go przesłuchiwał. Pewnie zrobił jakieś notatki podczas ich rozmowy i dopilnował, żeby trafiły do kartoteki.

Mimo że hotel przy lotnisku był dość obskurny, i tak wymagali dokumentu tożsamości, a on posłusznie okazał swój paszport i odczekał, aż recepcjonistka wprowadzi jego dane do komputera. Może to wystarczyło?

Jednak bardziej prawdopodobne wydawało się to, że mężczyznę na dole przysłał Abu Hamsa. Ochroniarzowi zajęło trochę czasu, żeby przynieść im kawę. Wszystko, co musiał zrobić, to krótko porozmawiać przez telefon. Dopilnować, żeby ktoś śledził samochód z wypożyczalni, gdy Atif opuści restaurację.

Niczego nie zauważył, więc prawdopodobnie tamtejsze chłopaki były lepsze

w monitorowaniu, niż mu się wydawało. Ewentualnie mogli przymocować coś do jego samochodu, mały nadajnik GPS lub coś podobnego, co bez problemu można kupić w sklepie z elektroniką.

Psy czy gangsterzy? A może jedni i drudzy?

Mężczyzna przed siłownią, ten, którego nazywali konsultantem, z pewnością miał w sobie coś z gliniarza. Pozostali uczestnicy gangsterskiego spotkania mogli uchodzić za godnych reprezentantów swojej profesji. Paru z gangu motocyklowego, kilku gości ze Wschodu, jego stary przyjaciel, socjopata Sasja i w końcu sam Abu Hamsa, który z reguły reprezentował jedną lub kilka innych grup. Każdy zgrywał wyluzowanego, jakby miał nad wszystkim kontrolę. Ale Atif wyczuł strach w ich głosach, dostrzegł go w ich zmrużonych oczach, które bacznie wyglądały na parking.

Wszyscy byli prawdziwymi przestępcami, mającymi na sumieniu wielu ludzi. Zwykle nie cofali się przed niczym. A jednak wszyscy czegoś się obawiali. Po wysłuchaniu Abu Hamsy Atif zrozumiał czego. Ci faceci bali się, co się z nimi stanie, gdy zdrajca Janus okaże się jednym z ich ludzi. Kimś, komu ufali, kogo wtajemniczyli w swoje interesy, komu może nawet powierzyli tajemnice. Dręczył ich strach, każdego dnia coraz bardziej. Wpływał na ich ocenę sytuacji i zdolność podejmowania decyzji. Wcześniej czy później inni też to dostrzegą. Uznają ich strach za oznakę słabości i zaczną działać.

Jedyną szansą na przeżycie była współpraca. Musieli zapomnieć o dzielących ich różnicach zdań i wspólnie ułożyć te układankę, jednocześnie patrząc sobie na ręce. Czekali, aż ukaże się najważniejszy element, który doprowadzi ich do Janusa. Gdy tylko się to stanie, plan gry się zmieni i wszystkie obietnice i ustalenia przestaną się liczyć. Wszyscy o tym wiedzieli.

Janusa można było również użyć jako broni, ciosu ostrym nożem w samo serce organizacji, do której należał. Nic dziwnego, że mężczyźni w siłowni byli zdenerwowani. Ta gra wymagała wysokich nakładów.

Jedyną osobą, która nie wydawała się przytłoczona zaistniałą sytuacją, był konsultant. Nie miał się czego obawiać i, co sam przyznał, dzięki temu mógł się sprawdzić w roli tropiciela. Ale kim tak naprawdę był? Tablica rejestracyjna jego range rovera nic nie mówiła oprócz tego, że przyjechał samochodem leasingowanym

należącym do jakiejś spółki akcyjnej z siedzibą w Stuvście. Model i kolor były mniej więcej takie same jak samochodu zaparkowanego na ulicy. Co to mogło oznaczać?

Mężczyzna na dole rzucił niedopałek papierosa na chodnik, przydepnął go i stał nieruchomo przez kilka sekund, patrząc w górę, w okno Atifa. Następnie otworzył drzwi pasażera i wskoczył do samochodu. Światło wewnątrz samochodu nie zapaliło się, co świadczyło o tym, że facet nie należał do początkujących w swoim fachu. Tak też się Atifowi wydawało już w chwili, gdy dostrzegł ich wóz, później jedynie utwierdził się w tym przekonaniu. Osoby w samochodzie chciały, żeby je zobaczył, żeby zrozumiał.

„Nie możemy sobie pozwolić na takie ryzyko...”

Światła lotniska Arlanda były widoczne nad koronami drzew, a ruch na ciemnym niebie sprawił, że Atif podniósł wzrok. Kolejny samolot szykował się do lądowania. Hałas dobiegający z silników sprawił, że roleta musnęła jego dłoń.

Najwidoczniej Sarac zasnął. Sen dopadł go, kiedy siedział nad tym, co zostało z jego łóżka. Obudził go jakiś dźwięk, który nie ustawał. Szczęk drzwi połączony z metalicznym pobrzękiwaniem. Ktoś otwierał zamek. Kluczem. Może to ta sama osoba, która przeczesła jego mieszkanie i rozpruła meble.

Sarac wstał z wysiłkiem. Czuł, jak mu wali serce.

Powrót do domu był błędem. Wiadomo przecież, że kiedy dowiedzą się o jego zniknięciu, tu będą go szukać najpierw. Powinien był zawinąć się stąd od razu, kiedy tylko zobaczył, w jakim stanie jest mieszkanie. A on zasnął. Pieprzony idiota!

Kula leżała na podłodze, podniesienie jej kosztowało go sporo wysiłku. Musiał wiać, i to jak najszybciej.

Szczęk rozlegający się w przedpokoju przerwało głucho stuknięcie. Potem zapadła cisza. Ktokolwiek otworzył drzwi, musiał się zorientować, że blokuje je łańcuch. Na pewno się domyślił, że Sarac tu jest.

Sarac ruszył w stronę przedpokoju. Słyszał jego kroki, kula postukiwała o podłogę, ale miał to gdzieś. Dopadła go panika, jedyne, o czym myślał, to ucieczka.

W przedpokoju nadal panowała cisza. Pewnie ten ktoś stał na progu i zastanawiał się, co zrobi Sarac. Zasuwa podtrzymująca łańcuch przymocowana była zaledwie

dwiema śrubami. Wystarczyło porządnie kopnąć. Sarac wiedział o tym z doświadczenia.

Kto to był? Mężczyźni w garniturach, facet w za ciasnym zielonym fartuchu lekarskim? A może ktoś zupełnie inny?

Doszedł do kuchni, wysunął szuflady i zaczął szukać czegoś nadającego się do obrony. Znalazł nóż z długim, cienkim ostrzem, chwycił go lewą dłonią. Może to nie najlepsze rozwiązanie, ale nie mógł przecież, ot tak, stać sobie z kulą w ręce.

Wyjrzał do przedpokoju. Drzwi były uchylone, ale na klatce schodowej nie paliło się światło. Mimo to był pewien, że ktoś stoi za progiem. Ktoś, kto chce wejść do mieszkania. Odkryć jego tajemnicę.

Nagle w szparze pojawiła się dłoń w rękawiczce i zaczęła gmerać przy łańcuchu. Szarpała nim trochę, jakby sprawdzając jego wytrzymałość.

Sarac działał odruchowo. Ruszył przez przedpokój, uniósł nóż. Celował w środek, tuż nad grzbietem dłoni intruza. Tak by dłoń się cofnęła, a drzwi znów zamknęły. Zamarł z nożem w ręce. Czekał.

Ten ktoś musiał usłyszeć jego kroki i zmienił taktykę. Sarac usłyszał jakiś niezidentyfikowany odgłos dobiegający z klatki schodowej. Skrzypienie, jakby ktoś suwał gumową podeszwą po kamiennej posadzce. Potem tupot. Przez dłuższą chwilę było cicho.

Potem znów rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Sarac ścisnął nóż w rękę. Drzwi znów się uchyliły i, tak jak wcześniej, zablokował je łańcuch. Sarac zrobił krok do przodu. Ustawił nóż pod odpowiednim kątem. W szparze coś się poruszyło, pokazał się w niej zarys twarzy. Wtedy się zamachnął. Zbyt późno zauważył, że światło na klatce schodowej znów się pali.

Trafił we framugę, pięć centymetrów od szpary. Nóż omal nie wysunął mu się z dłoni.

– Co, u licha?! – rozległ się kobiecy głos.

## Piętnaście

– Halo, mama? To ja, Atif.

– Halo? – Po jej głosie poznał, że matka ma kiepski dzień.

– Jak się czujesz, mamó? Pielęgniarki są dla ciebie miłe?

– Jasne, wszyscy są tu bardzo mili.

– To dobrze. Wiesz, muszę jeszcze trochę zostać w Szwecji. Mam jedną sprawę do załatwienia, ale niedługo wrócę.

– Znalazłeś go?

– Kogo?

– Twojego młodszego brata! Adnan jeszcze nie wrócił ze szkoły. Obiecałeś, że go poszukasz. – Nagle głos jej się zmienił. Ożywiła się.

Matka się rozłączyła, zanim zdążył odpowiedzieć. Czasami tak robiła. Przez jakiś czas wydawało mu się, że to ze złości. Potem jednak uświadomił sobie, że po prostu zapominała, z kim rozmawia, a nie chciała się kompromitować pytaniami.

Włożył telefon z powrotem do kieszeni. Był wczesny ranek, mrok utrudniał dostrzeżenie czegokolwiek między wysokimi iglastymi drzewami. Na niebie widać było poświatę nad miastem, tworzącą nieprzeniknioną mgłę. Brakowało mu pustyni, przejrzystego, rozgwieżdżonego nieba. Próbował jednak sobie wmówić, że przecież ono jest tam na górze, że wkrótce czeka go powrót do domu.

Wyjął z kieszeni kurtki kamyk. Przez tysiące lat gładził go piasek pustyni, niwelując wszystkie ostre krawędzie, aż powierzchnia zrobiła się ciepła i aksamitnie gładka. Spakował kamyk do walizki. Udawał, że to prezent dla Tindry. Jednak już wtedy przeczuwał, co będzie musiał zrobić. Położył kamień na lodowatej ziemi i zrobił krok wstecz. Wykopany dół znów się napełnił. Nikt nie znajdzie kamienia, dopóki ziemia nie odmarznie.

– Obiecuję – wyszeptał sam do siebie. – Obiecuję, że go znajdę.

– Zwariował pan? Czemu chodzi pan po mieszkaniu z nożem?

Kobieta wpatrywała się w Saraca stojącego pośród bałaganu w przedpokoju. Musiał wyglądać jak psychopata. Szpitalna koszula, obandażowana głowa i kula



w ręce. Żeby nie wspomnieć o nożu, którego przed chwilą omal nie wbił jej w twarz. Teraz ukrył go za nogą, nie chciał pozbywać się broni, dopóki nie będzie pewien, czy ma do czynienia z przyjacielem, czy z wrogiem. Jednak, choć z początku zaskoczona, kobieta zdawała się nie przejmować nożem.

Otworzył jej drzwi, przede wszystkim po to, by nie zaczęła krzyczeć lub dzwonić na policję. Ani się obejrzał, a już weszła do środka. Stali teraz razem w przedpokoju.

Jej twarz wydawała się znajoma. Rude włosy, piegi, kolczyk w nosie, między dwadzieścia pięć a trzydzieści lat. Ani wysoka, ani niska. Raczej solidnej budowy, co dodatkowo podkreślała puchowa kurtka. Na dłoniach miała wełniane rękawice z jednym palcem. Nie czarne skórzane, zatem to nie ona próbowała się przed chwilą do niego dostać. Dlaczego się tu jednak pojawiła i skąd miała klucze do jego mieszkania?

– Kim pani jest? – Ostrożnie przesunął palcami po schowanym z tyłu nożu.

– Nazywam się Natalie. – Szybko zamachała mu przed nosem plastikowym identyfikatorem, z którego Saracowi udało się jedynie odczytać nazwę firmy. Jednak energia tej kobiety i jej postawa wystarczyły, by nieco się uspokoił. Sposób, w jaki do niego mówiła, jej zdecydowany ton. Trochę przypominała doktor Vestman, choć nie miała na twarzy tego współczującego uśmiechu.

– Przydzielono mnie do opieki nad panem. Spotkaliśmy się niedawno w szpitalu – dodała.

Sarac uśmiechnął się niepewnie, nie wiedział, jak powinien zareagować. Opiekunka, tak, tak właśnie brzmiała. Niewątpliwie skądś ją kojarzył, nie umiał sobie jednak przypomnieć, gdzie się spotkali.

Kobieta popatrzyła na niego, po czym wyciągnęła z kieszeni zwinięty w rulon plik dokumentów.

– Rozmawialiśmy z doktor Vestman – powiedziała. – Przeglądaliśmy pański plan rehabilitacji. Podpisał się pan tutaj.

Sarac wziął od niej dokumenty, ale zauważył, że kartek jest dużo. W górnym rogu widniało takie samo logo jak na jej identyfikatorze, zaś pod spodem słowa zlewały się w niemożliwą do ogarnięcia masę. Paragraf za paragrafem na temat usług, odpowiedzialności, godzin, zapasowych kluczy.

– Strona trzecia na dole – powiedziała kobieta.

Sarac przewrócił kartki. Znalazł rubrykę z podpisami. Zobaczył swój, wprawdzie nieco chwiejny, ale niewątpliwie autentyczny. Obok zapisane było też inne nazwisko.

– Natalie Aden – wymamrotał.

– To ja. Lekarz mówił, że nie wypiszą pana przed przyszłym tygodniem. Chciałam więc przygotować mieszkanie. Posprzątać, zrobić zakupy i tym podobne. Lubię wcześniej wstawiać.

Natalie zmarszczyła czoło. Wyjęła z kieszeni pomadkę ochronną i posmarowała usta.

– Nie przypomina pan sobie naszego spotkania, prawda?

– N-niestety nie.

Sarac zorientował się, że drzwi nadal są uchylone. Światło na klatce znów zgasło.

– Spotkała pani kogoś?

– Niby gdzie?

– Na schodach, kiedy pani wchodziła. Widziała pani kogoś?

Natalie popatrzyła na niego, jakby zastanawiała się, o co mu chodzi.

– Nie – odparła. – A ktoś tu był? Czy to dlatego trzyma pan w ręku nóż?

Nie odpowiedział, chyba zrozumiała.

– Paranoja to jeden z częstych skutków ubocznych udaru – dodała cicho. – To dlatego, że mózg zaczyna inaczej interpretować różne rzeczy. Pokazuje obrazy, które nie do końca da się połączyć z rzeczywistością.

Sarac zerknął na uchylone drzwi i w mrok na klatce schodowej. Przez chwilę wydawało mu się, że coś słyszy z mieszkania piętro wyżej. Krótki zgrzyt, jakby ktoś przesunął gumową podeszwą po kamiennej posadzce.

– Ma pani samochód?

Sarac gmerał w portfelu, próbując z niego wyciągnąć kartę wejściową, która utknęła za prawem jazdy. Kawałek plastiku za nic nie chciał współpracować, więc Saracomal nie upuścił kuli na podłogę. Mimo że nasunął czapkę na czoło, by zakryć obandażowaną głowę, strażnik i tak go rozpoznał. Wcisnął guzik i otworzył wejście dla niepełnosprawnych. Sarac wahał się przez kilka sekund, postanowił jednak

skorzystać z tego ułatwienia. Zmusił się, by przechodząc, przyjaźnie skinąć do strażnika. Tutaj przynajmniej będzie bezpieczny, choć nadal nie wiedział, kto i co mu grozi.

– Witam – powiedział strażnik. – Ranny ptaszek, co?

Sarac podszedł do wind, ale kiedy już wsiadł do jednej z nich, opadły go wątpliwości. Na którym piętrze pracował? Mógł się oczywiście wychylić i przeczytać na tablicy umieszczonej przy przyciskach. Nie zrobił tego jednak, tylko zamknął oczy, a potem szybko je otworzył i wcisnął pierwszy lepszy guzik. Z czwórka. W lustrze dostrzegł zarys swojej twarzy. Tylko niebieskie oczy wyglądały jak kiedyś. Cała reszta – nos, dołek w brodzie, nawet usta i zęby – wydawała się obca. Jakby należały do kogoś innego, jakiegoś wychudzonego sobowtóra z dziurami zamiast oczu.

Drzwi windy się otworzyły. Kilka metrów dalej przy wejściu widniał napis „Biuro Śledcze Wojewódzkiego Wydziału Kryminalnego” – to dodało mu nieco otuchy. Przynajmniej nie zapomniał, gdzie pracuje. Pomyślał o Natalie, która go tu podrzuciła. Jak mógł nie pamiętać, że przydzielono mu osobę do opieki?

Czytnik zaakceptował jego kartę bez problemu i Sarac znalazł się w skromnie oświetlonym korytarzu. Między rzędami brązowych drzwi do gabinetów ciągnęła się beżowa wykładzina. Na korytarzu panowała martwa cisza. Nic dziwnego, było dopiero wpół do siódmej rano. Sarac musiał jednak jak najszybciej opuścić mieszkanie, uciec temu, kto go ścigał, ktokolwiek to był.

Podczas krótkiej przejażdżki miał czas do namysłu. Tylko utwierdził się w swoich podejrzeniach. To pewnie facet przebrany za lekarza próbował dostać się do jego mieszkania. Kim jednak był? Czego od niego chciał? Czy to on wyrócił wszystko do góry nogami i napisał wiadomość na ścianie? Ten ktoś stojący na klatce schodowej miał klucze, to się wydawało logiczne. No i ten symbol. Dwa „J” zwrócone do siebie. Co to, do cholery, miało oznaczać? Na jaki sekret chciał go naprowadzić ten ktoś?

Odpowiedź powinna się znajdować tutaj, w jego gabinecie. Musiał jedynie przeszukać biurko, wtedy wszystko się wyjaśni.

Ostrożnie zrobił kilka kroków naprzód. Po obu stronach drzwi były pozamykane, wisały na nich białe tabliczki z niebieskimi literami. Kojarzył wypisane na nich nazwiska, oczyma wyobraźni starał się je połączyć z twarzami.

Miał wrażenie, że niemal widzi poprzez drzwi siedzące w gabinetach osoby. Niemal słyszy ich głosy. Każdy inny, ale łączył je podobny ton. Rzeczowy, pełen szacunku.

Iluzja zniknęła równie szybko, jak się pojawiła. Cisza i słabe oświetlenie w korytarzu popsuły mu nastrój.

Jego uwagę zwróciła jedna z tabliczek: „Komisarz Kjell Bergh – kierownik wydziału”. Sarac się zatrzymał. Ostrożnie sprawdził klamkę. Zamknięte. Tak samo kolejne drzwi. Tu każdy pilnował swoich...

Tajemnic.

Słyszając jakiś szmer, Sarac się obrócił, puls mu przyspieszył. Jednak na korytarzu było pusto. Mogło się w nim znajdować co najwyżej jakieś widmo wytworzone przez jego skołowaną głowę.

Kiedy już prawie dotarł do końca korytarza, odruchowo skręcił w lewo i zatrzymał się przed ostatnimi drzwiami. Choć nie wisiała na nich żadna tabliczka, wiedział, że to jego pokój.

Wyłuskał z kieszeni pęk kluczy i od razu znalazł ten właściwy. Zanim położył rękę na klamce, zerknął jeszcze przez ramię. Pokój był mały, miał najwyżej dziesięć metrów kwadratowych. Pod jedną ścianą stały biurko z krzesłem, dwa regały i komoda z szufladami. Do tego okno z zaciągniętymi żaluzjami, i tyle. Najwyraźniej nigdy nie zadał sobie trudu, by jakoś ozdobić to wnętrze. Ani jednego zdjęcia, obrazka czy choćby jakiegoś pamiątkowego bibelotu, które ludzie zwykle wokół siebie gromadzą.

Mimo to pokój wyglądał znajomo. Sarac czuł się w nim swojsko. Powietrze było zatęchłe, unosił się w nim lekki zapach wykładziny. Jedna z jarzeniówek zamrugła kilka razy, cicho zabręczała, po czym zgasła. W głowie pojawiło mu się kolejne wspomnienie.

Trzy osoby siedzące w tym właśnie pokoju, jedną z nich jest on. Przytłumione głosy, rozmazane rysy twarzy. Zupełnie jak we wspomnieniu o zaśnierzonym samochodzie, tak i tu perspektywa się zmieniała. Sarac widział wszystko jakby z boku, jakby był widzem.

– Ktoś tam jest kretem. Nie możemy nikomu ufać – wyszeptał jeden z głosów,

chyba Bergh. – Musimy chronić Janusa za wszelką cenę.

Sarac aż podskoczył, kiedy zadzwonił telefon. Równomierny, elektroniczny sygnał rozległ się na biurku. Wpatrywał się w aparat, w migającą czerwoną lampkę. Telefon rozdzwonił się jeszcze raz, potem kolejny. Sarac podszedł do biurka, niepewnie sięgnął po słuchawkę.

– H-halo?

Nikt nie odpowiedział, Sarac był jednak pewien, że ktoś tam jest.

– Halo? – Jego głos wciąż nie brzmiał tak jak powinien. Słysząc w nim było zagubienie i niepewność, czyli to, co w zasadzie czuł.

Nadal żadnej odpowiedzi, oczywiście jednak było, że ktoś trzyma słuchawkę po drugiej stronie. Saracowi wydawało się wręcz, że słyszy oddech tej osoby. Ciężki i powolny. Przycisnął słuchawkę do ucha, próbując wyłapać coś więcej, ale usłyszał jedynie cichy jednostajny szum.

– Halo? – powiedział po raz trzeci, tym razem nieco pewniejszym głosem. – Tu aspirant David Sarac. Z kim rozmawiam?

Wciąż nic. Nagle do głowy zaczęło mu się cisnąć to imię, tłumiąc wszystkie inne myśli. Najpierw do głowy, potem na usta.

– Janus? To ty, Janus? – zapytał.

W odpowiedzi usłyszał niewyraźny dźwięk, jakby śmiech. Potem połączenie zostało przerwane.

## Szesnaście

Sarac podniósł wzrok i powoli się wyprostował. Zegar na biurku wskazywał 8.15. Zatem kolejny raz zdarzyło mu się zdrzemnąć. Zasnął na ponad godzinę, na wpół leżąc na biurku. Może nie było się czemu dziwić, ostatniej nocy spał przecież niewiele. Kark i barki mu zdrętwiały, poza tym obślinił biurko. Kiedy jednak się rozbudził, coś sobie przypomniał. Coś ważnego.

Pochylił się i sięgnął do najniższej szuflady. Pusta! Wyciągnął ją, potem kolejne. Wszystkie cztery szuflady w komodzie były puste. Ani długopisu, bloczku kartek samoprzylepnych czy choćby pojedynczych koron do automatu z kawą. Sarac wstał, wyjął z regału jedną z wielu identycznych teczek. Nie musiał nawet do niej zaglądać, jej waga mówiła sama za siebie. Upuścił ją na podłogę i sięgnął po kolejne. W końcu opróżnił cały regał. Puls mu walił, klatka piersiowa falowała, a pot strugami spływał po plecach.

Sarac dokładniej przypatrzył się ścianom, zauważył gwoździki, które wcześniej umknęły jego uwadze. Do tego jaśniejsze prostokąty na tapecie, niewielkie zadrapania i ślady na półkach w regale. Wreszcie pojął, co to oznacza. Nie chodziło tu o jego zamiłowanie do minimalistycznych wnętrz. Ktoś po prostu całkowicie opróżnił jego pokój. Zniknęły dokumenty, zdjęcia, drobne przedmioty, nawet tabliczka na drzwiach. Zabrali dosłownie każdy drobiazg. Wszystko, co mogło mu pomóc odzyskać pamięć. Kto to zrobił? I dlaczego?

Opanowała go złość, wlewając w niego nowe siły. Chwycił pusty regał i przewrócił go na podłogę. To samo zrobił z krzesłem, po czym gwałtownie otworzył drzwi i ruszył na korytarz. W głowie mu dudniło.

Prawie wszystkie gabinety były już otwarte, w kilku z nich za przeszklonymi ścianami rozmawiali pracownicy. Kiedy zobaczyli Saraca, zamilkli.

– Coście narobili, do cholery?! Coście zrobili, skurwysyny! – Słowa same cisnęły mu się na usta, nie mógł ich powstrzymać. Kolejne osoby zaczęły wyglądać ze swoich pokoi, ale widząc go, zatrzymywały się. Sarac zrobił kilka kroków do przodu. Teraz pewniej czuł się o kuli, jakby dzięki adrenalinie nagromadzonej w ciele przykleiła się do prawej ręki.

– David? – Podbiegł do niego Bergh.

– Moje rzeczy! – krzyknął Sarac. – Gdzie są, kurwa, moje rzeczy?

– Ależ uspokój się. – Bergh nerwowo rozejrzał się po korytarzu. – Chodź do mojego gabinetu, to ci wszystko wyjaśnię.

– David Sarac? – odezwał się z tyłu jakiś głos. Sarac zrobił pół obrotu. To byli oni. Poznał ich. Faceci w garniturach, ci ze szpitala, których wcześniej udało mu się wykiwać.

– Bo co, kurwa? – fuknął. – Coście za jedni?

– Nazywam się Odhe. Pracujemy dla nadinspektora policji Oscara Wallina. Chce z panem rozmawiać, natychmiast.

– Spieprzaj, pajacu!

Sarac sam nie wiedział, czemu tak się odezwał. Złość kierowała teraz jego słowami i czynami. W skroniach czuł coraz większe ciśnienie, jakby zaraz miało rozerwać mu głowę. Odwrócił się do Bergha i otworzył usta, żeby coś powiedzieć. Zachwiał się, musiał się oprzeć o ścianę. Potem osunął się do pozycji siedzącej i siłą woli powstrzymywał się, by nie zwymiotować na podłogę. Ktoś wsunął mu rękę pod ramię, próbując go podnieść.

– Puście, do diabła! – Sarac próbował się uwolnić. Jednak złość już opadła, odbierając mu wszystkie siły. Wszystkie dźwięki wokół zlewały się w jedno. Usłyszał, jak otwierają się drzwi do windy, potem z kilku stron rozległy się pokrzykiwania. Odbiło mu się. Potem zwymiotował śliną i żółcią na wykładzinę.

– Widzicie przecież, że źle się czuje – odezwał się znajomy głos. – Powinien być w szpitalu, a nie na jakimś pieprzonym przesłuchaniu.

– Molnar, posłuchaj, dostaliśmy polecenie, żeby...

– Odhe, wsadź sobie gdzieś swoje polecenia. Odwieziemy Saraca do domu. Teraz. I byłoby z waszej strony bardzo nierozsądnie, gdybyście próbowali nas powstrzymać. Gips na miesiąc gwarantowany, jasne?

Sarac podniósł wzrok. Peter Molnar stanął tuż przy mężczyźnie w garniturze, tak blisko, że niemal stykali się nosami. Za Molnarem ustawilo się kilku umięśnionych kolegów w ciemnych kurtkach wojskowych i arafatkach. Biło od nich grozą, co znów przytłoczyło Saraca. Opuścił wzrok.

Odhe cofnął się o kilka kroków.

– Chyba was pogięło. Skontaktuję się z... – Pochylił się do Bergha i dokończył zdanie szeptem. Molnar ukucnął przy Saracu i podał mu chustkę.

– Zajmiemy się tobą. W porządku? – powiedział cicho. Sarac skinął głową, otarł usta i policzki.

– Dasz radę wstać?

Saracowi udało się jeszcze raz pokiwać głową, tym razem mocniej. Molnar ostrożnie pomógł mu stanąć na nogi i podał mu kulę. Faceci w garniturach odsunęli się kilka metrów w głąb korytarza. Ten, który przedstawił się jako Odhe, przyciskał do ucha komórkę. Żaden się nie odezwał, ale Sarac czuł na sobie ich wściekłe spojrzenia. Za ich plecami stali inni, też w niego wpatrzeni. Twarze z przeszłości patrzące na niego z szacunkiem i podziwem. On jednak dostrzegał tylko ich współczucie. Jak dla niego mogli iść do diabła, wszyscy.

Sarac wyprostował się, poprawił kulę i po raz trzeci skinął do Molnara.

– Jestem gotowy – wymamrotał.

– W takim razie co powiesz na to, żebyśmy zostawili ten bajzel?

Zjechali windą do garażu. Ich samochód był czarny, ale po bokach miał chromowane stopnie. Molnar pomógł mu się wdrapać na tylne siedzenie, po czym sam usiadł obok. Jeden z ubranych w militarne ciuchy koleś o imieniu Josef, tak przynajmniej wydawało się Saracowi, wskoczył za kierownicę i ruszył, na nic nie czekając.

Ostro przygazował, jeszcze zanim opuścili garaż. Kiedy skręcili w podjazd prowadzący na powierzchnię, opony zapiszczały na betonowej podłodze. Niebieskie światła mijają za oknem, a warkot silnika odbijał się echem od ścian tunelu, głośno szumiąc także w głowie Saraca.

W myślach pojawiło się kolejne wspomnienie. Podobne do tego, które naszło go w szpitalu. Ściany tunelu, światła samochodu, niebieskie lampy połyskujące wokół. I coś jeszcze, coś ważnego.

Zanim jednak udało mu się odkopać ten szczegół w pamięci, wyjechali na dwór, na Fridhemsplan. Przed nimi zapaliło się czerwone, ale Josef włączył syrenę i wjechał między inne samochody. Dopiero teraz Sarac zauważył, że Molnar mu się przygląda.



Oparł głowę o zagłówek, zamknął oczy i kilka razy przełknął ślinę.

– To chyba nie był zbyt dobry pomysł – powiedział Molnar po kilku sekundach. – Powinieneś zostać w szpitalu do przyszłego tygodnia. Właśnie zbieraliśmy się do ciebie z wizytą. Fart, że najpierw zajechaliśmy do firmy.

– Co to za jedni? – przerwał mu Sarac, nie otwierając oczu. – Ci kolesie w garniakach? Ten Odhe czy jak mu tam? Wczoraj wieczorem byli w szpitalu.

– Pamiętasz Oscara Wallina? – Molnar skrzywił się, jakby czuł niesmak, wymawiając to nazwisko. – Karierowicz z Komendy Głównej, istny wrzód na dupie. Jakiś czas temu zgłosił się do nas z ofertą współpracy. Chciał się wszystkiego dowiedzieć, nie dając żadnych informacji w zamian. Ostro się wkurzył, kiedy go spławiliśmy. Teraz nasz nowy minister sprawiedliwości upoważnił go do brania, co tylko zechce, ot tak, bez proszenia. Jego chłopcy właściwie zgarniają wszystkich informatorów z naszego wydziału.

– A teraz chce dostać Janusa?

Molnar nie odpowiedział.

– A mówiłeś, że jego istnienie to całkowita tajemnica. Że nikt o nim nie wie.

– Nigdy nie da się utrzymać całkowitej tajemnicy.

Sarac pomyślał o scenie, którą przypomniał sobie w swoim pokoju. Bergh mówił coś o krecie. Tak samo było, kiedy kilka dni temu spotkali się w szpitalu. Otworzył oczy i wolno pokręcił głową.

– Nie pamiętam go.

– Wallina? Zaczesy na bok, niski typ – zaczął Molnar, ale przerwał, kiedy zobaczył, że Sarac wciąż kręci głową.

– Janusa – powiedział Sarac. – Nic nie pamiętam. Tyle tylko że coś poszło nie tak. Cholernie nie tak.

– No tak, mówiłeś o tym w szpitalu, zanim cię zabrali na salę, ale nie pamiętałeś, co się stało. Żadnych szczegółów. – Molnar popatrzył na niego i przesunął językiem po równych, śnieżnobiałych zębach.

– W głowie mam całkowity mętlik – odparł Sarac. – Mnóstwo oderwanych od siebie drobiazgów wiruje mi w myślach. Wydawało mi się, że jak zobaczę swój gabinet, to coś sobie przypomnę. Z początku jakby mi to pomogło, ale potem

zobaczyłem, że wszystkie moje rzeczy zniknęły. Ktoś opróżnił moje biuro.

Molnar się skrzywił.

– Kollander ruszył z operacją „Czysty próg”. Szefowa Komendy Wojewódzkiej, Swensk, chce zostać zwierzchnikiem Komendy Głównej i nic nie może stanąć jej na drodze. Śledztwo wewnętrzne w jednym z podległych jej wydziałów nie wygląda dobrze, zwłaszcza że takie śledztwo toczyło się u nas kilka lat temu, kiedy Greven musiał złożyć dymisję. No więc przenieśli cię stamtąd. Kollander kazał Berghowi antydatować dokumenty, tak żeby wyglądało na to, że przeniesiono cię przed wypadkiem, zanim się zorientowałeś, że twoja lista zapasowa zniknęła z sejfu. Cokolwiek się teraz zdarzy, zawsze mogą zwalić to na niesubordynację pojedynczego funkcjonariusza. Którego kompetencje już wcześniej podważano i który przez to nie pracuje już w Komendzie Wojewódzkiej. – Molnar pokręcił głową.

– Dokąd... – Sarac odchrząknął. Głos odmawiał mu posłuszeństwa. – Dokąd mnie przenieśli? I gdzie są moje dokumenty?

– Wydział Odzyskiwania Mienia. Byłem tam i sprawdziłem. Stoi tam tylko wypełniony w połowie karton z twoimi osobistymi rzeczami. Nie ma nic dotyczącego roboty, nawet cholernych kartek samoprzylepnych. Wszystko zniknęło.

Sarac przygryzł wargę. Miał ochotę się rozpłakać. Pochylił się do przodu, ukrył twarz w dłoniach. Molnar położył mu rękę na ramieniu. Przez chwilę siedzieli w milczeniu, podczas gdy Josef sprawnie manewrował wozem, poruszając się między innymi samochodami.

– David, jeśli nie masz nic przeciwko, to nie chcemy cię odwozić do domu. Ludzie Wallina staną na progu, kiedy tylko stamtąd znikniemy. To samo dotyczy tych prowadzących śledztwo wewnętrzne. Komisarz Dreyer chętnie ściągnąłby cię na przesłuchanie i przeszukał twoje mieszkanie. Pomyśleliśmy, że odstawimy cię gdzieś, gdzie będziesz bezpieczny. Żebyś miał szansę na trochę zniknąć i wypocząć.

Sarac już miał zaprotestować. Potem pomyślał jednak o wydarzeniach ostatniej nocy. O mężczyźnie, który najwidoczniej miał klucze do jego mieszkania.

– Jasne. – Nie miał nawet siły pytać, jaki Molnar miał plan. Nie obchodziło go to zresztą. Wszystko było lepsze od tej dzielnicy ćpunów. Zeszła już z niego cała adrenalina. Ciało zrobiło się ociężałe, nawet najmniejszy ruch sprawiał trud.

– W porządku. Rozsiądź się wygodnie, mamy kawałek do przejechania.

Sarac zamknął oczy i oparł głowę o zagłówek. Nie miał siły walczyć ze zmęczeniem. Nie zasnął jednak, w każdym razie nie całkiem. Coś trzymało go na granicy między snem i jawą. Coś, co powinien był pamiętać, co w jakiś sposób łączyło się z jego gabinetem. Jego dokumentami.

– Żal na niego patrzeć – odezwał się Josef. – Mój wujek miał udar kilka lat temu. Wciąż jest warzywem, ledwo udaje mu się trafić do kibla. Czasami sika do szafy.

– Daj spokój. – Molnar wymamrotał jeszcze coś, ale Sarac nie zrozumiał.

W miarę jak pogrążał się we śnie, pomruk silnika i głosy jego towarzyszy coraz bardziej zlewały się w jednostajny szum. Obrazy przelatywały mu przed oczami.

Mały pokój, a w nim duża biała tablica oblepiona zdjęciami. Niektóre przedstawiają harde twarze, patrzące prosto w obiektyw, a na dole widać tabliczki z nazwiskami. Inne zdjęcia zrobiono ukradkiem osobom wsiadającym do samochodu lub z niego wysiadającym. Nazwiska dopisano flamastrem, a pod nimi cyfry, zapewne numery telefonów. Wszędzie wokół czerwone linie i strzałki łączące osoby ze zdjęć w jeden układ, w gigantyczną pajęczynę. A w środku tej pajęczyny duże koło z dwoma „J” zwróconymi do siebie.

Sarac zauważa jakiś ruch, coś odbija się w białej tablicy. Zarys postaci z kapturem naciągniętym na głowę. Obraz pojawia się zaledwie na ułamek sekundy i znika, zanim udaje mu się dojrzeć jakieś szczegóły. Jego myśli zajmuje jednak coś innego. Teraz to dostrzega. Na środku stołu pod ścianą. Dobrze mu znany czarny notes. Leży otwarty, widać rzędy liter ciągnących się przez kolejne strony. On jednak nie może ich odczytać, nie potrafi skleić ich w logiczną całość. A może jednak da radę? Po chwili wpatrywania się w tekst zaczyna dostrzegać wzór. Niektóre litery są wyraźniejsze od innych. Tworzą nowe, łatwiejsze do rozszyfrowania rebusy. Nagle do Saraca dociera, że wie, co oznaczają te symbole, jakie kryją tajemnice. Wszystkie informacje, których szuka, znajdują się w tym notatniku. Ukryte pomiędzy wierszami słów, coraz bardziej widocznymi. Jedyne, co musi zrobić, to je zanotować, wyraźnie przepisać.

Jednak w chwili gdy chce czytać dalej, ktoś łapie go za ramię i pociąga do tyłu. Sarac sięga przed siebie, próbując chwycić notes, wyjąć go ze snu. Jakby z oddali słyszy wołający go głos.

– David! David! Jesteśmy na miejscu. – Molnar stał przed samochodem i ostrożnie potrząsał jego ramieniem. Czekał cierpliwie, aż Sarac się rozbudzi.

– Dobra kryjówka, co?

## Siedemnaście

– Atif, usiądźże.

Bakshi, niski facet z nogami jak pałaki, zrzucił ze skórzanej kanapy gazety i kocie zabawki, po czym wskazał Atifowi miejsce. Atif podszedł jednak do jednego z fantazyjnych foteli, uniósł go nieco, chwytając za oparcie i zgonił wyłysiałego kota wylegającego się na siedzeniu. Zwierzak miękko wylądował na podłodze, posłał Atifowi przeciągłe spojrzenie i przeszedł do kuchni.

– To kot mojej dziewczyny. Nazwała go Missy Elliott. – Uśmiechnął się Bakshi. – Missy Elliott, czaisz? Co za kretyńskie imię.

Atif pokiwał głową. Uważał, że istnieją dwa typy kapusiów. Zwykli cwele, których wszyscy się strzegli, a którzy z reguły kończyli zagipsowani w misce lub pogrzebani w tej czy innej nieczynnej żwirowni. Oraz ci inni, czyli wyjątki potwierdzające regułę. Typy, o których wszyscy wiedzieli, że sypią, ale których i tak tolerowano, bo po prostu byli przydatni. Czasami przecież miało się powody, by powiadomić gliny o interesach konkurencji i tym samym nieco wyrównać boisko. I właśnie w takich sytuacjach Bakshi się sprawdzał. Dzięki niemu nie trzeba było samemu sypać policji i, co za tym idzie, samemu zostawać kapusiem. Wystarczyło powierzyć Bakshiemu sekret, a on gnał z nim prosto do glin. Był bardzo niedyskretny, ale i przewidywalny. Wszyscy o tym wiedzieli i wykorzystywali tę wiedzę do własnych celów.

Bakshi uśmiechnął się do Atifa niepewnie, przeciągnął kciukiem po ekranie telefonu, po czym odłożył go na stolik.

W mieszkaniu pachniało farbami i skórą. Królowały tu designerskie włoskie meble, żadnych gratów z Ikei. Na jednej ze ścian salonu wisiała ogromna plazma podłączona do drogiego sprzętu nagłośnieniowego. Wyglądało na to, że wnętrze przeszło niedawno gruntowną przemianę, to samo tyczyło się właściciela. Wyrównane, o dwa odcienie za białe zęby, sztuczna opalenizna, frajerska, równo przystrzyżona bródka, której stworzenie zajęło mu przynajmniej z pół godziny.

Kiedy widzieli się ostatnio, Bakshi był małym obślizgłym typkiem, zawsze chodzącym przy ścianie. Teraz był zadbany, jakby wskoczył na wyższą półkę.

Jedwabna koszula, firmowe džinsy, wyżelowana grzywka zaczesana do tyłu i zaróżowiona linia u nasady włosów, z pewnością położona kilka centymetrów niżej niż ostatnio. Bakshi chyba zauważył jego spojrzenie.

– Nieźle, co? – Dotknął dłonią włosów. – Miałem zabieg miesiąc temu. Wyrrywają ci włosy z karku. Wiesz, razem z cebulkami i w ogóle, a potem robią takie nakłucia na czole i wszczepiają po włosku. Bolało jak cholera, no i kosztowało krocie, ale warto było. Dziewczyny to uwielbiają. – Wyszczrzył zęby, ale Atif nie odwzajemnił uśmiechu. Zaczęli się w siebie wpatrywać.

– Niech to, Atif, kopę lat – powiedział w końcu Bakshi, kolejny raz dotykając kciukiem ekranu komórki. Telefon był zablokowany, ale Bakshi wstukał kod, nie patrząc. – Ile to już czasu, sześć, siedem lat?

– Coś koło tego – odparł Atif.

– Człowieku, ależ ten czas leci. Wtedy byłem jeszcze małą płotką w biznesie. Trochę się pozmieniało, nie? – Wskazał ręką na przepakowane meblami mieszkanie. – Teraz mam kilka salonów piękności. Paznokcie, depilacja bikini, opalenizna w sprayu. Do wyboru, do koloru. Pracuje u mnie szesnaście Tajek, a będzie ich więcej. Dziewczyny z Tajlandii są pracowite i zaradne. Żadnych Szwedek, bo to same problemy, no wiesz. – Bakshi posłał Atifowi kolejny uśmiech i znów zaczął gmerać przy telefonie.

Tak czy inaczej, jesteś wciąż tym samym obślizgłym typkiem, co tylko nasłuchuje, a potem sypie.

– No to co mogę dla ciebie zrobić, Atif? – Bakshi pyknął w ekran komórki, po czym rozparł się na sofie. Kręcił się przez chwilę, a potem rozstawił nogi na boki, jakby coś uwierało go w tyłek. Nóż albo spluwa, pomyślał Atif. Raczej to drugie. Cóż, tak też można podejmować starego kumpla. To dlatego chwilę potrwało, zanim otworzył mi drzwi.

– Chodzi o Adnana – odparł Atif. – Chcę wiedzieć, kto go sypnął.

Bakshi się skrzywił.

– Taaa, przykra sprawa z twoim bratem. – Z nadmierną ostrożnością podrapał się po głowie. – Ale z tego co wiem, chłopaki po prostu mieli pecha. Wpadli na psy w cywilu – Bakshi się uśmiechnął, próbując przy tym przybrać szczery wyraz twarzy.

Przecież nikogo by nie oszukał, a już na pewno nie Atifa...

– Kto go sypnął? – powtórzył Atif, tym razem ostrzej. – I kim jest Janus?

Widział niemal tryby pracujące w głowie Bakshiego, który znów zaczął się bawić telefonem, choć chyba nieświadomie. Palce, jakby kierowane tikiem, same wystukwały kod: 2558.

– Janus to widmo – odparł Bakshi. – Wszyscy się go boją, nikt nie ma odwagi wymówić jego imienia. Przez niego wielu trafiło do pierdła, a niektórzy nawet na cmentarz.

– Adnan też?

– Poszła taka plotka, ale nie wiem więcej od innych.

– A Janus, co o nim wiesz?

Bakshi kolejny raz wyszczerzył wybielone zęby. – Za jego głowę wyznaczono nagrodę. Gdybym coś o nim wiedział, powiedziałbym już dawno temu. Kupiłbym sobie dom w Tajlandii i miałbym lato przez cały rok.

Bakshi na chwilę zamilkł, chyba zauważył, że Atif mu nie wierzy. Zmienił więc strategię i przystąpił do ofensywy.

– Co ty sobie właściwie myślisz? Że możesz, ot tak, wprosić się do mnie i wypytywać? Widocznie nie wiesz, dla kogo pracuję. To, co o tobie ostatnio gadali, to żaden powód do dumy. Spiknąłeś się z Sasją i zwiąłeś za granicę z podkulonym ogonem.

Bakshi sięgnął po paczkę szlugów leżącą przy telefonie. Wyłuskał z niej marlboro i zapalił. Zaciągnął się kilka razy głęboko i wydmuchał dym w stronę Atifa, drugą ręką wciąż bawiąc się telefonem.

– Wszyscy gadali, że się zmieniłeś, że zmiękłeś. Nawet twój młodszy brat tak myślał. – Bakshi wpatrywał się w niego, czekając na reakcję.

Atif powoli wstał z fotela. Bakshi szybko zerwał się na nogi. Upuścił szluga na stół, drugą ręką sięgając za plecy. Udawana pewność siebie gdzieś zniknęła, z każdego pora w jego skórze bił strach.

– No cóż. Szkoda, że nie mogłeś mi pomóc. Mimo wszystko dziękuję, że poświęciłeś mi czas. – Atif stał nieruchomo i patrzył na Bakshiego. Zaczekał, aż ten znów zacznie się niepewnie szczerzyć w uśmiechu, po czym spokojnie ruszył do

drzwi.

– Nie ma sprawy. I sorry, że nie mogłem pomóc – odparł Bakshi bez przekonania. Atif zaczął zakładać kurtkę i buty.

– Sam wiesz, jak to jest – dodał Bakshi. – Nastają nowe czasy.

– Ano, tak powiadają.

Atif wyszedł z mieszkania i ruszył w dół schodów. Słyszał, że Bakshi zamyka drzwi na oba zamki. Zerknął na zegarek i na chwilę zatrzymał się przy wyjściu z budynku. Na zewnątrz pomarańczowy traktor odśnieżał właśnie chodnik.

Atif pomyślał o domu, o pachnącym drzewku morwy w ogrodzie. Zamknął oczy i próbował sobie wyobrazić rozgwieżdżone niebo. Bez skutku. Po dziesięciu minutach wrócił na górę i zadzwonił do drzwi.

– Sorry, zapomniałem czapki. Mróz daje po uszach jak cholera – wymamrotał, kiedy zdziwiony Bakshi mu otworzył.

– Spoko. – Bakshi odwrócił się, żeby popatrzeć na półkę w przedpokoju. Atif wślizgnął się do środka. Łysy kot siedział na marmurowej posadzce obok swojej miski i lizał łapy. Kiedy zobaczył Atifa, zadarł łeb, uniósł lekko górną wargę i pokazał zęby.

Atif zrobił dwa kroki do przodu, chwycił kota za kark i uniósł nad głowę. Zwierzak zaczął fukać i wysunął pazury.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał Bakshi za jego plecami. Atif się obrócił.

– Posłuchaj uważnie, Bakshi. Najwyraźniej ten kocur jest mądrzejszy od ciebie.

Bakshi usłyszał, że głos mu się zmienił, przybrał zupełnie inny ton.

– Że co? O czym ty mówisz? – Bakshi wyglądał na skołowanego. Kolejny raz sięgnął ręką za plecy.

– Wiesz, co odróżnia koty od innych drapieżników? – Atif nie czekał na odpowiedź. Opuścił kota na wysokość twarzy.

Zwierzę wciąż prychało i na darmo próbowało dosięgnąć Atifa pazurami.

– Łap! – Rzucił kotem w twarz Bakshiego. Ten odruchowo osłonił się rękoma. Ale niewystarczająco szybko. Kot, rozpaczliwie szukając zaczepienia, wbił się pazurami w twarz Bakshiego i jego zaróżowione czoło. Bakshi ryknął z bólu, umilkł jednak, kiedy Atif kopnął go w krocze.



Bakshi padł na ziemię i przez chwilę leżał zwinięty w kłębek na kamiennej posadzce. Jedna stopa podrygiwała mu spazmatycznie. Atif pochylił się nad nim i wyciągnął mu zza pasa spluwę, starą, pokrytą rdzą zastawę z kolbą oklejoną srebrną taśmą. Zapewne import z Bałkanów. Można było obstawić cztery do jednego, że taka broń eksploduje w ręku podczas strzału. Atif opróżnił magazynek i odrzucił spluwę daleko na podłogę. Zauważył też sprzączkę nad jedną z kieszeni Bakshiego. Wyciągnął z niej porządny nóż. Proszę, proszę. I nóż, i spluwa. Nic dziwnego, że ten gnój miał chęć pyskować.

– Bo wiesz – powiedział, stając okrakiem nad Bakshim. – Koty zabijają czasami dla przyjemności, bo lubią. Zupełnie jak niektórzy ludzie.

Chwycił Bakshiego za rzadkie włosy i sięgnął po zagięty nóż.

– Tak już je stworzono. Taka ich natura.

Potrząsnął głową Bakshiego, czekając, aż ten się ocknie. Bakshi jednak zaczął dygotać, oczy wywróciły mu się do góry, szczęki się zacisnęły. Niech to! Atif już to kiedyś widział. Zupełni zdrowi ludzie w sytuacji silnego bólu lub szoku doznawali objawów podobnych do napadu padaczki. Atif puścił głowę Bakshiego. Wylał krew i włosy z rąk w jego różową koszulę. Zaczął się przyglądać mężczyźnie. Napad przybrał na sile i teraz jego ciało podskakiwało na całego na kamiennych płytach. Atif przeszedł do salonu.

Komórka leżała w tym samym miejscu. Atif wstukał kod 2558 i wyszukał ostatni wybierany numer. Jeśli Bakshi wiedział cokolwiek o śmierci Adnana, to z pewnością zadzwonił do swojego kontaktu. Opowiedział o wizycie Atifa, przechwalając się, jak to z kamiennym spokojem spławił starszego brata Adnana i jak na twardziela przystało, nie zdradził sekretu.

Ostatni numer na liście należał do kogoś zapisanego w telefonie jako „E.J.”. Połączenie wychodzące sprzed trzech minut. Właściwie to Bakshi podczas ostatnich dziesięciu minut próbował połączyć się z tym numerem wielokrotnie. Kiedy Atif wcisnął „połącz ponownie”, zrozumiał dlaczego.

– Witaj. Tu poczta głosowa Erika Johanssona, zostaw swoje nazwisko i numer...

Zatem E.J. to Erik Johansson. Nazwisko typowego Svenssona.

Atif przejrzał książkę telefoniczną Bakshiego. Niemal wszystkie kontakty były

zapisane inicjałami. Żaden z nich nic mu nie mówił. Atif włączył więc maila i sprawdził ostatnie wiadomości. Większość napisały jakieś kobiety, pytając o różne praktyczne kwestie związane z salonami piękności. W wysłanych znalazł kilka maili do różnych dziewczyn, z niegramatycznymi, erotycznymi aluzjami. Atif wpisał w wyszukiwarkę: „Erik Johansson” i od razu trafił na maila wysłanego przed dwoma dniami na adres Pitbull8U.

*Siema, Pasi!*

*Mam nadzieję, że dziewczyny w Patpong się o ciebie troszczą. Pozdrów je ode mnie. Sprawdziłem to i owo i okazuje się, że to, co powiedział mi kumpel Erika J., to prawda. Zatem to fałszywy alarm, możesz spokojnie wracać do domu. Business as usual.*

*W kontakcie*

B

Atif wyciągnął z kieszeni kartkę i długopis, zapisał sobie numer do Erika Johanssona oraz adres mailowy, na który wysłano wiadomość. Usunął z komórki wszelkie ślady przeszukiwania, po czym odłożył ją na stół i wrócił do przedpokoju.

Bakshi ciągle leżał na podłodze. Ciało wciąż mu podrygiwało, ale już nie tak gwałtownie jak przed chwilą. Strużki krwi spływały z czoła po twarzy, skąd powoli zlizywał je zadowolony łysy kot. Był tak zajęty swoim posiłkiem, że nawet nie zauważył, kiedy za Atifem zatrzęsnęły się drzwi.

## Osiemnaście

– Przyszedł adwokat Thorning.

– Okej, dziękuję, Jeanette! Poproś, żeby zaczekał kilka minut, i potem go wpuść.

Jesper Stenberg wstał, zdjął z wieszaka marynarkę i wcisnął ją na siebie. Pora to załatwić. Już dwa razy prosił Jeanette o odwołanie spotkań z Johnem Thorningiem. Bawił się trochę w demonstrowanie władzy, pokazywał, że role się zmieniły.

Dzień zaczął się dobrze, wywiad dla magazynu lifestylowego na temat wyzwania, jakim jest łączenie ról ojca, męża i ministra sprawiedliwości. Następnie spotkanie z sekretarzem prasowym i aktualizacja informacji z mediów społecznościowych. Ponad sto nowych obserwujących dziennie, więcej w te dni, kiedy sam coś pisał albo twittował. Musi być w tym lepszy.

Potem bum i powrót do epoki kamienia – spotkanie lunchowe z głównym komendantem policji. Nawet nie musiał się wysilać. Stary Rosengren nie był głupi. Już dawno zrozumiał, że jego nominacja w przyszłym roku nie zostanie przedłużona. Już zaczynał mamrotać, że chciałby zwolnić tempo. Przebywać więcej z dziećmi, chodzić na ryby, grać w golfa i bla, bla, bla... Stenberg zamierzał pozwolić staruszkowi na tę paplaninę, nie widział żadnych bezpośrednich korzyści z rozgłaszania, że Rosengren w zasadzie został zwolniony. W każdym razie w przyszłym roku będzie mógł umieścić starannie wybraną osobę na najwyższym stanowisku głównego komendanta policji. Kogoś, kto w odróżnieniu od Rosengrena miał to co trzeba.

Cóż, jedna rzecz naraz. Najbliższe pół godziny to spotkanie z Johnem Thorningiem i na tym musi się skoncentrować. Wydawało się, że jego dawny przełożony i mentor już się pozbierał po tragicznym samobójstwie córki. Czas na obowiązkową kurtuazyjną wizytę, podczas której John Thorning bardzo dyskretnie napomknie o potrzebie utrzymywania dobrych kontaktów ze starymi przyjaciółmi, zaoferuje mu swoje umiejętności, doświadczenie oraz kontakty.

Krótkie stuknięcie do drzwi, po którym weszła sekretarka.

– Adwokat Thorning, panie ministrze. – Uśmiechnęła się i przytrzymała drzwi starszemu mężczyźnie.

– John, miło cię widzieć! Jak się masz? – Stenberg uśmiechnął się swoim najszerszym serdecznym-ale-jednocześnie-profesjonalnym uśmiechem. Od razu poczuł się w niewytłumaczalnie dobrym humorze.

– Jesper. – Uścisk dłoni był suchy i mocny, dokładnie taki jak zawsze. Natomiast drogi garnitur nie leżał równie dobrze jak zawsze. John Thorning schudł, szybko i w niedobry sposób. Rozchylony kołnierzyk odsłaniał luźne fałdy skóry. Twarz miał szarą, a pod okularami bez oprawek widać było duże, ciemne worki. Poza tym stalowoszare włosy od kilku tygodni wymagały przycięcia. Różnica w porównaniu ze zwykle silnym wizerunkiem tego mężczyzny rzucała się w oczy.

– Usiądź, John! – Wskazał na krzesło dla gości po drugiej stronie biurka. – No więc, jak się macie, ty i Margareta? – rozpoczął Stenberg swoim najbardziej empatycznym tonem. Ale John tylko pokręcił głową.

– Jesteś zajęтым człowiekiem, Jesper, możemy więc pominąć gadkę szmatkę i przejść od razu do rzeczy.

Stenberg drgnął.

– Aa... oczywiście, jasne.

– Chcę, żeby śledztwo zostało wznowione.

– Przepraszam? Nie bardzo rozumiem.

John zrobił zirytowany grymas.

– Śledztwo policyjne w sprawie śmierci Sophie. Chcę, żeby zostało wznowione tak szybko, jak to jest możliwe.

Stenberg odchrząknął, próbował kupić kilka sekund na zastanowienie. Mózg pracował mu na najwyższych obrotach.

– Noo więc, John, wiesz równie dobrze jak ja, że to w ten sposób nie działa – zaczął. – Szwedzki minister nie może tak po prostu...

– Z całym szacunkiem, Jesper, ale to gówno prawda!

John Thorning pochylił się nad biurkiem i postukał kościstym palcem wskazującym w lśniący mahoń. – Jesteś najważniejszym prawnikiem w kraju, Jesper. Szefem całego sądownictwa. Chcesz powiedzieć, że nie możesz doprowadzić do wznowienia marnego policyjnego śledztwa bez wywołania wrzasków o ministerialnej kontroli?

– Hmm, no więc... – Sam słyszał, jaki był niepewny. Cholera, ta rozmowa naprawdę nie rozwinęła się tak, jak planował. Ale uratował go gong.

– To ja z kawą – zaćwierkała przesadnie wesoło sekretarka, powoli stawiając tacę na biurku.

– Czy pan adwokat pije z cukrem albo mlekiem?

John Thorning wymamrotał coś w odpowiedzi, wyraźnie wzburzony, że mu przerwano. Następnie usiadł ponownie na krześle i pozwolił się obsłużyć.

Stenberg rzucił Jeanette spojrzenie pełne wdzięczności. Jej wyczucie czasu było doskonałe, jak zawsze. Prawie jakby słyszała rozmowy, jakie się odbywały w jego pokoju.

Jeanette podała mu kawę. Czarna, tylko z łyżeczką mleka, dokładnie taka, jak chciał.

– Ciasto jest domowej roboty – dodała. – Mam nadzieję, że będzie smakować. Jeśli będzie trzeba czegoś jeszcze, jestem tuż za drzwiami. – Ostatnie zdanie powiedziała odwrócona do Stenberga. Kiwnął szybko głową w podziękowaniu.

– Wybacz mój mały wybuch, Jesper – powiedział John Thorning, gdy tylko drzwi się zamknęły. – Nie mogę spać. Margareta z kilkoma przyjaciółmi pojechała do Marbelli. W domu jest za cicho. – Wypił łyk kawy i postawił filiżankę na cienkim spodku. – Wygląda to tak. – Wziął głęboki oddech. – Policjant, który przeprowadzał śledztwo w sprawie śmierci Sophie, ułatwił sobie sprawę. Szybko przekonał prokuratora, że chodziło o jasne jak słońce samobójstwo. Ale było kilka śladów, których w ogóle porządnie nie zbadano. Wcześniej tego samego wieczoru sąsiad słyszał podniesione głosy. – John Thorning pochylił się lekko do przodu. – Nie mówiąc o liście pożegnalnym wysłanym do mnie z jej iPada. Czytałem go na pewno z tysiąc razy i za nic nie mogę się pozbyć wrażenia, że napisał go ktoś inny. Drobne rzeczy, dobór słów, które nie pasują do Sophie. Na przykład to, że zwraca się do mnie „John”, a nie „tato”.

Stenberg ciężko walczył, żeby wyglądać neutralnie, nawet mu się udało wycisnąć kilka współczujących kiwnięć głową. Cholerny mail, już kiedy czytał raport policyjny, czuł, że to było trochę za wiele.

– Ale mimo to – John Thorning znów postukał w biurko – sprawę umorzono jako

samobójstwo. To mnie zżera od środka, Jesper. – Rozłożył ręce. – Przecież znałeś Sophie, pracowaliście razem przez kilka lat. Tak, była chwiejna. Ale samobójstwo?

Do Stenberga dotarło, że oczekuje się od niego odpowiedzi. Jego stary mentor najwyraźniej całkowicie się z nim nie zgadzał. Pora na małe, lecz ostrożne *reality check*. Zrobił głęboki wdech, usilnie starając się sprawić, żeby jego głos był opanowany i współczujący. Musiał w to włożyć sporo wysiłku.

– John, najszczerzej ci współczuję. Ale jak sam kiedyś powiedziałaś, nigdy nie jest dobrze pozwolić, by uczucia stały na drodze osądu. Sophie miała problemy, wiemy to obaj. Wszystkie fakty wskazują na to, że...

– Opuść sobie, Jesper! – Starszy mężczyzna podniósł rękę. – Zapominasz, z kim mówisz, więc skończ z przechylaniem głowy i cytowaniem mnie samego. Sam masz dzieci, wyobraź sobie, że coś by się stało którejś z twoich dziewczynek. Czy nie zrobiłbyś wszystkiego, by dopilnować, żeby sprawiedliwości stało się zadość?

Pułapka była sprytna, Stenberg sam taką zastawiał wiele razy w sądzie. Jakkolwiek by odpowiedział, pakował się w tarapaty, dlatego lepiej było się zamknąć. I dokładnie to zrobił.

Po kilku ciągnących się jak wieczność sekundach John Thorning wstał, położył ręce na stole i pochylił się do przodu.

– Najwyraźniej nie zamierzasz mi tego ułatwić. Cóż, istnieją oczywiście inne możliwości rozjaśnienia tej sprawy. Znam byłego policjanta, który ma własną firmę ochroniarską. Mógłbym go poprosić, żeby się tym dla mnie zajął. Ale w takiej sytuacji pojawia się jeden drobny, interesujący problem.

Stenberg się wyprostował.

– Jak wiesz, jestem też głównym sekretarzem Związku Adwokatów, powszechnie postrzeganym jako twój mentor – powiedział John Thorning. – I ktoś, kto reprezentuje prawo, Stenberg. Wyobraź sobie reakcję, jeśli to wycieknie do mediów. –

Przerwał. – Jeśli media się dowiedzą, że moje zaufanie do policji, organizacji, za którą w najwyższym stopniu odpowiadasz, jest tak niskie, że decyduję się na rozpoczęcie prywatnego śledztwa w sprawie śmierci córki. – John Thorning uśmiechnął się do Stenberga. Był to zimny uśmiech, niewiele więcej niż drgnięcie w kąciakach ust. Następnie usiadł i skrzyżował ramiona.

Stenberg robił wszystko, żeby wyglądać na nieporuszonego, jakby groźba zbytnio go nie obeszła. Ale cholerny staruch miał, niestety, rację. Zaszкодziłoby to jego reputacji, gdyby jedna z najwierniej wspierających go osób okazała swoje niezadowolenie. Doprowadziłoby to do niepotrzebnych spekulacji. Poza tym Związek Adwokatów był ważnym organem odwoławczym i instytucją opiniotwórczą. Będzie potrzebował ich poparcia. Ale polityczne komplikacje były w zasadzie drugorzędne. Zdecydowanie bardziej niepokojąca była myśl o osobie z zewnątrz, która kręciłaby się w pobliżu i węszyła, prowadząc dochodzenie. Wszystko, czego było trzeba, to jeden jedyny świadek, którego we wcześniejszym śledztwie przeoczono. Ktoś, kto widział Stenberga w przelocie, w garażu albo na ulicy, odczytał jego numer rejestracyjny albo coś innego, co wiązało go z miejscem zdarzenia.

W pewnym sensie stary, przychodząc najpierw do niego, zrobił mu przysługę. Dał mu szansę przejść kontrolę nad sytuacją. Stenberg zamknął oczy, zdał sobie sprawę, że serce bije mu trochę szybciej. Uczucie z garażu natychmiast powróciło. Uczucie wyostrenia. Pełnej obecności.

– Słyszę cię, John – powiedział powoli. – Oczywiście chcę ci pomóc. Ale szwedzki minister nie może bezpośrednio ingerować w działalność operacyjną. W takiej sytuacji ryzykuję naganę ze strony komisji konstytucyjnej. Taki przebieg sprawy żadnemu z nas nie przyniósłby korzyści.

Wyraz twarzy Johna Thorninga pozostał niezmienny.

– Mógłbym ewentualnie poprosić jednego z zaufanych współpracowników, żeby dyskretnie przyjrzał się sprawie. Na nowo przeanalizował śledztwo, sprawdził ewentualne luźne wątki i w ten sposób, miejmy nadzieję, dał odpowiedzi, których ci brakuje – kontynuował.

Pozwolił, żeby przynęta pokołysała się kilka sekund, poczekał, aż stary szczupak pochylił się do przodu.

– Ale w takiej sytuacji muszę postawić pewne warunki.

Również Stenberg pochylił się nad biurkiem, z twarzą zaledwie pół metra od twarzy swojego starego mentora. John Thorning lekko skinął głową. Myślał, że jego wola została spełniona, dokładnie tak jak zawsze. Że w dalszym ciągu to on pociągał za sznurki. Nie załapał, że sytuacja się zmieniła.

– Po pierwsze. – Stenberg podniósł kciuk. – Musisz wszystko zostawić nam. Żadnych prywatnych detektywów, którzy biegają wokół i komplikują sprawę, ani teraz, ani później. Jasne?

Thorning znów kiwnął głową, trochę mocniej niż przedtem.

– Po drugie. – Stenberg podniósł kolejny palec. – Żadnych przecieków. Jeśli zobaczę choćby najmniejszą wzmiankę w mediach, że trwa tajne śledztwo... – Przerwał na tyle długo, żeby i jemu można było przerwać.

– Oczywiście, że nie, Jesper, wszystko zostaje między nami.

Przynęta połknięta, haczyk w gardle, pozostało tylko jedno pociągnięcie, żeby zadziory dobrze się wbiły.

– Świetnie, to został mi jeszcze tylko jeden warunek. Proponuję, żebyś przemyślał sprawę, zanim odpowiesz.

– Słucham.

Stenberg wstał, obszedł biurko i usiadł na jednym z rogów. Nagle zdał sobie sprawę, że delektuje się napięciem w tej grze. Serce waliło mu w piersi, miał niemal pełne poczucie obecności.

– Jeśli moi ludzie dojdą do tych samych wniosków, co wcześniejsze śledztwo – powiedział – jeśli wszystkie ślady wskażą na to, że Sophie popełniła samobójstwo, to musisz to zaakceptować. Zostawić sprawę za sobą i pójść dalej, niezależnie od tego, jak bardzo to może być bolesne.

John Thorning otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Stenberg był szybszy.

– Mówiąc wprost, John: żadnych prywatnych śledztw, żadnych długich niedzielnych wywiadów w „DN”<sup>7</sup> ani płaczących programów w porannej telewizji. Nic z tych rzeczy. *None what so ever*<sup>8</sup>. Chcę, żebyś dał mi na to słowo!

John Thorning zacisnął usta w wąską kreskę. Jego oczy stały się cienkimi szparkami. Stenberg nieświadomie wstrzymał oddech, wydawało mu się, że wręcz smakuje napięcie w pokoju.

– A jeśli będzie odwrotnie? – Starszy pan zakaszłał. – Jeśli znajdziecie coś, co będzie sugerować, że Sophie...

Stenberg przełknął ledwo zauważalną oznakę zdenerwowania, odpowiedział na wzrok Johna Thorninga i wyciągnął rękę do mocnego uścisku dłoni.



– Jeśli coś wypłynie, dowód wskazujący na to, że ktoś był zamieszany w śmierć Sophie, gwarantuję, że zidentyfikujemy tę osobę i postawimy przed obliczem sprawiedliwości. Masz na to moje słowo.

## Dziewiętnaście

Sarac zrobił kilka ostrożnych kroków na pokryty śniegiem mały plac do zawracania. Zasłaniając ręką oczy przed ostrym światłem słonecznym, spojrział w górę w stronę drewnianej fasady. Musiał spać jak zabity, nawet nie zauważył, jak wjechali na prom samochodowy.

Powietrze było rześkie, prawie kompletna cisza. Tylko kilka srok skrzeczących w wysokich sosnach wokół domu. Nic poza śniegiem i pniami drzew we wszystkich kierunkach, z wyjątkiem krótkiego, wijącego się podjazdu, który po dwustu metrach wychodził na główną drogę. Dom był jednym z najstarszych na wyspie, dwupiętrowa, duża żółta willa typowa dla architektury tej doliny, zbudowana na początku dwudziestego wieku. Wychodząca na ogród oszklona weranda z oknami dekorowanymi szprosami, kilka lukarn i dużo ozdobnej ciesielki. Poza tym spora działka, która ciągnęła się aż do wody, i prywatny pomost po drugiej stronie zalesionego pagórka.

Molnar wszedł na ganek, odsunął nogą śnieg ze schodów i podniósł luźną deskę. Wyjął klucz, otworzył i wszedł. Sarac wolno podążył za nim. Robił małe kroki, żeby się nie poślizgnąć. Josef szedł tuż za nim, w razie czego gotowy go złapać.

Sarac stanął na ganku i wciągnął znany zapach starego drewna i wilgoci. Zalał go wodospad wspomnień. Obrazy lata i przygody jak z filmu *My na wyspie Saltkråkan*<sup>9</sup> oglądanego razem z Elisabeth i rodzeństwem. Bezchmurne niebo, wyprawy łodzią, hamaki w cieniu i śpiewający ballady Evert Taube w tranzystorowym radiu. Strasznie tęsknił do tych chwil. Ale czy te chwile rzeczywiście były takie doskonałe, jak je pamiętał? Takie ładne i bez skazy? Nie sposób było na to odpowiedzieć.

– Wejdz, David. – Molnar przywitał go w drzwiach. – To mimo wszystko twoja buda. Zimno jak cholera, ale rozpalę w piecyku i zaraz będzie lepiej. Przy okazji, nie wiesz, czy w kotle grzewczym jest olej?

– Nie mam pojęcia – wymamrotał Sarac.

– Nie, oczywiście, że nie, sorry. – Molnar zrobił przeproszający gest. – Załatwisz więcej drewna, Josef?! – zawołał nad ramieniem Saraca. – Szopa jest z tyłu domu. – Molnar zamknął drzwi wejściowe.

– Pasuje ci tutaj?

Sarac przytaknął bez słów.

– No więc, pomyślałem, że to doskonałe miejsce, żeby na jakiś czas się ukryć. Chata jest zapisana na twoją siostrę w Kanadzie i nie masz z nią powiązania w żadnym rejestrze – powiedział Molnar. – Ani ludzie Wallina, ani Dreyera nie trafią tu tak od razu.

Sarac złapał się na myśli, że nikt inny też nie.

Weszli do dużego holu. Wzdłuż jednej ze ścian widać schody prowadzące na piętro. Poszli na lewo i po drewnianej, umytej szarym mydłem podłodze weszli do typowej dla domów w archipelagu przestrzennej kuchni. Wszystko wyglądało dokładnie tak, jak pamiętał, od pomalowanych na niebiesko drewnianych paneli podłogowych, poprzez okna, aż po pasy na szmacianym dywaniku. Może dlatego, że jego radosne wspomnienia z tego miejsca jednak nie były tak bardzo prawdziwe?

Molnar ukląkł i zaczął grzebać w dużym żeliwnym piecyku. Otwierał i zamykał drzwiczki, właściwie nie wiedząc, od czego zacząć.

– Jest schowek na drewno – powiedział Sarac. – Biała skrzynka tam z tyłu, na ścianie. Wciśnij tylko przycisk z boku.

Molnar zrobił, jak mu powiedziano. W piecyku szczęknięto, kiedy kilka szczap drewna wpadło do środka. Zrobił parę papierowych kulek z kawałków gazety i wcisnął je przez drzwiczki. Następnie włożył do środka długą zapałkę do podpalania ogniska i kilka razy głośno zaklął.

Sarac przeszedł przez kuchnię i wszedł do następnego pokoju, gdzie robione na wymiar półki na książki zajmowały prawie wszystkie ściany. Jedyne meble w pokoju były dwa wysłużone fotele kryte aksamitem i niewielki stolik. Pachniało tkaniną, kurzem i starymi książkami. Zapach babci. Oparł się pokusie, aby usiąść w jej fotelu, zamiast tego skręcił w prawo i wszedł do dużego salonu połączonego z werandą. Zimowe słońce świeciło przez okna na werandzie i widział silne plecy Josefa przy budynkach gospodarczych wzdłuż działki.

Pokryty śniegiem trawnik miał około pięćdziesięciu metrów długości i delikatnie obniżał się w kierunku lasu. W połowie drogi do lasu stał stary, zardzewiały fundament masztu flagowego, a na końcu trawnika widać było kilka wiekowych

drzew owocowych, niemal stopionych ze skrajem lasu. Całe miejsce było oszałamiająco ładne i przez dłuższą chwilę tylko stał i patrzył.

– No to mamy ogień w piecu. – Molnar pocierał policzek i nieświadomie rozmazywał plamę sadzy. – Za chwilę spróbuję z piecem olejowym. Wrócimy do kuchni czy wolisz...? – Wskazał dużą sofę przy jednej ze ścian.

Sarac prawie go nie zauważył. Nie mógł oderwać oczu od widoku. Było coś w cieniach na skraju lasu, co przyciągało jego uwagę, nie potrafił dokładnie powiedzieć co.

– David?

– Sofa – wymamrotał.

– Proszę. – Molnar położył komórkę na stoliku pomiędzy nimi. – To telefon na kartę, numer jest z tyłu. Wpisałem swoją komórkę pod skrótem numer jeden, Josefa pod numerem dwa. Dzwon, gdybyś czegoś potrzebował, czegokolwiek. Zanim pójdziemy, napełnimy ci lodówkę, zamrażarkę i schowek na drewno. – Wskazał na budynek na podwórku. – A jeśli Wallin albo Dreyer będą pytać, to podwieźliśmy cię oczywiście do domu, tam zostawiliśmy i nie mamy pojęcia, dokąd się potem udałeś. – Molnar uśmiechnął się i puścił do niego oko, a Sarac starał się, jak mógł, żeby odpowiedzieć na jego uśmiech. – Teraz najważniejsze, żebyś się odprężył i odpoczął – ciągnął Molnar. – Starczy ci leków?

– Mhm – wymamrotał Sarac, właściwie nie słuchając. Jego wzrok znów powędrował w kierunku lasu. Cienie na jego skraju zdawały się niemal żyć własnym życiem. Od razu pomyślał o pokoju ze snu. Zdjęcia, twarde spojrzenia mężczyzn, pajęcza sieć, która ich łączyła. – Myślę, że on mnie szuka – powiedział w roztargnieniu.

– Kto? – spytał Molnar. – Jest kilku takich.

– Janus. Myślę, że próbuje się do mnie dostać. – Słyszał słowa wychodzące z własnych ust. Było to jak słuchanie nieznanego.

– Chyba musisz być bardziej konkretny. – Nowy, ostrzejszy ton głosu Molnara sprawił, że Sarac się ocknął.

– Eee, jasne. – Wziął głęboki oddech, spróbował uporządkować myśli. – Dziś

w nocy ktoś próbował wejść do mojego mieszkania. Ktoś, kto miał klucze.

– Widziałeś, kto to?

Sarac pokręcił głową.

– Na drzwiach był łańcuch, widziałem tylko rękę w szparze w drzwiach.

– Ale myślisz, że to był Janus? Że ma klucze do twojego mieszkania?

– Mmm – wymamrotał Sarac. Sam słyszał niepewność w swoim głosie. – Ktoś też przeszukał mieszkanie i zostawił cholerny bałagan.

– A czemu myślisz, że to Janus? – spytał Molnar. – Masz zastrzeżony adres, nigdy nie mówimy informatorom, gdzie mieszkamy. Nigdy, przenigdy, to podstawowa zasada bezpieczeństwa. Chyba byś jej nie złamał?

Sarac próbował myśleć. Zastanawiał się, czy nie opowiedzieć o tym, co się zdarzyło w szpitalu. Facet z tytoniem mówiący o umowie, koleś w za ciasnym fartuchu lekarskim, który zajrzał na jego oddział. Mocno zużyta fajka do palenia metamfetaminy, którą znalazł w swoim mieszkaniu. Ale coś w wyrazie twarzy Molnara mówiło mu, że nie był to dobry pomysł. Przynajmniej póki sam nie będzie wiedział, co się właściwie dzieje. Co było prawdą, a co tylko resztkami z wraku jego uszkodzonego mózgu.

Paranoja to dość pospolity skutek uboczny po udarze. Kto to mówił, doktor Vestman? Nie, nie, to była jego osobista opiekunka, jak ona się nazywa? Cholera jasna!

Nagle dostrzegł swój wstyd. Wstydził się swojej mętnej gadki i marnej kondycji fizycznej. I innych rzeczy, których właściwie nie pamiętał.

– No więc, Peter. Właściwie nie wiem. Sorry, wszystko teraz jest dość chaotyczne.

– Zamknął oczy, opuszkami palców nacisnął powieki, żeby wcisnąć ból głowy z powrotem do wnętrza.

Molnar patrzył na niego badawczo, zdawało się, że o czymś myśli.

– Okej, rozumiem. Przeszedłeś przez coś okropnego, co większość ludzi by złamało. Absolutnie nie musisz prosić o wybaczenie. Już dziś wieczorem postawię chłopaków pod twoim mieszkaniem. Bardzo nam zależy, żeby dorwać Janusa tak szybko, jak to możliwe.

Sarac skinął głową, próbował znaleźć sposób na zmianę tematu rozmowy. Miał

pytania, mnóstwo pytań. W zasadzie musiał odtworzyć doświadczenia dwóch lat. Ale nie wiedział, od czego zacząć. Wszystko od razu wydawało się zbyt przytłaczające.

– Wypadek samochodowy – powiedział w końcu. – Zdaje się, że Bergh nie uważał go za wypadek. Jego zdaniem miał on coś wspólnego z zaginioną listą zapasową. To dlatego w szpitalu był strażnik z Securitasu?

Molnar przytaknął.

– Biorąc pod uwagę, jaka jest stawka w sprawie Janusa, Bergh wolał uniknąć niespodzianek. Ale jak powiedziałem, przyjechaliśmy na miejsce chwilę po zderzeniu. W tunelu nikogo więcej nie było.

– A moja komórka w takim razie – powiedział Sarac. – Co się z nią stało? Nie było jej w szafce w szpitalu. Powiedziałeś, że chwilę wcześniej dzwoniłem do ciebie z samochodu.

Molnar wzruszył ramionami.

– Nie ma. Pewnie leżała luzem w samochodzie. Wrak... – Przerwał, wybrał inne słowo. – Samochód wyglądał paskudnie. Z wozu prawie nic nie zostało. Byliśmy pewni, że ty... No, że nie jest dobrze. Ostatnią rzeczą, o jakiej myśleliśmy, było szukanie telefonu.

– Lista połączeń coś dała? – I znów sam siebie zaskoczył. Pytanie było jak najbardziej logiczne, a jednak wcale o nim nie myślał, zanim nie wyskoczyło mu z ust. Czasami niektóre części mózgu zdawały się doskonale funkcjonować na własną rękę.

Zdawało się, że Molnar zauważył to samo, ponieważ kącik ust lekko mu zadrżał.

– No tak, zażądaliśmy listy. Ostatni telefon wykonałeś na moją komórkę, dokładnie tak, jak powiedziałem. Wcześniej cały szereg numerów telefonów na kartę, których nie udało nam się zidentyfikować.

– Mogę ją zobaczyć? Listę połączeń. Może rozpoznam kilka numerów.

Molnar zmarszczył czoło.

– Oczywiście, ale naprawdę myślisz, że to odpowiedni moment? Nie będzie lepiej, jeśli się skoncentrujesz na dojściu do siebie?

Uczucie nadeszło znikąd, bez najmniejszego ostrzeżenia. Sarac nie był w stanie powiedzieć, co je wywołało. Wyraz twarzy Molnara się nie zmienił, na ile był

w stanie to ocenić, ton głosu był dokładnie ten sam. Mimo to Sarac nie mógł się otrząsnąć z nieprzyjemnego wrażenia. Z każdą sekundą stawało się coraz mocniejsze. Było więcej informacji, które miały coś wspólnego z wypadkiem i listą połączeń. I które Molnar chciał ukryć.

## Dwadzieścia

– Wallin, tu Jesper Stenberg. Zdążyłeś popatrzeć na to, o co cię prosiłem?

– Dzień dobry, panie ministrze! Oczywiście, sprawa jest badana przez wydział kryminalny w śródmieściu, dokładnie tak, jak myślałem. Ale poprosiłem kolegę, żeby się temu bliżej przyjrzał i użył jakiejś wymówki, której nikt nie podważy. W najbliższych dniach oczekuję raportu.

– Dobrze. Możemy liczyć na jego dyskrecję?

– Jej...

– Słucham?

– *Jej* dyskrecję. To ona, komisarz Julia Gabrielsson. Teraz jest na kursie kierowniczym, przez pół roku była w FBI na stypendium. Młoda, ambitna, dokładnie taki typ współpracownika, jaki pan lubi. Poza tym godna zaufania.

Komisarz Julia Gabrielsson stała bez ruchu w holu, wsuwając pęk kluczy z powrotem do kieszeni kurtki. Poza delikatnym szumem samochodów z najbliższych ulic w mieszkaniu było zupełnie cicho. Przed południem przeczytała sprawozdanie z dochodzenia. Właściwie żadnych niespodzianek. Kobieta z udokumentowanymi problemami psychicznymi i szafką łazienkową napakowaną antydepresantami decyduje się na otwarcie okna i skok. List pożegnalny napisany na iPadzie i wysłany mailem, *very* 2013.

Protokół sekcji zwłok wskazał na kilka uszkodzeń ciała, co w zasadzie całkiem pasowało do upadku z dużej wysokości. W każdym razie nie było takich, które by do takiego upadku nie pasowały. Zawartość żołądka stanowił zwyczajowy koktajl pożegnalny mocnego alkoholu i tabletek.

Na miejscu też nic odbiegającego od standardu. Drzwi do mieszkania porządnie zamknięte, brak śladów włamania lub obecności innych osób. Jeden z sąsiadów zdawał się wprawdzie słyszeć podniesione głosy dochodzące z mieszkania, ale ponieważ facet sam powiedział, że wypił co najmniej jedną butelkę wina i cztery mocne drinki, jego zeznanie raczej nie jest niepodważalne. Poza tym wyglądał na gadułę, ten typ człowieka, który zbyt chętnie dostosowuje swoją pamięć, żeby



zadowolić policję.

Wystarczyło sobie to uzmysłwić: gdyby tata Sophie nie był jednym z najbardziej znanych adwokatów w Sztokholmie, sprawa już dawno zostałaby zapomniana, a ona sama zajmowałaby się czymś dużo ważniejszym. Ale Oscar Wallin chciał zrobić przysługę Johnowi Thorningowi i dlatego zadzwonił do niej. Oczywiście się zgodziła. Oscar celował wysoko, na sam szczyt, a ona miała zamiar się tam zabrać razem z nim.

– Jedyne, co masz zrobić, to na to zerknąć. Sprawdzić, czy wszystko się zgadza. Naprawdę, bardzo to docenię. Absolutnie nie ma pośpiechu, możesz tam zajrzeć w przyszłym tygodniu.

Ale oczywiście nie chciała czekać tak długo. Równie dobrze można ruszyć od razu.

Z kieszeni kurtki wyjęła parę foliowych ochraniaczy i założyła na buty. Naciągnęła parę cienkich lateksowych rękawiczek, a następnie zrobiła krótką, orientacyjną rundkę po mieszkaniu. Hol, kuchnia, salon, obie sypialnie. Wszystko urządzone w takim samym surowym, bezosobowym i na pewno cholernie drogim industrialnym stylu. Wyszlifowane, szare betonowe podłogi, meble ze stalowych rurek i gdzieś tam zdjęcia w ramach. Większość przedstawiała właścicielkę mieszkania w różnych egzotycznych miejscach. Wszystkie zdjęcia czarno-białe, ani jednej kropeczki farby.

Na samym końcu znajdował się gabinet, gdzie Sophie Thorning wspięła się na balustradę francuskiego balkonu. Krzesło nadal tam stało. Julia oparła się pokusie podejścia do okna i spojrzenia w dół, na ulicę, zamiast tego wróciła do drzwi wejściowych. Żadnych oznak włamania, wszystko tak, jak napisano w sprawozdaniu z dochodzenia, co specjalnie jej nie zdziwiło. Dokładnie naprzeciwko drzwi znajdował się szyb windy. Istniały tylko dwa sposoby, żeby się dostać na piętro, na którym mieszkała Sophie. Albo, tak jak sama to zrobiła przed chwilą, przez włożenie odpowiedniej karty przy odpowiednim nazwisku w windzie. Albo po zadzwonieniu domofonem i wpuszczeniu przez właściciela mieszkania.

Julia poszła dalej do większej z obu sypialni. Dobrą chwilę postąła w miejscu, zanim otworzyła drzwi do osobnego pomieszczenia garderoby. Rząd za rzędem ubrania, wiszące w pedantycznym porządku. Cała ściana butów. Louboutin, Jimmy

Choo, Manolo Blahnik. Drogie marki dla rozpieszczonej dziewczynki. Część ściany zajmowały szuflady. Zaczęła od dołu. Bielizna, rajstopy, skarpetki, różne inne detale, nic zaskakującego. Nawet sekszabawki w czwartej szufladzie nie były jakieś niezwykcyjne. Kilka różnych sztucznych członków, kajdanki, zestaw pasków i pasów i inne przybory. Troszkę więcej niż kolekcja *Pięćdziesięciu twarzy Greya* u kur domowych. Zdaje się, że Sophie Thorning lubiła się ostro bawić. Raczej nie opowiadała o tym tatusiowi.

Ogromne łóżko wyglądało na świeżo pościelone. Czarne prześcieradło, szara powłoka na kołdrę. Po stronie głowy sześć dużych poduszek, tak samo szarych jak powłoka na kołdrę. Coś w samym pościeleniu łóżka sprawiło, że Julia zmarszczyła czoło. Przejechała ręką po materiale. Kołdra i prześcieradło były mocno naciągnięte, niemal bez jednej zmarszczki. Na kołdrze było wyraźnie widać złożenia z magła. Doskonale, proste jak drut linie, wojskowa precyzja.

Julia chwyciła kołdrę i odchyliła róg, następnie pochyliła się i powąchała materiał. Pachniała jak świeżo wyprana. Podniosła całą kołdrę, przekręcała wszystkie poduszki. Nic, ani jednego włosa czy drobinki skóry, które powinno być wyraźnie widać na czarnym prześcieradle.

Wróciła do garderoby i przeszła do przestrzennej łazienki. Grube ręczniki frotté wisały zarówno przy umywalce, jak i na suszarce przy prysznicu. Wszystko było gładkie i czyste, bez najmniejszego śladu używania.

Kosz na brudną bieliznę stał w dyskretnym wgłębieniu w jednym z rogów, ukryty za zasłonką. Obok półka z wysuwanymi drucianymi koszykami. Wyciągnęła wszystkie, znalazła trochę brudnych rzeczy do prania, ale ani ręczników, ani pościeli. Nie musiało to nic znaczyć. Sophie Thorning miała na pewno sprzątaczkę, może pomoc obejmowała też zmianę pościeli i pranie? Ale Sophie zmarła w piątkową noc, a jak często sprzątaczkę przychodziły w weekendy? Odnotowała sobie, żeby zadzwonić i to sprawdzić. Ale było jeszcze kilka innych szczegółów, które można było zbadać nawet łatwiej.

Wyszła z łazienki i przeszła do dużej otwartej kuchni w stylu barowym. Pusty zlew, żadnych nieumytych szklanek czy sztućców. Raczej mało zaskakujące, biorąc pod uwagę, jak czysto i oszczędnie zdawała się żyć Sophie. Zmywarka była ukryta za

jednymi z białych drzwiczek. Kilka szklanek, sztucce, to co się wkłada do maszyny zaraz po opróżnieniu. W każdym razie tak to funkcjonowało w domu u niej i Nilli.

Otworzyła szafki, wzrok przechodził po równych rzędach różnego rodzaju szklanek i kieliszków. Jedno odchylenie przyciągnęło jej uwagę. Brakowało dwóch szklanek do whisky. Jedna z nich była w badaniu, stała na biurku w pracowni. Analiza wykazała, że zawierała whisky tego samego rodzaju, jaki znaleziono w żołądku Sophie. Ale gdzie była druga szklanka? Powąchała w powietrzu. Ten słaby, leciutko ostry zapach mógł być zapachem whisky. Czyżby zagubiona szklanka?

Wyjęła latarkę, poświeciła po drzwiczkach do szafek. Na jednej z otynkowanych ścian odkryła kilka małych żółtych plam. Wyciągnęła kosz na śmieci, ale on też był pusty.

Odkurzacz znajdował się w jednej z szaf w holu i z pewnym trudem podniosła pokrywę. Worek do odkurzacza był nowusieńki, ale ktokolwiek go wymienił, prawdopodobnie nie przejmował się wymianą filtra. Odczepiła go delikatnie, a następnie poświeciła z boku latarką. Słabe połyskiwanie malutkiego fragmentu kryształu sprawiło, że uśmiechnęła się zadowolona.

Wróciła do kuchni, położyła się płasko na brzuchu i latarką poświeciła na błyszczącą, szarą betonową powierzchnię. Na podłodze leżała cienka, równa warstwa kurzu, dokładnie tak, jak się spodziewała. Mieszkanie nie było sprzątane od czasu śmierci właścicielki. Ale poza tym nie było nic, nawet okruszka chleba. Chociaż zaraz... Coś lekko załamywało światło. Nierówne odchylenie w jednej z betonowych spoin pod wyspą kuchenną. Podciągnęła się bliżej, pilnując, żeby nie stracić tego miejsca z oczu. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, kiedy zobaczyła, że miała rację. Niewielki odłamek szkła, a dokładniej kryształu. Odłamek, który w odróżnieniu od reszty szklanki nie został wciągnięty przez odkurzacz i wyniesiony z mieszkania razem ze śmieciami, ręcznikami i zużytą pościelą.

Podniosła się z podłogi. Nie może mieć absolutnej pewności, zanim nie sprawdzi grafiku w firmie sprzątającej. Ale uczucie w brzuchu mówiło jej, że wpadła na jakiś trop.

Mieszkanie zostało wysprzątane, starannie, metodycznie i przez kogoś, kto dokładnie wiedział, co robi. Prawdopodobnie chodziło o tę samą osobę, która leżała

w łóżku, wycierała się ręcznikami i piła z rozbitej szklanki. Tę samą osobę, którą wcześniej tego wieczoru słyszał sąsiad. Pytanie tylko: kto?

Ostrożnie trzymała kawałek szkła między kciukiem a palcem wskazującym i świeciła na niego pod różnymi kątami. W świetle błysnął ślad. Mała, czerwona plamka, ledwie widoczna bez szkła powiększającego.

Przypominała krew.

## Dwadzieścia jeden

Atif zadzwonił do drzwi, uchylił pokrywkę wrzutni na listy i próbował dostrzec jakieś oznaki życia w mieszkaniu. Ale zarejestrował tylko ciemny przedpokój i silny, lekko stęchły zapach, trudny do umiejscowienia. Nikogo nie było w domu i sądząc po stercie poczty na podłodze w przedpokoju, minęło już sporo czasu, odkąd ktoś tu zaglądał.

Bakshi cholernie się zdenerwował rozmową o Adnane i napadzie. Gdy tylko zamknęły się drzwi wejściowe, rzucił się na telefon i zadzwonił do Erika Johanssona. Ale bez odpowiedzi. To dlaczego dzwonił? Pewnie dlatego, że Johansson był w to zamieszany i Bakshi chciał go ostrzec. Ewentualnie żeby się pochwalić, jaki był cool, kiedy wytrzymał wzrok Atifa i niczego nie zdradził. Niezależnie od tego, o co chodziło, ślady prowadziły w tym samym kierunku – do Erika Johanssona.

Numer komórki okazał się niewypałem. Żadnych wyników w żadnej wyszukiwarce, co albo znaczyło, że numer był zastrzeżony, albo że chodziło o telefon na kartę bez zarejestrowanego właściciela. Próbował dzwonić na ten numer ze swojego telefonu na kartę, ale ciągle natykał się na automatyczną sekretarkę. Według Eniro w samym Sztokholmie było ponad trzystu Erików Johanssonów, co raczej nie było liczbą, nad którą mógł pracować.

Zamiast tego dotarł do maila, w którym Bakshi dyskutuje o Eriku J. z jakimś Pasim. Wygooglował adres mailowy Pitbull8U i odkrył, że prowadził on do jednoosobowej firmy zarejestrowanej na niejakiego Pasiego Arvo Lehtonena, z adresem pod tymi właśnie drzwiami na ulicy Roslagsgatan 62.

Najchętniej Atif poszukałby Bakshiego i wycisnął z niego, co wie. Ale Bakshi zniknął, pewnie zadekował się u jednej ze swoich dziewczyn z pistoletem pod poduszką. Albo czmychnął z miasta. W każdym razie mieszkanie było ciemne i zaryglowane.

Tak więc Pitbull-Pasi był teraz dla Atifa najlepszym tropem, ale wszystko wskazywało na to, że nie wziął pod uwagę słów Bakshiego, który zapewniał go, że może spokojnie przylecieć do domu. Co tak niepokoiło Pitbulla, że – jeśli dobrze odczytywał maila – uciekł za granicę? Czy miało to związek ze śmiercią Adnana?

Tylko jedna osoba mogła na to odpowiedzieć.

Atif wstał i otrzepał kurz z kolan. Trochę dalej na klatce schodowej wolno otwierały się drzwi do mieszkania. Wychodziła starsza kobieta, ciągnąc kraciasty wózek na zakupy. Kiedy dostrzegła Atifa, zatrzymała się, najwyraźniej rozważając cofnięcie się do środka.

– Policja – powiedział szybko Atif, wyciągając legitymację służbową i przytrzymując w powietrzu. Kobieta stała co najmniej sześć metrów dalej i sądząc po grubych szklach w okularach, raczej nie była w stanie zobaczyć jakichkolwiek szczegółów poza małym etui i błyszczącą odznaką. Miał rację, wyglądało na to, że kobieta od razu się rozluźniła.

– Aha, jak miło – powiedziała.

– Myślałam, że pan policjant to jeden z tych tam... – Skinęła głową w kierunku drzwi za nim.

– Właśnie dlatego tu jestem. Chciałem porozmawiać z pani sąsiadem, panem Lehtonenem – powiedział Atif.

– Tak, no, to rozumiem – powiedziała. Jej głos był zaskakująco melodyjny. – W tym mieszkaniu ciągle jest jakaś bieganina. Dziwni ludzie.

– Mhm. – Atif wysilił się na ton pełen szacunku. – Wie pani może, czy pani sąsiad jest w domu?

– Nie, pewnie wyjechał na Boże Narodzenie, tak jak większość młodych ludzi. Moje wnuki jeżdżą do Tajlandii, sama nigdy bym tego nie zrobiła. Boże Narodzenie bez śniegu i chłodu to nie to samo.

Atif pokiwał głową. Włożył rękę do kieszeni, wyciągnął długopis i papier.

– Miałbym do pani ogromną prośbę. Rozumie pani, naprawdę chcę się z nim skontaktować, najchętniej od razu, kiedy tylko się pojawi.

Sarac czuł się już lepiej. Chociaż nie wychodził na zewnątrz, tutejsze powietrze trochę mu rozjaśniło w głowie. Spał na sofie w salonie, wpełzł cały do zielonego śpiwora, który zostawił Molnar. Cała noc nieprzerwanego snu bez snów.

Właściwie najchętniej by wyszedł, spróbował dojść do skraju lasu i sprawdził, co tam takiego było między drzewami, co tak go przyciągało. Ale zdawał sobie sprawę,

że w obecnym stanie nie udałoby mu się brodzić w śniegu. Zamiast tego przeszedł się po dużym domu. Ostatnie wspomnienie stąd miał chyba z wakacji dwa lata temu. Elisabeth, Jeff i dzieciaki przylecieli z Kanady i przedstawiali plany dotyczące tego starego domu. Jeff w typowy dla siebie taktowny sposób zaproponował sprzedaż, remont zbyt dużo by kosztował. Ale Saracowi udało się przekonać siostrę, żeby poczekali. Większość rzeczy mógł zrobić sam i wcale nie wyszłoby tak drogo. Mimo wszystko dom był częścią jego dzieciństwa. Ostatnim, co zostało.

Pierwsze piętro wyglądało dokładnie tak, jak pamiętał. Nad schodami znajdował się duży otwarty pokój wychodzący na główne wejście. Korytarz z dwiema małymi sypialniami po obu stronach prowadził na drugie piętro werandy. Ale jej dach i część okien przykryto dużymi plandekami, co razem z brudnymi oknami sprawiało, że na piętrze było ciemno i ponuro. Na werandzie było pełno materiałów budowlanych. Kozły do cięcia drewna, materiały izolacyjne, rolki papy smołowej, kilka dużych butelek z gazolem i piła poprzeczna. Pas z narzędziami, który rozpoznał, leżał rzucony na stos drewna. Deski na stosie poźółkły, wyglądało na to, że już jakiś czas tam leżały.

Otworzył drzwi do jednej z sypialni. Zobaczył schludnie pościelone łóżko, krzesło i mały stolik nocny. Wyraźnie było czuć zapach wilgotnych materiałów. Na jednej ze ścian znajdowało się dwoje drzwi z mosiężnymi pokrętłami zamiast klamek. Wiedział, że jedne prowadziły do garderoby, a drugie prosto do małej łazienki.

Odkręcił wodę w kranie nad umywalką. Czuł pod ręką wibrowanie metalu, zanim kran szarpanym strumieniem zaczął wypluwać zabrudzoną wodę. Pozwolił, żeby przez chwilę leciała, aż strumień stał się jasny i stały. Chyba Molnarowi udało się uruchomić kocioł, bo woda z czasem stała się ciepła albo raczej letnia.

Zakręcił kran i wrócił na korytarz. Spojrzał w dół na drzwi wejściowe. Wrażenie narastało z każdą sekundą, wzmocnione płatami odpadającej ze ścian farby i plamami wilgoci na suficie. Cały ten wspinały budynek zmierzał do nieuniknionego upadku.

Zaburczało mu w brzuchu i nagle przypomniał sobie, że nawet nie jadł śniadania. Josef porządnie zapełnił lodówkę, więc wyciągnął wszystkiego po trochu. Usiadł przy stole kuchennym, czekając, aż zrobi się kawa w ekspresie. Położył prawą dłoń na stole i poruszał palcami. Teraz było lepiej, znacznie mniejsze uczucie gąbczastości niż

wcześniej. W prawej nodze też, nawet jeśli nadal musiał korzystać z kuli. Jak tak dalej pójdzie, niedługo będzie gotowy wrócić do pracy. W tej samej chwili uzmysłowił sobie, że już nie miał pracy, w każdym razie nie naprawdę. Sekcja materiałowa to był przystanek końcowy, to tam wrzucano osoby, których nie można było umieścić gdzie indziej. Które już się nie nadawały do zwyczajnej, uczciwej policyjnej roboty.

Przełknął ślinę, podrapał się delikatnie po czapce. Bandaża już nie było, zostawił tylko opatrunek na dziurach w kości czaszki. Wyczuł je palcami, delikatnie przesunął palce do brzegu kości. Tam był jego mózg, nadal mniej lub bardziej odsłonięty. Mimo to nie był w stanie dotrzeć do tego, co w nim się kryło. Musi spróbować zrobić porządek. Znaleźć sposób na wypełnienie luk, pokazać, że ci, którzy próbowali odstawić go na boczny tor, nie mieli racji.

Nadal nie udało mu się otrząsnąć się z tych obrazów, które pojawiły się w pamięci w samochodzie Molnara. Pokój, mężczyźni z twardymi spojrzeniami. Czerwone kreski, które wiązały ich jak w pajęczej sieci z tym znakiem pośrodku. Wzór, który go jednocześnie przerażał i przyciągał. Ale zaczął sobie przypominać jeszcze jedno uczucie. Pojawiło się już w szpitalnym łóżku, ale rozmowa z Molnarem je wzmocniła. Wstyd. Czegoś się wstydził, nie tylko swojego żalosego stanu i tego, że wylądował na lodzie, ale czegoś jeszcze. Czegoś, co zrobił, czegoś niewybaczalnego.

Kim był mężczyzna w zaśniewanym samochodzie, którego śmierci był świadkiem? Czy był to ktoś, kogo znał, ktoś, z kim współpracował? Może nawet Janus? Czy dlatego Molnar nie chciał mu pokazać listy połączeń, bo nie bardzo mu ufał? Wątpił w obiektywność Saraca?

Odległy odgłos zatrzasniwanych drzwi zatrzymał spiralę pytań. Obrócił się, wyrzwał przez okno i odkrył małego czerwonego golfa z wyraźnymi plamami rdzy, który zaparkował na podjeździe. Nie słyszał, jak podjeżdżał, pewnie śnieg stłumił dźwięk silnika. Samochód wyglądał znajomo, ale nic więcej nie potrafiłby o nim powiedzieć.

Dostrzegł kierowcę, który szedł w kierunku drzwi wejściowych. Wstał, czuł bicie serca. Nikt poza Molnarem i Josefem nie wiedział, że tu jest. Kim więc była osoba na podwórku?



Wyciągał szuflady w kuchni, bez powodzenia szukając jakiejś broni. Pukanie do drzwi, silne, zdecydowane, jakby osoba na zewnątrz nie miała ochoty czekać. Przemknął do holu, przycisnął się do ściany i spróbował spojrzeć przez okna w kierunku ganku. Ale widział tylko grubą puchową kurtkę. W rogu tuż za drzwiami dostrzegł kij bejsbolowy nabity długimi, ostrymi gwoździami. To jego? W każdym razie go nie rozpoznał. Co go napadło, że skonstruował taką przerażającą broń?

Znowu pukanie, tym razem mocniejsze. Przez chwilę się wahał. Następnie chwycił kij, przekręcił zamek i gwałtownie otworzył drzwi. Osoba na ganku nawet nie wyglądała na zaskoczoną, lustrowała go z wolna od góry do dołu. Następnie wskazała na kij z gwoździami w ręku Saraca.

– Musimy przestać się w ten sposób spotykać, David – uśmiechnęła się Natalie.

– C-co ty tu, do cholery, robisz?! – Sarac próbował ukryć kij za plecami.

– To, co naprawdę chcesz powiedzieć, to: „Dziękuję, Natalie, że wczoraj czekałaś na mnie trzy godziny, zupełnie niepotrzebnie. Dziękuję też, że pojechałaś do domu i posprzątałaś moją narkomańską dziurę zwaną mieszkaniem, na próżno czekając, aż się zjawię. A szczególnie wielkie dzięki, że pojechałaś aż na archipelag, żeby mi dostarczyć leki”. – Natalie znów się uśmiechnęła i pomachała torebką z apteki.

Sarac pokręcił głową.

– J-jak tu dotarłaś? To znaczy, kto, dom...? – Nitki myśli się zaplątały.

– Pachnie kawą. – Natalie wskazała w kierunku kuchni. – Jak mnie zaprosisz na filiżankę, wszystko ci opowiem.

– Fajne miejsce, musi trochę kosztować. – Natalie rozglądała się po kuchni.

– Należało do mojej babci. Odziedziczyliśmy je razem z siostrą – wymamrotał Sarac, niezdarnie przygotowując kubki z kawą.

– Elisabeth Matilda Sarac, obecnie, po mężu, Wilson. Wyemigrowała do Kanady w dwa tysiące pierwszym. Chata jest zapisana na nią, nie na ciebie. Sprytne posunięcie, jeśli chce się uniknąć podatku majątkowego. – Grzebała w torebce z lekami. – Koperta z twoimi lekami leżała na stole kuchennym w mieszkaniu, więc kiedy minął dzień, a ty się nie zjawiałaś, zaczęłam się niepokoić. W przedpokoju wisiał pęk kluczy oznakowany Skarpö [10](#), więc zgadywałam, że znajduje się tu letni

dom. Kolega z urzędu podatkowego trochę poszperał. Masz zastrzeżone dane osobowe, więc najpierw nic nie znalazł. No to próbował szukać innych osób o tym samym nazwisku.

– I tak znaleźliście moją siostrę i ten adres? – Zauważył, że jego słowa jakby zostają trochę w tyle.

– Tak, pozostało tylko znaleźć numer telefonu do gadatliwego sąsiada, spytać, czy z komina widać dym i – bingo!

Sarac usiadł przy stole, uszczypnął się ostrożnie w nos, potem w wargi. Uczucie odrętwienia twarzy minęło.

– Kiedy ostatnim razem wzięłeś tabletki na migrenę? – spytała Natalie.

– Chyba wczoraj – wymamrotał. – Albo może przedwczoraj...

## Dwadzieścia dwa

W wizjerze zamigotało, a następnie Atif usłyszał szcęknięcie łańcucha przy drzwiach. Zwrócił uwagę, że zamknęła wszystkie zamki.

– Wejdz! – powiedziała Cassandra. Próbowwała mówić twardym głosem, ale od razu dostrzegł strach ukryty pod powierzchnią opanowania. Jak zwykle wyczuł go węchem, poprzez jej ciężkie perfumy.

Wszedł do przedpokoju i zatrzasnął za sobą drzwi.

– Zamknij na klucz!

Zrobił, jak mu kazano. Czekał, aż zaprosi go dalej. Ale zamiast tego pozostali w przedpokoju.

– Tindra? – spytał.

– Śpi.

Skinął głową, próbował nie okazać rozczarowania. Czekał, aż powie, o co chodzi. Potem zdał sobie sprawę, że ona zmusi go, żeby spytał.

– Chciałaś, żebym przyszedł tak szybko, jak to możliwe. Jestem. – Atif wzruszył ramionami.

Dzwonił do Cassandry kilka dni temu, powiedział, że jeszcze przez jakiś czas będzie w kraju. Dał jej swój numer. Nie brzmiała, jakby była zadowolona, a już na pewno nie zaprosiła go na wspólne świętowanie Bożego Narodzenia, na co może liczył. Ale zaledwie przed godziną zadzwoniła i prosiła, żeby przyszedł. Powiedziała, że to ważne.

Cassandra włożyła rękę do tylnej kieszeni dżinsów, wyciągnęła złożoną kartkę i pomachała mu nią przed twarzą.

– Co to, do cholery, jest, Atif? Co! – Jej głos przeszedł niemal w falset.

Wziął papier. Kartka świąteczna z uśmiechniętym Mikołajem na przedniej stronie. Ktoś musiał ją upuścić na ziemię, bo na tylnej stronie wyraźnie było widać odcisk buta. Ślady grubej podeszwy, które przypominały te z jego własnych wojskowych butów. W środku kartki zwyczajowy zwrot „Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku”, a pod spodem kilka wierszy napisanych ręcznie czarnym atramentem.

*Cześć, Tindra*

*Mam nadzieję, że byłaś w tym roku grzeczną dziewczynką. Bo chyba wiesz, co się dzieje, jeśli nie jest się grzecznym?*

*Spytaj swojego stryja Atifa!*

*Pozdrowienia,*

*Święty Mikołaj*

– Leżała w jej schowku – zasyczała Cassandra. – W jej cholernym schowku, w przedszkolu. Rozumiesz? Bardzo się ucieszyła, myślała, że kartka naprawdę była od Świętego Mikołaja. Że napisał do niej i do ciebie. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

Atif kiwnął głową, dokładnie wiedział, jak to się stało. Miał ten obraz przed oczami. Drzwi do przedszkola rzadko zamykano na klucz, wystarczyło wejść. Nie rozmawiać z personelem, tylko spytać jakiegoś dzieciaka o właściwe pomieszczenie. Dzieci doskonale wszystko o sobie wiedziały, a jednocześnie była mała szansa, żeby dokładnie zapamiętały, kto z nimi rozmawiał. Reszta była prosta. Tylko zostawić krótkie pozdrowienie. Nie miało znaczenia jakie, wiadomość i tak trafi do właściwej osoby: Wiemy, gdzie jest to, co ma dla ciebie największą wartość, i możemy do tego dotrzeć, kiedy tylko chcemy.

Ale pierwszy raz znalazł się po przeciwnej stronie. Odhaczał uczucia jedno po drugim: strach, złość, bezsilność, chęć zemsty. Potem zmusił się, żeby je odłożyć na bok. Ktoś popełnił błąd, ktoś, kto tak bardzo się bał zaangażowania Atifa w sprawę, że zdecydował się do niego dotrzeć przez Tindrę. Prędzej czy później ten ktoś zapłaci za swój błąd.

– To wszystko twoja wina, Atif!

Nie odpowiedział, tylko stał cicho i spokojnie, a ona dalej na niego wrzeszczała.

– Właśnie uciekliśmy od tego całego gówna! Zaczynaliśmy mieć coś, co przypominało normalne życie.

Zauważył, że chciała powiedzieć coś jeszcze, jednak ugryzła się w język. Wzięła głęboki oddech i zdawało się, że się trochę uspokoiła.

– Czy ty w ogóle wiesz, co to jest normalne życie? – Zrobiła niewielki grymas. – To życie, w którym komórka nie dzwoni w środku nocy, życie, w którym policja nie

wywala kopniakami drzwi do mieszkania za każdym razem, gdy zdarzy się napad na transport rzeczy wartościowych. W którym nie trzeba kłamać swojej sześcioletniej córce, kiedy pyta, czym właściwie zajmuje się tata.

Atif milczał.

– Normalne życie, w którym nie trzeba ciągle się bać. – Patrzyła na niego, jakby czekała, że coś powie.

– Czy takie życie oferuje Abu Hamsa?

– C-co? – Złość minęła, zastąpiona niepewnością. Może nawet lekkim wstydem.

Ale szybko się opanowała.

– Nie wiem, o czym mówisz – powiedziała. Zabrzmiało to prawie wiarygodnie.

– Opowiedz o siłowni.

Zacisnęła wargi, przez kilka sekund świdrowała go wzrokiem.

– Było tak, jak mówiłam wcześniej. Adnan i jego kumpel Dino mieli razem otworzyć siłownię. Później Adnan to spieprzył, jak zwykle. Narobił gdzieś indziej długów i potrzebował szybko pieniędzy. Dino go wykupił, właściwie wyświadczył mu przysługę. Ale Adnan tak tego nie widział. Więc kiedy siłownia ruszyła i zaczynało dobrze iść, zrobił awanturę. Twierdził, że Dino go wykiwał. Któregoś dnia wtargnął na siłownię, machając pistoletem.

– Więc rozpętała się wojna? – spytał Atif.

Cassandra pokręciła głową.

– Nie, na szczęście tak daleko to nie zaszło. Adnan ze swoimi chłopcami chodzili uzbrojeni, nawet planowali zgarnąć Dina, co było cholernie idiotyczne. Dino ma mnóstwo przyjaciół, osób, którym się nie podskakuje.

– Więc co się stało?

– Wtrącił się Abu Hamsa i wynegocjował układ. Adnan i jego chłopcy mieli zrobić ten napad. Jego udział z napadu miał pójść na odkupienie jego udziału w siłowni za taką samą kwotę, jaką dostał od Dina.

– Ale zamiast tego Adnan trafił do kostnicy – powiedział Atif. – Zabity przez policję, bo ktoś go zakapował. Opowiedział, co się szykowało.

Cassandra nic nie powiedziała, zamiast tego zaczęła odrywać plastik z paczki papierosów. Atif znów spojrzał na kartkę, obrócił ją i przyglądał się odciskowi buta.

– Adnan i ja właściwie byliśmy już w separacji. – Zapaliła papierosa. Musiała spróbować kilka razy, zanim jej się udało. – Po tej sprawie z Dinem prawie nigdy nie spał w domu. Kiedy przyszedł gliniarz powiedzieć, że Adnan nie żyje, nie widziałam go pewno ze trzy tygodnie. – Jej głos nagle stał się smutny. – Wiem, że to zabrzmi, jakbym była szurnięta, ale w pewnym sensie poczułam... – Zagryzła wargę.

Ulgę, pomyślał Atif. Poczulaś ulgę, że Adnan nie żyje, ale dokładnie tak jak ja nie jesteś w stanie tego powiedzieć, bo wiesz, że to źle. Że to czyni z ciebie złego człowieka.

– Nie zrozum mnie źle, kochałam Adnana. – Jej głos odzyskał trochę wcześniejszej szorstkości. – Ale niezależnie od tego, jak bardzo próbowaliśmy, to po prostu już nie działało. – Porządnie się zaciągnęła i wydmuchała dym w stronę sufitu. – Nie chciałam ci tego mówić, kiedy przyjechałeś. Myślałam, że to bez znaczenia, jak między nami ostatnio było. Adnan przecież już nie żył.

– Rozumiem – powiedział. I uświadomił sobie, że naprawdę tak myśli.

Nagle zauważył, jaka Cassandra była zmęczona. Zmęczona i niespokojna. Dalej grała twardzielkę, ale ostatnie wydarzenia zaczynały odciskać swoje piętno.

– To co teraz? Z tym tu... – Kiwnęła głową w stronę kartki.

– Muszę dotrzeć do jednej osoby – powiedział. – Jak tylko to zostanie załatwione, spadam stąd.

– Chodzi o Adnana?

Nie odpowiedział, jednak wyglądało na to, że zrozumiała.

– A co ja i Tindra mamy w tym czasie robić? – spytała.

– Czy jest miejsce, do którego możecie pojechać? Jakiś krewny albo coś w tym rodzaju? Miejsce, od którego nikt nie zacznie szukać?

Zastanawiała się.

– Ciotka. Ona i jej nowy mąż mają gospodarstwo niedaleko Leksandu. Marudzili, żebyśmy przyjechały z wizytą.

Atif skinął głową.

– Leksand brzmi dobrze. – Pogrzebał w wewnętrznej kieszeni, wyjął portfel. Wyjął osiem gładkich banknotów pięćsetkoronowych, które położył na stoliku w korytarzu.

– To wszystko, co przy sobie mam – powiedział. Nie powiedział, że to też jego ostatnie oszczędności. Od tej chwili bieżące wydatki będzie musiał opłacać z kredytu na karcie.

Cassandra zebrała pieniądze. Szybko położył rękę na jej dłoni, przytrzymał na blacie stolika.

– Cassandra – powiedział cicho. – Chyba dobrze będzie nie mieszać w to Abu Hamsy.

## Dwadzieścia trzy

– Proszę, oto mój raport. – Julia Gabrielsson położyła między nimi na stole niebieski skoroszyt. Oscar Wallin pozwolił mu leżeć. Spokojnie jadł dalej swój lunch.

– Myślę, że będzie zadowolony – dodała z uśmiechem.

– Kto? – spytał Wallin.

– John Thorning. To chyba jemu robimy przysługę?

Wallin spojrzał w dół, odkroił kawałek mielonego kotleta i włożył go do ust. Przeżuł bez pośpiechu, a potem wytarł wargi serwetką.

– A co dokładnie rozumiesz przez „zadowolony”?

– Z dużym prawdopodobieństwem tego wieczoru w mieszkaniu znajdowała się jeszcze jedna osoba. Ktoś, kto albo miał własne klucze, albo został wpuszczony przez Sophie Thorning. – Zatrzymała się, czekała na jego pytanie.

– A skąd to wiemy?

– Zwykła, uczciwa policyjna robota. Coś, co powinna była zrobić pierwsza osoba prowadząca śledztwo. – Nie mogła się powstrzymać przed uśmiechem. – Wszystkie ręczniki są wymienione, to samo z pościelą. Poza tym nie ma żadnych naczyń do mycia, ani jednej brudnej szklanki. Nawet torebka w odkurzaczu jest nowiuteńka.

– I co z tego? – Wallin wzruszył ramionami. – Sophie Thorning pewnie miała sprzątaczkę. Mogła chyba wymienić pościel i ręczniki, skoro i tak sprzątała?

– Nie! – Julia podniosła kciuk. – Po pierwsze wygląda na to, że mała Sophie wbrew pozorom lubiła sama prać swoje brudy. Jej firma sprzątająca się tym nie zajmowała. – Dodała palec wskazujący. – A po drugie w jej mieszkaniu sprzątno ostatnio we wtorek w tym samym tygodniu. Jak wiesz, Sophie zmarła w nocy z piątku na sobotę. Nic nie wskazuje na to, że spała lub brała prysznic poza domem. W tygodniu był u niej nawet młodszy brat. I on też jest pewien, że Sophie spała w domu. Nawet pamięta, że sam używał ręczników w toalecie dla gości. Niebieskich, nie białych, które tam teraz wiszą. – Przerwała, żeby słowa miały czas dotrzeć do odbiorcy. – Ktoś to wszystko posprzątał – ciągnęła dalej. – Ktoś się porządnie wysilił, żeby usunąć wszelkie ślady swojej obecności.

– Czekaj, chwila. – Oscar Wallin odłożył sztucce. – Z tego co pamiętam, prosiłem,



żebyś się dyskretnie przyjrzała mieszkaniu Sophie Thorning, a nie żebyś dzwoniła do członków rodziny i prowadziła przesłuchania.

Julia wzruszyła ramionami.

– Przecież sam tatuś Thorning chce, żeby sprawa została wyjaśniona, więc to chyba nie ma znaczenia. Poza tym... – znowu przerwała, chciała przedłużyć ten moment jeszcze o kilka sekund – ...wiem, kim jest ten tajemniczy gość. A w każdym razie wkrótce będę wiedziała – dodała.

– Słucham – powiedział bezdźwięcznie Wallin.

– Brakowało szklanki do whisky – powiedziała, próbując dociec, dlaczego nie zrobiło to na nim wrażenia. – Poza tym znalazłam małe odłamki kryształu w filtrze odkurzacza. Resztki rozbitej szklanki. Po chwili czołgania się i pełzania w szparze w podłodze znalazłam kawałek szklanki z resztkami krwi. Dziś rano wysłałam to do SKL [11](#) w Linköpingu. Niestety, to nie działa tak jak w telewizji, poza tym są święta, więc na wyniki będziemy musieli poczekać kilka tygodni.

Przerwała, czekała, aż on coś powie. Ale Wallin tylko siedział bez ruchu i ją obserwował. Wbrew temu, czego się spodziewała, najwyraźniej nie zrobiła na nim wrażenia. Wydawało się raczej, że popełniła jakiś błąd.

– No więc – powiedziała, żeby wypełnić ciszę – to może oczywiście być krew samej Sophie Thorning. – Zauważyła lekkie wahanie w swoim głosie i szybko odchrząknęła, żeby się go pozbyć. – Ale jestem pewna prawie na sto procent, że tak nie jest... – Urwała w połowie zdania, zanim niepewność zdążyła znów się pojawić. Na tym etapie Wallin powinien już tryskać entuzjazmem, słysząc o jej wynikach. Ale tylko tam siedział, zimny jak lód.

– Ślad krwi nie jest oczywiście dowodem na to, że ktoś zamordował Sophie Thorning – ciągnęła trochę za szybko. – Ale w każdym razie są dobre powody, żeby dalej badać sprawę. To załatwią nawet lunatycy z komendy miejskiej. Powinno wystarczyć zbadanie DNA osób z najbliższego otoczenia Sophie. Przyjaciele, sąsiedzi, koledzy z pracy.

Saracowi nie udało się wyjść z łóżka przez dwa dni. Leżał zwinięty jak larwa w śpiworze na jednym ze stęchłych łóżek na piętrze i próbował stawić czoła migrenie.

Od czasu do czasu Natalie stawiała pod drzwiami tacę z jedzeniem, ale za każdym razem kiedy próbował jeść, kończyło się to wiszeniem nad kibelem i bekaniem, którego echo obijało się o kafle.

Większość czasu przesypiał. Chociaż sen nie był właściwym określeniem. Raczej unosił się w dziwnym stanie pomiędzy półsnem a jawą.

Słyszał skrzypienia i trzaski w starym domu, kiedy drewno z wolna schło i kurczyło się od ciepła z kaloryferów i komina, jęcząc w męczarniach jak jego mózg. Prawie jakby dom próbował mu coś powiedzieć. Dźwięki z parteru wędrowały kanałami wentylacyjnymi, szły w górę razem z ciepłym powietrzem z pieca. Odbijały się echem między starymi rurami wentylacyjnymi i na koniec, jako ledwo słyszalne szepty, wychodziły przez małą kwadratową kratkę wentylacyjną przy podłodze obok jego łóżka. Głosy z radia tranzystorowego w kuchni. Muzyka.

*Got to start from somewhere  
so I'll start from the grave  
we'll count the steps along the way  
Odds for a christening  
and evens, a wedding day... [12](#)*

Chętnie pozwolił się kołysać. W tę i z powrotem.

„We wszystkim chodzi o zaufanie, David”, szeptał ktoś tuż przy jego uchu. Głos sprawił, że otworzył oczy. Nagle serce zaczęło bić mocniej. Próbował podnieść głowę, rozejrzeć się w ciemnym pokoju. Ale głowa była jak z betonu, nie dała się ruszyć. I wtedy zauważył delikatny ruch. Powoli, bardzo powoli pokój zaczął się obracać w lewo. Później szybciej. Poczul się lekki, jakby nic nie ważył. Patrzył w kanał wentylacyjny, próbował spojrzeć za zakurzoną kratkę. Głębiej w dół ciemności.

„Wszyscy mamy jakąś cenę”, szeptał głos tam na dole. „Ukryte pragnienie, strach albo żądzę tak silną, że jesteśmy gotowi zdradzić dokładnie wszystko, co dla nas święte. Jeśli człowiek powierzy ci swoją największą tajemnicę, możesz go zmusić do zrobienia niemal wszystkiego”.

Pokój kręcił się teraz szybciej, sufit i podłoga zamieniły się miejscami. Chwycił się brzegu materaca, próbował się utrzymać. Jakaś jego część najchętniej zamknęłaby oczy, zaoszczędziła mózgowi tych wszystkich wrażeń. Melodia wróciła.

*Curl your lip and make me want to live  
for one more day  
make me want to sleep  
through one more night [13](#).*

Ale walczył z tym, nateżył siły do maksimum. Wiedział, że jest więcej. Musiał tylko uważnie słuchać.

„Jak pajęcza sieć”, ciągnął głos. „Cienkie jedwabiste nitki, a każda z nich sama w sobie to dzieło sztuki. Razem tworzą coś niesłychanie pięknego. I śmiertelnego. Ale musisz uważać, David. Czasami wchodzi się w sieć zbyt głęboko, zapomina, kim się właściwie jest”.

Pokój kręcił się coraz szybciej, tak silny ruch, że czuł, jak jego nogi unoszą się z materaca. Następnie żołądek, pierś, aż zawisł nad łóżkiem. Sufit, ściany, okna, wszystko wirowało i kratka wentylacyjna zniknęła z jego pola widzenia. Nie dawał już rady trzymać się materaca, bardzo mocno zacisnął powieki. Rzuciło go prosto w ciemność.

*I owe everything  
debts I can't escape til the day I die [14](#).*

Gdzieś w oddali słyszał głos Bergha: „Mogę go chronić, chronić ciebie...”. Potem głos mężczyzny ze szpitala, którego złoty ząb błyszczał w ciemności: „Umowa to umowa, David”, powiedział mężczyzna, a zapach cygara rozchodził się po pokoju. „Wiesz, jakie będą konsekwencje, jeśli złamiesz swoją część umowy. Twoja praca, twoja kariera, całe twoje życie, wszystko zostanie ci odebrane. Nie możesz się ukrywać przez całe życie”.

Ciemność zamieniła się w obrazy, pokazała mu białą tablicę ze zdjęciami, zacięte

twarze, linie tworzące pajęczą sieć. Symbol z dwoma J.

Później nagle coś zupełnie innego. Kołyszące się drzewa, rzędy pokrytych śniegiem kamieni nagrobnych. Obok nich niski, szczupły mężczyzna z puszystymi wąsami, w błyszczących spodniach od dresów i za dużej, żółtej puchowej kurtce. Mężczyzna otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przerwał mu dźwięk telefonu. Uśmiechnął się przepaszająco, wyciągnął komórkę z kieszeni. „Halo, tu Selim”, powiedział. Czekał, a osoba po drugiej stronie coś mówiła. Następnie szeroko się uśmiechnął. „*Ey, Erik J., long time no see!*” [15](#)

## Dwadzieścia cztery

Musieli użyć sieci, żeby wyciągnąć ciało z wody. Jeden ze strażaków był nowy i popełnił błąd, próbując pociągnąć ciało za ręce, przez co jedno ramię oderwało się od stawu barkowego i telepało się luzem w rękawie żółtej, puchowej kurtki.

Dwóch innych strażaków śmiało się z niego i nabijało z koloru jego twarzy, aż dowódca kazał im się zamknąć.

– Ten koleś leżał w wodzie jakiś miesiąc, może dwa – wyjaśnił nowemu. – To można rozpoznać po kolorze i opuchliznie.

Wskazał na zielononiebieską, opuchniętą twarz, na której mały, puszysty wąs zamienił się w sterczącą czarną szczecinę.

– Potrafią być dwa razy tacy, kiedy woda jest ciepła, prawdziwe ludziki Michelin. – Dowódca włożył pod wargę porcję snusu i ciągnął dalej: – Woda rozpuszcza skórę i tkanki. To dlatego używamy sieci i nigdy nie ciągniemy za członki, rozumiesz?

Nowy kiwnął głową i kilka razy przełknął ślinę. Zerknął w sieć, na żółtą kurtkę i błyszczące spodnie od dresów, napięte wokół przypominającej żel zawartości. Potem pomógł dwóm mężczyznom z samochodu do przewozu zwłok włożyć opuchnięte ciało do ekstradużego worka na zwłoki.

– No tak, zimowe ciemności zaczynają być widoczne w statystyce samobójstw. Trzeci trup z wody w tym miesiącu – westchnął jeden z mężczyzn. – I pewnie więcej wypłynie po świętach.

Dopiero później, kiedy spuchnięte ciało trafiło na stół patologa sądowego i technik sekcji zwłok naciągnął skórę, odkryto cienką, stalową linkę owiniętą wokół szyi mężczyzny.

– Słucham – powiedział Stenberg.

– Dzień dobry, panie ministrze, i wesołych świąt – powiedział suchy głos w słuchawce.

– Czy ta linia jest bezpieczna? – spytał Stenberg.

– Oczywiście! Jak mogę panu pomóc, panie ministrze?

– Chodzi o tę usługę, którą wykonaliście.

– Taak, panie ministrze?

– Nie dotrzymaliście swojej części umowy.

– Co pan ma na myśli?

– Nie mam zamiaru wchodzić w szczegóły, mogę tylko stwierdzić, że nie wykonaliście porządnie tej roboty. Że odwaliliście ją byle jak. Zapewnialiście, że nie będzie żadnych luźnych wątków. Nic, co mogłoby mnie powiązać z tym miejscem. – Stenberg ugryzł się w język. Wysilał się, żeby w jego głosie brzmiał profesjonalizm, a nie niepokój.

– Tak – powiedział mężczyzna w słuchawce.

– Ale jednak teraz coś takiego jest.

– Myślałem, że śledztwo policyjne zostało umorzone, panie ministrze.

– I tak jest. Chodzi mi o to... Policja jeszcze raz się temu przyjrzała, znalazła szczegóły, które się nie zgadzają. Poza tym uważam, że ten cholerny mail do ojca był zupełnie niepotrzebny. To tylko wzbudziło jego podejrzenia. Sophie nie była raczej typem piszącym listy, gdybyście mnie zapytali...

– Pan minister nie był szczególnie gadatliwy – powiedział mężczyzna w słuchawce. – Zrobiliśmy, co się dało. A jak to w ogóle możliwe, że policja jeszcze raz się temu przyjrzała? Skoro śledztwo zostało umorzone?

– To nie ma nic do rzeczy! – uciął Stenberg. – Problem polega na tym, że mimo waszych gwarancji zostały ślady. Wyraźne ślady, które mogą prowadzić do...

– Proszę pozwolić, że tutaj panu przerwę, panie ministrze – powiedział mężczyzna. – Podsumowując, nie jest pan zadowolony z wyniku naszych usług?

– Można tak spokojnie powiedzieć – warknął Stenberg.

– I to mimo że pan minister nie zrobił jeszcze niczego w zamian?

– No więc, jak wyjaśniałem, nie jest to takie proste. – Stenberg od razu wyczuł obronny ton w swoim głosie. Cicho zaklął sam do siebie.

– Oczywiście, że nie, panie ministrze. Nie prosiłbym pana o przysługę, gdyby sprawa była prosta. Proszę tylko zdobyć nazwisko, a zobaczy pan, że wszystko się ułoży.

Rozmowa nagle się skończyła. Stenberg wyłączył tani telefon na kartę i zwalczył impuls wrzucenia go od razu do wody. Istniało ryzyko, że cała ta sytuacja wymknie

mu się spod kontroli. Wszystko dlatego, że „godna zaufana” współpracowniczka Wallina nie rozumiała swojego zadania. Miała tylko przyjrzeć się mieszkaniu i później poświadczyć, że pierwotny raport się zgadzał. Przynajmniej to z Wallinem ustalili. Mieli dostarczyć asa, dzięki któremu John Thorning zacząłby tańczyć, jak on mu zagra.

Zamiast tego dziewczyna zabawiła się w Sherlocka Holmesa, nawet wysłała próbkę do SKL. Wallin zgubił piłkę, naraził go na ryzyko nie do zaakceptowania. Może zaczął się czuć w swojej roli zbyt bezpiecznie, zaczynał traktować pewne rzeczy jako oczywiste? W takim razie najwyższy czas na podkręcenie temperatury. Wypuścił linkę do biegania i pozwolił Tubbememu spryskać kilka drzew. Przeszedł ścieżką jeszcze kilkaset metrów, zanim wyciągnął własną komórkę.

– Wallin, tu Stenberg. – Celował w średnio podirytowany ton, ale strzelił wysoko ponad bramką. – Jak stoimy z Wydziałem Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej? – ciągnął już bardziej opanowany.

– Dzień dobry, panie ministrze! No więc do przodu. Jesteśmy tam już od tygodnia i sądzymy, że do Trzech Króli będziemy mieć wszystko pod kontrolą. Szef wydziału, Kollander, jest chętny do współpracy.

– Dobrze! A jak poszło z tym opiekunem informatorów. Jak on się nazywa? – Celowo zrobił pauzę, żeby nie brzmiało to tak, jakby był zbyt obeznany ze sprawą. Wallin od razu złapał przynętę.

– Pan minister ma na myśli Davida Saraca? Niestety, na chwilę obecną zniknął z pola widzenia.

Stenberg odnotował delikatną zmianę w głosie Wallina, jakby ten starał się brzmieć bardziej spokojnie, niż się w rzeczywistości czuł.

– I co robimy, żeby go odnaleźć? – Stenberg dalej utrzymywał powściągliwy ton głosu.

– Pilnujemy jego mieszkania, poza tym mamy ludzi w jego biurze – wyjaśnił Wallin. – Dreyer rozpoczął tam na górze wewnętrzne dochodzenie i on też bardzo chciałby dotrzeć do Saraca. Jak pan minister wie, kiedyś Dreyer już prowadził dochodzenie w sprawie opiekuna informatorów, całą tą nieszczęsną sprawę z Eugene'em von Katzowem, zwanym również Hrabią.

Stenberg nie odpowiedział, słabo pamiętał to, o czym Wallin mówił, a zresztą to nie dotyczyło tej sprawy.

– Bergh twierdzi, że tydzień przed wypadkiem Sarac został przeniesiony do sekcji materiałowej, bo kwestionowano jego przydatność – ciągnął Wallin. – Jeśli o mnie chodzi, to uważam, że to zasłona dymna wymyślona później. Sposób na zdystansowanie się wobec Saraca i jego metod pracy, prawdopodobnie na rozkaz Kollandera albo kogoś jeszcze wyżej.

– Dobrze, Wallin. Słuchaj teraz uważnie. – Stenberg przerwał. Czas podnieść temperaturę. – Niedawno jadłem lunch z komendant wojewódzką policji w Sztokholmie – ciągnął. – Eva Swensk pokazywała w każdy możliwy sposób, że ma nadzieję na stanowisko głównego komendanta policji. Wiele osób w partii chętnie widziałyby kobietę na tym stanowisku zamiast kolejnego mężczyzny. Może tak wiele, że muszę zacząć ich słuchać mimo moich wcześniejszych wahań.

Znowu przerwał i pozwolił Wallinowi oswoić się z tym, co powiedział. Skinął jednocześnie głową w stronę innego właściciela psa, który minął go na ścieżce.

– Ten Sarac – ciągnął dalej, zanim Wallin zdążył coś powiedzieć. – Mam uczucie, że jest jakiś powód jego zniknięcia. Że on siedzi nad czymś dużym, co mogłoby ochlapać liliowobiałą koszulę pani komendant. Rozumiesz, do czego zmierzam, Wallin?

– Absolutnie, panie ministrze, dopilnuję, żeby sprawa otrzymała najwyższy priorytet. – Wallin odchrząknął, zanim zaczął mówić dalej, ale Stenberg już przestał go słuchać. Wystarczyło usłyszeć ton głosu Wallina, żeby zrozumieć, że przesłanie dotarło. Złapał się na swoim zadowolonym uśmiechu.

Natalie zlustrowała całą starą willę. Kilka godzin dziennie poświęconych na szperanie, kiedy Sarac przesypiał atak migreny. Zaczęła od bałaganu budowlanego w górnej części werandy i przeszła całą drogę w dół, aż do wilgotnej piwnicy, jak jej polecił Rickard. Dokładnie jak z mieszkaniem, nie znalazła niczego interesującego. Stałe mieszkanie Saraca już zostało metodycznie przeszukane. Pocięte meble, szuflady wyrwane z komód i szafek kuchennych. Ktokolwiek przeszukiwał mieszkanie, miał mało czasu albo był w cholernie złym humorze. A może nawet i to,



i to.

Tutaj niczego takiego nie było widać. Ale odkryła małe ślady w magazynie, na zakurzonych półkach i parapetach. Jakby rzeczy były podnoszone, a potem ustawiane z powrotem w prawie tym samym miejscu. Oczywiście to Sarac mógł tu robić porządki, ale nie mogła się pozbyć uczucia, że znowu ktoś zdążył przed nią. A może to jej frustracja szukała usprawiedliwień.

Rickard nie był zadowolony. Minął miesiąc, odkąd zawarli układ, i jak na razie nie dostarczyła niczego godnego zainteresowania. Radosny ton głosu, jaki miał podczas ich pierwszej rozmowy, zastąpiło coś znacznie bardziej zaciętego. Brzmiał, jakby go naciskano albo właściwie jeszcze gorzej, jakby był rozczarowany.

Rickard dobrze trafił już za pierwszym razem, kiedy rozmawiali. Znalazł jej słaby punkt, ranę, która nie chciała się zagoić, bo cały czas w niej grzebała. Zaoferował jej możliwość, o której nie wiedziała, że istnieje. Wyczyszczenie jej rejestru karnego i szansę zrehabilitowania się przed rodzicami, krewnymi, przyjaciółmi. I chyba przede wszystkim – przed samą sobą. Chciała być lekarzem, chciała być kimś, kto ratuje życie. Praca z Sarakiem nawet wzmocniła to przekonanie. Po raz pierwszy od czasu przerwania stażu podyplomowego miała pacjenta. Gdyby się nie zjawiała z lekarstwami, wcześniej czy później Sarac by zemdłał, może nawet w jego głowie powstałby zakrzep.

Z kieszeni dzinsów wyjęła pomadkę ochronną i posmarowała usta.

Faktem jest, że nie miała zielonego pojęcia, czy Rickard zrobi to, co obiecał. Właściwie nie spisali żadnej porządnej umowy i nigdy niczego nie opowiedział ani o sobie, ani o swoich metodach pracy. Mimo to dała się przekonać, że można mu zaufać. Rickard zdawał się człowiekiem, który może zrobić prawie wszystko. Nie miała zamiaru sprawić mu zawodu.

Saracowi udało się wstać z łóżka akurat na wigilijne popołudnie. Migrena osłabła, nudności też. Myśli powoli odzyskiwały jasność, trochę jak przy ustawianiu ostrości w lornetce.

Natalie udekorowała świątecznie dom. Postawiła kilka starych świeczników – musiała je znaleźć w kartonach w piwnicy – a nawet przyniosła choinkę, która,

sądząc po mocnym zapachu, pochodziła prosto z lasu przy domu.

– Dzień dobry – powiedziała, kiedy niepewnie wszedł do salonu. – W kuchni jest pudding ryżowy, jeśli masz ochotę. I szynka. I w ogóle wesołych świąt. – Wyciągnęła małą, płaską paczuszkę.

– Dziękuję. – Prezent sprawił, że poczuł się głupio. Oczywiście nie miał niczego, żeby jej dać.

– Otwórz ją. – Kiwnęła głową podniecona.

Grzebał przy papierze, czuł jej wzrok. Film na DVD. Na okładce pięciu mężczyzn ustawionych w rzędzie. Wzrok powędrował dalej, w kierunku starych drzew owocowych na skraju lasu.

– Mój ulubiony film – powiedziała Natalie. – Znalazłam go w koszu z przecenionymi produktami w Konsumie. Kosztował mniej więcej tyle, ile trzy litry mleka.

Zmusił się do przeniesienia na nią wzroku, potem spróbował zmusić mózg i usta do współpracy.

– Dziękuję, Natalie – powiedział możliwie szczerze. – Naprawdę to doceniam. To znaczy nie film. Albo... nie tylko film – wymamrotał.

– Nie ma sprawy, wykonuję tylko swoją pracę. – Natalie wzruszyła ramionami. – Słuchaj, muszę już jechać do domu, do rodziny, chciałam tylko się upewnić, że je weźmiesz.

Postawiła przed nim szklankę z wodą i kilka tabletek. Sarac posłuchał. Wcisnął tabletki do gardła, odruch wymiotny zwalczył porządnym łykiem wody. Potem usiadł na sofie i przymknął oczy. Nagle sobie uświadomił, jak bardzo jest rozczarowany, że Natalie musi jechać. Ale jasne, że miała ciekawsze rzeczy do robienia w Wigilię, niż siedzieć w lesie na jakiejś cholernej wyspie i dotrzymywać mu towarzystwa. Musiał spróbować zaspokoić swoją nagłą potrzebę kontaktu z drugim człowiekiem jak każdy inny samotnik, oglądając telewizję.

Poza tym postanowił sobie jedną rzecz. Kiedy tylko zbierze wystarczająco dużo sił, zejdzie na dół do sadu i zobaczy, co takiego szczególnego było w tym miejscu. Przeczynał, że cokolwiek tam znajdzie, po raz kolejny będzie to coś, co powinien zachować dla siebie.

## Dwadzieścia pięć

– Halo, *khalti*, tu Atif.

– Atif – powiedziała ciotka – dobrze, że dzwonisz.

– Chcę się tylko dowiedzieć, jak się czuje mama. Próbowałem dzwonić, ale nie odpowiada.

– Dalia czuje się dobrze. Pewnie to znowu problem z telefonami. Przerwy w dostawie prądu odcinają centrale telefoniczne.

Na kilka sekund zapadła w słuchawce cisza.

– Ma prawie wiedzieć – powiedziała cicho ciotka. – Nawet jeśli ma trudności z rozróżnianiem czasu i miejsca, ma jednak prawo wiedzieć. Adnan był jej najmłodszym synem, cały czas o nim mówi.

– Wiem, *khalti* – powiedział.

– Chcesz, żebym ja jej powiedziała? Może to nawet będzie łatwiejsze do zniesienia, jeśli usłyszysz to ode mnie – powiedziała ciotka.

– Nie. – Ostrość własnego głosu go zaskoczyła. – Nie, dziękuję, *khalti* – powiedział trochę bardziej miękko. – Powiem mamie, jak tylko wrócę.

– A kiedy to będzie, Atif? Myślałam, że nie będzie cię tylko kilka dni. Dlatego zgodziłam się nic nie mówić.

– Wkrótce – powiedział. Z milczenia ciotki wywnioskował, że oczekuje czegoś więcej. – Niedługo wrócę do domu. Muszę tylko załatwić jedną sprawę.

– Jaką sprawę? Chodzi o Adnana?

Uratował go sygnał w słuchawce. Połączenie przychodzące.

– *Khalti*, muszę niestety kończyć. Ktoś się do mnie dobija.

Atif delikatnie uchylił pokrywkę wrzutni na listy. Mieszkanie było ciemne, dokładnie tak samo jak ostatnio, na dywaniku w przedpokoju nadal leżały stosy poczty. Dotarcie tutaj zajęło mu coś ponad pół godziny. Nowy hotel znajdował się bliżej miasta, a tani samochód, jaki kupił od mało skrupulatnego handlarza w Barkaby, chodził jak w zegarku. Mimo to nie mógł się pozbyć uczucia, że się spóźnił.

Szczęknięło w drzwiach naprzeciwko i pokazała się pani Strömgren.

– Nie ma go tam? – szepnęła.

Pokręcił głową.

– Tylko cisza i ciemność. Jest pani pewna, że to jego widziała?

– Tak pewna, jak to, że widzę pana. Miał na sobie krótką, błyszczącą kurtkę z dużym kolorowym smokiem na plecach i po bokach. Widać go z daleka, nawet jak się niedowidzi. Zadzwoiłam do pana, kiedy tylko znalazłam kartkę z numerem.

Atif kiwnął głową.

– No cóż, chwilę tu zaczekam. Jeśli się nie zjawi tym razem, będę wdzięczny, jeśli znowu da mi pani znać.

Kobieta skinęła głową i zamknęła drzwi.

– A może chce pan poczekać u mnie? Właśnie zaparzyłam kawę.

Zastanowił się. Uzmysłował sobie, że nie jadł śniadania. Równie dobrze, jak na klatce schodowej, mógł poczekać w mieszkaniu.

– Dziękuję, to miło z pani strony.

Mieszkanie pachniało ciężkimi meblami i starą samotną osobą, mniej więcej jak pokoik jego mamy w domu opieki. Wszystko wyglądało prawie dokładnie tak, jak się spodziewał. Ściany i stoliki zavalone bibelotami, obrazami i zdjęciami. Młoda pani Strömgren obok mężczyzny w okularach, który musi być panem Strömgrenem. Ta sama para kilka lat później z niemowlakiem, potem z naburmuszoną dziewczynką i jeszcze jednym bobo. Dalej długi rząd zdjęć ze szkoły, confirmacji, matury i ślubu. Cztery życia udokumentowane w schludnym, chronologicznym porządku. Przy jednej ze ścian niewielki stolik z pojedynczym portretem pana Strömgrena obok świecy. Krótka przerwa, zanim życie znów potoczyło się dalej.

Nowe zdjęcia, nowe życia. Wnuki, prawnuki. Urodziny, święta Bożego Narodzenia i urlopy. Układ się powtarzał, ciągnął się dalej, aż ściana prawie się skończyła.

– Tak, święta prawda, proszę pana – powiedziała pani Strömgren, kiedy zdążył wypić swoją kawę. – Uderzyło mnie, że może pojechał po swoje psy. Ma dwa psy, wstrętne stworzenia. Mieliśmy ze Svenem psa, zanim urodziła się Maj-Lis. Cocker-spaniela. Przyjazny do szpiku kości, nie skrzywdził nawet muchy.

Napełniła pustą filiżankę Atifa.

– Ale te tutaj stworzenia są inne. Kilka razy spotkałam je na schodach. Kwadratowe łby i wąskie, złe oczy. Czasami on im nawet pozwala biegać luzem między piwnicą a mieszkaniem. Nigdy nic mi nie zrobiły, ale jak spojrzę, to ciarki przechodzą.

Atif zbliżył filiżankę do ust, kwiecista porcelana była tak delikatna, że musiał trzymać filiżankę między kciukiem a samym końcem palca wskazującego.

– A był pan w piwnicy? On tam wynajmuje magazyn. Wielkie worki z karmą dla psów, straszliwie śmierdzą. Nawet złożyłam skargę do przewodniczącego.

Prawie upuścił filiżankę z kawą, w ostatniej chwili złapał ją lewą ręką. Odrobina gorącej kawy wylądowała na dzinsach. Pokręcił głową.

– Nie, nie byłem tam. Potrzebny jest klucz?

Kiedy tylko otworzył drzwi, uderzył go dźwięk. Choć właściwie to nie był żaden dźwięk, raczej słaby nacisk na bębni, resztki czegoś, co odbijało się pomiędzy kamiennymi ścianami tu na dole, aż pozostało jedynie drganie. Zapach był drugą rzeczą, na którą zwrócił uwagę. Słodkawy, obrzydliwy zapach, który musiał pochodzić z karmy dla psów. Ale też coś jeszcze, coś ostrzejszego.

Szedł dalej w dół schodów, zgodnie ze wskazówkami starszej pani skręcił w prawo, w mały ciasny korytarz. Nadal czuć było nacisk na bębni. Znał to, włożył rękę do kieszeni i zacisnął palce wokół scyzoryka Bakshiego. Zapach był coraz silniejszy, prawie go odurzał. Zdawało mu się, że rozpoznaje więcej znanych zapachów: siarki, żelaza, adrenaliny. Stalowe drzwi nie były zupełnie zamknięte, wyglądało na to, że zatrzymały się na zamku. Wyjął scyzoryk i otworzył go. Następnie ostrożnie uchylił drzwi.

Pomieszczenie było duże, może pięćdziesiąt metrów kwadratowych, ale przeciwną ścianę ledwo można było dojrzeć. Tu za drzwiami znajdowała się kratka, a przy niej stosy worków z karmą dla psów, ułożone prawie pod sam sufit, tak że odcinały widok w głąb pomieszczenia. Skręcił w prawo i szedł wzdłuż worków. Prowadziło go światło świetlówek, umieszczonej na środku sufitu. Z daleka usłyszał słabe warczenie, a potem metaliczny grzechot. Staął, znów wciągnął powietrze w nozdrza. Teraz był zupełnie pewien. Pachniało prochem.

Spojrzał za róg ściany z workami. Wzdłuż wszystkich ścian ciągnęły się druciane klatki podobne do tej, zza której wyglądał. Wszystkie były zamknięte, dojrzał w nich magazynowe półki. Większość zapełniona workami, kartonami albo dużymi plastikowymi wiadrami.

Na środku pokoju stały cztery składane krzesła i mały, stary, drewniany stół, który pewnie był znaleziskiem z kontenerów. Na wysłużonym blacie tłoczyły się puszki po napojach i popielniczka.

Ciągle słychać było warczenie i metaliczny grzechot. Dalej, w klatce w prawym rogu, dostrzegł ruch. Usłyszał krótkie szczeknięcie.

Zrobił kilka ostrożnych kroków w kierunku środka pomieszczenia. Teraz zapach prochu był silny, palił w nozdrzach. Ale cisnęły się też inne zapachy. Zapach zwierząt, złości, uryny, krwi.

Wszystko się wyjaśniło, kiedy zajrzał w oddaloną drucianą klatkę. Warczały na niego dwa kudłate psy, jeden ciemny i jeden trochę jaśniejszy. Trzęsły swoimi kwadratowymi łbami, tak że łańcuchy na ich karkach grzechotały, kiedy lizały się wokół czerwonych nosów. Atif pomyślał o dzikich psach w Iraku. Ale te psy były inne. Krótsze łapy, szersze szczęki i zdecydowanie bardziej muskularne ciała. Kiedy zbliżył się do psów, podniosły górne wargi i pokazały rzędy ostrych, białych zębów.

Mężczyzna leżał na plecach w głębi klatki. Był opalony. Oczy patrzyły ślepo prosto przed siebie, odpięta kurtka pilotka ze wzorem smoka. Na piersi, pośrodku białego T-shirtu, widać było dwie ciemne plamy, ta sama ciemna czerwień, która powoli rozpływała się po betonowej podłodze pod jego ciałem.

Psy deptały we krwi. Wyglądało na to, że zapach je oszałamiał i stały się agresywne. Ten jaśniejszy szczeknął i ugryzł drugiego. Potem przez chwilę kręcił się w miejscu i gonił swój własny ogon, zanim nagle się posikał. Ciemniejszy pies dalej warczał zwrócony w kierunku Atifa. Mężczyzna podszedł bliżej, próbował dojrzeć więcej szczegółów. Wzdrygnął się, kiedy ciemny pies rzucił się na klatkę.

Jaśniejszy pies zdawał się natomiast kierować swoją frustracją w kierunku martwego mężczyzny. Wbił zęby w grubą kurtkę i rzucał głową tak, że wypełnienie kurtki wirowało w powietrzu. Ciemny pies w końcu się do niego przyłączył. Zwierzęta żuły ubranie trupa, warczały i poszczekiwały na siebie, rozdzierając

materiał na strzepy.

Atif stał nieruchomo i obserwował. Mężczyzna w klatce był z pewnością martwy i nie mógł znaleźć ani jednego powodu, żeby tam wejść. W każdym razie póki jeden z psów nie rozdarł wewnętrznej kieszeni kurtki i na podłogę nie wypadł telefon komórkowy.

Cholera jasna!

Oczywiście, że najmądrzej byłoby natychmiast spadać. W żadnym wypadku nie chciał, żeby go tu znaleziono razem z jeszcze dymiącą, świeżą ofiarą morderstwa. Dźwięk wystrzału wciąż wisiał w powietrzu. Kiedy schodził do piwnicy, słyszał zatraskanie się drzwi na klatkę schodową, więc musiał się minąć ze sprawcą o kilka sekund. Pytanie, czy ktoś wezwał gliny?

Ze swoim rejestrem karnym siedziałby za to w areszcie miesiącami, może rok. Już było źle, że zostawił u starszej pani nazwisko i odciski palców. Gdyby miał trochę oleju w głowie, już by się zwinął i kierował samochód w kierunku Arlandy.

Ale komórka tam przy ścianie była jego absolutnie najlepszym tropem. Może jedynym sposobem, żeby ruszyć dalej. Żeby dowiedzieć się więcej o Eriku Johanssonie i o tym, kto odpowiadał za śmierć Adnana.

Przejrzał szybko pozostałe skrzynie. Pięć rodzajów karmy dla psów, kilka skrzynek ze smyczami, kagańcami i zwykłymi obrożami z nitami, których większość twardzieli z przedmieść lubi używać, żeby straszyć swoimi psami. Skrzynia z suplementami diety, proteinami w proszku i innym kramem z siłowni. Wyglądało na to, że koleś w ramach swojej jednoosobowej firmy zajmował się jakimś rodzajem działalności importowej.

W jednej ze skrzyń znalazł stos tanich T-shirtów. Wyciągnął garść i owinął nimi lewą rękę. Umocnił taśmą do pakowania. Następnie odwrócił do góry nogami drewniany stół ze środka pomieszczenia i kopnięciem usunął jedną z rzeźbionych nóg. Zważył ją w ręce, zanim skierował się w stronę klatki.

Gdy tylko się zbliżył, oba psy się najeżyły, pokazały rzędy ostrych zębów z czerwonymi plamami. Telefon leżał po drugiej stronie trupa, prawie pod samą ścianą. Może nic mu nie da. Może zabrnął w ślepy zaułek, bez najmniejszej szansy pójścia dalej. Ale bez telefonu się tego nie dowie.

Otworzył drzwi klatki i zrobił krok w tył. Miał nadzieję, że psy wykorzystają okazję i ruszą w kierunku misek z jedzeniem w jednym z rogów. Ale zwierzęta dalej stały przy trupie.

Atif spojrzął na zegarek, czas umykał. Ugryzł się w wargę, następnie ostrożnie wszedł do klatki. Psy gapiły się na niego wyłupiastymi ślepiami, podniosły wargi tak mocno, że widać było różowe dziąsła. Wyciągnął nogę od stołu, próbował odegnać psy od ciała. Nawet mu się udało. Zwierzęta dalej warczały, lekko atakowały nogę.

Telefon leżał teraz tylko jakieś pół metra dalej, tuż przy ręce trupa. Atif trochę przysiadł, jednocześnie starając się utrzymać kontakt wzrokowy z psami. Ostrożnie wyciągnął lewą rękę w kierunku telefonu. Na sekundę odwrócił wzrok od zwierząt. Zauważył ruch, ale nie zdążył zareagować, kiedy jasny pies rzucił się do przodu i zatopił zęby w zwoju koszulek zawiniętych wokół ręki. Ból go zaskoczył, sprawił, że prawie stracił równowagę. Pies trzymał dalej, nie zwalniał uścisku. Słyszał trzeszczenie materiału. A może dźwięk tak naprawdę pochodził z jego przedramienia?

Również ciemny pies rzucił się do przodu, próbując złapać nogę, spudłował o jakieś dziesięć centymetrów i Atif zatoczył się do tyłu. Do kurwy nędzy, absolutnie nie chciał wylądować na podłodze i mieć te bestie nad sobą.

Plecami uderzył o ścianę klatki i odzyskał równowagę. Poczul silny ból w lewej ręce, wyglądało na to, że jeden z ostrych kłów psa przeciął warstwę bawełny i teraz mocne szczęki ścisnęły kości przedramienia. Ból oceniał na pięć, może sześć w dziesięciostopniowej skali. Pies wydał gardłowy dźwięk, pokręcił oczami i pokazał białka, jak duch. Krew wokół nosa zabarwiła biały materiał koszuli. Nie miał najmniejszego zamiaru puścić jego ręki.

Atif się wyprostował, skręcił ciało tak, że jasny pies blokował drogę ataku ciemnego psa. Ból się nasilił, musi się pozbyć zwierzęcia, i to zaraz. Lekko wyprostował lewą rękę z psem i zamachnął się nogą od stołu tak mocno, jak mógł. Następnie z całej uderzył nią w plecy zwierzęcia.

Trzask, jak łamana gałąź. Nacisk na jego rękę osłabł.

Strząsnął psa, zobaczył, jak łapy zwierzęcia drżą spazmatycznie, przypominał mu Bakshiego w ataku drgawek. Pies lekko zacharczał, z tyłka leciało mu gównem jak brązowa rzeka. Zapach zdawał się jeszcze bardziej prowokować drugiego psa. Zaczął



głośno szczekać, z pyska leciała mu piana. Obniżył głowę, szykując się do ataku.  
Wzrok utkwiony w już nie śnieżnobiały zwój wokół lewej ręki Atifa.

– Doobry pieesek – syknął Atif przez zęby. Wolno uniósł nogę od stołu.

## Dwadzieścia sześć

Sarac znów był na nogach, właściwie czuł się całkiem nieźle. Leki na migrenę zrobiły swoje, ale co najmniej równie ważne było to, że zaczynał się ruszać. Krótkie przejażdżki na rowerze treningowym w piwnicy. Wolne ruchy, minimalne obciążenie. Wczoraj po raz pierwszy odważył się na kilka pompek. Udało mu się zrobić pięć, zanim ręce mu nie opadły. Przysiady szły tylko troszeczkę lepiej. Ale trening już dał niewielki wynik, teraz mógł siedzieć na rowerze prawie pół godziny. Dawał mózgowi trochę odpocząć, kiedy skupiał się na tym, by stopy naciskały właściwy pedał.

Ale były to tylko przelotne przerwy. Kiedy tylko zszedł z roweru, pytania wracały. Kim był Janus? Gdzie przebywał? Siedział gdzieś i czekał, aż jego opiekun się odezwie? Czy był tak opanowany, że udawał, że nic się nie dzieje, dalej utrzymywał fasadę mimo dręczącego go niepokoju? Jego tajemnica już nie była bezpieczna. W takim wypadku nietrudno sobie było wyobrazić, że to naprawdę Janus był w szpitalu i później pod drzwiami jego mieszkania. Facet chciał do niego dotrzeć, upewnić się, że jego tajemnica nadal jest w bezpiecznych rękach.

Sarac miał słabe wspomnienie tego, jak Janus wyglądał. Ciemna postać, spojrzenie schwytnane w przelocie w lusterku wstecznym i nieogolona twarz ukryta w naciągniętym kapturze. Niewiele więcej.

I reszta: mężczyzna z tatuażem węża, zniknięcie listy zapasowej, jego własny wypadek? Śmierdzący tytoniem mężczyzna ze złotym zębem w szpitalu, który mówił o jakieś umowie? To też był Janus, tylko w innym przebraniu? Wszystko oczywiście było ze sobą powiązane, nie wiedział tylko, w jaki sposób. Jedyne, co wiedział z pewnością, to to, że pytań było więcej niż odpowiedzi. I że jedyną osobą, poza nim samym, mogącą skorygować tę nierównowagę, był mężczyzna, którego twarzy nie mógł sobie przypomnieć.

Przy okazji prysznic Sarac zbadał swoje ciało. Lewa ręka była już całkiem w porządku, może odrobinę zeszywniała. Obojczyk zdawał się goić. Rana na brzuchu już się zamieniła w różową bliznę. Nadal powłóczył trochę prawą nogą i przez to kuśtykał. Ale zamienił niezgrabną kulę na małą, elegancką laskę ze srebrną rączką, która należała do jego dziadka i dzięki której czuł się zdecydowanie mniej jak

inwalida. Poza tym ostatni atak migreny dopadł go kilka dni temu. Natalie zostawiła czerwone pudełeczko z małymi przegródkami, w których leżały odmierzone dawki leków. Nawet zaznaczyła, o jakich godzinach miał je brać.

W sumie czuł się lepiej niż kiedykolwiek. W każdym razie z tego co pamiętał. Pora wziąć się do roboty, zacząć zbierać trochę odpowiedzi, zamiast gromadzić jeszcze więcej pytań.

Na ganku powietrze było wilgotne i zimne, pierwsze hausty kłuły go w piersi, zanim drogi oddechowe zdążyły się przyzwyczać. Zszedł ze schodów i powoli ruszył wzdłuż fasady domu. Natalie wydeptała ścieżkę w śniegu, dzięki czemu łatwo było się poruszać. Ale kiedy minął róg, od razu zrobiło się trudniej. Z pewnością było tu przejście do schowka na drewno, które Josef zrobił, kiedy go tu przywieźli, ale od tego czasu spadło z dwadzieścia centymetrów śniegu.

Walczył, próbował unosić nogi tak wysoko, jak się dało, żeby nie musieć odgarniać śniegu bardziej, niż to było konieczne. Ale prawa noga nie bardzo chciała współpracować. Miejscami był zmuszony ciągnąć ją po śniegu, co szybko nadwyrężyło jego siły. Kiedy dotarł do schowka na drewno, jego koszulka była cała przepocona, serce waliło jak oszalałe i musiał się na chwilę oprzeć o ścianę, żeby zaczerpnąć tchu.

Do skraju lasu było co najmniej pięćdziesiąt metrów, pięćdziesiąt metrów brodzenia w śniegu na kilkadziesiąt centymetrów. Może nawet głębiej, w niektórych miejscach. Ale, do cholery, nie miał zamiaru się poddać, nie kiedy doszedł już tak daleko. Uczucie, że było tam coś ważnego, coś, co pomogłoby mu sobie wszystko przypomnieć, było coraz silniejsze.

Zaczekał, aż tętno mu się uspokoi, zanim ruszył dalej. Żeby się nie zmęczyć, próbował robić małe, ostrożne kroki. Po czasie pomyślał, że mógł dzisiaj olać trening, zaoszczędzić wszystkie siły na to, co chciał zrobić. Poza tym mógł zostawić w cholere laskę i trzymać się swojej sprawdzonej kuli. Ale nie wyobrażał sobie, jakie ciężkie będzie brodzenie w śniegu. Warstwa śniegu była znacznie grubsza, niż przewidywał, miejscami sięgała mu aż do kolan.

Dotarł do starego fundamentu maszty flagowego na środku trawnika, zrobił krótką przerwę i oparł się o łuszczący się metal. Kurwa, jaki był zmachany. Na dodatek

dżinsy były całkiem mokre, podobnie jak podkoszulek. Mimo słońca z pewnością było co najmniej dziesięć stopni mrozu. Jeśli zatrzyma się za długo, szybko się wychłodzi.

Spojrzał za siebie. Jego ślady z powrotem zawalił śnieg i było tylko widać długi, nierówny wał ciągnący się przez trawnik. Niezbyt pomocne, kiedy będzie wracał.

Zostało dwadzieścia metrów, potem znajdzie się między drzewami owocowymi. Następnie mniej więcej tyle samo do skraju lasu. Ale może lepiej zawrócić? Podjąć nową próbę za kilka dni, z lepszym wyposażeniem i lepszym przygotowaniem?

Już siebie przekonał do tego pomysłu, kiedy zauważył coś na ziemi pomiędzy drzewami owocowymi. Pewnie przez cienie nie widział tego wcześniej. Zrobił kilka głębokich wdechów i szedł dalej. Mokre nogawki spodni już zaczynały twardnieć.

Jeszcze dziesięć metrów, pięć... Na miejscu!

Staął. Łapał oddech oparty o starą, sękatą jabłoń. Kilka metrów przed nim znajdował się niecały metr kwadratowy wydeptanego śniegu. Dalej wyraźnie widać było wał, który ciągnął się między drzewami, wił się pomiędzy dwoma opuszczonymi betonowymi słupami bramy znaczącymi koniec ogrodu i dalej, w górę zbocza i w głąb lasu.

Może sarna szukająca zamrożonych spadów? Oczywiście, mogło tak być. Pochylił się do przodu, próbował zamieść śnieg. Szukał miejsca, gdzie śnieg był wystarczająco ubity, by zostały jakieś ślady, ale bez powodzenia. Dokładnie jak z jego śladami, śnieg z powrotem je zasypał i ukrył wszystkie szczegóły.

Lodowate uczucie sprawiło, że zadygotał. Odwrócił się i spojrzał w kierunku przeszklonej werandy. Przez cienie i zwisające gałęzie starych drzew z domu trudno było dostrzec miejsce, gdzie stał. Natomiast od strony sadu widok na dom był dobry. Nawet bardzo dobry.

Myśl nadeszła znikąd, wystarczająco silna, by go od razu przekonać. Ktoś tu stał i go obserwował. Ciemna postać z kapturem naciągniętym na czaszkę, która chciała wiedzieć, czy jej tajemnica nadal była bezpieczna.

Nagły podmuch wiatru zaszumiał między wysokimi jodłami na pagórku za słupkami bramy. Sarac znów zadygotał. Zimno rozchodziło się po ciele. Uczucie odeszło, nagle wydawało się niemal śmieszne. Ślady na pewno pochodziły od sarny.

Powrót do domu zajął mu prawie godzinę. Wciąż nie wiedział, co takiego w tym miejscu przyciągnęło jego zainteresowanie. Ale nie starczyło mu sił, żeby iść dalej, minąć stare słupki bramy i podążać w górę stromego zbocza. Poza tym zmieniła się pogoda i słońce zniknęło.

Kiedy dotarł do narożnika domu, był wykończony i przemarznięty. Ciężkie chmury pokrywały całe niebo; zaczęły spadać pierwsze zagubione płatki. Wkrótce będzie ich więcej, zatrą wszystkie ślady zarówno ludzi, jak i zwierząt.

Ostrożnie przykucnął i oparł plecy o drewnianą fasadę, próbując zebrać resztki sił. Przymknął oczy.

Nagle zdało mu się, że kątem oka widzi jakąś ciemną postać. Natychmiast otworzył szeroko oczy i spróbował wstać. Mężczyzna w ciemnej wojskowej kurtce i ciężkich butach podszedł bliżej. Saracowi ze strachu skurczył się żołądek. I wtedy nagle rozpoznał mężczyznę. To był Josef, zastępca Molnara, który go tu przywiózł.

– Tutaj jesteś! – powiedział mężczyzna. – Zaczynaliśmy się niepokoić.

– Cześć, Josef – powiedział Sarac tak lekko, jak tylko mógł. Wyszło mu to zadziwiająco dobrze, mimo że jego puls szalał.

– Wyszedłem na spacer. Chciałem rozprostować kości.

Zza rogu wyłoniło się więcej osób. Molnar i jeszcze kilku, których twarze również wyglądały znajomo. Coś mu się poluzowało w głowie, puściło falę informacji. Nazwiska, stopnie, numery blachy.

– David, do cholery! – zawołał ktoś. – Wstałeś i sobie łazisz. Kurwa, jak miło!

Sarac wyszczerzył zęby i kilka razy potrząsnął głową, żeby mózg przestać mleć. Pamiętał ich, pamiętał ich wszystkich. Nie tylko jak się nazywali, lecz także jakie żarło lubili nocą, imiona żon, dziewczyn, kochanek, wszystko. Jego banda, jego chłopcy. Ręce waliły go po plecach. Szerokie uśmiechy we wszystkich kierunkach.

– Jak dobrze was widzieć, chłopaki – szczerzył zęby. I przez krótki moment czuł się naprawdę szczęśliwy.

## Dwadzieścia siedem

Atif siedział mniej więcej w tym samym miejscu co wcześniej. Marny samochód zaparkowany pomiędzy ciężarówkami na sąsiedniej działce, zwrócony przodem w kierunku siatkowego płotu i siłowni. Na kolanach lornetka, telefon Mr Pitbulla na siedzeniu obok.

Na pewno już piąty raz w ciągu ostatniej godziny podwinął lewy rękaw kurtki i oglądał swoje rany. Ból był okej, około dwójki. Już wyszły siniaki po szczękach psa, tworząc żółtozielony wzór na przedramieniu, a rana, gdzie ząb przebił skórę, niepokojąco swędziała. Jak się nie poprawi w ciągu kilku dni, będzie musiał pójść do lekarza, żeby dostać zastrzyk przeciwtężcowy, choć raczej nie była to kusząca myśl.

Popełnił idiotyczny błąd, że podał starszej pani Strömgren z Roslagsgatan swoje prawdziwe nazwisko. Poza tym zostawił odciski palców na jej eleganckim serwisie, więc pewnie już był poszukiwany. Dwa błędy na dwa możliwe, ale na swoją obronę może powiedzieć, że nawet wyrocznia nie byłaby w stanie przewidzieć takiego rozwoju wypadków. Zastrzelony mężczyzna, nazwisko i odciski palców znanego gangstera, dodatkowo zeznania świadka wiążące go z czasem morderstwa. Dla policji to będzie prosta sprawa. Rozwiązana dokładnie w momencie, gdy go dorwą.

Pięć stów kosztowało go złamanie kodu komórki, ale było tego warte. Historia połączeń była doskonałym narzędziem ustalenia ruchów danej osoby i Pitbull-Pasi nie był tu żadnym wyjątkiem. W ciągu ostatniego miesiąca facet oszczędnie korzystał z telefonu. Na pewno załatwił sobie tani telefon na kartę w Tajlandii, żeby uniknąć kosztów roamingu. Ale inaczej niż w komórce Bakshiego tutaj w kontaktach znalazł imiona, a nawet trochę nazwisk, co znacznie ułatwiało sprawę.

Atif dostrzegł odebrane połączenie z telefonu Erika Johanssona, późno wieczorem w sobotę, 23 listopada. Rozmowa trwała trochę ponad minutę. Zaraz po niej Pitbull zadzwonił do centrali Thai Airways, więc cokolwiek Erik J. powiedział, Pitbull zdecydował się uciekać.

24, 25 i 26 listopada Pitbull dzwonił do Erika J. w sumie jedenaście razy. Wszystkie rozmowy trwały około dwudziestu sekund, co prawdopodobnie znaczyło, że natrafiał na automatyczną sekretarkę. Następnie komórka Pitbulla umilkła na

prawie trzy tygodnie, aż do dnia, kiedy dostał maila od Bakshiego. Wtedy znów zaczął dzwonić. Najpierw do Thai Airway, żeby zrobić rezerwację na lot powrotny. Potem do hotelu dla psów na Frescati. Trzecie połączenie było pod numer, który według listy kontaktów należał do kogoś o imieniu Rico. I na koniec tutaj, jedno połączenie z siłownią. Stare miejsce Adnana.

Zaledwie dobę później ktoś wykonał wyrok na Pitbullu dwoma strzałami w klatkę piersiową i zostawił go jako karmę dla zwierząt, więc raczej rozmawiano o czymś więcej niż tylko cena protein w proszku. Przynajmniej na to liczył, bo już zaczynało mu brakować tropów.

Tajemniczy Erik J. nie odbierał telefonu, a Bakshi dalej gdzieś się ukrywał. Ale przecucie zaprowadziło go tutaj, a zwykle przecucia go nie zawodziły. Podniósł lornetkę i popatrzył na tył siłowni. Tym razem żadnych samochodów. Jak daleko sięgał wzrokiem, żadnej gangsterskiej konferencji.

Pomyślał o Cassandrze, miał nadzieję, że posłuchała jego rady i nie powiedziała Abu Hamsie, gdzie się ukryła z Tindrą. Ale nie liczył na to. Dla Cassandry Abu Hamsa zapewne uosabiał bezpieczeństwo. Bezpieczeństwo finansowe. Kogoś, kto zaopiekuje się zarówno nią, jak i Tindrą. Ale Hamsa nie zdobył swojej pozycji, działając jak miły wujek. Oczywiście unikał konfliktów, bo szkodziły interesom, ale jeśli to było konieczne, ten niski mężczyzna potrafił być bardziej bezwzględny niż większość innych.

Dostrzegł ruch przy tylnych drzwiach budynku i podniósł lornetkę. Ale to tylko pochłaniacz protein, Dino, znów się wyłonił, żeby zapalić. Wzrok Atifa przez kilka sekund zatrzymał się na mężczyźnie, który dygocząc, walczył z zapalniczką.

Wzdrygnął się na dźwięk stukania.

Przez szybę od strony pasażera zaglądał mężczyzna, którego rozpoznał jako doradcę. Mężczyzna szczyrzył zęby i wskazywał pytająco na klamkę samochodu.

Atif rzucił szybkie spojrzenie w lusterko. Ciemny range rover wjeżdżał wolno za samochód i blokował mu drogę ucieczki. Odłożył lornetkę i schował komórkę Pitbulla. Zanim otworzył drzwi, włożył scyzoryk Bakshiego do bocznego schowka.

Doradca wsunął się na siedzenie pasażera, wnosząc ze sobą zimne powietrze i delikatny zapach wody po goleniu.

– Tak myślałem, że cię tu znajdę. – Uśmiechnął się. – Może się przedstawię. Frank Hunter, doradca do spraw bezpieczeństwa.

Atif zignorował wyciągniętą dłoń, czym mężczyzna wcale się nie przejął.

– Ty się nazywasz Atif Kassab. Twój brat Adnan został zabity przez policję po wykrytym napadzie na transport rzeczy wartościowych kilka miesięcy temu i teraz chcesz się dowiedzieć, kto sypanął. Całkiem normalne, a nawet zrozumiałe. – Hunter znów się uśmiechnął.

Atif nadal milczał.

– Zobaczyłem cię tu już kilka tygodni temu – powiedział Hunter. – Od jakiegoś czasu cię obserwujemy. Jeden z moich współpracowników próbował mnie przekonać, że można dojść z tobą do porozumienia. Że można cię kontrolować. – Pokręcił głową. – Ale wiedziałem, że to gówniana gadka. Taki facet jak ty. Gdyby to był mój brat... – Wzruszył ramionami. – Jak słyszałem, stwarzasz problemy. Bakshi narobił hałasu. Żąda, żeby cię zdjąć. Ten mały gnojek jest najwyraźniej dobrym źródłem dochodu.

– Dlatego tu jesteś, Hunter? – Atif wskazał głową w stronę samochodu z tyłu. – Bo posłuchałeś Bakshiego?

Hunter siedział cicho, zdawał się zastanawiać, jak ma się wysłowić.

– Chyba źle mnie zrozumiałeś, Atif. Właściwie szukałem okazji, żeby z tobą w ciszy i spokoju porozmawiać. Ale teraz widzę, że chyba nie wybrałem najlepszej metody. – Wyjął z kieszeni kurtki nadajnik i przytrzymał przy ustach. – Możecie ruszać, jest spokojnie – powiedział. W głośniku słychać było dwa wyraźne kliknięcia, kilka sekund później range rover wolno odjechał.

– O tak – powiedział Hunter. – Teraz możemy kontynuować naszą rozmowę w nieco swobodniejszej atmosferze.

Atif nie odpowiedział. Sytuacja zdziwiła go bardziej, niż był gotowy przyznać. Ale nigdy nie zaszkodzi posłuchać. A tak w ogóle – Hunter to dziwne nazwisko, bądźmy szczerzy. Facet ani nie brzmiał, ani nie wyglądał na Amerykanina, ani na Anglika, gwoli ścisłości. Z drugiej strony nie wyglądał też jak kolesie z firm ochroniarskich, których spotkał w Iraku. Raczej jak zwykły biznesmen.

– Mężczyźni, których widziałeś wychodzących z siłowni, Abu Hamsa, chłopcy z gangu i inni, wszyscy są uważani za całkiem ciężki kaliber. Ale patrząc



obiektywnie, są drobnymi handlarzami. Wszyscy mają szefów, którzy z kolei mają swoich szefów. Organizacje mają różne nazwy, ale pieniądze, te naprawdę duże sumy, płyną zawsze w górę, na szczyt. – Wskazał szybko na dach samochodu. – Ale Hamsa i pozostałe ważniaki mają jeszcze coś wspólnego. Mają problem, duży problem – kontynuował.

– Masz na myśli wtyczkę, Janusa?

– Dokładnie – przytaknął Hunter. – Janus psuje interesy. Powoduje, że wszyscy nawzajem siebie podejrzewają. Jak interesy nie będą szły, to...

– Pieniądze przestaną płynąć – dokończył Atif.

– Dokładnie!

– To jaka jest twoja rola, Hunter? – Atif starał się stonować ciekawość w głosie.

– Zajmuję się rozwiązywaniem problemów – odpowiedział. – Jestem kimś, kogo się wzywa, kiedy jest potrzebny ktoś bezstronny z zewnątrz. Moja praca polega na dopilnowaniu, żeby problem zniknął w sposób, który stwarza tak mało niepokoju w szeregach, jak to możliwe. Rozumiesz... – Pokręcił się na siedzeniu. – Jeśli któraś z pozostałych zamieszanych w to grup znajdzie Janusa pierwsza, zdarzy się jedna z dwóch rzeczy. – Podniósł palec. – Jeśli Janusa znajdzie własna organizacja, facet zniknie bez śladu. Nikt nawet nie piśnie pozostałym, żeby nie ryzykować powiązania ze zdradą Janusa. Czyli zegar będzie tykał, pozostałe grupy będą się oglądać przez ramię, a interesy dalej będą szły źle. Albo...

– Inna organizacja znajdzie Janusa – powiedział Atif, zanim Hunter zdążył podnieść drugi palec – i wykorzysta go jako broń, naruszając równowagę sił.

– Widzę, że zrozumiałeś problem – powiedział Hunter. – Moim zadaniem jest znaleźć Janusa jako pierwszy. Dowiedzieć się, jakie dokładnie szkody wyrządził i kto jeszcze jest w to zamieszany. Po sprawdzeniu Janusa złożę raport moim zleceniodawcom.

– Szefom szefów – powiedział Atif. – Którymi są?

Hunter uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

– Niektórych na pewno znasz, ale o większości z pewnością nigdy nie słyszałeś – powiedział.

– I jesteś pewien, że zdążycie jako pierwsi? Hamsa wydawał się przekonany, że

jego chłopcy są blisko – powiedział Atif.

Hunter wolno pokręcił głową.

– Słyszałeś o efekcie Wallendy? Nie? Chodzi o to, żeby całkowicie skoncentrować się na sukcesie, zamiast się martwić, co się stanie, jeśli się nie uda. Ja i mój zespół nie mamy nic do stracenia i dlatego nie musimy tracić czasu i siły na zastanawianie się nad skutkami przegranej.

Wyciągnął prawą rękę i otworzył trochę boczną szybę, żeby wypuścić wilgoć, która zaczęła zasłaniać mgłą szyby.

– No tak – kontynuował. – Kiedy wszystko zostanie wyjaśnione, moi zleceniodawcy poproszą mnie o dopilnowanie, żeby Janus zniknął, na zawsze i bez śladu. – Przerwał. – To w sumie dlatego chcę z tobą pomówić, Atif. Rozumiesz, ja i moi ludzie to wszystko byli policjanci albo wojskowi. Robimy, oczywiście, co trzeba w ogniu walki. Ale akurat tego rodzaju krwawe... rozwiązania ani mnie, ani im nie są bliskie.

– Nie jesteście kolesiami, którzy wykonują wyrok na bezbronnej osobie, tną ciało na kawałki i palą tak, żeby się nie dało rozpoznać.

– Ee, nie. – Po raz pierwszy Hunter wyglądał na mniej pewnego siebie. Ale szybko się pozbierał. – Rozumiesz, Atif, rodzina mojej mamy pochodzi z Bośni. Kilkoro moich krewnych zostało zabitych podczas wojny. Zamordowani przez ludzi, którzy byli ich sąsiadami, nawet przyjaciółmi. Ponieważ znam język, przez kilka lat pracowałem w tamtym regionie na zlecenie Trybunału Karnego w Hadze. Tropiliśmy ludzi, którzy brali udział w tych okropnościach, pilnowaliśmy, żeby trafili w ręce sprawiedliwości. Można by pomyśleć, że potwory. Chorzy skurwiele... – Wzruszył ramionami. – Ale w rzeczywistości większość z nich to byli całkiem normalni ludzie. Cały czas się usprawiedliwiali, ale właściwie nie wyjaśniali, dlaczego zrobili to, co zrobili. Dla mnie stało się oczywiste, że we wszystkim chodzi o moralność. O wyznaczenie sobie wyraźnych granic i nieprzekraczanie ich, choćby nie wiem co. –

Jeszcze trochę otworzył okno i wypuścił parę. – Kiedy przekroczy się granicę, to wtedy, jak na pewno wiesz...

– Nie ma odwrotu – wymamrotał Atif.

Hunter zamknął okno.

– I tu pojawia się ja – ciągnął Atif. – Potrzebujecie outsourcingu, żeby dopilnować, by Janus zniknął bez najmniejszego śladu. I uważasz, że jestem właściwą osobą do tego rodzaju zadania?

– Cieszę się, że się rozumiemy, Atif. – Wyglądało na to, że mężczyzna odzyskał dobry humor. – Pomyślałem, że facet w twojej sytuacji doceni możliwość zemsty na mordercy swojego brata. Odzyskania honoru swojej rodziny. Poza tym, jak rozumiem, już wcześniej wykonywałeś takie zlecenia.

Hunter przerwał, czekał, aż Atif coś powie. Atif się zastanawiał, z kim facet gadał. Zgadywał, że pewnie z Abu Hamsą albo nawet z jego dawnym towarzyszem broni, Sasją. Niezależnie od tego, z kim rozmawiał, był dobrze poinformowany.

– Poza tym – powiedział Hunter, kiedy zauważył, że Atif milczy – jako członek mojego zespołu nikt nie odważy się ciebie ruszyć. Ani starzy wrogowie, ani nowi, tylko musisz wypełniać moje instrukcje co do joty.

Atif wolno pokiwał głową. Następnie wziął głęboki oddech.

– Już mam robotę – powiedział.

– A, tak, twoja robota. Prawie zapomniałem. – Hunter znów się uśmiechnął. – Niedawno rozmawiałem z twoim szefem. Major Faisal z Batalionu Policji Wojskowej przy Szóstej Dywizji Wojsk Lądowych. Miał wiele dobrego do powiedzenia na twój temat. Nazywał cię jednym ze swoich najlepszych ludzi. Był ciekaw, kiedy wrócisz. Powiedziałem, że to pewnie trochę potrwa. – Hunter mrugnął do Atifa. – Kontakty, Atif, to podstawa w mojej branży. Ciężko pomyśleć, że człowiek taki jak ty mógłby zmienić stronę. Zgaduję, że niewielu tutaj o tym wie?

Atif spojrział na Huntera, napotkał jego rozbawiony wzrok. Facet miał irytujący uśmiezek na ustach, jakby to wszystko było tylko zabawą. Kto mu powiedział o jego robocie? Cassandra rozmawiała z Faisalem przez telefon, to ona mogła podać jego nazwisko i numer. To musiała być ona. Do kurwy nędzy!

– Może się zastanowisz nad tą sprawą? – powiedział Hunter. – Bardzo by nam się przydał w naszym zespole facet z takimi... zasługami jak twoje. Oto mój numer. –

Położył wizytówkę w schowku nad dźwignią zmiany biegów, zanim wyciągnął z kieszeni nadajnik. – A tymczasem doradzam ci ostrożność, Atif.

Range rover znów się pojawił w lusterku Atifa. Otworzyły się drzwiczki z przodu

po stronie pasażera. Odsłoniły puste miejsce.

– Dbaj o siebie i odezwij się, jeśli zmienisz zdanie.

Za Frankiem Hunterem zatrzasnęły się drzwiczki. Kilka sekund później on i ciemny samochód zniknęli.

## Dwadzieścia osiem

– I dokładnie wtedy, kiedy łobuz wylądował na trawniku, David go dopadł. Walnął kolesia tak mocno, że ten się posrał. Poważnie, naprawdę się posrał. Musieliśmy go zawinąć w brezent, żeby go zawieźć do aresztu!

Salwa śmiechu była tak głośna, że Sarac już prawie zasłaniał sobie uszy. Ale w ostatniej chwili zatrzymał odruch i śmiał się razem z innymi, tak że łzy mu leciały.

Wszyscy siedzieli w salonie. Wycieczka na skraj lasu, kłębiące się emocje, nawet te podniesione głosy wokół niego, wykończyły go zupełnie. Mimo to nie chciał, by ta chwila się skończyła.

Molnar opowiadał różne historie o wspólnych akcjach. O aresztowanych łobuzach i zwerbowanych informatorach. Właściwie większość z tego pamiętał, w każdym razie teraz, kiedy Molnar przypomniał mu o wspólnej pracy. Albo tak bardzo chciał pamiętać te historie, że zamienił je na prawdziwe wspomnienia. Trudno było powiedzieć, gdzie przebiegała granica.

– Pamiętasz tego Cygana, David? Jak on się w ogóle nazywał, Tallrot albo coś w ten deseń. Zatrzymaliśmy go na ulicy Sveavägen, żeby sprawdzić samochód, a on opowiadał, że wszystkich jego siedmiu braci to kryminaliści. Wszyscy oprócz niego, oczywiście. Wiecie, jak David go nazwał? – Molnar obrócił się do pozostałych w pokoju. Cisza jak makiem zasiał. – Białą owcą w rodzinie!

Salwa śmiechu było jeszcze większa niż wcześniej, oszołomiła jego ośrodek słuchu i tym razem nie udało mu się zatrzymać rąk. Wcisnął kciuki do uszu, dłonią zakrył twarz. Dźwięki się zlały, potem nagle wszystko zamilkło.

– Nic ci nie jest, David?

Próbował kiwnąć głową. Czuł, jak palce zakrywające oczy robiły się mokre.

– Chyba powinniśmy... – Ktoś odsunął krzesło i dźwięk szurania zagłuszył resztę zdania. Sarac przetarł oczy i wytarł dłonie o dzinsy.

– W p-porządku – powiedział. Głos znów się kołysał. – Tylko się t-trochę zmęczyłem. Nie musicie...

Ale oni już wstali, wszyscy.

W szklanych drzwiach na taras dostrzegł swoje odbicie. Swoje kruche ciało, łysą

głowę, przepaskę na ciemieniu. Jednocześnie zobaczył ich spojrzenia, ta sama litość, którą wyrażały twarze facetów na korytarzu w komendzie.

Przez krótką chwilę prawie mu się udało przekonać samego siebie, że wszystko jest jak zawsze. Że nadal jest jednym z nich. Ale tego faceta, o którym mówili, już nie było. Został tylko zataczający się i jękający wrak, który nie mógł nawet przejść się po ogrodzie.

Łzy dalej leciały i znów ukrył twarz w dłoniach. Nagły ucisk w piersi sprawił, że oddech stał się nierówny, prawie dyszał. Zauważył, że wyszli z pokoju, słyszał ich przyciszone głosy, kiedy zakładali ubrania i wymykali się na dwór. Potem przytłumiony dźwięk zamykanych drzwiczek do samochodu i oddalający się odgłos dużego diesla.

– Proszę. – Molnar postawił na stole przed Sarakiem szklanekę wody i usiadł na sofie.

– Słuchaj, przykro mi – powiedział. – To moja wina. No bo chłopcy tak bardzo chcieli się z tobą zobaczyć, teraz w święta i w ogóle. Pomyślałem, że cię to trochę rozrusza. Ale powinniśmy byli zaczekać. – Przeciągnął językiem po przednich zębach.

– N-nie, nie, nic nie szkodzi, Peter. – Sarac upił kilka łyków wody. Doprowadził głos do porządku. – Fajnie, że przyjechaliście. Naprawdę. Męczy mnie tylko... –

Pokazał na głowę. Wziął kilka urywanych oddechów – że ciągle mam w głowie sieczkę.

– Musisz dać sobie trochę czasu, David. Lekarz powiedział...

– Mam w dupie pierdolonego lekarza! – Złość go zaskoczyła, dała mu nową energię. – Nie chcę waszej cholernej litości. Staje mi ością w gardle. Tak naprawdę chodzi o ulgę, że to ja zamieniłem się w pieprzony bełkoczący wrak, a nie wy.

Wlał w siebie resztę wody, uderzył szklanką o przednie zęby tak mocno, że zaboląło.

– No więc... – Molnar odchrząknął kilka razy. Zdawało się, że nie pamięta, co chciał powiedzieć.

– Nie musisz zostawać, Peter. Poradzę sobie. – Sarac oparł głowę o rękę.

– Okej. – Molnar wstał, na chwilę się zatrzymał. – Jest jeszcze jedna sprawa. Ale

to może nie jest dobry moment.

– Co? – Sarac wziął głęboki oddech. Próbował się pozbierać.

– Wyciągnęliśmy jedną rzecz z samochodu. Twoją rzecz.

Sarac się wyprostował. – Co takiego?!

Molnar położył przed Sarakiem plastikową torebkę z suwakiem wielkości kartki A4. W środku znajdował się płaski przedmiot, wyraźnie widoczny przez plastik. Sfatygowany notatnik w czarnych okładkach.

Przez kilka sekund zdawało mu się, że torebka wylądowała na stole z ostrym tąpnięciem. Ale zdał sobie sprawę, że dźwięk pochodził z jego własnej głowy.

## Dwadzieścia dziewięć

Notatnik śmierdzał palonym plastikiem. Prawy dolny róg miał zwęglony, pokręcony brzeg, a papier w kilku miejscach pozółkł. Ale poza tym notatnik wydawał się cały. Sarac obracał go na wszystkie strony, odgłos bicia serca prawie zagłuszał głos Molnara.

– Wyciągnąłem go z wraku. Jakiś czas tam leżał. Pomyślałem, że tak będzie najlepiej.

Sarac pokiwał głową z nieobecnym wyrazem twarzy. To były jego notatki. Przedmiot, który widział we śnie w tym tajemniczym pokoju, kiedy byli w drodze na wyspę. Teraz, kiedy trzymał go w ręku, nie mógł pojąć, jak w ogóle mógł o nim zapomnieć. Ta książka to było jego życie, centrum jego egzystencji.

Szczęśliwy przewracał kartki. Prawie wszystkie były zabazgrane literami, słowami albo cyframi. Tropami, które miały mu pomóc wszystko uporządkować. Odnaleźć drogę do samego siebie.

Trochę trwało, zanim zdał sobie sprawę, że nie bardzo rozumiał wszystkie notatki.

*Spotkanie z Jupiterem, godzina 14 na 781216.*

– Pamiętasz szyfr, David? – spytał Molnar podekscytowany. – Jupiter to informator, a liczby zaczynające się na siedemdziesiąt osiem to pewnie miejsca.

Sarac otworzył usta, kilka razy przełknął ślinę. Następnie wolno pokręcił głową.

– To spróbuj z pierwszą stroną – powiedział Molnar. – Spójrz na symbol, te dwie litery J oznaczają Janusa, prawda?

Sarac przerzucił kartki do pierwszej strony. Te same symbole, które widział na ścianie u siebie w mieszkaniu i później na białej tablicy we śnie. Dwa J, pierwsza litera odwrócona jak w lustrzanym odbiciu, tak że haczyki były przodem do siebie. Symbol tutaj był bardziej wyszukany niż ten na ścianie w mieszkaniu. I nareszcie dotarło do niego, co oznaczał. Litery tworzyły dwugłowy wizerunek – dwie twarze, które patrzyły każda w swoją stronę. Twarze Janusa. Boga, który widzi zarówno przyszłość, jak i przeszłość. Prawie krzyknął z radości po tym objawieniu.

Ale podekscytowany skinął tylko Molnarowi głową i przeciągnął palcem wskazującym przez kartkę. Pod symbolem znajdowało się pięć dziesięciocyfrowych



liczb, rozrzuconych na liniowanym papierze.

9728444477, pierwsza liczba.

Gapił się na cyfry, zauważył, że obaj z Molnarem wstrzymali oddech. Cyfry złąły się z literami, na moment utworzyły wzór. Potem znów się rozdzieliły.

– N-numer PESEL – powiedział.

– Jesteś pewien? – W głosie Molnara było słychać rozczarowanie.

Sarac skinął głową.

– Raczej tak.

– Oczywiście już to sprawdziliśmy – powiedział Molnar. – Ale tylko jeden z nich coś daje. Ten numer prowadzi do kobiety w Umeå, która pracuje w bibliotece. Nie figuruje w żadnym rejestrze i nie ma żadnych krewnych ani czegokolwiek, co wiązałoby ją z tobą albo ze Sztokholmem. Kristina Svensson, mówi ci to coś? – Molnar wskazał na numer na samym dole strony. Sarac pokręcił głową. Nic mu w głowie nie zadzwoniło.

– A pozostałe cztery? – spytał.

– Nie pasują – odpowiedział Molnar. – Popatrz tylko na tę pierwszą liczbę: dziewięćdziesiąt siedem, dwadzieścia osiem, czterdzieści cztery, czterdzieści cztery, siedemdziesiąt siedem. Dziewięćdziesiąt siedem jest okej jako rok urodzenia, ale czterdziesty czwarty dzień w dwudziestym ósmym miesiącu?

Sarac zobaczył problem, nie pojmował, jak w ogóle mógł przeoczyć coś tak podstawowego.

– Myślę, że to numery kont – stwierdził Molnar. – Pewnie mają związek z tym, jak płaciłeś Janusowi. Gdybyś tylko przypomniał sobie, o który bank chodzi, może moglibyśmy zdobyć więcej informacji. Numer karty płatniczej, może nawet obraz z kamery przy jakimś bankomacie, na którym będzie widać twarz. Pamiętasz cokolwiek związanego z kontami albo bankami?

Sarac dalej kręcił głową. Przez kilka sekund czuł, jakby coś się poluzowało, wydawało mu się, że wszystko zacznie się rozjaśniać. Zamiast tego był jednak coraz bardziej ogłupiały. Rozczarowanie prawie go złamało. Zdaje się, że Molnar to zauważył.

– Nie przejmuj się. Wszystko się ułoży. Znajdziemy go, obiecuję. – Położył rękę

na ramieniu Saraca. – Prześpij się z tym, jutro porządnie przejrzyj notatnik. Prędeż czy później kawałki się ułożą.

– Oczywiście – wymamrotał Sarac. – Dz-dzięki, Peter. Dzięki, że to dla mnie robisz. I za twoją cierpliwość – dodał.

– Nie ma o czym mówić. Jesteśmy przyjaciółmi, zrobiłbyś to samo dla mnie, prawda?

Sarac kiwnął głową.

– J-jak leci w pracy? Z Wallinem i wewnętrznym dochodzeniem?

Molnar uśmiechnął się krzywo.

– No cóż, wszyscy chcą się do ciebie dobrać. Na zmianę przychodzą i dzwonią do drzwi twojego mieszkania. Nie wyglądają na szczęśliwych, że cię nie ma w domu. Ale na razie są zajęci innymi rzeczami. Muszą przeprowadzić masę przesłuchań, zanim dojdą do tego, co się stało, i sformułują jakiś zarzut. Sprawa jest utrudniona, ponieważ dział Bergha jest na kursie z równouprawnienia. Chłopców Wallina też dotknęła ta nieoczekiwana nieobecność, więc myślę, że mamy kilka tygodni, zanim będą mieli jasność, za co dokładnie mają zamiar cię wsadzić. – Poklepał Saraca po ramieniu. – Odpocznij teraz, pamięć na pewno wróci. Mamy jeszcze czas, żeby wszystko uporządkować, powiązać wszystkie luźne wątki. Skoncentruj się na kontaktach w banku i zadzwoń, kiedy tylko do czegoś dojdiesz, okej?

– A Bergh, co z nim zrobimy? W szpitalu wyglądał na zaniepokojonego. Chciał, żebym mu przekazał wszystko, co dotyczy Janusa.

Molnar ugryzł się w wargę.

– Bergha zostaw mnie. Nie jest całkiem...

Przerwał mu odgłos z holu. Lekkie skrzypienie, jakby ktoś ostrożnie naciskał na klamkę, żeby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte. Molnar wstał szybko, odsłonił koszulę, która przykrywała kaburę, i zrobił kilka szybkich kroków do holu. Sarac też się podniósł.

– Czekasz na kogoś? – szepnął Molnar przez ramię.

Sarac pokręcił głową. Przez okno na ganek widać było ciemny cień. Molnar położył jedną rękę na broni, drugą na zamku do drzwi.

– Gotowy? – szepnął. Sarac skinął głową. Znow pomyślał o śladach na dole,

między drzewami. Uczucie, że ktoś go obserwuje.

Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi.

– To ja, David, otwórz! – zawołał kobiecy głos.

Molnar spojrział na niego pytająco.

– M-moja osobista opiekunka – wymamrotał Sarac.

Molnar zrobił grymas.

– Nie miałeś się ukrywać?

Sarac otworzył usta, żeby wyjaśnić, że Natalie sama go znalazła. Ale uznał, że za dużo by było tłumaczenia.

– Potrzebowałem swoich leków – powiedział zamiast tego. – Pomyślałem, że to okej. Raczej nikomu nie opowiada, gdzie jestem, obowiązuje ją chyba tajemnica zawodowa. Poza tym potrzebuję jej pomocy.

Znowu pukanie. Molnar zdjął rękę z broni.

– Oczywiście, żaden problem. Sam powinienem o tym pomyśleć. – Przez kilka sekund przyglądał się Saracowi, potem poklepał go po ramieniu i otworzył drzwi wejściowe.

– Cześć! – Natalie spojrzała na Molnara. – Właśnie się zastanawiałam, czyj to samochód na podjeździe.

– Hejka! Peter Molnar. Kolega z pracy i dobry przyjaciel Davida. – Molnar pokazał swój najszerszy uśmiech.

Uścisnęła jego dłoń.

– Natalie – wymamrotała. – Osobista opiekunka.

– Oczywiście – powiedział Molnar, nie puszczając jej dłoni. – Można mówić, co się chce, o szwedzkiej służbie zdrowia, ale czasami faktycznie działa. Zatrudnia cię gmina?

– Adelfi Care – odpowiedziała Natalie.

Molnar skinął głową, nadal trzymając jej dłoń.

– I jedziesz aż tu, na wyspy przy Vaxholm, żeby odbyć wizytę domową. Nieźle.

Natalie wzruszyła ramionami.

– Jedziemy tam, gdzie jest pacjent.

Wyciągnęła rękę i podniosła torbę z jedzeniem, którą odstawiła na schody.

– Wstawię rzeczy do lodówki, David – powiedziała przez ramię, rozpinając kurtkę.

Molnar przyglądał jej się przez kilka sekund, następnie spojrzął na swój ciężki zegarek do nurkowania.

– Muszę lecieć, chcę zdążyć na prom o szóstej. Mamy dziś w nocy akcję. Miło zobaczyć, że jesteś w dobrych rękach. – Wciągnął na siebie puchową kurtkę, lekko ściszył głos. – Dzwon natychmiast, gdy tylko dojdiesz do czegoś z tymi numerami kont! I sprawę notatnika zachowaj dla siebie.

– O-oczywiście, Peter.

– Dobra, do usłyszenia niedługo!

Molnar puścił oko do Saraca, następnie wyciągnął z kieszeni kluczyk do samochodu i otworzył drzwi wejściowe.

– Miło było cię poznać, Natalie! – krzyknął w kierunku kuchni.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, Natalie wróciła do holu.

– Za chwilę będzie jedzenie. Pójdę tylko na papierosa – powiedziała i pogrzebała w kieszeniach kurtki.

Stary garaż był prawie całkiem spalony. Bez dachu, okien, ścian wewnętrznych i drzwi. Zostały tylko pokryte plamami białe ściany zewnętrzne i stosy zwęglonych rupieci. Chociaż minęły dwa miesiące, wciąż pachniało tu dymem.

Atif stanął w drzwiach, przesłonił dłonią słońce i spojrzął na dachy zaniedbanych budynków naprzeciwko. Nietrudno było sobie wyobrazić, jak to wszystko się odbyło.

Miejsce, gdzie zatrzymują transport rzeczy wartościowych, znajduje się jakiś kilometr stąd. Przejazd samochodem zajmuje cztery minuty, najwyżej. Adnan i jego dwaj kumple wjeżdżają do garażu samochodem z napadu i ściągają za sobą bramę. W środku czeka samochód do ucieczki numer dwa, czysta bryka, na którą nie ma zgłoszenia kradzieży. Chłopaki przenoszą łup do nowego samochodu, prawdopodobnie kilka toreb na sprzęt hokejowy albo coś w tym rodzaju. Następnie zdejmują bluzy, rękawiczki i kamizelki ochronne i wrzucają wszystko do samochodu z rabunku. Jeden lub kilku z nich wylewa na siedzenia kilka butelek podpałki i podkłada ogień. W ciągu minuty samochód staje w płomieniach.

Chłopaki wskakują do drugiego samochodu. Wszyscy szczerzą zęby rozluźnieni. Kiedy drzwi garażu się otwierają, już czują się jak zwycięzcy. Pieniądze są w bagażniku, wszelkie ślady właśnie płoną razem z samochodem z napadu i pozostaje tylko spokojnie i grzecznie pojechać do domu. Adnan siedzi z przodu. Może myśli, że mimo wszystko sprawy się ułożą. Że wkrótce będzie współwłaścicielem dobrze prosperującej siłowni. I zapewni swojej rodzinie normalne życie.

Samochód wyjeżdża na ulicę. Gliny leżą na dachach. Strzelcy wyborowi już wybrali cele. Nikt nie wie, kto strzelił pierwszy. Gliny mówią, że Adnan, ale co innego mają mówić? Niezależnie od tego, kto zaczął, wszystko kończy się w ciągu trzydziestu sekund. Adnan i Juha są martwi, Tommy poważnie ranny.

I wszystko dlatego, że ktoś zakapował. Ktoś z wewnątrz. Abu Hamsa powiedział, że cynk wyszedł od Janusa, co wykluczało Bakshiego. Ten mały szczur na pewno nie był mistrzem wtyczek i wszyscy wiedzieli, że papla. Ale Abu Hamsa powiedział, że cynki od Janusa były sprytne, że nigdy nie można było wrócić do konkretnej osoby. Tak więc musi być kilka ogniw w łańcuchu, łączników, którzy niekoniecznie się znają. Pitbull-Pasi bezsprzecznie był związany z siłownią. Może słyszał rozmowy o tajnej umowie między Dinem a Adnanem, którą wynegocjował Hamsa, i później gdzieś rozgadał? A Janus słuchał...

Później, kiedy chłopcy zostali skoszeni, Pitbull zajarzył. Uświadomił sobie, że był w to zamieszany, przestraszył się i wyjechał z kraju z obawy przed zdemaskowaniem jako kapuś w zмовie z Janusem. Przykucnął w Tajlandii do czasu, aż nie zadzwonił tajemniczy kumpel Erika J. i nie powiedział, że wszystko jest w porządku. Że nikt go nie oskarża. Dla pewności, żeby potwierdzić tę informację, Pitbull wysłał maila do swojego starego kumpla Bakshiego, faceta z uszami równie wielkimi jak gęba.

Pitbull był w kraju raptem kilka godzin, zanim został zastrzelony. Żadnych śladów, że na niego naciskano lub że ktoś próbował wyciągnąć od niego jakieś informacje. Dwa strzały prosto w klatkę piersiową i – sądząc po zdziwieniu na jego twarzy – nawet nie zdążył zakumać, co się stało. Że był ryzykownym elementem, tropem, który trzeba usunąć.

Atif przez jakiś czas bawił się myślą, że to Erik J. był Janusem. Ale to zdawało się zbyt proste. Janus nigdy nie byłby w bezpośrednim kontakcie z takimi jak Pitbull albo

Bakshi. W rzeczywistości Erik J. był kimś w rodzaju pośrednika; zresztą nie do końca załapał, jaka była jego rola. Janus był dalej, głębiej w tej sieci.

Mimo to zrobił mały postęp. Jeśli jego teoria była prawdziwa, to Janus musiał zgasić Pitbulla tam w piwnicy, żeby zatrzeć po sobie ślady. W takim wypadku minął się z nim o jakieś pół minuty. Nawet słyszał zamykające się za nim drzwi na klatkę schodową. Ale ślad zrobił się zimny.

Bakshi zniknął, telefon Erika J. był nadal wyłączony, a przejażdżka tutaj, do tego spalonego garażu, nie zaowocowała żadnymi nowymi pomysłami. Mógł to sobie ułatwić. Zaakceptować ofertę Franka Huntera, następnie usiąść i grzecznie czekać, a wcześniej czy później dostarczono by mu Janusa do rąk własnych. Pytanie brzmiało, czy był gotowy zrobić to, czego żądał od niego Hunter? Prosta, krótka odpowiedź brzmiała: nie. Janus to była sprawa osobista, nie zlecenie, które wykonywał dla kogoś innego. Ten czas był już daleko za nim.

Atif był tak zatopiony w myślach, że nie słyszał, jak podchodzili, póki ten niższy nie potknął się na kilku deskach. Trzech mężczyzn, wszyscy dobrze zbudowani. Dwóch tego samego wzrostu co on, trzeci, ten z brodą, o jakieś dziesięć centymetrów niższy. Atif wsunął ręce w kieszenie kurtki, uświadomił sobie, że scyzoryk nadal leży w schowku na drzwiach.

– Atif Kassab? – spytał brodac.

– Kto pyta?

– Mamy dla ciebie małe pozdrowienie. – Mężczyzna wyszczerzył zęby.

Pozostałych dwóch rozdzieliło się, próbowali odciąć mu drogi ucieczki. Broda znów wyszczerzył zęby, jedną ręką rozciągnął pałkę teleskopową. Atif wziął głęboki oddech i obniżył barki. Gdyby ci kołesie byli profesjonalistami, już by się na niego rzucili. Wykorzystaliby moment zaskoczenia w połączeniu z liczebną przewagą, żeby stworzyć maksymalny efekt szoku. Ale byli tylko trzema zwykłymi kołesiami od bójek, pewnie nienawykłymi do pracy w grupie.

Jeden z dwóch wyższych mężczyzn zrobił kilka szybkich kroków do przodu. Kopnięcie było mocne i zaskakująco wysokie jak na takiego wielkiego faceta, ale Atifowi bez problemu udało się zrobić unik. Ten trochę grubszy zobaczył, że bójka zaczęła się bez niego. Obniżył głowę i ruszył prosto na Atifa.

Atif odepchnął jego ręce, przycisnął plecy do ściany i dokładnie w momencie zderzenia wbił palce lewej ręki w twarz mężczyzny, tak że ten sam siebie nadział. Poczuł, jak coś miękkiego pęka pod palcem środkowym, usłyszał, jak mężczyzna ryczy z bólu.

Drugi koleś, który trzymał ręce podniesione przed sobą jak w stylu *muay thai*, uniósł nogę do kopnięcia. Atif pchnął grubasa prosto na niego. Kopnięcie trafiło Atifa w ramię, odbiło się w górę i dotknęło jego lewego ucha. Coś białego eksplodowało w jego głowie.

Usłyszał dźwięk ciał uderzających o ziemię, zatoczył się do przodu i kilka razy zamrugał mocno oczami, żeby odzyskać wzrok. Zauważył ruch na ziemi i z całej siły nadepnął. Poczuł trzeszczenie pod butem.

Uderzenie pałką trafiło go w lewy bark. Ból na szczęście. Mocny, ale nie na tyle, żeby go wyłączyć z gry. Zgiął ramię, żeby chronić głowę. Drugie uderzenie trafiło niżej. W plecy i żebra zamiast w nerki. Ból – słaba siódemka. Atif przemieścił się poza zasięg pałki.

Tajski bokser zabierał się do wstawania. Atif kopnął go w skroń. Trochę źle oszacował odległość i trafił go w nos. Mężczyzna upadł do tyłu, przyciągnął nogi do siebie i poturlał się dalej.

Przez kilka sekund zapanował kompletny bezruch i tylko wszyscy gapili się na siebie. Słyszać było ciężkie oddechy i płaczliwe jęki grubasa, który próbował odczołgać się na bok. Jeden odpadł, dwóch zostało.

Atif zdecydował się na zmianę strategii. Zamiast czekać na nowy atak, ruszył prosto na brodacza. Manewr zaskoczył mężczyznę, który nie zdążył się zdecydować, czy ma użyć pałki, czy odskoczyć, nim Atif uderzył go w klatkę piersiową.

Upadli. Ręce wbiły się w twarz Atifa, szukały jego oczu. Atif złapał mężczyznę za włosy, podciągnął mu głowę i uderzył nią o ziemię tak mocno, jak mógł. Raz, dwa razy. Ciało mężczyzny zmiękło.

Nie widział zbliżającego się kopnięcia, poczuł tylko jego siłę, kiedy trafiło go w głowę. Upadł na bok, pomieszczenie kołysało się, niebo i betonowa podłoga zamieniły się miejscami. Zwinął się w piłkę, zakrył głowę tak dobrze, jak mógł. Zmusił się do przeturlania się w prawo, w stronę ściany. Zyskał kilka sekund na

oddech. Zobaczył, jak tajski bokser podnosi nogę, odbił się od ściany i potoczył prosto na stopę mężczyzny. Koleś zachwiał się i runął do tyłu.

Atif stanął na nogi. Lewa ręka była prawie bezużyteczna i nadal widział podwójnie. Ból zaczynał się zbliżać do ósemki. Musi to skończyć.

Nadepnął na coś okrągłego, najpierw myślał, że to czyjś palec. Po chwili odkrył, że to coś całkiem innego. Tajski bokser przeciągał wierzchem dłoni po twarzy, żeby zetrzeć krew płynącą mu z nosa, i Atif wykorzystał ten moment, żeby się schylić i ukryć przedmiot za plecami.

Złapał uchwyt, następnie opuścił bezużyteczną lewą rękę wzdłuż ciała i jednocześnie podniósł podbródek.

Bokser połknął haczyk. Stanął na palcach, lekko podniósł prawą nogę. Atif czekał na kopnięcie. Kiedy nadeszło, zamachnął się pałką w prawej ręce i z całych sił uderzył w goleń mężczyzny. Tajski bokser runął prosto na podłogę. Atif był już w połowie drogi do drzwi, kiedy mężczyzna zaczął krzyczeć.



## Trzydzieści

– Panie ministrze, jak miło, że zechciał pan przyjść. I jak miło znów panią spotkać, pani Stenberg.

– Panie ambasadorze – przywitał się Stenberg, kiedy wymieniali uścisk dłoni.

– Mam nadzieję, że możemy odłożyć formalności na bok. Bądź co bądź, jesteśmy przecież starymi znajomymi, nawet jeśli minęło już kilka lat. – Wysoki mężczyzna z przerzedzonymi włosami, ubrany w smoking, uśmiechnął się szeroko.

– Oczywiście – uśmiechnął się Stenberg. A teraz zaczniesz paplać o tym, jakim to byłem cudownie zdolnym współpracownikiem.

– Jak pani wie, pani Stenberg, Jesper był jednym z moich najlepszych oskarżycieli w trybunale. Już wtedy było wiadomo, że daleko zajdzie.

– Miło to słyszeć. – Karolina wzięła starszego mężczyznę pod rękę. – Proszę opowiedzieć więcej, panie ambasadorze. Jesper i ja naprawdę tęsknimy za Hagę. Holandia to fantastyczny kraj. Co pan na to, żebyśmy zaczęli od czegoś do picia?

Stenberg rzucił żonie spojrzenie pełne wdzięczności, kiedy ostrożnie kierowała rozgadanego mężczyznę w stronę baru. Był dobry w tego typu przyjęciach. Umiał prowadzić rozmowy o niczym, znał wszystkie drobne kody stosowane przy przemieszczaniu się przez pokój. Ale Karolina grała w zupełnie innej lidze, w zawodowej piłce nożnej. To ona wszystkiego go nauczyła, jej dziadek był przecież ministrem spraw zagranicznych, a tata Karl-Erik na pewno skończy jako ambasador, jak wszyscy starzy, wierni, oddani członkowie partii.

Stenberg spojrział w stronę drzwi. Ochroniarz z policji bezpieczeństwa, który wprowadził go do ambasady, lekko skinął mu głową, ale nie chciało mu się odpowiadać.

– Panie ministrze? – Poruszał się do przodu, ścisnął dłonie, przyjaźnie kiwał głową w stronę mijających go twarzy. Dorzucał jeden ze swoich opatentowanych uśmiechów Stenberga, ale bez najmniejszej sugestii, że się zatrzyma. Trik polegał na tym, żeby cały czas być w ruchu, nie dawać się wciągać w bezsensowne dyskusje, które do niczego nie prowadziły.

Wallin powinien gdzieś tu być. Ambasador miał zwyczaj zapraszać na swój

noworoczny koktajl osoby zatrudnione przy Międzynarodowym Trybunale Karnym. Stenberg rozejrzał się, wydawało mu się, że rozpoznał znajomy profil gdzieś w rogu. Ale właśnie w chwili kiedy zaczął zmierzać w tamtym kierunku, ktoś złapał go za łokieć.

– Jesper! – To był John Thorning.

– John, miło cię widzieć. Jesteś sam?

– Margareta została w domu. Nie czuła się zbyt dobrze. Takie coś... – zrobił gest w stronę przepelnionego pokoju – ...ją wykańcza.

I najwyraźniej nie tylko ją, pomyślał Stenberg. John Thorning wyglądał na wyczerpanego. Worki pod oczami miał jeszcze większe niż ostatnim razem, a twarz zaczerwienioną w kilku miejscach.

– Rozumiem, pozdrów ją serdecznie, John. Niestety, muszę... – Zwolnił uścisk dłoni, ale John Thorning nadal trzymał jego rękę.

– Jak idzie, Jesper?

– Co masz na myśli? – Stenberg rzucił szybkie spojrzenie za Karoliną.

– Z raportem. Minęły już ponad dwa tygodnie. Powiedziałaś...

– Powiedziałem, że usłyszysz więcej po świętach. Prawdopodobnie nie wcześniej niż w styczniu.

– Ale coś musisz już przecież wiedzieć?! – John Thorning nadal trzymał jego rękę. Głos troszeczkę zbyt podniesiony, tak że ludzie wokół zaczęli zerkać w ich kierunku. Jesper wciąż się uśmiechał, czuł w oddechu mężczyzny zapach alkoholu.

– To nie jest właściwe miejsce na tego typu rozmowy, John.

– Jesper, proszę.

Coraz więcej twarzy obracało się w ich stronę. Zbyt wiele, by mógł czuć się swobodnie.

– Chodź do baru, wszystko ci opowiem. – Pociągnął za sobą starszego mężczyznę, który po kilku krokach w końcu puścił jego rękę. Staruszek potruchtął za nim posłusznie jak szczeniak, nawet miał ten sam smutny wyraz twarzy co rodzinny pieszczoł Tubbe, kiedy ma zostać sam w domu. Stary John naprawdę nie był sobą. Musi coś powiedzieć, cokolwiek, żeby się go pozbyć.

Zatrzymał się, zaczekał, aż ludzie się odwrócą. Wziął głęboki oddech. Wyglądało

na to, że John Thorning może się załamać w każdej chwili. Musi mu dać jakiś kąsek, coś, co będzie brzmiało przynajmniej trochę zachęcająco.

– To jest tak, John – powiedział przy uchu mężczyzny. – Odkryliśmy pewne... sprawy. Trzeba się temu bliżej przyjrzeć. To na razie nic pewnego – dodał szybko, kiedy zauważył reakcję mężczyzny. – Ale robimy, co możemy. Wallin skierował jednego ze swoich najlepszych... – Stenberg ugryzł się w język. Cholera jasna! Nie powinien przywoływać nazwiska Wallina. – Jak powiedziałem wcześniej, dostaniesz konkretne informacje na początku stycznia. Na razie.

John Thorning pokiwał skwapliwie głową.

– Oczywiście, Jesper, rozumiem! Naprawdę doceniam...

Stenberg uśmiechnął się swoim w sam raz unizonym uśmiechem.

– Nie ma o czym mówić, John. I pamiętaj, musimy się tylko bliżej przyjrzeć kilku sprawom. Takie rzeczy zdarzają się przez cały czas, to nie musi koniecznie oznaczać, że coś jest nie w porządku.

John Thorning zdawał się nie słuchać, tylko objął ramię Stenberga. Jego twarz od razu się rozpogodziła.

– Dziękuję, Jesper, wielkie dzięki. Nie masz pojęcia.

Stenberg spojrzał nad ramieniem dawnego mentora i zauważył, że jego żona przygląda im się badawczo.

Sarac poczuł zapach już na schodach. Dym z papierosa. Miał ciężki sen, śniło mu się mnóstwo rzeczy, ale po przebudzeniu niczego nie mógł sobie przypomnieć. Jedynym wyjątkiem była ta piosenka.

*I owe everything*

*debts I can't escape til the day I die* <sup>16</sup>.

*Odds and evens* <sup>17</sup>, zdawało mu się, że taki był tytuł. Musi przy okazji wygooglować tekst piosenki.

Zszedł do holu, podążył dalej za zapachem do salonu i na zewnątrz do oszklonej werandy. Natalie stała dokładnie za szklanymi drzwiami. Dym z papierosa wirował

wokół jej głowy, przez nieszczelne okna znajdował drogę z powrotem do domu. Sarac uświadomił sobie, że ucieszył go jej widok.

Zapukał lekko w szybę. Odwróciła się i uśmiechnęła się do niego. Ostatni raz pociągnęła papierosa, zanim pstryknęła niedopałkiem na pokryty śniegiem trawnik.

– Długo tu jesteś? – spytał, kiedy Natalie zamykała za sobą szklane drzwi.

– Jakaś godzinę. Naprawdę lubię to miejsce. Jak daleko ciągnie się działka? – Pokazała w stronę lasu.

– Aż do wody po drugiej strony pagórka – odpowiedział.

– Jest tam pomost?

– I pomost, i szopa na łódź, ale wszystko dość zapuszczone. Mniej więcej jak ta chałupa. – Rozpostarł ręce. – Miałem zamiar odnowiać, ale pojawiły się inne sprawy.

Natalie kiwnęła głową, wyjęła balsam w sztyfcie z kieszeni džinsów i posmarowała usta.

– Tak, widziałam brezent i rzeczy na piętrze. Taka z ciebie złota rączka, David?

– Nie do końca. – Sarac wzruszył ramionami. – Ale alternatywą jest sprzedaż. Firma budowlana kosztuje krocie. Nie stać na to ani siostry, ani mnie.

Natalie zrobiła trudny do nazwania grymas.

– A, przy okazji chcę cię o coś spytać – powiedział. – Kiedy sprzątałaś moje mieszkanie, zauważyłaś, czy na ścianie w sypialni było coś napisane?

– Co?

– No... – Szukał odpowiedniego słowa. – Jakiś rodzaj wiadomości. Coś o tajemnicy?

Natalie pokręciła głową.

– Widok był jak po bitwie. Ale ściany były w porządku. Czemu?

Kiwnął głową, spojrzał w kierunku sadu.

– Nic, tylko o czymś pomyślałem. Ale może coś mi się przywidziało. Coś, co mi się śniło.

Natalie spojrzała na niego, wyglądała, jakby chciała o coś spytać.

– Chcesz coś zjeść? – powiedziała zamiast tego. – Mogę zrobić jajecznicę z boczkiem.

– Chętnie.

Został na werandzie, a Natalie poszła do kuchni. Znowu spojrzął w kierunku sadu i przez moment zdawało mu się, że dostrzegł jakiś ruch między drzewami. Ale zaraz pomyślał, że to tylko wiatr poruszał cieniami.

„Długi, przed którymi nie ucieknę aż do śmierci”, nucił głos w jego głowie. Piosenka znowu wróciła i w jednej sekundzie przypomniał sobie nazwę zespołu, The High Wire. Trudno było tę nazwę przetłumaczyć na szwedzki. Lina Wysoko nad Ziemią – zbyt afektowane. Może Perspektywa Linoskoczka?

– Znalazłam to w holu. Piszesz pamiętnik?

– Eee, co!?

Natalie stała w drzwiach. W ręce trzymała jego notatnik.

Jasna cholera!

– T-to nic ważnego – powiedział, robiąc w jej stronę kilka szybkich kroków. – Tylko kilka rzeczy, które sobie zapisałem.

Wyciągnął rękę. Zostawił notatnik w sypialni, był tego pewien. Położył go pod... pod...? Do jasnej cholery!

Podąła mu notatnik.

– To twój kolega Peter go przyniósł, prawda? Czy ta książeczka ma coś wspólnego z waszą policyjną robotą? Tajni informatorzy?

Sarac ścisnął szczęki. Natalie zauważyła jego reakcję.

– Okej, spokojnie. Absolutnie nie mam zamiaru węszyć. To on opowiedział.

– Kto, Peter?

Natalie kiwnęła głową.

– Ostatnio, zanim się zwinął, wyciągnął ode mnie papierosa. Fajny facet, tylko trochę zbyt pewny siebie jak na mój gust. Poza tym nie lubię takich ładnie przystrzyżonych hiszpańskich bródek. W każdym razie opowiadał trochę, czym się zajmujecie. To znaczy żadnych szczegółów, nic z tych rzeczy. Tylko że to ważne, żebyś szybko odzyskał pamięć. A nawet bardzo ważne.

Uśmiechnęła się i znów odczuł to drzemiące w głębi niemiłe uczucie. Że nic nie było takie, jak się wydawało.

Mężczyzna w sadzie prawie się nie poruszał. Stał nieruchomo i obserwował dom

przez lornetkę. Widział mężczyznę i kobietę rozmawiających chwilę na werandzie, potem kobieta weszła do domu. Przez moment wydawało mu się, że mężczyzna go dostrzegł, że ich spojrzenia się spotkały, mimo odległości i skrywających go cieni. Ale to oczywiście było tylko złudzenie. Był fantomem, urojeniem, niemożliwym do odkrycia.

Opuścił lornetkę, wyjął niedopałek papierosa z kieszeni skórzanej kurtki i odwrócił się, żeby zapalić. Potem trzymał go w zamkniętej dłoni, żeby ukryć ostry blask żaru. Powinien skończyć z paleniem, wiedział. Ale jeszcze nie teraz. Dopóki się nie upewni, że tajemnica jest bezpieczna. Że on jest bezpieczny...

Spojrzał w górę. Mężczyzna wszedł z powrotem do domu. Jeszcze raz się zaciągnął. Potem odwrócił się, przeszedł wolno między dwoma starymi, zaśnieżonymi słupami bramy i zniknął w lesie.

## Trzydzieści jeden

Pięć kombinacji cyfr rozrzuconych na stronie. Cztery z nich zapisane tym samym czarnym flamastrem. Natomiast ta na samej górze nagryzmołona zwykłym, topornym, urzędowym długopisem. Molnar miał rację, tylko jeden z numerów mógł być prawdziwym numerem PESEL. Pozostałe miały inną kombinację cyfr.

W każdym razie doszedł do tego, że notatnik składał się z dwóch części. Większą część zajmowało coś, co przypominało pamiętnik. Data, po której następował pseudonim, i kod, który prawdopodobnie odpowiadał miejscu. Pierwsza data była prawie sprzed dwóch lat, ostatni zapis spotkania pochodził z trzeciego października i dotyczył informatora nazwanego Bachusem. Żadna z tych informacji nic mu nie mówiła.

Nie było żadnych danych o spotkaniach z Janusem, więc to, jak i kiedy się spotykali, musiał dokumentować w inny sposób. Albo wcale. Ale najbardziej interesująca wydawała się część z pięcioma liczbami pod symbolem Janusa. Czy były to numery kont bankowych, jak myślał Molnar? Nie wydawało się to prawdopodobne. Najpierw myślał, że mogło chodzić o numery PESEL. W takim wypadku w jakiś sposób je zaszyfrował. Jeśli jednak chodziło o numery PESEL i o pięciu różnych informatorów, dlaczego nie nadał im pseudonimów? Odpowiedzi mogły się znajdować na tych wyrwanych stronach. Klej w okładce trochę wysechł i mógł dojrzeć resztki wyrwanego papieru zarówno przed, jak i po liście z symbolem Janusa. Nie było żadnych spotkań po trzecim października. Dlaczego? Co próbował ukryć?

Znów pomyślał o Janusie, zastanawiał się, gdzie mógł przebywać. Co teraz robił? Rozległo się pukanie do drzwi sypialni i pojawiła się głowa Natalie.

– Pomyślałam, że może chcesz kawy? Na jedzenie trzeba trochę poczekać.

– Tak, dziękuję. Zaraz przyjdę – odpowiedział i zorientował się, że uśmiecha się w sposób, którego właściwie nie znał. Zdał sobie sprawę, że to miało związek z Natalie.

Zapach tytoniu w jej ubraniach czuć było aż w pokoju. Ten zapach sprawił, że Sarac zaczął myśleć o mężczyźnie w szpitalu. Czy naprawdę istniał, czy był tylko

wytworem jego wyobraźni? Halucynacją związaną z migreną, taką jak te, które miał niedawno? Miał taką nadzieję, ale niestety tak chyba nie było. Mężczyzna wydawał się prawdziwy, podobnie jak rozmowa o ich umowie.

– Wyglądasz na wykończonego – powiedziała Natalie, kiedy wszedł do kuchni. – Mogę spytać, czym się zajmujesz, czy to tajemnica państwowa? – Uśmiechnęła się i lekko uniosła jasne brwi.

– Muszę się przyznać do jednej rzeczy – powiedziała i kiwnęła głową w stronę notatnika Saraca. – Książeczka leżała otwarta na podłodze, kiedy ją znalazłam. Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie zajrzeć.

Sarac otworzył usta.

– Nie musisz nic mówić. – Podniosła rękę. – Wiem, że źle zrobiłam, ale na swoją obronę mogę powiedzieć, że nie mogłam wiedzieć, że były w niej tajne sprawy policji.

Przełknął ślinę, czuł, jak wybuch gniewu właściwie się rozplynął. Miała rację, właściwie to jego wina, że nie potrafi utrzymać porządku w swoich rzeczach. Cholerny, pieprzony, gówniany mózg!

– W porządku – wymamrotał. – Muszę się nauczyć pilnować porządku.

Natalie wzruszyła ramionami.

– Cóż, jeśli to jakieś pocieszenie, to splątanie jest jednym z najczęstszych efektów ubocznych udaru mózgu – powiedziała.

– M-miałaś wielu takich pacjentów jak ja? To znaczy osób w moim wieku, które przeszły udar?

Spojrzała na niego i kiwnęła głową.

– Kilkoro.

– I jak im poszło? Czy kiedykolwiek wrócili do normalnego stanu? Stali się znów takimi samymi osobami, jakimi byli wcześniej?

Przechyliła głowę i lekko przygryzła wargę.

– Nie. Raczej nie – powiedziała.

Sarac przełknął ślinę, poczuł, jak język przykleja mu się do podniebienia.

– Ale z drugiej strony dostali coś, co całkiem sporo osób chciałoby mieć –



powiedziała Natalie.

– C-co takiego?

– Drugą szansę – powiedziała. – Szansę, żeby być dokładnie tym, kim chce się być.

Siedział cicho, następnie wolno pokiwał głową.

– Czy mogę jakoś pomóc? Mam w torbie laptopa, jeśli jest coś, co chcesz sprawdzić. – Kiwnęła głową w stronę notatnika na stole.

Zastanawiał się. Nagle przypomniał sobie coś, co powiedziała, kiedy pierwszy raz się tu pojawiła.

– Znasz kogoś, kto pracuje w urzędzie skarbowym, prawda?

– Okej, dzięki za pomoc, Fredde! – Natalie skończyła rozmowę i obróciła się w stronę Saraca. – To, co powiedział twój kumpel, Molnar, się zgadza. Jedyne PESEL z listy prowadzi do kobiety w Umeå. Kristina Svensson, mieszka na ulicy Fältvägen.

Sarac zrobił grymas niezadowolenia.

– Pozostałe cyfry nie dają żadnych wyników, ale to już wiedzieliśmy.

Patrzył w podłogę. Próbował się skoncentrować. Może Molnar mimo wszystko miał rację, że cyfry były numerami kont bankowych. Ale z jakiegoś powodu ten wniosek nie wydawał się prawdziwy. Cyfry jakoś się wiążą z osobami, był tego prawie pewien.

– Słuchaj... – zagadnęła Natalie.

Spojrzał w górę, zauważył, że studiuje pierwszą stronę w jego notatniku. Zdawało mu się, że na pewno go zamknął. Ale jakie to właściwie miało znaczenie. Cyfry mówiły jej jeszcze mniej niż jemu. Zauważył, jak zmarszczyła czoło, wyglądało, jakby się nad czymś zastanawiała.

– No więc, mam w komputerze pewne cyfry, które chcę utrzymać w tajemnicy. Mój twardy dysk jest zaszyfrowany, ale mimo to martwię się, że ktoś może go dorwać i uda mu się wejść do środka. W takim wypadku miałabym naprawdę poważne problemy.

Nic nie powiedział, zamiast tego próbował sobie wyobrazić, jakie to „poważne problemy” mogą dotknąć opiekunkę lub do czego był jej potrzebny kontakt

w urzędzie skarbowym. Nie bardzo udało mu się coś wymyślić.

– No więc przeczytałam trochę o tych kodach i szyfrach – ciągnęła Natalie. – Pomyślałam, że jeśli mam mieć z tego jakąś korzyść, muszę móc szybko i łatwo coś ręcznie odkodować.

– I? – Sarac lekko się wyprostował.

– Używam zwykłego arkusza kalkulacyjnego Excela. Kilka wierszy przerwy pomiędzy cyframi, co sprawia, że całość jest łatwo czytelna i przestrzenna. Ale jest jeszcze jedno udoskonalenie. To znaczy między wierszami.

Coś kliknęło w głowie Saraca. Piosenka nagle powróciła. Zaczęła się delikatnie, jak szept. Szybko stawała się mocniejsza.

*Got to start from somewhere  
so I'll start from the grave  
we'll count the steps along the way [18](#).*

– Popatrz tutaj! – Natalie pokazała na otwarty notatnik.

– Pierwsza liczba, dziewięćdziesiąt siedem, dwadzieścia osiem, czterdzieści cztery, czterdzieści cztery, siedemdziesiąt siedem, zaczyna się w wierszu drugim. Następna w wierszu trzecim. Jeden wiersz pomiędzy. Ładnie i schludnie. Ale popatrz na trzecią, nagle znajduje się dwa wiersze poniżej i przerwa przed czwartą liczbą jest jeszcze większa, widzisz?

Skinął głową. Muzyka w jego głowie stawała się coraz głośniejsza.

– W moim arkuszu dodaję wszystkie cyfry do numeru wiersza na brzegu – ciągnęła Natalie. – Jeśli w wierszu piątym znajduje się liczba tysięcy, to tak naprawdę prawdziwy numer to tysiąc pięć. Jeśli używałeś podobnego systemu, to do całego pierwszego numeru, który znajduje się w wierszu drugim, należy dodać dwa.

Poszukała długopisu i zapisała cyfry na odwrocie starej gazety. Zrobiła małą przerwę i powiększyła liczbę o dwa.

– Albo nie, to się nie zgadza. W ten sposób zmienia się tylko ostatnią cyfrę w liczbie. Lub ewentualnie dwie ostatnie, reszta będzie przecież taka sama. Dziewięćdziesiąt siedem, dwadzieścia osiem, czterdzieści cztery, czterdzieści cztery,

siedemdziesiąt dziewięć w dalszym ciągu nie jest numerem PESEL. Cholera! – Wbiła wzrok w papier. – Nie, już wiem. Jeśli do każdej cyfry dodać dwa, o tak. Dziewięćdziesiąt siedem, dwadzieścia osiem, czterdzieści cztery, czterdzieści cztery, siedemdziesiąt siedem. Dziewięć dodać dwa to jedenaście, czyli jeden. Siedem dodać dwa to dziewięć, dwa dodać dwa to cztery.

Zapisała wszystkie cyfry. Następnie spojrzała na liczbę.

194066-6699

– Eee... – powiedziała Natalie i podrapała się w szyję. – No więc, to w takim razie będzie bardzo stary człowiek, urodzony sześćdziesiątego szóstego dnia czterdziestego miesiąca tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku. Kurwa!

Zmiała papier.

– Zapomnij, zdawało mi się, że wymyśliłam coś mądrego.

Sarac zamrugał oczami. Muzyka odbijała się echem w jego głowie, prawie zatapiała myśli.

*Odds for a christening  
and evens, a wedding day [19](#).*

Wziął długopis, ponownie zapisał cyfry.

9728444477

– Wiersze nieparzyste minus. Wiersze parzyste plus – mamrotał, prawie o tym nie myśląc. Od wszystkich cyfr odjął numer wiersza i znowu odchylił się na krześle.

750622-2255

– Cholera – wymamrotała Natalie. – Zaraz dzwonię znowu do Freddego.

Atif ostrożnie owinał bandaż wokół lewej dłoni, pociągnął tak mocno, jak potrafił. Palec wskazujący i serdeczny były spuchnięte jak małe kiełbaski, nadgarstek i przedramię niebieskożółte i zeszywniałe. Prawdopodobnie kość przedramienia miał pękniętą lub, w najgorszym wypadku, złamaną. Miejsce po ugryzieniu przez psa wyglądało trochę lepiej, co jednak było niewielką pociechą. Lewa strona klatki piersiowej też była niebieska i bolało jak cholera, kiedy głęboko oddychał. Jedno lub

kilka żeber złamanych, zgadywał. Poza tym piekielny ból głowy, którego nie były w stanie złagodzić nawet cztery panadole. Łączny poziom bólu: mocna piątka. Dręczący, irytujący, ale chociaż do zniesienia. Miał zamiar odpocząć kilka dni, zaszyć się gdzieś na okres Nowego Roku.

Poza tym musiał się trochę zastanowić, obmyślić następne posunięcie. Może mimo wszystko była to okazja do przyjęcia propozycji Huntera? W ten sposób uniknąłby kolejnych niechcianych incydentów. Nikt nie miałby odwagi go ruszyć. Albo mógł olać wszystko i wrócić do domu. Zostawić to za sobą. Ale wiedział, że tak nie będzie. Nigdy wcześniej nikomu nie pozwolił ujść bezkarnie i teraz też nie miał zamiaru tego robić.

Dzwonek telefonu przerwał ciąg myśli. Od razu pomyślał o Tindrze i Cassandrze. Pognął do drzwi, wygrzebał komórkę z kieszeni kurtki. Ból sprawiał, że łomotało mu w skroniach. Ale wyświetlacz telefonu był czarny.

Telefon znów zadzwonił i zdał sobie sprawę, że dźwięk nie pochodził z jego komórki, ale z telefonu Pitbulla. Poszukał właściwej kieszeni, wygrzebał telefon i nacisnął przycisk odbioru. Numer zastrzeżony.

– Halo? – powiedział.

Ale osoba na drugim końcu już odłożyła słuchawkę.

## Trzydzieści dwa

– Fredde zaczyna teraz wpisywać liczby. – Natalie zasłoniła dłonią słuchawkę, odwracając się w stronę Saraca.

Szyfr był w istocie dziecinnie prosty. W wierszach parzystych odjąć numer wiersza od wszystkich cyfr, dodać cyfry, które znajdują się w nieparzystych wierszach. Pstryk, i cyfry zamieniały się w numery PESEL. Osoby urodzone pomiędzy rokiem 1968 a 1981.

– Okej, gotowy, nadchodzi pierwszy odczyt – powiedziała podekscytowana Natalie. – Brian Hansen, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym piątym w Brommie. Chronione dane osobowe.

Zapisała nazwisko, długopis gryzmołił na tanim papierze. Dźwięk skrobienia przypominał spadający śnieg. Saracowi zamigotało przed oczami. Twarz, duży ostrzyżony na krótko mężczyzna z tatuażem węża. Zaskakująco jasny głos: „Chciałem zaproponować handel wymienny...”. Mężczyzna w zaśniewanym samochodzie. Brian Hansen! Poczuł walenie serca, coraz szybsze pompowanie adrenaliny w ciele.

– Co dokładnie znaczy, że dane osobowe są chronione? – powiedziała Natalie do słuchawki. – Że nie są widoczne w rejestrach publicznych – powtórzyła, patrząc na Saraca. – Każdy może dostać taką ochronę? – spytała. Nastąpiła krótka przerwa, kiedy głos w słuchawce odpowiadał. – Po specjalnym rozpatrzeniu sprawy. Jakiś rodzaj zagrożenia. Maltretowane kobiety, politycy, czasami policjanci – podsumowała Natalie. – Ale większość osób z chronionymi danymi osobowymi to...

– Przestępcy – powiedział Sarac, szczypiąc się w nasadę nosa.

– Zgadza się. – Natalie spojrzała na niego. Lekko zmarszczyła czoło.

– To wszystko? Mamy dostęp tylko do jego nazwiska? – spytała mężczyzny w słuchawce. Jego odpowiedź sprawiła, że jej wyraz twarzy się zmienił. Stał się znacznie poważniejszy. – No tak. To dalej raczej nie zajdziemy.

– Czemu nie? – spytał Sarac.

Natalie odsunęła słuchawkę od twarzy i spojrzała na niego przeciągle, zanim odpowiedziała:

– Ponieważ Brian Hansen nie żyje. Zmarł dwudziestego trzeciego listopada. W ten sam wieczór, kiedy ty...

– Miałem wypadek – powiedział. Znów przymknął oczy.

– Jest tam napisane, jak zmarł? Facet miał przecież tylko ile? Był poniżej czterdziestki – powiedziała Natalie do słuchawki.

Saracowi wydawało się, że już zna odpowiedź, ale oczywiście nie mógł nic powiedzieć. Najwyraźniej komputer urzędu skarbowego także nie.

– Nee, do cholery z nim – powiedziała Natalie niecierpliwie do słuchawki. – Weź zamiast tego następne nazwisko. Selim Markovic, urodzony w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym ósmym w Spådze. – Zapisała nazwisko, krótko spojrzała na Saraca.

Wziął głęboki oddech, schował twarz w dłoniach. Zobaczył przed sobą dużą, żółtą puchową kurtkę, a w środku gogusiowatego człowieczka z delikatnym wąsikiem, rozmawiającego przez telefon.

*Ey, Erik J., long time no see!*

– On też nie żyje? – spytała Natalie. – Zaledwie tydzień temu – uzupełniła i spojrzała na Saraca. – Był przecież jeszcze młodszy. To jest cholernie dziwne. Szkoda, że nie ma informacji, jak zmarli. Albo zaraz, Fredde, zadzwonię do ciebie później!

Wybiegła z pokoju, do swojego plecaka przy drzwiach. Wróciła z laptopem.

– No to zobaczmy. Dwudziesty trzeci listopada, przestępca, mężczyzna, zmarł, Sztokholm.

Wstukała dane do wyszukiwarki i wcisnęła enter. Przeczytała informacje na ekranie, następnie kliknęła na coś myszką.

– Tutaj – powiedziała. – To ze strony wiadomości „Aftonbladet” z tej samej nocy. Przekręciła ekran, żeby Sarac lepiej widział.

*Znany przestępca zamordowany na Starym Mieście.*

Zdjęcie przedstawiało zaśnieżony samochód, który natychmiast rozpoznał. Tylna szyba była zakryta pomarańczowym kocem karetki pogotowia. Kawałek dalej na chodniku majaczyły plecy czegoś, co prawdopodobnie było kilkorgiem wyrostków.

– No, nie można być pewnym, ale szczegóły się zgadzają.

Nic nie powiedział. Wszystko, o czym był w stanie myśleć, to Brian Hansen. Jego jasny głos, zapach jego strachu. Kula, która rzuciła jego głowę do przodu, na deskę rozdzielczą.

– Sprawdzimy drugą datę. – Natalie wstukała dane. Tym razem zabrało to więcej czasu. – Okej, to było trudniejsze. Nie ma żadnych wydarzeń podobnych do tych na Starym Mieście. Ale Fredde powiedział, że jako dzień śmierci wpisuje się dzień uznania kogoś za zmarłego. W takim wypadku to może pasować. – Natalie ponownie obróciła ekran w stronę Saraca.

*Martwy mężczyzna znaleziony w wodzie w pobliżu Riddarholmen [20](#).*

Zdjęcie pokazywało ciemną furgonetkę i kilkoro strażaków przenoszących żarówiastożółty tłumok na nosze. Jeden ze strażaków był odwrócony, jakby za wszelką cenę chciał stamtąd uciec.

– No więc nie wiem – powiedziała Natalie. – W każdym razie data się zgadza.

– To on – powiedział Sarac.

– Jesteś pewien? – W głosie Natalie brzmiało podekscytowanie. – Skąd możesz wiedzieć?

– Po prostu wiem, tak? – odwarknął.

Nastąpiła cisza. Sarac masował sobie skronie, próbował ułożyć kawałki układanki. Bez powodzenia.

„Skąd możesz wiedzieć?” To było pytanie za milion dolarów.

– Mam zadzwonić do Freddego w sprawie pozostałych numerów? – Natalie spojrzała na niego.

– Oczywiście – wymamrotał. Próbował usunąć przed oczu pokrytą meshem twarz Markovica. Musi iść dalej, odnaleźć więcej kawałków, spróbować je połączyć. To był większy obraz, znacznie większy niż dwóch martwych facetów. Coś, czego jeszcze nie mógł ogarnąć wzrokiem. Tym, czego potrzebował, był narożny kawałek, coś, od czego można zacząć. Ale akurat teraz niczego takiego nie mógł znaleźć.

– Cześć, to znowu ja. Zabieramy się za resztę – powiedziała Natalie do słuchawki.

Jej długopis skrobał po papierze.

– Numer trzy nazywa się Pasi Arvo Lehtonen, urodzony w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Tym razem bez zastrzeżonego adresu. Mieszka na ulicy

Roslagsgatan sześćdziesiąt dwa.

– Albo raczej mieszkał – dodała i zerknęła na Saraca. Przycisnęła telefon między uchem a barkiem i stuknęła na laptopie. Następnie bez słowa obróciła ekran w stronę Saraca.

### *Mężczyzna zamordowany w Vasastan*

*33-letni mężczyzna znaleziony martwy w piwnicy przy ulicy Roslagsgatan 62. Notowany wcześniej za drobne przestępstwa. Policja obecnie nie ujawnia szczegółów, ale informator mający wgląd w śledztwo przekazał „Aftonbladet”, że poszukiwany jest wysoki, ubrany w ciemne ubranie mężczyzna, którego widziano, gdy opuszczał miejsce zbrodni.*

Sarac przymknął oczy i próbował wywołać twarz Lehtonena, ale nie udało mu się równie dobrze, jak z tamtymi dwoma. Pojawił mu się w głowie obraz latawca. Potem coś o psach. Odchylił się na oparcie kanapy. Pozwolił, aby wzrok powędrował w stronę okien werandy. Dalej do ogrodu, na pokryty śniegiem trawnik, i dalej, w dół, w stronę cieni.

Atif obudził się w środku wdechu. Tanie prześcieradło kleiło mu się do ciała, ramię i klatka piersiowa łomotały z bólu. Śnił o Adnane i o Tindrze. Śniło mu się, że ktoś ją zabrał, wydarł z ramion Cassandry, a on nie był w stanie temu przeszkodzić. Mężczyzna o dwóch twarzach...

– To wszystko twoja wina! – Cassandra krzyczała na niego we śnie. Ale teraz uzmysłowił sobie, że głos nie do końca się zgadzał. Że brzmiał jak głos jego mamy.

Poczuł, jak przez ciało nadchodzą mdłości. Ledwie udało mu się dotrzeć do małej łazienki, zanim zaczął wymiotować.

Cholera jasna, nie powinien był czekać z pójściem do przychodni. Trzeba było wymyślić jakąś historię, dzięki której dostałby dawkę penicyliny, może też zastrzyk przeciwtężcowy. Zakaszłał, poczuł ukłucie w klatce piersiowej. Następnie wypłuł sporo płwociny. Krew. Niedużo, ale wystarczająco, żeby się zaniepokoił. Musi pójść do lekarza, i to szybko. Nie miał innego wyjścia, niż podjąć to ryzyko.



Komórka Pitbulla leżała na małym biurku w pokoju hotelowym, podłączona do pirackiej ładowarki, którą Atif kupił w Teknikmagasinet. Ekran był ciemny, ale kiedy go dotknął, pokazała się wiadomość.

„Od: Rico

Jestem w drodze do domu. Jest zielono?”

Atif wazył telefon w dłoni, zastanawiał się. Pitbull dzwonił do Rico z Tajlandii, zaledwie kilka godzin po tym, jak Bakshi odtrąbił brak zagrożenia. Ponieważ dzwonił z telefonu na kartę, nie mógł go namierzyć. Zamiast tego skupił się na sali fitness, co prowadziło donikąd.

Znów spojrzał na ekran. Postanowił zaryzykować. Napisał:

„Zielono, słyszałeś coś od kumpla Erika J.?”

Następnie nacisnął „Wyślij”. Odpowiedź nadeszła po jakichś trzydziestu sekundach.

„Nic od kiedy dzwonił”.

Atif zauważył lekkie przyspieszenie tętna. Rico, kimkolwiek był, znał zarówno Erika J., jak i jego tajemniczego kumpla. Mógł go poprowadzić dalej w sieć, bliżej Janusa. Wszystko, czego potrzebował, to złapać Rica.

Zwalczył impuls i nie zadzwonił. Zamiast tego kombinował dalej.

„Ok, zadzwoń, jak będziesz z powrotem w mieście, mam więcej do powiedzenia”, napisał.

Odpowiedź od Rica tym razem nadeszła jeszcze szybciej.

„Ok, CU soon!” [21](#)

## Trzydzieści trzy

– Okej, sieć informatyczna urzędu skarbowego w końcu znowu go przepuściła. Fredde wygrzebał dwóch ostatnich.

Natalie pomachała krótko swoją komórką w stronę Saraca, zanim powróciła do rozmowy. Czekali prawie trzy godziny. Natalie przygotowała lunch, któremu żadne z nich nie poświęciło właściwej uwagi. Uporali się z trzema nazwiskami z listy Janusa – wszyscy martwi i żaden nie zmarł w sposób naturalny. Pozostały dwa nazwiska, dwie osoby, które w odróżnieniu od pozostałych z listy mogłyby prawdopodobnie dostarczyć jakichś odpowiedzi zamiast kolejnych pytań. Może nawet narożny kawałek, którego potrzebował, żeby zacząć układać puzzle.

Natalie odłożyła długopis i wstała. Zrobiła kilka kroków do holu, mrużąc coś, co – sądząc po zmianie w tonie głosu – dotyczyło spraw prywatnych. Pewnie dziękowała za pomoc, wydawało się, że obiecywała coś w zamian. Sarac się odwrócił, zrobił wysiłek, żeby nie podsłuchiwać.

Po jakiejś minucie wróciła.

– Wygląda na to, że obaj żyją – powiedziała i Sarac poczuł ulgę. – Pierwszy numer PESEL prowadzi do niejakiego Erika I. Johanssona, pamiętasz kogoś takiego?

Siedział cicho, czekał, aż mózg znajdzie właściwą drogę. Pokaże mu twarz. Ale nic się nie działo. Zamiast tego pojawiło się silne uczucie niesmaku. Pokręcił głową.

– Żadnego adresu?

– Nie, on też ma zastrzeżone dane osobowe. Wszystko, co mamy, to numer PESEL i nazwisko. Żadnej innej informacji poza tą, że urodził się w kraju i nie został uznany za zmarłego. Nie można nawet zobaczyć, jakie drugie imię kryje się za tym „I”. Według Freddego Erik Johansson to poza tym kombinacja najbardziej popularnego imienia i nazwiska w Szwecji, więc facet naprawdę jest anonimowy.

Sarac odwrócił wzrok. Przez moment zdawało mu się, że znów czuje lekkie brzęczenie w głowie. Ale twarz Erika I. Johanssona pozostała ukryta.

– A ostatnie nazwisko? – wymamrotał.

– Erico Sabatini, mieszka na Södermalmie. Też żyje i ma się dobrze, dokładnie tak jak Johansson, w każdym razie według komputera.

Tym razem twarz pojawiła się od razu. Cienkie włosy, spiczasty nos i bystre oczy. Ale nie tylko to. Sarac zdał sobie sprawę, że znał Erica Sabatiniego dość dobrze. Rodzina, hobby, sprawy prywatne. Nagle odczuł coś nowego, jakby coś ważnego miało mu się zaraz objawić. Pięciu mężczyzn, trzech z nich są już martwi. Dwaj jeszcze żyją. Erik I. Johansson i Erico Sabatini.

– Muszę tam pojechać. Teraz, zaraz, możesz mnie podwieźć? – spytał.

– A nie powinieneś do kogoś zadzwonić? Do twojego kumpla Petera? – zapytała Natalie.

Sarac pokręcił głową.

– Sam muszę tam pojechać. On ufa tylko mnie. Możesz mnie podwieźć czy nie?

– Oczywiście. – Natalie wzruszyła ramionami. Próbowwała nie wyglądać na zbyt podekscytowaną. – Prom odchodzi za dziesięć minut, jak się zepniemy, to zdążymy.

– Okej, no to załatwione. – Lekarz wstał i wyciągnął rękę w stronę Atifa. – Zastrzyk, który ci dałem, powinien wyeliminować zakażenie, a leki z recepty możesz odebrać w najbliższej aptece. Ale jeśli poczujesz się gorzej, natychmiast zgłoś się na SOR.

Atif powlókł się wolno przez niewielki zaśnieżony parking. Nikt za nim nie szedł, był tego pewien. Dla pewności sprawdził samochód. Mimo bólu zmusił się, żeby się wczołgać pod wóz i sprawdzić, czy nikt nie zainstalował mu nadajnika GPS.

Panadol utrzymywał gorączkę pod kontrolą, bóle nadal około piątki, a penicylina przepisana przez lekarza prawdopodobnie sprawi, że przestanie kaszleć krwią. To wszystko, przychodnia, lekarz i apteka, wiązało się z ryzykiem. Jego numer PESEL pojawi się w jednym lub kilku systemach komputerowych. Dlatego wybrał przychodnię daleko od brudnego kawalerskiego hotelu, do którego się wprowadził. Jeśli wystarczająco szybko załatwi swoje sprawy, nikt nie zdąży go namierzyć, zanim nie znajdzie się z powrotem w łóżku. Kiedy tylko lekarstwo zacznie działać i zdąży się trochę pozbierać, wróci do polowania.

Usłyszał dzwonek telefonu dokładnie w chwili, kiedy trzasnął drzwiami. Obmacywał kieszenie kurtki, ale wyciągnął swój własny telefon zamiast komórki Pitbulla.

„Nieodebrane połączenie od Rico” – zobaczył na ekranie, kiedy w końcu znalazł

właściwy telefon. Cholera jasna!

Siedział nieruchomo przez kilka sekund, rozważał następne posunięcie. Oddzwonienie było złym pomysłem, nie miał pojęcia, jak brzmiał głos Pitbulla, i najprawdopodobniej zostałby rozpoznany, zanim zdążyłby się czegoś dowiedzieć. Zamiast tego wystukał nową wiadomość.

„Nie mogę teraz rozmawiać, wróciłeś?”

Nacisnął „Wyślij” i spojrzął na zegarek. Minęło prawie czterdzieści minut od momentu, odkąd pielęgniarka wstukała jego numer PESEL do systemu komputerowego. Najwyższy czas się zwinąć.

Telefon zadzwieczał. Rico szybko odpowiadał.

„Na Centralnym. Zadzwonię, jak będę w domu”.

Zapiął pas. Na Centralny jechałby co najmniej pół godziny, nie ma szans, żeby zdążył. Poza tym nie miał najmniejszego pojęcia, jak Rico wygląda. Lepiej odczekać, odebrać lekarstwa z apteki i spróbować dojść, gdzie koleś mieszka. Złapał kluczyk i już miał go przekręcić w stacyjce, kiedy telefon Pitbulla zaczął głośno dzwonić.

„Dzwoni Rico”.

Co, do cholery, facet przecież przed chwilą wysłał SMS-a?

Atif na przemian gapił się na telefon i na zegarek. Przez gorączkę łomotało mu w głowie, a hałas dzwoniącego telefonu wcale nie polepszał sprawy.

Wyjął telefon i odrzucił połączenie.

Tęgi mężczyzna w bobrowej czapce i w grubym zimowym płaszczu szedł przez parking. Trzymał za rękę małego chłopca i coś w ruchach tej pary sprawiło, że w głowie Atifa kliknęło. Chłopiec stawiał opór, próbował się uwolnić. Telefon Pitbulla wciąż dzwonił, ale dźwięk nagle stał się odległy.

– Ale ja nie chcę. – Atifowi zdawało się, że słyszy głos chłopca.

– Jesteś chory, Adnan, wtedy idzie się do lekarza – wymamrotał.

Telefon nagle zamilkł. Chłopiec i mężczyzna przeszli obok. Atif przełknął ślinę, następnie spojrzął w dół na swoją rękę. Ekran się świecił, połączenie odebrane. Musiał nacisnąć zły przycisk. Do kurwy nędzy!

Powinien się rozłączyć, wrócić do esemesowania. Ale zamiast tego przycisnął telefon do ucha. Czekał...

Nikt się odezwał.

Usłyszał tylko ciche skrobanie, potem ciężki, głuchy odgłos. Gdzieś w tle słychać było przytłumione, dudniące głosy. Zajęło to kilka sekund, zanim Atif się zorientował, że słucha telefonu, który sam zadzwonił. Po pierwszym połączeniu Rico musiał schować telefon i wtedy nacisnął przycisk ponownego wybrania numeru.

Przycisnął telefon do ucha, próbował usłyszeć, jak najwięcej się dało, i jednocześnie zerknął na zegarek. Najwyższy czas wiać. Ale teraz nie mógł odjechać. Dźwięk silnika zagłuszyłyby wszystko, co działo się na drugim końcu linii. Nadal słyszał szmer rozmowy w telefonie, przerywany tylko nowym skrobaniem, pewnie kiedy komórka przewalała się w kieszeni Rico.

Usłyszał z daleka sygnał syreny i najpierw myślał, że to z telefonu. Ale potem zdał sobie sprawę, że dźwięk dochodzi z zewnątrz i staje się coraz głośniejszy. Zaciśnął palce wokół kluczyka do stacyjki. Serce w piersi waliło coraz mocniej. Sprawilo, że jeszcze silniej czuł trawiającą go gorączkę.

Syreny się zbliżały. Jeśli to jego ścigali, zaraz powinny zamilknąć. Nigdy nie dojeżdżali do samego celu na sygnale, przecież nie chcieli przestraszyć ściganego. Rozejrzał się, na drugim końcu parkingu odkrył wjazd na niewielką ścieżkę dla rowerów. Silne szczęknięcie w słuchawce zmusiło go do odsunięcia telefonu od ucha. Syreny się zbliżały.

Atif odetchnął głęboko, przekręcił kluczyk w stacyjce. Głosy w słuchawce stały się nagle wyraźniejsze, jakby ktoś wyciągał telefon z kieszeni. Przycisnął telefon do ucha. Zdawało mu się, że słyszy zatraskanie drzwiczek samochodu.

– ...ergsgatan czterdzieści osiem – wyłapał. Później inny głos, który powtórzył adres. Pewnie kierowca taksówki. W telefonie znów coś szurnęło i rozmowa została przerwana. W tej samej chwili ucichły syreny.

Zastartował silnik, wrzucił bieg i przycisnął gaz. Szlaban zamykał połowę szerokości ścieżki rowerowej. Słupki z dużą pętlą, razem tworzyły literę P. Widział wcześniej tego rodzaju słupki, wydawało mu się, że są tak zbudowane, by się otworzyć, kiedy przejeżdża straż pożarna. Ścisnął kierownicę, miał nadzieję, że ma rację.

Samochód uderzył w szlaban lewą stroną, krótkie szarpnięcie kierownicy i był już

po drugiej stronie. Ścieżka rowerowa prowadziła w głąb dzielnicy willowej i mijala rząd starannie przyciętych żywopłotów, zanim docierała do parku. Za drzewami dostrzegł jedną z ulic przelotowych.

Zmienił bieg na niższy, skręcił kierownicę i ruszył prosto przez pokryte śniegiem trawniki. Zużyte opony walczyły ze śniegiem, samochód wpadał bokiem w poślizg. Czuł, jak prędkość maleje, wrzucił wyższy bieg i spróbował tak. Jeśli tu utkwi, to koniec, nie był w stanie biec. Ale samochód przegryzał się do przodu, metr za metrem. Spojrzał w lusterko wsteczne. Zdawało mu się, że dostrzega niebieskie światło odbijające się między domami.

Ulica się zbliżała, ale teraz jechał pod górę. Samochód zwolnił jeszcze bardziej, buksujące koła wprawiały w drżenie wskazówkę prędkości. Zostało dziesięć metrów.

Pięć.

Samochód był bliski zatrzymania się, bardziej skakał, niż się toczył. Przebił się przez wał śniegu i wjechał na ścieżkę rowerową, gdzie miał lepszą przyczepność. Atif skręcił kierownicę, wrzucił niższy bieg, wcisnął gaz i przez chwilę jechał ścieżką, aż znów odzyskał zadowalającą prędkość. Następnie skręcił kierownicę w lewo i przebił się wprost przez śnieżny wał. Przejechał kolejne dziesięć metrów pokrytego śniegiem trawnika, zanim przedostał się przez krzaki, skosił niskie ogrodzenie z siatki i wyjechał prosto na ulicę.

Kilka samochodów zatrąbiło, ale je zignorował. Pozwolił, aby samochód wśliznął się za ciężarówkę, lekko rozluźnił nogę na gazie i jechał w rytmie ruchu na drodze.

Po kilkuset metrach trafił na dwa pomalowane samochody policyjne z włączonym niebieskim światłem. Żaden z kierowców nawet nie zwolnił, kiedy go mijali.

## Trzydzieści cztery

Wtoczyli się samochodem na prom jako ostatni. Skierowano ich w odpowiednie miejsce. Ledwo Natalie zdążyła wyłączyć silnik, kiedy za nimi podniosła się rampa. Płaski, otwarty pokład nie był nawet do połowy pełny, około piętnastu samochodów ustawionych w trzy rzędy.

– Skoczę tylko na szybkiego dymka. – Natalie otworzyła drzwi i wpuściła zimny podmuch morskiego powietrza. Następnie poszła w kierunku małej przybudówki biegnącej wzdłuż jednego boku promu, gdzie znajdowała się poczekalnia i niewielka kabina dla palaczy. Sarac został w samochodzie i próbował zebrać myśli.

Wyglądało na to, że nazwisko Erica Sabatiniego otworzyło nowy kierunek poszukiwań w jego pamięci. W dalszym ciągu miał przed oczami tego mężczyznę – niski, szczupły koleś, który lubił gadać. Żaden zawodnik wagi ciężkiej, pewnie jakiś drobny handlarz, ale nawet tacy mogli się przydać. Próbował sobie przypomnieć, jakiego rodzaju informacje dostarczał Sabatini, kogo on i pozostali mężczyźni sypali. Ale tu znowu nastąpiło gwałtowne hamowanie. Dlaczego wpisał tych mężczyzn na jedną listę? I jak do tego wszystkiego pasuje tajemniczy Erik I. Johansson?

Sarac potarł skronie. Odpowiedzi są gdzieś tutaj i rozmowa z Erikiem Sabatinim mogłaby rozjaśnić to i owo. Wcześniej po omacku szukał informacji, teraz nagle siedział z masą kawałków puzzli, ale nie znał mechanizmu ich dopasowania.

Kawałek, który najbardziej go niepokoił, to Brian Hansen. Pamiętał jego śmierć w najdrobniejszych szczegółach, nawet zapach w samochodzie na sekundę przed strzałem. Zanim nie ustalą miejsca tego kawałka układanki, nie może podzielić się swoimi postęпами z nikim, nawet z Molnarem.

Miał nadzieję, że Hansen nie miał związku z tym uczuciem, z którym obudził się w szpitalu. Uczuciem, które stawało się coraz silniejsze. Że zrobił coś niewybaczalnego...

Sarac poczuł się nagle zamknięty w tym golfie, brakowało mu powietrza. Chciał otworzyć boczne okno, ale tam, gdzie powinna się znajdować korbka, był tylko czarny trzpień. Zamiast tego otworzył drzwiczki samochodu, oparł łaskę o pokład i zrobił kilka ostrożnych kroków po pomalowanym na zielono pokładzie.

Zbliżały się światła Vaxholmu. Przeciskał się między samochodami, próbując się przedostać na drugą stronę, gdzie nie było wiatru. Kiedy mijał róg dwupiętrowej żółtej przybudówki, prawie zderzył się z Natalie. W jednej ręce trzymała papierosa, a w drugiej komórkę. Kiedy go zobaczyła, jakby leciutko drgnęła. Prawie niedostrzegalny wyraz twarzy. Przez krótką, ulotną chwilę mógłby przysiąc, że tym, co zobaczył w jej oczach, był strach.

Każde śledztwo jest wypadkową metodycznej pracy, intuicji i odrobiny szczęścia, pomyślał Atif. W jego własnym przypadku coś tak prostego, jak dźwięk telefonu dochodzący z kieszeni. Wydawało się, że Rico, kimkolwiek był, zajmował się tym samym, co Pitbull. Z jakiegoś powodu zdecydował się na jakiś czas zniknąć z miasta. Może był zamieszany w śmierć Adnana albo jego ucieczka była związana z czymś zupełnie innym. Niezależnie od tego, o co chodziło, był łącznikiem, który prowadził zarówno do Erika J., jak i do jego tajemniczego kumpla.

Dom, w którym mieszkał Rico, był duży. Trzy klatki schodowe, sześć pięter plus parter, gdzie znajdowało się kilka sklepów i biur. Przez krótką sekundę Atif pomyślał, że szuka igły w stogu siana, ale wtedy zauważył, że jedną z firm był klub fitness. To raczej nie mógł być zbieg okoliczności. Zaparkował samochód tak, żeby widzieć budynek, i czekał. Właściwie nie bardzo wiedział na co. Nie miał najmniejszego pojęcia, jak Rico wygląda, a bez nazwiska bieganie po klatkach schodowych było bezsensowne. Wszystko, co mógł zrobić, to obserwować i mieć nadzieję, że wyprawa, która go tu przywiodła, nie okaże się rozczarowaniem.

Wygrzebał listek z panadolem, wycisnął dwie tabletki i połknął bez popijania. Już czuł się trochę lepiej, prawdopodobnie z powodu zastrzyku, który dał mu lekarz. Ból w ramieniu i w piersiach był pod kontrolą, ale i tak przechylił oparcie trochę do tyłu, żeby odciążyć górną połowę ciała.

Po około piętnastu minutach przed budynkiem zatrzymała się taksówka i wysiedli z niej mężczyzna z kobietą. Ta ostatnia wydawała mu się znajoma, później zdał sobie sprawę, że przypominała Cassandrę. Usta jak dziób kaczkę, pofarbowane na blond włosy, ponadwymiarowe silikonowe piersi, które można było dostrzec nawet pod futrem. Powinien był do nich zadzwonić, sprawdzić, czy wszystko tam na północy



w Dalarnie jest w porządku. Obiecał sobie, że to zrobi, kiedy tylko znajdzie się z powrotem w pokoju hotelowym.

Para weszła do klubu fitness. Atif poczuł wibrowanie komórki w wewnętrznej kieszeni, musiał trochę pogrzebać, żeby go wyciągnąć.

„Dzwoni Cassandra”.

O wilku mowa... Coś im się stało? Zawahał się, spojrzął na pusty chodnik i wcisnął klawisz „Odbierz”.

– Jest tu! Sabatini mieszka w środkowej klatce – powiedział Sarac.

– Okej, tylko znajdę miejsce do zaparkowania – powiedziała Natalie.

Podróż samochodem zajęła prawie godzinę. Był zatopiony w myślach, a Natalie trzymała dystans. Odezwała się dopiero, kiedy zbliżali się do miasta. Zadała pytanie, którego zupełnie się nie spodziewał: jak często zdarzało się, że opiekun okłamywał swojego informatora? Udzielił jej odpowiedzi z podręcznika: nie wolno kłamać ani składać obietnic, których nie można spełnić. Mimo to czuł, że zrozumiała, co naprawdę było właściwą odpowiedzią. Oczywiście, że się kłamało. Kłamstwo było narzędziem, środkiem do szybkiego osiągnięcia celu. Informatorzy pewnie często o tym wiedzieli, ale mimo to decydowali się na dalszą współpracę. Może dlatego, że sami tak bardzo chcieli, żeby to, co mówił, było prawdą. I tak długo, jak długo nie przejrzeni jego blefu, byli chociaż częścią tej gry. Mieli szansę.

Natalie okrążyła róg, znalazła miejsce na odpady i zaparkowała golfa. Następnie zaczęła się szykować do wyjścia.

– Eee, chyba będzie lepiej, jak tu zaczekasz – powiedział Sarac. – To znaczy mam nadzieję, że się nie obrazisz?

– Nie, nie. – Prawie się wydawało, że Natalie odczuła ulgę. – Oczywiście, że nie. To na razie zostanę tutaj. Zadzwoń, jeśli będziesz potrzebował pomocy. – Wyjęła pomadkę i posmarowała usta.

Sarac wysiadł z samochodu, zapiął kurtkę, wziął do ręki laskę i poszedł w stronę rogu budynku.

W słuchawce usłyszał Tindrę, nie Cassandrę. Musiała się dobrać do telefonu mamy

i znaleźć jego imię. Jej jasny głos bulgotał Atifowi do ucha i trochę poprawił mu humor.

Para z klubu fitness znów wyszła na chodnik. Mężczyzna zapalił kobiecie papierosa, później sobie. W słuchawce Tindra bulgotała o króliczkach.

– Tindra, posłuchaj. *Amu* musi odłożyć słuchawkę. Zadzwoń do ciebie wieczorem, to opowiesz więcej. Dobrze?

Kobieta się zakręciła, pokazała mężczyźnie środkowy palec.

– A ten biały nazywał się Śnieżynka – ciągnęła Tindra.

Dalej, przy drugim końcu fasady, inny mężczyzna wyłonił się zza rogu. Pikowana kurtka i czapka naciągnięta na czoło, w jednej ręce laska. Szedł trochę sztywno, jakby jedna noga nie bardzo chciała go słuchać. Wzrok miał utkwiony w jedną z klatek schodowych. Atif przerwał rozmowę, niechcący ucinając opowieść Tindry w środku zdania. Obiecał sobie, że następnym razem weźmie ją do sklepu zoologicznego i pozwoli jej sobie wybrać własnego króliczka, w ramach rekompensaty.

Otworzył drzwiczki samochodu, postawił jedną nogę na asfalcie, jednocześnie po omacku wkładając telefon do kieszeni. Komórka wyslizgnęła się spomiędzy jego spuchniętych palców i upadła na siedzenie. W tym samym momencie kiedy się wyprostował, kobieta zaczęła krzyczeć.

Kiedy Saracowi zostało dziesięć metrów do klatki schodowej, otworzyły się drzwi i z budynku wyszedł mężczyzna. Od razu go poznał. To był Erico Sabatini. Mężczyzna wbiegł prosto na parę, która stała kawałek dalej na chodniku i paliła papierosy. Nie miał na sobie ani kurtki, ani czapki, tylko białą koszulkę w czerwone plamy wyciągniętą na dzinsy. W tej samej chwili kiedy kobieta zaczęła krzyczeć, Sarac zdał sobie sprawę, że Sabatini nie miał nawet butów.

Atif zauważył kolejnego mężczyznę. Sterczące włosy, bez wierzchniego ubrania i w samych skarpetkach. Coś, co powiedział albo zrobił, sprawiło, że kobieta zaczęła wrzeszczeć. Pokazywała na kolorowy nadruk na koszulce mężczyzny.

Atif przeszedł przez ulicę, zatrzymał się i przepuścił samochód. Zbliżał się też mężczyzna z laską. Kobieta dalej wrzeszczała. Głos odbijał się echem między

budynkami.

Mężczyzna bez kurtki złapał ręce kobiety, ale jej towarzysz szybko ją uwolnił. Popchnął mężczyznę, tak że ten się zachwiał i upadł na kolana. Kobieta podniosła ręce, nadal krzyczała. Atif zobaczył nagle, że jej ręce były pokryte...

Krew, zdążył pomyśleć Sarac, zanim Sabatini runął na chodnik. Myślał, że koszulka mężczyzny była czerwono-biała. W rzeczywistości na początku była biała. Krzyk kobiety odbijał się echem pomiędzy ścianami domów, sprawiając, że przez głowę przelatywały mu błyskawice.

Opadł na kolana, próbował podnieść głowę Sabatiniego. Oczy mężczyzny były wpółotwarte, powieki drżały. Cały przód koszulki był zakrwawiony.

– Zamknij się – usłyszał, jak ktoś warknął, i kobieta natychmiast zamilkła. Razem ze swoim towarzyszem cofnęła się kilka metrów. Stanęli i się gapili, bez najmniejszego zamiaru udzielenia pomocy.

Duży, ostrzyżony na krótko mężczyzna ukląkł obok Sabatiniego i podciągnął jego moką koszulkę. Sarac się wzdrygnął, prawie puścił głowę Sabatiniego. Potem uświadomił sobie, że mężczyzna nie pasował do niczego w jego pamięci. Ciemnoczerwona krew sączyła się z dwóch dziurek w prawym boku Sabatiniego, tuż pod żebrami.

– Wątroba – mruknął ten duży. – Przestańcie, kurwa, filmować i zadzwońcie po karetkę! – To było skierowane do pary. Oboje zaczęli grzebać w swoich komórkach.

– Daj mi twój szalik – zwrócił się mężczyzna do Saraca.

Zwinął szalik w kulę i przycisnął Sabatinemu do brzucha. Prawie od razu materiał zrobił się ciemny i mokry.

– T-ty. – Sabatini otworzył oczy. – Kurrwa! – Chwycił rękę Saraca.

– Karetka jest w drodze – powiedział Sarac. Nagle zauważył, że ma łzy w oczach.

– Wszystko będzie dobrze, Erico. – Ścisnął dłoń mężczyzny.

– Kto cię dźgnął, chłopie? – wymamrotał ten duży.

Sabatini nie odpowiedział, tylko dalej ścisnął dłoń Saraca. Oddychał krótkimi łykami powietrza.

– T-tego nie miało być. O-obiecał... – Z daleka słychać było zbliżające się syreny.

– Kto obiecał, Erico? Kto cię dźgnął? Janus? – Sarac zauważył, jak ten duży nastawił uszu.

Sabatini chwycił Saraca za przód kurtki. – To wszystko jego wina! Wszystko... Erik... – Słowa Sabatiniego przeszły w okropne charczenie. Syreny zbliżały się coraz bardziej. Dźwięk odbijał się od murów budynków. Sabatini puścił kurtkę Saraca. Jego twarz była szara jak popiół, szczęki drgały w spazmie.

– Obie... cał.

Atif zrozumiał, że już po facecie, kiedy tylko zobaczył, gdzie trafił cios. W wątrobie jest pełno krwi; jeśli zrobi się w niej dziurę, śmierć jest tylko kwestią czasu. Krwawienia zawsze wyglądały na poważniejsze, niż były w rzeczywistości, ale mimo to oceniał, że na chodniku, ręczniku i ubraniu był z litr krwi. I na pewno drugie tyle w jamie brzusznej mężczyzny.

Wpatrywał się w mężczyznę, który trzymał zranionego za rękę. Szczupła, kanciasta twarz, spiczasty nos, głęboko osadzone niebieskie oczy. Też nie wyglądał na zupełnie zdrowego. Nazywał zranionego Erico, pytał o Janusa, co oczywiście musiało znaczyć, że na chodniku wykrwawiał się Rico. Rico powiedział coś do tego drugiego mężczyzny, coś, czego Atif nie zrozumiał. Najbardziej ze wszystkiego Atif chciał postawić tego drugiego na nogi, zmusić go, żeby wszedł do jego samochodu, i w ciszy i spokoju przekonać go, żeby opowiedział, co wie o Eriku J. i o Janusie. Ale syreny zbliżały się coraz bardziej. Za jakąś minutę to miejsce zaroi się od glin i ratowników medycznych.

Rzucił krótkie spojrzenie przez ramię, zdał sobie sprawę, że nie zdąży do samochodu. Do cholery z nim, kupa złomu, i tak była mniej lub bardziej spalona po zdarzeniu przy przychodni. Zawsze można było zdobyć nowy.

Wyprostował się, zrobił kilka kroków w bok. Zobaczył, że para na chodniku, mimo jego instrukcji, zaczęła filmować swoimi komórkami. Pierdolone hieny! Przy odrobinie szczęścia mieli tylko jego plecy, jeśli nie, zaraz będzie podejrzany o dwa morderstwa. Niewiele mógł zrobić w tej sprawie. Lekkim truchtem skierował się w stronę najbliższego rogu.

Natalie usłyszała zbliżające się syreny. Pośpiesznie skiepowwała papierosa i wyciągnęła z kieszeni telefon. Żadnych nieodebranych połączeń, żadnych wiadomości. Do chuja!

Rickard tylko wysłuchał informacji. Ledwie podziękował, zanim zakończył rozmowę. To co teraz, do cholery, miała robić? Biec za Sarakiem? Obok śmignął samochód policyjny, potem jeszcze jeden. Syreny nagle zamilkły. Cokolwiek się działo, działo się blisko, tuż za rogiem.

Zrobiła kilka kroków w tamtym kierunku i zatrzymała się. Może mądrzej będzie powstrzymać swoją ciekawość przez kilka minut. Zobaczyć, czy nie pojawi się Sarac.

Przed nią zza rogu wyłonił się wysoki mężczyzna w pikowanej kurtce. Szedł szybko, prawie truchtał w dziwny sposób. Na nogawce jego spodni dostrzegła dużą ciemnoczerwoną plamę. Coś w spojrzeniu i zaciętej twarzy mężczyzny sprawiło, że się za nim obejrzała.

Zmarszczyła czoło. Pomyślała o opisie w związku z morderstwem na Roslagsgatan: duży, ubrany na ciemno mężczyzna. Czy to jego szukał Rickard? Czy to właśnie był Janus? W takim wypadku wygrała los na loterii. Na myśl o reakcji Rickarda przyspieszyło jej tętno. Podniosła komórkę i gwizdnęła po chuligańsku. Kiedy mężczyzna instynktownie się obrócił, zrobiła mu kilka szybkich zdjęć, a potem zaczęła biec w stronę rogu.

Sarac dalej siedział na chodniku. Trzymał rękę Sabatiniego, czuł, jak stopniowo staje się coraz zimniejsza mimo gorączkowej pracy zespołu karetki pogotowia. W końcu musiał ją puścić, kiedy przenosili go na nosze.

Policjanci już odgradzali teren, rozciągnęli swoją długą niebiesko-białą plastikową taśmę w duży prostokąt, który objął prawie całe osiedle. Kilku z nich rozmawiało z kłóćącą się parą, która teraz się obejmowała. Kilku innym udało się otworzyć drzwi na klatkę schodową Sabatiniego i wchodzili z wyciągniętą bronią.

Sarac podniósł się tak wolno, jak się dało, strzepnął ze spodni żwir i plamy śniegu. Cholera jasna! Wierzchem dłoni zasłonił oczy.

Ktoś go złapał za rękę.

– Wszystko widziałeś, prawda? – Policjantka, na pewno nie starsza niż

dwadzieścia pięć lat. Nie znał jej. Zauważył, że przygląda się plamom krwi na jego spodniach i kurtce. – Chcielibyśmy, żebyś pojechał z nami na posterunek.

„Sarac zatrzymany, co mam robić? Natalie”.

Stała przy taśmie, patrzyła, jak sadzano Saraca na tylnym siedzeniu samochodu policyjnego. Odpowiedź nadeszła po niecałej minucie.

„Na razie czekaj! R”.

Aha, i co to, do cholery, znaczyło? Jak długo to było – „na razie”? Jego SMS-y były jeszcze bardziej zdawkowe niż rozmowy telefoniczne. Nienawidziła osób, które nawet nie były w stanie podpisać się swoim imieniem.

To co miała robić? Gdyby Sarac mógł spojrzeć na zdjęcie i potwierdzić, że to był mężczyzna, którego szukał, mogłaby zakończyć swoje zadanie. Zamiast tego zobaczyła, jak odjeżdża w policyjnym samochodzie.

Jazda samochodem trwała kilka minut, najbliższy posterunek znajdował się ledwie kilka przecznic dalej. Podczas gdy czekali, aż otworzy się brama do aresztu, zadzwonił telefon policjantki.

– Tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem, Andrén – powiedziała krótko. Potem przez chwilę słuchała osoby na drugim końcu linii.

– Okej – powiedziała. Brama się otworzyła, ale pokazała koledze, żeby zaczekał.

– Zrozumiałam, jesteśmy w drodze. – Rozmowa dobiegła końca.

– Przeciwny rozkaz – zwróciła się do kolegi. – Mamy go zawieźć prosto do Kronobergu [22](#).

Kierowca wrzucił wsteczny i wyjechał z powrotem na ulicę. Zawrócił i włączył się w ruch samochodów.

– Kto dzwonił? – spytał policjant, kiedy wjechali na ulicę Hornsgatan. – Kryminalni?

– Później ci powiem. – Policjantka rzuciła Saracowi krótkie spojrzenie z ukosa.

Jazda do komendy policji zajęła zaledwie dziesięć minut.

Na rękach i ubraniu Saraca nadal była krew Sabatiniego. Łzy nie chciały przestać lecieć i za każdym razem kiedy pociągał nosem, policjantka rzucała na niego

spojrzenie, które nie bardzo mu się podobało. Jakby myślała, że jest mięczakiem, który płacze nad obcym człowiekiem. Ale to nie był ktoś obcy.

Wjechali do podziemnego garażu i stanęli przy drzwiach do windy prowadzącej do aresztu. Przyjęły ich dwie osoby, mężczyzna i kobieta, oboje w garniturach.

– Tutaj go przejmujemy – powiedziała kobieta.

– Okej – odpowiedziała policjantka. – Wpiszecie go też? – Z kieszeni spodni wyciągnęła notatnik.

– Już mamy wszystkie informacje – przerwała kobieta w kostiumie. – Dziękuję za pomoc, tysiąc dziewięćset czterdzieści siedem.

Wzięła Saraca delikatnie pod ramię i poprowadziła go w kierunku korytarza z windą. Ale zamiast wejść i pojechać windą, która prowadziła prosto do aresztu, szli dalej. Wybrali mniejszą windę w głębi garażu.

– Dokąd idziemy? – powiedział Sarac i usłyszał, jaki ma zmęczony głos.

– Zobaczysz. – Kobieta wcisnęła guzik na najwyższe piętro.

Korytarz, na który wyszli, wydawał się opuszczony. Zapalona tylko połowa lamp na suficie, w kilku miejscach ustawione rolki papieru albo plastiku, całe miejsce pachniało farbą.

Wprowadzili go do jednego z małych pokoi. Dwa krzesła biurowe stojące naprzeciwko siebie, okno zasłonięte żaluzjami. Nic więcej.

– Chcesz coś do picia? – zapytała kobieta.

Sarac kiwnął głową. W jednej chwili dotarło do niego, jak bardzo chciało mu się pić. Kobieta wyszła z pokoju, ale jej kolega pozostał. Sarac słyszał w oddali dźwięk lecącej wody. Następnie kobieta wróciła ze szklanką dla niego.

– D-dziękuję. – Podniósł szklankę, przymknął oczy i pił dużymi łykami. Próbował zmyć z siatkówki oka obraz umierającego Sabatiniego. Kiedy otworzył oczy, pary, która go eskortowała, nie było. Zamiast nich na krześle naprzeciwko siedział mężczyzna. Jasnowłosy, dobrze ubrany mężczyzna o wyglądzie chłopca, którego Sarac od razu rozpoznał.

– Cześć, David – powiedział mężczyzna. – Nazywam się Oscar Wallin, ale to już przecież wiesz. Jesteśmy starymi znajomymi.

## Trzydzieści pięć

– Przykre to z Sabatinim. – Wallin pochylił się w stronę Saraca. – Sam miałem informatorów, którzy zginęli. To się przeżywa, prawda? Pierdolić to, co piszą w zasadach służby i czego uczą na kursie. Te wszystkie bzdury o tym, że nie należy się za bardzo zbliżać i angażować. – Wallin pokręcił głową. – Informatorzy oddają swoje życie w nasze ręce. Przekonujemy ich do współpracy, używamy wszelkich możliwych psychologicznych chwytów, żeby ich złapać na haczyk. A kiedy już ich złapiemy, nie ma, no wiesz...

– Nie ma odwrotu – wymamrotał Sarac.

Wallin powoli skinął głową.

– Wyglądasz paskudnie. Prawie nie można cię poznać. Ostatnio kiedy się widzieliśmy, miałem propozycję, pamiętasz? – Wallin odchylił się na oparcie krzesła.

Sarac wolno pokręcił głową.

– Miałem udar, jeśli to przeoczyłeś. Właściwie nic nie pamiętam.

– Z ostatnich lat, tak, słyszałem. – Wallin się uśmiechnął, chłopięcy uśmiech, który sprawiał, że wyglądał jeszcze młodziej, jeśli to w ogóle było możliwe. –

Pracowałem w Biurze Kryminalnym Komendy Głównej, też się zajmowałem kontaktami z informatorami. Nawet razem przeszliśmy szkolenie, ty i ja. „Model dwunastu kroków w rekrutacji informatorów”, to na pewno pamiętasz – powiedział.

Sarac nie odpowiedział.

– Jeden z moich informatorów opowiedział coś ciekawego – ciągnął Wallin. – Chodziły słuchy, że sztokholmskiej policji udało się umieścić supertajną wtyczkę wśród najwyższej postawionych przestępców. Osobę o pseudonimie Janus. Rzymski bóg o dwóch twarzach. – Wallin rozłożył ręce. – Oczywiście z początku mu nie wierzyłem. Informatorzy są w porządku, ale wtyczki? Celowe umieszczanie swoich ludzi w organizacjach przestępczych to, jak dobrze wiesz, proceder zabroniony w Szwecji. Z powodu komplikacji prawnych, ponieważ wtyczka prędzej czy później musi popełnić przestępstwo, żeby zachować wiarygodność. To oczywiste, że policja nie może zachęcać, a co gorsza, pomagać komuś popełniać przestępstwo. Jak by to wyglądało? – Tym razem Wallin uśmiechnął się szerzej, ale uśmiech nie objął jego



oczu. – Ale mój informator się upierał, opowiadał, że ten Janus narobił sporo szkód. Ponoć to była jego zasługa, że pewien klub motocyklowy został rozbity w kawałki i że Rosjanie stracili prawie dwadzieścia kilo heroiny. A chociaż było wiadomo, że wyznaczono cenę za jego głowę, i szefom udało się nawet dowiedzieć, jaki miał pseudonim, nie mogli go zdemaskować. Więc my w kryminalnym postanowiliśmy przyjrzeć się sprawie bliżej. Odkryliśmy, że za najlepszymi, z największą liczbą interwencji w Sztokholmie, stoi Peter Molnar i jego specjalna grupa operacyjna. Molnar sam był kiedyś opiekunem informatorów. – Wallin pokręcił głową. – Znam Petera. Nie miałyby żadnego problemu ze złamaniem kilku przepisów, poza tym jest szczwany. Ale prowadzenie tak zaawansowanej operacji to nie bardzo w jego stylu. Ten, którego szukaliśmy, musiał być sprytny, utalentowany, dobrze zmotywowany i poza tym musiał naprawdę lubić ryzyko. Krótko mówiąc, niekoniecznie przeciętny policjant. Jeśli spojrzeć na tych, którzy w tym czasie pracowali w Sztokholmie z informatorami, był tylko jeden oczywisty kandydat. – Rozłożył ręce. – Prymus na szkoleniu, David Sarac. Jedna z niewielu osób, która nawet mi dała po łapach.

Sarac nie odpowiedział, wszystko brzmiało bardzo znajomo. Jak stara historia, którą się wyparło, ale która wraca w momencie, kiedy ktoś ją opowiada.

– Tak więc odbyliśmy nieformalne spotkanie, ty i ja – ciągnął Wallin. – Opowiedziałem, co wiedziałem o Janusie. Że był wtyczką i że złamałeś mnóstwo przepisów. Między innymi popełniłeś przewinienie służbowe.

– Ale nie miałeś zamiaru mnie zdemaskować – przerwał Sarac. – Nie, jeśli podzielę się z tobą Janusem. Dam ci możliwość bryłowania na górze, w Biurze Kryminalnym, zbudowania reputacji.

Wallin siedział cicho, uderzał o siebie opuszkami palców i z uwagą studiował twarz Saraca. Ten podniósł brodę, próbował opanować rozbiegany wzrok.

Wallin był dupkiem, i to wyższego stopnia. Ale poza tym był cwany. Sarac zastanawiał się, dokąd zmierza ta rozmowa.

– Pamięć to przedziwna rzecz, prawda, David? – powiedział w zadumie Wallin. –

Nie pamiętałeś, naszego spotkania, prawda? Aż do teraz, kiedy ci o nim opowiedziałem. Kiedy otrzymałeś wystarczającą ilość szczegółów, żeby znaleźć drogę we mgle.

Sarac nic nie powiedział, walczył, żeby wyglądać możliwie neutralnie. Ale wydawało się, że Wallin czytał w nim jak w otwartej księdze.

– Naprawdę straciłeś pamięć – powiedział. – Właściwie nie byłem całkiem pewien, podejrzewałem, że to jakaś zasłona dymna. Sposób, żeby cię wyciągnąć z tego kłopotliwego układu, w którym wylądowałeś.

– To znaczy z tego, że próbowałeś mnie zaszantażować. – Ostrość we własnym głosie zaskoczyła nawet jego. Zauważył, że Wallin lekko poruszył się na krześle. –

Chciałeś w tym uczestniczyć i podzielić się Janusem – ciągnął dalej Sarac. – Lub jeśli chodzi o ścisłość, dzielić się informacjami, ale to mnie pozwolić wystawiać się na ryzyko. Gdybym na to nie poszedł, zdemaskowałbyś całą operację. I dopilnował, żeby mnie wylali.

Usta Wallina zamieniły się w kreskę.

– A teraz miałeś zamiar powtórzyć ofertę, prawda? Dlatego tu jestem. Ponieważ chcesz wiedzieć, kim jest Janus i jak się z nim skontaktować? Jaki mam na niego sposób?

Sarac poprawił się w krześle.

– Posłuchaj uważnie, Wallin. W zasadzie niczego o Janusie nie pamiętam, najmniejszego gównianego drobiazgu. A nawet gdybym pamiętał, nigdy bym ci go nie przekazał. Przed chwilą sam to powiedziałeś. Informatorzy oddają swoje życie w nasze ręce. Ufają, że zrobimy to, co jest właściwe.

Wallin patrzył uważnie na Saraca.

– To znaczy, że jeszcze do ciebie nie dotarło – powiedział po chwili.

– Niby co? – powiedział Sarac.

– Że jeśli mogę dojść do tego, kto steruje Janusem, to inni też mogą to zrobić. Wszystko, czego trzeba, żeby dotrzeć do źródła problemu, to odrobina inteligencji. Wystarczy zapłacić niewielką sumkę jakiemuś usłużnemu policjantowi, żeby dostać nazwisko najlepszego opiekuna informatorów w Sztokholmie, i *voilà!*

Sarac mimowolnie przełknął ślinę.

– Mieliśmy oczy i uszy otwarte, David – ciągnął Wallin. – I kilka tygodni temu dostaliśmy potwierdzenie. Właściwie kilka dni przed twoim wypadkiem.

– Co niby? – powtórzył Sarac. Ale tym razem już odgadnął odpowiedź.

– Ktoś cię szuka. Ktoś, kto rozumiał to samo, co ja. Że jedyną drogą do Janusa jesteś ty.

W pokoiku nagle zrobiło się duszno. Pewnie klimatyzacja była wyłączona, żeby w pozostałych częściach budynku nie rozprowadzać kurzu z budowy ani zapachów. Sarac zdjął kurtkę, której przód pokrywała krew Sabatiniego.

– Jak pewnie słyszałeś, zmieniłem pracę – powiedział Wallin. – Na papierze prowadzę badania dla Ministerstwa Sprawiedliwości. Oceniam zyski z połączenia pracy różnych władz. Ale w praktyce jestem podporządkowany bezpośrednio ministrowi sprawiedliwości Stenbergowi. Jesper dał mi za zadanie zidentyfikowanie najlepszych policjantów w kraju. Tych, w których warto inwestować w przyszłości. –

Zrobił przerwę, pozwolił, żeby słowa dotarły. – Łatwo można by dodać twoje nazwisko do tej listy, David. Mógłbyś być odpowiedzialny za informatorów w całym kraju. Skończyć z ciągnięciem się ze starymi, zmęczonymi relikami, jak Bergh, albo dupolizami, jak Kollander. Ale nie jesteś typem, którego się kupuje, tyle już zrozumiałem. Dlatego nie będę machał taką przynętą. Niemniej fakt pozostaje faktem. – Jego twarz wykrzywił trudny do odczytania grymas. – Tak długo, jak ty jesteś jedynym łącznikiem z Janusem, grozi ci niebezpieczeństwo. Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej już cię wywalił, w zasadzie nie masz wsparcia. Jeśli jednak zaczniesz pracować dla mnie... – Wallin otworzył ramiona.

– To dopilnujesz, żebym miał ochronę – wymamrotał Sarac.

Nagle na zewnątrz zrobiło się głośno. Ktoś krótko zapukał do drzwi i pojawiła się w nich głowa kobiety, która przyniosła mu wodę.

– Bergh tu jest – powiedziała krótko. – I Molnar. Żądają spotkania z Sarakiem.

Wallin spojrzał na Saraca.

– Poproś ich.

Ale zanim kobieta zdążyła się odwrócić, drzwi otworzyły się na oścież i do pokoju wcisnął się Peter Molnar. Za nim wszedł Bergh.

– Peter, jak miło. – Wallin się uśmiechnął. – I szef Wydziału Wywiadu Kryminalnego też, słowo daję. Nawet się zastanawiałem, kiedy się pojawicie.

Molnar wydawał się nieco zaskoczony reakcją Wallina, ale szybko doszedł do

siebie.

– Co ty, do cholery, robisz, Oscar? – warknął.

– Sarac i ja tak sobie tylko gawędzimy, jak starzy przyjaciele. Prawda, David? – Wallin kiwnął w stronę Saraca.

– Chodź, David – powiedział Bergh. – Nie musisz tu siedzieć, podwieziemy cię do domu, żebyś mógł się umyć i przebrać. Rozmawiałem z dyżurką w kryminalnym i mogą wysłuchać twojego zeznania przez telefon. – Gestem zachęcił Saraca, żeby wstał.

– Zostań – powiedział Wallin. – Nie zdążyliśmy zakończyć naszej rozmowy, zanim panowie się tu zwalili.

– Niezależnie od tego, jaki masz stopień, nie jesteś jego szefem – powiedział Molnar. – Z tego co wiem, masz dokładnie zerowe możliwości wydawania jakichkolwiek rozkazów.

Wallin spotkał wzrok Molnara. Rozłożył ręce.

– Typowe dla ciebie, Peter. Każdą sytuację obracasz w konkurs na długość kutasów. – Wallin pokręcił głową. – Prawda jest taka, David, że zarówno Bergh, jak i Peter chcą dotrzeć do Janusa równie mocno, jak ja. Nawet bardziej. Rozumiesz. – Pochylił się w kierunku Saraca. – Jeśli się okaże, że któryś z nich wiedział, że Janus jest nielegalną wtyczką, to znajdziecie się w trudnej sytuacji. Bergh jest twoim szefem i pewnie też twoim kontrolerem. Nie powinien być pozwolić na operację tego typu.

Wallin wykonał gest w kierunku Bergha i Sarac zobaczył, jak ten ucieka wzrokiem.

– A jeśli chodzi o Petera i jego grupkę operacyjną, cóż, na pewno wiesz, że komendant wojewódzka policji jest bardzo czuła na tworzenie podgrup, które nie działają zgodnie z przepisami, szczególnie męskich podgrup.

Oczy Molnara lekko się zwęziły, ale nic nie powiedział.

– Tak długo, jak widzi wyniki, niczym się nie przejmuje – ciągnął Wallin. – Wtedy bardziej niż chętnie organizuje konferencje prasowe i prezentuje ich sukcesy, zgarniając część laurów. Ale jeśli pojawi się najmniejsza niejasność, coś, co może popsuć jej szyki w planach zostania naszym następnym komendantem głównym, wtedy... – Wallin znów się uśmiechnął, tym samym zimnym bezosobowym uśmiechem co wcześniej. – Tak więc – wskazał głową Bergha i Molnara – ci panowie

za wszelką cenę chcą dopilnować, żeby nie było żadnych luźnych wątków. Żadnych niepotrzebnych ryzykownych elementów. – Wallin przerwał i popatrzył prosto na Saraca. – Takich jak ty, David.

## Trzydzieści sześć

– Wallin to obślizgły gnój – wymamrotał Bergh, wolno manewrując samochodem w ruchu ulicznym. – Karierowicz, na pewno mierzy w stanowisko głównego komendanta policji. Badanie dla Ministerstwa Sprawiedliwości jest dla niego idealną platformą. Daje możliwość pilnowania konkurentów.

– Masz na myśli komendant wojewódzką policji? – powiedział Sarac.

Bergh przytaknął.

– Wiele osób chętnie by widziało kobietę na najwyższym stanowisku w policji. Eva Swensk jest silnym kandydatem i coraz mocniej ściska największy okręg policyjny w kraju. Przestrzeń na popełnienie błędu się kurczy, tak to można dyplomatycznie określić.

Przez moment Sarac nic nie mówił. Słowa Wallina nadal odbijały się w jego głowie. Złamał przepisy, to już wiedział. To, że Janus nie był zwykłym informatorem, ale wtyczką, wiedział właściwie przez cały czas. I to on nim kierował, przekazywał mu informacje, zlecał zadania. A Janus popełniał przestępstwa za jego, czyli pośrednio policji, zgodą.

Ale to uczucie wstydu, z którego Sarac nie mógł się otrząsnąć, nie miało związku z popełnieniem przewinienia służbowego. Dobrze prowadzona wtyczka była doskonałym narzędziem. Chodziło raczej o to, jak dobrze obchodził się z Janusem? Lub z sobą samym, jeśli już o tym mowa. Nadal nie potrafił wyjaśnić, dlaczego jego mieszkanie wyglądało jak melina, i nie miał najmniejszej ochoty tam wracać. Zdawało się, że Bergh czyta w jego myślach.

– Mieszkanie jest wysprzątane – powiedział. – To musiała być ta twoja opiekunka. Chyba masz też trochę nowych mebli i nowy zamek, ale Peter wie więcej na ten temat.

Sarac skinął głową, od razu sobie przypomniał, że Natalie wspominała o sprzątaniu. Zastanawiał się, gdzie się podziała. Czy dalej siedziała w samochodzie i czekała na ulicy Högbergsgatan?

– Słuchaj, David. – Bergh obrócił się lekko w kierunku Saraca i zarówno wspomnienie, jak i ton głosu sprawiły, że od razu zrozumiał.

– Kumam. Oczywiście, powinienem był zadzwonić do ciebie albo do Petera, a nie jechać do Sabatiniego.

Bergh pokręcił głową.

– Właściwie nie to miałem na myśli, nawet jeśli masz rację. Nie, chciałem cię po prostu przeprosić.

Sarac drgnął, próbował wykoncypować, jak ta rozmowa się potoczy. W ogóle mu się to nie udało.

– Nie powinienem był na ciebie naciskać w szpitalu – ciągnął Bergh. – Nie mówiąc już o całej sprawie z udawanym przeniesieniem cię do sekcji materiałowej. – Pokręcił głową. – Wallin jest dobrze poinformowany. Jestem nie tylko twoim szefem, ale też twoim kontrolerem, powinienem cię pilnować. Ale ja dałem się namówić, żeby się nie przejmować przepisami. Janus żądał, żeby tylko jeden policjant znał jego tożsamość, w przeciwnym wypadku odmawiał współpracy. Tak więc w formularzu wpisałem swoje nazwisko, ale w rzeczywistości byłeś całkiem sam. Kollander dał na wszystko swoje nieoficjalne błogosławieństwo. Oślepiły nas możliwości, nie zdawaliśmy sobie sprawy, na jakie ryzyko cię narażamy. – Bergh pokręcił swoją łysą głową. – Po twoim wypadku spanikowałem. Czterdzieści lat na służbie, kredyt na dom i letni domek, opłaty semestralne Jonasa i tak dalej. Obiecałem sobie, że nie skończę jak Hrabia. Wykupiony i zniesławiony.

Na dźwięk tego przezwiska Sarac lekko zadrżał. Pojawiło się wspomnienie, ale zniknęło, zanim zdążył je porządnie złapać. Eugene von Katzow, tak się nazywał poprzednik Bergha, ale najczęściej mówiono na niego „Hrabia”. Skończył na długo przed tym, zanim Sarac zaczął pracę w wydziale, po wielkim dochodzeniu wewnętrznym i mnóstwie pisaniny. Ale było tam coś jeszcze, coś, co go bezpośrednio dotyczyło. Kolejny kawałek układanki w jego rosnącym zbiorze.

Bergh skręcił w miejsce do parkowania jakieś sto metrów od domu Saraca. Następnie się obrócił.

– No ale pogadałem z żoną. Zdałem sobie sprawę z tego, że to właściwie nic takiego. Szczerze mówiąc, mam dość tego gówna. Dość pieprzenia się z nosicielami teczek typu Kollander, którzy nic nie rozumieją z policyjnej roboty i stają okoniem za każdym razem, kiedy musimy zapłacić informatorowi więcej niż nasze zenująco

niskie standardowe stawki. Którzy mają gdzieś zyski dla społeczeństwa albo jakich łobuzów możemy zgarnąć i których obchodzi tylko jedno: żeby budżet się zgadzał. Nie wspominając o takich jak Wallin, których najbardziej interesuje kariera. – Bergh pokręcił głową. – Jak już wiesz, twoja lista zapasowa informatorów zniknęła z sejfu. Wewnętrzne dochodzenie w sekcji jest w toku, prowadzone przez naszego starego przyjaciela, komisarza Dreyera. Z problemem Janusa mogłem sobie poradzić, ale poważne naruszenie bezpieczeństwa w mojej własnej sekcji to inna sprawa. – Bergh zrobił gest oznaczający rezygnację.

Sarac zmarszczył czoło. Nazwisko Dreyera też brzmiało znajomo. Wcześniej wymienił je Molnar, ale wtedy nie zareagował. Teraz to nazwisko napełniło go nowym uczuciem niesmaku.

– Kierownictwo musi wykazać energię do działania – powiedział Bergh. – Kollander już badał teren, pełna pensja aż do emerytury, jeśli będę współpracować. Trzymać się scenariusza i dopilnować, żeby żaden cień nie dotknął jego ani komendant wojewódzkiej. Mój adwokat mówi, że to dobra oferta, i koniec końców to przecież pieniądze rządzą, prawda, David? – Bergh wzruszył ramionami, pochylił się bliżej w kierunku Saraca. – Jesteś dobrym policjantem, David. Cholernie dobrym policjantem. Ale kilka razy widziałem, jak opiekun za bardzo zbliżył się do swojego informatora. Prawie zapomniał, kim naprawdę jest, komu jest winien lojalność. Właściwie to nie takie dziwne. Ta praca polega na udawaniu, na wejściu w rolę i sprawieniu, żeby kłamstwo i prawda brzmiały dokładnie tak samo. Ale jeśli za długo się tym zajmujesz, to już nikt nie wie, co właściwie jest prawdą – nawet ty sam. Trzeba skalibrować swój moralny kompas, prawidłowo ustawić wszystkie sprawy, jeśli rozumiesz, co mam na myśli. Posprzątać w swoim własnym domu.

Saracowi zaschło w ustach i kilkakrotnie przełknął ślinę.

– Obecnie prowadzący dochodzenie są skupieni na mnie – ciągnął Bergh. – Ale to tylko kwestia czasu, kiedy Dreyer zapuka do twoich drzwi, i wtedy musisz być przygotowany. – Przechylił się na tylne siedzenie i sięgnął po starą niebieską torbę. – Sprzątam swoje stare klamoty. Pozbywam się tego, czego już nie potrzebuję. Może powinieneś zrobić to samo. – Podał torbę Saracowi. – Jest tu kilka rzeczy, których może będziesz potrzebować. Ale otwórz torbę dopiero, kiedy nikt ci nie będzie



przeszkadzał, okej? – Przechylił się nad Saracem i otworzył drzwi od strony pasażera.  
– I jeszcze raz, naprawdę mi przykro, David.

## Trzydzieści siedem

W mieszkaniu czuć było silny zapach płynu do zmywania. Wszystkie żaluzje były podniesione, a zniszczona sofa wymieniona na nową.

– Załatwiliśmy to z chłopakami – powiedział Molnar. – Przejechaliśmy się do Ikei. Dla bezpieczeństwa wymieniliśmy też zamek i założyliśmy porządny łańcuch, żebyś mógł tu zostać kilka nocy, jeśli nie masz siły jechać z powrotem na wyspę. Wygląda na to, że prowadzący dochodzenie przedłużyli sobie weekend, przez kilka dni było spokojnie. Co tam masz? – Wskazał na torbę, którą Sarac trzymał w ręce.

– Od Bergha – wymamrotał Sarac. – Kilka rzeczy osobistych, które zebrał w sekcji materiałowej. – Kłamstwo przyszło nieoczekiwanie łatwo.

Poszedł do łazienki, wcisnął torbę do szafki pod umywalką. Przez moment kusilo go, żeby ją otworzyć, ale usłyszał kroki Molnara pod drzwiami. Zamiast tego ściągnął zakrwawioną kurtkę i wrzucił ją do wanny. Usiadł na sedesie i zaczął niezdarnie ściągać spodnie. Uświadomił sobie, że zostawił laskę albo na Högbergsgatan, albo w samochodzie policyjnym. Do cholery z nią, całkiem nieźle radził sobie bez niej.

– Posłuchaj, David – powiedział Molnar z drugiej strony drzwi do łazienki. – To, co powiedział Wallin – jego głos wydawał się zmęczony – cała ta sprawa z Janusem znajduje się w szarej strefie, wszyscy byliśmy tego świadomi. – Zapadła cisza.

– Ale możliwości przeważały nad ryzykiem – powiedział Sarac.

Przez drzwi słychać było westchnienie Molnara.

– Janus był czymś wyjątkowym, szansą na zmianę planu gry. Mieliśmy wspaniałe wyniki, w sumie prawie trzydzieści kilogramów narkotyków. Tabletki dopingowe za miliony, kradzione luksusowe samochody, broń – stwierdził Molnar.

– Ale jeśli coś poszłoby nie tak, szkody ograniczyłyby się do mnie. Do pojedynczego policjanta, który przekroczył swoje uprawnienia. – Sarac czuł rosnącą złość.

– To naprawdę nie był mój pomysł, David.

– A czyj w takim razie? – Otworzył drzwi do łazienki i napotkał smutny wzrok Molnara. Nagle pojął. – Mój – wymamrotał. – To wszystko był mój pomysł? – Przełknął ślinę, nagle poczuł, że mu słabo. Właśnie to Bergh miał na myśli. Że

powinien był go chronić przed nim samym. – Tak naprawdę, Peter, chcesz wiedzieć, czy nadal mam zamiar dotrzymać słowa? Czy wezmę na siebie całą winę, kiedy wszystko pójdzie w diabły?

– David, do cholery! – Molnar wyglądał na udręczonego, zdawał się szukać właściwego słowa.

– Bergh się waha – powiedział Sarac. – Szefowa komendy wojewódzkiej macha umową. Pełna pensja do emerytury, jeśli weźmie na siebie gromy za włamanie do sejfu, a pozostałych szefów utrzyma poza sprawą. Przypuszczalnie umowa obejmuje też wydanie Janusa, zdemaskowanie go jako nielegalnej wtyczki i wszystko, co się z tym wiąże.

Molnar zrobił grymas zwątpienia.

– Kjell Bergh nigdy by na coś takiego nie poszedł. Nie wystawiłby jednego ze swoich chłopców.

– Nie?

Sarac nagle zdał sobie sprawę, że stoi na środku przedpokoju ubrany tylko w majtki, skarpetki i podkoszulek. Poszedł do sypialni. Tu też było posprzątane. Na łóżku leżał nowy materac, a w szufladach znalazł ubrania, wyprane i schludnie posortowane. To musiała być Natalie. Przez chwilę złapał się na tym, że pragnął, aby tu była. Ostatnio była jedyną osobą, której miał odwagę zaufać.

Słyszał, jak Molnar stuka drzwiami do łazienki. Znalazł i założył spodnie od dresów. Potem pokuśtykał z powrotem do pokoju. Prawa noga funkcjonowała coraz lepiej. Sofa była pusta, słyszał, jak Molnar spuszcza wodę w łazience. Usiadł. Sofa była twarda, ale na pewno z czasem trochę zmięknie.

– Wallin powiedział, że ktoś na mnie poluje – powiedział wystarczająco głośno, żeby było go słychać. – Że ktoś doszedł do tego, że Janus pracuje dla mnie, ktoś, kto może nawet próbował mnie zabić w tunelu na obwodnicy Söderleden.

Drzwi do łazienki się otworzyły i Molnar wyszedł.

– I mu uwierzyłeś? – powiedział. – Zgaduję, że Oscar zaoferował ci też ochronę, co? Ja bym tak zrobił, gdybym był w jego skórze. Najpierw zarysowałbym obraz zagrożenia, a potem zaoferował bezpieczeństwo. Klasyczny sposób, żeby kogoś zwerbować.

– Więc myślisz, że on kłamie?

– Tego nie powiedziałem.

Nagle Sarac złapał się za czoło, przymknął oczy i przechylił się na oparcie. Sabatini był z powrotem w jego głowie. Krew, jego dyszący szept. „Tego nie miało być. Obiecał...”

– Sabatini, znałeś go, prawda? – powiedział.

Molnar skinął głową.

– To ja go zwerbowałem. Przejąłeś go po mnie, kiedy zmieniłem wydział. Drobny handlarz, przykro, że tak skończył. Nie opowiedziałeś, co się stało i dlaczego znalazłeś się na Höbergsgatan.

– Chciałem go o coś zapytać. Ale za późno się zjawiłem – powiedział Sarac.

Molnar usiadł na sofie.

– Powiedział, kto to zrobił? Kto go dziabnął?

Sarac wziął głęboki oddech. W głowie odbijało się echem zdanie: „To wszystko jego wina...”.

– Mamrotał mnóstwo rzeczy, tylko połowę z tego, co mówił, dało się usłyszeć. – Próbował zachować pewność w głosie. Dlaczego kłamał? Dlaczego zataił to, co powiedział Sabatini?

– Brian Hansen, Selim Markovic i Pasi Lehtonen – ciągnął. Zauważył, jak Molnar drgnął. – Wszyscy pracowali dla mnie, prawda?

Molnar kiwnął głową.

– Więc wiesz?

– Że nie żyją, zamordowani dokładnie tak jak Sabatini? Tak, doszedłem do tego, zupełnie samodzielnie. Nikt mi o tym nie powiedział.

– Notatnik. – Oczy Molnara się zwęziły. – Czułem, że dlatego zjawiłeś się u Sabatiniego. Złamałeś szyfr i dotarłeś do nazwiska, a mimo to do mnie nie zadzwoniłeś. – Jego głos był zimny, zupełnie nie taki przyjazny jak przed chwilą. – Nie ufasz mi, David?

Sarac wzruszył ramionami.

– A ty mi ufasz, Peter? Dlaczego nie powiedziałeś, że ktoś chce się pozbyć moich informatorów? Poza tym są inne rzeczy, które przede mną ukrywasz, prawda?

Molnar spojrział na niego, przeciągnął językiem po przednich zębach, wyglądało, jakby się zastanawiał, co odpowiedzieć.

– Okej, David – powiedział. – Masz całkowitą rację. Są rzeczy, których postanowiłem ci nie mówić. – Powiercił się. Znowu zdawało się, że szuka właściwych słów.

– W szpitalu, po wypadku. Twoje próbki krwi.

– Mów dalej.

– Miałeś wynik pozytywny zarówno na zawartość THC, jak i metamfetaminy.

Saracowi skurczył się żołądek. Pomyślał o lepkiej fajce do palenia metamfetaminy, która była w mieszkaniu. Zapach, wrażenie meliny.

– Co gorsza, aż tak bardzo mnie to nie zaskoczyło – ciągnął Molnar. – Już od jakiegoś czasu to czułem. Powinienem powiedzieć, że miałem zamiar o tym z tobą pogadać, ale szczerze mówiąc... – Molnar westchnął. – Dzień i noc pracowałeś z Janusem. Przynosiłeś fantastyczne wyniki, sprawiałeś, że wszyscy wyglądaliśmy cholernie dobrze. Dlaczego więc naprawiać coś, co nie jest zepsute? – Molnar spojrział na podłogę. – Ale powinienem był załapać. Presja związana z prowadzeniem takiego projektu samotnie, bez żadnego wsparcia. Świadomość, że ryzykuje się nie tylko wylanie z roboty, lecz nawet więzienie. To jak balansowanie na wysoko rozpiętej linie bez siatki zabezpieczającej, bez żadnego marginesu na popełnienie błędu. – Molnar wstrzymał oddech, a potem ciągnął dalej: – Czasami się zdarza, że człowiek zbyt blisko się do informatora. Zanadto mu ufa, tego się nie powinno robić. Janus był jedyną osobą w tej samej sytuacji, co ty, jedyną, która rozumiała, przez co przechodzisz. Może zaproponował ci jakieś środki, żebyś mógł sobie z tym poradzić? Amfetaminę na zachowanie ostrości, zioło na zwolnienie? Nieważne, to teraz historia. Załatwiliśmy wyniki próbek tak, że w raporcie niczego nie ma. Po trzech tygodniach w szpitalu byłeś jak po detoksie, więc zdecydowałem, że nic ci nie powiem. Teraz, po wszystkim, widzę, że to było oczywiście idiotyczne, ale rzeczywiście się wstydzę, że cię bardziej nie wspierałem. Że pozwoliłem ci się za bardzo zbliżyć do Janusa.

To wszystko jego wina, pomyślał Sarac.

Molnar popatrzył w podłogę, potem się wyprostował.

– Co właściwie pamiętasz na jego temat? – zapytał. – Powinno ci się już chyba zacząć rozjaśniać?

Sarac pokręcił głową.

– Nadal niewiele. Żeby zwerbować przestępcę tego kalibru, musiałem mieć jakieś dobre wejście. To raczej nie były pieniądze, władze płacą jakieś grosze. No więc coś innego, coś ważnego. Pewnie jakiś rodzaj tajemnicy.

– Też tak myślę – powiedział Molnar. – Mów dalej, pamiętasz jakieś detale z jego wyglądu?

– Prawie nic. Tylko postać ubraną na ciemno z kapturem naciągniętym na głowę. Żadnych kanałów kontaktu, żadnych miejsc spotkań, ale jestem pewien, że bym go poznał, gdybym go zobaczył.

– Rozumiem. – Molnar się zastanawiał. – Jakbyś to wszystko zorganizował, jeśli nie miałbyś żadnych ograniczeń? Wербujesz przestępcę ciężkiego kalibru, kogoś, kogo absolutnie nie wolno zdemaskować. Wiesz już, że łamiesz przepisy, ale że twój szef będzie to tolerować tak długo, jak długo będziesz się tym zajmował w dyskretny sposób. Co jest pierwszą rzeczą, na której musisz się skupić?

Sarac się zastanawiał. Próbował wyzerować mózg. Myślał o pomieszczeniu ze snu, o białej tablicy, zdjęciach, pajęczej sieci. Zastanawiał się, czy nie powiedzieć o tym Molnarowi, ale zmienił zdanie. Nie, zanim nie będzie wiedział więcej.

– Finansowanie – powiedział i zobaczył, że Molnar kiwa głową. – Potrzebuję pieniędzy, żeby zapłacić Janusowi. Podróże, wydatki, pieniądze na jakieś konieczne interesy. Wszystkie wydatki muszą być zatwierdzone przez Bergha i Kollandera, więc ta droga jest zamknięta. Część może potrafię sam zorganizować, rozłożyć na fałszywe rachunki za podróże służbowe albo czerpać z innych źródeł. Ale na dłuższą metę to nie działa.

Sarac umilkł, zastanawiał się.

– Prawdopodobnie potrzebuję sponsora – powiedział. – Kogoś, kto może wyłożyć pieniądze bez zadawania pytań. – Nazwisko pojawiło się w jego głowie, nazwisko, które tego samego wieczora usłyszał od Bergha.

– Pamiętasz kto? – spytał Molnar.

– Von Katzow – odpowiedział, zanim zdążył skończyć myśl. – Eugene von

Katzow.

Molnar spojrział na niego krytycznym wzrokiem.

– Naprawdę jesteś tego pewien? Mieszanie w to Hrabiego znacznie skomplikowałoby sprawę. Jego nazwisko to nadal obelga u niektórych szefów. Wiesz, że prasa i wszyscy inni wieszali na nim psy.

Sarac próbował pomyśleć, próbował zebrać odłamki informacji, które krążyły mu po głowie.

– Oczywiście, mogę się mylić – powiedział po chwili. – Bergh mówił o von Katzowie w samochodzie, może stąd to nazwisko. Jak wiesz, przewody są tu na górze trochę poplątane. – Uderzył się lekko w czoło.

Molnar skinął głową.

– Dobra, na razie to zostawiamy. Powiedzmy, że załatwiłeś finansowanie, jaki byłby kolejny krok? Jak zorganizowałbyś kontakt i spotkania?

Sarac próbował wrócić do swojego toku myśli. Następnie potrząsnął głową.

– Przykro mi, ale mam zupełną pustkę.

– Może samochód? – rzucił Molnar.

– Nie, ten rodzaj informatora tego nie lubi. To musi być miejsce przemawiające do jego ego. Pokazujące, jaki jest dla nas ważny. Dobra restauracja albo klub. Samochody... – Otworzył dłoń.

– Są dla drobnych handlarzy – zaśmiał się drwiąco Molnar, następnie przeciągnął językiem po przednich zębach. – Wspaniale jest usłyszeć, że pamiętasz, czego cię nauczyłem. Na pewno masz całkowitą rację. Spotkanie z kimś takim jak Janus wymaga specjalnego miejsca. Dyskretnego, a jednak pociągającego.

Molnar zamilkł, zdawał się czekać na ciąg dalszy.

– Ile wiesz o Janusie? – zamiast tego spytał Sarac.

Wydawało się, że pytanie trochę Molnara zaskoczyło.

– W zasadzie równie mało co Bergh. To znaczy prawie nic. Że jest dobrze usadowionym informatorem i że prawdopodobnie nie można się z nim bawić. Poza tym, jak powiedziałem, wydedukowałem, że do jego zwerbowania użyłeś jakiejś tajemnicy.

Molnar znów przeciągnął językiem po przednich zębach. Czy to był wyraz

nerwowości, czy tik, który zawsze miał? Sarac czuł się niepewnie.

– David, to wróćmy do finansów. Jak sam powiedziałeś, potrzebne były pieniądze. Musiałeś korzystać z jednego lub kilku tajnych kont? Już na wyspie wpadłem na ten ślad. Czy w twoim notatniku były jakieś informacje o pieniądzach albo wypłatach?

Sarac pokręcił głową.

– Nic, w każdym razie nic, w czym mógłbym się połapać.

– Szkoda – stwierdził Molnar. – Z tego co widzę, pieniądze to jedyny ślad, który prowadzi prosto do Janusa. Rozumiesz. – Przerwał. Znow przeciągnął językiem po zębach. – Istnieje tylko jedna możliwość odzyskania kontroli nad sytuacją.

– Znaleźć Janusa – powiedział Sarac. – Dziękuję, to załapałem.

Molnar wydawał się nie przejmować jego ironicznym tonem.

– Posłuchaj. Kasa pancerna to sprawa Bergha, ona nas nie dotyczy. Jeśli chce to na siebie wziąć, spoko. Ale ponieważ ani Kollander, ani Bergh nie znają żadnych szczegółów o sprawie Janusa, trudno im zwalić coś na ciebie, w każdym razie bez konkretnych dowodów. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Sarac skinął głową.

– Bez Janusa ani żadnej dodatkowej dokumentacji nie mogą nic zrobić, prawda? – ciągnął Molnar. – Nie mogą udowodnić, że ty albo ja złamaliśmy jakieś reguły. Jedyne, co musimy zrobić, to dopilnować, żeby Janusa nigdy nie znaleziono. Musimy zrobić co trzeba, żeby...

Chronić tajemnicę, pomyślał Sarac.



## Trzydzieści osiem

Atif miał gorączkę. Chyba dość wysoką. Jego ciało było ociężałe, w głowie mu łomotało. Tylko jedna jedyna apteka w całym śródmieściu miała nocny dyżur i nie miał odwagi podjąć ryzyka. Zamiast tego wycisnął dwa nowe panadole z listka i popił letnią wodą z kranu, wisząc nad popękana umywalką.

Po tym, co się stało na Högbergsgatan, był w jeszcze gorszej sytuacji niż wcześniej. Wprawdzie dopilnował, żeby te dwa sepy filmujące zdarzenie uchwyciły tylko jego plecy. Ale ruda dziewczyna w bocznej uliczce sprytnie go podeszła. Zagwizdała, sprawiła, że automatycznie się obrócił, i zrobiła zdjęcie zupełnie od przodu. Zwinęła się, zanim w ogóle załapał, co się stało. Sprytnie!

Janus w dalszym ciągu był krok przed nim. Pozbywał się wszystkich luźnych wątków. Już wiedział, jak to się potoczyło na Högbergsgatan. Dzwonek do drzwi i Rico otworzył. To znaczyło, że Janus był kimś, kogo Rico znał albo w każdym razie uważał za na tyle niegroźnego, że go wpuścił. Poczta kwiatowa albo listonosz, ktoś, kto nie stanowił zagrożenia.

Tym razem żadnej broni palnej, żadnych głośnych dźwięków, które wyciągnęłyby sąsiadów. Dwa dobrze wymierzone ciosy prosto w brzuch, na pewno w tym samym momencie, kiedy Rico otworzył drzwi. Długie, cienkie ostrze, sądząc po śladach na kurtce. Doskonały wybór, jeśli celem były miękkie części. W dziewięćdziesięciu procentach przypadków głęboka rana żołądka wywoływała albo silne krwawienie, albo silny szok. Po dwóch ciosach Rico powinien więc runąć i wykrwawić się w korytarzu, podczas gdy Janus spokojnie by stamtąd odszedł. Ale Rico najwyraźniej należał do tych dziesięciu procent ludzi, których ciała reagowały inaczej. U których nadnercza pompują tyle adrenaliny, że mimo poważnych ran są w stanie ustać na nogach, a nawet przemieścić się na dłuższym odcinku.

Wrzucił wszystkie swoje ubrania do plastikowej torby, zawiązał ją i rzucił w stronę drzwi. Potem wszedł do wanny i odkręcił prysznic. Pozwolił, żeby woda spływała po głowie i barkach, starł ostatnie resztki krwi z rąk i przedramion. Po chwili postanowił usiąść w kucki. Teraz ciało naprawdę bolało, szóstka, może nawet siódemka.

Potrzebował jakiegoś dnia odpoczynku, żeby stworzyć nowy plan. Bo mimo wszystko miał coś z Högbergsgatan. Filmik już był w sieci. Wyraźnie było widać, jak Rico umiera w kałuży krwi na chodniku. Jego własnej twarzy na szczęście nie było widać, ale tego drugiego mężczyzny tak. Można było nawet zobaczyć jego łzy.

Przecucie, jakiego doznał tam, na miejscu, nie chciało go opuścić, a filmik z sieci jeszcze go w nim upewnił. Ruchy głowy, czujny wzrok, dodatkowe ledwo zauważalne niuanse w jego języku ciała. Facet na pewno był gliną. Pytał Sabatiniego o Janusa. Zdawało się, że wie, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy tylko penicylina zaczęła działać i jego ciało trochę się pozbiera, poszuka go.

Sarac zamknął drzwi na wszystkie nowe zamki. Był wykończony, po prostu nie miał siły na dalszą rozmowę. Jedyne, czego chciał, to zatopić się w łóżku i zamknąć oczy. Wmówić sobie, że wszystko, co mu się ostatnio przydarzyło, wszystko, czego się przed chwilą dowiedział, było tylko dziwnym snem. Kiedy obudzi się jutro w swoim starym łóżku, życie będzie toczyło się dalej po drugiej stronie przegrody w mózgu. I cały ten koszmar się skończy.

Wiadomość na ścianie sypialni zniknęła, pewnie Janus ją usunął. Zrobił taką dobrą robotę, że gołym okiem trudno było dostrzec najmniejszy ślad farby.

Dlaczego nie powiedział Molnarowi, jak było? Nie powiedział, że Sabatini wymienił zarówno Janusa, jak i Erika Johanssona. Dlaczego nic nie powiedział o pomieszczeniu, które mu się śniło, ani że pamiętał niepokojąco dużo szczegółów związanych ze śmiercią Briana Hansena?

Wyjaśnienie było proste. Gdzieś głęboko nadal próbował chronić Janusa, zachować ich tajemnicę. Mimo że ten, którego chronił, z dużym prawdopodobieństwem był mordercą. Kiedy tylko zamknął oczy, widział przed sobą popielatoszarą twarz Sabatiniego, słyszał jego rżący oddech.

Pięciu mężczyzn na jego liście, liście zwieńczonej symbolem Janusa. Teraz czterech z nich nie żyło. Dlaczego? To pytanie w dalszym ciągu czekało na odpowiedź.

Ale wszystko, co się zdarzyło, jednak sprawiło, że coś w jego mózgu zaczęło się dziać. Pewnie pomogła rozmowa z Molnarem. Odkąd zastał swój pokój do pracy

pusty, czuł, że coś przegapił. Że niewłaściwie zinterpretował informację. I teraz nagle był całkiem pewien. To on sam opróżnił pokój, wydawało mu się nawet, że pamięta, jak przyszedł do biura w środku nocy i wynosił szuflady. Przeniósł wszystko w bezpieczniejsze miejsce, wolne od myszkujących oczu. To znaczyło, że lokal, który mu się śnił, naprawdę istniał. To była jego baza, miejsce, z którego sterował całą operacją „Janus”. Istniało gdzieś w zimowych ciemnościach, może tylko kilka przecznic stąd. W ciszy chroniło swoje tajemnice, czekając na niego. Lokal był tym narożnym kawałkiem układanki, którego mu brakowało, żeby poważnie móc ułożyć puzzle. Tylko pytanie, czy naprawdę chciał go znaleźć?

Wolno odpływał w sen, przez krótką chwilę unosił się w szarej strefie granicznej. Z daleka słyszał syrenę. Nie wiedział, czy dźwięk dochodzi z zewnątrz, czy istnieje tylko w jego głowie. Potem słyszał hałasy z mieszkania powyżej. Ktoś chodził ciężkimi krokami po mieszkaniu. Na siatkówce oka pojawił się obraz. Ciemna odwrócona sylwetka z naciągniętym kapturem. Mężczyzna bardzo powoli się odwracał, prawie jak w zwolnionym tempie. Światło padało na jego bark, potem na kaptur. Ale właśnie kiedy światło dotarło do twarzy, kiedy mu się zdawało, że rozpoznaje osobę, pojawiła się inna myśl. Sprawiała, że całkowicie się obudził. Zapomniał o jednej rzeczy i musiał ją sprawdzić, zanim zaśnie.

Opuścił łóżko i pokuśtykał do łazienki. Otworzył szafkę pod zlewem i wygrzebał torbę, którą dał mu Bergh. Zamek źle chodził, ale po kilku szarpnięciach w tę i z powrotem niechętnie się poddał. Na samej górze w torbie leżała kamizelka kuloodporna, taka sama jak ta, która uratowała mu życie w czasie wypadku. Pod kamizelką znajdował się karton na buty, a na jego pokrywce kartka z krótką wiadomością. Duże, rozciągnięte litery przypominające trochę te, które widział w szpitalu.

*Wszystko zaczyna się i kończy na Janusie.*

W pudełku był rewolwer z krótką lufą z usuniętym pilnikiem numerem seryjnym.

## Trzydzieści dziewięć

– Można zatem powiedzieć, w ramach podsumowania, że wszystkie te działania doprowadzą do zupełnie nowego szwedzkiego sądownictwa. Sądownictwa ze wspólnym zarządzaniem, kontrolą i jasnymi celami. Sądownictwa przyszłości. To wszystko, jeśli chodzi o mnie – dodał Jesper Stenberg po tym, jak pozwolił, aby jego słowa porządnie się zakotwiczyły. Przez kilka sekund było cicho, kiedy w pokoju zapalało się światło. Stenberg skorzystał z okazji i uśmiechnął się do grupki wokół stołu konferencyjnego.

– No dobrze, dziękuję, Jesper. – Premier dał znak Stenbergowi, żeby usiadł. – Muszę powiedzieć, że to była wzorowa prezentacja. Krótka i zwarta, nie jak wiele innych, które trzeba ścierpieć. *Death by powerpoint* <sup>23</sup>, słyszeliście to określenie? – Premier uśmiechnął się do pozostałych siedzących przy stole i zainkasował oczekiwany chichot. Wszyscy śmiali się z dowcipów szefa, niezależnie od tego, ile razy słyszeli je już wcześniej.

– Masz tu sporo radykalnych propozycji, Jesper – powiedziała Carina LeMoine. – Zmniejszenie kary dla świadka koronnego, ostrzejsze kary dla zorganizowanej przestępczości.

Stenberg pokiwał głową. Spodziewał się tej lekko zawołowanej krytyki i tego, skąd nadejdzie. LeMoine była jedną z ulubienic szefa. Wykształcona prawniczka, o kilka lat za młoda, żeby była brana pod uwagę do jego roboty. Przynajmniej tym razem. I ładna, właściwie przypominała trochę Sophie. Odrzucił tę myśl, skupił się na dostarczeniu odpowiedniej odpowiedzi.

– Zgadza się, Carina, cieszę się, że o tym mówisz. – Użył swojego najbardziej profesjonalnego głosu. Odebrał przez siatkę jej trik z użyciem imienia. 15:15, *game on* <sup>24</sup>. – Ale dokładnie przestudiowałem metody. Obserwowałem, jakie wyniki osiągnięto w innych krajach. Poza tym wiem z doświadczenia, że dużo łatwiej skłonić kogoś do współpracy, jeśli on lub ona może coś na sprawie ugrać. – 30:15 dla niego za przestudiowanie i praktyczne doświadczenie. Spojrzał prosto na nią, dodał uśmiech.

– Nie boisz się problemów z organami odwoławczymi? Związek Adwokatów

raczej nie będzie świętować.

Zdawało mu się, że wyczuwa delikatny niuans niepewności w jej głosie, i skorzystał, aby przejąć inicjatywę.

– Mam bardzo dobrą współpracę ze Związkiem Adwokatów, Carina, i mogę zapewnić cię oraz pozostałe osoby, że kiedy moje propozycje zostaną złożone, będą mieć bardzo silne podstawy.

40:15 i piłka meczowa.

Znów się uśmiechnął, lekko uniosł brwi i prawie niezauważalnie przekręcił głowę, jakby czekał na kolejne pytanie z jej strony. Ale Carina LeMoine zamiast tego patrzyła w swoje notatki.

Wygrał walkowerem.

Przez kilka sekund prawie czuł się zawiedziony, jakby go zrobiono w konia. Ale szybko się pozbierał. Posłał tej niewielkiej grupie swój najlepszy telewizyjny uśmiech. Szef skinął mu z aprobatą głową. Wyglądał jak duża zadowolona panda.

– Jesper, poczekaj! – Kiedy Carina LeMoine do niego zawołała, drzwi do windy właśnie się zamykały. Zastanawiał się, czy jej nie zignorować, nie pozwolić, by drzwi zamknęły się jej prosto przed twarzą. Ale zanim zdążył się zdecydować, drzwi otworzyły się na nowo. Musiała zdążyć nacisnąć przycisk.

– Możemy chyba razem zjechać na dół? – Uśmiechnęła się do niego, wchodząc do windy. Stała troszeczkę za blisko i zmusiła go, żeby nieświadomie cofnął się o pół kroku. Zapach jej perfum sprawił, że zadrżał. Narciso Rodriguez, tych samych używała Sophie. Dodatkowo wzmacniały podobieństwo. Przez milisekundę zdawało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Słabe rytmiczne walenie o metalowe ściany windy. Kilka razy przełknął ślinę.

– Dobrze się czujesz, Jesper?

– Hmm. – Drgnął, zmusił mózg do powrotu na właściwy tor.

– Jesteś blady.

– Aha, nie, mam się świetnie. Tylko nad czymś się zastanawiałem.

Winda zaczęła powoli zjeżdżać w dół. Carina LeMoine zrobiła delikatny ruch ręką, założyła pasemko blond włosów za ucho. Jej skóra była biała, prawie

porcelanowa.

– Chciałam ci coś powiedzieć. To ma związek z naszą małą wymianą zdań tam na górze. – Delikatnie przekręciła głowę w kierunku sufitu. – Nie chciałam tego mówić przed wszystkimi.

Uśmiechnęła się, pokazała perłowy naszyjnik małych białych zębów.

– Niece – powiedział. Od razu pożałował. Niece? Weź się w garść, do cholery!

– Niedawno wpadłam na Johna Thorninga. Rozmawialiśmy trochę o tobie, co może nie jest takie dziwne.

Znowu się uśmiechnęła i on automatycznie zrobił to samo. O co tu, do cholery, chodzi?

– To znaczy był w końcu twoim mentorem.

Stenberg kiwnął głową, poczuł, jak winda zwalnia.

– Dlatego spytałam wcześniej o Związek Adwokatów. John jest tam w końcu sekretarzem generalnym, więc rozmawialiśmy trochę o twoich planach restrukturyzacji sądownictwa. Dokładnie tak, jak powiedziałaś na górze – ja też założyłam, że rozmawiałeś z nim o tych pomysłach.

– Tak. – Stenberg zachował uśmiech, próbował dojść, dokąd ta rozmowa zmierzała. Nie podobał mu się sposób, w jaki powiedziała „John”. Z zażyłością, jakby byli kimś więcej niż przelotnymi znajomymi.

– Oczywiście nie będę ci dawać żadnych rad – ciągnęła Carina LeMoine. – Jako minister sprawiedliwości masz zupełnie inny ogląd sytuacji.

Strzepnęła coś z ramienia jego ciemnego płaszcza.

– Ale gdybym była tobą, Jesper, umówiłabym się na spotkanie z Johnem Thorningiem, i to dość szybko.

Sarac położył klucz na stole przed sobą. Zdjął go z kółka z kluczami i wyrzucił trzy pozostałe, te do jego pokoju w Biurze Kryminalnym i do starych zamków w drzwiach wejściowych.

Pozostał jeden klucz. Całkiem zwyczajny płaski klucz do zamka od drzwi. Żadnych numerów, żadnych wskazówek. Nie pamiętał go, nie miał najmniejszego pojęcia, do jakiego zamka pasował ani jak wyglądały drzwi. Właśnie to, że nic nie

pamiętał, sprawiało, że czuł się bezpieczny. Sam wysprzątał swoje biuro, teraz to wiedział. Utrzymywał wszystko w tajemnicy zarówno przed Molnarem, jak i przed Berghiem, żeby obaj mogli przysiąc, że nic nie wiedzieli, gdyby coś poszło nie tak. Stał się „policjantem, który działał z własnej inicjatywy”, dokładnie tak jak postanowili. Zatem ten klucz prawdopodobnie prowadzi do jego nowego lokalu, bazy, z której na własną rękę zawiadywał całą operacją „Janus”.

Pochylił się nad kluczem, przyglądał mu się, jak mógł najdokładniej. Nierówno spiłowany brzeg z siedmioma spiczastymi szczytami o różnej wysokości. Podniósł go, potrzymał w ręce. Przymknął oczy. Czekał...

Nic się nie stało.

Otworzył oczy. Jasne, że nic się nie stało, nie był przecież, do cholery, żadną Saidą <sup>25</sup>. Był zbyt zmęczony, żeby naprawdę do niego dotarło, co powiedział Molnar. Ale teraz, po kilku nocach spędzonych we własnym łóżku, po prysznicu, śniadaniu i, co równie ważne, przebraniu się w fajniejsze ciuchy, był w dużo lepszym stanie.

Brał narkotyki, palił marihuanę i metamfetaminę. Może to był sposób na poradzenie sobie z ciągle rosnącym napięciem. Przez całą dobę żyć z pracą i z Janusem, bez nikogo, komu można by się zwierzyć, i bez żadnej siatki bezpieczeństwa.

Narkotyki wyjaśniały żaloszny stan mieszkania, może też część jego przypominających halucynacje wspomnień. Przyglądał się rzeczom, które dostał od Bergha, obracał je na wszystkie strony. Próbował zgadnąć, co jego szef miał na myśli, kiedy dawał mu torbę. Nie mówiąc o wiadomości na pokrywce.

„Wszystko zaczyna się i kończy na Janusie”. Co Bergh przez to rozumiał?

Poważny przestępca, który popełnia morderstwo, a jednocześnie pracuje dla policji jako wtyczka. Jeśli coś takiego wyszłoby na jaw, media by oszalały. Każdy policjant, który chociaż na odległość mógł być kojarzony ze sprawą, od razu zostałby wywalony, może nawet oskarżony. Nie dziwota, że przysiągł zachować taką tajemnicę.

Co więc miał zrobić? Opowiedzieć wszystko Molnarowi? Wejść w układ z Wallinem i mieć nadzieję, że ten natychmiast nie odetnie wszystkich więzów, kiedy tylko tajemnica wyjdzie na jaw? Albo Bergh próbował zasugerować zupełnie inne

rozwiązanie jego problemu? Czy chodziło mu o to, żeby się pozbyć Janusa na dobre, zanim zostanie odkryty? Zamordować mordercę?

Otrząsnął się z tej myśli. Bergh miał wyrzuty sumienia, że wyrzucił go na mróz. Zostawił bez ochrony. Wallin pewnie miał rację: jeśli gdzieś tam był ktoś, kto próbował dotrzeć do Janusa przez niego, to broń i kamizelka ochronna są całkiem na miejscu.

Faktem jest, że nie miał żadnych dowodów, że to Janus stał za śmiercią Hansena, nic poza swoimi bardzo fragmentarycznymi wspomnieniami i przypuszczeniami. Poza tym w dalszym ciągu nic nie wiedział o mężczyźnie ukrywającym się pod pseudonimem. Odpowiedź znajdowała się w jego tajnej bazie, był o tym przekonany, i dlatego musi użyć całej swojej energii, żeby ją znaleźć.

Wstał i podszedł do okna. Naprzeciwko powiewała firanka, przyciągnęła jego wzrok. Ale nikogo nie było widać. Ulica była pełna zaparkowanych samochodów. Ponad połowa miała śnieg na dachach, co znaczyło, że musiały tam stać od kilku dni. Wśród nich był golf, który przypominał trochę samochód Natalie, i nagle pomyślał, że rzeczywiście przyjechała, żeby go odwiedzić. Ale zdał sobie sprawę, że ten samochód był nowszy i w lepszym stanie. Złapał się na tym, że był trochę zawiedziony. Jednocześnie poczuł wstyd. Natalie była cywilem, ale on bez wahania wciągnął ją w całą tę aferę, kiedy tylko się zorientował, że może się przydać. Doprowadził do tego, że wykorzystwała swoje prywatne kontakty do zdobycia potrzebnych mu informacji, i nie zastanowił się, w co ją wciąga. Był bezwzględny, właśnie tak. Kiedy Natalie zrozumiała, do czego prowadziła jej pomoc – po tym jak umarł Sabatini – na pewno poprosiła o zmianę pacjenta. I dobrze. Jeśli Wallin miał rację, jeśli gdzieś tam są ludzie, którzy go szukają, najlepiej zrobi, trzymając ją z daleka.

Znów przymknął oczy, zacisnął rękę wokół klucza. Następnie zmienił uchwyt i trzymał go tak, jakby miał otworzyć drzwi. Próbował sobie wyobrazić, jak klucz wchodzi do zamka, jak wycięcia dopasowują się do zapadek w środku. Przekręcił, poczuł otwieranie się zamka. Podniósł lewą dłoń, położył tam, gdzie powinna być klamka. Niemal czuł na dłoni dotyk zimnego metalu. Powoli naciskał dłonią, przyciągnął drzwi do siebie. Ostrożnie otworzył oczy...



Wzdrygnął się na szelest dobiegający od drzwi wejściowych. Przez moment zdawało mu się, że ktoś wchodzi do mieszkania, że powtórzy się wszystko, co się zdarzyło po jego wyjściu ze szpitala. Ale usłyszał głuchy odgłos i zaraz potem metaliczne uderzenie, kiedy opadła klapka przy otworze na listy. Odczekał, czując rozchodzące się po ciele uczucie ulgi, potem poszedł do przedpokoju, żeby wziąć pocztę.

Dwie koperty z okienkami i mała brązowa paczka w kopercie z bąbelkami z jego nazwiskiem. Położył wszystko na stole kuchennym. Najpierw otworzył rachunki, potem brązową paczuszkę. Była w niej mała tania komórka. Do ekranu była przyklejona karteczka.

„PIN 9595”.

Popatrzył na telefon, następnie go włączył i wprowadził kod PIN. Klawisze były tak małe, że musiał bardzo uważać, żeby palce mu się nie ześlizgiwały. Zamigotał ekran powitalny, następnie telefon połączył się z siecią. W jednym z rogów ekranu zaczęła mrugać ikonka wiadomości.

„Odejdź od okna.

Następnie zadzwoń na ostatnio wybrany numer”.

Sarac się zawahał, ale ciekawość wzięła górę. Przeniósł się do przedpokoju, po czym nacisnął przycisk powtórnego wybierania numeru. Telefon był tak mały, że prawie zniknął w jego dłoni. Łączył się, słychać było sygnał. Potem jeszcze jeden. Czuł, że serce bije mu mocniej.

– Cześć, David, jak dobrze, że się odzywasz – powiedział chrapliwy męski głos.

Jego puls jeszcze przyspieszył. Poznał ten głos, to był mężczyzna z tytoniem, mężczyzna ze złotym zębem, ten, który go odwiedził w ciemnym pokoju w szpitalu.

– W szpitalu nie zdążyliśmy dokończyć naszej rozmowy – powiedział mężczyzna, potwierdzając domysły Saraca.

– K-kim jesteś? – Głos Saraca brzmiał głucho.

Mężczyzna cicho się zaśmiał.

– Nie mów, że mnie nie pamiętasz?! Byliśmy przecież takimi dobrymi przyjaciółmi.

Sarac przełknął ślinę. Janus, pomyślał. Ale z jakiegoś powodu ten wniosek nie

wydawał się przekonujący.

– Chciałbym się z tobą spotkać, David, najchętniej teraz, od razu – powiedział mężczyzna.

– J-ja... – Sarac popatrzył w stronę kuchni. Zobaczył swoją własną komórkę, leżącą na stole.

– Zastanawiasz się, czy nie zadzwonić do swojego przyjaciela Petera Molnara, prawda? – Mężczyzna wymawiał słowo „przyjaciel” w sposób, który się Saracowi nie podobał. – Wiesz co, David, podejdź do okna. Trzymaj się trochę za firankami.

Sarac zrobił, co mu powiedziano. Serce waliło mu tak mocno, że prawie nie mógł oddychać.

– Widzisz ten żółty dom po przekątnej naprzeciwko? Czwarte okno od lewej – powiedział mężczyzna.

– Hmm... – Sarac przełknął ślinę. To było to samo okno, w którym przed chwilą zobaczył powiewającą firankę.

– Siedzi tam dwóch kolesi i cię pilnuje. Dwóch z twoich tak zwanych przyjaciół. Molnar ci nie powiedział?

Sarac znów przełknął ślinę.

– Popatrz kawałek dalej w dół ulicy. Widzisz to czarne volvo, to bez śniegu na dachu? Siedzi tam kolejnych dwóch policjantów, którzy pracują dla komisarza policji Oscara Wallina. Zgaduję, że o tym Molnar też ci nie powiedział?

Sarac pokręcił głową i uświadomił sobie, że mężczyzna go nie widzi. Peter powinien był powiedzieć, prosić, żeby uważał, jeśli nie... Przymknął oczy, próbował ominąć myśl, która właśnie wkradła mu się do czaszki. Jeśli nie...

– Twój przyjaciele cię okłamują lub w każdym razie nie mówią całej prawdy. Boją się ciebie, boją się tego, co możesz ujawnić. Może w twoim mieszkaniu jest nawet sprzęt do inwigilacji. W takim razie długo nie potrwa, zanim twój telefon zacznie dzwonić.

Sarac zerknął w kierunku komórki na stole kuchennym.

– Jak powiedziałem, chętnie bym się z tobą spotkał. Najchętniej teraz, za...

Sarac przerwał rozmowę. Powoli opuścił rękę z telefonem. Zdawało mu się, że w oknie po drugiej stronie ulicy dostrzegł leciutki ruch. Ale to oczywiście mogło być

przywidzenie. To wszystko mogło być przywidzeniem. Cholernym koszmarem. Może w rzeczywistości nadal leżał w szpitalnym łóżku, w sypialni, w świetle, w którym rządził jego mózg? W takim wypadku chętnie by się obudził. Teraz, zaraz.

Obrócił się i zajrzał do pokoju dziennego. Sofa była nowa, ale wszystko inne wyglądało tak jak powinno. Lub przynajmniej tak, jak myślał, że powinno wyglądać. Skórzany fotel, obtłuczony stolik do kawy z drewna tekowego, który przywiózł z rodzinnego domu. Telewizor, dywan, kopulasta lampa nad stolikiem. Przesunął wzrokiem wzdłuż przewodu lampy w kierunku sufitu. Odkrył tam coś przypominającego biały krążek do hokeja. Naprawdę ma czujnik dymu w pokoju dziennym, tak blisko kuchni? Kiedy się dobrze przyjrzał, dostrzegł mrugającą lampkę wskaźnika. Jednak nie mógł sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek wymieniał baterię.

Wziął krzesło i wspiął się z wysiłkiem. Ostrożnie wyciągnął się w kierunku czujnika. Ale mieszkanie było wysokie na ponad trzy metry i nie mógł dobrze sięgnąć. Plastikowa obudowa czujnika była szara od brudu, ale nie mógł mieć pewności, że ktoś specjalnie jej nie pobrudził. Pomyślał o drabinie w piwnicy. Za jej pomocą na pewno dosięgnąłby do samej góry. Ale najpierw po raz ostatni spróbował się wyciągnąć. Próbował stanąć na palcach, zachwiał się, odzyskał równowagę. Palce musnęły obudowę, po omacku szukały brzegu.

Przerwało mu głucho brzęczenie dochodzące ze stołu w kuchni. Świecił się ekran jego komórki, a wibracje sprawiały, że aparat wolno kręcił się po blacie stołu. Zszedł na dół i spojrział na ekran. Odebrał, próbując uspokoić głos.

– Halo!

– Cześć, David – powiedział Molnar. – Chciałem tylko sprawdzić, jak się czujesz. Nie odezwałeś się.

– Hmm... – Sarac zerknął na czujnik dymu.

– Wszystko w porządku? Brzmisz trochę...

– Pilnujcie mnie, Peter?

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli dokładnie to, co mówię. Pilnujcie mnie?

Na kilka sekund w słuchawce zapanowała cisza.

– Nigdzie nie idź, Davidzie. – Głos Molnara brzmiał sucho. – Idę do ciebie.

Rozmowa została przerwana.

Sarac wziął głęboki oddech, próbował się pozbierać. Następnie spojrzał na zegarek. Molnar będzie tu za dziesięć minut. Czas podjąć jakąś decyzję. Jeszcze raz spojrzał na czujnik dymu i zanim nacisnął klawisz ponownego wybierania numeru, zabrał mały plastikowy telefon do toalety.

– Okej – powiedział, kiedy mężczyzna odebrał telefon. – To co robimy?

## Czterdzieści

Sarac schodził po schodach tak szybko, jak mógł, trzymając telefon przyciśnięty do ucha. Odkręcił prysznic i trochę pohłasował w łazience. Następnie popędził do drzwi wejściowych i wyslizgnął się tak cicho, jak się dało.

– Jestem na dole – powiedział, kiedy dotarł na parter.

– Dobrze, podejdź do drzwi wyjściowych, ale stań tuż za nimi, żeby cię nikt nie widział – powiedział mężczyzna w słuchawce.

Sarac posłuchał, skorzystał z okazji, żeby spojrzeć na zegarek. Zostało sześć, siedem minut, zanim zjawi się Molnar.

– To co mam teraz zrobić? – zapytał.

– Zaczekaj chwilę. Widzisz znak przystanku autobusowego jakieś dziesięć metrów na prawo od wejścia? – powiedział mężczyzna.

– Tak.

– Za jakieś dwie minuty przyjedzie autobus. Powiem ci, kiedy masz wyjść.

– Zrozumiałem. – Sarac wziął kilka głębokich oddechów, próbował utrzymać niski puls. Co dziwne, był prawie wesoły. Wyrzał ostrożnie na ulicę. Volvo było ustawione w złym kierunku, samochód musiałby zawrócić, żeby za nim jechać. Ale dogonienie autobusu zajęłoby mu jakąś minutę.

– Okej, teraz! – powiedział mężczyzna.

Sarac otworzył drzwi wyjściowe i poszedł prosto w kierunku przystanku, zmusił się, żeby nie patrzeć ani w kierunku okna naprzeciwko, ani w kierunku volvo. Kątem oka widział zarys zbliżającego się autobusu. Zatrzymał się przy znaku przystanku, usłyszał zgrzyt hamulców pojazdu. Wsiadł, nawet nie spojrzawszy na kierowcę. Podniósł wzrok, kiedy autobus zaczął jechać. Volvo już ruszyło ze swojego miejsca.

– Okej, co teraz? – powiedział do słuchawki.

– Naciśnij przycisk stop i wysiądź na następnym przystanku.

Zrobił, jak mu kazano. Autobus skręcił za róg i zatrzymał się dokładnie naprzeciwko schodów prowadzących w dół do małego, obskurnego salonu fryzjerskiego. Wsiadł, spojrzął za siebie. Volvo jeszcze nie zdążyło nadjechać.

– David! – Drzwi do salonu się otworzyły i pojawiła się w nich głowa kobiety.

Miała około pięćdziesięciu lat, blond trwała w stylu lat osiemdziesiątych i pokryta zmarszczkami twarz z opalenizną z solarium. – Szybko, wchodź!

Posłuchał, szybko zszedł cztery stopnie w dół i dalej do poziomu piwnicy. Salon był pusty poza dwoma krzesłami fryzjerskimi i niewielkim wózkiem z różnymi preparatami do włosów.

– Idź dalej. – Kobieta wskazała na zasłonę z koralików na końcu salonu.

Pomieszczenie było małe. Pewnie nie więcej niż siedem, osiem metrów kwadratowych. Mały składany stolik i dwa krzesła, kilka zblakłych na słońcu plansz przedstawiających fryzury, które nie były modne od co najmniej trzydziestu lat. Na jednym z krzesel siedział wysoki, chudy mężczyzna w garniturze, w okrągłych okularach, z twarzą poraną zmarszczkami. Na widok wchodzącego Saraca wstał.

– Jak dobrze, że mogłeś wpaść, David – powiedział i uśmiechnął się tak, że widać było złoty ząb w jego dolnej szczęce. Sarac się zawahał, w głowie rozbrzmiały mu dzwonki ostrzegawcze. Kilka razy podejrzewał, że mężczyzna od tytoniu ze szpitala mógł być Janusem. Ale z jakiegoś powodu to nigdy nie wydawało się pasować. I teraz zrozumiał dlaczego. Ten mężczyzna był policjantem i nazywał się...

– Inspektor kryminalny Jan Dreyer – powiedział mężczyzna i wyciągnął rękę. – Wydział Spraw Wewnętrznych, gdybyś zapomniał. Przepraszam za tę całą konspirację, ale to dla twojego dobra.

Pokazał Saracowi, żeby usiadł.

– Kawy?

– Nie, dziękuję. – Saracowi kręciło się w głowie. Dreyer pracował w Wydziale Spraw Wewnętrznych. To on prowadził dochodzenie w sprawie kradzieży z sejfu. Ale w ciemności, tam, w szpitalu, wyglądało na to, że już się znali. Dreyer usiadł na krześle naprzeciwko. Zapach jego wody kolońskiej prawie przebił mieszankę chemikaliów do pielęgnacji włosów dominującą w salonie.

– Odwiedziłeś mnie w szpitalu, mówiłeś o jakiejś umowie – powiedział Sarac, próbując ułożyć nowe fragmenty układanki na właściwych miejscach.

– No, proszę. – Dreyer się uśmiechnął. – Myślałem, że jesteś zbyt zamroczony, żeby pamiętać. Pamiętasz coś jeszcze?

– Sorry. – Sarac wzruszył ramionami.

Dreyer spojrzał na niego badawczo, wydawało się, że próbuje rozstrzygnąć, czy Sarac kłamie.

– No, cóż – powiedział. – Więc, jak powiedziałem, nazywam się Jan Dreyer i jestem odpowiedzialny za Wydział Spraw Wewnętrznych. Oczywiście wiesz, jakie mamy zadania?

– Prowadzicie sprawy policjantów podejrzanych o popełnienie przestępstwa – powiedział Sarac.

– Zgadza się. Od kilku lat jesteśmy odrębną organizacją, podlegającą bezpośrednio Głównemu Zarządowi Policji. Czyli jesteśmy zupełnie oderwani od normalnej działalności policyjnej, ale to też na pewno wiesz.

Sarac wzruszył ramionami. Próbował być tak neutralny, jak to tylko możliwe.

– I czego chcecie ode mnie?

– Czyli naprawdę nic nie pamiętasz? – Dreyer zamilkł i obserwował Saraca. W końcu się uśmiechnął. Coś w tym uśmiechu sprawiło, że język Saraca przykleił się do podniebienia.

– Jestem twoim opiekunem, Davidzie – powiedział mężczyzna, uśmiechając się. – A ty jesteś moim informatorem.

## Czterdzieści jeden

– Cześć, tu Tindra.

Na dźwięk głosu w słuchawce Atif się uśmiechnął.

– Cześć, Tindra, tu stryjek Atif.

– *Amu*, gdzie jesteś? Tęsknię za tobą!

– Też za tobą tęsknię, kochanie – powiedział Atif. – Dobrze wam tam na wsi?

– Bardzo dobrze! Przyjedziesz niedługo nas odwiedzić?

– Niedługo. Muszę tylko najpierw załatwić kilka spraw. Ale potem przyjadę.

– Obiecujesz, *amu*?

– Obiecuję, złotko. Jest tam gdzieś mama? Muszę z nią chwilę porozmawiać.

– Okej. – Tindra była zawiedziona. Szczęknięło w słuchawce.

– Halo? – powiedziała Cassandra. Głos miała zdecydowany, ale nie nieprzyjazny.

– To ja, chciałem tylko sprawdzić, jak się macie? – powiedział Atif.

– W porządku, ale szczerze mówiąc, wpadam tu w depresję. Kiedy będziemy mogli wrócić do domu?

– Jeszcze nie teraz. Jest kilka spraw, które muszę najpierw załatwić. Muszę być pewien, że będziecie bezpieczne, ale kiedy tylko wszystko będzie załatwione, odezwę się. Do tego czasu musicie siedzieć cicho. Nigdzie nie dzwonić, rozumiesz? Przede wszystkim nie do Abu Hamsy.

Cisza w słuchawce powiedziała mu, że już złamała jego zakaz. Cholera jasna.

– Zwerbowałem cię, żebyś przekazywał informacje o Peterze Molnarze i jego specjalnej grupie operacyjnej – powiedział Dreyer. – Ale też o swoim szefie Kjellu Berghu i o innych opiekunach informatorów. Nie mówiąc o ich starym szefie: Eugenie von Katzowie, zwanym Hrabią.

Sarac poczuł ściskanie w gardle. Walczył, żeby utrzymać neutralny wyraz twarzy. Pokój zaczął powoli wirować w lewo i musiał się chwycić brzegu krzesła, żeby utrzymać się na nogach.

– Jak pewnie pamiętasz, Hrabia opuścił policję kilka lat temu. Stworzył system niezarejestrowanych informatorów i wtyczek opłacanych z tajnych kont. Wiele z jego



źródeł to nawet nie byli kryminaliści, większość to zwykli podatnicy, którym zdarzyło się pracować na kluczowych stanowiskach w firmach albo w urzędach. To mogli być operatorzy telefoniczni, szpitale, biura pośrednictwa nieruchomości, gmina albo urząd podatkowy – a nawet jakaś gwiazda telewizji.

Dreyer wsunął rękę do wewnętrznej kieszeni i wyciągnął paczkę cygaretek.

– Hrabia zebrał wokół siebie grupę osób, które były mu coś winne. Które nie mogły powiedzieć „nie”, kiedy dzwonił i prosił o małą przysługę. Kilka wykazów połączeń telefonicznych, dziennik szpitalny albo cokolwiek.

Sarac przełknął ślinę, pomyślał o tym, co Molnar powiedział o jego próbce krwi.

– Nieformalny system, w ramach którego obchodziło się wszystkie zasady – ciągnął Dreyer. – Ale, niestety, nigdy nie udało nam się go złapać na żadnym poważniejszym przestępstwie niż kilka przewinień służbowych. Właściwie to myślę, że Hrabia płacił zarówno prokuraturze, jak i Ministerstwu Sprawiedliwości, żeby wyjść z tego cało.

Z drugiej kieszonki wyciągnął małą, niebieską, plastikową zapalniczkę, wytrząsnął cygaretkę z paczki, a następnie poczęstował Saraca.

– Nie palę – wymamrotał Sarac.

– Nie? – Dreyer się uśmiechnął. – Jesteś tego pewien? – Zapalił i głęboko się zaciągnął.

– No, tak – ciągnął dalej. – Kiedy Hrabia wymknął się tylnymi drzwiami, jego starą robotę przejął Bergh. Ale w rzeczywistości większością zajmował się protegowany von Katzowa Peter Molnar. Molnar jest sprytny, bardzo ostrożny i otacza się wyłącznie najbardziej lojalnymi współpracownikami. W zasadzie niemożliwe było sprawdzenie, czym oni się tam w wydziale zajmowali i czy dalej pracowali w stylu Hrabiego.

Wykonał niewielki gest cygaretką w kierunku Saraca.

– Ale pojawiłeś się ty. David Sarac, wschodząca gwiazda. Kiedy Molnar zmienił pracę, przejąłeś większość jego kontaktów. Wyglądało na to, że jesteś w stanie wtopić się we wszystko, każdego ze sobą związać. Prawdziwy kameleon. Poza tym pracowałeś na okrągło.

Sarac przełknął ślinę. Zastanawiał się, czy nie wstać i nie wyjść stamtąd. Ale zdał

sobie sprawę, że musi zostać, usłyszeć całą historię.

– Z czasem stało się jasne, jaką cenę płaciłeś. Kiedy gra się tak wiele ról, prędzej czy później można się zagubić. Zapomnieć, kim się właściwie jest. Co się reprezentuje.

Dreyer postukał delikatnie palcami w blat stołu.

– Coraz więcej czasu spędzałeś w barze. Ale w przeciwieństwie do tego, co było wcześniej, nie byłeś już tak samo zainteresowany nawiązywaniem nowych kontaktów. Zamiast tego głównie się upijałeś, kilka razy nawet cię wyrzucali. Chodziły słuchy o narkotykach. Było jasne, że byłeś na drodze do załamania, i równie jasne, że żaden z twoich przyjaciół nie zamierzał ci pomóc.

– I wtedy ty się ze mną skontaktowałeś, próbowałeś mnie namówić do złożenia raportu o tym, czym zajmowali się Molnar i inni? – Głos Saraca brzmiał pytająco. Dość dobrze oddawał jego niepewność.

– Jak myślisz, David, jak to dokładnie wyglądało?

Sarac nie odpowiedział. Prawa ręka nadal trzymała brzeg krzesła.

– No, opowiedz mi. Przecież jesteś ekspertem w tej dziedzinie! Postaw się w mojej sytuacji. Co byś zrobił, żeby siebie samego zwerbować?

Sarac wziął głęboki oddech. Pojawił się ból głowy, dokładnie według schematu. Natychmiast poczuł mdłości. Ale musiał w to grać, musiał usłyszeć, co Dreyer ma do powiedzenia. Zebrać więcej kawałków układanki.

– Coś na mnie znaleźliście – wymamrotał. – Próbkę krwi albo coś w tym stylu. Wyjaśniliście, że jestem w złej sytuacji. Że moja praca jest zagrożona. Ustaliliśmy spotkanie.

– Mów dalej! – Dreyer zrobił lekki gest cygaretką.

– Na pewno wybraliście dyskretne miejsce, tak dyskretne, że sam fakt, że się tam spotkaliśmy, wydawał się podejrzany. Następnie dopilnowaliście, żeby ktoś nam dyskretnie zrobił kilka zdjęć.

Dreyer znów się głęboko zaciągnął.

– Kiedy tylko się pojawiłem. W tej samej chwili kiedy usiadłem na krzesło naprzeciwko ciebie, byłem załatwiony. Nawet gdybym odmówił, wszyscy, którzy zobaczyliby zdjęcia, odnieśliby wrażenie, że już sypnąłem. Moja wiarygodność

zostałaby zniszczona.

Sarac przechylił się do tyłu, puścił krzesło i potarł oczy. Nagle przypomniał sobie zamkniętą restaurację. Jakiś rodzaj spotkania, niemiłe uczucie wskazujące na to, że właściwie wcale nie chciał tam być. To mogłoby się zgadzać.

– Tak to mniej więcej było? – spytał. – O tej umowie mówiłeś w szpitalu. Syp, bo inaczej zniszczymy twoją karierę? Runie wszystko, dla czego żyjesz?

W odpowiedzi Dreyer się uśmiechnął.

– Dokładnie tak jak sam byś zrobił, prawda, David? Żeby zwerbować kontakt, robi się wszystko co trzeba.

Sarac oparł głowę na rękach.

– I dokładnie tak jak wszyscy inni chcesz, żebym dał ci Janusa, prawda?

– Janus – prychnął Dreyer. – Duch, o którym wszyscy mówią, ale którego nikt nigdy nie zobaczył. – Pokręcił głową. – Nie próbuj ściemniać. Obiecałeś mi coś całkiem innego. Coś dużo bardziej interesującego.

Sarac otworzył usta, ale jego mózg się zaciął, nie miał nic mądrego do powiedzenia. Nie chce Janusa? No to o co chodziło w ich umowie?

– Twoim zadaniem było zdemaskowanie kreta w Komendzie Wojewódzkiej – powiedział Dreyer.

Sarac wolno pokręcił głową. Mózg szukał czegoś gorączkowo i po omacku, czegokolwiek, o co można by zaczepić informację od Dreyera.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz – wydusił z siebie w końcu.

Dreyer westchnął.

– Widzę, że w dalszym ciągu jesteś lojalny wobec swoich przyjaciół. – Zgasił wypaloną do połowy cygaretkę, tarł nią tak mocno, że prawie przewrócił kubek z kawą.

– Ktoś z waszego wydziału sprzedaje informacje świątkowi przestępczemu. Wszystko idzie przez pośrednika, adwokata o nazwisku Bengt Crispin. Z powodu tego kreta nie udało się kilka większych akcji. Poważni przestępcy się wymykali. Ale o dziwo, nigdy w wypadku operacji, w które byli zaangażowani Molnar i jego ludzie. Kiedy z czasem udało nam się dojść do kilku telefonów do Crispina z Komendy Wojewódzkiej, zaczęliśmy rozumieć, jak się sprawy mają. Kradzież twojej listy

zapasowej z sejfu usunęła wszelkie wątpliwości, nawet u szefostwa. Dali mi wolną rękę, miałem zrobić wszystko co trzeba, żeby znaleźć przeciek. Lista zapasowa to tylko pretekst, dający możliwość przesłuchania całego personelu w komendzie. Żeby wykurzyć kreta z nory. – Dreyer zrobił grymas, który prawdopodobnie miał być uśmiechem. – Zwerbowałeś cię w październiku. Daliśmy ci czas do Bożego Narodzenia na ustalenie nazwiska kreta. Od ponad miesiąca nie mieliśmy od ciebie wieści. I pewnego wieczoru pod koniec listopada zadzwonił telefon. Byłeś zdenerwowany, powiedziałeś, że chcesz się spotkać natychmiast, i obiecałeś przekazać wszystkie dowody, których potrzebowałem. Miałeś dla mnie nazwisko kreta. – Mężczyzna przechylił się przez stół, tak blisko, że Sarac mógł dostrzec drobną siatkę naczyń krwionośnych na czubku jego nosa. – Czytałem wstępny raport z twojego wypadku. W odróżnieniu od późniejszej wersji była tam notka o innym pojeździe, który znajdował się tuż za twoim samochodem. Poza tym znaleziono małe uszkodzenie na tylnym zderzaku twojego auta. – Dreyer się uśmiechnął, znów pokazał złoty ząb w dolnej szczęce.

Nagle Saracowi zrobiło się w ustach sucho jak w prochowni.

– Pojechałem na miejsce spotkania, David. Czekałem ponad godzinę.

Sarac wstrzymał oddech.

– Ale jeden z twoich tak zwanych przyjaciół dopilnował, żebyś nie dojechał.

## Czterdzieści dwa

Sarac poszedł długą okrężną drogą, zarówno po to, by zebrać myśli, jak i po to, by się upewnić, że nikt za nim nie idzie. Głowa go bolała, a mózg zmagał się z przyjęciem tego, czego się przed chwilą dowiedział. Opowieść Dreyera odwróciła wszystko do góry nogami i postawiła go w jeszcze gorszym położeniu, niż to było do tej pory.

Wallin polował na Janusa, żeby wesprzeć swoją karierę. Molnar i Bergh, żeby zniszczyć wszystkie ślady. To dlatego go pilnowali, mieli nadzieję, że prędzej czy później zaprowadzi ich do Janusa.

Ale jeśli Dreyer miał rację, jeszcze jedna osoba miała powód, żeby go mieć pod kontrolą. Ktoś z jego własnego wydziału, kto sprzedawał informacje i na pewno mógł zarobić niezłe pieniądze na ujawnieniu prawdziwej tożsamości Janusa.

Koniec końców rządzą pieniądze, prawda? – powiedział Bergh. Czy w ten sposób do czegoś się przyznawał? Czy to dlatego jego szef poddał się bez walki, bo wiedział, że stoi w kolejce do przesłuchania u Dreyera i że zostanie zdemaskowany?

Poza tym Molnar znowu ukrył przed nim informację. Może nawet był tą osobą, która wyczyściła raport w taki sam sposób, jak to zrobił z wynikiem badania krwi Saraca. Dokładnie tak jak w szpitalu sugerował Bergh, ktoś próbował zepchnąć go z drogi. Dopilnował, żeby się rozbił w najgorszy możliwy sposób.

Sarac nie miał najmniejszej ochoty na powrót do mieszkania. Będzie tam czekać Molnar z pytaniem, gdzie był. Znowu zmusi go do kłamstwa. Nie potrzebował więcej zasłon dymnych, więcej półprawd i tworzenia konstrukcji po fakcie. Potrzebował jasności. Problem w tym, że nie wiedział, jak do niej dojść. Kawałki układanki zbierały się w stosik, wciąż więcej i więcej. Nadal jednak szukał narożnego kawałka, punktu wyjścia.

Czterech mężczyzn mniej lub bardziej dobrowolnie złożyło swoje życie w jego rękach. Teraz wszyscy byli martwi. Kto ich zabił i dlaczego? Czy mógł to być Janus, jak podejrzewał? W każdym razie nie był nawet blisko odkrycia jego prawdziwej tożsamości.

I kim był kret w policji, który prawdopodobnie ukradł z sejfu jego listę zapasową? Tę, którą obiecał przekazać Dreyerowi? Kim był piąty mężczyzna na jego liście,

superanonimowy Erik I. Johansson?

Kawałki do siebie nie pasowały. Narkotyki, wypadek, Bergh, Molnar, Wallin, Dreyer, kret, lista... Czterech martwych gości, notatnik, którego szyfry złapał tylko do połowy, lokal roboczy, który gdzieś tam musi być. Wszystko wirowało, zamieniało się w wir informacji, których nie był w stanie ogarnąć.

Był tylko jeden wspólny mianownik dla wszystkiego. Janus. Wszystko zaczynało się i kończyło na nim, dokładnie tak, jak było napisane na karteczce.

Rzucił krótkie spojrzenie przez ramię, zanim wszedł do sklepu 7-Eleven po tabletki na ból głowy. Złapał się na spoglądaniu w kierunku papierosów. Kiedy wprowadzał kartę kredytową, żeby zapłacić, zapiszczał czytnik.

Zły kod PIN!

Zmarszczył czoło, jeszcze raz wstukał cyfry: 3941.

Czytnik ponownie zaprotestował, ale Sarac stał, gapiąc się w przestrzeń. Nagle zobaczył przed sobą tabliczkę z cyframi. Gładkie metalowe pudełeczko wmontowane w kamienną ścianę.

3941, znów pomyślał, i natychmiast zobaczył drzwi wejściowe tuż obok tabliczki z cyframi. Te same drzwi, co we śnie.

– Trzy, dziewięć, cztery, jeden – głośno mamrotał. Potem zobaczył dom, a następnie tablicę z nazwą ulicy.

– Ty, czekaj, zapomniałeś karty! – zawołał za nim sprzedawca.

Fasada była częściowo zakryta rusztowaniami, a pod budynkiem stały dwa duże kontenery, jednak nie miał żadnych problemów z rozpoznaniem miejsca. To było tu. Serce waliło mu ciężko w piersi; zmusił się do zwolnienia tempa.

Drzwi były zamknięte, ale kod 3941 sprawił, że zamek kliknął natychmiast. Pchnął i wszedł. W bębenkach huczało.

Spojrzał na listę nazwisk obok na klatce schodowej. Na ile mógł się zorientować, żadnych firm, ale na czwartym piętrze widniał E.I. Johansson.

Erik I. Johansson, piąte nazwisko na liście Janusa!

Szedł powoli w górę po kamiennych schodach w ciemnej klatce schodowej. Oświetlenie chyba nie działało właściwie, więc musiał uważać, jak stawia stopy. Wprawdzie chodził już znacznie lepiej, ale przy źle postawionej stopie raczej trudno

by mu było coś zdziałać. Byłaby to niezła ironia losu, gdyby teraz upadł, skończył u podnóża schodów ze złamanym karkiem. Doszedł już tak blisko. Z jakiegoś powodu znów pojawiła mu się w głowie piosenka The High Wire i obraz linoskoczka, ale szybko się otrząsnął. Skup się!

Drzwi do mieszkania E.I. Johanssona wyglądały dokładnie tak samo jak u jego sąsiadów. Począł kilka sekund, zbierając się w sobie. Na klatce schodowej było cicho, nie docierały tu nawet odgłosy ruchu ulicznego. Było tylko słyszeć jego własny ciężki oddech.

Ukucnął i ostrożnie spojrzął przez szparę do wrzucania korespondencji. W środku było prawie zupełnie ciemno. Widział tylko kontury listów leżących na podłodze. Pachniało zamkniętym pomieszczeniem. Wyprostował się i wyciągnął z kieszeni klucz. Obejrzał się przez ramię, a następnie włożył klucz do zamka. Klucz pasował idealnie, przekręcił go bez najmniejszego problemu.

W środku zrozumiał, dlaczego było tak ciemno. Za ledwie jakiś metr dalej w korytarzu znajdowały się kolejne drzwi, dużo bardziej masywne niż te, przez które przed chwilą wszedł. Rozejrzał się w małym przedsionku, na podłodze znalazł dwa listy, podniósł je i włożył do tylnej kieszeni. Oba były zaadresowane do E.I. Johanssona.

Po omacku szperał kluczem, ale w wewnętrznych drzwiach nie było żadnej dziurki zamka. Zamiast tego tuż nad klamką odkrył niewielkie wgłębienie z palącą się słabym czerwonym światłem szklaną płytką. Nawet nie zdążył pomyśleć: położył kciuk na płytce i przytrzymał, aż czerwone światło zmieniło się na zielone.

Pokój w środku wyglądał prawie dokładnie jak w jego śnie.

Na prawo dwa zakryte okna z kratami od wewnątrz, a pod nimi niewielkie biurko. Na ścianie na wprost wisiała tablica suchościeralna z przyczepionymi zdjęciami, a pod dalszą ścianą po lewej stronie, obok stosu kartonów, stało małe, porządnie zaścielone składane łóżko. Dokładnie pośrodku pokoju, niecały metr od tablicy, stał zniszczony skórzany fotel obrotowy. Rozejrzał się. Odkrył drzwi do łazienki i malutki kącik kuchenny. W pokoju unosił się delikatny zapach tytoniu.

Nagle Sarac poczuł się zamroczony, bliski omdlenia. Zrobił kilka kroków i upadł na skórzany fotel. Przymknął oczy, próbował uspokoić puls. Ale było ciężko.

Zrobił to! Nareszcie znalazł swój narożny kawałek. Miejsce, z którego sterował może najbardziej udaną operacją z udziałem informatorów w szwedzkiej historii zwalczania przestępczości. I poza tym zrobił to sam, co, o dziwo, napełniło go zachwytem pomieszany ze strachem.

To była jego kryjówka, czarna dziura w systemie policyjnym, o której nie wiedzieli ani jego szefowie, ani koledzy. Nawet jego najbliższy przyjaciel.

Najbardziej ze wszystkiego chciał się po prostu rzucić na to, co odnalazł. Ale zmusił się, żeby chwilę zaczekać. Cieszyć się odkryciem, chwilę posiedzieć i zebrać siły. Widział siebie samego w tym pokoju. Jak wszystko organizował, rozwieszał zdjęcia, rysował linie, zapisywał różne numery.

Podniósł się powoli i podszedł do tablicy. Nawet ona wyglądała tak samo jak we śnie, było tylko więcej szczegółów. Na dole, przy jednym z brzegów, cztery twarze, które od razu poznał. Martwi mężczyźni: Hansen, Markovic, Lehtonen i Sabatini. Wszyscy na starych, błyszczących zdjęciach policyjnych z nazwiskiem i rokiem urodzenia u dołu.

Na środku tablicy wisiały inne fotografie, ułożone w krąg – stosunkowo nowe zdjęcia z monitoringu. Przy każdym zdjęciu znajdowało się nazwisko zapisane czarnym markerem. Pismo było schludne, nie tak agresywnie rozczapierzone jak to ze szpitala.

Pod każdym nazwiskiem rząd cyfr, zapewne numery telefonów komórkowych.

„Abu Hamsa”, przeczytał przy zdjęciu grubego niskiego mężczyzny pod sześćdziesiątkę, ze sztuczną grzywką. Odchodząca od niego czerwona linia prowadziła dalej, do muskularnego, krótko ostrzyżonego pana o imieniu „Eldar”.

Następne zdjęcie przedstawiało typowego chuligana na motorze. Skórzana kamizelka, tłusty kark, długie włosy zaplecione w warkocz, złote łańcuchy i mnóstwo pierścieni na palcach, poza tym w cienkich okularach przeciwsłonecznych. „Micke Lund”.

Czerwona linia prowadziła dalej, od Lunda do kolejnego mężczyzny, też ubranego w kamizelkę gangów motocyklowych, ale w innych kolorach. „Karim” – z jakiegoś powodu nie zanotował nazwiska.

Pozostałe zdjęcia przedstawiały dwóch mężczyzn w dresach – „Zimin” i „Ivazov”



– którzy przypuszczalnie byli Rosjanami, a pod nimi zdjęcie łysej, przypominającej jastrzębia postaci z obrzydliwie zapadniętymi oczami, która najwidoczniej występowała pod imieniem „Sasja”.

Poza tym od każdego zdjęcia, zarówno od martwych mężczyzn w dole tablicy, jak i od zgrai w kręgu, prowadziła do środka tablicy osobna niebieska linia. Czerwone i niebieskie linie przecinały się, sprawiały, że cała tablica wyglądała jak pajęczna sieć. W środku sieci znany symbol. Dwie ozdobnie zakręcone litery J z dolnymi zawijasami obróconymi do siebie. Dwie odwrócone twarze w jednej.

Sarac stał nieruchomo przed tablicą, przeczekał brzęczenie w czaszce, miał nadzieję, że pajęczna sieć ustawi wszystkie elementy na miejsce. Ale nic się nie stało. Spróbował zamknąć oczy na kilka sekund, a potem szybko je otworzyć. Nadal nic. Mężczyźni ze zdjęć dalej się na niego gapili. Nie wykonali żadnego ruchu, żeby dać się rozpoznać.

Rozczarowany podszedł do biurka i zaczął wyciągać szuflady, jedną po drugiej. W pierwszej znalazł mniej więcej to, czego się spodziewał. Długopisy, papier, wymiętoszoną książkę telefoniczną, różne materiały biurowe. W drugiej szufladzie leżały laptop i plik banknotów dolarowych. W trzeciej – pistolet.

Prawie natychmiast rozpoznał tę broń. Dziewięćmilimetrowy sig-sauer, według wszelkiego prawdopodobieństwa jego własna broń służbowa. Podniósł go, kciukiem nacisnął przycisk i rutynowym ruchem wysunął magazynek z kolby. Otworzył zamek i wyciągnął mały mosiężny nabój, który leżał w lufie.

Ostrożnie powąchał pistolet, wciągnął znajomy zapach prochu i smaru do broni. Znów pomyślał o Brianie Hansenie i kuli, która skończyła jego życie.

Odłożył broń na biurko, następnie opróżnił magazynek i ułożył naboje w równym rzędzie. Kiedy je cicho liczył, czuł w piersi rosnący niepokój. Wszystkich razem czternaście naboji. Czternaście sztuk mosiężnych cylindrów w połyskującym na złoto rządkiem. Był tylko jeden problem. W magazynku mieściło się piętnaście naboji.

## Czterdzieści trzy

Natalie zakręciła kubkiem z kawą. Instrukcje Rickarda były jasne jak słońce: nie spuszczać z oka notatnika i melduj o wszystkich poczynaniach Saraca. Nieszczerólnie trudne, nawet całkiem ekscytujące, szczególnie kiedy razem złamali szyfr i udało im się zidentyfikować tych pięciu mężczyzn. Sarac przypominał jej pacjentkę, którą się zajmowała w czasie praktyki lekarskiej przed rozpoczęciem specjalizacji. Chora na raka kobieta, która była absolutnie wściekła na wszystko i wszystkich. Rzuciła nawet basenem w onkologa. Dokładnie tak, jak Sarac, nie chciała się poddać i nie pozwalała ludziom, żeby się nad nią rozczulali.

Ale morderstwo na ulicy Höbergsgatan sprawiło, że zaczęła coś podejrzewać. Zadzwoiła do Rickarda z promu, powiedziała, kogo mają zamiar odwiedzić, i dała mu adres. I tuż przed ich dotarciem na miejsce Sabatini został zamordowany.

Ta myśl niepokoiła ją bardziej, niż chciałaby przyznać. Rickard nie mógł być mordercą, przecież był gliną. Czy tak?

Była jeszcze jedna rzecz, która ją trochę martwiła. Wprawdzie wygląd i żargon Rickarda na odległość pachniały gliną, ale nie mogła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek pokazał swoją policyjną legitymację. Ale on musi być gliną, w przeciwnym razie skąd miałby dostęp do rejestru policyjnego? Może następnym razem, jak się spotkają, poprosi go o pokazanie legitymacji.

Przed chwilą do niej dzwonił. Wydawał się jeszcze bardziej zestresowany niż poprzednio. Wyjaśnił jej, że w dalszym ciągu nie dostarczyła tego, czego szukał, że spodziewał się więcej po ich współpracy. Nie kłóciła się, nie chciała wyjawic, że morderstwo na Höbergsgatan ją przestraszyło, sprawiło, że zaczęła się zastanawiać, co ona właściwie robi. Zamiast tego Rickard przekonał ją, że musi wziąć się do roboty. Skupić się na celu, zrobić co trzeba. To działało. W dalszym ciągu miała szansę osiągnąć to wszystko, o czym myślała, że jest stracone. Ale musi zacisnąć zęby.

Przede wszystkim powinna odnaleźć Saraca, żeby zidentyfikował mężczyznę na zdjęciach z komórki. Sarac nie wrócił do mieszkania, nie odbierał telefonu, a według usługowego sąsiada z wyspy w tamtym domu też było ciemno i cicho. Prawie jakby

Sarac zniknął z powierzchni ziemi.

Śnił, że leży na dnie głębokiej dziury. Z czarnych boków wykopanej w ziemi jamy wystawały drobne korzenie. Wąskie owłosione palce skręcające się z bólu. Wysoko w górze niebo było ciemne. Z daleka słychać było zapętłony kawałek muzyki. The High Wire – wysoko zawieszona lina.

*Got to start from somewhere, so I'll start from the grave*

Ci czterej stali na górze przy krawędzi. Martwymi oczami patrzyli na niego w dole. Hansen w swojej skórzanej kamizelce, Markovic w żółtej puchowej kurtce, Sabatini w czerwonym od krwi T-shircie i Lehtonen w błyszczącej kurtce w smoki. Przy jego boku dyszały dwa psy. Miały długie i różowe języki.

– Dlaczego? – spytał Hansen. Jego głos był zadziwiająco jasny.

– Ufaliśmy ci, człowieku – powiedział Markovic. Woda kapała zewsząd, z jego ubrania, z nosa, z ust. Utworzyła strumień, który spływał do dziury.

Sabatini milczał, trzymał tylko w górze swoje zakrwawione ręce. Woda płynęła teraz szybciej, słyszał, jak tryska, i czuł, jak wypełnia miejsce, w którym leżał. Próbował stanąć na nogi, ale ciało nie chciało słuchać, ciągle leżał na plecach. Czuł, jak woda zalewa mu nogi, następnie sięga klatki piersiowej. Próbował trzymać głowę tak wysoko, jak potrafił. Mężczyźni na górze ciągle się na niego gapili. Jeden z psów zaskomlał, ucichł, kiedy woda dosięgła uszu Saraca, policzków. Spłynęła ciemnością na oczy.

Sarac obudził się cały przeпоcony. W pokoju było ciemno, było tylko widać jasny kwadrat białej tablicy. Zdjęcia odznaczały się na jej powierzchni czarnymi polami. Kiedy się dobrze przyjrzał, był w stanie dostrzec zarysy osób.

Wyprostował się w fotelu i wyciągnął w kierunku przycisku lampy. Coś zaszeleściło w tylnej kieszeni spodni. Listy, które znalazł na dywanie w przedsionku. Otworzył pierwszą kopertę. Wyciąg z konta w zagranicznym banku należącego do Mr E.I. Johanssona. W drugiej kopercie prawie taki sam wyciąg, ale z innego konta.

Teraz pojął, o co chodziło z tym nazwiskiem. Erik I. Johansson – I, jak

w angielskim słowie oznaczającym ja. Erik I. Johansson to nie był żaden informator, ale przykrywka, której używał on sam. Alias umożliwiający zdobycie rzeczy, których nie można było z nim powiązać. Jak na przykład ten lokal. Ciekawe, kto załatwił mu PESEL? Usługi i przysługi.

Usiadł przy stole kuchennym, wygładził dokumenty i położył jeden przy drugim. Całkiem szybko znalazł wzór. Na pierwszym koncie były głównie wpłaty. Na początku okresu na koncie było ponad milion dolarów i przez trzy miesiące, które obejmował wyciąg, dokonano czterech nowych wpłat na łączną wartość prawie równą początkowej. Były tylko trzy wypłaty, właściwie sądził, że chodziło o przelewy. Jeden na trzy tysiące dolarów na początku okresu, później jeden na sto tysięcy w połowie i na końcu jeszcze jeden na samym dole strony. Ten przelew był na prawie dwa miliony dolarów i pozostawił na koncie raptem kilka centów.

Konto na drugim dokumencie miało saldo początkowe w wysokości dwudziestu tysięcy dolarów. Potem wypłacono kilka mniejszych sum oznaczonych jako *cash*, w równych setkach, w różnych kantorach w mieście. Sumy były różne, od pięciuset do trzech tysięcy pięciuset. Wyglądało na to, że są to wypłaty gotówkowe, co musiało oznaczać, że konto było powiązane z kartą płatniczą. Teoria się potwierdziła, kiedy niżej, przy zakupach, znalazł szereg nazw różnych znanych restauracji. W połowie strony widniała wpłata na sto tysięcy dolarów. Kiedy sprawdził datę i numer referencyjny, zobaczył, że były to pieniądze przelane z tego drugiego konta. Potem kolejne wypłaty gotówki na zmianę z kolejnymi rachunkami z restauracji. Na samym dole strony, dokładnie tak samo jak na drugim koncie, widniał przelew, który w zasadzie wyzerował saldo końcowe.

Sarac zmarszczył czoło. Konto na wpływy i konto na wydatki, to się dość dobrze zgadzało z tym, co twierdził Molnar. Ale skąd pochodziły wszystkie pieniądze? Dwa miliony dolarów to około czternastu milionów szwedzkich koron i – sądząc po koncie na wydatki – dużo więcej, niż było potrzebne. Przed każdą wpłatą był podany tylko numer transakcji, więc wyciąg z konta nie zostawiał żadnych śladów.

Poza tym ktoś opróżnił oba konta w tym samym dniu, a nawet w zaledwie kilkuminutowym odstępie. Ale kto? Najwyraźniej ktoś z dostępem do właściwego programu, kodów i hasła. Pozostało więc tylko pytanie – dlaczego? Dlaczego

wyciągać wszystkie pieniądze i zakończyć coś, co wydawało się przedsięwzięciem działającym pełną parą? Jeszcze raz przyjrzał się datom, zdał sobie sprawę, że było coś, co przeoczył.

Konta zostały opróżnione w sobotę 23 listopada. W tę samą noc, kiedy miał wypadek...

Samochód stał mniej więcej tam, gdzie Atif się spodziewał. Na ulicy, zaledwie sto metrów od anonimowej furtki z napisem „Istanbul Hammam”. Otworzył furtkę i wszedł na podwórko. Zbliżył się do domku i przez zniszczone małe drzwi wszedł do środka.

– Najlepsza łaźnia turecka w mieście, chłopcy, jestem tu zawsze we wtorki.

Olał recepcjonistę i poszedł prosto do przebieralni dla mężczyzn. Aż tutaj czuć było wilgoć i ciepło z różnych łaźni. Sweter się lepiał, serce biło niepokojąco szybko. Otworzył drzwi i cicho wsunął się do środka, z otwartej szafki zgarnął dezodorant w sprayu.

Eldar, okazały ochroniarz, siedział na jednej z ławek i bawił się komórką. Zauważył go dopiero, gdy już był prawie przy nim. Podskoczył na równe nogi, zaczął po omacku szukać broni. Atif psiknął mu porządną dawkę irish spring prosto w oczy. Potem kopnął mężczyznę w krocze tak mocno, jak potrafił. Ale źle to zgrał w czasie, Eldar zdążył się wykręcić i kopnięcie nie dało pełnego efektu. Zamiast tego rzuciło mężczyznę do tyłu na drewnianą ławkę i na podłogę po drugiej stronie. Atif był zmuszony obejść ławkę, żeby dokończyć atak, co dało Eldarowi kilka sekund zwłoki.

Mężczyzna wyciągnął broń i skierował ją w kierunku pędzącego na niego Atifa, jednocześnie gorączkowo przecierając oczy. Atif odepchnął uderzeniem rękę z pistoletem i ubódł mężczyznę prosto w twarz. Obydwaj przetoczyli się pod prysznice. Noga Eldara się ugięła, po omacku szukał jakiegoś oparcia i wyrwał wąż do prysznicy. Po całym pomieszczeniu zaczęła się rozpryskiwać ciepła woda.

Eldar dziko wymachiwał rękoma. Atif zrobił unik i wyprowadził twardy jak kamień lewy sierpowy w stronę wątroby mężczyzny. W końcu trafił tam, gdzie planował. Eldar złożył się, jakby trafiony przez błyskawicę. Woda wciąż pryskała, moczyła ubrania na leżącym mężczyźnie.

Atif chwiejnym krokiem wrócił do przebieralni. Serce waliło o żebra. Potarł czoło. Wierzch dłoni natychmiast pokrył się krwią zmieszaną z wodą. Koszula była przemoczona, pot spływał po plecach, a wilgotne powietrze utrudniało oddychanie. Usiadł ciężko na jednej z ławek. Wyłowił leżącą na podłodze broń Eldara. Kolejna zastawa, ale w dużo lepszym stanie niż ta Bakshiego. Podniósł się ciężko, wyładował magazynek na podłogę i kopnął daleko od siebie. Następnie odczepił lufę od uchwytu i obie części spuścił z wodą w muszli klozetowej.

Eldar jęczał cicho pod prysznicem, próbował zwinąć się w kłębek, co nie bardzo mu się udawało. Atif wiedział, że to trochę potrwa, zanim mężczyzna stanie na nogi. Uderzenie w wątrobę było diabelnie bolesne, dziewięć, może dziewięć i pół. Nikt się z niego nie otrząsał ot tak.

Otworzył drzwi z napisem „Hammam”. Przeszedł korytarzem z klinkierową podłogą i wszedł do dużego pomieszczenia ze sklepionym sufitem i ścianami wyłożonymi kafelkami. Puls nadal miał szybki, czuł w ustach smak krwi i adrenaliny.

Abu Hamsa leżał na jednym z kamiennych łóż, a żylasty, niski mężczyzna masował jego owłosione plecy. Kiedy masażysta zobaczył Atifa, cofnął się przerażony i podniósł ręce do góry. Atif pokazał głową na drzwi i mężczyzna natychmiast zniknął.

Abu Hamsa usiadł.

– Wyglądasz paskudnie – stwierdził bez większych oznak zdziwienia.

Atif wzruszył ramionami.

– Eldar? – Abu Hamsa uniósł brwi.

– Przeżyje. – Atif usiadł obok na łóżku.

– No to dobrze. Bo inaczej miałbym piekło – stwierdził Abu Hamsa.

– Czemu? – Atif wziął chusteczkę i starł krew z oczu.

– Jest zaręczony z moją córką – powiedział Abu Hamsa.

– Z którą, z Yasminą?

– Nie, nie, Yasmina studiuje. Uczy się na inżyniera. Z Susanną, pracuje u mnie. Zajmuje się moimi kantorami. To w ten sposób ona i Eldar... – Zrobił gest w kierunku przebieralni, zamilkł i spojrzał na Atifa. – Rozumiesz chyba, że nie mogę pozwolić, żeby ci to uszło na sucho? – ciągnął dalej. – Nawet nie ze względu na starą

przyjaźń.

Atif wzruszył ramionami.

– Dobrze, przyjacielu – westchnął Hamsa. – Zgaduję, że nie przyszedłeś tutaj tylko po to, żeby obić mój personel? No to o co chodzi?

Atif splunął zakrwawioną, pełną adrenaliny plwociną w kierunku spływu.

– Chcę pomocy w jednej sprawie – powiedział. – Adres do policjanta.

– Masz naprawdę dziwny sposób proszenia o pomoc, przyjacielu – zarechotał Abu Hamsa. – Wyjaśnij mi, czemu w ogóle miałbym rozważyć taką prośbę.

– Ponieważ proponuję układ. Ty dasz mi adres, a ja dam ci coś w zamian – powiedział Atif.

– I co by to miało być, przyjacielu? – Hamsa się uśmiechnął. – Co może mi zaoferować właściwie już martwy człowiek?

– Mogę dać ci Janusa – powiedział Atif.

## Czterdzieści cztery

Sarac pochylił się nad starym, zniszczonym skórzanym fotelem. Niedługo minie doba, odkąd znalazł się w tym mieszkaniu, z krótką przerwą na zaprowiantowanie w najbliższym 7-Eleven. Okazało się, że kartony, które stały przy składanym łóżku, zawierały wszystkie jego katalogi. A więc sam opróżnił biuro, dokładnie tak, jak myślał. Prawdopodobnie niedługo przed wypadkiem. Wygląda na to, że coś się stało, coś, co zmusiło go do wzmożenia ostrożności i sprawiło, że stał się jeszcze większym paranoikiem. Ale co? Czy miało to coś wspólnego z kretem, którego ścigał Dreyer, albo z zagrożeniem, o którym mówił Wallin? Czy chodziło o coś zupełnie innego? Puzzle, które starał się ułożyć, cały czas się powiększały. Były na dobrej drodze, żeby stać się ravensburgerem z pięcioma tysiącami kawałków, którego nie sposób ogarnąć wzrokiem.

Na czystym arkuszu spisał wszystkie swoje myśli. Ułożył je w szpalty w możliwie zrozumiały sposób, co, miał nadzieję, wprowadzi przejrzystość w pewnych sprawach. A przynajmniej na to liczył.

*Problem numer jeden:* zamordowano czterech mężczyzn. Czterech mężczyzn, którzy dla niego kapowali i których nazwiska tworzyły listę na pierwszej stronie jego zaszyfrowanego notatnika. Poza tym ich nazwiska na pewno znajdowały się na zaginionej liście zapasowej.

*Przypuszczenie:* osoba, która zamordowała mężczyzn, chciała przeszkodzić im w ujawnieniu czegoś, co wiedzieli. Czegoś, co miało związek z Janusem.

*Wniosek:* morderca był kimś, kogo mężczyźni znali lub o kim w każdym razie słyszeli. Kimś, kto miał wiele do stracenia. Wydawało mu się, że już ma mocnego kandydata. Samego Janusa.

*Słaby punkt:* operacja „Janus” była ściśle tajna, więc skąd czterech mało znaczących kapusiów mogło znać ważne szczegóły?

*Problem numer dwa:* Erik I. Johansson, czyli sam Sarac, dysponował dwoma kontami bankowymi za granicą i tajnym lokalem. Aż do dnia jego wypadku na kontach



znajdowały się duże sumy pieniędzy. Na jednym koncie widniało trochę drobnych wypłat, a na drugim duże wpłaty.

*Przypuszczenie:* Erik I. Johansson nie istniał. Był jego alter ego, potrzebnym, żeby mógł zarządzać swoim projektem. Dlatego również konta należały do niego. Drobne wypłaty stanowiły głównie wynagrodzenia w gotówce dla różnych informatorów albo zapłaty za rachunki w barach.

*Wniosek:* prowadzenie operacji „Janus” pod fałszywym nazwiskiem, za pomocą niejasnego finansowania i później w zewnętrznym lokalu było złamaniem wszystkich możliwych zasad. Gdyby to wyszło na jaw, zostałby zwolniony i prawdopodobnie trafiłby do więzienia. Dlatego zdecydował o wyniesieniu się z kwatery policji i przeobrażeniu się w samotnego kozła ofiarnego.

*Słaby punkt:* brak wyraźnego słabego punktu w tym rozumowaniu, ale z kolei mnóstwo pytań. Jeśli konta należały do niego, gdzie w takim razie była karta płatnicza? I jeszcze bardziej interesujące: skąd pochodziły te wszystkie pieniądze?

*Problem numer trzy:* Peter Molnar uważał, że zarówno jego udar, jak i wypadek samochodowy były wynikiem ekstremalnego stresu połączonego z nadużywaniem narkotyków. Że dziwaczna podróż samochodem była częścią procesu załamania się Saraca. Natomiast Dreyer uważał, że Sarac był w drodze na spotkanie z Wydziałem Spraw Wewnętrznych, gotów zdemaskować kreta w Wydziale Kryminalnym Komendy Wojewódzkiej, ale ktoś go dosłownie zatrzymał, wciskając jego samochód w betonową ścianę. Zdaje się, że również Bergh i Wallin myśleli podobnie: ktoś chciał jego śmierci.

*Przypuszczenie:* jeden lub kilku z nich kłamało albo ukrywało ważne elementy prawdy. Może nawet wszyscy czterej.

*Wniosek:* nikomu nie można ufać, wszyscy próbowali nim manipulować dla własnych celów. Nawet jego najlepszy przyjaciel.

*Słaby punkt:* niestety również i to rozumowanie nie miało znaczących słabych punktów.

I na koniec *problem numer cztery*, na którym w końcu utknął: tej samej nocy, kiedy

on się rozbił, na Starym Mieście znaleziono motocyklowego bandytę Briana Hansena martwego, w samochodzie, z dziewięciomilimetrową kulką w głowie. Co dziwne, facet siedział na przednim siedzeniu dla pasażera. Poza tym kilka godzin wcześniej ktoś wyczyścił konta bankowe Erika I. Johanssona z około czternastu milionów koron. W lokalu należącym do Erika Johanssona leży jego własna broń. W magazynku pistoletu brakuje jednego dziewięciomilimetrowego naboju. Poza tym ma wspomnienia związane ze śmiercią Hansena, co jest co najmniej niepokojące.

*Przypuszczenie:* to nie może być przypadek, że wszystkie trzy zdarzenia następują tego samego dnia. To samo dotyczy broni i brakującego naboju. Jego służbowej broni prawdopodobnie użyto do zabicia Briana Hansena.

*Wniosek i słaby punkt:* niemożliwe bez dalszych informacji. A przynajmniej to próbował sobie wmówić.

Wszystkie zdarzenia z soboty, 23 listopada, miały wspólny mianownik i tym razem nie był nim Janus. *On sam* znał Hansena, *on sam* miał dostęp do broni, kont bankowych i lokalu. To jemu zdarzyła się jakaś totalna katastrofa i potem miał poważny wypadek. W którym ktoś pomógł lub nie. I co to oznaczało?

Dlaczego zdawało mu się, że pamięta spotkanie z Hansenem w samochodzie, strzał, który trafił go w kark? Co właściwie robił na kilka godzin przed wypadkiem? Był całkowicie pewien, że to Janus stał za śmiercią Hansena. Ale po tym, jak znalazł broń, nie był już taki przekonany. Czy mógł kogoś zabić i tego nie pamiętać?

Wyrzucił papier i zaczął krążyć przed białą tablicą.

Laptop przyniósł tylko rozczarowanie. Cała historia w wyszukiwarce była wymazana, wszystkie pliki z dokumentami puste, a na pulpicie widniało tylko standardowe niebieskie tło. Twardy dysk wyglądał na sformatowany, więc jeśli w komputerze były jeszcze jakieś tajemnice, to zakopane tak głęboko w jego pamięci, że już nie był w stanie do nich dotrzeć, co było dość, kurwa, ironiczne.

Bez żadnego planu przeglądał szuflady. Poza pistoletem i nabojami znalazł też kaburę do broni i jeszcze dwie małe skórzane kieszenie, jedną z dodatkowym magazynkiem i drugą z parą kajdanek. Na samym dole znalazł mały futerał ze swoją legitymacją służbową. Dlaczego zostawił ją tutaj? Kolejne pytanie bez odpowiedzi.

Zaczynał odczuwać chandrę. Tęsknił za rozmową z kimś. Z kimś, komu można zaufać, kimś, kto w przeciwieństwie do Wallina, Bergha, Molnara czy Dreyera nie miał własnego planu, nie przeinaczał faktów i nie mieszał prawdy z kłamstwem w sposób, jaki mu pasował.

Kimś takim jak Natalie. Uświadomił sobie, że za nią tęskni, a jednocześnie miał wyrzuty sumienia, że wciągnął ją w całą tę historię. Z jednej strony cieszył się, że nie zjawiała się w jego mieszkaniu. Z drugiej – czuł rozczarowanie.

Wziął legitymację i jeszcze raz wysunął górną szufladę. Kilka luźnych kartek, długopisy, mocno używana książka telefoniczna, a pod nią połowa paczki marlboro. Wyrzucił kilka papierosów na stół, żeby sprawdzić, czy coś nie zostało schowane w pudełku. Następnie odkrył małą czerwoną draskę z pudełka do zapalek wciśniętą między plastik a karton paczki papierosów. Na drasce było zapisane „Club Babel”. Zdawało mu się, że rozpoznaje nazwę, i szybko wyciągnął wydruki z kont. Znalazł kilka pozycji z wydatkami, podpisanych „Restauracja Babel, Kungsgatan 30”. W dodatku na dość duże sumy.

Wziął książkę telefoniczną i próbował znaleźć numer telefonu do restauracji. Bez powodzenia. Może książka była za stara, a poza tym kto teraz używa książek telefonicznych, kiedy wszyscy mają smartfony?

Pomyślał o rozmowie z Molnarem na temat miejsca, w którym spotykał się z Janusem. „Miejsce przemawiające do jego ego. Pokazujące, jaki jest dla nas ważny. Dobra restauracja albo klub”.

Jak się okazało, pod adresem Kungsgatan 30 mieściła się północna wieża z dwóch wysokich wież, które opasywały starą ulicę. Wejście znajdowało się w jednym z rogów wieży, pięć kamiennych stopni powyżej chodnika, po obu stronach dwa duże posągi, które zdawały się trzymać cały okazały budynek z lat dwudziestych na swoich barkach.

Wszedł do środka. Wystarczyło, że przeszedł kilka metrów w głąb obłożonego kamieniem holu z windami, by wieczorny odgłos ulicy ucichł. Stał przed windami i przyjrzał się tablicy. Znalazł Club Babel na szesnastym piętrze i ściągnął windę.

Jego sportowe buty zapadły się na kilka milimetrów w grubej wykładzinie

w windzie. Restauracja była w rzeczywistości długim blatem barowym z kilkoma stołkami, wszystko w stylu art déco. Zmęczony barman w koszuli, kamizelce i podwiązkach do rękawów czyścił kieliszki, ale poza tym lokal był prawie pusty, jeśli nie liczyć kilku japońskich turystów pozujących na tle wspaniałego widoku rozciągającego się za dużymi oknami.

Sarac usiadł na jednym ze stołków.

– Czym mogę szanownemu panu służyć? – Głos i wyszukane sformułowanie barmana sprawiły, że coś w głowie Saraca kliknęło.

– Jestem członkiem – powiedział, nie wiedząc dokładnie dlaczego. Głos brzmiał inaczej. Jakby nie do końca był sobą.

– I szanowny pan się nazywa...?

– Johansson – odpowiedział. – Erik I. Johansson.

Mężczyzna postukał w pulpit tabletu, ukrytego pod blatem.

– Oczywiście – powiedział w końcu. – Nie poznałem pana w czapce, panie Johansson. Witamy z powrotem. – Mężczyzna położył na blacie przed Sarakiem metalowy żeton i zrobił mały gest w kierunku czerwonej aksamitnej zasłony w rogu pomieszczenia.

Kolejna winda. Ta była mała, na pewno mogła pomieścić nie więcej niż cztery osoby. Na jednej ze ścian znajdowała się mała metalowa płytką z wyraźną szczeliną, pod nią niewielkie lustro. Sarac wsunął żeton do szczeliny i na krótko napotkał swój wzrok w lustrze. Zauważył, że wygląda inaczej. Coś w spojrzeniu.

Przy drzwiach windy przywitała go ładna kobieta. Krótko obcięte ciemne włosy, fryzura z lat dwudziestych, pomalowane na ciemno oczy, opaska ze strusim piórem na włosach i do tego prosta jedwabna sukienka, która kończyła się tuż nad kolanami. Przez materiał można było odgadnąć małe płaskie zapinki do pończoch. Duże pomieszczenie na najwyższym piętrze doskonale pasowało do jej ubrania. Podłoga w szachownię, tu i ówdzie przykryta grubymi dywanami. Proste linie chromowanych mebli ze skórą i szlachetnym drewnem powracały w czworokątnych wzorach namalowanych tuż pod sufitem.

Wysokie okna wychodziły na południe i wschód i ukazywały fantastyczny widok Sztokholmu, przesłonięty tylko przez ten sam poziom w wieży południowej

znajdującej się jakieś dwadzieścia metrów dalej. Wieża była tak blisko, że wyraźnie było widać rzymskie figury stojące na zewnątrz.

Rzymscy bogowie, pomyślał Sarac. Raczej nie przypadek.

Dokładnie tak, jak na niższym poziomie, bar i cały lokal w każdym detalu oddychały latami dwudziestymi. Wszystko było fantazją na temat art déco.

– Dobry wieczór, panie Johansson – powiedziała kobieta. – Jakiś czas pana nie widzieliśmy. Pana stały stolik jest zajęty przez innego stałego gościa, ale jesteście przecież dobrymi przyjaciółmi.

Wskazała delikatnie dalszą część lokalu, gdzie można było dostrzec kilka oddzielnych boksów. Sarac powoli ruszył w tamtą stronę. Czuł przyspieszenie pulsu. Kto siedział przy stoliku? Czy to mógł być mężczyzna, którego szukał? Znów kątem oka spojrzął na figury na zewnątrz. Pomyślał o rzymskich bogach.

Ale po raz drugi w ciągu tej samej doby rozczarował się. Siedzący w boksie mężczyzna w garniturze nie był Janusem, wiedział to w momencie, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Ten mężczyzna miał około pięćdziesiątki i długie siwe włosy zaczesane do tyłu, które na szczycie głowy zaczynały się przerzedzać. Na nosie wisiała mu para okrągłych okularów i kiedy Sarac się zbliżył, odłożył gazetę, którą akurat czytał.

– Ależ to ty, Erik! – Mężczyzna wstał i wyciągnął rękę. – Od kilku tygodni próbuję się do ciebie dodzwonić, ale natykam się tylko na automatyczną sekretarkę. – Zdjął okulary do czytania i pomachał nimi w powietrzu. – Usiądź.

Sarac skinął głową, zrobił, o co mężczyzna prosił. Dobrze go znał i gorączkowo próbował sobie przypomnieć imię.

– Właśnie czytałem o naszym nowym ministrze sprawiedliwości. – Mężczyzna wskazał na gazetę. – Ma zamiar podjąć zakrojone na dość szeroką skalę działania, w każdym razie jeśli wierzyć gazetom. Moja praca stanie się bardziej uciążliwa. Ale na szczęście istnieją drogi obejścia większości problemów, prawda, Erik?

Mężczyzna się uśmiechnął, pokazał rząd kredowobiałych koronek.

Adwokat, pomyślał Sarac. Ten mężczyzna był adwokatem i nazywał się...

– I jak idzie? – Mężczyzna pochylił się nad stołem. – Moi klienci są, jak wiesz, bardzo natarczywi i chcą usłyszeć o twoich postępach.

Sarac nie odpowiedział.

– Od kiedy widzieliśmy się ostatnio, sytuacja stała się jeszcze bardziej napięta. Niektórzy z ich zagranicznych partnerów biznesowych zdecydowali się na niezależne dochodzenie. Przesłali nawet doradcę z zewnątrz, którego obecność wzbudziła pewien niepokój. – Znów się uśmiechnął, tym samym krokodylim uśmiechem co wcześniej. – Ale zaleciłem swoim klientom spokój. Powiedziałem, że dostarczysz to, czego chcą.

Sarac sztywno przytaknął. Próbował ogarnąć to, o czym mówił mężczyzna. Jego mózg pracował na pełnych obrotach.

– No więc, jak ci idzie? – powtórzył mężczyzna i podniósł ręce. – Oczywiście nie chcę znać żadnych szczegółów, tylko coś, co mogłoby nieco uspokoić moich klientów. Żeby poczuli się bezpiecznie ze swoją dość znaczną inwestycją.

– Dobrze – wymamrotał Sarac. – Albo... – Rozejrzał się, następnie wziął głęboki oddech. – Chodzi o to, że ja nie bardzo... – Zdjął czapkę, pokazał na opatrunek na głowie. – Miałem wypadek. Rzeczy mi się trochę pomieszały.

Mężczyzna spojrzał na niego, nagle już nie był taki przyjacielski.

– No więc – ciągnął Sarac. – Czy mógłbyś mi tylko trochę przypomnieć, co uzgodniliśmy?

Mężczyzna lekko się wyprostował. Gapił się na Saraca, jakby próbował rozstrzygnąć, czy ten z niego żartuje.

– Chyba nie próbujesz mnie wydymać, Erik? – powiedział. – Byłoby to nadzwyczaj nierozsądne, jeśli wziąć pod uwagę nasze wcześniejsze interesy.

– Nie, nie! – Sarac pokręcił głową. – Muszę tylko trochę ogarnąć sytuację.

Bardzo się starał, żeby brzmiało to przekonująco. Nagle zauważył małą plaketkę na jednym z brzegów stolika. Prawdopodobnie nazwiska stałych gości, którzy mieli pierwszeństwo przy stoliku. Na szczycie wpisany był Erik I. Johansson. Pod nim jeszcze jedno nazwisko, które wymienił Dreyer jakiś dzień temu. „Ktoś z waszego wydziału sprzedaje informacje świątkowi przestępczemu. Wszystko idzie przez pośrednika, adwokata o nazwisku Bengt Crispin”.

Sarac poczuł, jak mu się kurczy żołądek.

– Współpracujemy już prawie rok, Erik – ciągnął Crispin. – Jak do tej pory

byliśmy bardzo zadowoleni z wyników.

Sarac kiwnął głową, próbował się uśmiechnąć, choć czuł, jak pokój się kołysze. Posągi po drugiej stronie ulicy zdawały się unosić w powietrzu, patrzyły na niego oskarżycielsko.

Jeszcze raz przeczytał wykwintne litery, próbował zrozumieć, co to znaczy. Kim w rzeczywistości był kret, na którego polował Dreyer i którego on sam miał zdemaskować w ramach przymusowej rekrutacji.

– Ale naprawdę niezłe pieniądze – ciągnął Crispin – zapłaciliśmy ci za zdemaskowanie, kto kryje się za ksywką Janus.

## Czterdzieści pięć

– Halo?

– Dobry wieczór, Abu Hamsa. Tu Bengt Crispin.

– Pan adwokat, jak miło.

– Chciałem tylko powiedzieć, że spotkałem się z moim kontaktem, właśnie przed chwilą. Niestety jest tak, jak się obawiałem. On prawdopodobnie nie wykona zlecenia. W każdym razie nie w najbliższym czasie.

– Oj, to smutna wiadomość.

– To co teraz robimy?

– Cóż, na szczęście mamy plan B. Ofertę od nowego gracza lub od starego przyjaciela, zależnie, jak na to spojrzeć.

– Czy chcę wiedzieć, co ona obejmuje?

– Nie, panie adwokacie, wydaje mi się, że nie chce pan.

Sarac został jeszcze dobrą chwilę po odejściu Crispina. Wypił postawionego przed nim drinka, mimo że o niego nie prosił. Potem jeszcze jednego. Tajemnica została w każdym razie rozwiązana. Teraz wiedział, skąd pochodziły wszystkie pieniądze. Wcześniej tego wieczoru zaczynał podejrzewać, że to on sam mógł być mordercą. Teraz mógł dodać do listy jeszcze skorumpowanego policjanta.

Wyprostował się, miał właśnie podnieść rękę, prosząc o dolewkę, kiedy barman postawił przed nim kolejnego drinka.

– Dzięki, Noa – wymamrotał. Sam się zdziwił, że pamięta imię barmana.

Jego mózg był jak wielki, kurewsko desperacki burdel. Mniej więcej jak jego życie. Im bardziej dokopywał się do osoby, którą był, tym mniej podobał mu się wynik. Lista ludzi, których zawiódł, robiła się coraz dłuższa i dłuższa. Bergh, Molnar, chłopaki z zespołu, on sam, informatorzy, nawet Janus. Nie mógł po prostu mieć cholernej totalnej utraty pamięci? Pełne sformatowanie, dokładnie jak laptop w szufladzie biurka. Albo jeszcze lepiej, po prostu umrzeć na miejscu. Oba rozwiązania wydawały się lepsze niż to piekło, w którym teraz się znajdował.

Czym on się, do cholery, zajmował? Rozpoczął całą operację „Janus” tylko po to,



żeby – kiedy jego wartość odpowiednio wzrośnie – sprzedać swoją wtyczkę temu, kto da więcej? Koniec końców to pieniądze rządzą, prawda, David? A może teraz tak naprawdę nazywał się Erik?

Lokal powoli zapełniał się ludźmi. Duża większość to mężczyźni, oprócz niego nikogo poniżej czterdziestki. Ale zjawilo się też więcej kobiet, wszystkie ubrane w stylu lat dwudziestych, co prawdopodobnie znaczyło, że pracowały w klubie.

Rozpoznał kilku mężczyzn. Biznesowe szczy, politycy, nawet jeden prezenter z telewizji. Kilku z nich kiwnęło mu głową i odpowiedział na ich powitanie. Muzyka, która wcześniej szemrała w tle, teraz grała głośnie. Jakiś rodzaj klubowego jazzu. Usypiające, hipnotyczne sploty.

Przy stoliku zjawila się kobieta, która go przywitała.

– Przepraszam, panie Johansson, chciałam tylko powiedzieć, że mamy teraz wolny termin masażu, jeśli jest pan zainteresowany. Ktoś odwołał masaż u Rio, a pan przecież zwykle...

Nie wiedząc dlaczego, niemo pokiwał głową. Pozwolił się poprowadzić przez lokal do rzędu drzwi po przeciwnej stronie niż winda. Wszedł i znalazł się w pokoju z ciężkimi aksamitnymi zasłonami w oknach. Z kilku zapalonych świec unosił się zapach drzewa sandałowego. Sarac zdjął ubranie i usiadł na stole do masażu stojącym na środku pokoju. Wokół bioder związał gruby biały ręcznik frotté.

Nie pił alkoholu od czasu wypadku. Zapach, muzyka, słabe światło, wszystko stopiło się w przyjemną, przytępiającą mgłę. Położył się na brzuchu i zamknął oczy. Usłyszał, jak ktoś cicho otwiera drzwi.

– Zaczęłam myśleć, że o mnie zapomniałeś, Eriku. – Głos był miękki, znajomy w lekko podniecający sposób.

Ciepły olej sprawił, że drgnął. Jej ręce były miękkie, ale zdecydowane. Szybko wyszukały napięcia w jego karku i ramionach. Rozluźniały je, jeden po drugim. Zdawało się, że wiedziała dokładnie, ile jest w stanie znieść. Zręcznie balansowała na granicy pomiędzy bólem a przyjemnością.

Przełknął ślinę, próbował zebrać myśli. Nie udało mu się. Poczł skradającą się erekcję. Muzyka grała dalej, przeszła w znane słowa.

*Odds for a christening, and evens, a wedding day...*

Uświadomił sobie, że jęczy z rozkoszy, delikatnie przyciska biodra do stołu.

– Obróć się – powiedziała cicho.

Posłuchał, ale nadal miał zamknięte oczy. Otworzył je dopiero, kiedy delikatnie przejechała rękoma po bliźnie na jego klatce piersiowej. Była ładna, ładniejsza, niż pamiętał. Erekcja rosła pod ręcznikiem, nie dała się poskromić.

*I owe everything*

*debts I can't escape til the day I die.*

– Ja – wymamrotał, bez entuzjazmu próbował się podnieść.

– Szsz... – szepnęła, przyciskając go do stołu. – Znasz zasady, żadnych rozmów. – Jej palce poruszały się wolnymi, drażniącymi kołami po jego brzuchu. Zbliżały się do brzegu białego ręcznika.

Znów przymknął oczy, alkohol i muzyka sprawiły, że mózg powoli zwalniał. Skupił się na cieszeniu się jej dotykiem, prawie jak w transie.

Jestem Erik Johansson, myślał, kiedy ona wolno rozwiązywała ręcznik. Zauważył, jak głos w jego głowie zmienił ton.

Erik I. Johansson, mężczyzna, który nie istnieje. Podejrzany morderca, skorumpowany policjant, wiarołomny przyjaciel. Narkoman, kłamca i klient prostytutki.

Żyję na pograniczu, balansuję na wysoko rozpiętej linie. I kocham to.

– John, tu Jesper Stenberg.

– Jesper, jak miło, że w końcu masz dla mnie czas.

Stenberg zastanawiał się nad utrzymaniem maski, przejściem przez zwyczajowe grzeczności, zanim zbliży się do tematu. Ale zdecydował się srać na protokół.

– Co ty, do cholery, wyprawiasz, John?

– Masz na myśli moją nieformalną pogawędkę z Cariną LeMoine? Tak, zgadłem, że to przyciągnie twoją uwagę. Ostra z niej kobieta, gdyby chciała, mogłaby daleko zajść. I jest prawniczką.

Stenberg niemal widział w słuchawce zadowolony uśmiech Johna Thorninga.

– Unikalesz mnie, Jesper. Nie odpowiadałeś na moje telefony.

– Wyjaśniłem ci, jaka to delikatna sprawa.

– Dokładnie dlatego, Jesper. Wszystko jest delikatne i dlatego najprościej dla ciebie jest siedzieć cicho. Poczekać kilka miesięcy z nadzieją, że się zmęczone. Tak więc pomyślałem, że zaoszczędzę nam obu zarówno czasu, jak i siły, i w pedagogiczny sposób wyjaśnię ci, że do tego nie dojdzie. W rzeczywistości zaczynam wątpić, czy w ogóle zrobiłeś coś dla mnie i Sophie. Mam wrażenie, że twoje obietnice nie były zbyt wiele warte i że może postawiłem na złego konia.

John Thorning przerwał, pozwolił, żeby te słowa zawisły w powietrzu. Stenberg nie mógł sobie wyobrazić, że mówi poważnie. Ot tak poświęci swojego ministra sprawiedliwości? Problem w tym, że Stenberga nie było stać na sprawdzenie blefu. Oczywiście, mógłby tak dalej ciągnąć. Mieć gdzieś opinię Związku Adwokatów. Ale to uczyniłoby wszystko nieskończenie trudniejszym. Związek pociągnąłby za wszystkie możliwe nitki, żeby zatrzymać jego pomysły, pisaliby artykuły do gazet, wpływali na swoje kontakty w parlamencie i na pewno również w innych instancjach odwoławczych. Johna Thorninga bez wątpienia było stać, żeby cholernie utrudnić mu życie. I teraz staruszek zdawał się być z powrotem w dobrej formie.

– John, kompletnie niczego nie rozumiałeś. – Stenberg przymknął oczy, próbował opanować głos. – Jak powiedziałem, do sprawy skierowaliśmy naszą najlepszą śledczą. Wykształcona w FBI, zagraniczna służba. Wybraliśmy ją, żeby mieć zupełnie świeże spojrzenie. – Zaciśnęła wargi. Uzmysłowił sobie, że właściwie nie powinien tego mówić, ale nie bardzo miał wybór. – Zwróciła uwagę na kilka rzeczy, które wydają się dziwne. Między innymi znalazła mały kawałek szkła ze śladami krwi. Nadal czekamy na wyniki. – Stenberg wziął głęboki oddech. – Nie mówiłem o tym, bo nie chciałem rozbudzać fałszywej nadziei. Prawdopodobnie to po prostu krew Sophie. – Umilkł, zdał sobie sprawę, że wstrzymuje oddech.

– Gdzie? – spytał John Thorning po chwili ciszy.

– Słucham?

– Gdzie znaleźliście kawałek szkła, Jesper?

– Pod wyspą kuchenną. Utkwił w jednej ze spoin w kamiennej podłodze.

Stenberg widział wszystko przed sobą. Jak nadepnął na szkło, wydłubał kawałeczek z rany. Jak kilka razy ten kawałeczek podskoczył, potoczył się po gładkiej podłodze, dalej pod wyspę kuchenną, aż zniknął w spoinie. Wciągnął kilka razy

głęboko powietrze i zaczął od nowa. Wymienił siebie na Sophie. Wyobraził sobie, że to dla odmiany ona nadepnęła na szkło, kiedy popędziła za nim do windy. Trochę pomogło.

– Jak długo? – spytał John Thorning. Jego głos brzmiał teraz łagodniej, mniej agresywnie.

– Ten kawałek szkła jest teraz w SKL, więc musimy trzymać się ich zwyczajowych terminów badań – wyjaśnił Stenberg. – Jeśli będziemy nalegać i próbować ich przekonać, żeby dali priorytet właśnie tej próbie...

– Wzbudzicie niepotrzebne zainteresowanie – dokończył Thorning.

– Dokładnie. – Stenberg wysilił się, żeby brzmieć neutralnie. – Jeszcze jakiś tydzień, John, sądzę, że raczej nie dłużej. Ale obiecuję się odezwać, kiedy tylko dostaniemy wiadomość.

W słuchawce ucichło i przez moment Stenbergowi zdawało się, że jego rozmówca odłożył słuchawkę. Ale usłyszał chrobotanie w mikrofonie.

– Okej, niech będzie, Jesper.

Rozmowa skończona. Stenberg odłożył telefon, zwalczył impuls, żeby podejść do umywalki i umyć ręce.

John Thorning nie odpuści, póki nie zobaczy pisemnego raportu z nowego śledztwa. Dowodu, że naprawdę się wysilili, żeby go zadowolić. Próbka w SKL właściwie była doskonała, pokazywała, że naprawdę zajrzeli wszędzie. Problem w tym, żeby zaświadczenie ze stuprocentową pewnością pokazywało, że to była krew Sophie. Ale jak ze wszystkim innym, chodziło o to, żeby utrzymać wzrok skupiony na celu. Nie wpuścić do głowy myśli o niepowodzeniu.

Próbka w SKL to nie był żaden problem. Wykażą, że była to krew Sophie, i tym samym jego dawny mentor będzie mu winien przysługę. A jeśli o tym mowa...

Pochylił się nad stołem i nacisnął przycisk interkomu.

– Jeanette, mogłabyś przysłać tu Wallina, proszę?

Stenberg oparł się na krześle przy biurku, spojrzął w górę na cytat Bobby'ego Kennedy'ego. Pomyślał o Karolinie, o wszystkim, co poświęciła, żeby on mógł siedzieć za tym biurkiem.

– Nie mogę się pozbyć uczucia, że Sztokholm próbuje nas wydymać – powiedział, kiedy tylko Wallin zamknął drzwi. – Że cała ta sprawa z Davidem Sarakiem i jego utratą pamięci jest tylko zasłoną dymną. Ich sposobem na ukrycie pewnych spraw. Wyślij tę wtyczkę za granicę i usuń wszelkie ślady, zanim my albo wewnętrzni zdążymy coś znaleźć.

Wallin kiwnął głową.

– Tak, też o tym myślałem. Idą słuchy, że komendant wojewódzka policji Swensk ma zamiar poświęcić Bergha i pewnie też Saraca, żeby ograniczyć szkody. Wie pan, oczywiście, że ona i Carina LeMoine są ze sobą blisko. Razem kończyły studia prawnicze, obie siedzą w zarządzie Kobiecej Sieci w Sztokholmie.

Stenberg wstał i podszedł do okna.

– Co myślisz o możliwości podsłuchania telefonu Saraca? – spytał.

Wallin wzruszył ramionami.

– Jego telefon służbowy zniknął, nie mamy aktualnego numeru. – Zastanowił się.  
– Ale Sarac jest blisko ze swoim byłym szefem, kolesiem o nazwisku Molnar. Jeśli coś się będzie działo, na pewno się do niego odezwie.

Stenberg nic nie powiedział, zrobił tylko znaczący grymas.

– Podsłuch telefoniczny będzie wymagał decyzji prokuratora. Będziemy zmuszeni rozpocząć dochodzenie – powiedział Wallin.

– Ale oczywiście istnieją mniej formalne sposoby rozwiązania problemu – dodał.  
– Jednak to zawsze łączy się z pewnym ryzykiem.

Stenberg wyjrzał na zewnątrz, pozwolił wzrokowi odpocząć na mewie unoszącej się na tle szarych chmur. Ptak wykorzystywał wiatr, żeby wisieć prawie nieruchomo pomiędzy niebem a ziemią.

– Chodziłeś kiedyś po linie, Oscar? – powiedział, nie odwracając się. – Trik polega na tym, żeby nie patrzeć w dół. Nawet sobie nie wyobrażać, że można spaść.

## Czterdzieści sześć

– Halo, tu Atif.

– Atif, jak miło cię słyszeć.

– Czy ta linia jest bezpieczna, Hunter?

– Oczywiście.

– Dwie sprawy – powiedział Atif. – Pierwsza: przyjmuję twoją propozycję. Zajmę się wszystkim, kiedy tylko przesłuchacie Janusa. Dopilnuję, żeby zniknął na dobre.

– Dobrze! A druga?

– Potrzebuję samochodu i broni.

– Już o tym pomyśleliśmy – powiedział Hunter.

Kiedy Sarac przemknął przez drzwi wejściowe, zdążyło już się ściemnić. Słaby ruch na Kungsgatan i zaledwie niewielkie grupki osób na ulicy. Kierując się czystym impulsem, odbił w prawo i poszedł schodami w górę, w stronę ulicy Malmskillnadsgatan. Zatrzymywał się na każdym podeście, żeby złapać oddech, ale odkrył, że poruszał się swobodniej, niż się spodziewał. Prawa noga była prawie sprawna. Tak jakby alkohol, masaż i to, co było potem, odmieniły go. Zmieniły w kogoś innego.

Oczywiście, czuł wstyd, ale znacznie mniejszy niż powinien. Część mózgu nadal rozkoszowała się uczuciem, o jakie się otarł tam na górze. Uczuciem, że może zrobić prawie wszystko i nie musi myśleć o konsekwencjach.

Teraz pamiętał dużo więcej. Przypomniawszy sobie wiele z tych nocy, które spędził tam na górze z klientką ekskluzywnego klubu. Przyjaźń oparta na tajemnicach, niewidoczne umowy. Życie w skórze Erika I. Johanssona było grą, utrzymywaniem równowagi na wysoko zawieszanej linie, co opanował do mistrzostwa w ciągu ostatnich miesięcy, może nawet lat. Aż do momentu kiedy spojrzał w dół i zdał sobie sprawę, jaka otchłań czeka pod stopami.

Ta rola idealnie mu pasowała, wystarczy przejrzeć wyciągi z kont. Pieniądze tylko płynęły. Drinki, obiady lub inne bardziej dyskretne przyjemności, które oferowały prywatne części klubu.

Na początku granie tej roli na pewno miało jakiś cel. Zdobyć nowych informatorów, wysoko postawionych kluczowych osób, które mogłyby się na coś przydać, jeśli nie teraz, to w przyszłości. Ale z czasem przestało to być takie jasne. Wymazał linię pomiędzy dobrem a złem. Zadawał się z Crispinem, żeby móc dalej żyć życiem Erika Johanssona. Na pewno zaczynał od małych rzeczy, przekazywał dyskretne informacje o osobach lub adresach, które były obserwowane. Później szybko poszybował dalej w opadającym samolocie. Został kretem, wtyczką o podwójnej lojalności. Opiekunem informatorów i jednocześnie informatorem. Policjant, kapuś, kret, narkoman i najwyraźniej również klient prostytutki. Jaka fantastyczna kombinacja! Nie dziwota, że gryzło go poczucie winy, nawet przez bliźnię w jego mózgu.

Czy to dlatego pojawiły się narkotyki, żeby zagłuszyć sumienie? Czy może narkotyki były powodem, dla którego potrzebował więcej pieniędzy? Jeśli Crispin miał rację, był gotów popełnić największe wiarołomstwo. Dać im Janusa, swojego najlepszego informatora. Czy mógł być aż tak zdesperowany?

Rzeczywistość i gra, prawdy i kłamstwa – wszystko się zlało. Stworzyło sieć, z której nie mógł się wyrwać. I gdzieś tam w głębi czekał na niego pająk. Siedział na swojej tajemnicy.

Sarac doszedł do kościoła św. Jana i zaczął iść przez cmentarz. Szedł wzdłuż oczyszczonej ze śniegu ścieżki pomiędzy grobami, właściwie nie wiedząc, dokąd zmierza. Potrzebował powietrza, musiał wyczyścić głowę, zanim wróci do lokalu.

Wzdrygnął się na dźwięk drzwiczek samochodu. Pewnie klient wysadza jedną z nielicznych prostytutek, które jeszcze nie przeniosły się do internetu i ciągle szlajały się po Malmskillnadsgatan. Obrócił się, ujrzał tylne światła oddalającego się samochodu.

Lekki ruch przyciągnął jego uwagę. Ktoś stał między drzewami jakieś sto metrów dalej. Poczował, że jego serce zaczyna bić trochę szybciej. Postać nadal stała bez ruchu, równie dobrze mógł to być pomnik albo wysoki kamień nagrobny, który jego mózg zamienił w coś innego.

Ale wtedy dostrzegł słaby świetlisty punkcik. Zniknął tak szybko, jak się pojawił, mimo to Sarac był pewien, że dobrze widział. Żar papierosa.

Zawrócił, zaczął iść w kierunku schodów do kościoła. Starał się nie biec. Nowy dźwięk, krakanie jakiegoś ptaka. Znów się obejrzał. Postać między drzewami zniknęła.

Nastawił uszu, próbował rozróżnić więcej dźwięków. Ale poza słabym odgłosem ruchu ulicznego słyszał tylko własny ciężki oddech, kiedy walczył ze schodami. Przed nim piętrzył się stary, gotycki ceglany kościół. Budynek miał z pewnością co najmniej trzydzieści metrów wysokości, przypominał bardziej katedrę niż zwykły kościół.

Dotarł do szczytu schodów, stanął i obrócił się. Cmentarz zdawał się całkiem opustoszały. Mimo to był pewien, że gdzieś tam między cieniami ktoś był. Ktoś, kto go obserwował.

Strach skurczył mu żołądek. Zmusił się do zrobienia kilku głębokich oddechów. Następnie zaczął biec w kierunku dalszego rogu cmentarza.

Dopiero kiedy wyszedł na niewielką ulicę, uświadomił sobie, że znalazł się w ślepej uliczce. Po prawej i lewej stronie drogę blokowały mu domy. Za nim ciemny cmentarz.

Ale przed nim była wąska ścieżka wciśnięta między domy, która powinna prowadzić do zdecydowanie bardziej ruchliwej ulicy Regeringsgatan. Tam mógłby złapać taksówkę.

Rzucił szybkie spojrzenie przez ramię i zaczął iść tak szybko, jak mógł. Ustawił wzrok na światło lamp ulicznych sto metrów dalej. Znów się obrócił. Tuż za nim z ciemności cmentarza wyłoniła się ubrana na czarno postać z kapturem.

Sarac zaczął biec. Ciało od razu zaprotestowało. Nie mógł porządnie wyprostować prawej nogi, a oddech stał się ciężki już po kilkunastu krokach. Znowu się obrócił. Człowiek w kapturze ruszył za nim. Biegł równym rytmem, nie za szybko, żeby nie ryzykować poślizgnięcia się na pokrytej lodem ziemi. Sarac zwiększył prędkość, zmusił ramiona do pomocy. Jego mózg szukał logicznego wyjaśnienia paniki. Próbował kontrolować instynkt ucieczki. Bez powodzenia.

Ścieżka nagle się urwała. Przeszła w dwudziestometrowy spad, przez który schody zygzakiem schodziły do Regeringsgatan.

Próbował brać dwa schodki naraz. Poczul chęć, żeby przeskoczyć ten ostatni



kawałek do pierwszego podestu, ale w ostatniej chwili zrezygnował. Buty ślizgały się na oblodzonych kamykach i prawie stracił równowagę. Ale złapał jedną z żelaznych poręczy, zmusił się, żeby skrócić w prawo i skierować się do następnego podestu.

Facet w kapturze był jedną długość schodów za nim. Sarac zwiększył odległość dużymi krokami, brał po trzy schodki naraz. Prawa noga niepokojąco się kołysała, był zmuszony trzymać jedną rękę na poręczy. Nowy podest, gwałtowny skręt w lewo i następne schody. Niewiele zostało. Ale kaptur się zbliżał. Na przedostatnim podejściu Sarac się poślizgnął, prawa noga ugięła się pod nim i otarł kolano o kamienne płyty.

Z trudem się podniósł, zmusił nogi do posłuszeństwa. Kątem oka wyraźnie dostrzegł kaptur. Wydawało mu się, że widzi twarz. W płucach paliło. Adrenalina i smak krwi w ustach.

Mężczyzna był teraz blisko, prawie deptał mu po piętach. Brał po trzy stopnie naraz, gwizdał na to, czy upadnie. Tylko dziesięć metrów dalej ulicą przejeżdżał samochód.

Sarac próbował krzyknąć, ale z jego ust wydobyło się jedynie słabe rżenie. Zdawało mu się, że widzi, jak postać za nim wyciąga się, by go złapać. Czuł rękę szukającą ramienia.

Zebrał wszystkie siły, rzucił się na chodnik i na ulicę. Dostrzegł światło samochodu, zdążył zakreślić. Niebieskie, białe, siedem liter. Znajome słowo. Światło go oślepiło, kolcowana opona skrzypiała na asfalcie. Podniósł ręce w kierunku zbliżającej się maski samochodu.

Zamknął oczy.

Atif wstukał szyfr i otworzył schowek. W środku znajdował się mały beżowy plecak firmy Fjällräven. Zanim otworzył zamek błyskawiczny, szybko obejrzał się przez ramię. Czworokątny profil nie pozostawiał wątpliwości. Dziewięćmilimetrowy glock, wariant z siedemnastoma nabojami w magazynku. Dobra broń, lepsza, niż się spodziewał.

W zewnętrznej kieszonce plecaka leżał kluczyk do samochodu. Chłopaki doradcy szybko pracowali. Atif zaciągnął zamek, zawiesił plecak przez ramię i zatrzasnął drzwiczki schowka. Mała biała furgonetka stała zaparkowana w strefie dla

samochodów dostawczych kawałek dalej przy ulicy, dokładnie jak mu obiecano. Kilka niebieskich, na pół złuszczonych nalepek firmowych z przodu i na bokach sprawiało, że idealnie wtapiał się w otoczenie.

Otworzył drzwi, wsunął się za kierownicę i postawił plecak na podłodze przy siedzeniu pasażera. Dostał prawie wszystko, czego potrzebował. Adres gliny od Abu Hamsy, broń i samochód od Huntera. I spokój do pracy. Jak długo zarówno Abu Hamsa, jak i Hunter myślą, że pracuje dla nich, nikt mu nie będzie przeszkadzał. Poza tym jest nadzieja, że Cassandra i Tindra też będą bezpieczne, w każdym razie tak długo, jak długo nikt się nie połapie, że gra na dwie strony. Teraz był blisko. Została jeszcze tylko jedna sprawa, później będzie gotowy na spotkanie z pewnym inspektorem kryminalnym.

– David Sarac, to ty? Cholera, prawie cię nie poznałem. Wszystko w porządku? – spytał policjant.

Światła oślepiały Saraca. Radiowóz zatrzymał się dziesięć centymetrów przed jego rzepkami kolan.

– Jebany idiota! Nie możesz tak po prostu wybiegać! – Teraz wysiadł też kierowca samochodu. Pierwszy policjant podniósł rękę.

– Spokojnie, Jocke. To David Sarac, kolega.

Kierowca się powstrzymał.

– Aha, okej. Sarac – powiedział. – To nie ty rozbiłeś się w tunelu na obwodnicy Söderleden? Widzieliśmy wrak, anioły musiały cię chronić.

Sarac się obejrzał.

– Gdzie on się podział? – wysapał.

– Kto?

– Koleś w kapturze, był tuż za mną.

Policjanci spojrzeli na siebie.

– Widzieliśmy tylko ciebie. Szczęście, że zdążyliśmy stanąć. Wybiegłeś prosto na nas, jakby sam diabeł cię gonił.

Podał im swój adres, usiadł na tylnym siedzeniu radiowozu i przymknął oczy. Prawie

od razu wyczuł, że nie jadą we właściwym kierunku. Kiedy otworzył oczy, zobaczył, że siedzący obok policjant bawi się swoją komórką. Był zbyt zmęczony, żeby gadać.

Jechali ulicą Valhallavägen na wschód, skręcili w lewo, w kierunku Szwedzkiego Instytutu Filmowego, a potem w prawo na Gärdet. Śnieg przysypał asfalt w kilku miejscach, ale policyjne volvo z napędem na cztery koła nie miało żadnego problemu, żeby utrzymać się na ledwo widocznej drodze.

W niewielkim lesie na wzgórzu czekał czarny SUV. Policjanci zatrzymali samochód i wysiedli. W ciemności prawie nie było ich widać. Na zewnątrz Sarac dostrzegł więcej postaci. Już się domyślał, kim są.

Minęło jakieś pół minuty i otwarły się drzwiczki.

– Chodź, David – krótko powiedział Molnar. – Pora porozmawiać poważnie.

## Czterdzieści siedem

Wsadzili Saraca na jedno z tylnych siedzeń w wielkim SUV-ie. Molnar usiadł obok niego, Josef, jak zwykle, na miejscu kierowcy.

Tym razem żadnego ściskania się na powitanie, pomyślał Sarac, patrząc na wolno znikające w zawiei tylne światła radiowozu.

– Nie ufasz nam, David, prawda? – stwierdził Molnar. Głos miał suchy, ani przyjacielski, ani wrogi. – Najpierw złamałeś szyfr w notatniku, znalazłeś Sabatiniego, ale do mnie nie zadzwoniłeś.

Sarac nie odpowiedział.

– A teraz rozmawiałeś z Janem Dreyerem. Pozwól, że zgadnę... – Molnar zmarszczył czoło. – Powiedział, że pracowałeś dla niego. Że kiedy miałaś wypadek, byłeś w drodze na spotkanie właśnie z nim.

Sarac nie odpowiedział.

W lusterku wstecznym Molnar wymienił szybkie spojrzenie z Josefem. Następnie wziął głęboki oddech.

– Dreyer jest sprytny, próbuje tobą manipulować. Próbuje zasiać w twojej głowie informacje o rzeczach, które nigdy się nie wydarzyły. Mówił coś o raporcie i o uszkodzeniach spowodowanych przez drugi samochód?

Sarac nadal milczał.

– Na początku były takie informacje, ale dochodzenie wykazało, że nie można tego potwierdzić, że uszkodzenie na twojej bryce prawdopodobnie było stare. Ale Dreyer z pewnością powiedział, że ktoś próbował cię zgasić. Może nawet któryś z nas? – Molnar pokręcił głową. – Dreyer chyba nie jest normalny. Totalny pojeb. Myślisz, że dlaczego pracuje w Wydziale Spraw Wewnętrznych? Opowiedz, Josef!

– Bo we wszystkich innych miejscach nie mogli go znieść – wymamrotał Josef z miejsca kierowcy.

– Dokładnie! Kiedyś, zanim stał się najbardziej znienawidzoną osobą w służbach, Dreyer był cholernie ostrym policjantem. On i Eugene von Katzow rozpoczęli całą akcję z opieką nad informatorami. W tym czasie każdy szperacz miał swojego informatora, nie było żadnej koordynacji. Ale oni dwaj zaczęli nadawać temu jakąś

strukturę. Zaczęli stosować system do oceny prawdziwości informacji z różnych źródeł i to wszystko, co my teraz uważamy za oczywiste. – Ale gdzieś coś się spieszyło. Pytałem Hrabiego, o co chodziło, ale nie chce mówić. W każdym razie Dreyer zaczął mieć problem z alkoholem. Żona go zostawiła, musieli sprzedać domek i wszystko się na niego zważyło.

Odezwało się radio policyjne, ale Josef od razu je wyłączył.

– Dreyer zaczął mieć paranoję, ubzdurał sobie, że Hrabia buduje tajną organizację, która szpieguje wszystko i wszystkich. – Molnar wzniósł oczy do nieba. – Potem poszedł na długie zwolnienie. Dostał przeniesienie do Wydziału Spraw Wewnętrznych, gdzie byli na tyle głupi, żeby go przyjąć.

Sarac ruszył się trochę na siedzeniu. Podmuch wiatru rzucił masę luźnego śniegu na szybę samochodu.

– Dreyer urządził całą wyprawę krzyżową przeciwko von Katzowowi, miał za sobą starego, skwaszonego prokuratora. Tajne operacje, nieujawnione konta i wszelkie możliwe oskarżenia. Przeprowadzili ponad pięćdziesiąt przesłuchań. Zrobili rewizję w naszych biurach, nawet w domu u Hrabiego na Starym Mieście. Ale jedyne, co Dreyerowi udało się z tego wycisnąć, to kilka braków w notatkach służbowych. To się zdarza na każdym komisariacie. Czyste głupoty. – Molnar pokręcił głową, tym razem mocniej. – Hrabia został zawieszony na sześć miesięcy, media niemal go rozniosły w proch. Gazety mnóstwo o tym pisały. Jak Hrabia prowadził swoją własną, prywatną organizację wywiadowczą, rekrutował VIP-ów, polityków i ludzi z biznesu, opłacał ich z tajnych kont. Wszystko czyste wymysły, plotki bez śladu prawdy. Skończyło się na dwóch marnych wykroczeniach służbowych i notce na dwudziestej piątej stronie. Dreyer został odłączony, dostał ścisłe rozkazy, żeby trzymać się od nas z daleka. Od tego czasu czekał na swoją szansę na rewanż. Żeby raz na zawsze zniszczyć to, co sam zbudował. Twój wypadek i zaginiona lista dały mu tę możliwość. Nie mówiąc o twojej utracie pamięci.

Sarac podniósł wzrok. Przypomniawszy sobie całą historię, prawie każdy szczegół. Ale było tam coś jeszcze, co dotyczyło von Katzowa. Myśli przerwały mu słowa Molnara.

– Hrabia zrozumiał, że nie da się dalej pracować. Że stał się ciężarem dla tej

działalności, więc skończył. Wielu zinterpretowało to jako znak, że był winien. Nie ma dymu bez ognia i tym podobne. Szefowie prześcigali się w dystansowaniu się od sprawy. Na wielu nazwisko Hrabiego działa jak czerwona płachta na byka.

– I dlatego uważasz, że nie jest zamieszany w operację „Janus”? – spytał Sarac.

Molnar przytaknął.

– Eugene był kimś w rodzaju mojego mentora. Regularnie ze sobą rozmawiamy, oczywiście jest trochę tajemniczy, ale trudno mi sobie wyobrazić, że nic by mi o sprawie nie powiedział. Poza tym, jak powiedziałem, jest chory.

Sarac próbował pomyśleć. Wyjaśnienie Molnara brzmiało wiarygodnie, w szpitalu Dreyer bezsprzecznie sprawiał wrażenie rozchwianego. Nie mówiąc o całej tej tajnej akcji przed ich spotkaniem, naczynkach krwionośnych na twarzy jak u alkoholika i nerwowym, kompulsywnym bawieniem się cygaretkami. Wszystko sugerowało, że z trudem nad sobą panuje, ale bardzo się stara to ukryć.

– Nie musisz mi ufać, Davidzie – powiedział cicho Molnar. – Szczerze mówiąc, jesteś jednym z najlepszych policjantów, jakich znam. Myśl o tym, że mógłbyś być wtyczką, szcurem... – Molnar zrobił sceptyczny grymas.

Sarac przełknął ślinę, próbował zachować pokerową twarz. Natychmiast powróciło uczucie, że zrobił coś niewybaczalnego, tym razem dwa razy silniejsze niż zwykle. Ale żaden z mężczyzn zdawał się niczego nie zauważać.

– Dreyer jest w desperacji – stwierdził Molnar. – Jest gotowy zrobić prawie wszystko, żeby nas usadzić. Kłamać, manipulować, przedstawiać różnego rodzaju obietnice lub groźby. Najważniejsze dla nas to dorwać Janusa. Ograniczyć poczynione przez niego szkody. Wtedy nikt niczego nie będzie mógł dowieść. Nawet Dreyer.

– Hansen – powiedział Sarac, nie bardzo wiedząc dlaczego.

Molnar kiwnął głową.

– Co pamiętasz? Tylko szczerze, David.

– Pamiętam, że spotkaliśmy się w jego samochodzie na ulicy Skeppsbron. Że umarł.

Molnar znów wymienił spojrzenia z Josefem w lusterku wstecznym.

– Też tak podejrzewaliśmy, ale nie chcieliśmy nic mówić. Zanim nie dowiemy się

więcej.

– Moja komórka, połączenia, o których mówiłeś, że nie można do nich dotrzeć?

Molnar wolno pokiwał głową.

– Dzwoniłeś do Hansena. Prawdopodobnie jakąś godzinę przed...

– Zastrzeliłem go!

– Tak myślisz? – spytał Molnar.

Sarac wzruszył ramionami.

– Już nie wiem, co mam myśleć, Peter. To wszystko jest jedną wielką gmatwaniną teorii, fruujących w pamięci obrazów i kawałków układanki, które do siebie nie pasują.

– Nie będę udawał, że rozumiem, jak się czujesz, Davidzie. Ale robimy z chłopcami, co możemy, żeby ci pomóc. Jesteś jednym z nas.

Sarac znów przełknął ślinę, spojrzał na podłogę. Pomyślał o tajnych kontaktach i pieniądzach.

– Brian Hansen był wielką świnią – ciągnął Molnar. – Prowadził własny interesik na boku, o czym nie wiedzieli jego koledzy z gangu. Metamfetamina, czasami heroina, nie jakieś wielkie ilości, ale wystarczające. Dowiedzieliśmy się i zrobiliśmy rewizję w jego mieszkaniu. Nie znaleźliśmy narkotyków, ale za to komputer pełen zdjęć. Dziewczynki, dziesięciolatki i młodsze.

– I wtedy ja wpadłem na pewien pomysł – powiedział Sarac. – Pozwoliłem mu się zajmować i tym, i tym w zamian za to, że będzie dla nas pracował, prawda?

– Yes, mieliśmy pełnoprawnego członka gangu, który nie miał odwagi się wysikać, zanim do ciebie nie zadzwonił. Czyste złoto – powiedział Molnar. – Wykorzystaliśmy go, żeby rozbić cały gangsterski klub w Söderort. Ale wydaje mi się, że Hansen z czasem odkrył twoje narkotyki. Śmiertelnie się bał, że zostanie zdemaskowany jako kapuś i skończy w jakimś dole z chujem wsadzonym w twarz. Zmienił więc taktykę i groził, że zdemaskuje ciebie. Że dopilnuje, żeby cię wylali z posady opiekuna informatorów, może w ogóle z policji.

Jasny głos odezwał się nagle echem w głowie Saraca: „Chciałem zaproponować handel wymienny. Twoje tajemnice za moje”. A więc o to chodziło na tym spotkaniu. Hansen próbował się wykupić.

– Umawiacie się z Hansenem na spotkanie na Skeppsbron – opowiadał dalej Molnar. – Boi się i dlatego wybiera miejsce publiczne. Ale się pomylił. Jest ciemno, poza tym jest taka zawieja, że diabła nie uświadczysz na ulicy. Spotykacie się w samochodzie. Próbuje na tobie wymusić, żebyś pozwolił mu odejść. Ale Janus o wszystkim wie. Może nawet po prostu mu się zwierzyłeś. Jeśli cię wyleją, jego tajemnica będzie zagrożona. Idzie więc za tobą i w środku spotkania wskakuje na tylne siedzenie. Usuwa zagrożenie.

Kolejne uderzenie śniegu o szyby, ale Sarac słucha tak uważnie, że ledwie to zauważa.

– Zamiast jednak być wdzięcznym za rozwiązanie problemu, jesteś zszokowany tym, co się stało – ciągnął Molnar. – Na twoich oczach zginął jeden z twoich informatorów. Zamordowany przez kogoś, kogo obiecałeś chronić. Twojego najważniejszego informatora. Więc wpięprzasz narkotyki, później dzwonicz do mnie i majaczysz, że stało się coś niewybaczalnego. Umawiamy się na spotkanie, ale ty zaczynasz krążyć po ulicach w swoim własnym samochodzie, na haju, w stresie, przerażony. Na koniec lądujesz w tunelu na obwodnicy Söderleden. I tuż zanim udaje nam się do ciebie dotrzeć, ciśnienie w twojej głowie staje się zbyt duże.

– Mam udar i się rozbijam – wymamrotał Sarac. Na pewien czas ból głowy się uspokoił, ale teraz dopadł go jak młot kowalski. Aż mu zamigotało przed oczami.

– Hansen i tak był żywym trupem – ciągnął Molnar. – Jego tak zwani bracia zgasiliby go, gdyby tylko się dowiedzieli, że ich wydymał. Nie mówiąc o jego paskudnych preferencjach seksualnych. – Na jego twarzy pojawił się grymas obrzydzenia. – Nie musisz się martwić, David. W moim zespole opiekujemy się sobą nawzajem. Wyniki badań krwi zniknęły, to samo z twoją listą połączeń. Mamy jeszcze kilka luźnych wątków do związania, zanim wszystko będzie pod kontrolą.

Sarac wolno pokiwał głową. W przód i w tył, jakby sam ruch miał pomóc utrzymać słowa Molnara na odległość. Wszystko się zgadzało, szczegóły pasowały do jego wspomnień. Ale wciąż brakowało wielu kawałków.

– Hansen, Markovic, Lehtonen, Sabatini... – Już miał też wymienić nazwisko Erika Johanssona, ale w ostatniej chwili się powstrzymał. Nie był gotów, żeby opowiedzieć o lokalu, a tym bardziej o pieniądzach, które dostał od Crispina. – Co oni



mają z tym wspólnego?

– Jeszcze nie wiemy – odpowiedział Molnar.

– Markovic leżał w wodzie prawie miesiąc. Znałem go, drobny handlarz, typ, który lubił dużo gadać o niczym. Ktoś go udusił stalową linką i zatopił w Melarze raptem kilka dni przed śmiercią Hansena.

Molnar ściągnął usta w małą kreskę.

– Lehtonen zwinął się do Tajlandii dzień po twoim wypadku. Zastrzelony w dniu, w którym wrócił do domu. Torby ze sklepu wolnocłowego stały za drzwiami, więc wygląda na to, że ktoś na niego czekał. Handlował trochę środkami dopingującymi, dostarczał nam informacji o konkurencji. No i zostaje Sabatini, ale o nim już rozmawialiśmy. Czterech martwych facetów, cztery różne sposoby działania. –

Wzruszył ramionami. – Z wyjątkiem Hansena wszyscy to drobni handlarze. Częściowo obracają się w tych samych kręgach, ale nie mają żadnego bezpośredniego powiązania poza tym, że wszyscy pracowali dla ciebie.

– Oczywiście poza faktem, że wszyscy nie żyją – stwierdził poważnie Sarac.

Molnar zagryzł lekko w górną wargę.

– Oto co myślę, David. Numery telefonów na kartę, na które dzwoniłeś tuż przed wypadkiem – stawiam, że to były telefony do Markovica, Lehtonena i Sabatiniego. Prawdopodobnie próbowałeś ich ostrzec przed czymś albo przed kimś. – Przerwał, jakby czekał, aż Sarac przejmie opowiadanie. Ale ponieważ się nie odezwał, ciągnął dalej: – Lehtonen kupił bilet na samolot tego samego wieczoru, a jednej z kart kredytowych Sabatiniego użyto kilka dni później we Włoszech, więc pewnie pojechał samochodem albo pociągiem. Natomiast Markovic w ogóle nie wyjechał. W jego komputerze znaleźliśmy tylko wypełniony wniosek o paszport.

Sarac próbował poskładać myśli. Ale to było prawie niemożliwe. Wspomnienia, urywki rozmów, twarze. Wszystko krążyło w jego głowie, dziki, rosnący wir. „Jedź, spadaj stąd. Teraz, zaraz!” „Ale ja mam psy, nie mogę ot tak...” „Cholera, Erik, ja nie mam paszportu”. „Pojadę na jakiś czas do rodziny we Włoszech, póki tu się nie uspokoï”.

Wszystko się zgadzało. Powiedział im, żeby ratowali życie. Ale dlaczego?

Przed kim mieli uciekać? Było coś, ostatnia tajemnica. Coś decydującego, czego

jeszcze nie potrafił ogarnąć. Coś, co miało związek z Janusem.

Coś, co oznaczało, że oni wszyscy.

Bez najmniejszego wyjątku.

Muszą umrzeć...

– Kilka dni temu pytałeś, czy cię śledziliśmy. Odpowiedź na to pytanie brzmi „tak” – cicho powiedział Molnar. – Ale nie z tego samego powodu, co gang Wallina – dodał. – Oni traktują cię jak przynętę. Mają nadzieję, że Janus wiernie zjawi się pod twoimi drzwiami i że będą mogli go dorwać. – Molnar pokręcił głową. – Wallin miał częściowo rację, kiedy mówił, że jesteś w niebezpieczeństwie. Ale to, czego nie zajarzył, czego, zdaje się, nikt nie zajarzył... – znów wymienił spojrzenia z Josefem – to to, że Janus ma zupełnie inne plany. On cię obserwuje, próbuje rozstrzygnąć, czy masz zamiar dochować jego tajemnicy. Jeśli odpowiedź brzmi „nie”, zniknie na dobre. Usunie wszelkie ślady.

Sarac podniósł wzrok. Zrozumiał, co Molnar zaraz powie.

Ciebie też, David.

## Czterdzieści osiem

Molnar poszedł z nim do mieszkania. Spytał nawet, czy nie chce z powrotem jego dodatkowego klucza do nowego zamka. Sarac powinien, oczywiście, wyłożyć wszystkie karty na stół. Lokal, broń, tajne konta i biała tablica z wszystkimi zdjęciami. I na pewno by to zrobił, gdyby nie wizyta w Clubie Babel. Molnar z chłopcami nie byli wrogami, do czego prawie przekonał go Dreyer, lecz jego przyjaciółmi. A nawet lojalnymi przyjaciółmi, którzy go wspierali. Byli wyrozumiali wobec jego błędów i ponosi dla niego ryzyko. Chronili go zarówno przed Wallinem i Dreyerem, jak i przed Janusem.

Ale to wszystko by się zmieniło, gdyby dowiedzieli się, skąd naprawdę pochodziły pieniądze na kontach. Że w rzeczywistości kupiła go zorganizowana przestępczość. Erik I. Johansson, skorumpowany policjant, informator. Szczur.

Tak więc musi dalej trzymać gębę na kłódkę. Udawać, że nic nie pamięta, próbując znaleźć wyjście z diabelskiego labiryntu, w którym się znalazł. Jeśli w ogóle jakieś było. Coraz bardziej w to wątpił. Fragmenty układanki zaczynały do siebie pasować, problem w tym, że brzydził się obrazem, który tworzyła.

– Jesteśmy po drugiej stronie ulicy – powiedział Molnar. – Wciśnij alarm raz, jeśli mamy być dyskretni. Dwa razy, jeśli trzeba będzie się spieszyć, okej? – Wręczył Saracowi małe, szare pudełeczko z przyciskiem.

– Oczywiście, żaden problem.

– I nie wahaj się dzwonić, jeśli coś będzie się działo, David. Cokolwiek, okej?

Skinął głową, próbował się uśmiechnąć. Udało mu się lepiej, niż się spodziewał.

– Dziękuję za wszystko, Peter. Jestem naprawdę... – Brakowało mu słów. Później nie mógł się zmusić, żeby je powiedzieć.

– Jak powiedziałem, zrobiłbyś to samo dla mnie. Jesteśmy prawie u celu. Wszystko, co musimy zrobić, to dorwać Janusa, i cały ten koszmar się skończy.

I co zrobimy, kiedy go znajdziemy? – pomyślał Sarac. Zdał sobie sprawę, że zna odpowiedź. Bergh mu ją dał razem z kamizelką kuloodporną i rewolwerem z usuniętym numerem seryjnym.

*Odds and evens*, wszystko musi pasować. Żadnych luźnych wątków.

Atif rozpoznał policję prawie natychmiast. Wystarczyło się tylko zastanowić, jakie miejsce było idealne do zaparkowania, jeśli chciało się obserwować drzwi wejściowe i znaleźć anonimowe volvo. Przemaszerował tuż przy samochodzie, ostentacyjnie żując gumę i odpowiednio energicznie machając śmiesznymi kijkami, które kupił w Stadium. W samochodzie siedzieli mężczyzna i kobieta, oboje ubrani na czarno. Czerwone diody policyjnego radia na środku deski rozdzielczej usunęły wszelkie wątpliwości. Policjanci w samochodzie tylko krótko na niego spojrzeli. Założyli, że jest jeszcze jednym z tych porannych ptaszków, fantomów w spandeksie, którzy opanowali całe śródmieście.

Oszacował odległość od samochodu do drzwi wejściowych, próbował się zorientować, na ile furgonetka zasłoni widok, jeśli zaparkuje na wprost drzwi. Stwierdził, że będzie dobrze.

Kiedy minął róg ulicy za volvo, wypluł gumę i przykleił od spodu do kijka. Wyjął z kieszeni gwiazdkę z kolcami, którą zwinął z jakiegoś ogrodzenia z drutem kolczastym, i porządnie wcisnął w gumę do żucia. Kiedy znów mijał samochód policji, ostrożnie wysunął kijek i umieścił kolce w wyraźnym śladzie po tylnych oponach. Dał im maksymalnie dziesięć metrów, zanim kolce przebiją oponę.

Poszedł dalej w kierunku swojej furgonetki. Zauważył, jak otworzyły się drzwi wejściowe, i szybko wszedł w inne, żeby spokojnie obserwować sytuację. Na ulicę wyszedł wyrosnięty blondyn, na odległość czuć było od niego glinę.

Mężczyzna przeszedł przez ulicę i skręcił za róg, nawet nie spoglądając na volvo. Zanim wszedł do narożnego budynku, szybko spojrzął przez ramię. Atif czekał, aż glina wyjdzie, stał prawie pół godziny, zanim niechętnie uznał, że ma problem. Gliny w volvo nie były same. Byli też inni, tacy, którzy byli na tyle sprytni, żeby się porządnie ukryć. To oznaczało, że musi zmienić plany.

Mężczyzna na dachu stał kompletnie nieruchomo. Patrząc skosem w dół, na drugą stronę ulicy, widział ciemne okna mieszkania. Gdyby zrobił kilka kroków w przód, wyszedł z cienia i spojrzął nad krawędzią budynku, zobaczyłby na dole policjantów. Przez moment bawił się tą myślą. Żaden z nich i tak by go nie zauważył, byli skupieni

na obserwowaniu mieszkania. Mieli nadzieję, że śpiący tam mężczyzna w końcu odkryje swoją tajemnicę. Ich tajemnicę.

Przez jakiś czas był niespokojny, właściwie bardziej niż był gotów przyznać. Ale zrobił to co trzeba, usunął wszystkie ryzykowne elementy. Wszystkie oprócz jednego.

Mężczyzna odwrócił się i wyciągnął z wewnętrznej kieszonki niedopałek papierosa. Zapalił go między złożonymi dłońmi i porządnie pociągnął. Rzuci, obiecał sobie kolejny raz.

Ale jeszcze nie teraz.

Sarac śnił, że jest z powrotem w samochodzie. Hansen na miejscu pasażera z przodu, on sam za kierownicą. Ale jest tam ktoś jeszcze. Postać w ciemnym kapturze na tylnym siedzeniu, nie widzi twarzy. Mężczyzna, tego jest pewien. Mniej więcej jego wzrostu i w jego wieku. Wie, kto to, jednak nie jest w stanie wypowiedzieć jego imienia. Hansen nawija, próbuje sprawiać wrażenie twardziela. Ale w jego głosie wyraźnie słyhać lęk, mimo że próbuje zatopić go w słowach.

– Chciałem zaproponować handel wymienny – mówi. Obraca się w kierunku Saraca i szczyrzy zęby, próbując utrzymać stabilne spojrzenie i głos. Ale Hansen usiadł z przodu z jednego powodu. Boi się, chce mieć plan awaryjny. Szybką drogę ucieczki.

– Rozstajemy się jak przyjaciele, *no hard feelings*<sup>26</sup>. – Hansen ciągle się uśmiecha, prezentuje żółte od snusu zęby. Sarac patrzy na jego tłuste ręce, myśli o dziewczynkach na zdjęciach. Małe dziewczynki, dziesięciolatki lub młodsze.

– To co ty na to, Erik? Umowa stoi?

Sarac patrzy w lusterko wsteczne, napotyka wzrok mężczyzny w kapturze. Jasne oczy, jak jego własne. Są podobni, on i Janus, bardziej podobni, niż jest gotów przyznać. Obaj balansują na wysoko rozpiętej linii. Sami to wybrali, żyją dla tego. Kochają to.

Więź między opiekunem a informatorem bywa czasami zbyt silna.

Czy to właśnie się stało między nim a Janusem? Za bardzo się do siebie zbliżyli?

– No, co powiesz, Erik? – Hansen niepewnie się uśmiecha.

Sarac nadal patrzy w lusterko. Zauważa, jak drugi mężczyzna się uśmiecha.

Rozumie, co to znaczy. Otwiera drzwiczki i wychodzi na jezdnię. Grzebie przy papierosie, osłania go dłońmi, żeby śnieg nie padał na zapalniczkę. Porządnie pociąga.

W środku rozbłysk światła, potem huk.

Dźwięk go obudził, usiadł wyprostowany na łóżku. Serce waliło, bluza mokra od potu. Pęcherz cisnął. Odpuścił sobie zapalenie światła, tylko cicho przeszedł przez mieszkanie w stronę toalety. Przechodząc przez salon, spojrzął na fasadę domu naprzeciwko. Ciemne okno, ale wiedział, że chłopcy Molnara tam są. Zastanawiał się, czy tak samo ochoczo by go chronili, gdyby wiedzieli, że tak naprawdę jest szczurem.

Gdzieś tam był też Janus, może czekał na właściwy moment, żeby odciąć ostatnią nitkę. Czy Janus naprawdę był gotowy pójść tak daleko, po tym wszystkim, co razem przeszli? Czy tak naprawdę stworzył potwora, kogoś, kto będzie jego własną śmiercią? Czy chodziło o to, żeby go znaleźć, zanim on znajdzie jego?

Sarac otrząsnął się z tego uczucia, obrócił się i poszedł do toalety. Nagle zdało mu się, że kątem oka dostrzega ruch. Znów się obrócił, spojrzął na fasadę naprzeciwko, następnie w górę, w stronę dachu.

Ale tam, oczywiście, nikogo nie było.

## Czterdzieści dziewięć

Natalie szła po schodach trochę za szybko. Na ostatnim półpiętrze zatrzymała się na jakąś minutę, żeby złapać oddech. Nie chciała sprawiać wrażenia zbyt podekscytowanej. Miała nadzieję, że tym razem jest w domu.

Kiedy się opanowała, podeszła do drzwi i nacisnęła dzwonek. Nikt nie otworzył. Spróbowała jeszcze raz z tym samym wynikiem. Uchyliła pokrywkę wrzutni na listy i zawołała w głąb mieszkania.

– David, tu Natalie. Otwórz!

Usłyszała dźwięk, powłóczenie nogami. Dojrzała parę kapci i postrzępiony brzeg szlafroka. Szybko opuściła pokrywkę. Drzwi się uchyliły, nadal zamknięte na łańcuch.

Wyglądał paskudnie. Czarne cienie pod oczami, długa skudłacona broda, a ta czapeczka na głowie już wieki temu powinna być wyprana. Znoszony szlafrok był co najmniej o jeden numer za duży i raczej nie poprawiał ogólnego wrażenia.

– Masz zamiar mnie wpuścić czy nie?

Nie odpowiedział, tylko zamknął drzwi. Po kilku sekundach usłyszała brzęk łańcucha.

– Wejdz. Zamknij za sobą drzwi na klucz. – Poczłapał przed nią do salonu i zwałił się na sofę.

Natalie zajrzała do kuchni. Czysto i posprzątane, ledwie szklanka w zlewozmywaku. Uchyliła drzwi lodówki. Pełna nieotwartych opakowań.

– Kiedy ostatnio jadłeś? Tak porządnie?

Wymamrotał coś niesłyszalnego. Facet był, kurwa, wrakiem, ledwie był w stanie skupić wzrok. Natalie wciągnęła głęboko powietrze.

– Okej, zrobimy tak – powiedziała. – Przede wszystkim musisz zjeść śniadanie, lub raczej lunch. – Kiwnęła głową w stronę zegara na ścianie, który pokazywał wpół do dwunastej. – Potem weźmiesz prysznic, a potem mam zamiar podciąć ci włosy i ogolić cię. Masz jakąś maszynkę w domu czy mam polecieć do 7-Eleven?

Znów mamrotanie, coś o szafce w łazience.

– Dobrze. I słuchaj, pozbądź się tego cholernego szlafroka. Wyglądasz jak koleś

*z Autostopem przez galaktykę.* Znaczy pod koniec filmu, nie na początku – dodała.

Jadł ze świeżym apetytem. Trzy jajka, całe opakowanie bekonu, dwa tosty. Spłukał wszystko sokiem pomarańczowym i kubkiem mocnej kawy. Kiedy brał prysznic, Natalie wyciągnęła z szafy dzinsy i koszulkę z długim rękawem. Przy okazji trochę poszperała, nie znajdując niczego godnego zainteresowania. Z wyjątkiem nowej sofy wszystko wyglądało dokładnie tak, jak kiedy była tu ostatnim razem i sprzątała. Już wtedy uderzyło ją, jak bardzo bezosobowe jest to mieszkanie. Żadnych obrazów ani w ogóle niczego, co pozwalałoby się domyślać, kim Sarac naprawdę jest. Biblioteczka była wprawdzie pełna, ale zawierała głównie fachowe książki po angielsku. Natalie wyciągnęła jedną z nich. *Wywieranie wpływu na ludzi* Roberta B. Cialdiniego. Odwróciła ją i przeczytała na okładce: „Klasyczna książka na temat perswazji i psychologii mówienia tak”.

Natalie odłożyła książkę na miejsce. Wypadł kawałek papieru i schyliła się, żeby go podnieść. Czarno-białe zdjęcie przedstawiało łysiejącego mężczyznę w białej koszuli i czarnych spodniach, który balansował wysoko na linie. W tle widać było jedną z wież Tower Bridge w Londynie, a pod nim, daleko w dole, ciemne wody Tamizy. Ale zdawało się, że mężczyzna nie zwraca uwagi na ten fantastyczny widok, tylko patrzy prosto przed siebie, na swój cel. Odwróciła zdjęcie, przeczytała tekst wykaligrafowany wykwintnym pismem i odłożyła zdjęcie na półkę.

Kiedy Sarac wyszedł z łazienki, od razu wyglądał różnie.

Natalie wskazała jedno z krzeseł w kuchni.

– Siadaj!

Poszła do łazienki, wyjęła z szafki krem, maszynkę do golenia i ręcznik. W jednej z szuflad w kuchni znalazła nożyczki. Owinęła go ręcznikiem.

– Broda do góry. – Przycięcie brody poszło szybko. Zamoczyła ręcznik kuchenny w ciepłej wodzie i zwilżyła nim jego brodę i policzki. – Trzeba ci zmienić bandaż, śmierdzi i taśma już się poluzowała na brzegach – powiedziała.

Pokryła mu twarz kremem do golenia i zaczęła ostrożnie usuwać resztkę brody. Sarac poruszył lekko głową i prawie go zacięła.

– Siedź spokojnie! – Unieruchomiła mu twarz. Przesunęła ostrożnie maszynkę po



policzku i w dół, w stronę szyi. Ostrze szorowało po ciemnym zaroście. Zauważyła, że patrzył na nią. W jego wzroku odkryła coś, czego wcześniej nie widziała. Nie wdzięczność, ale coś innego. Coś, co jej się podobało.

– Proszę – powiedziała krótko. – Możesz zetrzeć resztki kremu i bierzemy się za czachę.

Zmiana była totalna. Świeżo ogolony, ostrzyżony i w czystym ubraniu Sarac wyglądał naprawdę miło. Jedyne, co dało się zauważyć z rany na głowie, to mała, zgrabna opaska, nie większa niż dłoń, którą umocowała na jego czaszce. Oczywiście nadal był blady i wychudzony, ale to się z czasem zmieni. Zebrał się w sobie, można z nim było porozmawiać. Nawet zrobił i podał im obojgu kawę.

– Patrz! – Przytrzymała przed nim komórkę, próbowała nie okazać, jak bardzo jest podniecona. Chciała mu pokazać zdjęcie od razu, ale zmieniła zdanie, kiedy zobaczyła, w jakim jest stanie. Potrzebowała go czujnego, tak żeby mógł jej dać to, czego chciała. Czego chciał Rickard, poprawiła się w duchu. – Zrobiłam je na ulicy Högbergsgatan – powiedziała, kiedy nie odpowiedział od razu. – Zobaczyłam kołesia, jak wychodzi zza rogu, i pomyślałam o opisie, jaki podała policja, kiedy zamordowano faceta na Roslagsgatan.

Sarac spojrział na zdjęcie, poczuł ukłucie w żołądku. Następnie zdał sobie sprawę, że poznaje tego wielkiego mężczyznę.

– Pomógł mi, a właściwie Sabatiniemu. Przebiegł przez ulicę, wziął mój szalik i próbował zatamować krwawienie. Zniknął tuż przed pojawieniem się policji.

– I nie sądzisz, że ma coś wspólnego ze sprawą?

Sarac wolno pokręcił głową.

– Okej, szkoda – Natalie starała się nie pokazać rozczarowania. Miała nadzieję, że to był mężczyzna, którego szukał Rickard. Już się bawiła myślą, jak tamten zareaguje, kiedy pokaże mu to zdjęcie. Dostarczy dokładnie to, czego chciał, w kolorze i w ogóle. Właściwie nie miała nic więcej do powiedzenia. Zupełnie nic. Do kurwy nędzy! Zatopiła spojrzenie w kawie, próbowała znaleźć coś nowego do powiedzenia.

– Jak się czujesz, David? – Cholera, powinna się ugryźć w język. Klasyczne pytanie dziennikarza sportowego. Potrafi lepiej.

– Nie bardzo wiem, jak to opisać. Część mnie chce wiedzieć wszystko, znać każdy szczegół. Inna część... – wzruszył ramionami – chce tylko zapomnieć. – Napotkał jej spojrzenie, uśmiechnął się zmęczony. – A pomiędzy tym jestem ja. Próbuję utrzymać się na linie.

– Jak ten mężczyzna na zakładce. – Kiwnęła głową.

Zrobił to samo, potem zmarszczył czoło.

– Zdjęcie linoskoczka – wyjaśniła. – To, które dostałeś od swojego przyjaciela Eugene’a.

Atif zobaczył kobietę wychodzącą z budynku. Rozpoznał ją, już kiedy wchodziła kilka godzin temu. Ta sama kobieta o czerwonych włosach, która zrobiła mu zdjęcie na Högbergsgatan.

Odprowadził ją wzrokiem, widział, jak wskoczyła do zdezelowanego czerwonego golfu zaparkowanego po drugiej stronie ulicy. Odpaliła, zawróciła i odjechała. Nie wiedząc właściwie dlaczego, Atif przekręcił kluczyk w stacyjce furgonetki i pojechał za nią.

– Nie, nie, to była tylko Natalie. Zmieniła opatrunek i trochę mnie doprowadziła do porządku. Przed chwilą wyszła. Jest zielono, położę się na trochę, pogapię się w telewizor. Zadzwoń, jak coś się będzie działo.

Sarac przerwał rozmowę, nie mógł przestać patrzeć w okna domu naprzeciwko. Spojrzał na zegarek, później na zdjęcie. Odwrócił je, przeczytał tekst. „Dla Davida od przyjaciela Eugene’a von Katzowa”. Pod tekstem znany symbol. Dwie litery J, które tworzyły głowę z dwiema odwróconymi do siebie twarzami.

Zostało dwadzieścia minut, najlepiej zabrać się do roboty. Na stole leżał pilot, więc wyszukał odpowiednio gadatliwy kanał. Usiadł na sofie, ale dość szybko znowu wstał i opuścił żaluzje. Starał się wyglądać tak, jakby przeszkadzało mu światło na zewnątrz.

Po chwili wstał. Wziął torbę, którą dostał od Bergha, i wsunął do niej notatnik. Włożył kurtkę i buty i zarzucił torbę na ramię, a potem ostrożnie wyszedł z mieszkania. Na parterze budynku skręcił w prawo, wyszedł na ogrodzone murem

wewnętrzne podwórko i poszedł w kierunku małej altany w rogu. Stwierdził, że Natalie ustawiła składaną drabinę z piwnicy dokładnie we właściwym miejscu. Przerzucił torbę przez mur, ostrożnie wszedł na drabinę i wyciągnął ręce w stronę pokrytego blachą szczytu muru. Drabina zachwiała się, ale odzyskała równowagę.

Sarac wziął głęboki oddech i przerzucił jedną nogę. Poszło łatwiej, niż myślał. Z każdym dniem ciało odpowiadało coraz lepiej. Poleżał jednak na murze, zbierając siły. Przez chwilę poczuł wstyd, kolejny raz okłamał Molnara i oszukał chłopaków, których zadaniem było go chronić. Ale był szczurem, skorumpowanym policjantem, może nawet mordercą. Od teraz musi postarać się radzić sobie sam. Spróbować naprawić swoje błędy. Posprzątać ten cholerny burdel.

Atif się nie spieszył. Pozwolił, żeby kilka samochodów wjechało między niego a golfa. Prowadząca kobieta też zdawała się nie spieszyć. Przecinała ulicę w kierunku parku St. Eriksplan. W końcu stanęła w strefie dla samochodów dostawczych. Atif wolno przejechał obok. Zobaczył, jak kobieta przechyliła się nad siedzeniem i otwiera drzwi po stronie pasażera. Zawrócił i zaparkował po drugiej stronie ulicy.

Sarac wyszedł przez drzwi po przeciwnej stronie swojego kwartału ulic. Tak szybko, jak mógł, podążał w kierunku zejścia do metra. Już na peronie szedł prosto dalej i w górę schodów po drugiej stronie peronu. Otworzył drzwi i wyszedł prosto na St. Eriksplan.

Atif zobaczył mężczyznę z torbą przecinającego park. Od razu rozpoznał człowieka z Högborgsgatan. David Sarac, człowiek, którego szukał. Uśmiechnął się, uruchomił silnik i wsunął rękę do kieszeni. Poczuł zimny plastik kolby pistoletu.

– Själagårdsgatan dwa, Stare Miasto. – Natalie dodała gazu i wjechała prosto między samochody, nawet nie czekając na miejsce.

Sarac obejrzał się przez tylną szybę, ale nie widział, żeby ktoś ich śledził.

– Ma firmę doradczą, urzęda szkolenia i wykłady. Własna strona internetowa i wszystko, sam zobacz. Wygląda na naprawdę grubą rybę.

Rzuciła swój smartfon Saracowi. Tło na stronie firmy pokazywało to samo zdjęcie, które trzymał w wewnętrznej kieszeni. Linoskoczek nad Tamizą. The High Wire.

Szybko przewinął tekst. *Eugene von Katzow is a former detective lieutenant at the Intelligence Unit of the Stockholm Police Force. He currently works as an international security consultant and lecturer. Among his clients are major organizations such as OSSE, ASIS, Interpol, and the ICC* [27](#).

– Nie zdążyłam wszystkiego przeczytać. Poza tym dużo tam skrótów. OSSE i ASSE albo coś w tym rodzaju. – Natalie znowu zmieniła pas.

– Obie to organizacje zajmujące się bezpieczeństwem – wyjaśnił Sarac.

– Jedna jest międzypaństwowa, druga prywatna. ICC to Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze. Uważaj!

Natalie wcisnęła się tuż przed taksówkę. Kierowca raptownie zahamował i zawiesił się na klaksonie. Sarac znów się odwrócił. Poza kilkoma taksówkami zobaczył tylko jasną furgonetkę z podartą nazwą firmy z przodu. Wszystko wydawało się spokojne.

## Pięćdziesiąt

Adres Själagårdsgatan 2 okazał się bardzo ładną, pomalowaną na koralową czerwień, szesnastowieczną czteropiętrową kamienicą z dużymi oknami ze szprosami, prawie w środku Starego Miasta. Dom musiał być jednym z najładniejszych budynków mieszkalnych w Sztokholmie i na pewno jednym z najdroższych.

Ruch samochodowy był zakazany w ciasnych uliczkach, a śnieg w szczelinach bruku sprawiał, że było ślisko jak na mydle, ale wyglądało na to, że nic z tego nie miało dla Natalie znaczenia. Prowadziła samochód między starymi domami i stanęła dokładnie przed drzwiami wejściowymi.

Przez jakąś minutę Sarac siedział w samochodzie i obserwował dom. Teraz dobrze go sobie przypominał, szczególnie ten ładny, wysunięty kamienny portal. Jasny piaskowiec z cherubinami i dwie rzeźby na górze. Znowu rzymscy bogowie, to raczej nie mógł być przypadek.

– Możesz zaparkować tam.

Wskazał wąską uliczkę, gdzie bruk rozszerzał się, tworząc niewielki rynecek. Następnie otworzył drzwiczki samochodu, zanim zaczęła nalegać, żeby wziął ją ze sobą.

Przez kilka sekund rozważał wzięcie torby z notatnikiem i pozostałymi rzeczami, ale postanowił na razie zostawić ją w bagażniku.

Śnieg tkwił w szparze drzwi, zostawił je lekko uchylone. Kopnął i następnie zamknął za sobą.

E. von Katzow mieszkał na czwartym piętrze. Sarac wszedł na schody. Stał przed dębowymi drzwiami, wziął kilka głębokich oddechów i próbował uspokoić tętno. W chwili kiedy miał nacisnąć dzwonek, usłyszał kroki na schodach.

– Mogłeś chyba zaczekać – wysapała zziębnięta Natalie. – Na szczęście pojawiła się pewna miła staruszka i mnie wpuściła. – Puściła oko do Saraca i przez sekundę prawie się uśmiechnęła. Zamiast tego udało mu się zamienić uśmiech na grymas niezadowolenia. Nie chciał wciągać ją w to bardziej, niż już to zrobił. Poprosiłby ją, żeby wróciła do samochodu, gdyby już nie nacisnęła dzwonka.

Jego sygnał uruchomił w głowie znane mu dobrze brzęczenie i na kilka sekund

przymknął oczy. Drzwi otworzył prosto się trzymający, suchy jak wiór niski mężczyzna.

– Taak... – powiedział. Słowo zniknęło gdzieś w nosie.

– Eugene von Katzow? – spytała Natalie.

– Kto pyta?

Natalie spojrzała na Saraca, trąciła go lekko łokciem.

– Mój przyjaciel mówi, że cię zna.

– Nie sądzę – krótko odpowiedział mężczyzna. – Pewnie mnie z kimś pomyliliście. – Zaczął zamykać drzwi, ale zanim się zatrzasnęły, Natalie zdążyła włożyć nogę w szparę.

– No, David – syknęła do Saraca. – To nie jest ten facet?

Sarac powoli pokręcił głową. Brzęczenie stawało się coraz silniejsze.

– Przepraszam, panienko, czy byłaby panienka tak miła i usunęła stopę? – Głos mężczyzny był tak samo suchy jak przedtem.

Natalie posłała długie spojrzenie w kierunku Saraca i cofnęła nogę. W ostatniej chwili Sarac podniósł rękę i zatrzymał drzwi.

– Arthur – powiedział. – Powiedz Eugene'owi, że przyszedł David Sarac. – Głos brzmiał inaczej, cicho, ale zdecydowanie. Puścił drzwi i pozwolił, żeby się zamknęły. Nastąpiła cisza. Zauważył, że Natalie patrzyła na niego, ale dla odmiany nic nie powiedziała.

Drzwi znów się otworzyły.

– Proszę wejść, panie Sarac – powiedział chudzielec.

Mężczyzna, którego Sarac nazwał Arthurem, poprowadził ich długim korytarzem. Grube ściany, wysoki sufit i skrzypiące, drewniane podłogi pod ciężkimi oryginalnymi dywanami.

Pokój, do którego weszli, był bardziej nowoczesny, niż Natalie się spodziewała. Dwie wygodne sofy, duży ekran filmowy na jednej z otynkowanych na biało ścian. Na pozostałych ścianach zdjęcia w ramkach i obrazy. Słabo oświetlony, ładny, stary sklepiiony sufit sprawiał, że pokój wydawał się jeszcze wyższy.

Na jednej z sof siedział mężczyzna około sześćdziesiątki. Miał na sobie czerwoną, aksamitną bonzurkę i duże kwadratowe okulary przeciwsłoneczne, zakrywające oczy.

Obok niego na sofie leżał duży ciemnożółty pies z głową opartą na kocu na kolanach mężczyzny. Kiedy podeszli bliżej, pies zaczął powoli machać ogonem.

– Cześć, Brutus – powiedział Sarac. Na dźwięk jego głosu ogon przyspieszył, ale pies odpuścił sobie podnoszenie głowy.

– Musicie nam wybaczyć – powiedział mężczyzna na sofie, który najwyraźniej był Eugene'em von Katzowem. – Zarówno mnie, jak i Brutusowi ciężko jest się ostatnio ruszać. Czy Arthur może wam coś zaproponować? Kawa, herbata?

– Chętnie kawa – powiedziała Natalie.

Von Katzow pokazał im, żeby usiedli.

– David, nie przedstawiłeś mi swojej przyjaciółki. – Wskazał głową Natalie.

– To Natalie, ona... mi pomaga – powiedział Sarac, robiąc mały grymas.

– Rozumiem. – Von Katzow pokiwał głową. – Dobrze jest czasami mieć pomocnych przyjaciół, to prawda. Ja sam bym sobie bez nich nie poradził.

Nastąpiła cisza i Natalie wykorzystała chwilę, żeby się trochę rozejrzeć. Kilka z obrazów to były w istocie stare afisze cyrkowe. Rozpoznała nazwę Ringling Bros. and Barnum & Bailey. Wszystkie przedstawiały różnego rodzaju linoskoczków. Na największym z nich było chyba zdjęcie z filmu. Na brzegu rozpoznała nazwisko Britt Ekland. The Great Wallendas. Gdzie słyszała tę nazwę?

– No więc, David, w końcu jednak tutaj trafiłeś. – Głos von Katzowa nie był nieprzyjazny, raczej trochę smutny. – Cieszę się, że znów jesteś na nogach – ciągnął mężczyzna. – Ale niestety, myślę, że przyszedłeś tu na darmo.

– Czemu? – spytał Sarac.

Natalie nie potrafiła określić, co to było, ale jego głos brzmiał wyraźnie inaczej. Bardziej szorstko, był bardziej pewny siebie.

– Myślisz, że wypełnię luki w twojej głowie. Wyjaśnię, co się dzieje. Gdzieś w głębi może nawet chcesz myśleć, że to ja w jakiś sposób za tym wszystkim stoję – powiedział von Katzow.

– Czy to byłby błąd, Eugene?

Von Katzow uśmiechnął się krzywo.

– Co ty właściwie myślisz, David?

Sarac wzruszył ramionami.

– Nie jestem tu, żeby rozmawiać o tym, co ja myślę, ale żeby się dowiedzieć, co ty wiesz.

Natalie spojrzała na Saraca, następnie na von Katzowa. Zwróciła uwagę, że obaj mężczyźni uśmiechali się w podobny sposób. Jakby ta nonsensowna rozmowa, jaką prowadzili, w rzeczywistości była czymś zupełnie innym.

– Cały ty. – Von Katzow lekko pokręcił głową. – Od razu prosto do rzeczy. Bierzesz to, czego potrzebujesz, nie myśląc o konsekwencjach.

Natalie zauważyła, jak uśmiech Saraca nieco osłabł. Von Katzow chyba też to zobaczył, bo pochylił się lekko do przodu.

– To nie mnie szukasz, David. Czy możemy się chociaż zgodzić co do tego? Miałeś może nadzieję, że tu przyjdiesz i znajdziesz mózg, który za wszystkim stoi, ale tak naprawdę, gdzieś w głębi, wiesz, że tak nie jest. – Von Katzow rozpostarł ręce. – Moje widzenie ograniczyło się do dwudziestu procent, w zasadzie nie mogę nigdzie iść bez przewodnika. Dlatego bawię się, zapraszając ludzi tutaj, takich, którzy według mnie potrzebują delikatnego pchnięcia we właściwym kierunku. Byłeś jednym z nich, właściwie jednym z tych bardziej inteligentnych. Między innymi podzielasz moje zainteresowanie rzymskimi bogami.

Von Katzow przerwał, kiedy wszedł służący, niosąc tacę z dwoma srebrnymi dzbankami i trzema filiżankami ze spodkami. Mężczyzna postawił tacę na stole i dyskretnie się wycofał.

– Spotkałem twojego starego przyjaciela, Dreyera – powiedział Sarac, nalewając Natalie kawę. Tym razem to von Katzow lekko się zmartwił.

– Twierdził, że tak naprawdę pracowałem dla niego. Że mnie zwerbował, żeby szpiegować ciebie i innych na górze w kryminalnym. Co o tym myślisz? – Sarac podniósł swoją filiżankę i oparł się o sofę.

Natalie nagle zdała sobie sprawę, co tu się działo. Była świadkiem gry, czegoś w rodzaju werbalnych szachów. Od razu pomyślała o książkach z psychologii w bibliotece Saraca. Dotyczyły nacisku, wpływu i sprawiania, żeby ludzie robili to, czego się od nich oczekuje.

Von Katzow przez chwilę siedział cicho i bezmyślnie drapał psa pod brodą.

– Myślę, że Jan Dreyer mówi to, co według niego podziała. Coś, co w taki czy



inny sposób będzie pasować do układanki, którą chcesz ułożyć.

Sarac odstawił filiżankę.

– Czyli uważasz, że się myli?

– Tego nie powiedziałem. – Von Katzow dalej drapał psa.

– Nie, nie powiedziałeś. Najchętniej unikasz mówienia otwartym tekstem – stwierdził Sarac.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie. Żaden nic nie mówił. Zdawało się, że obaj czekają na ruch drugiego.

Natalie już się zmęczyła. Potrzebowała odpowiedzi, teraz, zaraz. Czegoś, co mogłaby zanieść Rickardowi, co mogło przywrócić jego zaufanie do niej. Pochyliła się i odstawiła filiżankę na spodek wystarczająco mocno, żeby zabrzęczało.

– O co chodzi z tym linoskoczkiem? – spytała, zwrócona do von Katzowa. – Zdjęcie w domu u Davida, strona internetowa, tamte afisze?

Von Katzow obrócił się w jej kierunku. Ciemne okulary kryły oczy, co trochę utrudniało interpretację uśmiechu.

– Zawsze się interesowałem cyrkiem – powiedział. – Kiedy byłem dzieckiem, marzyłem, że zostanę linoskoczkiem. Ćwiczyłem w ogrodzie w domku na wsi, rozciągnąłem linę między dwiema jabłoniąmi. Ale zamiast zrobić karierę w cyrku, rozczarowałem rodziców równie mocno, zostając policjantem. – Wzruszył ramionami. – Faktem jest, że istnieje sporo podobieństw między naszą pracą a zawodem linoskoczka. – Von Katzow kiwnął w stronę Saraca. – Utrzymać równowagę, niezależnie od tego, co się dzieje. Nie stracić koncentracji, rozumiesz, o co mi chodzi, Natalie?

– A ten mężczyzna na zdjęciu, ten, który idzie nad mostem Tower Bridge?

– Karl Wallenda? W rzeczywistości idzie obok mostu, ale to nie pomniejsza jego wyczynu. – Von Katzow poprawił się trochę na sofie, co spowodowało ponowne machanie ogonem u psa. – Karl Wallenda był największym na świecie artystą równowagi. Już w latach dwudziestych założył własną grupę akrobatów i aż do współczesnych czasów ustanowił masę rekordów. Jego specjalnością były duże wysokości. Chodził pomiędzy drapaczami chmur i nad mostami. Właściwie prawie nigdy nie korzystał z zabezpieczeń. Twierdził, że życie istnieje tylko na linie,

wszystko inne jest czekaniem. – Von Katzow pokręcił smutno głową. – Takich bohaterów niestety już nie ma, droga Natalie. Teraz chodzi głównie o image. O to, żeby być znanym, właściwie nic nie robiąc. – Wolno poklepał psa po karku. – Karl Wallenda zginął dla swojej sztuki, spadł w czasie przejścia między dwoma hotelami w Puerto Rico w siedemdziesiątym ósmym. Właściwie był już na emeryturze, miał wtedy ponad siedemdziesiąt lat. Ale z jakiegoś powodu zdecydował się na to przejście. Zaledwie w połowie drogi dorwał go wiatr. Runął w dół. Później jego żona opowiadała, że знаła go ponad pięćdziesiąt lat. Widziała, jak się przygotowuje do setek różnych grożących śmiercią akcji. Ale to był jedyny raz, kiedy słyszała, jak mówił o ryzyku upadku. O możliwości niepowodzenia. – Wskazał w kierunku ściany. – Zwykle opowiadam o Karlu Wallendzie podczas swoich wykładów. Wykorzystuję go jako przykład tego, jak niebezpieczne może być wprowadzenie do głowy myśli o niepowodzeniu. – Von Katzow znów się uśmiechnął. – Mam nadzieję, że odpowiedziałem na twoje pytanie, Natalie?

– Jak najbardziej, ale właściwie to mam jeszcze jedno pytanie, jeśli mogę, Eugene? – Poczekała, aż obaj mężczyźni na nią spojrzą, i dodała swój najmiłszy uśmiech.

– Oczywiście, moja droga. – Von Katzow podniósł filiżankę z kawą.

Natalie wzięła głęboki oddech. Zastanawiała się, czy powiedzenie tego, co miała zamiar powiedzieć, rzeczywiście było dobrym pomysłem. Ale już od kilku tygodni siedziała cicho, niczego Rickardowi nie dostarczyła. Najwyższy czas podjąć ryzyko. Wejść na linę.

– Opowiedz, co wiesz o Janusie. Kim on jest, na przykład? – powiedziała i uśmiechnęła się zadowolona, kiedy von Katzow zakrztusił się kawą.

Atif zgubił na moment golfa na Slottsbacken. Skręt w lewo, w kierunku Stortorget, zaskoczył go, zmusił do zwiększenia odległości. Kiedy w końcu wjechał na rynek, golfa już nie było. Ale na szczęście wybór ulic nie był zbyt duży, a jeszcze mniej było miejsc do parkowania. Po około dziesięciu minutach krążenia po Starym Mieście znalazł źle zaparkowany samochód zaledwie kilkaset metrów od rynku.

Niestety, było zbyt ciasno, żeby mógł wcisnąć furgonetkę, nie blokując uliczki.

Zamiast tego zaparkował za rogiem, wcisnął jedną ze swoich kolczastych gwiazdek w przednią oponę golfa i ustawił się w bramie, skąd miał dobry widok. Teraz wystarczyło czekać.

– Faktem jest – powiedział von Katzow, kiedy się trochę otrząsnął – że nie wiem, kim jest Janus. A powód jest całkiem prosty. – Odchrząknął lekko. – Nigdy mi tego nie powiedziałaś, Davidzie. – Von Katzow obrócił się w stronę Saraca, który wciąż miał wzrok utkwiony w Natalie. – Kilka razy spotykaliśmy się tutaj, ale to głównie ja opowiadałem ci różne rzeczy. O tym, jak zaczynaliśmy, jak zorganizowaliśmy pracę opiekunów, o naszych zwyczajach, zasadach. O doświadczeniach, jakie zebraliśmy przez lata. O niemożności prowadzenia wojny liniowej przeciwko asymetrycznemu wrogowi. O tym, jak ważne jest, by myśleć niekonwencjonalnie. – Starszy pan westchnął. – Zresztą prawie tak samo interesowałeś się chaosem, jaki nastął, kiedy Dreyer i jego wewnątrzni zaczęli polowanie na czarownice. Kiedy prawie nam się udało zniszczyć samych siebie.

Natalie nie bardzo wiedziała, o czym mówił von Katzow, ale zdecydowała się nie odzywać.

– To dlatego oszedłeś. Żeby ratować wydział. Wszystko, co stworzyłeś – powiedział Sarac, kiedy niechętnie odebrał spojrzenie Natalie.

Von Katzow wolno pokiwał głową, nagle wyglądał na zmęczonego. Oparł się na sofie.

– Wiem tylko to, Davidzie, że wysłaliśmy cię na kurs do Stanów. Mówię my, ponieważ mimo że już nie byłem w instytucji, udało mi się pociągnąć kilka linek po drugiej stronie Atlantyku. Wkrótce po powrocie zacząłeś mówić o tajnym projekcie, który nazwałeś „Janus”. Poprosiłeś mnie o pomoc w początkowym finansowaniu. Pomogłem ci w tym i pokazałem też znak Janusa, który pamiętałem z jakiejś książki. Ale nic więcej nie powiedziałaś, a ja, oczywiście, też nie pytałem. Teraz bardzo mnie to cieszy.

Brutus podniósł się nagle na sofie, uniósł nos i nastroszył uszy.

– Robi tak czasami. Arthur twierdzi, że Brutus słyszy duchy. Zagubione dusze. – Von Katzow znów pogłaskał psa po karku. – Nic dziwnego, w końcu mieszkamy na

ulicy dusz <sup>28</sup>. – Von Katzow zaczekał, aż zwierzę znów się położy i ciągnął dalej: – Niestety nie jesteś jedynym z moich starych uczniów, który poluje na Janusa.

– Molnar – powiedział Sarac.

Von Katzow kiwnął głową.

– Peter to jeden, ale jest ich więcej. Próbowałem dać wyraźnie do zrozumienia, że jestem w tej sprawie neutralny. Peter uważa mnie za swojego mentora. Dlatego poprosiłem go, żeby trzymał mnie od tego z daleka, tak długo, jak to jest możliwe. Po części dlatego, że faktycznie nie wiem nic, co mogłoby ci pomóc, a po części dlatego, że nie chcę ryzykować jakichś nieporozumień. Rozumiesz, Davidzie... – Odsunął Brutusa i przechylił się nad stołem. – Osoby, które chcą dorwać Janusa, są gotowe zrobić wszystko, żeby go znaleźć. Wszystkie chwytaki dozwolone. – Skreślił głowę w stronę Natalie. – Myślę, że dość powiedziałem. Chodź, moja droga, pokażę ci zdjęcie Davida, kiedy był młodszy i weselszy. – Wstał i skinął na Natalie, żeby podeszła z nim do jednej ze ścian, na której wisiły zdjęcia w ramach. – Tu gdzieś powinien być. Niestety, nie widzę wystarczająco dobrze, żeby móc go wskazać.

Natalie spojrzała na fotografie. Wszystkie ukazywały różne grupy osób, ustawione do zdjęcia. Na kilku widać było zagraniczne flagi, inne były prawdopodobnie zrobione w tym mieszkaniu. Na białych brzegach zapisano tytuły i nazwiska. Większość z nich to byli pewnie policjanci albo prokuratorzy.

Zdjęcie, które wskazał von Katzow, było chyba zrobione za granicą, ponieważ wokół widocznych na nim osób wisiły flagi UE i ONZ. Przeciągnęła palcem po twarzach, ale nie znalazła Saraca. Nagle jedna z twarzy wydała jej się znajoma. Dobrze zbudowany blondyn z szerokim uśmiechem. Spojrzała pod zdjęcie, przeczytała nazwisko. Zesztywniała, kiedy zobaczyła, że było inne niż to, które podał.

– Tu jestem. – Sarac wskazał zdjęcie obok. Głos miał chłodny. Natalie się wyprostowała, uśmiechnęła i udawała, że nic się nie stało. Kiedy tylko zobaczyła jego wzrok, zdała sobie sprawę, że jej nie uwierzył.

## Pięćdziesiąt jeden

Szli razem w dół kamiennych schodów. Sarac przodem, a Natalie kilka schodków za nim. Tuż przed wyjściem zatrzymał się.

– Kto ci powiedział o Janusie? – spytał. W jego głosie było wyraźnie słycać tłumioną złość. – Ten mężczyzna ze zdjęcia?

– Co, o czym mówisz? – odpowiedziała Natalie, próbując zyskać trochę na czasie. Jasne, że rozmawiali o Janusie na wyspie, była tego prawie pewna. Wzruszyła ramionami. Próbowała brzmieć zupełnie na luzie, podczas gdy jej mózg pracował na najwyższych obrotach. – Wymieniłeś to imię kilka razy, nie pamiętasz? – Tym razem ton był bardziej dopasowany, zawierał nawet odrobinę współczucia dokładnie tego rodzaju, jakiego nienawidziła. Jednocześnie zakłęła w głębi ducha. Sarac miał rację. Stary von Katzow widział wyraz twarzy Saraca, kiedy wspomniała o Janusie, i natychmiast wyczuł nieporozumienie. Poddał ją testowi. Testowi, którego nie zdała.

– Dla kogo pracujesz? – zapytał głucho Sarac.

– Adelfi Care, już to mówiłam, David.

– I jak długo dla nich pracowałaś, Natalie?

– Jakiś czas, czemu? – Przepięła się obok niego, żeby otworzyć drzwi na dwór.

– Jak długo? – Zatrzasnął drzwi tuż przed jej nosem. Czarne oczy, nawet trochę się przestraszyła.

– Od listopada. – Jej głos delikatnie zadrżał, wystarczająco, żeby to zauważył.

– Od którego, Natalie?

Ugryzła się w wargę.

– Od dwudziestego ósmego – powiedziała cicho.

– Pięć dni po moim wypadku. Mniej więcej wtedy, kiedy stało się jasne, że przeżyję i że będę potrzebował osobistego opiekuna – powiedział Sarac.

Jego wzrok palił ją w głowę i musiała odwrócić oczy.

– Dla kogo tak naprawdę pracujesz, Natalie?

– Wiesz co, David, popadasz w paranoję. To ten udar mózgu...

– Opuść sobie! – syknął. – Widziałem, że rozpoznałaś kogoś na zdjęciach, więc mów, kto to!

– N-nikt, tylko pomyślałam, że jeden z nich jest podobny do starego znajomego. – Sama słyszała, jak fałszywie to brzmiało. Cholera jasna, zwykle nie miała problemu z kłamaniem. Zdjęcie ją zaskoczyło. Było sprzed kilku lat i mężczyzna miał na sobie mundur, ale mimo to natychmiast rozpoznała Rickarda.

– Stary znajomy? – Sarac nadal się na nią gapił. – Który nazywa się...?

Natalie się zawahała.

– Rickard – odpowiedziała.

– Nazwisko. Jak ma na... – Sarac się zakołysał, złapał się za głowę.

Wykorzystała szparę w drzwiach. Przecisnęła się obok niego i wyślizgnęła się na zewnątrz. Szybkim krokiem szła w kierunku samochodu. Jebany idiota, trzymać ją na schodach. Za kogo on się, do cholery, uważa. Po tym wszystkim, co dla niego zrobiła – właściwie uratowała jego pierdolone życie.

– Czeka! – Sarac niepewnie wyszedł z budynku. Głowa waliła jak dzika, robiło mu się ciemno przed oczami. Zatrzymał się, szukał czegoś, czego wzrok mógłby się uchwycić. Kawalek dalej na ulicy dostrzegł plecy jakiegoś mężczyzny.

Natalie wskoczyła do golfa i zamknęła drzwi. Próbowwała trafić kluczykiem w stacyjkę. Jej twarz płonęła po równo ze złości i ze wstydu. Jest spalona, została zdemaskowana i nie ma zamiaru zostać w tym miejscu ani jednej cholernej sekundy dłużej. Zarówno David, jak i Rickard mogą iść się gonić.

– Natalie, poczekaj chwilę!

Sarac zrobił kilka kroków w kierunku samochodu, ale zatrzymał się, kiedy usłyszał narastający dźwięk silnika. Zza rogu wolno wyjeżdżała furgonetka ze zdartymi niebieskimi literami na bokach. Na sekundę się zatrzymała, jakby kierowca na kogoś czekał. Sarac zrobił kilka szybkich kroków w kierunku golfa. Zamknięte drzwiczki. Szarpnął klamką, pochylił się i zastukał w szybę.

Furgonetka zbliżała się. Sarac spojrzał na miejsce kierowcy, dostrzegł zwalistą postać. Jego serce łomotało dziko. Powinien był słuchać instynktu i wziąć rewolwer, który dostał od Bergha, zamiast trzymać go w bagażniku.

Silnik golfa zaryczał. Sarac znów zastukał w szybę, tym razem mocniej, ale Natalie odwróciła wzrok.

– Natalie, otwórz, do cholery!

Oślepiły go długie światła furgonetki. Usłyszał trzeszczenie skrzyni biegów w golfie. Miała zamiar zwać, zostawić go tutaj.

– Natalie! – wrzasnął i ostatni raz szarpnął klamkę. Tym razem drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że prawie stracił równowagę.

– Wskakuj! – ryknęła Natalie. Od razu posłuchał.

Golf ruszył z jednym buksującym w śniegu kołem, trochę nim rzucało, trochę się ślizgał po bruku. Załedwie o kilka centymetrów minął wysunięty stopień schodów, zanim Natalie udało się wyrównać jazdę i jechać już prosto po wąskiej uliczce.

Furgonetka była tuż za nimi, długie światła rozświetlały całe wnętrze samochodu i Natalie była zmuszona odwrócić wsteczne lusterko, żeby jej nie oślepiły. Samochody pędziły przez wąską uliczkę, huk silników odbijał się od starych kamienic. Sarac spojrział w tył, potem na Natalie. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie. Zdecydowała się skoncentrować na prowadzeniu. Wszystko inne musiało poczekać.

Zbliżali się do skrzyżowania, zahamowała i skręciła kierownicę w lewo. Ale samochód skręcał zbyt wolno. Ściana domu zbliżała się w ogromnym tempie. Szli na czołowe.

Natalie chwyciła hamulec ręczny, pociągnęła w górę, jak mogła najmocniej. Tylne koła się zablokowały, samochód potoczył się w lewo.

Prawa strona golfa uderzyła w ścianę budynku, potem samochód runął z powrotem na ulicę. Następne skrzyżowanie było załedwie kilka metrów dalej.

– Samochód dziwnie się zachowuje! – krzyknęła Natalie. – Chyba złapaliśmy gumę.

Skręciła w prawo, przekręciła kierownicę do oporu i powtórzyła manewr z ręcznym. Z minimalnym marginesem udało jej się wcisnąć golfa w jeszcze węższą uliczkę. Kierownica dziko wibrowała w rękach, utrudniała utrzymanie samochodu na prostym kursie.

Silne uderzenie sprawiło, że golf odbił się od prawej, potem od lewej ściany budynku. Walnęła w nich furgonetka i szykowała się do powtórki. Po kolejnym uderzeniu golf zrobił niekontrolowany skok w przód.

Do głowy Saraca wrócił szum. Dźwięk silnika, mocne światła samochodu,

uderzenia. Wszystko było takie znane.

Nagle Natalie zahamowała, skręciła kierownicę w lewo i pociągnęła ręczny po raz trzeci, tak że golf utkwiał w poprzek wąskiej uliczki. Kabinę wypełnił odgłos zginanej blachy, potem uderzenie poduszek powietrznych.

Furgonetka była za blisko, żeby zdążyć zahamować. Zderzenie zatrzęsło golfem, podskoczył kilka razy i wbił się pomiędzy ściany budynków. Na krótką chwilę wszystko się zatrzymało.

Sarac łapał powietrze. Pas bezpieczeństwa wbijał mu się w klatkę piersiową, a w powietrzu unosił się drobny, biały proszek, który drapał w gardle. Głośny, przecinający dźwięk w głowie zagłuszył cały hałas. Świat poruszał się w zwolnionym tempie. Widział, jak Natalie walczy z poduszką powietrzną. Jej usta wolno się poruszały. Później szybciej. Nagle efekt zwolnienia puścił, wpadł z powrotem w teraz.

– Biegnij! – krzyczała Natalie.

Przez szybę od strony pasażera wskazała na koniec ulicy.

– Teraz, on nie przejedzie. Biegnij, do cholery!

Sarac odpiął pas bezpieczeństwa i złapał za klamkę. Drzwi były zablokowane. Obrócił się na siedzeniu, podniósł obie nogi i kopnął. Usłyszał protest blachy.

– Szybko, on wychodzi! – Natalie dalej walczyła z poduszką i pasem bezpieczeństwa. Sarac zebrał wszystkie siły, nacisnął piętami. Drzwi wyleciały.

Wypełzył na ulicę, obrócił się po kilku niepewnych krokach. Zobaczył mężczyznę wychodzącego z samochodu. Duży i z naciągniętym kapturem. Janus!

Janus obserwował jego mieszkanie, widział, jak pozbył się policjantów, którzy mieli go chronić. I teraz znalazł się tutaj, żeby odciąć ostatnią nitkę. Ze strachu był prawie sparaliżowany, ale jakimś sposobem udało mu się zmusić nogi do ruchu. Miał dziesięć metrów przewagi. Zanim prześladowca zdąży przejść przez golfa, ta odległość się podwoi.

Zwiększył prędkość, skierował się w stronę rogu ulicy. Jedną nogą źle stanął na śliskim podłożu. W ostatniej chwili odzyskał równowagę.

Za sobą usłyszał trzaśnięcie drzwiczek, później pisk cofającego się samochodu.

Do skrzyżowania zostało dziesięć metrów, pięć...



Znów się poślizgnął, bruk był śliski jak lód. Prawa noga prawie się zgięła. Wyszedł na środku drogi pod górę, skręcił w lewo i zaczął schodzić w dół. Dziesięć metrów dalej ulica skręcała ostro w prawo i prowadziła dalej do rynku Järntorget. Na wprost metalowa poręcz, a za nią ostry spadek prosto w kierunku ulicy Österlånggatan.

Sarac znów się poślignął, tym razem prawie upadł. Za sobą słyszał zbliżający się dźwięk rozpędzonego silnika.

Nogi szły same, pochyłość i śliskie podłoże uniemożliwiały zatrzymanie się. Furgonetka pojawiła się na samej górze drogi za nim. Światła reflektorów odbijały się od okien po drugiej stronie Österlånggatan. Sarac przechylił się w prawo, starał się zrobić gwałtowny skręt. Prawa noga się zgięła, poślizgnął się i upadł.

Wylądował na plecach, zaledwie kilka metrów od metalowego ogrodzenia. Upadek sprawił, że stracił oddech. Tyłem głowy uderzył w krawędź chodnika, wysokie nocne niebo zaczęło się kręcić.

Usłyszał pisk hamulców, skwierczenie opon na pokrytym lodem bruku, desperacko próbował się podnieść. Ale nadal się chwiał, nie utrzymał się na śliskim podłożu, udało mu się tylko wstać, opierając się plecami o ogrodzenie.

Furgonetka zbliżała się ślizgiem, tył zarzucił i pojazd zaczął się przesuwac na boku. Sarac próbował się uchylić, ale zobaczył, że nie zdąży. Wcisnął plecy w żelazne bariery ogrodzenia. Zamknął oczy.

Lewe koła furgonetki uderzyły o krawężnik chodnika prawie jednocześnie. Prawe uniosły się trochę nad ziemię i przez moment wyglądało, jakby samochód miał się przewrócić prosto na Saraca.

Ale pojazd przechylił się z powrotem na wszystkie cztery koła i stanął zupełnie nieruchomo. Drzwi po stronie kierowcy otworzyły się i wysiadł mężczyzna w kapturze.

Serce Saraca załomotało w ataku paniki. Znów próbował wstać. Tym razem mu się udało. Szybko spojrzął przez ogrodzenie. Sześć, może siedem metrów w dół do ulicy Österlånggatan.

– Nawet o tym nie myśl!

Odwrócił się, patrzył prosto w lufę pistoletu. Kierowca ciężarówki podniósł rękę,

zsunął kaptur zasłaniający twarz. Mimo pistoletu przez sekundę Sarac poczuł ulgę. To nie był Janus, ale człowiek z Högbergsgatan. Ten, któremu Natalie zrobiła zdjęcie. To mężczyzna, który próbował mu pomóc uratować Sabatiniego. Ale co on, do cholery, tu robił?

– Wskakuj! – Wolną ręką mężczyzna otworzył boczne drzwi furgonetki.

Sarac się nie ruszył. Obracał głową, szukał wyjścia. Gdzieś daleko było słyhać dźwięk syren. Trochę bliżej rżenie samochodu. Mężczyzna obniżył nieco broń.

– Mogę ci też strzelić w kolano i wrzucić cię do auta. Sam wybieraj!

Sarac zrobił niechętnie kilka kroków do przodu, położył ręce na dachu samochodu, ale stanął w otwartych drzwiach. W środku zobaczył brudny materac i taśmy do wiązania, gotowe do użycia. Zrozumiał, o co chodzi. Obrócił się w kierunku mężczyzny.

– No więc – zaczął.

W tej samej chwili w górze uliczki zaryczał silnik samochodu.

Natalie zakłęła przez zęby. Biedny golf. Lampki na pulpicie świeciły jak na choince, w środku śmierdziało chemikaliami z poduszek powietrznych. W każdym razie samochód nadal się toczył.

W połowie okien wzdłuż ulicy światła były zapalone, widziała profile ludzi wyglądających na zewnątrz. Miała to gdzieś. Przez kilka sekund właściwie chciała zostawić Saraca na ulicy. Ale nie mogła. Straciła twarz i została zdemaskowana jako oszustka. Ale nie tylko to. Rickard ją okłamał, przez niego czuła się podwójną idiotką. To na siebie była wściekła, nie na Saraca. Poza tym, niezależnie od tego, jak się spojrzy na sprawę, miała umowę z Adelfi. Sarac wciąż był jej pacjentem, była za niego odpowiedzialna.

Kierownica uderzyła porządnie, dał się słyszeć odgłos szorowania, ale ucichł, kiedy coś się poluzowało i trafiło pod koło. Furgonetka szybko się cofnęła i skręciła w tę samą ulicę, którą przyjechali. Gonila Saraca równoległą drogą. Właściwie to powinna olać to wszystko. Zostawić samochód, zadzwonić do Rickarda i wyjaśnić, że jest spalona. Ale Sarac nadal tam był. Sam i bez większych szans na obronę.

Dojechała do skrzyżowania i wjechała w górę uliczki. Zobaczyła białą furgonetkę

zaparkowaną na dole, tuż przy ogrodzeniu. Zmieniła bieg na niższy, dodała gazu. Uśmiechnęła się.

*Payback time!* [29](#)

Sarac rzucił krótkie spojrzenie nad dachem furgonetki. Zobaczył golfa pędzącego w dół wzniesienia. Ręce Natalie obejmujące kierownicę i wzrok wbity w furgonetkę. Spojrzał na mężczyznę z pistoletem, zobaczył, jak wytrzeszcza oczy. Następnie rzucił się w otwarte drzwi samochodu.

Natalie uderzyła w sam środek boku furgonetki. Pod wpływem zderzenia samochód stanął na sztorc i następnie powoli zaczął opadać na bok. Ale Natalie nie zdążyła dokładnie zobaczyć, co się stało. Po raz drugi w ciągu pięciu minut uderzyła głową o kierownicę i tym razem nie było poduszki powietrznej, która by złagodziła szok.

Atif zobaczył nadjeżdżający samochód, przed zderzeniem zdążył tylko zrobić krok w kierunku ogrodzenia. Furgonetka stanęła na sztorc, a następnie zaczęła opadać prosto na niego. Dach auta był zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od jego głowy, kiedy przeskoczył przez ogrodzenie i spadł prosto na bruk poniżej.

Sarac wyczołgał się wolno z przewróconego samochodu. Jeszcze ciągle bolały go kość ogonowa i czaszka po upadku, ale poza tym był w całkiem niezłym stanie. Golf stał jakiś metr dalej. Z silnika wydobywało się tykanie i syczenie, a nad maską z przodu unosił się dym z chłodnicy. Jak najszybciej okrążył wrak auta i otworzył drzwiczki od strony kierowcy.

Natalie siedziała pochylona do przodu z głową opartą o kierownicę. Kiedy ostrożnie przechylił ją do tyłu, zobaczył krew na jej twarzy. Kurwa jego mać!

– Natalie? – Dotknął jej ramienia.

– Natalie, słyszysz mnie? – Spojrzał w dół, szukając innych ran. Kolumna kierownicy zablokowała jedną nogę, uniemożliwiając wydostanie dziewczyny. Z oddali słychać było dźwięk syren.

– Dorwałam go? – spytała.

Oczy miała nadal zamknięte, ale zauważył drgnięcie w kącikach ust.

– Ten skurwiel zmiądzzył mój samochód. Powiedz tylko, że go dorwałam, żebym mogła umrzeć w spokoju.

– No, Natalie, na pewno się z tego wykaraskasz – wymamrotał.

– Oczywiście, że tak, idioto. – Otworzyła oczy, starła krew z czoła i zrobiła grymas bólu. – Rozbiłam czoło, na pewno mam wstrząs mózgu. Dodaj do tego jeszcze kilka przemaglowanych żeber. – Natalie odkaszlnęła. – Zrobiłam z niego miazgę?

Sarac pokręcił głową.

– Chyba przeskoczył przez ogrodzenie – powiedział.

– Szkoda. – Odchrząknęła. – Przez chwilę go widziałam, zanim uderzyłam. To koleś ze zdjęcia, ten z Höbergsgatan, prawda?

Sarac skinął głową. Syreny zbliżały się coraz bardziej, ich echo niosło się między ścianami domów.

– Spadaj – powiedziała. – Dam sobie radę.

Sarac się odwrócił.

– Jesteś pewna? – spytał.

– Spadaj, do cholery. – Znów zakaszłała, splunęła śliną pod jego stopy.

Sarac kiwnął głową, stał przez kilka sekund.

– Dziękuję – powiedział. – Dziękuję za pomoc, Natalie.

Zderzenie otworzyło bagażnik. Sarac wyciągnął torbę i zaczął iść w górę uliczki. Po kilku metrach usłyszał wołanie Natalie i stanął.

– Oscar! – krzyknęła. – Oscar Wallin, tak naprawdę nazywa się Rickard.

## Pięćdziesiąt dwa

Sarac chodził w kółko przed białą tablicą. Wciąż jeszcze był na haju, dawka adrenaliny nadal działała. Kierowcą furgonetki nie był Janus, ale mężczyzna, który pomógł mu ratować Sabatiniego na Högbergsgatan. Musiał usłyszeć, jak Sarac mówił o Janusie. Raptem kilka dni później pojawia się z samochodem i próbuje go porwać. Wniosek? Mężczyzna z furgonetki również szukał Janusa.

Pytanie tylko, jak znalazł jego? Miał chroniony adres, zastrzeżony numer telefonu. Ale z pewnością nie brakowało policjantów gotowych sprzedać to czy tamto, byle suma była odpowiednia. Takich jak on sam. Niezależnie od tego, jak facet to zrobił, trzeba go dodać do coraz dłuższej listy osób polujących na Janusa.

Adwokat Crispin próbował kupić Janusa dla swoich klientów. Molnar chciał zatrzeć wszelkie ślady. No i Oscar Wallin, kolejny z adeptów von Katzowa, który chciał przejąć Janusa i zmusić go do kontynuacji swojego zadania. Wallin był o krok do przodu, wstawił wtyczkę w jego bezpośrednim otoczeniu. Natalie musiała mu zdawać raport ze wszystkiego, co się działo. Notatnik, postępy z szyfrem, nazwiska. To pewnie do niego dzwoniła z promu, kiedy byli w drodze do Sabatiniego. Natalie była twarda, nie dawała się tak łatwo przekonać, co oznaczało, że Wallin był zdecydowanie sprawniejszym graczem, niż Molnar myślał.

Zastanawiał się, jak ona się teraz czuje. Zwalczył impuls zadzwonienia do szpitala Södersjukhuset, żeby się dowiedzieć. Natalie to był skończony rozdział. Zaufał jej, a ona go zdradziła. Ale też uratowała mu życie, co zdecydowanie zmniejszyło jego wściekłość. Kurwa!

Poza tym w tle czaił się Dreyer i jego wewnętrzni śledczy. Powiedział wprawdzie, że ma gdzieś Janusa, ale informator, który zamordował, żeby chronić policjanta, był dokładnie tą bronią, której potrzebował, żeby zatopić Wydział Wywiadu Kryminalnego raz na zawsze. Może nawet cały Wydział Kryminalny Komendy Wojewódzkiej.

Ostatnim nazwiskiem na liście osób, które polowały na Janusa, był on sam. Dlaczego właściwie był tak niewiarygodnie uparty? Już dawno przestało chodzić o chęć rewanzu, o odzyskanie swojego miejsca w grupie. Zawiódł kolegów, już nigdy

nie będzie mógł spojrzeć im w oczy po tym, jak sprzedał się Crispinowi. Chodziło o coś innego.

Czy chciał, żeby Janus odpowiedział za to, co zrobił? Raczej nie, w zasadzie w takim samym stopniu był w to zamieszany. Czy chodziło o zebranie ostatnich kawałków układanki prowadzącej do tego, kim kiedyś był? To na pewno była część napędzającej go siły, ale nie cała. No więc, co to było, co pozostało? Dlaczego nadal gonił za prawdą, która tylko stawała się coraz bardziej nieprzyjemna? Właściwie wciąż nie bardzo wiedział.

Janus był jego wtyczką, odpowiadał za niego. Może w jakiś sposób podświadomie nadal próbował go ratować? Zrekompensować oszustwo, pieniądze, które wziął od Crispina, żeby go zdradzić?

Czasami opiekunowie i informatorzy za bardzo się do siebie zbliżają.

Teraz wszystko się wyjaśniło. Było mniej więcej tak, jak mówił Molnar. W samochodzie Janus zastrzelił Briana Hansena. Mógł nieomal opisać, jak to się odbyło. Jak ich spojrzenia spotkały się w lusterku wstecznym, ciche porozumienie co do tego, co ma się zdarzyć. To nie było żadne zaskoczenie, jak myślał Molnar, ale zaplanowane morderstwo. Janus zabił Hansena, zrobił to dla niego, żeby ratować Saraca przed upadkiem, ale też żeby ratować siebie.

Morderstwo stało się ich wspólną tajemnicą, połączyło ich na zawsze. Stało się pistoletem przy skroni, który uniemożliwiał wzajemną zdradę. Czy to dlatego się załamał? Bo uświadomił sobie, że znalazł się w sytuacji, z której nie może wyjść?

Obiecał Dreyerowi nazwisko kreta, którym w rzeczywistości był on sam. Jako Erik I. Johansson już zainkasował pieniądze od Crispina za ujawnienie tożsamości Janusa. Poza tym Bergh i jego szefowie domagali się nowych wyników, co sprawiało, że w dalszym ciągu patrzyli przez palce na jego naruszającą przepisy operację. A w trawie czaił się Wallin polujący na tajemnice Janusa.

Ale po tym, jak Janus zabił dla niego Hansena, był związany. Sam złapał się w potrzask, z którego nie mógł się wydostać. Czy to dlatego wjechał do tunelu nafaszerowany narkotykami, pędząc, jakby gonił go sam diabeł? Bo nie miał innego wyjścia?

Nawet jeśli próbował odsunąć tę myśl, trudno było zaprzeczyć logice. Udar

mózgu, który go prawie zabił, może uratował mu życie. Uratował go od niego samego. Ale w zasadzie dał mu tylko chwilowe wytchnienie. Znow był w potrzasku bez najmniejszej szansy na wyrwanie się.

Oparł głowę na rękach. Oślepiło go napięcie, tak głęboko wszedł w skórę Erika I. Johanssona, że zagubił siebie. Popenił najgorsze oszustwo wobec informatora. Chciał go sprzedać za pieniądze.

Co takiego powiedział tamtego wieczoru Lehtonenowi, Markovicowi i Sabatinemu, że zaczęli uciekać? Czy chodziło o to, co on sam i Molnar podejrzewali: że Janus metodycznie odhaczał wszystkie nazwiska na liście? Zamordował wszystkich, co do których istniało choćby najmniejsze ryzyko, że go zdradzą, wszystkich poza jednym? Erikiem I. Johanssonem. Nim samym.

Janus musiał mieć mnóstwo możliwości, żeby go zabić, gdyby chciał. Dlaczego więc zwlekał? Jedyńm sposobem na uzyskanie całkowitej jasności było spotkanie twarzą w twarz. Znalezienie Janusa, zanim on znajdzie jego. Ale nadal brakowało mu ostatniego kawałka układanki. Tego, czego wszyscy szukali. Prawdziwej tożsamości Janusa.

W każdym razie co do jednego miał zupełną pewność. Ten, którego szukał, był tutaj. Gdzieś w tym mieszkaniu było coś, co mogłoby mu pomóc odnaleźć właściwy trop, co oczyściłoby zarośniętą ścieżkę w jego mózgu i dało to, czego potrzebował.

Opróżnił szafkę z szufladami, ułożył rzeczy w rzędzie. Broń, oba magazynki, kajdanki. Następnie sformatowany laptop, książka telefoniczna, różne długopisy, kilka jednokoronówek i paczka papierosów, z której wyciągnął draskę z pudełka od zapalek z Clubu Babel. Na koniec dołożył notatnik, który w zasadzie nie tutaj znalazł, ale który definitywnie należał do tego pomieszczenia.

Znow go otworzył. Pierwsza strona z pięcioma zaszyfrowanymi numerami osób, przed nią i za nią resztki wyrwanych stron. Potem strony z datami i zakodowanymi wiadomościami, prawdopodobnie spotkania z różnymi informatorami i kontaktami, zapisanymi na tych dwóch wyrwanych kartkach. Ciekawe, czy któryś z nich nie był adwokatem Crispinem? Bez zaginionych kartek pewnie nigdy się tego nie dowie.

Jeszcze raz spojrział na szyfry. System wydawał się dość prosty. Kombinacja cyfr, którą w jakiś sposób można łatwo zamienić na adres. Adresy. Przerzucał bez planu

kartki książki telefonicznej. Zastanawiał się wcześniej nad pożytkiem z takiej książki, kiedy przecież miał dostęp do internetu. Ale teraz zdawało mu się, że rozumie przyczynę. Wybrał to samo zdanie, które czytał już kilka razy.

„Spotkanie z Jupiterem godzina 14.00 na 781216”.

Nie wiedział, kim jest informator Jupiter, prawdopodobnie jego zaszyfrowany numer PESEL znajdował się na jednej z usuniętych kartek. Ale spróbował w sfatygowanej książce telefonicznej odnaleźć stronę 78. Wybrał pierwszą kolumnę, przeszedł do dwunastego wiersza. Znalazł adres sklepu rowerowego na ulicy Skeppargatan 4. Ani adres, ani sklep nic mu nie mówiły. Ale w kodzie pozostały jeszcze trzy cyfry. Spróbował wymienić czwórkę na liczbę 16. Głośno zaklął, kiedy zdał sobie sprawę, że nie miał żadnej szansy sprawdzić tego adresu, w każdym razie nie bez użycia telefonu. Chwilę się zastanawiał, następnie zaryzykował i zadzwonił do informacji telefonicznej.

Pod tym adresem mieściła się restauracja.

Powtórzył tę procedurę z kilkoma innymi kodami, znalazł dyskretny hotel, potem kolejną restaurację. Porównał daty z wyciągami płatności kartą. Zgadzało się, we wszystkich tych miejscach płacił za obiady kartą.

Czyli książka telefoniczna była w rzeczywistości kluczem do szyfru wskazującego miejsca spotkań. To odkrycie właściwie powinno go zachwycić, ale radość mąciła świadomość, że w sumie to donikąd nie prowadziło. Na żadnej ze stron nie było imienia Janusa, to już stwierdził i dlatego znów nastąpiło totalne zatrzymanie. Ale był już blisko, bliżej niż kiedykolwiek.

Wziął ze sobą paczkę papierosów i zatopił się w fotelu przed białą tablicą. Z pomiętej paczki wyciągnął bez patrzenia jednego papierosa i zapalił zapałką z małej, czerwonej draski. Kiedy tylko poczuł zapach, stwierdził, że papieros nie zawierał jedynie tytoniu. Przyjrzał się mu, dopiero teraz dostrzegł, że był ręcznie skręcony, w odróżnieniu od prostych jak gwóźdź, gładkich sztuk marlboro, które zostały w paczce.

Palić marychę jakiś miesiąc po udarze raczej nie było genialnym pomysłem. Przede wszystkim nie, jeśli poza tym było się policjantem. Ale z drugiej strony, co mu szkodziło. Mocno się zaciągnął, przez kilka sekund zatrzymał dym w ustach, zanim



go wypuścił. Potem przechylił głowę do tyłu i poczuł, jak znajome uczucie błogości wolno rozchodzi się po ciele.

Znów pomyślał o Natalie. Mimo że ją zdemaskował, uratowała mu życie. Naraziła siebie, nawet poraniła się w samochodzie. Nie mogła liczyć na to, że zdradzi jej więcej tajemnic. Mimo to nie wahała się, żeby mu pomóc. Zastanawiał się dlaczego. Z pewnością miała dobry motyw, dużo lepszy niż jego własne.

Znowu pociągnął. Twarze na tablicy gapiły się na niego, wolno zaczęły się kręcić. Przelatywały przez pajęczą sieć, od brzegów do środka. W kierunku znaku, który przypominał zarówno dwie odwrócone tyłem do siebie twarze, jak i gigantycznego pajaka. Odpowiedź jest tutaj, pomyślał. Na tej tablicy.

– Który z was to trzyma, no, gadajcie – głośno powiedział. Uśmiechnął się sam do siebie. Już zaczynał być upalony. – To ty, Abu Hamsa? A może twój byczkowaty kumpel Eldar? – Znów wyszczerzył zęby. – Micke Lund, co wiesz o starożytnych bogach? Znasz Uranosa?

Przechylił głowę w tył i zarechotał prosto do sufitu. Śmiał się tak, że aż zaczęły mu płynąć łzy. *Fucked up beyond all recognition* [30](#).

Opanował się, znowu się zaciągnął i zmusił do powrotu do tablicy. Pozostały cztery osoby. Drugi członek gangu motocyklowego – Karim bez nazwiska. Następnie rosyjska mafia dresiarzy, Zimin i Ivazov, i na koniec łysy Sasja z jastrzębim nosem i paskudnymi oczami.

Sarac oparł się w fotelu. Spróbował się skupić na Janusie. Wywołać obraz twarzy, którą dostrzegł w lusterku sekundy przed strzałem.

Kim jesteś? – myślał.

Gdzie jesteś?

Uczucie nadeszło znikąd. W całym jego toku myślenia coś się nie zgadzało. Coś było... błędne.

Zdjęcia nadal krążyły w sieci, stopiły się z pokojem w jeden wielki ruchomy krąg.

Wrócił na Stare Miasto. Biegł brukowaną uliczką pomiędzy wysokimi ścianami bez okien. Z początku jedynym dźwiękiem, jaki słyszał, był jego własny ciężki oddech. Potem nadeszły głosy. Ciemne, jasne, mocne i słabe – na zmianę. Przerzywały sobie i się wzajemnie przekrzykiwały, stopiły się w jeden wielki potok słów.

- Jaki rodzaj policjanta?
- Zachowaj tajemnicę!
- Mamy umowę.
- Zaczynałem myśleć, że o mnie zapomniałeś, Eriku.
- Koniec końców to pieniądze rządzą.
- Żadnych luźnych wątków.
- Zniszczyć nas samych.
- Ktoś sprzedaje informacje.
- To wszystko jego wina.
- Haczyki są obrócone do wewnątrz.
- Wszystko zaczyna się i kończy na...

Głosy cichną w tej samej chwili, kiedy uliczka się zwęża, przechodzi w wydeptaną ścieżkę w śniegu. Wokół niego nocne niebo i ciemne drzewa. W uszach bicie tętna. Przed nim, na białej ziemi, duży czarny kwadrat. Grób. Patrzy w dół. Widzi leżącego tam mężczyznę, twarz wciąż ukryta pod kapturem. Skacze...

Wie, że lądowanie go zaboli. Że ból w snach jest taki sam jak w rzeczywistości. Mimo to oszłamia go, sprawia, że migocze mu przed oczyma. Niebieskie światło na ścianach tunelu, mrugająca świetlówka, pajęcza sieć czerwonych i niebieskich nici biegnących od zewnątrz do środka.

W stronę jadowitego pająka, czekającego w środku.

Janusa.

A może na odwrót? Czy mogło być...

Odwrotnie?!

Haczyki obrócone do wewnątrz.

Odkrycie uderza go jak młot kowalski. Prawda i kłamstwo stopiły się, nic nie jest tym, czym się wydaje, wszystko jest... źle!

Siada, pochyla się nad Janusem. Wstrzymuje oddech, nie wie, czy to tylko sen. Powoli wyciąga rękę w kierunku kaptura i go odsuwa. W końcu widzi twarz Janusa, dokładnie tak, jak wyglądała w lusterku wstecznym. Spotyka te jasne oczy, to dobrze znane, udęczone spojrzenie. Rozpoznaje je aż za dobrze. Mężczyzna o dwu twarzach.

Janus uśmiecha się do niego. W jego oczach odbija się smutna czerń nocnego nieba.

- Życie istnieje tylko na linie – miękko szepcze.
- Wszystko inne, Davidzie...
- Wszystko...
- ...inne...
- ...jest tylko czekaniem!

## Pięćdziesiąt trzy

– Chodzi o Davida Saraca, panie ministrze. – Wallin spojrział przez ramię, jakby chciał się upewnić, że drzwi do gabinetu Stenberga są zamknięte. – Chyba coś się dzieje.

– Aha. – Stenberg starał się brzmieć neutralnie, jakby był tylko trochę zainteresowany.

– Jakieś dwadzieścia minut temu Peter Molnar otrzymał wiadomość z telefonu na kartę. Jesteśmy prawie pewni, że to z telefonu Saraca. – Wallin podał kartkę.

„Wyspa godz. 20. On przyjdzie”.

– Wyspa? – spytał Stenberg.

– Skarpö w archipelagu Vaxholm – odpowiedział Wallin. – Sarac ma tam dom, zapisany na siostrę. To tam się chował przez ostatnie tygodnie.

– I myślisz, że spotka się z tą wtyczką, Janusem?

– Oczywiście nie wiemy tego na pewno, ale absolutnie może tak być – potwierdził Wallin.

Stenberg przez chwilę siedział cicho, próbował sprawiać wrażenie, że się zastanawia. To była szansa, jakiej szukał. Rewanż, który miał go uwolnić, raz na zawsze. Ale musi zmusić Wallina, żeby się trochę wycofał. I poza tym ma to wyglądać, jakby to był jego własny pomysł.

– To co proponujesz, Oscar? – spytał.

– Cóż, moglibyśmy oczywiście obserwować dom. Problem w tym, że chłopcy Molnara są dobrzy. Na pewno odrobą swoją pracę domową. Potrzebne by nam było wyposażenie zimowe, lornetki noktowizyjne i inne rzeczy. Razem dziesięć, piętnaście osób, doświadczeni obserwatorzy. Spora operacja, z niewielkim czasem na przygotowanie, no i przeprowadzona dyskretnie. – Wallin pokręcił głową. – To będzie niestety trudne, panie ministrze.

– Rozumiem – odpowiedział Stenberg sucho.

Zauważył, że Wallin wyglądał na zaniepokojonego, taki karierowicz jak on nie lubił rozczarowywać szefa. Ale akurat dzisiaj niemożność Wallina bardzo mu była na rękę. Musiał się zmusić do stłumienia uśmiechu.

– Jest jakieś inne rozwiązanie? – spytał tym samym obojętnym tonem co wcześniej.

Wallin kiwnął głową.

– Pływają tam dwa różne promy. Jeden z Vaxholm i drugi od strony Värmdö. Mogę posadzić ludzi na obu przystaniach promowych i robić zdjęcia wszystkim, którzy przyplływają i odpływają.

Stenberg skinął głową, zmienił ton na odpowiednio rozczarowany.

– No tak, jeśli to jedyna twoja propozycja, to musimy się tym zadowolić. Teraz cię przeproszę.

Wstał, żeby zaznaczyć, że ma ważniejsze sprawy do zrobienia.

Kiedy tylko Wallin wyszedł, wziął swój telefon na kartę i podszedł do małej umywalki. Odkręcił kran, wybrał numer i mydląc ręce, przytrzymał telefon między podbródkiem a barkiem. Jednocześnie zdecydował, że wrzuci telefon do jeziora Ösby, kiedy pójdzie na wieczorny spacer z Tubbem.

Sarac się ubrał, zrobił trzydzieści pompek jednym ciągiem i tyle samo przysiadów. Następnie założył kamizelkę kuloodporną, którą dostał od Bergha, i wokół jednej kostki czarną taśmą izolacyjną przymocował mały rewolwer z krótką lufą. Przy pasku umocował kaburę z bronią służbową, która znalazła się dokładnie nad prawym biodrem. Zamknął oczy i kilka razy wyciągnął broń w stronę lustra. Poszło lepiej, niż się spodziewał.

Kiedy był gotowy, zdjął wszystkie zdjęcia i karteczki z białej tablicy i włożył do zlewozmywaka. Na górę położył notatnik i ostatnią zapalką z draski z Clubu Babel wszystko podpalił. Ogień szybko objął zawartość zlewu. Pod wpływem ciepła błyszczący papier fotograficzny zaczął się zwijać, przez kilka sekund zmieniały się kolory. Czarne stawało się białe.

Kiedy tylko płomienie zgasły, założył skórzaną kurtkę i po raz ostatni spojrzął na mieszkanie. Zatrzymał spojrzenie na narysowanej na tablicy twarzy Janusa. Następnie podszedł i ją zmazał.

– Vaxholm – powiedział Hunter w telefonie Atifa. – Chcę, żebyś był na miejscu

o szóstej. Wyślij mi wiadomość, kiedy będziesz na przystani.

– Oczywiście – wymamrotał Atif. – Żaden problem. – Rozłączył się bez pożegnania.

Z powrotem oparł się na łóżku. Czuł się paskudnie. Prawa stopa spuchnięta jak piłka do nogi i będzie musiał zacisnąć bandaż do maksimum, żeby móc ją wsadzić do buta. Kolano niebieskofioletowe, a żebra, lewe ramię i ręka też raczej nie wydobrzały od skoku z sześciu, siedmiu metrów. Ale mogło być gorzej. Gdyby nie wylądował w zaspie, na pewno złamałby obie nogi. Leżałby na jednym z drewnianych łóżek w celi aresztu zamiast na trzeszczącym, małym łóżku w swoim pokoju hotelowym.

Wstał, poczłapał do łazienki i połknął garść tabletek. Spojrzał w lustro i stwierdził, że wygląda mniej więcej tak, jak się czuje. Było wpół do dziesiątej, dość czasu, żeby coś zjeść i zorganizować nowy samochód.

Wziął komórkę i poszukał właściwego numeru.

– Halo?

– Abu Hamsa, tu Atif. – Z trudnością znów usiadł na łóżku. – Wygląda na to, że coś się szykuje. Dziś wieczorem, gdzieś w okolicach Vaxholm – powiedział.

– Aha, dobrze. Będziesz mnie informował, mam nadzieję?

– Oczywiście – odpowiedział Atif. – Zawsze dotrzymuję obietnic.

– Doskonale, i ciepło się ubierz, przyjacielu. Najwyraźniej w szkiełkach będzie marna pogoda.

Atif siedział na łóżku i się zastanawiał. Było coś w tej rozmowie, co nie bardzo pasowało. Ton głosu, ta gadka o pogodzie. Jakby Abu Hamsa wiedział więcej niż on.

Rejs z miasta do Vaxholm zajął raptem godzinę. Łódź zaczynał podchodzić od strony lądu, ale fale tworzone przez duże promy do Finlandii nadal utrzymywały go daleko od torów wodnych. Prom samochodowy zbliżał się do przystani, więc Sarac zdążył odwiedzić kiosk i kupić nową paczkę papierosów. Założył kaptur, wyszedł na pokład i w ciągu tej krótkiej przeprawy na wyspę wypalił dwa papierosy.

Na miejscu miał szczęście: promem płynęła kobieta, która mieszkała niedaleko i podwiozła go aż do podjazdu pod dom.

– Zapowiada się na naprawdę kiepską pogodę dziś w nocy. – Kobieta wskazała

głową na ciemny horyzont. – W prognozach ostrzegali przed burzą.

– Burza, zimą? – powiedział Sarac.

– To się czasami zdarza w szkierach – powiedziała kobieta. – Co dziesięć lat albo coś koło tego. Ma to związek z różnicą temperatur między morzem a powietrzem. Mój dziadek nazywał to burzą Janusa. Mówią, że to zły znak.

Komórka Natalie zadzwoniła dokładnie w momencie, kiedy udało jej się otworzyć drzwi wejściowe. Jedna rękawica spadła jej prosto w kałużę na podłodze. Zaklęła głośno.

– Halo, mówi Natalie. – Schyliła się do rękawicy, krzywiąc się z bólu w klatce piersiowej.

– Tu Rickard – powiedział mężczyzna w telefonie.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– Chyba raczej Oscar Wallin – powiedziała Natalie. – Bo tak się naprawdę nazywasz, prawda?

– Dziś wieczorem na wyspie coś się będzie działo – powiedział mężczyzna, w ogóle nie zwracając uwagi na to, co przed chwilą powiedziała. – Potrzebuję cię tam.

– Oscar, miałeś w ogóle zamiar wyczyścić mój rejestr karny? Można w ogóle zrobić coś takiego? – spytała.

– A jak myślisz, Natalie? – powiedział głos w telefonie i od razu pomyślała o małym pojedynku na słowa między Sarakiem a von Katzowem.

– Myślę, że mówisz dokładnie to, co trzeba, żeby ludzie zaczęli z tobą współpracować, Oscar. Rzeczy, w które oni gdzieś tam w głębi wcale nie wierzą, ale których pragną tak cholernie mocno, że gotowi są zrobić prawie wszystko dla najmniejszej szansy ich uzyskania.

Ku swojemu zdziwieniu usłyszała, że mężczyzna się zaśmiał.

– Widzę, że przebywając z Sarakiem, całkiem sporo się nauczyłaś. – Umilkł i kiedy znów otworzył usta, rozbawiony ton jego głosu zniknął. – Za pięć minut pod twoimi drzwiami zjawi się samochód. Siedzący w nim policjanci albo aresztują cię za poważne oszustwo, albo podrzucą na prom. Wybieraj sama, Natalie.

Natalie otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale rozmowa została zakończona.



## Pięćdziesiąt cztery

– Tu Atif, jestem na miejscu.

– Dobrze, jaka tam pogoda? – spytał Hunter.

– Porządnie pada i wygląda, że będzie gorzej – odpowiedział Atif.

– Okej. Zrób tak: popłyn promem na Rindö i tam czekaj. To te żółte, otwarte promy.

Atif spojrzął przez szybę. Daleko w cieśninie zobaczył zbliżające się światła. Uruchomił silnik i ustawił się w kolejce samochodów. Zastanawiał się, czy zadzwonić do Abu Hamsy i przekazać mu aktualne informacje. Postanowił poczekać. Plan nadal działał, wyglądało na to, że ani Hunter, ani Abu Hamsa nie przejrżeli jego podwójnej gry. W każdym razie jeszcze nie.

Natalie była ostatnia na schodach do niewielkiej poczekalni. Zatrzymała się na podeście i spojrzała przez padający śnieg. Dokładnie tak, jak miała nadzieję, zobaczyła tylne światła ciemnego volvo oddalającego się przez plac przy przystani. Doskonale.

W trakcie jazdy żaden z policjantów w samochodzie nie powiedział ani pół słowa, co dało jej sporo czasu na rozmyślanie. Już dawno wyczyściła komputer z wszelkich możliwych dowodów. Już w tym samym dniu, w którym zgodziła się na współpracę z Wallinem, pozbyła się wszystkiego, co mogłoby ją powiązać z udawanymi porwaniami. Miała nadzieję, że to wystarczy, że wszystko, co mógł jej zrobić, to wsadzić ją na kilka dni do aresztu. Ale oczywiście nie miała pewności. Zamierzała jeszcze przez jakiś czas pograć. Udawać chętną do współpracy, popłynąć promem na wyspę, ale wrócić przy pierwszej nadarzającej się okazji. Zwalić wszystko na wstrząśnienie mózgu, które miała po zderzeniu z furgonetką. Wallin raczej nie mógł jej usadzić, jeśli była gotowa wyruszyć aż na wyspę. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Poniżej schodów pokład samochodowy już opustoszał i zaczęły wjeżdżać nowe pojazdy. Nie było zbyt wiele samochodów, wszystkiego zaledwie dziesięć. Obok niej przejechała niebieska furgonetka z dużymi plamami rdzy. Za przednią szybą

samochodu stał mały świecznik, co zwróciło jej uwagę. Dopiero kiedy samochód ją minął, zdała sobie sprawę, że rozpoznaje kierowcę. Stała w miejscu i obróciła się za autem.

– Chyba najlepiej będzie, jak wejdiesz do poczekalni! – krzyknął w jej kierunku członek załogi. Natalie kiwnęła głową i zrobiła kilka kroków w górę schodów. Wyciągnęła komórkę i wybrała numer Saraca.

– Abonent ma wyłączony telefon lub znajduje się poza zasięgiem sieci.

Zaklęła. Spróbowała znowu. Miała sztywne palce z zimna.

Znów spojrzała w kierunku furgonetki. Zaparkowała mniej więcej na środku pokładu. Kierowca został w samochodzie.

Poszła dalej w górę schodów i kiedy tylko weszła do pomieszczenia, znów spróbowała zadzwonić. Nadal bez odzewu. Śnieg padał coraz mocniej, kapitan był zmuszony użyć rogu mgłowego.

Musi w jakiś sposób ostrzec Davida, że ten mężczyzna jest w drodze na wyspę. Jeszcze raz spróbowała zadzwonić, ale bez rezultatu. Róg znowu zabuczał, aż szyby w oknach poczekalni zadzwoniły. Zastanawiała się przez kilka sekund. Wzięła swój szalik i owinęła nim głowę i twarz tak, że widać było tylko oczy. Następnie otworzyła drzwi i powoli zaczęła schodzić w dół stalowych schodów.

Śnieg walił porządnie, zakrył szyby w furgonetce. Z początku Atif miał włączone wycieraczki, ale po jakimś czasie je wyłączył. Na promie musiał zgasić silnik i nie chciał ryzykować wyładowania akumulatora. Poza tym pokryte śniegiem szyby samochodu dały mu możliwość spokojnego przejrzania swojego wyposażenia. Wyjął z kieszeni pistolet i uchylił zamek lufy, żeby sprawdzić, czy w środku jest nabój.

Właściwie było to zupełnie niepotrzebne, sprawdził to raptem godzinę temu i raczej od tego czasu nic się z bronią nie działo. Chodziło bardziej o uczucie. Uczucie bycia w gotowości.

Odwrócił się i spojrzał na tył samochodu. Łom, łopata, siekiera, piła, srebrna taśma i rolka czarnych worków na śmieci. W głębi długi, gruby łańcuch. Wszystko, czego potrzebował, żeby Janus zniknął na zawsze.

Rozparł się w siedzeniu, zamknął oczy i pomyślał o swoim małym ogrodzie

w domu, o gwiazdzistym niebie wysoko nad nim. Ale z jakiegoś powodu coraz trudniej było przywołać wspomnienia. Zamiast tego pomyślał o Tindrze. Kiedy tylko to wszystko się skończy, miał zamiar pojechać do Leksand i zabrać ją do domu. Może uda się namówić Cassandrę, żeby pojechali do Iraku razem i odwiedzili mamę. Próbował wyobrazić sobie minę mamy, kiedy zobaczy na żywo swoją pierwszą i jedyną wnuczkę. Jak na niego spojrzy i bezgłośnie podziękuje, że to zorganizował.

Natalie skradała się wzdłuż otwartego pokładu. Oparła się o ścianę pomieszczenia z poczekalnią, próbując dojrzeć coś przez krążące wokół twarzy płatki śniegu. Mniej więcej w połowie drogi do furgonetki znajdowały się niewielkie drzwi oznakowane tabliczką „Wyłącznie dla personelu”.

Ostrożnie je otworzyła i zajrzała do środka. Schody prowadziły w dół, pewnie do maszynowni. Na ścianie, dokładnie nad schodami, wisiała duża skrzynia z narzędziami. Podniosła pokrywę i znalazła to, czego potrzebowała.

Prom troszeczkę skręcił i kiedy wyszła z powrotem na pokład, dmuchało teraz śniegiem prosto na nią. Kilka razy mocno zamrugła oczami, jeszcze bardziej nasunęła szalik na czoło.

Ciało protestowało trochę, ale próbowała zignorować ból na tyle, na ile się dało. Powoli skradała się w kierunku furgonetki.

Zostało pięć metrów.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Atif odstawił kubek z kawą. Zdawało mu się, że samochód zabujał. Byli już na miejscu?

Włączył wycieraczki. Mozolnie przebijały się przez warstwę śniegu. Ale przed dziobem widział tylko ciemną wodę i wirujący śnieg. To musiał być wiatr.

Ostatnim łykiem kawy spłukał swoje tabletki, opróżnił plastikowy kubek i z powrotem zakręcił na termosie. Następnie spojrział na zegarek. Zbliżała się szósta.

– Niedługo będziemy na miejscu, Adnan – wymamrotał.

Natalie skuliła się przy prawym tylnym kole furgonetki. Pogrzebała w kieszeni i wyjęła szydło, które zabrała ze skrzyni z narzędziami. Już porządnie zmarzła. Palce były sztywne, nie za bardzo chciały się zacisnąć wokół plastikowego uchwytu. Pomogła sobie lewą ręką. Wzdrygnęła się na dźwięk sygnału z rogu mgiełnego. Szydło upadło na pokład i potoczyło się pod samochód. *Fuck!*

Wydawało jej się, że daleko z przodu widzi lampy przystani na wyspie. Za jakąś minutę będą na miejscu. Zastanawiała się, czy nie wstać i nie wrócić do poczekalni. Ale musi zatrzymać tego faceta i ostrzec Davida.

Z trudnością położyła się na brzuchu i spojrzała pod samochód. Uszkodzone żebra protestowały, ale zlekceważyła ból. Szydło leżało niecały metr dalej. Wyciągnęła rękę tak daleko, jak mogła, dotknęła uchwytu. Dźwięk silnika promu obniżył się o kilka tonów. Przygotowywali się do zacumowania.

Wczołgała się głębiej pod samochód. Czuła, jak klatka piersiowa protestuje jeszcze głośniejsze. Wyciągnęła się...

Wyraźnie usłyszał głuchy odgłos. Muszą być na miejscu. Atif uruchomił silnik, włączył wycieraczki z przodu i z tyłu na pełną moc. Opuścił boczne szyby do połowy, żeby usunąć śnieg. Zauważył coś w prawym bocznym lusterku. Jasne plecy i coś w rodzaju nakrycia głowy. Pewnie ktoś z załogi. Ciężką dziś mają robotę.

Rampa została opuszczona i samochody z przodu zaczęły powoli zjeżdżać z promu. Furgonetka Atifa powoli jechała za nimi. Kiedy tylko wyjechał na niewielki plac do zawracania, zdał sobie sprawę, że coś było nie tak. Tylne opony nie mogły się porządnie wbić w śnieg, poza tym samochód ciągnął w prawo. Narastające, rytmiczne stukanie umocniło jego podejrzenia. Złapał gumę.

Zjechał na bok i wysiadł z samochodu. Prawa tylna opona była całkiem płaska. Kiedy ukucnął, żeby przyjrzeć się uszkodzeniu, odkrył trzy małe, schludne dziurki z boku opony, tuż przy feldze. Zmarszczył czoło i powoli rozejrzał się wokół.

Inni pasażerowie z poczekalni już wyszli z pomieszczenia, kiedy Natalie wróciła na górę. Musiała zostać jakąś minutę, żeby na kaloryferze spróbować ogrzać zmarznięte dłonie. Żałowała, że nie wzięła swoich wełnianych rękawic z jednym palcem, zamiast

zamieniać je na cienkie skórzane rękawiczki, które wprawdzie były suche, ale nie mogły konkurować z wełną, jeśli chodzi o ochronę przed zimnem. Kiedy palce trochę odtajały, znów spróbowała zadzwonić na komórkę Saraca. Nadal brak odpowiedzi. No więc nie miała wyboru. Musi dostać się do willi, zanim dotrze tam mężczyzna z furgonetki.

Zeszła ze schodów i przeszła po kładce na ląd. Furgonetka stała z boku placu do zawracania, prawie pośrodku drogi, którą miała przejść. Mężczyzna ze Starego Miasta siedział w kucki i przyglądał się przebitej oponie. Za nim, w padającym śniegu, zniknęły tylne światła ostatnich samochodów. Cholera jasna, a miała nadzieję na podwiezienie! Willa znajdowała się kilka kilometrów stąd. Jeśli będzie szybko iść, dotrze tam pierwsza. Zdąży ostrzec Saraca i ukryć się bezpiecznie u jakiegoś sąsiada. Z tym planem był tylko jeden problem: musi przejść przez plac i minąć mężczyznę z furgonetki.

Natalie opuściła wzrok, znów zsunęła owinięty wokół głowy szalik nisko na czoło i zaczęła iść.

## Pięćdziesiąt pięć

Na podjeździe stał czarny SUV. Sarac znalazł Molnara i Josefa w kuchni.

– Przyplłynęliście od strony Värmdö? – powiedział, zsuwając kaptur i otrzepując się ze śniegu.

Molnar skinął głową, wyciągnął międloną w ustach końcówkę cygara i splunął kawałkiem na podłogę.

– A inni? – spytał Sarac. Wyciągnął krzesło i usiadł naprzeciw Molnara.

– Wysłałem ich, żeby sprawdzili teren – odparł Molnar. – Chcę być pewien, że ludzie Wallina nie siedzą gdzieś w krzakach. Przy okazji, masz wyłączoną komórkę?

Sarac kiwnął głową.

– Wyłączyłem ją, zanim wszedłem na prom w mieście.

– Dobrze, będziemy się kontaktować na krótkich falach, nasz własny sprzęt, nie służbowy. – Molnar postawił na stole małą krótkofalówkę.

– Kiedy się zjawi, David? – spytał Josef. W jego głosie słychać było napięcie.

Sarac spojrział na zegarek.

– Niedługo – odpowiedział. – Całkiem niedługo.

Atif widział przechodzącą zaledwie kilka metrów dalej kobietę. Głowę owinęła szalikiem, nawet nie spojrzała w jego stronę. Pewnie szła na jakiś dalszy parking.

Obrócił się, zasłonił się ręką przed zawieją i przyglądał się tylnej oponie. To nie było zwykłe przebicie, w takim wypadku dziura znajdowałaby się na powierzchni styku opony z podłożem, a nie na boku. Poza tym były trzy dziury. Wniosek: ktoś uszkodził jego samochód, prawdopodobnie na promie.

Pomyślał o osobie, którą widział w bocznym lusterku. Spróbował przywołać obraz z pamięci. Jasny płaszcz, coś w rodzaju nakrycia głowy. Czy to mógł być szalik?

Obrócił się, szukając kobiety. Ale już zdążyła zniknąć w zawiei.

Serce Natalie waliło mocno, kiedy mijala furgonetkę. Mężczyzna był wysoki, prawie dwa metry. Czowała się przy nim jeszcze mniejsza, niż była. Wbiła wzrok w ziemię, mocniej zacisnęła szalik wokół głowy i skupiła się na stawianiu jednej stopy za drugą.

Droga prowadziła wzdłuż północnej strony wyspy, tuż przy brzegu morza, bez drzew ani krzaków, które chroniłyby przed coraz silniejszym wiatrem. Od północy słyhać było słaby grzmot sugerujący, że burza nie osiągnęła jeszcze całej mocy. Natalie zaklęła cicho. Dżinsy i krótki płaszcz były zupełnie nieodpowiednim ubraniem do tego rodzaju zadania. Obróciła się, szukając świateł samochodu, ale niczego nie zobaczyła. Już marzła, z powodu zimna jeszcze trudniej jej było kontrolować zeszywniałe kończyny. Jeśli nie chciała wracać do przystani, to najbliższy dom znajdował się po drugiej stronie małego, wąskiego mostu łączącego obie wyspy. To było co najmniej kilometr stąd, może nawet dalej.

To zły pomysł, Natalie, naprawdę cholernie słaby! Dlaczego, do kurwy nędzy, nie trzymałaś się planu i nie popłynęłaś z powrotem do Vaxholm.

– No, masz zamiar opowiedzieć czy jak? – spytał Molnar gdy tylko Josef wyszedł, żeby usunąć samochód z podwórza. – Jak do tego doszedłeś, David?

– Zgadnij – odpowiedział Sarac.

Molnar rzucił mu długie spojrzenie, następnie odchylił się z powrotem na oparcie kuchennego krzesła.

– Znalazłeś lokal, który był twoją bazą – powiedział.

Sarac skinął głową.

– Był raptem kilkaset metrów od mojego mieszkania.

– O cholera – powiedział Molnar. – Znalazłeś jakieś numery kont?

– Lepiej. Znalazłem białą tablicę pełną zdjęć. Wielką sieć z wszystkimi osobami związanymi z operacją. Abu Hamsa, koleś o imieniu Eldar.

Molnar skinął głową. W jego głosie słyhać było ekscytację.

– Hamsa to znana postać. Macza palce we wszystkim po trochu. Pranie pieniędzy, kantory i trochę innych rzeczy. Eldar to jego ochroniarz łamane przez następcę tronu.

– Było więcej – powiedział Sarac. – Para motocyklowych gangsterów. Micke Lund i koleś o imieniu Karim, potem dwóch Ruskich. Zimin i Ivazov.

– Lund należy do Hells Angels, a Karim do Bandidos – powiedział Molnar. – Mimo całej gadki o wzajemnej wrogości chronią się, mają wspólne interesy z tymi Ruskami. Było więcej?

Sarac potwierdził kiwnięciem.

– Łysy facet o imieniu Sasja. Wygląda jak trupia czacha. Wydaje mi się, że to Jugol.

– Serb, mówiąc dokładnie. Prawdziwy psychol, w każdym razie jeśli to ten koleś, o którym myślę. Masz zdjęcia?

– Nie – odpowiedział Sarac. – Wyczyściłem lokal z wszelkich dowodów. Spaliłem zdjęcia i notatnik.

– Co zrobiłeś? – Molnar się wyprostował.

– Spaliłem notatnik.

Molnar ugryzł się w wargę, na skroni drgała mu mała żyłka, ale nic nie powiedział. Zatrzeszczała krótkofalówka, przerwała napiętą atmosferę.

– Dlaczego? – spytał.

Sarac wzruszył ramionami.

– Żadnych luźnych wątków, dokładnie tak jak powiedziałaś.

– A pozostałe informacje?

– Tylko masa spotkań z zaszyfrowanymi informatorami, osobami, których już nie pamiętam – odpowiedział Sarac. – Bezwartościowe bez wyrwanych stron. – Pochylił się nad stołem kuchennym, – Stron, które ty wyrwałeś, Peter.

Radio znów zatrzeszczało, żadnych głosów, tylko szum. Z oddali słychać było głuchy grzmot.

– Czemu tak myślisz, David? – Molnar zmarszczył czoło.

– Ponieważ chciałeś, żebym skupił się na liście Janusa z numerami. Wszystko inne było nieważne.

Molnar podniósł brwi.

– Myślałem, że co do tego jesteśmy zgodni – powiedział.

– Ależ tak, zgadza się – powiedział Sarac – Na znalezieniu Janusa zależało mi co najmniej tak bardzo jak tobie. „Nie ufać nikomu, chronić tajemnicę”, dokładnie tak, jak to było napisane na karteczce w szpitalu i na całej ścianie w mojej sypialni.

– Sorry, ale o czym ty mówisz? – spytał Molnar.

– Mówię o tym, że ktoś mną manipulował. Próbował mną pokierować w określonym kierunku. Wiadomości, szeptki, karteczki, rozmowy telefoniczne.



– Zaczynasz brzmieć jak pomyłony, David – powiedział Molnar. – Jeśli masz coś do powiedzenia, proponuję, żebyś to z siebie wydusił.

– Co właściwie się zdarzyło w wieczór mojego wypadku? – spytał Sarac.

– Mówiliśmy już o tym kilka razy – powiedział Molnar. – Ty i Janus spotkaliście się z Hansenem. On próbował cię zaszantażować i Janus go zdjął.

– A więc to Janus go zabił, jesteś tego pewien?

Molnar wzruszył ramionami.

– Musiało tak być. Zdałeś sobie sprawę, że straciłeś nad nim kontrolę, nad całą operacją. Zadzwoiłeś do pozostałych trzech informatorów. Powiedziałeś im, żeby zniknęli z miasta, może też, że Janus chciał ich dopaść. Potem nafaszerowałaś się górą narkotyków i zadzwoniłeś do mnie. Potem...

– Miałem udar i rozbiłem się w tunelu. Tuż przed waszym nosem – dokończył Sarac.

– Dokładnie tak. – Molnar wolno pokręcił głową. – David, przykro mi, ale nie wydaje mi się, żeby to dokądś prowadziło. W dalszym ciągu nie powiedziałaś, kim jest Janus i kiedy się zjawi. Chłopcy są w gotowości, czekają, żeby wkroczyć do akcji. – Wskazał głową krótkofalówkę na stole. – Jesteśmy tu dla ciebie, David, żeby ci pomóc posprzątać wszystkie luźne wątki.

– Żeby zdjąć Janusa, zanim on zdejmie mnie – dopowiedział Sarac.

Molnar wziął głęboki oddech.

– Zrobimy to, co będzie konieczne. Wiesz o tym lepiej niż inni.

Sarac siedział cicho, obserwując mężczyznę. Następnie wskazał na krótkofalówkę.

– Zwołaj chłopaków, Peter. Chciałbym z nimi wszystkimi porozmawiać, zanim zaczniemy.

Molnar pokręcił głową.

– Wolałbym, żeby zostali na zewnątrz, żeby nas nie zaskoczyły jakieś nieprzyjemne niespodzianki. Na przykład ludzie Wallina.

– Okej, brzmi logicznie – powiedział Sarac. – A co powiesz na wywołanie ich? Sprawdzenie, czy wszystko jest w porządku.

– Zarządziłem ciszę w eterze – odpowiedział Molnar. – Odezwą się, kiedy coś się będzie działo.

Dreszcze targające nią od dobrej chwili nagle ustały. Natalie wiedziała, że to nie był dobry znak. Nie doceniła pogody, przeceniła swoje własne siły i teraz szybko je traciła.

Most był gdzieś tam przed nią, w ciemności, może zaledwie kilka kroków dalej. Ale ciężko będzie przejść na drugą stronę. Przez ostatnie dwieście metrów osłaniał ją las, ale na tym wąskim moście znów będzie sam na sam z wiatrem od morza. Cieśnina między wyspami zadziała jak tunel, wiatr będzie tam tak silny, że utrudni nawet utrzymanie się na nogach. Ale raczej nie miała wyboru.

Burza była już znacznie bliżej, zaraz uderzy w wyspę z pełną mocą. Przed nią pojawił się cień, poręcz po obu stronach wąskiej jezdni. Most.

Natalie się ożywiła, zrobiła kilka szybkich kroków i potknęła się o coś pod śniegiem. Spróbowała zmusić zeszywniałe nogi do odzyskania równowagi. Zamiast tego upadła w tył do rowu. Uderzenie sprawiło, że straciła oddech, i teraz łapała powietrze. Wokół niej wirował śnieg, wolno topniejące, małe, tańczące płatki. Stawały się białą luną. Osłaniając oczy jedną ręką, na drugiej próbowała się podnieść.

Samochód, samochód stanął, żeby jej pomóc! Dostrzegła otwierające się od strony kierowcy drzwi, a potem ciemny zarys postaci rysujący się w świetle latarni. Klęknęła, ale nie miała siły wstać. Poczowała ręce, ktoś podnosił ją z rowu. Reflektory wciąż ją oślepiały. Mężczyzna, który ją podniósł, był silny, niósł ją do samochodu, jakby była dzieckiem.

Zauważyła, że lekko utykał.

Jak się czujesz? – usłyszała niski głos przy uchu.

W tej samej chwili zdała sobie sprawę, co to za samochód się zatrzymał. Niebieska furgonetka z brązowymi plamami rdzy i małym świecznikiem za przednią szybą.

## Pięćdziesiąt sześć

– Chciałeś, żebym się skoncentrował na pieniądzach, prawda? – powiedział Sarac. – Gdyby tylko udało mi się dojść do tego, w jaki sposób Janus był wynagradzany, moglibyśmy go znaleźć. Koniec końców zawsze chodzi o pieniądze, tak powiedział Bergh, kiedy ostatni raz się widzieliśmy. Prawda, że miał rację? Prawda, że we wszystkim chodzi o pieniądze, Peter?

Molnar cicho się zaśmiał, pochylił się nad stołem.

– Teraz musisz chyba wyjaśnić, o czym, do cholery, mówisz, David.

– Mówię o prawie czternastu milionach koron. Te pieniądze wpłynęły na dwa zagraniczne konta, którymi dysponowałem. Przelałem je w ten sam wieczór, w który prawie zginąłem w tunelu. I te pieniądze są jedynym powodem, dla którego jeszcze żyję, Peter.

Znowu cisza. Minęło dziesięć sekund. Dwadzieścia. Burza głucho dudniła. Zdawało się, że się zbliża. Sarac znów oparł się o krzesło.

– Właściwie to pozbycie się Janusa będzie cholernie miłe – powiedział. – Odkąd się obudziłem w tym pieprzonym szpitalnym łóżku, ludzie próbowali wydobyć ze mnie, kim on jest. Bergh i Wallin z początku byli najbardziej uparci, ale w rzeczywistości są tylko pionkami. Uderzyło mnie, że ci, którzy faktycznie chcą dopaść Janusa i dosłownie są gotowi dotrzeć do niego po trupach, to bandyci z moich zdjęć. Abu Hamsa, Lund, Karim, Sasja, Rusczy. Wszyscy śmiertelnie się boją, że Janus może być w ich organizacji. – Sarac wciągnął głęboko powietrze. – Zacząłem więc pytać sam siebie, czego się tak strasznie bali. Jak myślisz, Peter?

Molnar wzruszył tylko ramionami. Wyglądał nawet na lekko rozbawionego.

– Skąd kierownictwo dużych organizacji przestępczych wie, że mamy u nich wtyczkę, a nawet zna jego ksywkę? – spytał Sarac i postukał palcem wskazującym o brzeg stołu, żeby zaznaczyć wagę tego, co właśnie powiedział.

– Pewnie ktoś im to powiedział – odpowiedział Molnar.

– Tak, właśnie tak. Pytanie: kto i, nie mniej ważne, dlaczego?

– W policji pełno jest przecieków, to może być każdy. – Molnar rozłożył ręce.

– Ale sam przecież powiedziałeś, że Janus to był projekt o najwyższym stopniu

tajności – stwierdził Sarac. – Że zajmowałem się nim sam, właśnie po to, żeby nie było przecieków.

– Oczywiście, ale zarówno Bergh, jak i Kollander wiedzieli o Janusie – powiedział Molnar. – A przynajmniej zdawali sobie sprawę z jego istnienia. Poza tym Kollander opowiedział wszystko komendant wojewódzkiej policji.

– Więc uważasz, że ktoś nas sprzedał? – spytał Sarac. – Kret?

Molnar zrobił mało wyraźny grymas, który zdawał się oznaczać „tak”. Ale Sarac tylko pokręcił głową.

– Wiem, kto zdradził informację o istnieniu Janusa – powiedział. – I wiem dlaczego.

Duży mężczyzna ostrożnie posadził Natalie na materacu w furgonetce i zamknął przesuwane drzwi.

Pomógł jej zdjąć zamrożony na kamień szalik i zimne rękawiczki. Pogrzebał gdzieś i podał jej kubek od termosu z gorącą kawą.

– Pij – powiedział krótko.

Natalie posłuchała, poczuła, jak ciepło rozchodzi się po ciele.

– Dz-dzięki – powiedziała, dygocząc z zimna.

– Nie ma za co. – Mężczyzna usiadł obok niej na podłodze i oparł się o ścianę samochodu. Zdawało się, że dokładnie się jej przygląda.

– To ty zrobiłaś dziury w mojej oponie – powiedział. Raczej stwierdził fakt, niż pytał. Nie odpowiedziała, skupiła się na kubku z kawą.

– Znasz go, prawda? Davida Saraca?

Podniosła wzrok, potem krótko skinęła głową.

– To wiesz, gdzie mogę go znaleźć. – Mężczyzna powoli pokiwał głową. – Ale oczywiście mi nie pomożesz. Przecież przed chwilą omal nie zamarzałaś na śmierć ze względu na niego. – Wskazał na drzwi.

Natalie nie odpowiedziała.

– Możesz chociaż powiedzieć, jak się nazywasz? W końcu uratowałem ci życie.

– N-Natalie – powiedziała. – A ty?

– Nazywam się Atif, Atif Kassab.

– A po co ci David, Atifie Kassab?

– Po nic, już po nic.

– A-ale wczoraj próbowałaś...

Atif przyglądał jej się uważnie, w jednym kącie ust pojawił się niewielki uśmiech.

– To ty prowadziłaś tego czerwonego golfa, prawda? To dlatego masz to. – Kiwnął w kierunku taśmy chirurgicznej na jej czole, wyglądał prawie, jakby był pod wrażeniem.

Natalie milczała.

– Wczoraj myślałem, że David Sarac jest jedynym sposobem na znalezienie innej osoby – powiedział Atif. – Dziś jest inaczej. Wiem, że mają się tu spotkać, nie wiem tylko dokładnie gdzie. Jeszcze nie. Ale liczę na to, że wkrótce dostanę wiadomość. –

Wstał, przeszedł na siedzenie kierowcy. – Ale ponieważ byłaś w drodze do Skarpö, to nie będzie złym pomysłem, jeśli pojedziemy dalej.

Wcisnął bieg i powoli wjechał furgonetką na wąski most.

– Z początku Janus był tylko jakąś pogłoską na ulicy – powiedział Sarac. – Ale z czasem na pewno również kierownictwo zaczęło widzieć rezultaty. Zatrzymania, naloty, plany, które diabli brali. Ale szefowie nie mieli stuprocentowej pewności, nie póki nie zdobyli opinii z innego źródła. Informacji, w które nie można było wątpić. Krótko mówiąc, potrzebowali... – znów postukał palcem w stół – kupionego policjanta. Więc zwrócili się do adwokata Crispina – ciągnął Sarac. – On znalazł dobrze ulokowanego policjanta, który potrzebował pieniędzy. Przypadkiem spotkał go w prywatnym klubie w jednej z wież przy Kungsgatan. Kiedy policjant potwierdził, że Janus rzeczywiście istnieje, paranoja zaczęła się szerzyć lotem błyskawicy. Wszystkie siły rzucono w polowanie na zdrajcę, a jednocześnie wszyscy starali się chronić własne plecy. Przepływ pieniędzy w górę się zmniejszył i wkrótce szefowie szefów zaczęli zrzędzić i grozić tym czy tamtym. – Sarac przerwał na kilka sekund, splótł przed sobą ręce i przełknął ślinę. – Policjantowi zaczęto coraz więcej płacić – ciągnął dalej. – Jego zagraniczne konto wypełniło się milionami koron, za które miał rozpracować prawdziwą tożsamość Janusa. Niektórzy przekazywali mu pewnie nawet

drobne informacje o działaniach konkurencji. Wszystko i tak można było zwalić na Janusa.

Krótkofalówka na stole zatrzeszczała przez kilka sekund i ucichła.

– Ale skorumpowany policjant nigdy nie miał zamiaru zdemaskować Janusa – kontynuował Sarac. – W rzeczywistości wykorzystał Crispina do swoich własnych celów. Potwierdził tylko, że Janus istnieje, i przekazywał informacje o mniej ważnych operacjach policji. Dzięki temu dostawał pieniądze i informacje. Pieniądze wykorzystywał do opłacania innych informatorów, omijając biurokrację i kontrolę. Płacił na tyle duże sumy, że znacznie więcej osób było gotowych kapować. Ponieważ większość z nas ma w końcu jakąś cenę, prawda, Peter?

Molnar nie odpowiedział, tylko utkwiał wzrok w Saracu.

– W ten sposób policjant szybko zbudował swoją własną samofinansującą się tajną organizację – opowiadał dalej Sarac. – Dostarczał coraz więcej coraz lepszych cynków i wszystkie przypisywano diabelnie sprytniej wtyczce – Janusowi. Szefowie i koledzy byli zachwyceni. Wszyscy chcieli się grzać w tym blasku. Policjant wiedział, że to, co robi, jest złe. Napędzało go napięcie, uczucie balansowania na wysoko rozpiętej linie. – Sarac umilkł na kilka sekund, rozluźnił mocno splecione dłonie. – Jak na razie wszystko jest nieomal doskonałą operacją Wydziału Wywiadu Kryminalnego – ciągnął dalej. – Wrogowie sami się niszczą. Wzajemny brak zaufania jest totalny, wszyscy na siebie kapują, na prawo i lewo. A naprawdę eleganckie w tym wszystkim jest to, że sami finansują swój upadek. Ale policjant wpadł na nowy pomysł – dodał Sarac. – Z czasem pieniądze zaczęły się wyczerpywać, co właściwie nie było takie dziwne. Policjant, mimo swoich obietnic, nadal nie dostarczył Janusa. Ale zamiast zakończyć operację, zdecydował się na coś innego. Coś, co miało wzmocnić jego wiarygodność i kupić mu trochę więcej czasu. Kolejne kilka miesięcy na linie.

Sarac znów przerwał, wziął głęboki oddech. W oddali groźnie dudniła burza.

– Wybrał trzech kapusiów – powiedział cicho. – Trzech żalonych drobnych handlarzy, którzy w zasadzie nigdy nie dostarczyli nic przydatnego i bez których mógł się bez problemu obejść, i zdradził ich tożsamość. Sprzedał ich za pieniądze, żeby wzmocnić swoją wiarygodność jako kret. Policjant zdawał sobie sprawę, że

skazuje mężczyzn na śmierć. To niewielka ofiara dla większej sprawy, przynajmniej to próbował sobie wmówić. Asymetryczna walka z asymetrycznym wrogiem, jak by to powiedział Hrabia.

Krótkofalówka na stole kuchennym znów zatrzeszczała, szum statyczny spowodowany przez zbliżającą się burzę.

– Ale jednocześnie policjant natrafia na problem – ciągnął Sarac. – Inny informator jest na tyle głupi, że próbuje go szantażować. Grozi, że potrząśnie liną i policjant spadnie. W chwili desperacji ten ostatni robi coś niewybaczalnego. A kiedy udaje mu się otrząsnąć, uświadamia sobie, że w rzeczywistości już spadł z liny, spadł głębiej, niż kiedykolwiek sobie wyobrażał. Zdradził wszystko, co kiedykolwiek uważał za święte. – Sarac przymknął oczy, próbował zachować neutralny ton głosu. –

Więc w chwili skruchy i jasności umysłu dzwoni do tych trzech kapusiów i ich ostrzega, każe im jak najszybciej wyjechać z kraju, jeśli chcą żyć. Następnie opróżnia konta ze wszystkich pieniędzy z łapówek i przelewa je gdzieś, gdzie nikt do nich nie dotrze. I decyduje się przyznać do wszystkiego i przyjąć karę. Ale popełnia kolejny fatalny błąd. – Sarac pochylił się w kierunku Molnara. Zauważył smutek w swoim głosie. – Dzwoni do swojego najlepszego przyjaciela, jedynej osoby poza nim samym, która zna wszystkie szczegóły operacji: wie o podwójnej grze, o pieniądzach z łapówek, o mężczyznach, których skazał na śmierć, o wszystkim. Policjant chce go uprzedzić, powiedzieć, że wszystko runie. I wtedy sprawy przybierają zaskakujący obrót. Scenariusz, którego policjant nie byłby w stanie sobie nawet wyobrazić. Jego najlepszy przyjaciel próbuje go zabić.

Silne uderzenie pioruna wstrząsnęło szybami w oknach. Chwilę potem zgasły wszystkie lampy i dom pogrążył się w ciemnościach.

## Pięćdziesiąt siedem

– Skoro już opowiadamy sobie historie... – powiedział Molnar. Słysząc było szorowanie krzesła, kiedy wstał. – Miałem kiedyś przyjaciela, można by go nawet nazwać moim najlepszym przyjacielem. – Zrobił kilka kroków w stronę holu. – Mieliśmy wspólną tajemnicę. Wiesz, jak to jest z tajemnicami, David. Niektóre tworzą więzi, mocne więzi. Nasza tajemnica właśnie taka była. Dzięki niej czuliśmy się sprytniejsi niż cała reszta.

Zaskrzypiały drzwi do piwnicy. Potem rozległ się dźwięk otwierania szafki z bezpiecznikami.

– To mój przyjaciel na wszystko wpadł – ciągnął Molnar. – Jego doskonały pomysł i prawdę mówiąc, zazdrościłem mu. Zazdrościłem mu inteligencji, talentu. Mimo że byłem jego mentorem, sam zacząłem podziwiać, z jaką łatwością poruszał się w tej grze. Jak potrafił sprawić, że ludzie robili dokładnie to, co chciał.

Ze schodów do piwnicy widać było tylko światło latarki.

– Ale coś się stało. Mój przyjaciel za dobrze grał w tę grę. Zabłądził i w końcu podjął decyzję, która groziła zdemaskowaniem naszej tajemnicy. Najpierw byłem rozczarowany, nawet załamany. Potem zły.

Na kilka sekund zapadła cisza.

– I wtedy zacząłem się zastanawiać, co by się stało, gdyby role się zamieniły. Gdybym to ja się zatracił.

Molnar zatrzasnął drzwiczki do szafki z bezpiecznikami, zamknął drzwi do piwnicy i wrócił do holu. Poza światłem z latarki w całym domu było ciemno.

– Postanowiłem więc wszelkimi środkami pomóc mojemu przyjacielowi. Pomóc mu odnaleźć drogę z powrotem do siebie. Pomóc mu zachować naszą tajemnicę.

Skierował światło latarki prosto na miejsce Saraca przy stole. Krzesło było puste.

Atif przejechał przez wąski most. Po obu stronach furgonetki pojawiły się latarnie. Zewnętrzne oświetlenie przy domach i światła z okien. Jechał wolno między willami, główną drogą w głąb wyspy.

Natalie siedziała cicho z tyłu. Do jej zmarzniętego ciała powoli wracało ciepło,



zaczęło boleć mocniej niż wcześniej. Przez krótką chwilę rozważała wyważenie drzwi, wyskoczenie i bieg w stronę najbliższego domu. Ale ledwie mogła się wyprostować, a jeszcze mniej zmusić sztywne palce do grzebania przy zamku.

Atif przejechał jeszcze kilkaset metrów, następnie zatrzymał samochód w miejscu, gdzie droga było nieco szersza. Zdawało się, że śnieg przestaje padać, jakby mocne grzmoty zaznaczały punkt kulminacyjny burzy.

Obrócił się w stronę Natalie. Wyciągnął swoją komórkę. Ekran był ciemny.

– Nadal nie masz zamiaru mi pomóc, Natalie?

Nie odpowiedziała.

– Widzisz tamten dom? – Wskazał w stronę kilku lamp kawałek dalej. – Wystarczy, że tam pójde i zapytam, gdzie mieszka David Sarac – powiedział.

Natalie wzruszyła ramionami.

– Proszę.

Atif otworzył drzwi.

– Nigdzie nie idź, Natalie.

– Daj spokój, David. – Molnar zgasił latarkę. Wszedł powoli do małej biblioteki i dalej do salonu. – Nie mamy czasu na takie zabawy. Janus...

– Jest w drodze. – Sarac stał przy oknie i patrzył w stronę ogrodu. Na zewnątrz nadal padał śnieg, choć trochę mniej niż wcześniej.

– Projekt „Janus” był doskonałą operacją wywiadu kryminalnego – powiedział Molnar. – Taką, o jakiej można by pisać książki. Ale nie wystarczyło ci to, co osiągnąłeś, chciałeś, żeby było jeszcze lepiej. Zamiast poprowadzić to wszystko tak, jak było planowane, próbowałeś przeskoczyć samego siebie. Straciłeś kontakt z rzeczywistością. Próbowałem cię ostrzec, próbowałem ci uzmysłwić, że kiedy przekroczy się pewną granicę, nie ma drogi odwrotu. Ale nie słuchałeś. Byłeś na haju od narkotyków i sukcesów. Myślałeś, że możesz wszystko. Śmierć Hansena cię ocuciła. Zdałeś sobie sprawę, że zapłaciłeś wysoką cenę za swoje działania. I nagle nie chciałeś już w to grać. Ale było już za późno. Dokładnie tak, jak próbowałem ci wyjaśnić, nie było już odwrotu...

– Walnąłeś we mnie w tunelu? Próbowałeś mnie zabić, żebym nie dojechał na

spotkanie z Dreyerem – powiedział Sarac.

Molnar zrobił grymas bólu.

– Po prostu nie mogłem ci pozwolić, żebyś zostawił wszystko, co stworzyłeś, w rękach Dreyera.

– Co *my* stworzyliśmy, Peter – powiedział Sarac. – Ty i ja. Janus to był nasz projekt. Poza Josefem tylko my tu jesteśmy, prawda? – Wskazał na krótkofalówkę. –

Musiałeś go we wszystko wciągnąć, kiedy tylko się rozłączyłem tamtego wieczoru. Może znęciłeś go częścią pieniędzy na łapówki albo stanął w gotowości i bez tego, z czystej lojalności. Zgaduję, że obie te rzeczy naraz. Ale pozostali w grupie nie wiedzą, co się dzieje. Pewnie siedzą w domu i oglądają telewizję.

Molnar nie odpowiedział.

– Musieliście być cholernie rozczarowani, kiedy konta w banku okazały się puste – powiedział Sarac. – Prawie czternaście milionów, zaginęły bez śladu. Żadnych tropów, ani w biurze, ani w mieszkaniu, chociaż nawet wybebeszyliście meble. Nie spodziewaliście się, że stanę się takim paranoikiem, że zorganizuję osobny lokal. Tajną bazę, której adres będę znał tylko ja.

Molnar nadal milczał, zrobił tylko niewielki ruch głową.

– To dlatego nie skończyliście roboty tam, w szpitalu – ciągnął Sarac. – Beze mnie pieniądze zniknęłyby na zawsze, więc musieliście mnie wyciągnąć ze szpitala, zanim się komuś nie zwierzyłem. Pisałeś więc wiadomości, żebym czuł, że ktoś na mnie poluje. Że nawet w domu nie jestem bezpieczny. – Sarac wskazał na ogród. – To ty stałeś tam na dole – stwierdził. – W tajemnicy mnie pilnowałeś, kiedy siedziałem tu w całkowitej izolacji. Odcięty od świata z fragmentami wspomnień, kłamstwami i półprawdami w głowie, dokładnie tak, jak chciałeś. Czy pieniądze rzeczywiście są takie ważne, Peter?

Molnar odkaszlnął.

– Uwierzysz mi, jeśli powiem, że naprawdę miałem nadzieję na odzyskanie przyjaciela? – spytał. – Tego Davida Saraca, którego kiedyś podziwiałem.

Sarac zrobił grymas, wsunął jedną rękę do kieszeni i zacisnął palce na komórce. Znalazł przycisk włączania telefonu.

– Myślałeś, że lista Janusa w notatniku dotyczyła pieniędzy, że te cyfry to numery

kont – powiedział. – W rzeczywistości spisałem numery PESEL wszystkich zamieszanych. Hansena, pozostałych trzech, Erika I. Johanssona, mojej tajnej tożsamości. Polując na pieniądze, wprowadziłeś mnie na właściwy tor. Pieniądze wyszły. Do Save the Children albo Radiohjälpen [31](#), faktem jest, że nie mam pojęcia gdzie. – Sarac ostrożnie wyjął telefon, odwrócił się i przytrzymał ekran blisko ciała, żeby drugi mężczyzna nie mógł zobaczyć wyświetlacza. Znalazł zachowaną wiadomość.

Molnar przejechał kilka razy językiem po zębach i pokręcił głową.

– Nie, tu się mylisz, David – powiedział. – Przed chwilą cytowałeś Hrabiego. Widać wyraźnie, że uważnie go słuchałeś. Eugene często mówi o tym, jak ważne jest zachować jakąś drogę ucieczki. Zapewnić sobie wyjście awaryjne, żeby móc szybko wycofać się z operacji, jeśli sprawy źle się potoczą. Na pewno poszedłeś za jego radą. Masz gdzie wyjście awaryjne, schowek, gdzie odłożyłeś trochę gotówki. Może masz tam też inne rzeczy: fałszywe paszporty, numery kont, tokeny z banków? Powinieneś być użyć wyjścia awaryjnego, kiedy wszystko runęło. Wtedy w ogóle byśmy tu nie siedzieli. Ale zamiast tego postanowiłeś oczyścić sumienie. – Molnar pokręcił lekko głową. – W dalszym ciągu możemy to odkręcić, jeśli będziesz współpracować. Trzeba tylko związać kilka luźnych wątków.

– Mniej więcej tak jak z Markovicem, Lehtonenem i Sabatinim? – przerwał Sarac. Molnar nie odpowiedział.

– Widziałeś listę połączeń z mojego telefonu, Peter. Może nawet rozpoznałeś numery. Tak czy inaczej, od razu skumałeś, że zadzwoniłem i wszystkich ostrzegłem – powiedział Sarac. – Ale nie wiedziałeś, co opowiedziałem o tobie i Janusie. Nie czułeś się bezpiecznie.

Molnar dalej milczał.

– Lehtonen i Sabatini zdążyli wyjechać z kraju. Na pewno zostaliby za granicą dłużej, gdyby ktoś nie zadzwonił i nie wyjaśnił im, że to był fałszywy alarm. Ktoś, kogo znali, komu ufali. Ktoś, z kim wcześniej współpracowali. Ta sama osoba, która w rzeczywistości chciała widzieć ich martwych.

Molnar przesuwiał się wolno w kierunku Saraca.

– Zrobiłem tylko to, co musiałem, żeby chronić tajemnicę, David. Naszą

tajemnicę, twoją i moją, dokładnie tak jak powiedziałaś. Nawet Bergh nie miał pojęcia, jak to wszystko działało, myślał, że wystarczy wziąć twoją listę zapasową i pracować dalej. Kiedy zniknęła, spanikował, myślał, że ktoś ją ukradł. Ale tak naprawdę...

– Nie było żadnej listy – wymamrotał Sarac. – Zamieniłem ją na pustą kopertę, żeby chronić naszą tajemnicę. Żeby ukryć imię, którego brakowało, które nie mogło się tam znaleźć.

Przesunął kciukiem po telefonie, zamknął oczy. Pomyślał o spojrzeniu Janusa w lusterku wstecznym. O swoim własnym uśmiechu, zapachu strachu Hansena.

*Debts I can't escape til' the day I die*, szeptał mu do ucha znany głos.

Janus – rzymski bóg o dwóch twarzach. Taki jak on sam.

Nacisnął przycisk „Wyślij”. Dwa razy, żeby mieć pewność. Zobaczył, jak wiadomość wychodzi z koszyka. Teraz nie było odwrotu.

– To co teraz, David? – spytał Molnar. – Teraz, kiedy wiesz wszystko i kiedy ja wiem, że ty wiesz? – Opuścił trochę rękę, położył ją na kaburze pistoletu.

Sarac spojrział na zegarek ze świecącymi wskazówkami. Za dwie ósma.

– Czekamy – odpowiedział.

Kiedy tylko Atif wysiadł, Natalie spróbowała wstać. Przeszukała kieszenie w poszukiwaniu komórki, ale szybko się zorientowała, że jej nie ma. Albo zgubiła ją, kiedy upadła, albo po prostu Atif ją wziął, a ona nie zauważyła. Podczołgała się do drzwiczek i zaczęła kombinować przy zamku. Ale tak jak się spodziewała, palce nie chciały jej słuchać. Nagle wewnątrz furgonetki rozjaśniło światło reflektorów. Szybko zbliżający się pojazd. Natalie przeczołgała się do tylnej szyby, wyciągnęła rękę, próbując zamachać do kierowcy. Ale samochód pojechał dalej. Duży czarny pojazd, który przejechał tak blisko, że furgonetką zakołysało. Tylne światła zniknęły, stawały się coraz słabiej widoczne. Potem znów silniejszy blask, kiedy kilkaset metrów dalej zapaliły się światła hamowania.

Otworzyły się drzwi od strony kierowcy i wskoczył Atif. W ręce trzymał komórkę.

– Nikogo nie ma w domu, ale tak czy inaczej, sprawa się rozwiązała. Jesteśmy

prawie na miejscu. – Pomachał lekko telefonem.

Zbliżały się nowe reflektory, minął ich kolejny samochód. Tym razem van. Atif siedział nieruchomo i go obserwował. Śledził wzrokiem światła, aż skręciły w tym samym miejscu, co poprzedni samochód.

Atif włączył silnik i ostrożnie wyjechał na drogę, jechał po szerokich śladach kół w śniegu.

– Wyjaśnij mi jedną rzecz – powiedział. – Dlaczego to zrobiłaś? Zaryzykowałaś dla niego życie? Jesteście parą?

Natalie pokręciła głową.

– No to dlaczego? – W jego głosie słychać było autentyczne zainteresowanie.

– I tak byś nie zrozumiał.

Sama nie bardzo rozumiem, pomyślała.

Krótkofalówka znów zatrzeszczała, ale tym razem na drugim końcu słychać było podniecony głos.

– Peter, tu Josef. Przed chwilą na drodze na dole stanął samochód. Teraz jedzie tu na pełnym gazie, poza tym wygląda na to, że od drugiej strony ktoś tu idzie na piechotę!

– Co się dzieje, David? – Molnar starał się, żeby jego głos brzmiał spokojnie.

– Popelniliśmy błąd, Peter – powiedział smutno Sarac. – Złamaliśmy swój własny kodeks honorowy, zdradziliśmy tajemnice, które obiecaliśmy chronić. Próbowałem to naprawić, ale niektóre rzeczy są po prostu za bardzo popsute, żeby dało się coś zrobić.

– Pokazał Molnarowi komórkę. – Zrobiłem to, za co mi zapłacili – powiedział. – Powiedziałem, że Janus będzie tutaj, na wyspie, dziś wieczorem. Nie chciałem dać im adresu, póki nie porozmawiamy. Chciałem być całkowicie pewny, że obaj byliśmy równie winni. I teraz wiedzą, gdzie jest Janus.

Molnar odwrócił się, zrobił kilka szybkich kroków do holu i dalej do drzwi wyjściowych. Silnik ryczał, podwórko kapało się w świetle reflektorów.

– Kim są oni?! – krzyknął przez ramię, jednocześnie wyjmując broń. – Z kim się skontaktowałaś? Jugole, Ruscy, motocykliści?

– Ze wszystkimi – odpowiedział Sarac. – Skontaktowałem się ze wszystkimi.

## Pięćdziesiąt osiem

Doradca do spraw bezpieczeństwa Frank Hunter zaplanował operację w najdrobniejszych szczegółach. Razem czterech ludzi plus on sam. Dwóch na Saraca, dwóch na Janusa. Kamizelki kuloodporne, kamizelki taktyczne i systemy nośne, granaty nieodłamkowe i broń lekka.

Za kilka minut Janus będzie leżał związany w samochodzie. W bagażniku było wszystko, co potrzebne, żeby zmusić go do mówienia, głównie narkotyki. Przemoc opłacała się tylko, kiedy chciało się prostych odpowiedzi, tak albo nie. Jego zleceniodawcy chcieli więcej, dużo więcej. Chcieli wiedzieć wszystko. Z kim Janus współpracował, jak długo, jakie informacje przekazywał i tak dalej. I kiedy to dostaną, kiedy jego pełna relacja zostanie nagrana, jego nowy „przyjaciel” Atif Kassab zajmie się resztą. Nieprzyjemny typ, ten Kassab. Mężczyzna, który już dawno temu przekroczył wszystkie możliwe granice. Łatwy do przewidzenia w swojej żądzy zemsty, ale jednocześnie przydatny.

Silnik SUV-a ryczał, adrenalina wypełniała ciało. Mimo że Hunter robił to wiele razy, w dalszym ciągu upajał się tą atmosferą. To o to w tym wszystkim chodziło, dlatego się temu poświęcał. Robota związana z Sophie Thorning wymagała umiejętności improwizacji, ale mimo to było to jedno z jego lepszych dokonań. Tak bliskie perfekcji, jak to możliwe przy tak krótkim czasie na przygotowanie. Ciało, mieszkanie, samochód – wszystkim się zajął. Zrobił to, co było konieczne.

I teraz ta improwizowana akcja nareszcie dała wynik. Usługa za usługę. Jego zleceniodawcy będą zadowoleni, dokładnie tak jak zwykle. Frank Hunter zawsze wykonywał zlecenie.

– *Alpha team, go!* <sup>32</sup> – powiedział do krótkofalówki i dwaj mężczyźni, którzy wisieli na zewnątrz SUV-a, zeskoczyli w biegu i zaczęli biec na tył domu. Samochód pędził z reflektorami wymierzonymi we wszystkich kierunkach. Podwórce zalało światło. Gwałtowne hamowanie dokładnie przed gankiem.

– *Go, go, go!* – krzyknął Hunter, co właściwie nie było potrzebne. Trzeci mężczyzna, który wisiął na zewnątrz SUV-a, był już w połowie drogi do drzwi wejściowych. Za nim kierowca z zestawem do wyważania drzwi. Za kilka sekund

będą w środku, za mniej niż pół minuty będzie po wszystkim. Sam nawet nie będzie musiał opuszczać samochodu.

Nagle zauważył ruch przy jednym z rogów domu. Reflektor samochodu oświetlił wysokiego mężczyznę oburącz trzymającego broń.

Hunter nacisnął przycisk w krótkofalówce, ale zanim zdążył wykrzyknąć ostrzeżenie, jego ludzie na ganku otworzyli ogień. Do cholery, oby to nie był Janus.

Otworzył drzwi samochodu i wyskoczył. Wyciągnął broń i skierował w kierunku rogu, za którym zniknął mężczyzna.

– *Enemy down, breach the door! Go, go!* <sup>33</sup> – krzyknął do krótkofalówki. Drzwi trzasnęły, kiedy jego ludzie zerwali zamek. W tej samej chwili można było usłyszeć dźwięk kolejnego dużego silnika ryczącego na podjeździe.

Sarac zobaczył, jak dwaj mężczyźni mijają róg domu i zbliżają się do ciemnej werandy. Białe maskujące ubrania, okulary ochronne i kominiarki. Przed sobą trzymana oburącz broń. Kiedy zaczęła się strzelanina z przodu domu, mężczyźni pobiegli prosto na niego.

Jednym miękkim ruchem wyjął broń i oddał dwa strzały. Natychmiast się zorientował, że celował za wysoko. Huk z pistoletu był ogłuszający, zaczęło mu pisać w uszach.

Mężczyźni rzucili się na śnieg i odpowiedzieli ogniem. Kule rozbiły stare okna werandy, posypały się na niego ostre jak igły kawałki szkła.

Coś trafiło Saraca w czoło. Dotknął twarzy, czuł, jak ręka staje się mokra od krwi, i szybko wycofał się do holu. Molnar krzyczał coś o schodach i z trudem poszedł w tamtym kierunku. Od drzwi wejściowych słychać było trzask, dźwięk łamanego drewna. Następnie dwa wystrzały z broni Molnara. W tle ryczenie kolejnego samochodu.

– *This is leader, heads up!* <sup>34</sup> – krzyknął Hunter do krótkofalówki. – Mamy towarzystwo.

Obrócił się, reflektor na drodze dojazdowej był coraz bliżej, dźwięk silnika stawał się coraz głośniejszy. Hunter zdał sobie sprawę, że jego plan był poważnie zagrożony.

Ale nie miał zamiaru się teraz poddać, nie wpuszczał do głowy myśli o niepowodzeniu.

Na podwórze na pełnym gazie wjechała ciemna furgonetka. Światła oślepiły Huntera. Przez sekundę się wahał, następnie oddał dwa strzały wprost w przednią szybę zbliżającego się samochodu. Furgonetka jechała dalej. Hunter jeszcze raz strzelił, wypełnił szybę małymi białymi dziurkami. Warkot silnika stał się głośniejszy, przeszedł w ryk.

Hunter rzucił się w bok, prosto w śnieg. W następnej chwili furgonetka uderzyła prosto w tył SUV-a.

– Na schody! – krzyknął Molnar.

Sarac od razu posłuchał. Z salonu słychać było chrzęst szkła rozdeptywanego przez ciężkie buty, potem głuchy odgłos czegoś odbijającego się od podłogi.

– Granat hukowy! – ryknął Molnar z dołu schodów.

Mimo że Sarac był przygotowany, mimo że był odwrócony plecami do holu i zamknął oczy, prawie upadł, kiedy granat wybuchł. Huk wycisnął mu powietrze z płuc, odbłask oślepił nawet przez powieki. Potknął się o najwyższy stopień i runął jak kłoda na podłogę. Przetoczył się, skierował broń w stronę schodów.

Molnar przecisnął się obok niego i poszedł po omacku dalej wzdłuż korytarza. Saracowi zdawało się, że dostrzegł białą postać na schodach, i strzelił kilka razy. Pisk w jego głowie sprawiał, że ledwie słyszał odgłos własnej broni.

Spróbował przeczołgać się kawałek tyłem w głąb korytarza, następnie uniósł się na kolana i kilka razy mocno zamrugał. Jeszcze zanim się odwrócił, wiedział, gdzie jest skierowana broń Molnara. Prosto w jego głowę.

Hunter przetoczył się w śniegu i skierował broń w kierunku furgonetki. Silnik ucichł, a nad maską z przodu unosił się słup białego dymu z chłodnicy. Zderzenie było tak silne, że ciężki SUV przesunął się o prawie dwa metry przed siebie i przód samochodu wjechał do połowy w ścianę małego budynku gospodarczego.

Hunter usłyszał krzyk z furgonetki, następnie dźwięk otwieranych drzwi samochodu. Wskoczyło kilku rosyjskich mężczyzn. Co najmniej dwóch miało karabiny.



Hunter strzelił, ale oddał tylko jeden strzał i broń się zablokowała. Koniec amunicji. Kurwa mać!

Wyrzucił pusty magazynek, próbując wyciągnąć z pasa nowy. Prosto na niego szedł mężczyzna w kamizelce kuloodpornej i z karabinkiem sprężynowym w rękach. To jeden z Rosjan ze spotkania w siłowni. Jednym ruchem Hunter wcisnął nowy magazynek, zamknął lufę i strzelił. Mężczyzna wycofał się chwiejnym krokiem, ale udało mu się oddać jeden strzał w kierunku Huntera. W nodze Huntera pojawił się palący ból. Przetoczył się pod SUV-a.

Od strony vana słyhać było kolejne strzały oddane w stronę ganku. Hunter dostrzegł nogi, ciężkie buty poruszające się przy samochodach, i próbował w nie celować. Ręce mu się trzęsły, serce dziko pompowało krew. Porażka nie wchodzi w grę.

– *Man down!* – ryknął ktoś w jego słuchawce. – *Man down!*

Po omacku szukał mikrofonu. Cała ta operacja jest na dobrej drodze, żeby...

– Do diabła! – Inspektor policji Josef Almlund czołgał się w śniegu. Przycisnął ręką dziurę w brzuchu i poczuł lejącą się między palcami krew. Kula trafiła go dokładnie poniżej kamizelki kuloodpornej, pewnie narobiła sporego zamieszania w jego jelitach, zanim wyszła z tyłu. Usiadł oparty o ścianę domu, jednocześnie szukając w śniegu swojej broni, jednak bez skutku. Po kilku sekundach zorientował się, że chyba się posikał. Kurwa, kurwa, kurwa...

Z lasu kawałek przed nim wyszło pięciu mężczyzn, brodząc w śniegu. Wszyscy mieli zielono-beżowe ubrania maskujące, które sprawiały, że wyraźnie odbijali się od białego tła. W rękach trzymali wycelowane w niego karabiny automatyczne.

Jeden z mężczyzn podszedł do Josefa, kopnął na niego trochę śniegu i powiedział coś do pozostałych w języku, który prawdopodobnie był serbskim. Następnie dotknął karabinem czoła Josefa.

Josef zamknął oczy. Zdążył pomyśleć, że to popierdolony rodzaj śmierci. Że nic by się nie stało, gdyby nie posłuchał Petera Molnara. Nie pozwolił swojej chciwości wziąć górę.

Kiedy otworzył oczy, mężczyźni już okrążyli dom i szli dalej na podwórze. Szukał

po omacku krótkofalówki na piersi, ale odkrył, że sprzączka na ramieniu była pusta. Ogłuszający terkot karabinów automatycznych zmusił go do schowania głowy w dłoń.

Hunter wyjrzał spod SUV-a. Zobaczył plecy mężczyzn okrążających vana. Dostrzegł niebieskie kamizelki kuloodporne, bluzy dresowe i długi warkocz. Usłyszał wystrzały z karabinów automatycznych, później strzały z pistoletu, kiedy ktoś na ganku odpowiedział ogniem.

Huk broni automatycznej go zaskoczył. Dźwięk był ogłuszający, z najbliższej położonych drzew runął śnieg. Jeden z mężczyzn z vana upadł, pozostali rzucili się na ziemię, szukając schronienia.

Hunter przekręcił się w prawo, pomiędzy sobą a domem dostrzegł ciężkie buty i nogi w spodniach kamuflujących. Strzelił prawie na ślepo, opróżnił cały magazynek. Usłyszał krzyk, zobaczył, jak jeden z mężczyzn pada na kolana. I jak inny kieruje karabin automatyczny w jego stronę.

Sekundę później ktoś z furgonetki strzelił mężczyźnie w plecy. Gruby śrut prawie oddzielił głowę od ramion.

Nagle ból przerwał zasłonę adrenaliny. Hunter przetoczył się na plecy i spojrzał w dół ciała. Na lewej łydce dostrzegł krew i wyprute mięso, wyraźnie odbijające się na tle białych spodni. Zamknął oczy, prawie zwymiotował.

– *Man down!* – ktoś wciąż wołał w słuchawce. – *Man down!*

W tej samej chwili mężczyźni z karabinami automatycznymi znów zaczęli strzelać, zdawało się, że kierują ogień w stronę tych schowanych z tyłu za vanem. Kule przecinały miękką blachę samochodu i zamieniały ją w sito. Hunter usłyszał, jak ostrzeliwani wrzeszczą ze strachu. Uznał, że musi się stamtąd zabierać. Teraz, od razu!

– *This is leader* – szepnął do mikrofonu. – *Abort mission. I repeat, abort mission* <sup>35</sup>.

Jakaś kula przebiła oponę tuż przy nim, inna przedziurawiła metal zaledwie kilkadziesiąt centymetrów od niego. Odkryli go. Hunter przycisnął ręce do tułowia, odbijając się zdrową nogą, przesunął się pod podwozie samochodu i potem dalej.

Ziemia pod nim zniknęła, runął bez kontroli w dół pagórka, prosto między drzewa. Kilka razy zrobił koziołka bez rąk, odbił się trochę od ziemi, w końcu zderzył się z drzewem. Zderzenie zabrało mu oddech. Kaszlnął i próbował się wyprostować. Nos i usta miał pełne śniegu, jedną stronę głowy rozpaloną bólem. Z trudem usiadł, schował się za drzewem i skierował rękę w stronę ucha, ale nie znalazł tego, czego szukał. Poczł zimny skurcz w okolicy brzucha, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma większej części ucha.

Wymiana ognia niedaleko domu trwała nadal. Słyszał coraz silniejsze, długie salwy z broni automatycznej. Potem huk, tak silny, że poczuł go w klatce piersiowej. Minęło kilka sekund, zanim się zorientował, co to było. Granat ręczny.

Hunter szukał po omacku krótkofalówki i odkrył, że cała kieszonka została zdarta z kamizelki. Słyszcząc nowy dźwięk, spojrzał w górę.

Mocno zbudowany mężczyzna w kucyku biegł w dół pagórka, dziesięć, piętnaście metrów dalej. Robił duże, niepewne kroki, stracił równowagę, zrobił koziołka i wylądował w zaspie śnieżnej z nogami do przodu. Ale zamiast przetoczyć się dalej, zapadł się głębiej, prawie do pasa, i tak został. Hunter znał też tego mężczyznę, Micke Lund, jeden z chłopców z gangu.

Micke Lund rozejrzał się, zobaczył Huntera przyciśniętego do drzew i drgnął. Ich spojrzenia się spotkały.

Z góry dało się słyszeć wołanie. Po serbsku.

– To ten gruby skurwiel. Zabij go!

Kule z karabinu automatycznego przecięły kamizelkę kuloodporną Lunda i stworzyły małą plamę w śniegu po drugiej stronie. Mężczyzna na kilka sekund otworzył szeroko oczy, następnie spojrzał na Huntera, jakby chciał coś powiedzieć. Potem powoli pochylił się do przodu.

Hunter oparł głowę o pień drzewa i zamknął oczy. Żołądek mu się skurczył i przez kilka sekund czuł się tak, jakby spadał.

## Pięćdziesiąt dziewięć

Sarac spojrział na Molnara. Następnie na broń skierowaną w swoją głowę. W głowie jeszcze ciągle mu piszczało i mocno mrugał oczami, próbując pozbyć się efektów działania granatu hukowego.

Usłyszał kroki na schodach, obrócił się i zdążył tylko zobaczyć postać w ubraniu kamuflującym, zanim Molnar strzelił. Mężczyzna krzyknął i runął tyłem w dół schodów.

Sarac wstał i zaczął wolno iść wzdłuż korytarza. Molnar nadal celował w jego kierunku. Sarac podniósł swoją broń i skierował ją w stronę Molnara. Stanął tak blisko, że lufy prawie się dotykały.

– Jebany idiota! – Twarz Molnara była biała. – Co ty, do cholery, zrobiłeś?

– Markovic, Lehtonen i Sabatini – przerwał mu Sarac. – Zabiłeś wszystkich trzech. Najpierw urządziłeś to tak, by wyglądało, że to trzech różnych zabójców. Później próbowałeś zwalić wszystko na Janusa.

– Nie bardzo dałeś mi wybór – odwarknął Molnar. – Ktoś musiał posprzątać ten burdel, który po sobie zostawiłeś. Hansen dostał to, na co zasługiwał, nie mogłeś mu pozwolić, żeby cię szantażował, i zadziałałeś odpowiednio. Zrobiłem to samo co ty, chronilem tajemnicę.

– Janus – odpowiedział Sarac. – Wszystko zaczyna się i kończy na nim. Ale haczyki w symbolu są odwrócone do wewnątrz, nie na zewnątrz.

Molnar kiwnął głową.

– A więc w końcu załapałeś. Zaczynałem się już niecierpliwić. – Podniósł krótkofalówkę, nie odsuwając broni od głowy Saraca. – Josef, słyszysz mnie? Spływamy.

W radiu słyhać było tylko szum.

– Josef, jesteś tam? – spytał Molnar.

Znowu szum, potem ciemny głos ze słabym obcym akcentem.

– Twój kumpel gliniarz nie może teraz rozmawiać. Chyba nie czuje się najlepiej. Twarz Molnara wykrzywił grymas. Odczekał kilka sekund, zanim odpowiedział.

– A ty kto?

– Sasja – odparł mężczyzna. – Nic do ciebie nie mam, glino. Chcę tylko Janusa.

Molnar rzucił szybkie spojrzenie Saracowi.

– Kogo? – spytał.

– Bardzo śmieszne – odpowiedział mężczyzna.

Z dołu dobiegło ich więcej odgłosów, zbliżające się kroki w holu.

Molnar wziął głęboki oddech, następnie opuścił broń. Sarac zrobił to samo.

– Jest ich trzech lub czterech – stwierdził Molnar. – Wszyscy mają broń automatyczną, brzmiało to jak AK czterdziestkisiódemki.

Sarac kiwnął głową, zmienił magazynek.

– To nie koniec, Davidzie – powiedział Molnar. – Rozumiesz? Jak tylko się wydostaniemy...

– Rozumiem, Peter. – Sarac zamknął lufę. Następnie skinął głową Molnarowi.

Było słychać więcej odgłosów z parteru, szepty, potem ruchy.

– Wyjdziemy tędy? – Molnar wskazał głową oszkloną werandę za nimi.

– Tak – odpowiedział Sarac. – Ale jest co najmniej pięć metrów w dół.

Molnar obrócił się i otworzył drzwi na werandę. Zrobił kilka ostrożnych kroków między deskami. Sarac poszedł za nim.

Usłyszał za sobą szybkie kroki, następnie odgłos czegoś toczącego się po podłodze korytarza. Odwrócił się, zobaczył zielony metalowy cylinder z żółtym paskiem, toczący się za nimi na werandę. Zatrzymał się tuż obok butelek z gazolem.

Nogi same dostały kopa. Sarac otworzył usta, krzyknął. Ryknął!

Atif otworzył drzwiczki samochodu. Odgłosy z domu ucichły.

– Przykro mi, że muszę cię tak zostawić – powiedział.

Natalie skrzywiła twarz. Taśma, której użył, żeby ją przywiązać do jednego z haków w podłodze furgonetki, wcinała się trochę w rękę. Ale jeśli leżała bez ruchu, było w porządku.

Atif zatrzasnął drzwiczki i zamknął je na klucz. Liczył na to, że sąsiedzi już dawno zadzwonili na policję, ale zanim ktokolwiek się tu zjawi, minie co najmniej godzina. W każdym razie ona nie zdąży zamarznąć na śmierć.

Kiedy tylko zamknęły się drzwi, przesunęła związane ręce tak, że palce mogły

dotrzeć do przednich kieszeni džinsów.

Atif szedł w górę niewielkiego podjazdu. Pogoda prawie zupełnie się zmieniła, przeszła od zacinającego sztormu z piorunami do ładnie i cicho padającego śniegu.

Podwórze wyglądało jak pole bitwy. Chwilę wcześniej słyszał huk granatu ręcznego i widok, jaki napotkał, był mniej więcej taki, jakiego się spodziewał. Śnieg był podziurawiony mosiężnymi łuskami, a zapach prochu i trotylu można było nieomal smakować w powietrzu.

Atif obszedł samochód stojący z tyłu, furgonetkę, która najbardziej przypominała sito. Zobaczył wypalony krater w miejscu eksplozji granatu. Na ziemi leżało kilka ciał, słyszał, jak ktoś jęczał po rosyjsku, ale się nie zatrzymał, żeby sprawdzić kto to. Drzwi wejściowe do domu były otwarte, z framugi wystawały duże odłamki drewna. Usłyszał głos w środku, ktoś krzyczał.

„Granat ręczny!”, ryknął Sarac, biegnąc w najdalszy kąt werandy. Zdaje się, że Molnar już zrozumiał. Był dwa kroki przed nim, podniósł broń i opróżnił magazynek, strzelając w stronę okna przed nimi. Posypały się duże kawałki starego szkła.

Sarac zrobił to samo, strzelił raz, dwa... Następnie osłonił ramionami głowę i skoczył. Fala podmuchu dotarła do niego, kiedy był w powietrzu, rzuciła go przez stare okna i dalej w dół na pokryty śniegiem trawnik. Wylądował na brzuchu, lewe ramię trafiło pod ciało i poczuł, jak się łamie. Łapał powietrze, próbował się przekręcić. Piszczalo w uszach, w całej czaszce.

Z lewego przedramienia sterczał duży kawałek szkła. Wyciągnął go i ukląkł. Krwawiło mniej, niż się spodziewał. Prawą ręką zbadał po omacku ciało w poszukiwaniu dalszych uszkodzeń. Zdaje się, że kamizelka kuloodporna uchroniła go od najgorszego, ale kiedy złapał się za kark, poczuł, jak ręka robi się wilgotna od krwi. Co dziwne, nie czuł bólu.

Na ziemi jakiś metr przed nim, na pół wbity w śnieg, leżał znajomy przedmiot. Pistolet. Wziął broń i wstał. Następnie zaczął z trudem iść przez trawnik, w stronę starych drzew owocowych.

– David! – Głos Molnara przebił się przez wycie w uchu, Sarac się odwrócił. – Dokąd, do cholery, idziesz? – Molnar skierował broń prosto w Saraca.

– Tam – odpowiedział i wskazał skraj lasu. Zauważył, jak dziwnie brzmiał jego głos. Następnie dostrzegł mężczyznę z bronią automatyczną, który pojawił się w drzwiach kilka metrów za Molnarem. Widział, jak podnosi broń.

Atif uchylił ostrożnie drzwi wejściowe. Nowy wybuch zablokował mu słuch, ale zapachy stały się wyraźniejsze. Proch, dym spalenizny, trotyl – pod nimi jeszcze inne. Adrenalina, krew, strach – śmierć.

Kłęby kurzu i trocin wypełniały hol i musiał zmrużyć oczy, żeby coś zobaczyć. Wszedł, odkrył ciało nabite na poręcz schodów. Ubranie maskujące, kamizelka kuloodporna, wojskowe buty. Migoczące światło na piętrze stawało się coraz mocniejsze. Odgłos ognia zachłannie pożerającego stare drewno.

Zajrzał do salonu. Spojrzał dalej przez przeszkloną werandę. Dwie postaci na pokrytym śniegiem trawniku, obie odwrócone plecami do niego. Jedną rozpoznał, to był David Sarac.

Na wprost nich, w samych drzwiach domu, stał mężczyzna z karabinem automatycznym skierowanym w ich kierunku.

Wystrzał był krótki, wcale nie tak głośny, jak Sarac się spodziewał. Kiedy mężczyzna w drzwiach upadł, z początku nic nie rozumiał. Potem, na werandzie, dostrzegł kontur jeszcze jednej postaci. Prawie od razu rozpoznał mężczyznę ze Starego Miasta.

Na dźwięk strzału Molnar się obrócił i Sarac skorzystał z okazji. Zmusił nogi do ruchu, przebijał się przez śnieg w stronę sadu. Nagle zdał sobie sprawę, dokąd idzie. I dlaczego.

Atif strzelił mężczyźnie z karabinem automatycznym prosto w tył głowy, nawet nie zdążył pomyśleć. Ciało upadło bez żadnego odgłosu. Na sekundę stanął. Patrzył na martwe ciało, krew tryskającą przez dziurę w głowie. Znów to zrobił, odebrał życie bez zastanowienia. Co prawda żeby ratować innego człowieka, ale fakt pozostawał faktem.

Nieznany mężczyzna na trawniku odwrócił się w jego stronę i strzelił. Odległość była zbyt duża, ale Atif schylił się instynktownie. Zobaczył, jak David Sarac biegnie

w kierunku skraju lasu. Drugi mężczyzna nadal strzelał w stronę domu. Atif podniósł broń, wycelował.

Zmienił zdanie, kiedy dostrzegł odbłask w jednej z szyb okiennych, i rzucił się w bok. Wiązka kul z karabinu automatycznego minęła go o włos i rozbiła prawie wszystkie z pozostałych okien.

Atif skrył się za sofą, oddał na ślepo dwa strzały i rzucił się do następnego pokoju, małej biblioteki z ładnymi, wbudowanymi regałami, dokładnie takimi, jakie miał u siebie w domu. Ukląkł, wycelował w otwarte drzwi. Czekał...

Usłyszał odgłos kroków, szepty, później ktoś odchrząknął.

– Właśnie się zastanawiałem, kiedy się zjawisz, Atif – powiedział znajomy głos. To był jego dawny kumpel Sasja. – Pewnie stary Hamsa cię przysłał, co? Pomaga ci odnaleźć osobę, która stoi za śmiercią twojego brata. – Sasja zaśmiał się cicho. –

Hamsa korzysta z tej siłowni do prania brudnych pieniędzy. W tej samej chwili, kiedy Adnan tam wbiegł, machając swoją bronią, było po nim. Ale z uwagi na to, że to twój brat, nikt z nich nie chciał się tym zająć. Zamiast tego wpadli na lepszy pomysł.

Przerwał mu krótki trzask na piętrze, sądząc po zapachu, ogień rozgościł się tam na dobre.

– Zastanów się chwilę, Atif. Czyim tak naprawdę pomysłem był napad? Kto znał wszystkie szczegóły i mógł je dalej przekazać glinom? Komu przypadła do gustu kobieta Adnana?

Sasja znów się zaśmiał, Atif zwilżył wargi.

– Sprzedali Adnana glinom, żeby się go pozbyć – powiedział Sasja. – Później zwalili wszystko na Janusa. Ale w rzeczywistości to ten mały szczurek Bakshi wykonał brudną robotę. Jest w tym dobry, jak wiesz, jest na liście płac u całej gromady glin. Wystarczyło wykonać jeden telefon.

Atif zauważył ruch w pokoju obok, usłyszał, jak ktoś szepcze po serbsku, później dobiegł go odgłos kroków. Odwrócił się, spojrzał w stronę kuchni. Mieli go zająć z dwóch stron. Złapać jak szczura.

– Tak więc w rzeczywistości pracujesz dla faceta, który zabił twojego brata, czy to nie jest trochę ironiczne, stary druhu? – powiedział Sasja.



Atif przyglądał się najbliższemu oknu. Było wysoko i zdawało się stabilne. Wskoczenie przez nie raczej nie wydawało się pociągającym pomysłem. Zamiast tego spojrział w stronę kuchni. W odłamku szkła, który wisiał jeszcze w oknie kuchennym, dostrzegł odbicie. Znajomy ruch.

– Rozumiesz, Atif – ciągnął Sasja, ale Atif już nie słuchał. Zrobił trzy szybkie kroki do kuchni, prawie się zderzył z drugim mężczyzną, który właśnie wyjął magazynek ze swojego karabinu.

Atif strzelił mu prosto w czoło, następnie minął go i wyszedł do holu. Salwa z broni automatycznej Sasji przebiła ściany, w pokoju zaroilo się od odłamków i rykoszetów.

Atif schował się za schodami. Silny ból w prawym boku. Szóstka, może siódemka. Dotknął rany ręką, dostrzegł ciemną krew. Niedobrze.

– Nie musimy tego robić, Atif! – krzyknął Sasja z salonu. Głos już nie był taki pewny siebie jak przedtem. – Mogę ci pomóc pomścić brata, chcę tylko Janusa. Możemy pracować razem jak kiedyś.

Atif ciężko oddychał. Gorąco z pożaru na piętrze dawało się we znaki. Z oczu zaczęły lecieć łzy. Dym sprawił, że zaczął kaszleć. Za jakąś minutę trudno będzie oddychać. Jedyne wyjście były drzwi wejściowe albo kuchnia, ale wtedy Sasja miałby wolne pole do strzału. Myślał przez kilka sekund.

– Okej! – krzyknął, powoli się podniósł i spojrział w stronę salonu.

Stał tam Sasja z karabinem automatycznym w dłoniach. Kiedy tylko zobaczył Atifa, podniósł broń i skierował lufę w stronę sufitu.

Atif wszedł do pokoju i zrobił to samo ze swoim pistoletem. Zauważył, że Sasja miał przekrwiony bandaż owinięty wokół jednego uda. To wyjaśniało jego nagłą chęć do współpracy.

– Spójrz na nas, Atif. – Sasja się uśmiechnął. – Żaden z nas nie wygląda zbyt świeżo. – Wskazał na swoje zabandażowane kolano, następnie na kurtkę Atifa, która po jednej stronie była czerwona od krwi. – Poszli w stronę lasu. Znam teren, nie ma dokąd pójść – powiedział.

Atif kiwnął głową, dalej patrzył na Sasję. W ciągu ostatnich pięciu minut zabił dwóch jego ludzi. Ale Sasji najwyraźniej w ogóle to nie obeszło. Abu Hamsa, ten

wiarołomny mały skurwiel, miał w każdym razie rację co do jednej rzeczy: nie ma czegoś takiego jak honor. Pytanie, czy kiedykolwiek było inaczej?

– Przy okazji – powiedział Sasja – przykro mi z powodu tej wiadomości dla twojej bratanicy. To był pomysł Abu Hamsy, ja mu tylko pomogłem w wykonaniu. Dzieci powinny być z tego wyłączone.

Atif cicho kiwnął głową, poczuł, jak w jego głowie rośnie ciśnienie. Pomyślał o Tindrze, jak wesoła przyniosła do domu tę kartkę w swoim plecaku. Nie rozumiała, co to znaczy. Uwierzyła, że to Święty Mikołaj zostawił wiadomość dla niej i stryjka. Potem przypomniał sobie, co obiecał zrobić z tymi, którzy odważyli się tknąć jego jedyną bratanicę.

Sasja odwrócił się i poszedł w kierunku drzwi. Ten sam Sasja, który kiedyś przysiągł go zabić. Na dworze niebo było nadal ciemne, bez jednej gwiazdki.

– Idziesz? – spytał przez ramię.

Atif przymknął oczy, zobaczył przed sobą twarzyczkę Tindry. Otworzył oczy i spojrzał na tył czaszki Sasji. Naprawdę nie było honoru. W każdym razie już nie. Podniósł pistolet i nacisnął spust.

Natalie skrzywiła się z bólu. Udało jej się wyciągnąć z kieszeni spodni swoją wierną pomadkę do ust i posmarować nią nadgarstki. Na tyle, że po chwili wykręcania rąk mogła je wyjąć z pętli.

Strzały na górze ucichły. Poszukała swojej komórki, leżała na desce rozdzielczej.

Sześć nieodebranych połączeń, wszystkie od Rickarda. Ale nie miała najmniejszego zamiaru oddzwaniać. Rickard alias Oscar Wallin mógł iść do diabła. Teraz powinna się stąd wynieść, zapukać do sąsiada i czekać tam, aż zjawi się policja.

Wysiadła z samochodu i spojrzała w stronę domu. Nad dachem dostrzegła grubego słup dymu. Pomyślała o strzałach, wybuchach i krzykach, które było słyhać aż w samochodzie na dole. O ludziach, którzy na pewno tam leżeli ranni, którzy się wykrwawiają, zanim nadejdzie pomoc. Jednym z nich mógł równie dobrze być Sarac. Może nigdy nie będzie lekarzem z dyplomem, ale w tej chwili, na tej wyspie, była prawdopodobnie najlepszym, który był pod ręką.

Weszła z powrotem do furgonetki. Pozbierała, co się nadawało. Rolka srebrnej

taśmy, koc, kilka opasek zaciskowych. Ku swojemu zdziwieniu w bocznej kieszeni oznakowanej czerwonym krzyżem znalazła niezwykle dobrze zaopatrzonego pojemnik z opatrunkami. Włożyła wszystko do starej plastikowej torebki, wyskoczyła z samochodu i zaczęła iść powoli w górę, w kierunku domu.

## Sześćdziesiąt

Sarac dotarł do sadu, właśnie wszedł między drzewa, kiedy Molnar strzelił. Trafił w tył uda, noga się pod nim zgięła. Upadł i przetoczył się na bok. Wyjął swoją broń i wystrzelił. Pudło.

Broń mu się zacięła i instynktownie wyrzucił pusty magazynek. Lewa ręka była bezużyteczna, więc zacisnął pistolet między nogami, prawą ręką szukając dodatkowego magazynku.

Molnar szedł z trudem w jego kierunku, kolejny strzał przeszedł tuż nad jego głową. Sarac wyjął magazynek i wcisnął go do kolby pistoletu. Obrócił broń, wycelował prosto w Molnara i przesunął zamek. Nacisnął spust.

Nic.

Uderzył kolbą o udo, poczuł, jak magazynek wskakuje we właściwe położenie. Powtórzył manewr z zamkiem, naciskając górną część pistoletu na pasek.

Molnar strzelił do niego z odległości jakiegoś metra. Trafił w szyję. Głowa opadła mu na bok, a do tchawicy trysnęła krew, zaczął łapać powietrze.

Molnar stanął prosto nad nim.

– Dokąd to zmierzasz, Davidku? – wybełkotał, odkopując na bok broń Saraca.

Wybuch zdał połowę górnej wargi Molnara, co zamieniło jego wyraz twarzy w makabryczny uśmiech równych, białych zębów. Sarac miał usta pełne krwi. Wypłuł ją. Próbował nie patrzeć w stronę skraju lasu. Nie udało mu się.

Molnar zauważył jego spojrzenie. Najpierw spojrzał w górę, w stronę wysokich drzew, zanim dostrzegł to, na co patrzył Sarac.

– W stronę wyjścia! – wybełkotał triumfalnie. – Oczywiście!

Minął Saraca, szedł w stronę starych, betonowych słupów bramy, które znaczyły koniec sadu. Następnie z trudem kucnął obok nich, odgarniając śnieg. Na samym dole, w kruchym betonie, wycięty był symbol. Dwie ozdobnie zakręcone litery J obrócone do siebie. Dwie odwrócone twarze. Molnar rozgrzebał śnieg i odkrył róg płótna. Lekko pociągnął i zaczął się śmiać.

– Postąpiłeś zgodnie z zasadami, Davidzie – wybełkotał. – Oczywiście, powinienem był się domyśleć. Stałem tu, do cholery, godzinami i cię obserwowałem.

A rozwiązanie miałem tuż przed nosem. Janus, bóg przejść. Związany z drzwiami, wyjściami i bramami. – Molnar przechylił w tył głowę i śmiał się pełnym głosem. Nieprzyjemny, przeszywający głowę dźwięk.

Bóg, który rozpoczyna i kończy wszystkie wojny, pomyślał Sarac. Głowa i ciało bolały. Powinien wstać, po raz ostatni spróbować zatrzymać Molnara. Ale zdał sobie sprawę, że mu się nie uda. Zamiast tego powoli, z trudem usiadł, oparł się plecami o starą jabłoń i wypluł więcej krwi. Od wysiłku przed oczami zrobiło mu się czarno. Za kilka minut prawdopodobnie będzie martwy. Co dziwne, poczuł ulgę. Ale miał jeszcze jedną rzecz do zrobienia. Zadanie, które musi zostać zakończone. Kilka razy ścisnął prawą dłoń, następnie zaczął po omacku przesuwając ręką po spodniach.

Molnar odgarnął śnieg wokół jednego słupa i odkrył więcej czarnego płótna. Potem coś, co przypominało uchwyt.

– Ty, Hrabia i wasi cholerni rzymscy bogowie. – Zarechotał. – Założymy się, że w torbie znajdę numer konta? Może nawet token z banku?

Atif szedł wolno przez podwórze. Robił ostrożne kroki, starał się nie upaść. Szedł za śladami w śniegu, dokładnie tak jak Adnan, kiedy był mały.

Ubranie miał mokre, czuł krew płynącą wzdłuż jednego boku.

– Niedługo będziemy na miejscu, Adnan – wymamrotał jeszcze raz.

Zobaczył Davida Saraca opartego o drzewo. Biała twarz, głowa przechylona pod dziwnym kątem. Wokół niego czerwone plamy na śniegu.

Drugi mężczyzna stał dziesięć metrów dalej. Teraz Atif go rozpoznał, to koleś, który wychodził z domu Saraca. Czy on jest Janusem? Jeśli Sasja miał rację, nie był winien śmierci Adnana. Ale Atif nie miał zamiaru ryzykować. Taki psychopata jak Sasja mógł powiedzieć cokolwiek i sprawić, że brzmiało wiarygodnie. Nie doszedł aż tak daleko tylko po to, żeby przerwać zadanie.

Podniósł pistolet, poczuł narastający ból. Ósemka, blisko dziewiątki.

Pierwsza kula minęła Atifa o jakiś metr. Szedł dalej, czekał ze strzałem, aż był pewien, że trafi. Mężczyzna strzelił znowu, jako oparcie wykorzystał jeden ze starych słupów bramy. Znowu pudło, ale tym razem kula przeszła tak blisko, że Atif poczuł powiew wiatru. Podniósł broń, wycelował.

Trzecia kula trafiła go pod żebrem, zachwiał się. Szedł dalej, zmusił się do trzymania podniesionej ręki z pistoletem. Broń mężczyzny się zacięła, widział, jak gorączkowo szuka nowego magazynku. Zrobił krok, potem kolejny. Mężczyzna wcisnął nowy magazynek i podniósł rękę.

Atif strzelił dwa razy, w środek ciała. Mężczyzna upuścił broń i opadł przy słupie. Atif szedł dalej, zataczając się, stanął dopiero z lufą pistoletu przyciśniętą do głowy mężczyzny. Za późno się zorientował, że to był błąd. Milisekundę przed uderzeniem zobaczył, że mężczyzna miał na sobie kamizelkę kuloodporną.

Atif przewrócił się w tył, w ostatniej chwili udało mu się złapać jakąś gałąź i utrzymać się na nogach. Mężczyzna kopnął go w udo, nogi się pod nim ugięły. Następnie twardym prawym sierpowym rąbnął go w ucho, Atif upadł na kolana, a mężczyzna dopełnił dzieła, uderzając go łokciem w ramię. Atif upadł do przodu, wylądował na rękach. Poczował, jak ziemia się kołysze.

Ramię napastnika zacisnęło się na jego szyi, ręka po omacku przesuwiała się po karku. Próbował się przekręcić, uwolnić drogi oddechowe.

Ale było za późno. Mężczyzna zamknął go w duszącym uścisku. Atif słyszał jego sapiący oddech tuż przy swoim uchu. Wyczuwał uwalniającą się z jego ciała adrenalinę. Zapach zwycięstwa.

Wykręcił głowę, próbował zdobyć kilka sekund. Przejechał po łydce, włożył rękę do cholewy buta. Zacisnął palce wokół scyzoryka, który zabrał Bakshiemu, wyciągnął go i wysunął ostrze. W tej samej chwili jego pole widzenia się zawężyło, zaszło czernią. Próbował unieść ramię, ale nie starczyło mu sił.

Sarac oparł prawą rękę o kolano. Wciągnął w płuca tyle powietrza, ile mógł, i lekko zmrużył lewe oko, zanim nacisnął spust rewolweru, który dostał od Bergha.

Z jednej strony broni sterczał kawałek czarnej taśmy izolacyjnej, ale to mu nie przeszkadzało. Ustawił celownik na sam środek głowy, wcisnął do końca spust i strzelił Peterowi Molnarowi prosto w jego szyderczy uśmiech. Jego doskonałe przednie zęby zamieniły się w czarną dziurę. Oczy patrzyły pusto na Saraca, zdawało się, że nie do końca pojęły, co się właśnie stało. Potem mężczyzna upadł, bez żadnego dźwięku.

Po kilku sekundach Atif się trochę wyprostował. Wziął kilka zziębniętych oddechów i usiadł, opierając się plecami o pień drzewa, podobnie jak Sarac. Na ziemi kilka centymetrów dalej zauważył swój pistolet. Podniósł go, splótł palce wokół kolby. Stwierdził, że broń stała się cięższa.

– To on? – Atif wskazał lufą na ciało Molnara. – Janus?

Sarac pokręcił głową, odchrząknął i na biały śnieg wypluł mnóstwo krwi.

– To gdzie on jest? – spytał Atif zmęczonym głosem.

– Wszędzie. – Sarac pomachał rewolwerem w powietrzu, potem jeszcze raz w stronę domu.

Atif podniósł broń i wycelował w Saraca. Sarac od razu zrobił to samo. Przez kilka sekund siedzieli i tylko patrzyli na siebie poprzez lufy.

– Któryś z pozostałych – wymamrotał Atif. – Który?

– Nie rozumiesz. – Sarac zakaszłał, wypluł jeszcze więcej krwi. – Janus to nie *jeden* z nich.

– To kto to jest! Mów, do kurwy nędzy! – Atif machał zirytowany pistoletem. Zauważył, że coraz trudniej mu go było utrzymać. Spojrzał na Saraca, następnie w stronę rozwalonego strzałami domu, skąd przez dach wydobywały się płomienie ognia. Wysoko ponad nimi zaczynało się rozjaśniać. Chmury zostawiły prześwit, w którym można było dostrzec gwiazdy.

Bóg, który rozpoczyna i kończy wszystkie wojny, powiedział głos w jego głowie. Brzmiał jak głos Adnana.

I nagle pojął, zobaczył wyraźnie, jak wszystko się ze sobą zgadzało. Ku swojemu zdziwieniu zauważył, że się uśmiechnął. To było sprytne, tak niesłychanie wyrafinowane. I jednocześnie – tak przerażająco okrutne.

– Ty – wymamrotał. – T-to ty jesteś Janusem. Ty, oni, wy – wszyscy. Razem...

Sarac uśmiechnął się krzywo. Krew sączyła mu się z kącika ust, tworzyła małe bąbelki na brodzie. Ręka z rewolwerem opadła na ziemię.

Atif opuścił broń, oparł głowę o pień drzewa i zaczął się śmiać. Po kilku sekundach dołączył do niego Sarac.

Nadal się śmiali, kiedy Natalie ich znalazła. Ochryply, rżący śmiech, który nie miał nic wspólnego z radością. Nie skończyli, póki im nie powiedziała, by się

zamknęli.



## Epilog

– To co z tym robimy, panie ministrze? – Wallin siedział w fotelu na wprost biurka Stenberga. – Dziewięć trupów, kolejnych dziesięciu rannych, kilku z nich to policjanci. Największe porachunki w historii kraju – powiedział.

– Obrócimy to na naszą korzyść – odpowiedział Stenberg. – Znak, że zorganizowana przestępczość znów podnosi głowę. W policji brakuje kontroli, potrzeba więcej narzędzi, lepszego sterowania.

– A policjanci, którzy byli w to zamieszani? – spytał Wallin.

– Cóż. – Stenberg zrobił mały ruch ręką. – To przede wszystkim problem komendant wojewódzkiej policji w Sztokholmie. To jej personel. Zgaduję, że Eva Swensk robi to, co zwykle, zwali wszystko na poszczególnych współpracowników i umyje od wszystkiego swoje liliowobiałe dłonie. Ma całkiem spore szanse, że jej się to uda. Bergh już odszedł, a David Sarac zdaje się doskonałym kandydatem do roli kozła ofiarnego. Poza tym trudno mu się będzie bronić, prawda?

– Ale pan minister chyba nie zamierza pozwolić Swensk tak łatwo się z tego wywinąć? – W głosie Wallina słychać było zaniepokojenie.

Stenberg uśmiechnął się i nieznacznie wzruszył ramionami.

– Czasami trzeba zrewidować swoje stanowisko, Oscarze. We wszystkim chodzi o alianse. Dziś rano miałem dobre spotkanie z Cariną LeMoine. Eva Swensk ma silne wsparcie ze strony partii. Poza tym, co Carina podkreśliła, dzięki kobiecie na stanowisku komendanta głównego policji niezaprzeczalnie zaprezentujemy się jako postępowi. To nam ułatwi wiele spraw. Usługi i przysługi, tak to wszystko działa.

Wallin kiwnął głową, zdawało się, że przez chwilę się zastanawia. Następnie otworzył teczkę, którą położył na stole. Były w niej dwa, na pierwszy rzut oka identyczne, formularze z logo instytucji na górze.

– Skoro o tym mowa, panie ministrze – powiedział. – Otrzymaliśmy wyniki badań z SKL. Ślady krwi w mieszkaniu Sophie Thorning.

– Tak – powiedział Stenberg. Starał się, by jego głos brzmiał pewnie.

Wallin spojrzał na swojego szefa. Czekał, aż ten choć trochę poruszy oczami. To by mu wyjaśniło wszystko, co chciał wiedzieć. Wyjął z teczki jeden formularz

i przesunął w stronę Stenberga.

– To była jej krew – stwierdził. – Czyli nie ma żadnych danych wskazujących na to, że w momencie śmierci Sophie Thorning ktoś jeszcze znajdował się w jej mieszkaniu.

Przerwał, spojrzał na prawie identyczny formularz, który nadal leżał w teczce. Zaczekał odpowiednio długo, żeby Stenberg też mógł go zobaczyć, zanim powoli zamknął okładki.

– Pan minister ma absolutną rację – powiedział Wallin. – Alianse są ważne. Ale nigdy nie można zapominać, kto tak naprawdę jest naszym przyjacielem.

Stenberg siedział przez chwilę cicho, patrząc na Wallina, następnie na cytaty z Kennedy'ego nad jego głową. W końcu rzucił spojrzenie na swojego patka philippe'a. Przez krótką chwilę zdawało mu się, że sekundnik się zatrzymał.

– Rozumiem – powiedział bezdźwięcznie. – Dziękuję, Oscar.

– Nie ma za co, panie ministrze.

Wallin wstał i poszedł w stronę drzwi.

– A przy okazji – powiedział Stenberg, siląc się, by sprawiać wrażenie obojętnego.

– Jak poszło z tą wtyczką? Udało nam się ustalić, kto to właściwie był?

Wallin pokręcił głową.

– Żadna z przesłuchanych osób nie zna prawdziwej tożsamości Janusa. I w ogóle nikt inny. Wygląda na to, że się rozplynął. Jakby go nigdy nie było...

## Podziękowania autora

Zawsze wiele osób angażuje się w powstawanie książki. Niektórym łatwo jest podziękować – mojej rodzinie, wydawcy, redaktorowi i agentowi. I wam, wspaniałym tłumaczom, którzy przekładacie moje opowieści na wiele różnych języków. Innym trudniej podziękować publicznie, ponieważ z różnych powodów nie mogę wymienić ich prawdziwych nazwisk. Jakkolwiek w niczym nie zmienia to mojego uznania dla ich pomocy.

Szczególne podziękowanie chciałbym skierować do iluzjonisty mentalisty Henrika Fexeusa, który wiele mnie nauczył o tym, jak łatwo jest oszukać ludzki mózg. W każdym razie temu, kto zna jego tajemnice.

*Anders de la Motte*

Nowy Jork, 2014

## Przypisy

1. Wieczór *midsommar* – przeddzień szwedzkiego święta związanego z przesileniem letnim przypadający w piątek między 19 a 25 czerwca (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy). [\[wróć\]](#)
2. Sierżant Atif Kassab, 6. Dywizjon Wojskowy, Batalion Żandarmerii Wojskowej. [\[wróć\]](#)
3. *Never forgive...* – Nie wybaczymy, nie zapomnimy. [\[wróć\]](#)
4. *Inshallah* (arab.) – jeśli Bóg pozwoli [\[wróć\]](#)
5. \* Hells Angels – międzynarodowy gang motocyklowy działający również w Szwecji. [\[wróć\]](#)
6. Bandidos – wrogi Hells Angels gang motocyklowy. [\[wróć\]](#)
7. „DN” – „Dagens Nyheter”, szwedzka ogólnokrajowa gazeta codzienna. [\[wróć\]](#)
8. *None what so ever* (ang.) – Absolutnie nic. [\[wróć\]](#)
9. „Vi på Saltkråkan” – szwedzki serial dla dzieci z 1964, w którym akcja rozgrywa się na fikcyjnej wyspie Saltkråkan. Scenariusz: Astrid Lindgren, reżyseria: Olle Hellbom. [\[wróć\]](#)
10. Skarpö – wyspa w archipelagu sztokholmskim niedaleko twierdzy Vaxholm. [\[wróć\]](#)
11. SKL – *Statens Kriminaltekniska Laboratorium* (szw.), Państwowe Laboratorium Kryminalistyczne [\[wróć\]](#)
12. *Got to start...* (ang.) – Gdzieś muszę zacząć / więc zacznę od grobu / po drodze będziemy liczyć kroki / nieparzyste na chrzciny / a parzyste – na ślub. [\[wróć\]](#)
13. \* *Curl your lip...* (ang.) – Wykrzyw usta i spraw, żebym chciał żyć / przez jeszcze jeden dzień / żebym chciał przespać / jeszcze jedną noc. [\[wróć\]](#)
14. *I owe...* (ang.) – Jestem winien wszystko / długi, przed którymi nie ucieknę aż do śmierci. [\[wróć\]](#)
15. *Ey, Erik...* (ang.) – Hej, Erik J., kopę lat! [\[wróć\]](#)
16. *I owe...* (ang.) – Jestem winien wszystko / długi, przed którymi nie ucieknę aż do śmierci. [\[wróć\]](#)
17. *Odds and evens* (ang.) – Nieparzyste i parzyste. [\[wróć\]](#)
18. *Got to start...* (ang.) – Gdzieś muszę zacząć / więc zacznę od grobu / po drodze będziemy liczyć kroki. [\[wróć\]](#)
19. *Odds for...* (ang.) – Nieparzyste na chrzciny / a parzyste – na ślub. [\[wróć\]](#)
20. Riddarholmen – wyspa w centralnym Sztokholmie stanowiąca część Starego Miasta. [\[wróć\]](#)
21. W porządku, do zobaczenia wkrótce! [\[wróć\]](#)
22. Kronoberg – kwatera główna policji w Sztokholmie. [\[wróć\]](#)
23. *Death by...* (ang.) – śmierć od powerpointa. [\[wróć\]](#)
24. *Game on* (ang.) – gra trwa. [\[wróć\]](#)
25. Saida Andersson – słynna szwedzka jasnovidzka. [\[wróć\]](#)
26. *No hard...* (ang.) – bez urazy [\[wróć\]](#)
27. *Eugene von Katzow is a former...* (ang.) – Eugene von Katzow jest byłym oficerem śledczym w Wydziale Wywiadu Kryminalnego Komendy Policji w Sztokholmie. Obecnie pracuje jako doradca ds. międzynarodowego bezpieczeństwa oraz wykładowca. Wśród jego klientów znajdują się takie duże organizacje jak OSSE, ASIS, Interpol i ICC. [\[wróć\]](#)
28. Själagård (szw.) – dosłownie: dziedziniec, podwórko dusz. [\[wróć\]](#)
29. *Payback time!* (ang.) – Czas zapłaty! [\[wróć\]](#)
30. *Fucked up...* (ang.) – Najebany nie do rozpoznania. [\[wróć\]](#)
31. Radiohjälpen – szwedzka organizacja zajmująca się zbiórką pieniędzy i organizowaniem pomocy humanitarnej. [\[wróć\]](#)

32. *Alpha team, go!* (ang.) – Zespół Alpha, ruszajcie! [\[wróć\]](#)
33. *Enemy down...* (ang.) – Wróg, wyłamać drzwi! Dalej, dalej! [\[wróć\]](#)
34. *This is...* (ang.) – Tu szef, uwaga! [\[wróć\]](#)
35. *This is leader...* (ang.) – Tu szef. Zakończyć akcję. Powtarzam, zakończyć akcję. [\[wróć\]](#)